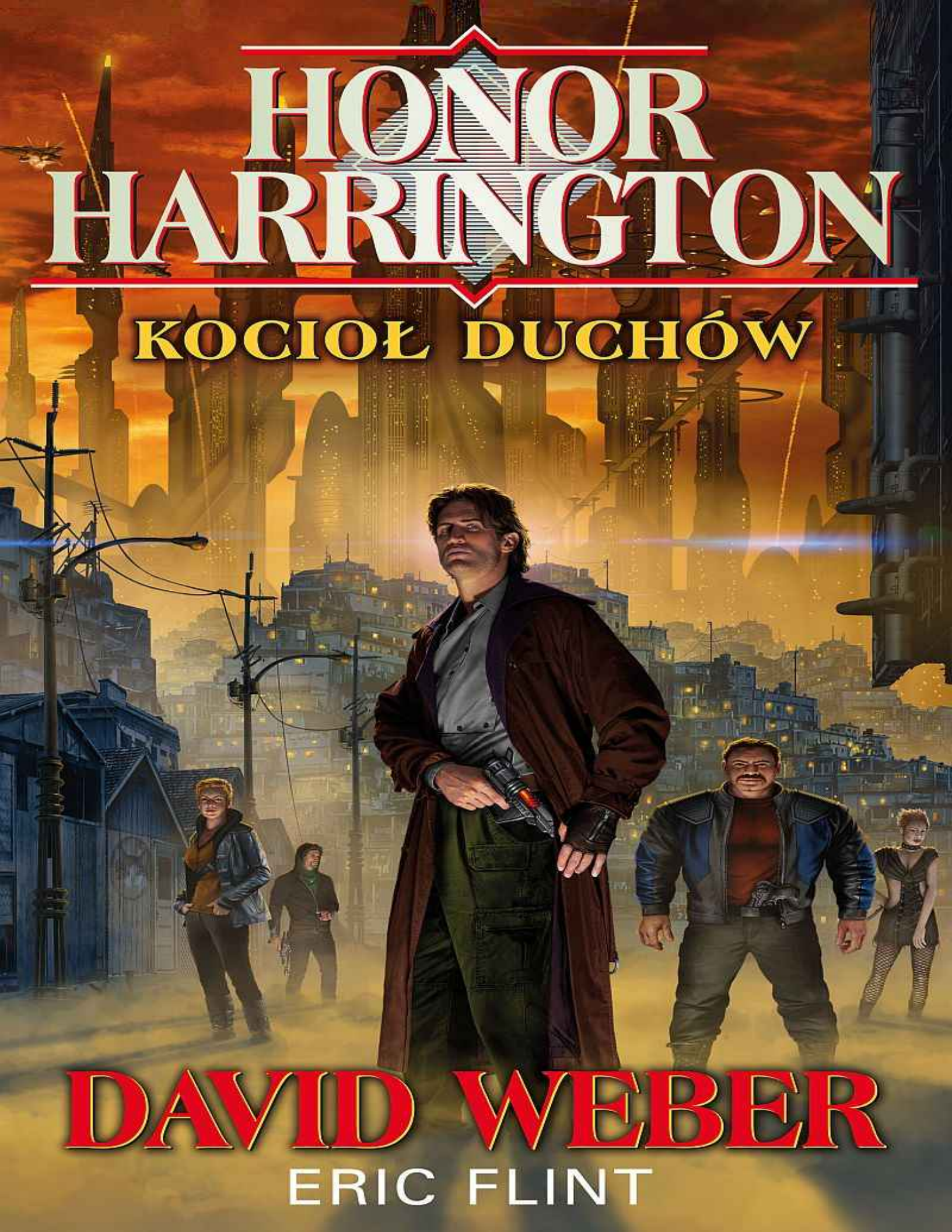


HONOR HARRINGTON

KOCIOŁ DUCHÓW



DAVID WEBER

ERIC FLINT

David Weber

Eric Flint

HONOR HARRINGTON

Kocioł duchów

Przełożył Radosław Kot

Dom Wydawniczy REBIS

Tytuł oryginału: *Cauldron of Ghosts*

Copyright © 2014 by Words of Weber, Inc. & Eric Flint
All rights reserved

Copyright © for the Polish e-book edition by REBIS Publishing House Ltd., Poznań 2015

Informacja o zabezpieczeniach

W celu ochrony autorskich praw majątkowych przed prawnie niedozwolonym utrwalaniem, zwielokrotnianiem i rozpowszechnianiem każdy egzemplarz książki został cyfrowo zabezpieczony. Usuwanie lub zmiana zabezpieczeń stanowi naruszenie prawa.

Redaktor: Anna Poniedziałek

Opracowanie graficzne serii i projekt okładki: Jacek Pietrzyński

Ilustracja na okładce: David B. Mattingly

Wydanie I e-book (opracowane na podstawie wydania książkowego: *Kocioł duchów*, wyd. I, Poznań 2015)

ISBN 978-83-7818-925-1

Dom Wydawniczy REBIS Sp. z o.o.

ul. Żmigrodzka 41/49, 60-171 Poznań

tel.: 61 867 81 40, 61 867 47 08

fax: 61 867 37 74

e-mail: rebis@rebis.com.pl

www.rebis.com.pl

Konwersję do wersji elektronicznej wykonano w systemie **Zecer**

Spis treści

Strona tytułowa

Strona redakcyjna

Dedykacja

MAJ 1922 ROKU PO DIASPORZE

ROZDZIAŁ I

ROZDZIAŁ II

ROZDZIAŁ III

ROZDZIAŁ IV

ROZDZIAŁ V

ROZDZIAŁ VI

ROZDZIAŁ VII

ROZDZIAŁ VIII

ROZDZIAŁ IX

ROZDZIAŁ X

ROZDZIAŁ XI

CZERWIEC 1922 ROKU PO DISAPORZE

ROZDZIAŁ XII

ROZDZIAŁ XIII

ROZDZIAŁ XIV

ROZDZIAŁ XV

ROZDZIAŁ XVI

ROZDZIAŁ XVII

ROZDZIAŁ XVIII

ROZDZIAŁ XIX

ROZDZIAŁ XX

ROZDZIAŁ XXI

ROZDZIAŁ XXII

LIPIEC 1922 ROKU PO DIASPORZE

ROZDZIAŁ XXIII

ROZDZIAŁ XXIV

ROZDZIAŁ XXV

ROZDZIAŁ XXVI

ROZDZIAŁ XXVII

ROZDZIAŁ XXVIII

ROZDZIAŁ XXIX

ROZDZIAŁ XXX

ROZDZIAŁ XXXI

ROZDZIAŁ XXXII

ROZDZIAŁ XXXIII

SIERPIEŃ 1922 ROKU PO DIASPORZE

ROZDZIAŁ XXXIV

ROZDZIAŁ XXXV

ROZDZIAŁ XXXVI

ROZDZIAŁ XXXVII

ROZDZIAŁ XXXVIII

WRZESIEŃ 1922 ROKU PO DIASPORZE

ROZDZIAŁ XXXIX

ROZDZIAŁ XL

ROZDZIAŁ XLI

ROZDZIAŁ XLII

ROZDZIAŁ XLIII

ROZDZIAŁ XLIV

ROZDZIAŁ XLV

ROZDZIAŁ XLVI

ROZDZIAŁ XLVII

ROZDZIAŁ XLVIII

ROZDZIAŁ XLIX

ROZDZIAŁ L

ROZDZIAŁ LI

ROZDZIAŁ LII

ROZDZIAŁ LIII

ROZDZIAŁ LIV

PAŹDZIERNIK 1922 ROKU PO DIASPORZE

ROZDZIAŁ LV

ROZDZIAŁ LVI

ROZDZIAŁ LVII

ROZDZIAŁ LVIII

ROZDZIAŁ LIX

ROZDZIAŁ LX

ROZDZIAŁ LXI

ROZDZIAŁ LXII

ROZDZIAŁ LXIII

ROZDZIAŁ LXIV

ROZDZIAŁ LXV

ROZDZIAŁ LXVI

ROZDZIAŁ LXVII

Lista postaci

Cykl Honor Harrington

*Dla Jima Baena,
który dawał szansę pisarzom.*

Brakuje nam ciebie

MAJ 1922 ROKU PO DIASPORZE

„Pomocny jak diabli. Victor wszystko rozwała w drobny mak”.

– Yana Trietiakowna, tajny agent Królestwa Torch

ROZDZIAŁ I



I co teraz? – spytała Yana Trietiakowna. Siedziała rozparta w wygodnym fotelu, z ramionami skrzyżowanymi na piersiach. Spojrzała przy tym groźnie na Antona Zilwickiego i Victora Cachata, z których ten pierwszy siedział przy ekranie kompa, drugi zaś garbił się w swoim fotelu i wyglądał na niemal równie niezadowolonego jak Yana.

– Nie wiem – odparł niewyraźnie Cachat. – Chociaż próbowałem uzyskać odpowiedź na to pytanie od pewnych prominentnych osób, których nazwisk nie wymienię. – Wskazał palcem w kierunku sufitu.

Gdyby zinterpretować jego gest dosłownie, mógłby on oznaczać, że będący dotąd zaprzysięgłym ateistą Victor Cachat doznał nagłego przyływu pobożności, jako że ponad sufitem nie było nic oprócz nieba. Rozległy apartament, zajmowany przez całą trójkę, znajdował się na ostatnim piętrze jednego z najbardziej luksusowych hoteli stolicy Haven, zajętego już dziesiątki lat temu na potrzeby tajnej policji Legislatorów. Po rewolucji, a dokładnie mówiąc, po ostatniej rewolucji, nowa władza próbowała odszukać jego dawnych właścicieli, jednak bez powodzenia. Wszyscy albo już nie żyli, albo gdzieś poznikali. Z braku lepszego pomysłu urządzono więc w budynku coś pomiędzy luksusowym hotelem dla gości rządu a bezpieczną kwaterą dla różnych innych, mniej oficjalnych gości.

Wypowiedź Cachata była jednak z gruntu ironiczna.

– Równie dobrze mógłbym gadać z latarnią – wymamrotał. – Tyle że pod latarnią byłoby przynajmniej jasno.

– A moim zdaniem pomyliłeś pytania – stwierdził Anton, krzywiąc się lekko. – Rzecz nie w „kiedy”, ale „gdzie”. – Wskazał coś na ekranie. – Widziałeś?

Nastrój znudzenia pierzchnął, gdy Victor i Yana wstali, by podejść do kompa.

– Co to niby jest? – spytała Trietiakowna. – Wygląda jak jajecznicza na sterydach.

– Bieżący obraz ruchu wokół planety – odparł Cachat. – Wszystkie jednostki, które astrogacja ma pod kontrolą jako przybywające albo odlatujące. Ale na tym moja wiedza się kończy. Szczegółowo wam tego nie objaśnię.

Yana przyjrzała się ekranowi krytycznie.

– Chcesz powiedzieć, że oni tak właśnie to widzą? – spytała z niepokojem w głosie. – I na tej podstawie sprowadzają do lądowania? Bezpiecznie wypychają na orbitę? Chyba skreśli mnie ze śmiechu. Jeśli tak właśnie jest, nigdy więcej donikąd nie polecę. Nawet na latawcu.

– Bez paniki – rzucił Anton. – To zbiorczy obraz, oni widzą to inaczej. Poza tym wszystkim i tak rządzą komputery. Zależało mi na takim właśnie oglądzie, bo chciałem zweryfikować pewne przypuszczenia. Mam na myśli nagły wzrost liczby pozarozkładowych wylotów, zgłaszanych na dodatek w ostatniej chwili.

Wskazał na kilka jasnych punktów, które dla jego towarzyszy nie wyróżniały się niczym szczególnym.

– Jak na moje wyczucie, to oni po prostu uciekają.

Victor i Yana spojrzeli po sobie, a potem na Antona.

– Kto ucieka? – spytała Trietiakowna.

Zilwicki poruszył masywnym ciałem w geście, który w przypadku normalnie zbudowanego człowieka byłby zapewne wzruszeniem ramionami.

– A skąd mam wiedzieć? – mruknął. – To już Victor będzie musiał wyciągnąć od swoich wiewiórek. Jednak na pewno nie chodzi o szarych ludzi.

Yana rzuciła w słowiańsko brzmiącym języku coś, co niemal na pewno nie nadawało się do druku. Victor panował nad sobą, ale też był pod wrażeniem.

– Ładne kwiatki – rzucił. – Kwiatki i bratki.



Na swoje szczęście nie musieli długo zamartwiać się tą sprawą. Ledwie kilka minut później zjawiło się zbawienie pod postacią Kevina Ushera i Wilhelma Trajana. Usher był szefem Federalnej Agencji Śledczej, czyli sprawował pieczę nad bezpieczeństwem wewnętrznym, a Trajan zajmował się bezpieczeństwem zewnętrznym jako szef Foreign Intelligence Service.

Yana wpuściła ich, gdy tylko zadzwonili do drzwi. Widząc ich, Cachat natychmiast wstał.

– Cześć – powiedział, skinąwszy głową w kierunku Kevina. – Witaj, szefie – dodał, patrząc na Trajana.

– Nie jestem już twoim szefem – odparł Wilhelm. Rozejrzył się wkoło, dostrzegł pusty fotel i natychmiast go zajął. Rozparł się wygodnie jak ktoś, kto wreszcie może sobie pozwolić na chwilę relaksu po pełnych napięcia godzinach. – Zostałeś przepisany pod Ministerstwo Spraw Zagranicznych. Nie podlegasz już FIS.

Nie wydawał się zasmucony utratą usług kogoś, kto w opinii wtajemniczonych, w tym i samego Wilhelma, uchodził za najzdolniejszego agenta Haven. Gdy prezydent Pritchard oznajmiła mu swą decyzję o przeniesieniu Cachata, zareagował westchnieniem ulgi i stwierdził bez żenady, że wreszcie... wreszcie będzie mógł wrócić do prawdziwego szpiegowania, miast bawić się dłużej w pogromcę lwów.

Usher usiadł w pewnej odległości od niego.

– Awans jak cholera, Victorze. Oczywiście jeśli przedstawić to w odpowiednim świetle.

Victor zerknął na niego ponuro.

– Chyba po ciemku – warknął.

– Na miłość boską, Victorze! – zachnął się Kevin. – To przecież jasne jak słońce! Dni, kiedy przemykałeś ukradkiem po chaszczach, dobiegły końca. Przeminięły z mocą tajfunu. Bum, bęc i łubudu. Koniec z tym sportem!

– Spójrz na to realistycznie, Victorze – odezwał się bardziej pojednawczym tonem Trajan. – Robota przy Torch niemal całkowicie cię zdekonspirowała. Niewiele zostało z twojej dawnej przykrywki. A teraz, po Mesie? Razem z Antonem i Yaną – tu skinął głową w kierunku tamtych dwojga – jesteście autorami najbardziej spektakularnej akcji wywiadu od... kto wie, ilu stuleci, i byłoby naiwnością oczekiwać, że po niej będziesz mógł dalej spokojnie robić swoje. Nawet nanotechnologia tu nie pomoże, bo nowa twarz czy nowa sylwetka to jeszcze nie wszystko. Zostaje DNA. W przypadku kogoś świeżego w naszym fachu może nie byłby to problem, ale jeśli chodzi o ciebie... Każdy, kto ma podstawy obawiać się twojej wizyty, bez dwóch zdań robi obecnie testy wszystkim, którzy chociaż z grubsza mogą cię przypominać!

– Urząd Bezpieczeństwa zniszczył wszystkie próbki mojego DNA w dniu, gdy skończyłem Akademię – odparł Victor z lekką irytacją w głosie. – Wszystkie, poza tymi, które sam przechowuje, a te są dobrze strzeżone. Ja zaś zawsze uważałem, by nie siać moim DNA po galaktyce.

– Nie wątpię – przyznał Anton. – Nie sądzę, by agent do zadań specjalnych Victor Cachat odstawił kiedykolwiek beztriosko szklaneczkę po wychyleniu drinka. Ale znasz realia. Jak długo pozostawałeś w cieniu i nikt naprawdę nie szukał twojego DNA, to mogło działać. Ale teraz?

– Właśnie – odezwał się Trajan i skinął w stronę okna wychodzącego na Nouveau Paris. – Sprawa przeciekła już do mediów. W ciągu paru dni, góra tygodnia, twoje nazwisko będzie znane wszystkim na Haven. No, może poza tymi, którzy nie skończyli jeszcze pięciu lat albo w ogóle nie czytają serwisów. Co więcej, wszystkie wywiady pójną tym tropem i zrobią, co w ich mocy, by dostać w swoje łapy próbkę twojego DNA. Prędzej czy później któremuś się to uda. Tak więc nie próbuj walczyć. I nie kombinuj, jak by tu przekonać mnie czy Kevina do swoich racji. Prezydent Pritchard zdecydowała i kropka. Jeśli marzy ci się, by cokolwiek zmienić, musiałbyś najpierw odwołać ją z urzędu.

Usher przetarł twarz wielką dłonią.

– Wilhelmie, on i tak ma dość pomysłów. Nie musisz mu podsuwać nowych.

Trajan spojrział ze zdumieniem na Kevina.

– Co? Ja nie... – Nagle zrozumiał. – Agencie Cachat...

– Nie myślałem organizować *coup d'état* – rzucił sarkastycznie Victor. – Jakoś tak wyszło, że jestem patriotą. Poza tym nie mogę mieć pani prezydent za złe, że tak właśnie zdecydowała. – Zachmurzył się. – Po prostu została wprowadzona w błąd przez doradców.

Anton zaśmiał się cicho.

– Ganny cię ostrzegała. Teraz tobie przyjdzie uciekać przed kamerami. Współczułbym ci, nawet gdybyś kiedyś okazał choć trochę zrozumienia dla moich rozterek po utracie przykrywki. – Zilwicki spojrział na Trietiakówną. – Jak sądzisz, Yano? Ganny prorokowała, że media okrzykną Cachata „Czarnym mścicielem”. Ewentualnie nawiążą do jego imienia i zostanie „Mrocznym zwycięzcą”.

– Obstawiam „Mrocznego zwycięzcę”. Zemsta do Victora nie pasuje, natomiast mrok i owszem, jak najbardziej. Zresztą spójrz na niego...

Cachat zaiste zrobił się dziwnie ciemny na twarzy.

– Mroczny zwycięzca jak żywy – stwierdził Zilwicki. – Musisz sobie sprawić nowe wdzianko, Victorze. Takie skórzane, skórzane od stóp do głów. I oczywiście czarne, tego nie muszę chyba dodawać.

Przez chwilę wydawało się, że Cachat eksploduje, rażąc wokół odłamkami, albo dopuści się chociaż jakiegoś czynu karalnego. Ostatecznie jednak się opanował, co wcale nie zdziwiło Antona. To, że Victor zyskał aż taką sławę, wynikało również z faktu, że nigdy za sławą nie tęsknił. W sumie był człowiekiem wręcz skromnym, o niesamowitej samokontroli.

Gdy wreszcie się odezwał, jego głos brzmiał tak spokojnie, jakby Cachat pytał o pogodę za oknem.

– Gdzie więc zostałem przypisany? Ostrzegam was tylko, że jeśli praktykuje się tam aktywne życie towarzyskie, to jestem osobą mało pijącą i nie zamierzam tego zmieniać.

– To prawda – przytaknęła Yana. – To straszny nudziarz. Nie obala, chyba że reżimy. – Anton pierwszy raz słyszał, by chichotała w ten sposób. – Życie towarzyskie i gadka-szmatka przy kominku! Już to widzę!

Na twarzy Victora pojawił się grymas sugerujący cierpienie, a Usher zrobił urażoną minę.

– Aż takimi idiotami nie jesteśmy – powiedział. – Ty, jak i wy dwoje – wskazał palcem kolejno na Antona i Yanę, obracając się przy tym jak wieżyczka strzelnicza – wszyscy lećcie na Manticore. I to już jutro, więc lepiej się spakujcie.

Anton i tak planował wybrać się na Manticore, i to możliwie jak najszybciej. Minął już ponad rok, odkąd ostatni raz widział swoją ukochaną Cathy Montaigne. Nie wiedział tylko, jak uzyskać zgodę na podróż od tych wszystkich instancji, które obecnie się nim interesowały. A tu proszę, otrzymał niespodziewany prezent.

Zauważył, że Victor patrzy na niego z uśmiechem. Prawdziwie ciepłym, co rzadko się mu zdarzało. Nie po raz pierwszy Anton zastanowił się nad tą niezwykłą przyjaźnią, która narodziła się między nim a agentem Haven. Mimo wszystkich przeciwności, które paradoksalnie czyniły ją jakby jeszcze mocniejszą.

Byli we wszechświecie ludzie, których Anton lubił bardziej niż Victora, ale mało komu był skłonny w podobnym stopniu zaufać.

– A ja w jakim charakterze? – spytał Ushera. – Mimo tego nagłego rozkwitu przyjaźni między naszymi państwami wątpię, by Ministerstwo Spraw Zagranicznych Haven planowało mnie zatrudnić.

Usher pokazał zęby w uśmiechu.

– Po tym, co stało się na Starej Ziemi, gdy rozprawiliście się tam z Manpower, żadna służba dyplomatyczna galaktyki nie będzie skłonna się do ciebie przyznać.

– Zdaję sobie z tego sprawę.

To było coś, czego nie potrafił zapomnieć. Oficjalnie nikt nie wspomniał o tym ani słowem i nawet Victor wciąż odmawiał wyjawienia jakichkolwiek szczegółów, Anton był jednak pewien, że Usher został we wszystko wprowadzony. Sam Anton trzymał się wtedy z boku, pozwalając Cachatowi i Baletowi załatwić najważniejsze, ale to on był inicjatorem akcji.

Jego córka Helen, a właściwie trójka jego dzieci, bo przecież adoptował później Berry i Larsa, żyła tylko dzięki Victorowi i Kevinowi. To był widomy dowód tego, że chociaż sporo różniło ich ideologicznie, potrafili traktować się poważnie. Anton nie podzielał podejścia Haven do wielu spraw, niemniej to właśnie Haven, z takimi czy innymi oficjalnie głoszonymi ideałami, ochroniło jego rodzinę.

Nastrój nagle mu się poprawił. Na Manticore nikt nie miał jeszcze prawa wiedzieć, ile zmienią przywiezione przez nich informacje. Jeśli słusznie domyślał się zamiarów Eloise Pritchard, mogło dojść nie tylko do zakończenia najdłuższej i najbardziej krwawej wojny, jaką znała ich galaktyka, ale także do przemiany dotychczasowych zagorzałych wrogów w sojuszników. Na razie zapewne nieufnych wobec siebie, ale sojuszników. Co więcej, obecna sytuacja miała też wpływ na jego przyjaźń z Victorem Cachatem. Praktycznie z dnia na dzień pozbył się wszystkich wątpliwości co do jego osoby. Przeszły jak ręką odjął.

Postawa Victora sugerowała, że on przeżywał to podobnie, chociaż nie wyrażał tego głośno.

– To prawda – powiedział. – O ile ja jestem dla dyplomatów personą kłopotliwą, to Anton musi przyprawiać ich o koszmary nocne.

– Nadal nie odpowiedziałeś na moje pytanie, Kevinie – rzekł Anton.

Usher wzruszył ramionami.

– Bo nie znam odpowiedzi. Skąd miałbym? Eloise powiedziała mi tylko, że mam wyprawić całą waszą trójkę, oczywiście wraz z Hernalderem Simõesem, na Manticore. Ty zaś, Victorze, nie przechodzisz wcale do korpusu Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Wilhelm trochę przesadził. – Rzucił Trajanowi karcące spojrzenie. – Wyszło tak, że Leslie Montreau i Tom Theisman byli akurat obok, gdy Eloise oznajmiła, że zabiera cię z FIS. A gdy Tom skomentował, że niepotrzebny jej pewnie, jak to określił, „słoń w składzie porcelany”, zaraz energicznie przytaknęła.

– Jakim składzie porcelany? – spytała Yana.

– To takie dawne powiedzenie – odezwał się Anton.

– A konkretniej? Co to jest porcelana?

– Coś, co Victor mógłby łatwo potłuc.

– To niewiele wyjaśnia. Victor wszystko rozwała w drobny mak.

– Komu więc teraz podlegam? – przerwał im zniecierpliwiony Victor.

Usher podrapał się po głowie.

– W sumie... jakby nikomu. Eloise uważa po prostu, że posłanie cię na Manticore może wzmocnić nowy sojusz.

– Naprawdę? Anton wie o wszystkim tyle samo co ja, a na dodatek jest obywatelem Manticore.

Tym razem Usher nie wiedział już chyba, co odpowiedzieć. Zilwicki uznał, że pora włączyć się do rozmowy.

– I właśnie o to chodzi, Victorze. Ja jestem tam już kimś w miarę znanym. Zostałem nawet przyjęty przez Królową. Za to ty pozostajesz zagadką. Chyba jedna księżna Harrington naprawdę cię kojarzy, ale poza tym... najpewniej nikt.

Cachat spojrzał na niego ze skrajnym zdumieniem, jakby nic podobnego nie przyszło mu wcześniej do głowy. I mogło tak być. Anton już dawno

zauważył, jak słabym głosem przemawia „ego” Victora, i miał to za zaletę przyjaciela, chociaż cecha ta mogła też trochę przerażać. W szczególnych okolicznościach ludzie tak mało zwracający uwagę na odbiór własnej osoby bywali zdolni do naprawdę niezwykłych czynów...

– Po prostu uwierz mi na słowo, dobrze? – powiedział Zilwicki. – Chcą cię poznać i trochę z tobą pogadać, jeszcze zanim zajmą się wszystkimi dostarczonymi przez ciebie informacjami.

– Właśnie – mruknął Usher i podniósł się z fotela. – Ruszacie jutro rano. O siódmej macie być na dole, w holu hotelowym, gotowi i spakowani.

Trajan też wstał i podszedł do drzwi.

– Miłej podróży – powiedział, co miało oczywiście znaczyć „przetrwajcie jakoś tę długą podróż”, po czym wyszedł lekkim krokiem, jakby z ramion spadł mu właśnie wielki ciężar.

ROZDZIAŁ II



Byłoby miło, gdyby dali nam jeszcze z tydzień na dokończenie przygotowań, ale chyba nie powinnam oczekiwać zbyt wiele od handlarzy niewolników. – Pułkownik Nancy Anderson postukała kciukiem w żuchwę. Jej podwładni dobrze znali ten bezwiedny gest, który z reguły oznaczał niezadowolenie z czyichś poczynań.

Niemniej tym razem nie chodziło o załogę, nie musieli się więc niepokoić. Anderson uchodziła za surowego oficera, ale cały Korpus Zwiadu Biologicznego słynął z dyscypliny, nawet jeśli w porównaniu z innymi służbami mundurowymi nie demonstrowano jej tu nadmiernie. Korpus był organizacją militarną i cieszył się sławą jednej z najlepszych służb specjalnych galaktyki, jednak niewiele uwagi poświęcano w nim formalnościom i ceremoniałom, tak droгим sercu przeciętnego oficera dowolnych sił zbrojnych. Owszem, w razie potrzeby Korpus potrafił odegrać cały ten wojskowy teatrzyk, najważniejsze było tu jednak skuteczne działanie, do którego zwykle nie trzeba było nikogo specjalnie nakłaniać.

– Jak chcesz to załatwić? – spytał pierwszy oficer, komandor Loren Damewood. Siedział akurat przy stanowisku łączności i mimo pozornie beztroskiej pozy uważnie studiował napływające dane. – Sygnał transpondera identyfikuje ich jako statek należący do Jessyk Line. Korzystali już z tej przykrywki, gdy tu zaglądali. Chociaż trudno powiedzieć, czy chodzi o tę samą jednostkę.

Pułkownik Anderson rozumiała, w czym rzecz. Handlarze niewolników zawsze zachowywali ostrożność, podchodząc do stacji, gdy nie byli pewni nastawienia personelu. Nie wiedząc, czy coś nie zmieniło się w tej czy innej okolicy od czasu, gdy jakaś ich jednostka ostatnio zjawiała się w pobliżu, przedstawiali się w pozornie niewinny, ale z góry ustalony sposób. Było to tak, jakby pukali do drzwi w charakterystycznym rytmie.

– To by oznaczało, że mają na pokładzie ładunek.

Damewood przytaknął.

– I to spory, skoro według naszych sensorów ten statek waży dwa miliony ton.

To wykluczało najprostsze rozwiązanie, czyli zniszczenie nadciągającej jednostki za pomocą zamaskowanych, wyjątkowo potężnych graserów stacji Parmley. W tym przypadku „ładunek” oznaczał żywych ludzi, i chociaż jakość owego życia pozostawiała bez wątpienia wiele do życzenia, póki co dalecy byli od śmierci.

– Zatem plan C? – spytała trzeci oficer Ayibongwinkosi Kabweza, dowódca oddziału abordażowego Królestwa Torch przydzielonego do stacji Parmley.

Pułkownik zastanawiała się przez chwilę. Nie pracowała dotąd z jednostkami z Torch i nie była do końca pewna, czy można na nich polegać.

Korpus Zwiadu Biologicznego poprosił rząd Królestwa Torch o użyczenie batalionu w chwili, gdy stało się już oczywiste, że obsadzenie stacji będzie wymagało sił większych niż te, którymi aktualnie dysponował Beowulf. Jakkolwiek bogaty i potężny, obejmował on tylko jeden układ planetarny i pozostawał wciąż członkiem Ligi Solarnej. Wprawdzie z racji bliskości terminalu łączącego z Manticoran Wormhole Junction w skład Sił

Obrony Beowulfa wchodziła imponująca flota (imponująca zwłaszcza jak na członka Ligi), ale nigdy nie pojawiła się potrzeba stworzenia licznej armii. Tradycyjnie skupiano się na jak najlepszym wyszkoleniu i wyposażeniu relatywnie skromnych sił, do których rekrutowano tylko najbardziej przydatnych ludzi. W obliczu napięcia politycznego panującego w ostatnich latach Beowulf zwiększył wprawdzie znacząco nakłady na obronę, jednak lwią część tego pochłaniała modernizacja floty. Siły lądowe czy piechota morska nie były jak dotąd rozbudowywane.

Decyzję o zwróceniu się do Królestwa Torch o pomoc w tej materii podjęto bez większego entuzjazmu. Metody szkolenia i taktyka przyjęte przez Thandi Palane były wzorowane na podejściu solarnym, które różniło się pod wieloma względami od tego, co praktykowano na Beowulfie, zwłaszcza w Korpusie Zwiadu Biologicznego. Co więcej, Królewska Armia Torch znajdowała się wciąż w fazie organizacji i nie dorobiła się jeszcze własnych tradycji czy prawdziwego poczucia tożsamości.

W tej sytuacji trudno było orzec, na ile udana może okazać się współpraca z tymi siłami. Na dodatek należało się też liczyć z pewnymi kompleksami typowymi dla przedstawicieli mało doświadczonego wojska współdziałającymi ze strukturą o bogatej historii, tworzonej przez ludzi pewnych swojej wartości. Każda uwaga czy opinia mogła w tych warunkach zostać odczytana jako próba wywyższania się.

Gdyby pułkownik Anderson zaakceptowała plan C, ciężar jego wykonania spocząłby na barkach pułkownik Kabwezy i jej żołnierzy. W slangu Korpusu plan C określono jako działanie typu „w łeb i w nogi” i rymował się on zapewne z tym, co zawarto w szkoleniu oddziału z Torch. Solarna taktyka przewidywała w takich sytuacjach gwałtowne, potężne uderzenie, i to mogło się nawet sprawdzać. Na Beowulfie, podobnie jak i na Manticore, Marynarka Ligi nie cieszyła się specjalną estymą. W pierwszym

rzędzie dotyczyło to Battle Fleet, w której można było przesłużyć wiele lat, ani razu nie mając okazji wziąć udziału w prawdziwej walce. Ale z Solarian Marines sprawa przedstawiała się inaczej. Oni byli prawdziwym wojskiem.

W sumie była to kusząca perspektywa. Nawet najczujniejsi i najlepiej uzbrojeni handlarze niewolników nie mieli szansy w konfrontacji z abordażem przeprowadzonym przez wyszkolony według solarnych standardów oddział z Torch. Ostatecznie nawet najbardziej przebiegła mysz nie mogła marzyć o pokonaniu rysia. Atak byłby na tyle szybki i zaskakujący, że „ładunek” zapewne wyszedłby z tego bez szwanku.

Pewne ryzyko jednak istniało. Niechby ktoś na mostku tamtego statku zdążył uruchomić procedurę ewakuacyjną, „ładunek” zostałby natychmiast wypchnięty z cel strumieniami trującego gazu i wyrzucony w próżnię. Oczywiście w tych okolicznościach załoga nie mogłaby udawać, że na pokładzie nie było żadnych niewolników, zbyt wiele ciał dryfowałoby w pobliżu stacji. Handlarze po prostu doszliby do wniosku, słusznego zresztą, że cokolwiek zrobią, ich los jest już przesądzony, a w takich załogach było mnóstwo sadystów i socjopatów. Żaden inny fach nie przyciągał tylu ludzi z poważnymi dewiacjami.

Inna sprawa, że w przypadku ataku przeprowadzonego przez oddział z Królestwa Torch załoga i tak nie miałaby szans na przeżycie. Podobnie jak solarni Marines, ci z Torch zwykli eliminować każde zagrożenie w sposób ostateczny, co oznaczało, że z zasady nie brali jeńców. Co więcej, większość żołnierzy Torch rekrutowała się spośród byłych niewolników, blisko jedna trzecia zaś należała kiedyś do Baletu. Żywili głęboką nienawiść do handlarzy i nawet wojskowa dyscyplina tego nie zmieniała.

Anderson pokręciła głową.

– Nie, Ayi. Myślę, że jednak nie. To będzie nasza pierwsza operacja od czasu, gdy Parmley została zmieniona w stację bojową. W pierwszym

rzędzie chciałabym wykorzystać wszystkie jej możliwości.

Kabweza nie zareagowała na wyczuwalny w podtekście tej wypowiedzi sceptycyzm. Może i poczuła się urażona, ale Thandi Palane wpoila swoim podwładnym zasadę, by nigdy nie kwestionować rozkazów przełożonych. Z kimś z Beowulfa mogłoby nie pójść tak łatwo.

– Spróbujemy planu F – powiedziała Anderson. – Sprawdzimy, na ile skuteczne są nasze systemy przeciwdziałania elektronicznego. – Popatrzyła w oczy Kabwezy. – No dobrze, Ayi. Skoro tak ci zależy, twoi ludzie znajdują się w odwodzie zamiast drużyn Lorena. O ile pierwszy nie ma nic przeciwko, oczywiście. – Zerknęła kątem oka na Damewooda.

– Hm – mruknął oficer, spoglądając na Kabwezę spod uniesionych brwi. – Ale to ma być mały oddział. I żadnych nadgorliwców, co to ich palce świerzbią do strzelania.

– Żaden z moich ludzi nie cierpi na świerzb spustowy – odparła Kabweza. – Zostali zaszczepieni, by nie zarazić się od waszych entuzjastów radosnej strzelaniny.

Nikt z obecnych na mostku nie zdołał opanować uśmiechu. Kabweza machnęła ręką, jakby dystansowała się wobec własnych słów.

– Ale i tak do nich pójde, żeby ich nerwy nie zżarły.

Kapitan i oficer spojrzeli na nią ze zdumieniem. Do takiego zadania wystarczało zwykle wysłać porucznika.

– Potrzebuję ruchu – rzuciła Kabweza, co także zostało skwitowane śmiechem. Pani oficer była w takiej formie, że polująca na sawannie lwica mogłaby pozazdrościć jej sylwetki. Może nie przypominała posturą Palane, ale przeszła dokładnie takie samo wymagające przeszkolenie. – Naprawdę potrzebuję – dodała.

Damewood wstał z fotela. Czy raczej powstał, bo to określenie bardziej pasowało do manewru kogoś, kto zdawał się mieć więcej kości niż przeciętna istota ludzka. Niektórzy powiadali o nim, że był wytworem tajnych eksperymentów, które naruszyły sztywne zasady etyczne genetyków z Beowulfa. Nikt nie dawał tym plotkom wiary, ale mimo wszystko jakoś nie milkły.

– Przyniosę mój sprzęt. – Spojrzał na ekran, na którym widać było inny statek cumujący aktualnie przy stacji. – Może wykorzystamy *Hali Sowle*? To byłaby niezła dywersja, oczywiście o ile Ganny zgodzi się postrzępić trochę język.

– Słyszałam, spryciarzu – odezwała się Elfriede Margarete Butry, zwana Ganny, która siedziała w fotelu tuż przy wejściu na mostek. Właściwie nie tyle siedziała, ile rozlewała się niczym ktoś, kto dla odmiany pozbawiony był kości. Inna sprawa, że wyglądając na około trzydzieści pięć lat, była co najmniej dwa razy starsza od pierwszego oficera.

Seniorka klanu, do którego należała kiedyś stacja Parmley, wstała i wzięła się pod boki.

– Możesz rozwinąć swoją świątłą myśl, Loren? – Miała góra półtora metra wzrostu, ale wyglądała groźnie. – Drukowanymi literami. Bez wciskania oficerskiego kitu.

– Bez obrazy, Ganny – powiedział z uśmiechem Damewood. – Pomyślałem, że byłoby dobrze, gdybyś w chwili przybycia tamtego statku odcumowała od stacji i puściła trochę bluzgów na otwartym kanale. Mogłabyś nawet ostrzec tamtych, by uważali na złodziei, którzy zarządzają tą stacją, najgorszą meliną po tej stronie Betelgezy. – Przerwał na chwilę i nagle uniósł brwi. – Bo chyba umiesz przeklinać, prawda?

Jej odpowiedź natychmiast rozwiała wszystkie wątpliwości, które mogły powstać po tej czy jakiegokolwiek innej stronie Betelgezy.



– Posłuchaj tylko – rzucił z szerokim uśmiechem Ondøej Montoya, oficer łączności *Ramathibodiego*. – Jakie to talenty marnują się czasem na podobnym zadupiu...

Przełączył dźwięk ze słuchawek na głośniki. Kapitan zmarszczyła czoło. Nie przepadała za językiem Montoyi. Wystarczyła jednak chwila, by o tym zapomniała. Im dłużej słuchała, tym szerzej się uśmiechała.

– ...*une vraie salope!* Ale co wy, krótkie wacki, możecie o tym wiedzieć? Takie z was żigolaki, że nawet w promocji nikt by was nie chciał. No, może poza moim kuzynem Odomem. Wcześniej nazywał się Sodomem, ale rodzina zmieniła mu imię po trzecim procesie o gwałt. Wstyd nam przynosił. Gdy wyjdzie za jakieś sześćdziesiąt lat, zaraz go tu przyślę. Chociaż do tego czasu pewnie ktoś was wybebeszy za oszukiwanie klientów.

– Co ją tak wzięło? – spytała ze śmiechem kapitan Tsang.

Montoya wzruszył ramionami.

– Trudno powiedzieć. Domyślam się tylko, że jej zdaniem za dużo policzyli jej za postój i wszystkie usługi. I pewnie nie dostała za swój towar tyle, ile oczekiwała.

Marième Tsang przyjrzała się sylwetce statku, który odbijał właśnie od stacji Parmley.

– Wydaje się przewozić inny ładunek niż my, chociaż trudno o pewność. Jak się nazywa?

– *Hali Sowle*. – Oficer łączności pokręcił głową. – Nie znalazłem go w rejestrze, ale... – Znowu wzruszył ramionami.

W sumie to nic nie znaczyło. Jednostki zaangażowane w handel niewolnikami, również takie, które nie przewoziły zasadniczego towaru,

rzadko trafiały do rejestrów. Sądząc po wyglądzie, ta mogła być frachtowym trampem, który zjawił się przy stacji bardziej z przypadku niż planowo. Jednak tak jak powiedziała kapitan Tsang, nie można było tego sprawdzić bez wchodzenia na pokład.

Niemniej w odróżnieniu od tamtych kapitan Tsang nie obawiała się, że i ich ktoś spróbuje oszukać. Stacja Parmley od dawna była wykorzystywana jako nieoficjalny punkt tranzytowy w handlu niewolnikami, *Ramathibodi* zaś z pewnością nie był zwykłym trampem ani frachtowcem. Oficjalnie należał do floty Jessyk Combine, jednego z wielu przedsiębiorstw zależnych od Manpower. Ludzie zarządzający stacją zapewne gotowi byli do długich targów, ale wiedzieli, że albo utrzymają swoje oczekiwania w rozsądnych granicach, albo z czasem wylecą z interesu.

Co przypomniało jej o pewnej sprawie...

– Kto rządzi teraz na stacji? – spytała Tsang. – Nie zaglądaliśmy tutaj od... Chyba dwóch lat?

– To już ponad dwa i pół roku. – Montoya sięgnął do swojej konsoli i wywołał nowe okno. – Zgodnie z naszymi danymi stacja należy do Orion Transit Enterprises. Wedle tego, co tu czytam, chodzi o przypisany do Sheba Junction oddział Andalaman Exports. Cokolwiek to może znaczyć.

– Niewiele – mruknęła Tsang. Sheba Junction znajdowała się setki lat świetlnych stąd, niemal po drugiej stronie zasiedlonego przez ludzi kawałka kosmosu. Kapitan nie wiedziała nic o tamtym układzie, a nazwę zapamiętała tylko dlatego, że była dość oryginalna.

Hali Sowle oddalił się już od stacji na tyle, by nie stanowić zagrożenia podczas manewrów cumowniczych.

– Podchodzimy, poruczniku Montoya. – Tsang stała się oficjalna.

– Tak, ma’am – odparł oficer. Jedną z cech, za które go ceniła, był brak skłonności do nadużywania swobodnych relacji, które na co dzień panowały wśród załogi.

Były one zresztą charakterystyczne dla wszystkich jednostek niewolniczych. Z natury rzeczy nie dawało się na nich utrzymać standardowej dyscypliny, a doświadczeni kapitanowie wiedzieli, że o wiele ważniejszy jest poziom kompetencji załogantów i to, na ile przykładają się do pracy.

Montoya był kompetentny. Podobnie jak pilot *Ramathibodiego*. Cumowanie miało potrwać przynajmniej pół godziny i Tsang nie musiała go nadzorować. Opadła więc na fotel przy swoim stanowisku i wywołała na ekran zestawienia finansów. Uwielbiała się w nie wpatrywać, ciesząc oczy każdą kolumną liczb. To był dla niej najlepszy relaks.

ROZDZIAŁ III



Loren Damewood wprowadził kod, który uruchamiał kolejną sekwencję działań specjalistycznego oprogramowania. Opuszkami palców wyczuł wibrację zwiastującą, że właz zaczął się otwierać. Była oczywiście bardzo słaba, bo miał na sobie skafander próżniowy z grubymi rękawicami, ale gdyby znajdowali się na pokładzie statku, musieliby usłyszeć wyraźne powarkiwanie maszynerii. Nie na tyle głośne, żeby niosło się daleko po korytarzach, tylko ktoś znajdujący się blisko by je wychwycił. Damewood rozmyślnie wybrał właz osobowy w jednej z ładowni, które były rzadko nawiedzane przez załogę poza momentem załadunku czy wyładunku. Zresztą na statku niewolniczym zwykle ładownie były najczęściej puste i w ogóle nikt do nich nie zaglądał.

Niemniej i tak poczuł się trochę zaniepokojony. W zasadzie maszyneria takiego włazu w ogóle nie powinna hałasować. Oczywiście pod warunkiem właściwego utrzymania.

Z drugiej strony „właściwe utrzymanie” nie było czymś zdarzającym się często na jednostkach niewolniczych. Ludzie tworzący załogi takich statków przypominali raczej piratów. Niewielu kapitanów potrafiło zaprowadzić wśród nich jakąś dyscyplinę. Większość nawet nie próbowała.

Co miało także swoje plusy. Utrzymywanie stanu systemów na niskim poziomie oznaczało zwykle małą troskę o bezpieczeństwo. Tylko najważniejsze kwestie pozostawały pod jakim takim nadzorem.

Właz zaczął się uchylać. Program Damewooda nie uruchomił go bezpośrednio, gdyż wówczas ludzie na mostku natychmiast zostaliby powiadomieni, że ktoś próbuje wejść na pokład. Ingerencja miała miejsce na poziomie własnego oprogramowania statku, które wydało polecenie otwarcia włazu w taki sposób, by nie uruchamiać jednocześnie żadnych alarmów czy systemów sygnalizacyjnych.

– Wchodzimy – mruknął oficer, oczywiście tylko do siebie. Wszystkie urządzenia łączności skafandra były wyłączone.

Nie prowadził tej wycieczki. Byłoby to wręcz głupie, skoro miał do dyspozycji ludzi Kabwezy. On był tutaj ekspertem od systemów bezpieczeństwa, nie mundurowym gorylem od strzelania.

Kabweza pierwsza przecisnęła się przez rosnącą szczelinę. Nim właz otworzył się do końca, trzech jej ludzi też wniknęło do śluzu. Loren poczekał, aż wrota znieruchomieją. „Gorące głowy”, mruknął pod nosem.

Gdy wszyscy byli już w środku, musieli jeszcze poczekać, aż zhakowane oprogramowanie statku zamknie właz i napełni śluzę powietrzem do ciśnienia odpowiadającego temu, które panowało na pokładzie.



Nancy Anderson i dwaj jej przybocznicy spotkali się z kapitanem *Ramathibodiego* w ładowni numer jeden. Przybysze stawili się grupą aż sześćoosobową.

Ładownia była całkiem rozległa jak na stację, która nie została zaprojektowana jako punkt przeładunkowy. Pierwotnie miała mieścić wesołe miasteczko i dlatego jej dłuższy bok mierzył aż trzydzieści jardów. Handlarze niewolników weszli do środka i przystanęli w odległości około siedmiu jardów od gospodarzy.

– Czym możemy służyć? – spytała Anderson. – Pełen wyładunek, częściowy przeładunek? A może chcecie tylko pobrać zaopatrzenie i trochę się zabawić?

– Zabawić? – rzucił sarkastycznie ktoś stojący za Tsang.

– To największe wesołe miasteczko w promieniu pięćdziesięciu lat świetlnych – wyjaśniła z lekkim uśmiechem Nancy. – Nawet jeśli większość urządzeń nie działa.

– Cicho tam, Grosvenor – odezwała się kapitan *Ramathibodiego* i spojrzała na Anderson. – Częściowy przeładunek. Mamy więcej wykwalifikowanych robotników, niż zdołamy sprzedać tam, dokąd lecimy. Wolelibyśmy pozbyć się ich tutaj.

Fakt, że handlarze nie zamierzali wyładować całego posiadanego „dobra”, komplikował trochę sytuację. Gdyby tak właśnie zrobili, wystarczyłoby poczekać na przeniesienie wszystkich niewolników z pokładu i dopiero wtedy zaatakować.

Anderson pokiwała głową.

– Chcielibyście coś zabrać?

– Jednostki rozrywkowe, jeśli macie jakieś. Zawsze łatwo je sprzedać. I jeszcze robotników do ciężkich prac.

– Robotników mamy. Co do jednostek rozrywkowych... – Przerwała i uśmiechnęła się nieprzyjemnie. – Zależy od tego, ile zamierzacie zapłacić.

– Najpierw musimy je zobaczyć.

– Jasne. – Anderson skinęła w stronę ciężkiej stalowej skrzynki, przymocowanej zamkami magnetycznymi do grodzi. – Ale może najpierw załatwimy sprawę techników?

Tsang wzruszyła ramionami.

– Jak wam pasuje.

Anderson chciała dać Damewoodowi i Kabwezie jak najwięcej czasu na dotarcie do pozycji odpowiedniej do rozpoczęcia ataku. Wszystkie czynności związane z pierwszą transakcją powinny im go zapewnić.

Podeszli do stalowej skrzynki. Większość zwykłych elektronicznych sposobów transferu pieniędzy była ze zrozumiałych powodów nieprzydatna przy handlu niewolnikami, chyba że transakcje przeprowadzano w naprawdę bezpiecznych miejscach, na przykład na Mesie. Zwykle stosowano więc metody rodem sprzed wieków, będące współczesnymi odpowiednikami transakcji gotówkowych.

Analogiczne płatności stosowano czasem także przy w pełni legalnych interesach, istniała więc dopracowana i bezpieczna procedura pozwalająca na ich realizację. Zwykle wykorzystywano w tym celu czipy kredytowane wydawane przez znaczące banki, z których większość miała swoje centralne oddziały na Starej Ziemi.

Anderson wprowadziła kod, dzięki któremu stalowa skrzynka otworzyła się, unosząc płynnie wieko. W środku znajdowała się pokaźna liczba czipów kredytowych ze znakiem Banco de Madrit ze Starej Ziemi. Każdy z nich krył molekularne obwody zatopione w praktycznie niezniszczalnym tworzywie. Zakodowano w nich informacje o wartości i zakresie czasowym ważności czipa, chronione przez system zabezpieczeń, którego klucz był zapewne pilniej strzeżony niż kody dostępu głównego komputera marynarki wojennej Ligi Solarnej. Każda próba zmiany wartości czipa na inną, niż została oryginalnie wprowadzona, skutkowałą autodestrukcją obwodów. Czip zmieniał się wtedy w bezwartościowy kawałek plastiku. Obecnie czipy były honorowane w całej zbadanej galaktyce, jednak nie dawało się śledzić ich obiegu, co z punktu widzenia handlarzy niewolników było bardzo korzystne. Od chwili emisji przez Banco de Madrit mogły przejść przez dowolnie wiele rąk.

Kapitan Tsang pochyliła się, by obejrzyć czipy, ale nie próbowała ich dotykać. Starła się wręcz trzymać ręce jak najdalej od skrzynki. Próba ruszenia któregoś czipa przed dokonaniem transakcji prowadziła do utraty kończyny.

Potem wyjęła z kieszeni mały czujnik i skierowała go na czipy, nadal pilnując, by zanedo się do nich nie zbliżyć. Kilka chwil wpatrywała się w odczyty, akurat na tyle długo, żeby upewnić się co do ich prawdziwości oraz tego, że jest ich dość do przeprowadzenia każdej transakcji, której dałoby się dokonać na stacji.

Gdy skończyła, spojrzała na podwładnych.

– Zaczniście ich wyprowadzać.

Potem popatrzyła wokół, szukając wyjścia z hangaru. Anderson wskazała na włącz po swojej lewej stronie.

– Tam ich skierujemy.

Trzymane przez Tsang urządzenie miało rejestrować przejście każdego z niewolników, sumując kwotę, którą powinna za nich otrzymać, aż do chwili, gdy możliwe stanie się wyjęcie jednego czipa ze skrzynki. Technicy nie byli towarem, który wymagałby bardziej skomplikowanych sposobów obliczania zapłaty.

– Oczekujemy za nich standardowej na Pograniczu ceny – powiedziała na wszelki wypadek Tsang.

– Żaden problem – odparła Anderson.

Tsang odeszła na kilka kroków od skrzynki. Nie lubiła cholerstwa, chociaż nie słyszała, by coś takiego kiedykolwiek zawiodło.

Potem się uspokoiła. Teraz, gdy dogadali się co do najważniejszego, sprawa wydawała się prosta, wręcz rutynowa.



Ludzie Kabwezy może i byli zapaleńcami, ale gdy znaleźli się już na pokładzie statku, spokojnie poczekali, aż Loren uruchomi swoje urządzenia i przeskanuje okolicę.

– Tędy – powiedział cicho, wskazując na odchodzący z prawej strony korytarz.

Poruszali się skokami. Jedna osoba zapewniała osłonę, podczas gdy pozostała trójka zmieniała pozycje. Damewood podążał za nimi powoli. Niewprawni obserwator mógłby pomyśleć, że oficer wręcz się obija, ale nikt z oddziału szturmowego nie miał podobnych skojarzeń. Pierwszy cieszył się reputacją niemalże cudotwórcy, jego czary z zestawem czujników zaś mogły mieć wielki wpływ na przebieg przeprowadzanej właśnie akcji. Szturmowcy mieli siebie za współczesnych berserkerów, ale zdawali też sobie sprawę z dystansu cywilizacyjnego dzielącego ich od dawnych wikingów. Ostatecznie minęły ponad trzy tysiące lat od dni, kiedy legendarny Ragnar Loðbrók wyruszył swoimi długimi łodziami przez Morze Północne, żeby łupić Francję i Wyspy Brytyjskie.

– Drugi włącz po lewej – powiedział Loren. – To przejście do pomieszczeń niewolników. Prowadzi przez składy magazynowe, które są teraz puste.



Magazyny nie były jednak puste, chociaż rzeczywiście nie napotkali w nich żywej duszy. Pomieszczenia zostały zapchane różnymi produktami, w większości spożywczymi, i to na tyle szczelnie, że zasadniczo nie było jak przejść. Wyrzucanie kartonów, skrzynek i kontenerów na korytarz zabrałoby zbyt wiele czasu, ostatecznie więc ruszyli przed siebie, miażdżąc i rozbijając wszystko, co pojawiło się na drodze. Skafandry bojowe

szturmowców radziły sobie z podobnymi przeszkodami bez najmniejszego trudu.

Jeden z kontenerów zawierał jakiś jasnopurpurowy sok owocowy, który pozostawiał wyraźne ślady na pancerzach. Gdy dotarli w końcu do pomieszczeń niewolników, wyglądali niczym hippisi po psychodelicznej wycieczce.

Obszerna kabina była niemal równie zapchana jak magazyn, tyle że ludźmi. Tłoczyli się pod ścianami i byli wyraźnie zaniepokojeni, z oczami rozszerzonymi strachem.

Kabweza oczekiwała czegoś takiego, posłała więc przodem sierżanta Supakrita X, który szybko podniósł przesłoneę hełmu i pokazał wszystkim język.

Supakrit X był zbiegłym niewolnikiem i nosił na języku genetycznie wprowadzony kod, stosowany przez Manpower do identyfikacji „produktów”. Znak był łatwo rozpoznawalny i bardzo trudny do podrobienia. Z bliska żadna fałszywka nie wytrzymała weryfikacji.

Niewolnicy natychmiast zrozumieli jego gest. Jakaś niewysoka kobieta podeszła blisko i bez ceregieli rozszerzyła mu usta palcami. Supakrit, który był sporo od niej wyższy, pomocnie się pochylił. Badanie nie trwało długo.

– Prawdziwy – powiedziała kobieta i odsunęła się o krok. – I jestem prawie pewna, że nie są z Baletu.

Supakrit wyprostował się z uśmiechem na twarzy.

– Nie, dziewczyno, jesteśmy z Królewskiej Armii Torch. – Wskazał kciukiem na komandora Damewooda. – I pracujemy dla Korpusu Zwiadu Biologicznego.

Słyszając to, jeden ze starszych mężczyzn uśmiechnął się jeszcze szerzej niż sierżant. Niewielu niewolników miało dotąd okazję dowiedzieć się

o istnieniu Królestwa Torch, ale o prawdziwych zadaniach Korpusu ci i owi mieli pojęcie. Widocznie ten mężczyzna też się do nich zaliczał.

– Nie nazywaj mnie dziewczyną – rzuciła młoda kobieta i spojrzała na sierżanta z ukosa.

– To powiedz, jak masz na imię – odezwała się Kabweza, podchodząc bliżej.

– Takahashi Ayako. Możecie mówić mi Ayako.

To, że miała zarówno imię, jak i nazwisko i skłonna była podać je oba publicznie, wiele o niej mówiło. Manpower nie nadawało imion swoim niewolnikom. Dorastając, byli wywoływani przy użyciu ostatnich trzech albo czterech cyfr numeru seryjnego. Niemniej niewolnicy już dawno stworzyli własne zasady społeczne. Starsi zwykli adoptować młodszych, stając się dla nich zastępczymi rodzicami. Manpower patrzyło na to przez palce, bo takie zjawisko obniżało koszty wychowania „produktów”.

Niemniej, chociaż tolerowano istnienie rodzin wśród niewolników i nawet starano się ich nie rozdzielać, nie było przyzwolenia na otwarte manifestowanie tego zwyczaju. Niewolnicy mogli jawnie używać imion, także i tych, które sami dla siebie wybrali. Ostatecznie nawet zwierzęta domowe miały jakieś imiona. Jednak niewolnik, który przyznałby się publicznie do nazwiska, łączącego go z rodzicami, mógł zostać ukarany jako potencjalny buntownik.

Ayako musiała do nich należeć. Albo była po prostu bystra i błyskawicznie dotarło do niej, że za moment władza Manpower nad jej osobą dobiegnie końca.

Mimo japońskiego imienia i zwyczaju umieszczania nazwiska na pierwszym miejscu nie miała orientalnego wyglądu. Z zielonymi oczami, ciemnorudymi, niemal czerwonymi włosami i skórą ciemniejszą o kilka

odcieni, niż widywało się zwykle u mieszkańców Dalekiego Wschodu, była dość typową przedstawicielką ludzkości żyjącej dwa tysiące lat po Diasporze. Od tej strony manipulacje genetyczne Manpower nie wносиły praktycznie niczego nowego. Jednym z instruktorów Kabwezy podczas szkolenia w Solarian Marines był gość o imieniu Bjørn Haraldsson, który już na pierwszy rzut oka zdradzał czysto afrykańskie pochodzenie.

– Przybyliście, żeby nas wyzwolić? – spytał mężczyzna, który wcześniej uśmiechnął się na wzmiankę o Korpusie.

– Tak. Ale na razie musicie tu jeszcze pozostać – odparła Kabweza. – Poza jedną osobą – dodała po chwili. – Dobrze byłoby, żeby ktoś z was poszedł z nami. To przyspieszy akcję.

– Ja pójdę – zgłosiła się natychmiast Takahashi. – Znam tu wszystkich, bo jestem zawsze przyjaźnie nastawiona. – Spojrzała ostro na Supakrita. – O ile ktoś nie nazywa mnie dziewczyną.

Była niewątpliwie atrakcyjna i gdyby zabrakło na pokładzie jednostek rozrywkowych, z pewnością przyciągnęłaby uwagę załogi. Sądząc jednak po minach niektórych niewolników, nie wszyscy mieli ją za osobę przyjazną. Z pewnością nie była nieśmiała i tyle powinno w tym przypadku wystarczyć. Dobrze uzbrojona i bez dwóch zdań groźna ekipa, która przybyła, by uwolnić niewolników, nie oczekiwała aktów przyjaźni.

– No to idziemy – powiedziała Kabweza i pokazała na włącz po drugiej stronie pomieszczenia. – A wy czekajcie spokojnie. Niebawem będzie po wszystkim.



Na razie jednak musieli poruszać się powoli i ostrożnie. Kombinezony bojowe ułatwiły im przejście przez magazyn, ale w zatłoczonym

pomieszczeniu wystarczyłby jeden nieuważny ruch, by kogoś poważnie zranić czy nawet połamać mu kości.

Gdy byli już przy włączu, poczekali, aż Loren odprawi swoje czary. Ayibongwinkosi nie wiedziała, co dokładnie oficer sprawdzał, i nie zamierzała go nawet pytać.

Po chwili rozległ się całkiem wyraźny trzask odblokowywanego zamka.

– Niezdary – mruknął Damewood.

Szansa, by ktokolwiek po drugiej stronie coś usłyszał, była mała, ale Kabweza wolała zachować maksymalną ostrożność. Przetoczyła się przez próg i zaraz stanęła na przykurczonych nogach, z bronią gotową do strzału.

Czysto. Nie zmieniając postawy, spojrzała w drugą stronę.

Korytarz był całkiem pusty.

Skinęła na pozostałych, by do niej dołączyli.

Takahashi pojawiła się jako ostatnia.

– Które do kabin załogi? – spytała cicho Kabweza.

Ayako wskazała w tę stronę, którą oficer zlustrowała najpierw.

– Jesteś pewna?

Młoda kobieta spojrzała na nią z urazą.

– Tak – rzuciła. – Jestem pewna.

Ayibongwinkosi nie drążyła. Skinęła na Supakrita X i ruszyła przodem.

ROZDZIAŁ IV



Robotnicy wykwalifikowani zaczęli przybywać po niecałych dziesięciu minutach. Wszyscy powłóczyli lekko nogami i wbijali wzrok w podłogę. Pilnowało ich dwóch ludzi z załogi statku z wyłączonymi neurobatami w dłoniach. Nie wyglądali przy tym na specjalnie czujnych; wyraźnie nie oczekiwali żadnych kłopotów. Ludzie, których przyszło im prowadzić, byli niewolnikami genetycznymi, zaprojektowanymi i stworzonymi do posłuszeństwa. Już dawno się nauczyli, że każda próba oporu przyniesie im jedynie cierpienie.

Na ich twarzach malowała się nie tyle rozpacz, ile obojętność. To pierwsze byłoby przecież emocją, a niewolnicy Manpower już w dzieciństwie odkrywali, że okazywanie emocji jest niebezpieczne. Nancy poczuła złość, ale nie dała niczego po sobie poznać.

Po przejściu pierwszej partii niewolników na skrzynce z czipami zaczęło migotać zielone światelko. Program przeliczył towar i podsumował jego wartość.

– Proszę – powiedziała Nancy.

Kapitan Tsang sięgnęła z wahaniem do środka i wyjęła jeden czip. Zrobiła to ostrożnie, używając jedynie palca wskazującego i kciuka. Gdyby czujniki skrzynki doszły do wniosku, że ktoś próbuje usunąć więcej czipów, wieko zatrzasnęłoby się natychmiast, udaremniając kradzież i odcinając potencjalnemu złodziejowi przedramię.



Gdy niewolnicy stanęli przed włazem prowadzącym w głąb stacji, strażnicy ze statku odsunęli się, robiąc miejsce trzem ludziom z obsługi stacji. Dwóch z nich miało takie same neurobaty, trzecia osoba niosła wyposażenie technika medycznego. Jej zadaniem było sprawdzenie stanu zdrowia każdego niewolnika i upewnienie się, że nie przyjmują towaru z defektem.

Kobieta zaraz zabrała się do wypełniania swoich obowiązków. Robiła to wręcz bezceremonialnie, przesuwając trzymanym w dłoni skanerem po ciałach niewolników i odsyłając zbadanych do przejścia. Urządzenie było w stanie wykryć wszystko, co istotne, włącznie z chorobami zakaźnymi czy zaawansowanym stadium raka.

Na pomniejszych dolegliwościach nikt nie zamierzał się teraz skupiać. Oszustwa w rodzaju podsuwania chorych niewolników jako zdrowych nie były mile widziane w tym biznesie. Wbrew potocznemu sądowi, że „nie ma honoru wśród złodziei”, nielegalne czy szemrane interesy wymagały większego zaufania niż jakiegokolwiek inne, gdyż nie było możliwości, by w przypadku problemów odwołać się do wyższej instancji. To oznaczało, że wszelkie spory zazwyczaj rozstrzygano siłowo i drobne oszustwa nie miały prawa się opłacać.

Drugim powodem pobieżności badań był powszechnie znany fakt, że przy stosowanej przez Manpower technologii spora część niewolników musiała mieć różne chroniczne problemy zdrowotne. Radykalna inżynieria genetyczna z reguły rodziła cały szereg skutków ubocznych. Na przykład niewolnicy o wyjątkowej sile fizycznej miewali z wiekiem problemy z nadciśnieniem i niewydolnością nerek.

Inna sprawa, że z reguły nie żyli dość długo, żeby te problemy mogły istotnie zaważyć na ich wartości. Nie poddawano ich też zwykle prolongowi. Zarząd Manpower Inc. musiał chyba wziąć sobie do serca słowa z Biblii, że „miarą naszych dni jest trzy razy po sztydce i dziesięć lat”. Nie chcąc widocznie, by ich dzieło nazbyt zbliżyło się do dzieła boskiego, uznali, że pięćdziesiąt do sześćdziesięciu lat życia to będzie dość dla niewolników.

Wszyscy, którzy przeszli badanie, byli kierowani do nowej kwatery na pokładzie stacji. Dwaj czekający za przejściem strażnicy prowadzili ich dalej, również czyniąc to obojętnie. Nie musieli obawiać się buntu. Niewolnicy świetnie wiedzieli, że stacja jest wyposażona w podobne systemy bezpieczeństwa jak statek. Gdyby nawet udało im się opanować korytarz i najbliższe pomieszczenia, ktoś pozostający w nieosiągalnej dla nich centrali mógłby sięgnąć do odpowiedniego przycisku i wyrzucić rebeliantów w próżnię.



Pułkownik Ayibongwinkosi Kabweza ze swoimi ludźmi minęła łącznie osiem włazów, nim dotarli do tego, który według Ayako prowadził do pomieszczeń załogi. Jak dodała, co najmniej sześć wcześniej mijanych wiodło do cel z niewolnikami.

Jeśli wadziło jej, że nikt nie próbował na razie uwalniać tych ludzi, to nie dała tego po sobie poznać. Była chyba dość inteligentna, żeby zrozumieć bezsensowność podobnych poczynań już teraz, zanim jeszcze opanowali cały statek.

– To tutaj – powiedziała, dotykając włazu palcem wskazującym. – Będzie zamknięty.

Damewood skrzywił się, czego jednak nie było widać przez przesłone hełmu. Sięgnął do swoich urządzeń. Wystarczyło pięć sekund.

– Tutaj przynajmniej się starali – mruknął, odsuwając się od przejścia i pokazując, że można iść dalej.

Właz zaczął się odsuwać. Takich drzwi nie da się oczywiście wyważyć w celu efektowniejszego wejścia, ale Kabweza i tak próbowała wedrzeć się do środka jak najszybciej.

Pomieszczenie po drugiej stronie było puste i raczej niewielkie, długie na góra pięć jardów. Na drugim końcu, z lewej i prawej strony, widać było wejścia do kabin. Zewnętrzne głośniki skafandrów wychwytywały jakieś głosy dobiegające z lewej.

Kabweza uniosła broń i trzy sekundy później weszła do kabiny.

Ujrzała coś w rodzaju małej mesy. Trzech członków załogi siedziało przy stole i grało w karty. Dwóch zobaczyło ją i zamarło, skrajnie zaskoczonych jej widokiem. Trzeci siedział plecami do wejścia i dopiero po chwili zaczął się obracać.

Pułkownik Anderson jasno przekazała, że zależy jej na jeńcach, których będzie można przesłuchać, i tym samym chce dostać handlarzy żywych. Dlatego właśnie szeregową Mary Kyllonen z grupy szturmowej była uzbrojona w klasyczną broń ogłuszającą. Niestety, nie wiedząc z góry, co zastaną w pomieszczeniu, Kabweza zostawiła ją z tyłu, a teraz nie było już czasu na przetasowania i sprowadzanie szeregowej na pierwszą linię.

Zirytowana trochę koniecznością zabawy w branie jeńców, a zwykła wykonywać rozkazy, Kabweza wypaliła w nogi siedzącego naprzeciwko mężczyzny. Drobiny stali posiekały mu kończyny poniżej kolan na tyle, że musiało się to skończyć amputacją. Niemniej przy szybkiej pomocy powinien przeżyć, mówić zaś mógł także i bez nóg.

Potem Kabweza zrobiła szybko dwa kroki i pchnęła stół nogą, przyciskając kobietę krawędzią blatu do ściany. Złamała jej przy tej okazji kilka żeber, z których co najmniej jedno przebiło płuco. Obezwładniona nie zdążyła nawet krzyknąć. I ona powinna przeżyć, o ile rychło ktoś się nią zajmie, nawet jeśli przez jakiś czas miała wypowiadać się jedynie szeptem.

Niemal w tej samej chwili Kabweza uderzyła drugiego mężczyznę kolbą broni w głowę. Starła się zrobić to lekko, żeby tylko go ogłuszyć, ale trudno o delikatność, gdy jest się w kombinezonie bojowym. Sądząc po odgłosie, raczej rozłupała mu czaszkę. Na razie żył, ale ciężko było orzec, czy długo żywy pozostanie. Szczęśliwie pułkownik Anderson była rozsądnym i doświadczonym dowódcą i chociaż miewała dziwne pomysły, rozumiała, że w trakcie walki nie wszystko przebiega zgodnie z planem.

Całe starcie nie trwało dłużej niż dwie sekundy, a co ważniejsze, przebiegło względnie cicho. Ostrza wyrzucane przez broń Kabwezy miały poddźwiękową prędkość wylotową, dzięki czemu robiły nieporównanie mniej hałasu niż strzałki z karabinu pulsacyjnego. Postrzelony przez nią mężczyzna krzyknął wprawdzie raz i drugi, ale szeregowa Kyllonen precyzyjnie się zaraz do mesy i ogłuszyła rannego. Pozostała dwójka nie była już zdolna do podniesienia alarmu i istniała szansa, że nikt na pokładzie nie zorientował się, co zaszło. Krótki krzyk mógł kogoś zastanowić, ale zapewne tylko tyle. Zwykle bywało tak, że nawet głośny hałas ignorowano, o ile zaraz po nim zapadała cisza.

Zresztą Kabweza niewiele się tym przejmowała. Kierowała się już do przejścia po drugiej stronie mesy, a oddział podążał za nią. Lada chwila powinni załatwić sprawę.



Nancy Anderson sięgnęła po brzęczący komunikator i uniosła palec, sygnalizując w ten sposób kapitan Tsang, że potrzebuje chwili na rozmowę.

– Tak, co jest? – spytała tonem lekkiej irytacji.

– Przepraszam, że przeszkadzam, ale *Hali Sowle* chyba wraca na stację. Pomyślałem, że lepiej będzie o tym zawiadomić.

Komunikator był przełączony na tryb głośnomówiący, żeby kapitan Tsang mogła słyszeć całą rozmowę.

– Cholerny świat. Czego ta durna baba jeszcze chce?

– Nie wiem, szefowo. Niczego nam nie przekazali. Możliwe też, że źle interpretuję jej manewry, chociaż nic innego niż powrót nie przychodzi mi do głowy.

– Dobra. Pewnie chce tylko poużalać się nad swoim losem, ale na wszelki wypadek proszę uaktywnić systemy obronne. Na ten jej wrak wystarczą chyba same lasery.

Wyłączyła komunikator.

– Może i przesadzam, bo tamta łajba nie ma żadnych sensownych systemów uzbrojenia, ale bezpieczeństwo przede wszystkim – powiedziała do kapitan Tsang. – Kapitan *Hali Sowle* ma nierówno pod kopułą.

Tsang uśmiechnęła się szeroko.

– Szczęśliwie to nie mój problem. – Spojrzała na trzymane w dłoni urządzenie. – Jeśli dobrze widzę, wszystkich techników już policzono. Został jeszcze jeden czip do pobrania.

– Zgadza się. – Anderson skinęła w stronę otwartej skrzynki, na której znowu migotało zielone światełko. – Proszę go wziąć.

Tsang zaraz to zrobiła.

– Dobrze. Skoro to już mamy załatwione, co w drugiej kolejności? Rozrywkowe czy robocze?

Wiadomość na temat powrotu *Hali Sowle* była umówionym sygnałem, że zespół szturmowy dotarł już na pokład statku i rozpoczął akcję jego oczyszczania. Loren Damewood przekazał to chwilę wcześniej na szyfrowanym kanale do centrum bojowego stacji. Teraz sprawy miały potoczyć się już bardzo szybko.

– Najpierw rozrywkowe – odrzekła Anderson.

Specjalnie wyznaczeni ludzie z Korpusu byli już gotowi do odegrania roli niewolników seksualnych. Taka prezentacja powinna rozproszyć trochę kapitan Tsang i jej ludzi, ułatwiając resztę roboty.

– Może być.



Jeden z członków zespołu został w mesie, żeby zająć się rannymi. Kabweza nie potrzebowała wszystkich, by dokończyć robotę. Przedział załogi był zbyt ciasny dla całej grupy i Damewood ze swoimi elektronicznymi cudeńkami był tu bardziej przydatny niż jeszcze jeden żołnierz.

Inna sprawa, że samo utrzymanie trójki jeńców przy życiu nie wymagało jakichś specjalnych działań. Ostatecznie ich dobre samopoczucie nie było tutaj priorytetem.

Kapral Bohuslav Hernandez opatrzył najpierw zmasakrowane nogi mężczyzny, który zdawał się wymagać uwagi w pierwszej kolejności. Potem zbadał kobietę z połamanymi żebrami i mężczyznę z rozbitą głową.

Uznał, że kobiecie łatwiej będzie oddychać, jeśli zostanie znieczulona. Podał jej środek, który nie pozbawiał całkowicie przytomności, ale oszalał na tyle, że traciło się częściowo kontakt z otoczeniem. Dodatkowo nie pozwalał na próby wezwania pomocy czy ostrzeżenia reszty załogi.

Hernandez chętnie potraktowałby tak samo mężczyznę, który oberwał w głowę, ale nie wiedział na razie, jak rozległe były obrażenia mózgu. Wstępne oględziny sugerowały naruszenie kości czaszki.

W tej sytuacji uznał, że lepiej będzie nic z nim nie robić. I tak był nieprzytomny i nie powinien dojsć do siebie przed zakończeniem akcji, a chwilowo to właśnie było najważniejsze.



Takahashi Ayako pozostała z oddziałem. Nadal znajdowali się w części statku, którą знаła. Gdy doszli do kolejnego zamkniętego wjazdu, zamachała energicznie rękami.

– To są kabiny załogi – poinformowała, bezgłośnie poruszając ustami.

Kabweza zrozumiała. Damewood też odczytał właściwie przekaz Ayako i wziął się już do roboty.

Złamanie zabezpieczeń wjazdu było dla niego dziecinnie łatwe. Po kilku sekundach uniósł dłoń i rozprostował palce. Potem zwinął je w pięść i znowu rozprostował. Był to sygnał, że zaraz otworzy wjazd.

Kabweza odsunęła się o pół kroku. To samo zrobiła dwójka jej żołnierzy. Ayako w ogóle odeszła na bok.

Wjazd zaczął się odsuwać. Kabweza weszła czujnie i...

Korytarz był pusty. Z lewej strony znajdowały się wejścia do trzech kabin mieszkalnych. Nikogo w nich nie było i we wszystkich panował bałagan.

Gdy Ayako mijała jedną z nich, jej twarz zachmurzyła się na chwilę. Szybko odwróciła wzrok.

– Gdzie teraz? – spytała cicho Kabweza, skręcając do minimum głośniki na zewnątrz hełmu.

– Dokładnie nie wiem – szepnęła dziewczyna. – Nigdy... nie prowadzili mnie dalej. Ale z tego, co mówili, to tamtędy chyba idzie się do centrali. – Pokazała na włącz na samym końcu korytarza. – To znaczy na mostek, bo tak się chyba mówi?

– Jasne. Zostajesz tutaj – odparła Kabweza. – Reszta za mną.

Takahashi wzdrygnęła się lekko.

– Nie chcę tu zostawać. Naprawdę nie chcę.

Ayibongwinkosi zawahała się na moment.

– Dobra. Idziesz z nami. Ale trzymaj się z tyłu i nie włącz nikomu w drogę.

Pięć sekund później stali pod włączem i pierwszy znowu zaczął swoje czary.



Słyszając jakieś szmery za sobą, Nancy odwróciła głowę i zobaczyła dwóch swoich ludzi wychodzących z wewnętrznego włączu stacji.

– Wszyscy już tu są, szefowo.

Anderson spojrzała znów na kapitan Tsang.

– No to możemy zacząć negocjacje odnośnie do modeli rozrywkowych. Chociaż może wcześniej chciałaby pani zabezpieczyć czipy.

Tsang skinęła na jednego z podwładnych, by zabrał mieszek z czipami uzyskanymi ze sprzedaży techników.

– Nie żebym wam nie ufała – powiedziała przy tym. – Ale, jak to mawiają, lepiej przeproszać, niż żałować.

– Na Starej Ziemi jest też takie powiedzenie, że „porządne ogrodzenie to gwarancja dobrego sąsiedztwa”.

Anderson i Tsang uśmiechnęły się gorzko. Nie tyle w związku z obecną sytuacją, ile raczej ogólną kondycją świata. Handlarze niewolników mieli swoiste podejście do życia. Było ono bliskie temu, co poeci albo krytycy literaccy zwykli określać mianem obezwładniającej ironii.

Inna sprawa, że dokonywanie złożonych transakcji etapami było normą w ich fachu. Zwykła uprzejmość nakazywała umożliwienie sprzedającym odniesienia pozyskanych czipów w bezpieczne miejsce przed prezentacją kolejnej partii towaru.

Gdy załogant *Ramathibodiego* oszedł z walutą, Anderson dała swoim ludziom znak, żeby przyprawdzili modele rozrywkowe.

Grupa liczyła trzech niewolników i składała się z jednej kobiety oraz dwóch mężczyzn. Wszyscy byli bardzo atrakcyjni. W odróżnieniu od innych towarzyszy niedoli nie wpatrywali się cały czas w podłogę, ale ich oczy były puste.

Tsang uśmiechnęła się i zatarła ręce.

– Proszę, proszę...



Gdy mężczyzna z czipami wszedł, czy może raczej wczłapał na mostek, zaraz uznał za stosowne pochwalić się tym, co przyniósł.

– Patrzcie tylko! Poszło nam lepiej, niż... Co to, kurwa, znaczy...?



Dziwnym zbiegiem okoliczności, który jakiś krytyk literacki mógłby nazwać ironią losu, kapitan Tsang okazała się skłonna do sięgania po bardzo podobne słownictwo co jej załoga. Uczyniła to w chwili, gdy boczni kapitan Anderson unieśli nagle broń, trzylufowe działko zamontowane na ścianie ładowni zaś obróciło się w stronę gości. Dodatkowo, i to już była

najgorsza obraza, cała trójka niewolników wydobyła skądś pistolety i także wycelowała je w handlarzy.

– Co jest, kurwa...?



Ostatecznie udało im się pojmać żywcem prawie całą załogę *Ramathibodiego*. Manko ograniczyło się do dwóch osób.

Mężczyzna z urazem czaszki zmarł osiemnaście godzin po akcji, nie odzyskawszy przytomności. Anderson nie miała w tej sprawie żadnych uwag. Biorąc pod uwagę trudność zadania i poziom wyszkolenia żołnierzy z Torch, tylko jedna ofiara śmiertelna była naprawdę dobrym wynikiem.

Kabweza podeszła do sprawy mniej filozoficznie.

– Nigdy sobie tego nie wybaczę – stwierdziła.

– Nie bądź taka surowa dla siebie – powiedziała pocieszająco Anderson.

– Tylko jeden trup to naprawdę nieźle.

– Owszem, mogło być gorzej – przyznała Kabweza. – Ale i tak będą się ze mnie śmiali. Tor przeszkód w naszym przedszkolu jest trudniejszy niż ta akcja.



Druga ofiara śmiertelna mogłaby obciążyć konto drużyny tylko w przypadku, gdyby ktoś zechciał oskarżyć Kabwezę o zaniedbanie, które umożliwiło dokonanie zabójstwa. Anderson nie miała zamiaru tego zrobić, zwłaszcza od chwili, gdy poznała szczegóły zajścia.

Wychodząc z mesy, Takahashi Ayako zgarnęła z blatu kuchenki nóż. Niewielki w sumie, z długim na trzy cale ostrzem, nadający się do obierania

jarzyn czy owoców. Ktoś z oddziału dostrzegł to nawet, ale nie zainterweniował.

– Pomyślałem tylko, że to dzielna dziewczyna – wyjaśnił potem szeregowy Supakrit X. – Że skoro trafiła między szturmowców, też postanowiła się uzbroić. Chociaż w taką wykałaczkę.

– Dzielna, powiadasz – powtórzyła z niesmakiem Kabweza.

– Przykro mi – odparł Supakrit i skrzywił się kwaśno. – Źle ją oceniłem.

– Dzielna – mruknęła raz jeszcze Kabweza. – Z wykałaczką.



Czterej ludzie ma mostku poddali się, ledwie zobaczyli szturmowców. Żaden nie był uzbrojony, nie licząc oficera łączności, Ondøja Montoyi, którego Tsang zostawiła na pokładzie jako swojego zastępcę. Miał jednak tylko broń krótką, nieskuteczną wobec wrogów w kombinezonach bojowych, i trzymał ją w zapiętej kaburze.

Kabweza ustawiła ich pod ścianą w taki sposób, że opierali się o nią mocno na wyciągniętych rękach. Nie dawało to takiej gwarancji jak kajdanki, ale tych akurat nie mieli na wyposażeniu. Nikt nie przewidział, że szturmowcy Torch będą kiedykolwiek brać jeńców.

Stojąc tak, wyglądali jednak bezbrannie. Takahashi też musiała tak pomyśleć, bo chwilę później podbiegła do jednego z nich i wbiła mu nóż w okolicę nerek.

Rana nie była śmiertelna. W sumie nie była nawet groźna, wzięwszy pod uwagę możliwości współczesnej medycyny. Niemniej ból i zaskoczenie sprawiły, że jeńiec spróbował odskoczyć, i wpadł przy tym na Takahashi. Oboje się przewrócili, przy czym drobna dziewczyna znalazła się pod spodem.

Właściwie szkoda. Gdyby była na górze, pewnie spróbowałaby zadać kilka dramatycznych ciosów, wysoko unosząc uzbrojoną dłoń, by tym silniej wbić ostrze w przeciwnika. Niemniej łatwo byłoby ją odciągnąć i wiele szkody nie zdołałaby narobić. W tej sytuacji potrwało trochę, nim zdołano ją wyciągnąć, ona zaś nie marnowała czasu. Poszukała najłatwiejszego celu, którym okazał się lewy oczodół mężczyzny.

Ostrze miało tylko trzy cale długości, jednak przy średnicy ludzkiej czaszki, wynoszącej przeciętnie dziesięć cali, i tyle wystarczyło. Wbita gwałtownie stal sięgnęła głęboko w tkankę mózgową. Potem wściekła dziewczyna obróciła jeszcze kilka razy tkwiące w ranie ostrze.

Wszystko to trwało cztery do pięciu sekund, ale gdy odciągali Takahashi, co najmniej jedna trzecia płatów czołowych mężczyzny zmieniła się w poszarpaną, bezużyteczną tkankę. Podczas późniejszej autopsji stwierdzono poważne uszkodzenie układu limbicznego.

Z czymś takim nawet współczesna medycyna nie mogła sobie poradzić, chociaż wielu miało ją za dziedzinę słynącą z cudów. Mówiąc wprost, mężczyzna umarł, zanim ktokolwiek zdołał pospieszyć mu z pomocą.

Supakrit X podsumował to po swoim.

– Nawet nie poczuł, że jest już trupem – powiedział podczas kolacji, całkiem niezrażony degradacją do kaprała. Uważał, że tak naprawdę nic się nie stało i rychło odzyska dawny stopień. Kabweza nie była na niego wściekła, ale dla zasady zrobiła to, co należało. Oberwał zatem w słusznej sprawie. To całkiem co innego, niż gdyby ukarali go za picie albo niesubordynację. – I dalej uważam, że to dzielna dziewczyna – dodał. – Chociaż dobrze z taką uważać na randce.

ROZDZIAŁ V



Będzie mi brakowało Steph – poskarżył się Andrew Artlett. – A to nie wszystko. Do tego pensja jest marna.

Księżniczka Ruth Winton zmarszczyła brwi.

– Marna pensja? Dostałeś na górkę prawie połowę tego, co zarabiałeś na Torch, i najwyższe zaszeregowanie jako mechanik. – Ruth przerwała, będąc świadoma, że nie ma pojęcia o tych kwestiach. – W każdym razie tak słyszałam.

– Owszem, ale powrót na stację Parmley, by robić dalej przy tym programie, to igranie z ogniem. Powinienem otrzymać dodatek za ryzyko. Zwykle oznacza to podniesienie stawki o sto procent. Podwójnie płacone godziny, ot co.

Wywód był na tyle mętny i pozbawiony logiki, że Księżniczce na chwilę wręcz mowę odebrało.

– Co? – odezwała się w końcu. – Zwariowałeś. Gadasz całkiem bez sensu.

Zaczęła wyliczać na palcach.

– Po pierwsze, ty akurat nie ponosisz żadnego ryzyka. Twoja ciotka Elfriede może...

– Tylko jej tak nie nazywaj – przestrzegł Andrew. – Woli Ganny. Albo Ganny El, gdyby bardziej ci pasowało.

– Wiem, spotkałam ją. Mówię o oficjalnej sytuacji z oficjalną ofertą pracy. – Spojrzała na niego z lekkim zakłopotaniem. – Poniekąd oficjalną.

– Tak, jasne! – rzucił kpiąco Artlett. – Już widzę taką ofertę. – Udał, że unosi tablet i czyta z ekranu. – Potrzebny mechanik o specjalności statki kosmiczne, jednak dość głupi, żeby podjął się współpracy z socjopatami z Baletu...

Spojrzał na potężną sylwetkę Hugh Araia, który siedział w fotelu obok. Znajdowali się w biurze Ruth, które było w istocie całkiem wygodnym apartamentem mieszczącym się na najwyższym piętrze najlepszego hotelu w Beacon. Nic dziwnego – chodziło przecież o wychowaną w luksusach pałacu Mount Royal na Manticore członkinię rodziny królewskiej.

– Bez obrazy, Hugh. Mówię, jak jest.

Arai odpowiedział uśmiechem i Andrew podjął swoją perorę:

– ...oraz zawodowymi mordercami z tak zwanego Korpusu, występującymi pod przykrywką biologów...

Znów zerknął na Araia.

– Bez obrazy. Mówię, jak jest.

Tamten uśmiechnął się jeszcze szerzej.

– ...w celu urządzenia łowów na wszystkich trudniących się handlem niewolnikami, którzy znani są w całej galaktyce ze skłonności do okrucieństwa i braku poszanowania dla cudzego życia, wliczając w to życie mechaników statków kosmicznych.

Triumfalnym gestem odłożył wyimaginowany tablet.

– Ha!

Ruth poczekała, aż skończy. Niecierpliwiła się, bo słabo tolerowała głupotę, ale jednak poczekała. Znała Artletta na tyle dobrze, by nie łudzić się, że zdoła przerwać mu skutecznie taką gadaninę. Gość miał się za

wielce dowcipnego i musiał każdy, nawet najgorszy swój „żart” dopowiedzieć do końca.

– A teraz, jeśli możemy na chwilę powrócić do rzeczywistości, chciałabym zauważyć, że w ramach swoich obowiązków będziesz niemal cały czas pozostawał na stacji – powiedziała po chwili. – Stacja ta zaś jest nie tylko jedną z największych konstrukcji kosmicznych w tamtejszym układzie planetarnym, ale została ostatnio uzbrojona nie gorzej niż porządny fort orbitalny.

Hugh pokręcił głową.

– Trochę przesadzasz, Ruth. Stacja Parmley nie została wyposażona tak, by stawić czoło okrętom wojennym.

Andrew już otwierał usta, zapewne chcąc podkreślić, że nawet Arai go popiera, ale basowy głos Hugh zagłuszył jego słowa.

– Niemniej każdego pirata czy handlarza bez dwóch zdań zdoła roznieść jak karalucha. – Spojrzał ostro na Artletta. – I sam o tym świetnie wiesz, bo płacono ci za konsultacje podczas projektowania systemów obronnych stacji.

– Ale i tak. – Andrew postanowił być uparty i machnął dłonią w sposób, który mógł wyrażać... praktycznie wszystko. – Piraci. Handlarze. W każdym razie niebezpieczni ludzie. – Zaraz jednak spróbował wycofać się na bezpieczniejszy grunt. – I jak powiedziałem, będzie brakować mi Steph.

– Że jak? – zdumiała się Ruth. – Rozmawiałam z nią dziś rano i zdawała się nie mieć nic przeciwko przeprowadzce na stację Parmley.

Andrew spojrzał na nią.

– Ale... sama mi powiedziała... ledwie cztery tygodnie temu...

Ruth machnęła lekceważąco ręką.

– To było wtedy. Miała czas wszystko sobie przemyśleć. Taka przeprowadzka oznacza nowe możliwości. Tutaj, na Torch, założenie restauracji to trudna sprawa. Ostra konkurencja, długie godziny pracy, mały dochód... – Księżniczka zrobiła minę, jakby świetnie znała realia lokalnego rynku gastronomicznego, chociaż oczywiście nie miała o nich pojęcia. Niemniej Ruth Winton nie zwykła pozwalać, by własna ignorancja zmusiła ją do rezygnacji z wygłoszenia efektownej kwestii. – Tymczasem na stacji Parmley... – dodała takim tonem, jakby chodziło o idealne miejsce na uruchomienie lokalu.

– To mrzonka – rzucił kpiąco Artlett. – Głupie marzenie w stylu mojego stryja Michaela Parmleya, który wpakował ciężką forszę w tę stację, żeby stworzyć rekordowo niemodny orbitalny park rozrywki.

– To było kiedyś – odezwał się Hugh Arai. – Jak sam świetnie wiesz, obecnie Beowulf urządził tam centralny ośrodek do walki z Mesą i Manpower.

– A to gwarantuje idealnych klientów! – dodała entuzjastycznie Ruth. – Rośli komandosi zamawiają za trzech. A napiwki dają za czterech.

W tym akurat było trochę prawdy. Wprawdzie nie wszyscy uczestnicy podobnych operacji byli komandosami i nie wszyscy komandosi byli rośli, ale i tak zwykli folgować sobie przy stole. Przy mocno podkreślonym metabolizmie i nieustannych treningach nie mogło być inaczej.

Podobnie rzecz wyglądała z napiwkami. Wbrew pozorom to wcale nie ci najbogatsi byli najbardziej hojni, zarówno w kwestii napiwków, jak i dobroczynności. Pod tym względem ludzkość nie zmieniała się od tysięcy lat. To ludzie o średnich dochodach najczęściej sięgali przy takich okazjach do kieszeni, zwłaszcza gdy chodziło o wsparcie kogoś biedniejszego. Bogacze woleli wspierać instytucje kulturalne – muzea, uniwersytety czy opery. Tym mogli się pochwalić, a jeśli byli głównymi darczyńcami, to

nawet ujrzeć z czasem swoje nazwisko na frontonie sponsorowanego przybytku.

Oczywiście zdarzały się wyjątki, o których też bywało głośno. Rodzina Ruth od dawna zwykła udzielać wsparcia ubogim w różnych medycznych potrzebach i spojrzenie Ruth było w pewien zrozumiały sposób zniekształcone jej osobistym doświadczeniem w tej materii.

Niemniej najważniejsze nie ulegało wątpliwości. Wszelkiej maści agencji oficjalnych agencji naprawdę zwykli dawać pokaźne napiwki i Andrew świetnie o tym wiedział. Dość czasu spędził z podobnymi ludźmi w przeszłości.

Przeczesał palcami włosy, jakby nie posiadał się ze zdumienia.

– Cholera, ale przecież to ona nalegała, byśmy się tutaj przenieśli! Ja nie miałem nic przeciwko pozostaniu na stacji. Te kobiety!

Ruth miała swoje zdanie, ukształtowane, wyrobione i pod każdym względem dopracowane, na temat tego, która z płci wykazuje się zwykle większym niezdecydowaniem i jest bardziej zmienna. Gdyby było inaczej, najslawniejsza sztuka Szekspira opisywałaby perypetie pewnej duńskiej księżniczki, nieprawdaż?

W tej chwili jednak nie chciała wyciągać tego tematu. Artlett i tak był już o krok od kapitulacji. Logika i rozum zwyciężały.

– No dobra – mruknął w końcu. – Polecę. Skoro Steph jest za, to polecę.



Gdy Andrew opuścił apartament, Hugh chrząknął znacząco.

– Zauważyłem, że byłaś uprzejma pominąć pewne szczegóły.

– Nie szczegóły. Raczej hipotetyczne możliwości.

Arai pokręcił głową.

– Kręcisz. Wiesz dobrze, że to nie tak. Na przykład z *Hali Sowle*. Wykorzystanie tej jednostki to nie żadna „hipotetyczna możliwość”, decyzja została już podjęta.

– Przez kogo? – odparowała Ruth. – Ganny El jeszcze się nie zgodziła. A jeśli ona się nie zgodzi, pomysł nie wypali.

– Świetnie wiem, że w pałacu Mount Royal nie nauczyłaś się kłamać, oszukiwać i kraść. Skąd więc wzięło się to twoje bezwstydnne zamiłowanie do krętactwa? I ten talent do oszustw i blagi?

– Zdumiałbyś się, gdybyś zobaczył na własne oczy, na co można trafić czasem w ciemniejszych zakamarkach Mount Royal. Ale faktycznie, tam zyskałam tylko podstawy. A reszta? Trzy lata na kursie prowadzonym przez Zilwickiego i Cachata zrobiły swoje.

– Trafiony – rzucił ze śmiechem Hugh. – A skoro o nich mowa, sądzisz, że naprawdę mogą być odpowiedzialni za tę masakrę na Mesie?

– Zakładam, że masz na myśli podane przez Manpower i rozpowszechniane przez solarne środki przekazu informacje na temat eksplozji nuklearnej w Green Pines. Jeśli tak, moja odpowiedź brzmi „nie”. To nie byli oni. Gdy wrócą, usłyszymy ze szczegółami, co naprawdę zaszło.

Sharon Justice, jedna z przedstawicielek Republiki Haven na Erewhonie, doniosła jakiś czas temu, że Zilwicki i Cachat pojawili się kilka tygodni wcześniej na stacji Parmley. Byli zatem żywi, jednak póki co brakowało konkretniejszych informacji.

– Dlaczego tak uważasz? – spytał Hugh, splatając dłonie na brzuchu.

– To oczywiste, do cholery. – Ruth pochyliła się w fotelu, omal z niego nie zjeżdżając. Nigdy nie potrafiła usiedzieć spokojnie na miejscu. Hugh był pewien, że przed upływem minuty jego rozmówczyni wstanie i zacznie

krażyć po pokoju. – Po pierwsze, gdyby to oni stali za tą eksplozją, dlaczego mieliby jej dokonywać właśnie tam?

– No, zgodnie z doniesieniami mediów...

– Daj spokój! – Ruth zerwała się na równe nogi. Hugh spojrzął na czasomierz. Siedem sekund. – Pijesz do tego gadania, że Green Pines miało być ulubioną dzielnicą miejscowej klasy wyższej? Że mieszkała tam masa grubych ryb z Manpower?

Zanim jeszcze skończyła, zrobiła pięć długich kroków i zawracała już, by ruszyć w przeciwną stronę. Zawsze była zapalonym piechurem.

– Nie wątpię, że nie brakowało tam ważnych figur, członków zarządu i tak dalej. Jednak sam wiesz, jak trwałe bywają współczesne budynki mieszkalne. Zwłaszcza gdy projektuje się je dla bogatych i wpływowych.

Nie przerywając marszu, rozłożyła szeroko ręce.

– I mam uwierzyć, że Anton Zilwicki okazał się nie tylko zwykłym mordercą, ale jeszcze niekompetentnym idiotą? Przecież ten człowiek prowadził budowę iluś stacji orbitalnych. Lepiej niż ktokolwiek inny wie, jak nieskuteczna może być taka bomba zastosowana wobec podobnego celu, zwłaszcza jeśli podłoży się ją we wspomniany sposób...

Zatrzymała się, z rękami na biodrach, lekko pochylona do przodu.

– Ta bomba została odpalona na otwartym terenie. – Znowu rozłożyła ręce. – W jakimś durnym parku. Większość fali uderzeniowej poszła się pieprzyć. Chyba że ktoś chciał rozłożyć na atomy obecne w tym parku dzieciaki i pieski. Albo miniaturowe żaglówki na stawie.

Hugh skrzywił się. Ruth potrafiła czasem chlapnąć coś w taki sposób, jakby naprawdę była osobą zupełnie nieczułą.

– Pokażę wam coś – ciągnęła, sięgając do minikompa.

W tej samej chwili drzwi otworzyły się i do środka weszły dwie kobiety. Jedna z nich, sporo niższa od swej towarzyszki, od razu podeszła do Hugh i bezceremonialnie zajęła miejsce na jego kolanach.

Wyższa uśmiechnęła się tylko i zamknęła drzwi.

Ruth spojrzała groźnie na amatorkę siadania na kolanach.

– W annałach opisujących dzieje rodów monarszych w całej galaktyce z pewnością nie ma wzmianki o ani jednej choćby Królowej, która pakowałaby się publicznie swojemu monarszemu małżonkowi na kolana.

Berry Zilwicka wyduła wargi. Wyszło średnio, ponieważ nie miała wprawy w demonstrowaniu oburzenia.

– Po pierwsze, on nie jest moim małżonkiem, tylko chłopakiem. A po drugie, jakie publicznie? Ty i Thandi jesteście moimi przyjaciółkami. I fakt, że ona dowodzi naszymi siłami zbrojnymi, a ty robisz za zastępcę głównego szpiega, jest w tych okolicznościach drugorzędny.

Ruth nie dała się zbić z tropu.

– W tym pokoju są cztery osoby. W przypadku życia seksualnego monarchy to dość, by mówić o sytuacji publicznej.

Berry pocałowała Hugh w taki sposób, że słowa Ruth okazały się uzasadnione. Potem rzuciła Księżniczce z Manticore spojrzenie tak wyniosłe, jak na monarchinię przystało. To też nie wyszło jej najlepiej. Wyniosłość nijak do niej nie pasowała.

Hugh ponownie odchrząknął.

– A skoro już na to zeszło, właśnie rozmawialiśmy o naszym głównym szpiegu.

Chodziło oczywiście o Antona Zilwickiego, przybranego ojca Berry, która teraz natychmiast spoważniała. Podobnie jak Thandi Palane, chociaż

ona akurat z zasady stroniła od żartów. Dorastanie na jednym ze światów Mfecane zwykle miało podobne konsekwencje dla charakteru.

– Dokładnie rzecz biorąc, próbowałam mu coś wyjaśnić. Z jakiegoś powodu stara się udawać ignoranta w kwestii polityki międzygwiazdnej, co najpewniej nie jest prawdą, i nawet prezencja w stylu Sasquatcha tego nie zmienia...

– Ej, nie nazywaj mojego chłopaka Wielką Stopą! – zaprotestowała Berry i spojrzała na wzmiankowaną kończynę Hugh, co nie było trudne, ponieważ opierał ją na niewielkiej otomanie.

Ruth także skierowała oczy w tę stronę.

– Przecież się zgadza? – odezwała się po chwili.

– No dobrze, ma wielkie stopy, ale to nie znaczy jeszcze, że jest tępy jak zwierzę...

– Mniejsza o to – powiedział Arai. – Wróć do tego, co zaczęłaś, Ruth.

– Właśnie, też chętnie posłucham – stwierdziła Thandi, przysiadając na poręczy stojącego w pobliżu fotela. Mebel był szczęśliwie masywny i solidnie zbudowany. Palane nie należała wprawdzie do typu roboczego, przeznaczonego do najcięższych prac, ale nie ustępowała wiele Araiowi wzrostem i atletycznością postury. Musiała ważyć sporo ponad sto kilogramów.

– Gdy weszłyście, miałam właśnie pokazać Hugh... – Ruth poszukała czegoś w minikompie, po czym rozejrzała się w poszukiwaniu ekranu ściennego. Wyświetlał aktualnie wielki pejzaż pod tytułem „Alpy berneńskie”, autorstwa jakiegoś antycznego malarza, który nazywał się chyba... Ambrose Bierce. Ruth nigdy nie interesowała się bliżej sztuką prymitywną.

Ekran nie zajmował całej ściany, która w tych rozmiarów apartamencie była proporcjonalnie wielka, ale i tak mierzył trzy jardy na półtora. Nowy obraz, który właśnie się wyświetlił, był bardziej dramatyczny. Wręcz ponury.

– Oto zdjęcie dzielnicy Nouveau Paris, w której Oscar Saint-Just zdetonował ładunek nuklearny podczas rebelii McQueen. Jak możecie zauważyć, znajdujące się wokół wieżowce ocalały. Zostały poważnie uszkodzone i wyglądają nieszczęśliwie, ale ocalały. Współczesne materiały budowlane są bardzo trudne do zniszczenia.

– Co chcesz przez to powiedzieć? – spytała Berry.

– A to, że zarówno twój ojciec, jak i Victor Cachat nie są na tyle niekompetentni, by odpalić ładunek nuklearny w takich okolicznościach. Gdyby naprawdę chcieli zaatakować elity Mesy, zrobiliby to całkiem inaczej. Zapewne przemyciliby bombę do wieżowca, w którym przebywałyby wysoko postawione osoby, i zdetonowali ją w środku. Ściany wzmocniłyby falę uderzeniową, nie dając nikomu szansy na przeżycie. Owszem, zginęłoby wiele osób postronnych, ale dzieciaki, szczeniaki i tak dalej to byłaby zdecydowana mniejszość.

Hugh znowu się skrzywił.

– Ale mój ojciec i tego by nie zrobił – odezwała się Ruth.

– Zgadza się. Ale chcę wam pokazać, że nawet jeśli pominąć jego zasady etyczne, taki zamach nadal do niego nie pasuje. Do niego ani do Victora.

– Który też byłby przeciwko – dodała cicho Thandi.

– Zgadzam się – przytaknęła Ruth i zastanowiła się chwilę. – Trwało trochę, zanim przeszłam do porządku dziennego nad tym, jak bezlitośnie

Victor potraktował moją ochronę. Ale w końcu zrozumiałam, że... jak by to powiedzieć...

– Że potrafi być bezlitosny wobec każdego, kogo uzna za przeciwnika – podjęła Thandi. – W jego przypadku to dość szeroka kategoria, zwłaszcza w czasie wojny. Niemniej na pewno nie obejmuje dzieci. No i dobrze jest pamiętać, że jego bezwzględność zawsze czemuś służyła. Zwykle chodziło mu o obronę słabszych przed tymi, których postrzegał jako znacznie silniejszych. – Wzruszyła ramionami. – Jak każdy żołnierz akceptuje fakt, że wojna przynosi także przypadkowe ofiary. Tyle że nigdy nie używa tego określenia. Mówi o niewinnych ofiarach. I z pewnością nie byłby skłonny ich poświęcić, żeby dokuczyć przeciwnikowi. A tak byłoby w tym przypadku.

Ruth przyjrzała się jeszcze obrazowi, zanim go wyłączyła. Owszem, to Oscar Saint-Just wyszkolił Victora i byli do siebie pod wieloma względami podobni, ale wszystko miało swoje granice. W życiorysie Cachata takie zdjęcie po prostu nie miało prawa się trafić.

Ekran przełączył się z powrotem na zaprogramowany widok. Teraz nie były to już Alpy. Obraz zmieniał się co dwanaście godzin oraz za każdym razem, gdy ktoś przełączał ekran ręcznie. Ruth nie zmieniła poleceń; w sumie nie robiło jej to różnicy. O ile dobrze pamiętała, to malowidło nosiło tytuł „Lilie wodne”. A stworzył je... Claude Money. Jakoś tak się nazywał.

Przez kilka sekund w pokoju zalegała cisza. W końcu Berry westchnęła.

– Chcę go znów zobaczyć – powiedziała cicho. – I Victora też. Lada dzień powinni tu dotrzeć. I bardzo się cieszę, że jednak żyją.

Jakieś dwa lata wcześniej Ruth z chęcią przeczytałaby nekrolog Victora Cachata. Ale to było bardzo dawno temu.

– I ja też – powiedziała. – I ja też.

Rozległ się brzęczyk przy drzwiach.

– Wejść – powiedziała Ruth.

W progu pojawił się jeden z funkcjonariuszy wywiadu Królestwa Torch, liczący pięćdziesiąt kilka lat mężczyzna o imieniu Shai-gwun Metterling. W odróżnieniu od większości imigrantów nie był w żaden sposób związany z Manpower. Ani osobiście, ani przez pochodzenie. Przybył na Torch z powodu swoich przekonań politycznych.

Samo w sobie nie było to niczym dziwnym. Ruth przypuszczała, że jak dotąd około dwudziestu tysięcy ludzi zdecydowało się na przyjęcie obywatelstwa Królestwa Torch z idealistycznych pobudek. Co było niezwykle i co z miejsca zwróciło uwagę Ruth, to wcześniejsza kariera Metterlinga. Większość imigrantów nie mogła pochwalić się naprawdę przydatnymi zawodami czy umiejętnościami. Było wśród nich dwustu filozofów, dwakroć tylu poetów i ponad tysiąc muzyków, tragicznie niewielu zaś inżynierów czy lekarzy.

Metterling był wcześniej pułkownikiem wywiadu Imperialnej Marynarki. Szanowanym i wielokrotnie odznaczanym. Nie jakimś tam oficerkiem, którego nikomu by nie brakowało. Ruth bardzo starannie go sprawdziła, mógł być przecież podwójnym agentem, jednak niczego nie znalazła. Metterling był wręcz kryształowy.

– Co jest, Shai-gwun? – spytała.

Metterling spojrzał niespokojnie na Thandi.

– Mamy wiadomość od Cachata i Zilwi... pani ojca, Wasza Wysokość – dodał, zwracając się do Berry, która natychmiast zeskoczyła z kolan Hugh.

– Już tu są?

Oficer ponownie zerknął na Palane. Tym razem z wyraźną obawą.

– No... nie. Postanowili chyba lecieć od razu na Haven.

Thandi wstała z poręczy.

– I w ogóle nie zamierzają się u nas zatrzymać? – spytała.

– Cóż, generał Palane... No więc... nie.

– Zabiję go – mruknęła proroczo Thandi.

ROZDZIAŁ VI



Dawno tego nie robiliśmy – powiedział Yuri Radamacher. Zrobił to bardzo cicho. W jego głosie pobrzmiwała głęboka satysfakcja, wyczerpanie, radość i wdzięczność, że znowu zaznał czegoś, co uważał już za stracone. No i uczucie do osoby, która leżała obok niego. To ostatnie było chyba w tej chwili najważniejsze. I zapewniało mu bezpieczeństwo.

Owa leżąca obok osoba tylko klepnęła go w nagi tors. Kłaśnięcie było zdecydowanie głośne. Wprawdzie Yuri nie był otyły, ale nie musiał się też obawiać, że porwie go byle podmuch wiatru.

– Nie popadaj w samozachwyty – powiedziała. – Oczywiście, że dawno tego nie robiliśmy. Nie widzieliśmy się... jak długo? Ponad trzy lata standardowe.

Sharon Justice obróciła się na bok i wsparła głowę na rękę.

– Też mi Ciebie brakowało. Ale pomyśl o jasnych stronach rzeczywistości. Po raz pierwszy od lat będziemy mogli spotykać się regularnie. I to chyba przez całkiem długi czas.

Yuri zawahał się, czy nie poruszyć tematu małżeństwa. Nawet w Republice Haven surowe reguły dotyczące przydziałów funkcjonariuszy różnych służb bywały w praktyce łagodzone, gdy chodziło o parę pozostającą w oficjalnym związku. Ostatecznie uznał jednak, że lepiej będzie sobie darować.

Wiedział, że Sharon jest drażliwa na tym punkcie. W zasadzie nie było w tym nic niezwykłego. Temat małżeństwa ogólnie stał się drażliwy od czasu upowszechnienia prolongu. Zwłaszcza w Republice Haven, zdecydowanie konserwatywnej w sprawach obyczajowych. Radykalizm polityczny nijak tego nie zmieniał.

Niegdyś powszechne było przekonanie, że małżeństwo zawiera się na zawsze. Wielu ludziom się to oczywiście nie udawało, niemniej rozwód postrzegany był jako porażka i zaburzenie właściwego porządku rzeczy.

Prolong bardzo to skomplikował, zmuszając ludzi do trwania ze sobą nie przez dekady, ale setki lat. Co gorsza, przez osiemdziesiąt procent tego czasu było się osobą zasadniczo młodą. Proces starzenia dochodził naprawdę do głosu dopiero pod koniec długiego życia. Zupełnie inaczej niż kiedyś, kiedy to młodość była tylko krótkim rozdziałem między dzieciństwem a wiekiem dojrzałym.

Instytucja tradycyjnego małżeństwa została wystawiona na poważną próbę. Jej wcześniejsza stabilność wynikała w dużej mierze z perspektywy wspólnego starzenia się, z nawyku polegania na sobie nawzajem, przywiązania. Dzielenie narastających z wiekiem problemów zdrowotnych było z jednej strony zwykłą prozą życia, z drugiej jednak zniechęcało do niewierności.

Obecnie ten czynnik zniknął. Nawet wspólne wychowywanie dzieci nie było już tak istotne. Ludzie poddani prolongowi mogli mieć potomstwo przez większą część swojego długiego życia, ale niewielu się na to decydowało. Większość par poświęcała na to ledwie parę dziesięcioleci. Zależnie od miejsca i kultury robili to zaraz po wejściu w dorosłość albo znacznie później, mając już stabilną sytuację zawodową i finansową. Ten drugi wzorzec dominował na Manticore, Beowulfie czy w Imperium Andermańskim. Niemniej, tak czy siak, gdy zrobili już swoje, rzadko

wracali do tematu. A to oznaczało, że rodzicielstwo zajmowało im jakieś dziesięć procent życia, nie jedną trzecią czy wręcz połowę, jak w czasach przed prolongiem.

Wobec takiej rewolucji biologicznej instytucja małżeństwa musiała przejść zdecydowaną transformację. W sumie dokonywała się ona już od jakiegoś czasu, prolong tylko ją przyspieszył. W szczególnie rozwiniętych społeczeństwach, jak na Beowulfie, próbowano eksperymentować z różnymi postaciami oficjalnych związków. W innych, mniej postępowych, dążono do tym silniejszego scementowania więzi. Wobec takich, a nie innych realiów powodowało to, że coraz mniej osób skłaniało się do zawierania małżeństw. Normą stały się związki partnerskie. Czy też inaczej – one właśnie występowały najczęściej.

W kwestii dzieci też sporo się zmieniło. Prolong położył kres problemom z pochodzeniem z nieprawego łóża i sytuacja wróciła do stanu z okresu, gdy ludzkość żyła w matriarchacie. Powód był inny, ale skutek ten sam. Ludzie, którym dane było żyć przez całe stulecia, tworzyli wokół siebie mocną i gęstą „sieć bezpieczeństwa”, utkaną z relacji tak osobistych, jak i zawodowych czy jakichkolwiek innych. Samotne wychowywanie dziecka nie było już żadnym problemem, brak było także presji ekonomicznej. Prawo większości układów planetarnych wymagało oficjalnego uznania rodzicielstwa, ale nie wiązało się to już z wymogiem zawarcia małżeństwa. Chodziło tylko o ochronę dzieci. I bez ślubu każde z rodziców ponosiło pełną odpowiedzialność za swoje potomstwo.

Wszystko to było słuszne i dobrze się sprawdzało, co Yuri generalnie rozumiał, urodził się jednak na Haven, nie na Beowulfie. Podobnie jak większość rodaków, był konserwatywny i cenił tradycyjne wartości. Lata spędzone w służbie bezpieczeństwa za rządów Pierre'a i Saint-Justa tylko dołożyły mu problemów. Szybko nauczył się zachowywać własne zdanie

dla siebie i utrzymywać dystans emocjonalny wobec wszystkich wokół. Kiedyś przyjazny i towarzyski, popadł w głębokie osamotnienie.

I bardzo chciałby się ożenić.

Był jednak niemal pewien, że Sharon by odmówiła, a już lata temu nauczył się, że jeśli spodziewana odpowiedź będzie brzmiała „nie”, lepiej wcale nie pytać. Takie słowo mogło zbyt wiele zablokować na przyszłość.

Po części więc z frustracji, po części zaś z poczucia obowiązku wstał z łóżka, ubrał się i skierował do kuchni.

– Chcesz kawy?

– Tak. – Sharon też się zerwała i sięgnęła po szlafrok. – Ale ja ją zrobię. Zepsujesz kawiarkę.

– Nie wygłupiaj się.

Czym prędzej go wyprzedziła.

– Niech będzie. Twoja kawa nie nadaje się do picia.

– To paradne. Nie możesz...

– A ty możesz? – Zaczęła manipulować przy urządzeniu, które kojarzyło się Yuriemu raczej z terminalem komputerowym niż maszynką do parzenia kawy, którą ludzkość cieszyła się od niepamiętnych czasów. – Kocham cię, ale muszę powiedzieć, że robisz najgorszą kawę w tej części galaktyki.

– Nauczyłem się tego w mesie marynarki i...

– Wiem. – Przycisnęła kilka tajemniczych guzików. – Przez lata skłonna byłam uważać po cichu, że sekret zwycięstw floty Manticore tkwił w ich kawie. Nasza musiała być o tyle gorsza, że nikomu nie udawało się po niej zbornie myśleć.

Z wprawą przycisnęła jeszcze kilka guzików. Yuri nie miał pojęcia, do czego dokładnie mogły służyć. Przecież to była maszynka do parzenia

kawy, a nie machina piekielna do zaprogramowania śmierci ciepłej wszechświata. Niechby jej własny komp się wszystkim zajął.

– A skoro już o tym mowa – dodała Sharon – to moje przypuszczenia były trafne. Rozmawiałam z kilkoma osobami z Erewhonu. Oni mają tam kawę z zapasów Królewskiej Marynarki i przysięgają, że jest wspaniała.

Zakończywszy rytuał, zawiązała szlafrok i przysiadła na kuchennym stole.

– Przestań się boczyć i siadaj, dobrze? Kawa będzie za kilka minut.

Yuri chciał odpowiedzieć, że jego kawa byłaby już gotowa, ale uznał, że mądrzej będzie darować sobie tę uwagę. Wiedział, że najłatwiej pożreć się o drobiazgi.

– Skoro wspomniałaś o Erewhonie, to mam nadzieję, że podzielisz się ze mną najświeższymi nowinami. Obecnie jestem nie tylko ambasadorem Republiki Haven na Torch, ale również „wysokim komisarzem i nadzwyczajnym wysłannikiem” na Erewhonie. To brzmi dumnie, prawda? I mam nim być naprawdę, przynajmniej w tych nielicznych chwilach, gdy nie będziesz mnie używała jako zabawki erotycznej.

– Zabawki erotycznej? – spytała z uśmiechem Sharon. – Zapamiętam to sobie. – Przestała się uśmiechać i lekko zmarszczyła czoło. – Zakładam, że nie zastąpiłeś Guthriego w roli ambasadora na Erewhonie, ponieważ ostatnio niezbyt nas tam lubią.

– Tak, wciąż nie mogą nam wybaczyć ponownego wszczęcia wojny z Królestwem Manticore. I to zanim jeszcze atrament na traktatach wysechł. – Wzruszył ramionami. – Z drugiej strony, pamiętają też, że tym razem nie próbowaliśmy wciągnąć ich do konfliktu, co trochę łagodzi ich złość. Ale do zachwyty jeszcze daleko. Póki co, sięgnęli więc do języka dyplomacji. „Nie wpuścimy waszego ambasadora, żalosne dranie, wysoki

komisarz to na razie wszystko”. Odnoszę wrażenie, że bardziej zależy im teraz na kontaktach z Gwiezdnym Królestwem niż z nami.

– Gwiezdnym Imperium – poprawiła go Sharon i przesunęła palcami po włosach. Obecnie krótkich. Farbowała je ostatnio na miły kasztanowy kolor. Po prawdzie wolał ją z dłuższymi włosami, ale cóż. Zwykle tak było, że w miarę rozwoju bliskich znajomości to mężczyźni ustępowali pola. Yuri mógł nie być najbardziej romantycznym kochankiem, ale wiedział też, kiedy nie pchać się na pole minowe. – Pewnie masz rację co do Manticore – dodała. – Na Erewhonie uwielbiają takie subtelne gesty. Uważają teraz chyba, że pokazali Haven właściwe miejsce w szeregu. Ale nie wiem, czy wyjdzie im to na dobre.

– Może tak. Obecny premier Gwiezdnego Imperium ma dość politycznego doświadczenia, by właściwie odczytać ich gest. No i Wintonowie też pewnie zwrócą na to uwagę. Dobrzy są w rozszyfrowywaniu różnych zawoalowanych przekazów. Rodziny królewskie podobne są pod tym względem do rodów mafijnych.

– Ha! Gdyby Victor tu był, powiedziałby zapewne, że są ulepieni z tej samej gliny. A skoro tak, to i podobnie działają.

Zamilkli na chwilę, po czym Yuri westchnął i rozsiadł się na krześle.

– Nadal go nie lubię, ale muszę przyznać, że nawet się ucieszyłem, słysząc, że nie zginął. Jak to mawiają, może to drań, ale to nasz drań.

– Nadal chowasz urazę? La Martine było lata temu!

– Kazał złamać mi nos! Specjalnie!

– Jasne. Krwawiłeś potem jak świnia i może dzięki temu przeżyłeś.

Yuri pokręcił nerwowo głową.

– Rozumiem, o co chodziło, ale i tak go nie lubię. Ty też przez niego ucierpiałaś. I to wkurzyło mnie nawet bardziej niż mój nos. Nadal wkurza.

– Ale zdajesz sobie sprawę, że miał swój udział, i to niemały, w przyspieszeniu twojej kariery? Mojej zresztą też. Jestem przekonana, że od czasu La Martine to dzięki niemu trafiasz coraz lepiej. Kevin Usher go słucha. Podobnie Wilhelm Trajan, chociaż pewnie mocno się przy tym krzywi – dodała z szerokim uśmiechem.

Yuri jakby się przygarbił.

– No... tak, już od jakiegoś czasu też mam podobne wrażenie. Nie twierdzę, że moje podejście do Cachata jest całkiem racjonalne. Pewnie nie. W sumie na pewno nie. Ale i tak go nie lubię – zakończył z uporem.

Zamontowany na ścianie komunikator zabrzączał, sygnalizując połączenie przychodzące.

Sharon przycisnęła klawisz odbioru i ekran pojaśniał. Oblicze było znajome.

– Witaj, Walterze – powiedziała Sharon. – Zakładam, że chcesz rozmawiać z nowym amb... wysokim komisarzem Republiki Haven.

– Oraz wysłannikiem nadzwyczajnym, o ile zależy nam na tej grze pozorów. – Walter uśmiechnął się zdawkowo do Radamachera. – Po prawdzie to nie. Chciałem dać ci parę dni na sprawy prywatne, nim znowu zaprzęgnę cię do roboty, ale wyszło inaczej. Mamy coś pilnego. Bardzo pilnego.

Yuri i Sharon aż unieśli głowy.

– Czyli...? – spytał Yuri.

– Wychodziłoby na to, że Victor Cachat zmartwychwstał. Czy też plotki o jego śmierci okazały się przedwczesne. To samo dotyczy Antona Zilwickiego. Zostałem poproszony o przekazanie ci wyrazów niezadowolenia rządu z racji wcześniejszego braku informacji o losie

Cachata. Jako oficjalni sojusznicy powinniśmy zostać uprzedzeni. Jeśli nie od razu, to na pewno wcześniej niż po upływie dwóch miesięcy.

– Statek, który wykorzystali do przekazania informacji, to jednostka Erewhonu – odparła Sharon. – Naprawdę chcesz powiedzieć, że nie otrzymaliście raportu na ten temat w tej samej chwili co ja?

– Owszem, otrzymaliśmy. Rząd wyraża niezadowolenie z faktu, że nie został o tym oficjalnie powiadomiony i nie podano mu dodatkowych szczegółów.

Yuri uznał, że Sharon sama najlepiej załatwi tę sprawę, chociaż w normalnych okolicznościach byłby to obowiązek ambasadora. Jego obecne tytuły nic w tej materii nie zmieniały, skoro były tylko i wyłącznie elementem dyplomatycznej zasłony dymnej. Niemniej dopiero co zjawił się na miejscu i nie został jeszcze wprowadzony w obowiązki. W sumie w nic go dotąd nie wprowadzono. Poza obszarem ściśle prywatnym, rzecz jasna.

Sharon musiała mieć podobne zdanie, bo przeszła do rzeczy, nie oglądając się nawet na kochanka.

– Tłumacząc to z dyplomatycznego na ludzki, najpierw skłonna byłabym zaznaczyć, że to żaden rząd, ale zwykły triumwirat – powiedziała. – Ciebie zaś wybrali, bo nie zajmujesz żadnego stanowiska i nic nie znaczysz w polityce. Gdybyś zaczął twierdzić inaczej, zabiłabym cię śmiechem, dlatego uznali, że jeśli ty mi rzecz przekażesz, zabrzmi łagodniej. – Wzruszyła ramionami. – A co do konkretów: Cachat zabronił mi rozpowszechniać tę informację, a to on jest moim szefem.

Imbesi zacisnął wargi.

– Rozumiem, że dla Cachata kilka kolejnych tygodni utrzymywania tajemnicy było wystarczająco istotne, by zaryzykować irytację sojusznika. Dobrze. Ale kilka tygodni już minęło, możemy zatem przejść do

kluczowego pytania: co takiego on i Zilwicky odkryli, że postanowili podjąć równie niezwykle środki ostrożności? – Machnął ręką, jakby chodziło o drobiazg, chociaż wcale tak nie było. – Tylko oszczędź mi, proszę, gadek o „wymogach bezpieczeństwa”. Poznałem trochę Cachata przez ostatnie lata. W odróżnieniu od wielu innych z tego fachu nie ma obsesji na punkcie sekretów.

– Zasadniczo nie. Masz rację. Ale w tym przypadku... – Sharon rozłożyła szeroko ręce, sugerując w ten sposób, że mówi prawdę i że sprawa nie od niej zależy. – Tym razem mnie też nic nie powiedział.

Imbesi milczał przez kilka sekund.

– Chyba nie kłamiesz? – spytał i spojrzał na Yuriego. – Wiem, co zdarzyło się na La Martine, wysoki komisarzu Radamacher. Zebraliśmy całkiem sporo danych o tej sprawie, podobnie jak o wszystkim, co było jakoś związane z Cachatem. Robimy tak od chwili, gdy zrozumieliśmy, jak bardzo jego działalność wiąże się z nami. Dlatego też wiemy i to, że ma on wielki talent do dobierania sobie podwładnych. Tak was, jak i innych. Zwykle daje im potem wiele swobody i nie bawi się w ręczne sterowanie. Niektórzy gotowi są oskarżać go nawet z tego powodu o beztroskę. Nie znam jednak ani jednego przypadku, kiedy pomyliłby się w ocenie ludzi.

Yuri z trudem zapanował nad twarzą. Naprawdę nie lubił Victora Cachata, ale nie mógł go nie doceniać. Był postacią pozytywną, chociaż bez dwóch zdań służył tylko jednemu panu: Haven.

Zdumiał się więc, słysząc, że Cachat nie powiedział tym razem Sharon ani słowa o tym, czego się dowiedział i co z tą wiedzą zamierza zrobić. Nie rozmawiali o tym, ponieważ... No, mieli pilniejsze sprawy. Jednak na pewno ta kwestia miała zostać poruszona podczas późniejszej odprawy.

Nieoficjalny reprezentant Erewhonu miał rację. Cachat był bardzo biegły w dobieraniu sobie ludzi do współpracy i nigdy się w tej materii nie mylił.

I nic nie powiedział Sharon?

– Zatem szykuje się coś, co zatrzęsie galaktyką – stwierdził Imbesi, który doszedł widać do tego samego wniosku co Yuri. – Przekażę to triumwiratowi. – Skinął głową, chociaż nie był to na pewno formalny gest. – Sharon, wysoki komisarzu Radamacher...

– Proszę mówić mi Yuri.

– Chwila, Walterze. – Sharon pochyliła się trochę ku ekranowi. – Skoro mowa o trzęsieniu galaktyką i sekretach, to kiedy możemy oczekiwać od ciebie raportu w sprawie nowej przyjaźni, którą zawarliście w sektorze Maya? Swoją drogą, gratuluję. Rozwijacie się. Kiedyś praliście pieniądze, a teraz kombinujecie z superdreadnoughtami. – Uśmiechnęła się słodko. – Wiesz, skoro jesteśmy sojusznikami, jak właśnie zaznaczyłeś...

Imbesi nie zareagował na jej ironię. Mięśnie jego twarzy ani drgnęły. To też była istotna kwestia do poruszenia podczas odprawy.

– Odezwę się jeszcze do was – powiedział w końcu. – Miłego dnia.

Ekran pociemniał.

– Ostatni raz czułem się tak niedoinformowany w wieku dwunastu lat – stwierdził Yuri tonem skargi. – W szkole, na lekcji chemii. Miałem wyliczyć gazy szlachetne i nie rozumiałem, o co może chodzić nauczycielowi. Od kiedy wśród pierwiastków chemicznych wyróżnia się arystokrację?

ROZDZIAŁ VII



Aleja w dole była pusta, jeśli nie liczyć zalegających w niej jak zwykle stert śmieci. Cary Condor cofnęła palec i pozwoliła zasłonie wrócić na miejsce. Była to tradycyjna zasłona z dekoracyjnego materiału, nie nowoczesna elektroniczna blokada. Niemniej ta również została zamontowana i teraz włączona.

– To na pewno konieczne? – spytała Cary, odwracając się od okna. – Chyba trudno takie zasłony utrzymać w czystości.

– Może – odparła Stephanie Moriarty, unosząc głowę znad leżącego na stole kompa. – Ale zdumiałabyś się, ile współczesnych technik podsłuchu jest wobec nich bezradnych. Elektronika to nie wszystko. Poza tym, co tutaj niby jest czyste?

Cary przełknęła tę uwagę. Bo i co miała odpowiedzieć: że przywykła do ubrań i pościeli nie pierwszej świeżości? Na wszelki wypadek odwołała się do innych argumentów.

– Jeśli ktoś tu wpadnie, z miejsca się zorientuje, że chcę coś ukryć. Obecnie nikt nie używa takich staroci. Nawet u byłych niewolników Mesy ich nie znajdziesz.

– A kto miałby tu wpaść? – Moriarty zaczerpnęła głęboko powietrza. – Oprócz gliniarzy, oczywiście. A jeśli oni złożą ci wizytę, zasłony to będzie po prostu detal.

Osoba leżąca na łóżku w kącie pokoju zaśmiała się chrapliwie.

– W ogóle nie zwrócą na nie uwagi. W dwie sekundy po wejściu zmieniają nas w rąbankę. Was i te nędzne resztki mnie.

Karen Steve Williams uniosła głowę na tyle, by spojrzeć na własne nogi. A właściwie to, co z nich zostało, gdyż kończyły się zaraz pod kolanami.

– Ale staram się dostrzegać jasne strony. Przynajmniej stopy, których nie mam, przestaną wreszcie mnie swędzieć.

Moriarty uśmiechnęła się krzywo.

– Uważaj z życzeniami. Skoro nieistniejące stopy cię swędzą, to skąd wiesz, czy całe ciało nie może się tak zachowywać? Wieczne swędzenie po śmierci...

Karen znowu się zaśmiała.

– Cała wieczność drapania się nieistniejącymi dłońmi po nieistniejącym ciele...

Cary spojrzała krytycznie na swoje towarzyszki. Nie podzielała ich poczucia humoru.

– Gdy ktoś umrze, to nie żyje. Traci się nie tylko ciało, ale w ogóle wszystko. Przestaje się istnieć. Swędzenie traci nagle na znaczeniu. Totalnie i na zawsze.

– Psujesz nam zabawę – rzuciła Karen, ponownie kładąc głowę na poduszce i opuszczając powieki.

Była ostatnio bardzo słaba i Cary obawiała się, że za kilka tygodni przyjdzie koniec. Obrażenia, które odniosła podczas ucieczki przed siłami bezpieczeństwa po wybuchu nuklearnym w Green Pines, nie dawały jej wielkich szans.

Amputacja nóg to nie było wcale najgorsze, co jej się przydarzyło. Straciła też śledzionę, nerkę i większość wątroby. Mózg też poważnie ucierpiał, przez co miewała kłopoty z mówieniem i ledwo widziała.

– Coś nowego? – spytała Cary, podchodząc do Stephanie z jej kompem. Nie tyle była ciekawa, ile chciała uwolnić się od rozważań o stanie zdrowia Karen.

Moriarty wskazała oskarżycielsko palcem na ekran kompa.

– To oficjalny serwis informacyjny Mesy, zapomniałaś? Szerzej znany jako Fantasy Channel.

Cary zignorowała sarkastyczną uwagę i zerknęła ponad ramieniem przyjaciółki na ekran. Komputer też był antyczny; holograficzne rozwinięcie obrazu wysiadło dawno temu i działał tylko właściwy ekran o wymiarach dziesięć na sześć cali. Taka trochę większa dziurka od klucza.

Cary wiedziała już, czym jest taka dziurka, ponieważ poza zwykłymi systemami ich obecne lokum miało tradycyjny zamek. Klucza nie dostały, co było bez znaczenia, skoro zamek był zepsuty. Gospodarz domu, chorowity pokurcz, jak większość ludzi w slumsach, szybko wyczuł ich desperację i zasoby gotówki, po czym zaproponował najgorszą norę w całym domu. Policzył tyle, że ledwo im starczyło.

A i tak miały szczęście. Dzień wcześniej, nim się tutaj zjawily, w sąsiedniej dzielnicy doszło podobno do nieudanej próby napadu, więc pewnie gospodarz wziął je za członkinie pechowego gangu. Nie pomyślał nawet, że ich wygląd i obrażenia dwóch spośród nich mogą mieć cokolwiek wspólnego z incydentem w Green Pines.

Jedyny mężczyzna w ich grupie, Firouz Howrt, zmarł dwa dni później. Samodzielna próba pozbycia się ciała wiązałaby się z poważnym ryzykiem, uznały więc, że lepiej będzie zwrócić się w tej sprawie do gospodarza. Miały rację. Nic za to nawet nie policzył, na własną rękę opychając gdzieś organy i tkanki zmarłego.

Przy tej okazji musiał jednak zobaczyć rany Firouza i bez dwóch zdań zorientować się, że pochodzą od broni palnej. Sam miał kilka blizn na twarzy, co sugerowało, że przemoc nie była mu obca. Teraz jednoznacznie miał ich już za kryminalistów, jednak zapewne niezbyt kompetentnych, więc nie widział powodu, żeby przejmować się ich obecnością.

I to był jedyny łut szczęścia we wszystkim, co spotkało ich od czasu Green Pines, ale dzięki temu w ogóle żyli. Gdyby jeszcze zdołali zdobyć skądś jakieś pieniądze, mogliby postarać się o opiekę medyczną dla Karen, żeby też miała szansę pozostać przy życiu.

Gospodarz gotów był pomóc i w tym, ale szybko okazało się, że zamierza po prostu wystąpić w charakterze alfonsa. Cary i Stephanie spławiły go, usłyszawszy taką propozycję. Raz, że nie miały ochoty zostawać prostytutkami, a dwa, byłoby to niebezpieczne. Po trzecie zaś i najważniejsze, istniała uzasadniona obawa, że nie zebrałyby w ten sposób potrzebnej sumy.

Kanał informacyjny, który Stephanie oglądała, oferował zwykłą papkę w proporcjach typowych dla obecnych nastrojów. Połowa materiałów dotyczyła wszechobecnego zagrożenia terrorystycznego ze strony Baletu, dwadzieścia procent też wszechobecnego, ale nie tak już groźnego zagrożenia zwykłą przestępczością. Z pozostałego czasu dziesięć procent przeznaczano na skrótowe wzmianki o politycznych wydarzeniach na Mesie, dziesięć na polityczne życie galaktyki, resztę zaś zapełniano plotkami, ciekawostkami, modą i doniesieniami o katastrofach naturalnych, które przy łagodnym klimacie Mesy były jednak najczęściej spowodowane działalnością ludzi.

Moda była z tego najmniej ważna. Niewielu byłych niewolników mogło sobie pozwolić na kupowanie modnych fatałaszków.

Nazwa „Fantasy Channel” była znacznie przesadzona. Przynajmniej jeśli pominąć wszystkie bzdury o tak zwanych „terrorystach”, które były w większości po prostu wysane z palca. Reszta informacji, jakkolwiek oceniana, zwykle z grubsza odpowiadała prawdzie. Najważniejsze było jednak to, czego nie pokazywano. Gdy pojawiała się, na przykład, relacja o powodzi czy trzęsieniu ziemi, które nawiedziło jakieś miasto, nie dodawano już, że najwyższy odsetek ofiar stanowili wyzwoleńcy, zajmujący zwykle przeludnione i byle jak wzniesione budynki.

Tak więc samo zafałszowanie informacji nie było zasadniczym problemem. Nawet patrząc przez dziurkę od klucza, można było coś dojrzeć. Sęk w tym, że brakło szerszej perspektywy.

Kanały dostępne na subskrypcję oferowały trochę lepsze serwisy informacyjne, ale to była droga zabawa i dostępna tylko dla obywateli posiadających pełne prawa.

W tej sytuacji trudno było odgadnąć, co całkowicie zamiatano pod dywan. Bez dodatkowego źródła informacji było to prawie niemożliwe.

– Coś planują, dranie – mruknęła Stephanie, wpatrując się w ekran. – Wyklinają Balet znacznie bardziej zapamiętałe niż zwykle. Jakby nie mieli żadnych innych tematów.

Cary zmarszczyła brwi. Wiedziała, o co chodzi przyjaciółce. Każdy podręcznik dla kontrrewolucjonistów podkreślał, że najlepszym sposobem walki z buntem jest prowokacja. Jeśli media Mesy zaczęły jeszcze gwałtowniej bombardować odbiorców ostrzeżeniami przed terroryzmem, należało oczekiwać, że niebawem coś się stanie. Oczywiście na skutek prowokacji przygotowanej przez którąś z agend mesańskiego rządu.

To było coś, czemu nie bardzo udawało się przeciwstawić. Zwłaszcza gdy samemu nie miało się możliwości rozpowszechniania informacji. Oczekiwanie, że „ludzie nie są głupi, nie dadzą się na to nabrać”, zwykle

okazywało się przejawem nadmiernego optymizmu. Podobnie jak wiele razy w historii, i teraz ludzie byli jednak dość niemądrzy, by łyknąć niemal każde kłamstwo.

– Nic na to nie poradzimy – powiedziała, prostując kark. – Chyba żeby... Jak sądzisz, czy nie powinniśmy na trochę, może na tydzień, zaprzestać sprawdzania skrzynek?

– Nie powinniśmy – odezwała się Karen.

Cary nie miała pojęcia, że dziewczyna nie śpi.

– Dlaczego? – spytała Stephanie. – Szanse, że na coś trafimy, są astronomicznie małe. Jaka więc szkoda miałyby z tego wyniknąć?

Każdego dnia któraś z nich wychodziła, żeby sprawdzić jedną z sześciu skrzynek kontaktowych rozrzuconych po mieście. Cztery znajdowały się w dzielnicach wyzwolenców, dwie w gwarnych punktach, które wyzwolenci tłumnie nawiedzali, udając się do pracy.

Wszystkie zostały założone przez agenta Manticore, który przedstawiał się jako Angus Levigne. Minęło już wiele miesięcy, odkąd on i jego dziwny partner opuścili Mesę, a może zginęli. Szansa, że ktoś spróbuje wykorzystać te skrzynki, była może nie astronomicznie mała, ale faktycznie niewielka. Skoro jednak nie istniał żaden inny sposób na nawiązanie kontaktu z kimkolwiek spoza planety, pozostawało sprawdzać te skrzynki.

Karen wsparła się z trudem na łokciu.

– Nie chodzi nawet o skrzynki. Chociaż można je sprawdzać przy okazji.

– To o co? Niezbędne zakupy możemy zrobić tuż obok, więc po co ryzykować dalsze wyprawy?

Karen pokręciła głową.

– Nie myślicie perspektywicznie. Ile pieniędzy nam zostało?

Cary była ich skarbnikiem, chociaż mówienie w tej sytuacji o „skarbie” byłoby grubą przesadą. Prędzej dałoby się to dopasować do skarbonki.

– Niewiele.

– Starczy na sześć miesięcy w tym lokum? I na wyżywienie, naturalnie.

Cary zaczerpnęła głęboko powietrza i wydeła policzki.

– No nie. Na pewno na dwa. Jak zaciśniemy pasa, to może na trzy.

– Tak myślałam. Trzeba spojrzeć prawdzie w oczy, proszę ferajny. – Karen poruszyła dłonią, wskazując na swoje ciało. – Za trzy miesiące najpewniej mnie już nie będzie.

Stephanie chciała zaprotestować, ale Karen nie dała jej dojść do słowa.

– Nie wygłupiaj się, Moriarty! Optymizm i podtrzymywanie na duchu to jedno, ślepotą to drugie. Wiesz tak samo dobrze jak ja, że bez porządnej pomocy medycznej nie pociągnę już długo. A przy naszym stanie finansów żadna taka pomoc nie wchodzi w grę.

Z wielkim wysiłkiem położyła się z powrotem i wbiła wzrok w sufit.

– Gdy umrę, będzie to oznaczało dwie rzeczy. Jedna jest oczywista, jak wyjdzie z drugą, zależy już od was i waszej zdolności planowania. Oczywiste jest, że wystarczy wam środków na dłużej, skoro trzeba będzie utrzymywać z nich nie trzy, a dwie osoby. A co jest możliwe, to że zyskacie istotne fundusze wystarczające na przetrwanie co najmniej pół roku.

Stephanie spojrzała na nią z głębokim sceptycyzmem.

– A jak, na Boga, miałoby do tego... O tym myślisz... – dodała, pojmując z lekkim opóźnieniem. – Jezu, Karen.

– Coś się taka religijna zrobiła? – spytała Karen. – Chociaż pewnie nie powinnam się dziwić. To Stephanie powtarza, że jest ateistką, ty nigdy nie pozbyłaś się resztek dzieciennych wierzeń. Ale skoro tak, to przypominam

ci, że wedle religii dusza jest nieśmiertelna, zatem jakie ma znaczenie, co stanie się potem z moim ciałem? Mnie to w ogóle nie obchodzi.

Znowu uniosła głowę, by rzucić obu przyjaciółkom gniewne spojrzenie.

– Na pewno nie chcę jednak, by ten knur cokolwiek tym razem uszczknął, tak jak w przypadku Farouza. Tak więc utrzymajcie moją śmierć w tajemnicy przed nim. Same mnie pokroicie. Co jak co, ale tutejsza wanna nadaje się spokojnie do użytku. Potem zamroziecie organy i tkanki. I same sprzedacie, co tylko się da.

Opadła ciężko na legowisko.

– Ale musicie to zaplanować – dodała słabnącym głosem. – Musicie znaleźć kupców. Macie na to kilka tygodni, coś więc pewnie wykombinujecie.

Przez chwilę leżała w milczeniu.

– Jestem taka zmęczona – dodała w końcu i w parę sekund zasnęła.

Cary i Stephanie spojrzwały po sobie. Przez kilka długich minut żadna się nie odezwała.

– Nie wiem, czy dam radę to zrobić – powiedziała ostatecznie Stephanie ze łzami w oczach. – Naprawdę nie wiem.

Cary rozumiała, w czym rzecz. Stephanie była silna, i to bardzo, ale mimo pozorów nie bezwzględna. Nie wahała się, gdy chodziło o wrogów, jednak oprawić zmarłą przyjaciółkę? Naprawdę wiele razem przeszły.

– Ja to zrobię – powiedziała Cary. – Ale tylko wtedy, gdy znajdziemy kupca.

Znowu zapadła cisza. Potem Stephanie westchnęła i wstała.

– To by znaczyło, że powinnam dzisiaj zerknąć do skrzynki. A potem...

Uniosła ręce w geście rozpacz i wzburzenia.

– Tylko gdzie mam szukać kupca na ludzkie organy? Przecież nie spytam tego dupka, który bierze od nas forszę.

– Coś wymyślimy – powiedziała Cary. Bardzo chciała w to wierzyć.

ROZDZIAŁ VIII



Lajos Irvine rozejrzał się po biurze swego szefa i zastanowił, na ile nowa zwierzchność jest gorsza od poprzedniej.

Owszem, stary szef okazał się zdrajcą, ale tak poza tym pracowało się z nim wspaniale. Lajos wcześniej tego nie doceniał, ale teraz, po kilku miesiącach, miał już swoje zdanie i o tym, i o wydolności nowego szefa. Przy czym starał się podchodzić do sprawy obiektywnie. Ostatecznie wszystko, co oddycha, ma jakąś „wydolność”.

W praktyce wyglądało to tak, że czekał już dwadzieścia minut na George’a Vickersa. Dlaczego ten facet umówił się z nim na spotkanie właśnie teraz, skoro nie zamierzał zjawić się o czasie?

Gdyby chodziło o pojedynczy epizod, Lajos skłonny byłby pomyśleć, że szefowi przeszkodziło coś naprawdę pilnego. Albo że zapomniał o spotkaniu przez roztargnienie. Jednak takie sytuacje powtarzały się z nużącą regularnością. Vickers marnował czas swoich podwładnych tylko po to, żeby pokazać, kto tu rządzi.

Nie żeby ktokolwiek miał w tej kwestii jakiegokolwiek wątpliwości, co czyniło całą sprawę tym bardziej irytującą.

Jako inżynier genetyczny i specjalista od infiltracji środowisk niewolników genetycznych Lajos był równy innym wysoko wykwalifikowanym produktom Równania. W odróżnieniu od agentów dostarczanych Biuru Zewnętrznemu, którzy otrzymywali tylko numery seryjne, Lajos był pełnym członkiem organizacji. Nie należał wprawdzie do

wewnętrznego kręgu, ale i to mogło przyjść z czasem, skoro mimo niewolniczego pochodzenia sam niewolnika nie przypominał. Chociażby dlatego, że został poddany prolongowi.

Z drugiej strony, uprzedzenia wobec ludzi takich jak on, którzy tworzyli główną siłę Równania, nadal były powszechne. Owszem, nie wszyscy je żywili. McBryde był od nich wolny, ale o wielu innych nie można było tego powiedzieć. Niemniej niezależnie od uprzedzeń pozostawało faktem, że Lajos pochodził z serii specjalistów, podczas gdy George Vickers reprezentował serię alfa. Lajos nie był dla niego żadną konkurencją. Niezależnie od osiągnięć nie mógł zastąpić szefa w jego gabinecie. Po co więc ta cała szopka?

Wszystko wokół przypominało Lajosowi nieustannie, jakim dupkiem jest jego nowy szef. Za czasów McBryde'a ścianę za biurkiem zdobiło kilka obrazów i zdjęć rodziny szefa. Jack był tylko na niektórych.

Tamta ściana zniknęła, zniszczona wraz z Centrum Gamma, i obecna została zagospodarowana już tylko przez Vickersa. Wszystko, co się na niej znalazło, miało ścisły związek z jego osobą. Mało gustowne i kosztowne hologramy, otrzymane nagrody, odznaczenia i certyfikaty. Inne osoby pojawiały się jedynie wtedy, gdy ich obecność mogła podnieść prestiż Vickersa. Można było rozpoznać wśród nich kilku jego przełożonych; pozostali musieli tkwić gdzieś wysoko w strukturach Równania.

No i tamto nieistniejące już biurko. Należało do człowieka aktywnego. Stały na nim cztery ekrany, zwykle czynne, połowę blatu zaś pokrywały różne notatki. Jack hołdował dawnemu zwyczajowi sporządzania odręcznych zapisków.

– Nie wiem dlaczego, ale bardziej mi to odpowiada – powiedział kiedyś z uśmiechem. – Wiesz, że odwiedziłem nawet wystawę papieru w Muzeum Nauki i Techniki?

– Co to jest papier? – spytał Lajos.

Jack uniósł kartkę z masy plastycznej.

– Obecnie używamy tego. Wygląda jak papier, ale ma całkiem inną fakturę. Pozwolili mi tam dotknąć prawdziwego papieru. Robili go z pulpy drzewnej.

Lajos aż się skrzywił.

– To chyba niehigieniczne?

– Och, papier był całkiem bezpieczny. Chociaż proces produkcji szkodził środowisku naturalnemu. Gdy tylko nauczono się wytwarzać na wielką skalę biodegradowalne plastiki, papier zaraz poszedł w odstawkę.

Biurko Vickersa wyglądało tak, jakby właśnie wyniesiono je z muzeum. Błat był całkiem pusty, jeśli nie liczyć holoeckranu, który wyświetlał logo agencji. Tak jakby ktokolwiek wchodzący do tego budynku mógł zapomnieć, gdzie się znalazł.

W rogu stała jeszcze prosta, ale spora plakietka z napisem:

GEORGE VICKERS
ZASTĘPCA DYREKTORA
CENTRALNEJ AGENCJI BEZPIECZEŃSTWA

Najwięcej zapewne mówił o jej właścicielu fakt, że nie została ustawiona frontem do potencjalnych gości, ale do wielkiego człowieka, który zasiadał za biurkiem. Czy raczej powinien zasiąść, gdy wreszcie raczy się zjawić.

Vickers musiał być w jakiś sposób kompetentny, inaczej nigdy nie znalazłby się na tym stanowisku. Równanie szybko robiło porządek

z wyższymi urzędnikami, którzy nie potrafili sprostać obowiązkom. Niemniej jak dotąd Lajos nie miał okazji dowiedzieć się, o jakie kompetencje chodziło.

Drzwi się otworzyły i Vickers wkroczył do gabinetu.

– A, tutaj jesteś – powiedział, jakby Lajos zgubił się gdzieś i trzeba go było szukać.

Cholera, za Jacka naprawdę było lepiej, pomyślał Lajos. Niemniej z oczywistych powodów nie powiedział tego głośno.



Gdy Vickers skończył wyjaśniać, jaki będzie nowy przydział Lajosa Irvine'a, na niemal pół minuty zapadła w gabinecie cisza.

Sądząc po pełnym satysfakcji wyrazie twarzy Vickersa, szef musiał to przypisać genialności i subtelności przedstawionego właśnie przezeń pomysłu.

Lajos jednak milczał z całkiem innego powodu. Milczał, by nie wybuchnąć i nie powiedzieć czegoś, co byłoby: (a) prawdą i (b) wyrazem jego emocji, jednak byłoby też (c) całkiem bezużyteczne i (d) pogrzebałoby na zawsze jego karierę. Chociaż bardzo się starał, przez ponad pół minuty nie potrafił pomyśleć niczego poza zdaniem zaczynającym się od słów: „To najgłupszy pomysł, jaki...”, „Jaki imbecyl wpadł na coś tak kretyńskiego...?” albo wręcz „Po jakiego chuja ktokolwiek...?”.

W końcu pozbierał się na tyle, żeby móc bezpiecznie spróbować się odezwać:

– Wiesz, George, z mojego doświadczenia wynika, że kryminaliści starają się zwykle wiedzieć jak najmniej o rzeczach, które mogłyby okazać się dla nich niebezpieczne i jednocześnie nie przyniosłyby żadnego

dochodu. Na gruncie politycznym są równie mało użyteczni jako informatorzy, co...

Starał się znaleźć pasującą analogię. Szczury kanałowe i zdziczałe koty nie pasowały, ponieważ one zwykle całkiem dobrze orientowały się w realiach. Ich nieobecność w jakiejś okolicy mogła wskazywać, że dzieje się tam coś podejrzanego.

Wredne psy? Hm. One też potrafiły być użyteczne.

Na dodatek jedną z cech charakterystycznych kryminalistów było to, że kłamali odruchowo w odpowiedzi na każde pytanie, i większość była w tym całkiem dobra. A dodatkowo skłonni byli sięgać po przemoc.

– Jest jeszcze jeden problem – powiedział Lajos. – Nie jestem wyszkolony do...

– Spokojnie – odparł Vickers, machając lekceważąco ręką. – Dostaniesz wsparcie. Nikt nie oczekuje od ciebie, że będziesz samodzielnie prać ich po mordach.

Cudownie, pomyślał Lajos. Przydzielą mi zespół jakichś tłuaków. To oznaczało, że jego szanse na wyciągnięcie jakichś informacji ze środowiska wyzwolenców z Mesy spadły właśnie do zera.

– Ale co...

Vickers znowu machnął ręką. Tym razem bardziej energicznie.

– Decyzja już zapadła. Po prostu zrób to. Skoro stosując tradycyjne metody, wciąż drepczemy w miejscu, góra uznała, że pora coś zmienić. – Mówiąc to, wskazał palcem na sufit, chociaż centrala agencji mieściła się jakieś półtorej mili na zachód od nich, powyżej zaś siedziała tylko cała masa urzędników i stało jeszcze więcej komputerów. – Nie ma wątpliwości, że nasze stanowcze działania zmusiły terrorystów do odwrotu. Zaszyli się w różnych norach i łatwo do nich nie dotrzemy. Musimy więc wykorzystać

środowiska kryminalne, by nas naprowadziły. I stąd ta operacja... Operacja Capone – dodał z uśmiechem. – To ja wymyśliłem kryptonim. Capone był zatwardziałym recydywistą ze starożytnego Rzymu. Nawet wielki mówca i filozof Cicero o nim wspominał.

Operacja Capone, pomyślał Lajos. Nigdy nie słyszał tego nazwiska, jednak kojarzyło mu się z kapłanem. Oraz z tym, że wykastrowane koguty zwykły robić wiele hałasu, ale zawsze na hałasie się kończyło.



Po wyjściu od Vickersa Lajos udał się do kantyny w piwnicy budynku. Miał tu swój gabinet, ale nie lubił z niego korzystać. Pomieszczenie było klaustrofobicznie ciasne i nie dawało się w nim swobodnie myśleć. A teraz musiał się poważnie zastanowić.

Czy to mu się podobało czy nie, rozkazy należało wykonać, to było oczywiste. Równanie miało strukturę hierarchiczną i pod tym względem nie różniło się od wszystkich instytucji powołanych kiedykolwiek do istnienia przez gatunek ludzki.

Druga uniwersalna zasada biurokracji, która obowiązywała także tutaj, brzmiała: „Gówno zawsze leci z góry”. Jeśli zgodnie z oczekiwaniami Lajosa plan rozsypie się przy pierwszych ruchach albo jeśli nie przyniesie żadnych efektów, to wykonawca będzie winny. Nie Vickers czy ci, którzy wszystko mu zlecili. A z całą pewnością nie Detweilerowie.

Cała wina spadnie na Lajosa Irvine’a i on zapłaci za grzechy ojców... czyli przełożonych.

Najpierw musiał zastanowić się nad nową tożsamością. Żadna z dotąd stosowanych nie wydawała się przydatna przy takiej akcji. Szczęśliwie moce, które zesłały na niego to nieszczęście, były równie rozrzutne jak

głupie. Przyznany mu budżet pozwalał na stworzenie kolejnej całkiem przekonującej tożsamości.

Oczywiście nie mógł zostać zawodowym złodziejem i mordercą do wynajęcia. Nie miał ani potrzebnych do tego kwalifikacji, ani odpowiedniego temperamentu. Nie utrzymałby się długo w podobnej roli, a nawet Vickers rozumiał, że takie plany nie przynoszą efektów w trybie natychmiastowym.

Zostanie więc paserem i będzie sprzedawał coś mocno egzotycznego i rzadkiego na Mesie. Tak by nikt się nie dziwił, że wcześniej nie widywano go w miejscach nawiedzanych przez podziemie przestępcze wyzwoleńców.

Tylko co by to miało być? Narkotyki odpadały. Jasne, co rusz pojawiały się w obrocie nowe specyfiki, ale sam rynek był stabilny i opanowany przez dostawców o wyrobionej renomie. Obejmowała ona także czynne zwalczanie nowej konkurencji i wszystkich, którzy nie szanowali ustalonego porządku.

Nie, to musiało być coś mniej trywialnego. Może skradzione dzieła sztuki? Tyle że środowisko nabywców takich dóbr było raczej skromne i rekrutowało się ze sfer na tyle bogatych, że zwykle nie miały one nic wspólnego z dołami społecznymi i tym samym nie mogły doprowadzić do ukrywających się terrorystów Baletu.

Lajos sądził przy tym, że owych terrorystów było znacznie mniej, niż oceniali to jego przełożeni. To zawsze była nieliczna grupa, a teraz, po wszystkich represjach wobec wyzwoleńców, na które zdecydowano się po Green Pines, musiała jeszcze stopnieć. Każdy, kto budził chociaż mgliste podejrzenia o powiązania z Baletem, był z miejsca brany na cel, władze zaś nie szczypały się tym razem ze stosowaniem środków przymusu bezpośredniego. Winny czy nie, ważne było, że odpowiednio się nim zajęto i można było wypełnić sprawozdanie.

Działania służb przyniosły zapewne około dwóch tysięcy ofiar, dwa razy tyle ucierpiało przy różnych brutalnych akcjach. Lajos był pewien, że większość tych osób nie miała żadnego związku z Baletem, ale niektórzy... kto wie. Niektórzy mogli. Niemniej i tak nie wierzył w zorganizowane bandy terrorystów, ukrywające się gdzieś...

Ale zaraz. Ofiary. Ofiary śmiertelne. Bieda i rozpaczliwe poszukiwanie forsy, jak zwykle wśród wyzwolenców.

To oznaczało handel organami i tkankami. Akurat coś dla niego. Może nie był to wielki rynek, gdyż nowoczesne metody lecznicze były powszechnie dostępne i nawet nie tak kosztowne, ale zawsze byli ludzie, którzy z jakichś powodów woleli pozostawać poza systemem. Tacy, dla których pobyt w szpitalu podczas kuracji regeneracyjnej byłby zbyt ryzykowny. Nawet w porównaniu z prymitywnym przeszczepem dokonywanym w nielicencjonowanej klinice.

Co więcej, przez swoją specyfikę rynek organów nie wytworzył tradycyjnych struktur mafijnych. Byli handlarze, którzy zajmowali się głównie tym, ale zwykle wolni strzelcy. Żadnych gangów. Przysłani przez Vickersa ochroniarze powinni bez trudu zażegnać ewentualne pretensje konkurencji.

Z całą pewnością nie zabraknie mu też towaru na sprzedaż. System penitencjarny Mesy mógłby zaopatrzyć wielu takich jak on. Władze nie wahały się przed stosowaniem kary śmierci i wedle ostrożnych szacunków Lajosa co miesiąc wykonywano sześć do ośmiu egzekucji. Ciała były zwykle poddawane kremacji, ponieważ wielkim korporacjom, które opanowały planetę, nie opłacało się organizować pozyskiwania i sprzedaży organów. Bogaci i tak zwykli pozyskiwać je w inny sposób.

Teraz trochę się to zmieni. Trzeba będzie wycinać przydatne organy i kremować dopiero to, co zostanie, żeby wydać urnę pogrążonym

w żałobie bliskim. O ile jacyś się znajdują, oczywiście. Ale jeśli nawet, przecież nie będą sprawdzać, czy waga prochów zgadza się idealnie. To nie są tacy ludzie. A gdyby nawet sprawdzili, to i co z tego? Przecież nikogo nie obchodzi, co mogą sobie pomyśleć.

Lajos zaczął widzieć sprawę w jaśniejszych barwach. To...

To był ciągle głupi pomysł, ale wykonalny, a na dodatek nie niósł ze sobą nadmiernego ryzyka. Kto wie? Może nawet coś z tego wyjdzie.

Słyszając za sobą jakiś hałas, obrócił się wraz z fotelem i ujrzał dwóch wchodzących do kantyny mężczyzn. Zmierzali w jego stronę.

Obaj byli rośli i umięśnieni. To musieli być jego nowi podwładni.

– Vickers nas przysłał – powiedział jeden z nich, gdy doszli do stolika Lajosa.

– Mamy pomóc, w czym tylko będzie trzeba – dodał drugi. – Nazywam się Borisav Stanković, ale proszę mówić mi Bora. – Wskazał kciukiem na partnera. – A to jest Freddie Martinez.

Martinez skinął głową.

Lajos wstał i wyciągnął dłoń.

– Miło was widzieć.

– Jaka to robota? – spytał Stanković, gdy już się oficjalnie przywitani.

– Siadajcie i zaraz wam wyjaśnię.



Gdy skończył, Stanković i Martinez spojrzeli po sobie.

– Łatwizna – powiedział Stanković.

Martinez przytaknął.

Obiecujący początek, pomyślał Lajos.

ROZDZIAŁ IX



Wreszcie się spotkaliśmy, agencie specjalny Cachat. Gdy byłam na Torch na koronacji Berry, nigdzie nie udało mi się pana znaleźć – powiedziała Cathy Montaigne przyjaznym tonem i z szerokim uśmiechem na twarzy. Zaraz też podeszła bliżej i wyciągnęła rękę.

Victor uścisnął jej dłoń i uklonił się wytwornie. Takie zachowanie należało do protokołu w czasie panowania Legislatorów i nadal uznawano je na Manticore, chociaż rzadko praktykowano poza oficjalnymi dworskimi okazjami. Na dodatek ograniczało się to zwykle do członków arystokracji, którzy nijak nie mieli wprawy w podobnej galanterii. Cachat zaś wykonał wszystko wręcz wzorowo.

Zaskoczona Cathy spojrzała na Zilwickiego.

– A mówiłeś, że to zagorzały republikanin.

– Tak się nie wyraziłem. Słowo „zagorzały” sugeruje bezmyślną akceptację, a w jego przypadku byłoby to mocno niestosowne określenie. Należy raczej stwierdzić, że Victor jest republikaninem z natury. Tak jak polon jest z natury radioaktywny.

Cathy spojrzała znów na Victora.

– Ale z ukłonem poradził pan sobie perfekcyjnie. Chociaż może przesadził pan trochę z zamaszystością.

– Uznałem, że lepiej będzie przesadzić w tę stronę niż odwrotnie – odparł Cachat. – Wymóg okoliczności.

– Ale... jest pan za młody. Z tego, co Anton mi mówił, wynikało, że w czasie rządów Legislatorów musiał być pan dzieckiem.

– I na dodatek urodził się w slumsach Dolistów – dodał Anton.

– Zatem jak zdołał się pan nauczyć...?

Anton parsknął głośno, zarówno prześmiewczo, jak i z podziwem.

– Przez całą drogę ćwiczył z zacięciem w symulatorze – powiedział. – Nie uwierzyłybyś, jak bardzo ceni to urządzenie. Nigdzie się bez niego nie rusza. Pakuje te symulatory nawet do ciasnych statków kurierskich i potem spędza w nich przynajmniej godzinę dziennie. Zawsze coś wtedy ćwiczy. Gdyby nie był ateistą, oskarżyłbym go o skłonność do czczenia złotych cielców.

– Oscar Saint-Just był potworem, ale to nie znaczy, że również głupcem – odezwał się Victor. – Bardzo cenił sobie trening w symulatorze i zaraził mnie tym upodobaniem.

Cathy chciała to skomentować, ale powstrzymała się. Nigdy wcześniej nie spotkała Victora Cachata, ale jeden z ludzi Jeremy’ego X pokazał jej nagranie strzelaniny w Starym Chicago między nim, później wspomaganym przez Jeremy’ego, i grupą żołnierzy Haven wraz ze sprzymierzonymi Scragami. Zdarzyło się to podczas tak zwanego incydentu Manpower.

Nagranie było kiepskiej jakości, ale też zrobiono je z ręki tanim urządzeniem i przy kiepskim oświetleniu. Niemniej dwie rzeczy dawały się dobrze dostrzec i obie zrobiły na niej spore wrażenie. Jeremy pierwotnie nie chciał jej pokazać tego nagrania, ale nalegała stanowczo, on zaś był jej zbyt wiele winien, żeby odmówić.

Po pierwsze, chodziło o brutalność zajścia. To była nie tyle klasyczna strzelanina, ile rzeź, z użyciem broni palnej stosowanej przy minimalnym

dystansie, przy czym najgroźniejsza osoba miała w rękach karabin systemu flechette.

Co więcej, wiedziała też świetnie, jak go używać. Gdy tylko walka się zaczęła, Cachat stał się trudny do dostrzeżenia. Po części wynikało to ze słabej jakości nagrania, ale po części też z jego niebywalej ruchliwości. Co rusz skakał, obracał się, odsuwał, a przy tym nie zmarnował ani jednego strzału. Kojarzył się bardziej z maszyną do zabijania niż człowiekiem.

Ile wtedy miał? Dwadzieścia jeden lat? Dwadzieścia dwa? Na pewno nie więcej niż dwadzieścia pięć.

– A ta walka w Starym Chicago – powiedziała, zanim zdołała ugryźć się w język. – Gdy uratowaliście Helen. Też ćwiczył pan to w symulatorze?

Victor zmarszczył brwi i spojrzał na Zilwickiego, który rozłożył szeroko ręce.

– Nie patrz tak na mnie. Nie zdradzałem żadnych szczegółów. Poza tym mnie tam nie było. Dotarłem później.

– Czyli to Jeremy – mruknął Victor. – Cholernik jeden. A przysięgał, że nie zrobił żadnego nagrania.

– To znany kłamca – rzucił Anton.

Cachat rozpogodził się nieco, chociaż irytacja go nie opuściła.

– Taka natura. Wilk nigdy nie będzie jarozsem.

Spojrzał znów na Cathy.

– Tak, ćwiczyłem to w symulatorze. Oczywiście o wiele większym i bardziej rozbudowanym niż model, który wożę ze sobą. Jakże inaczej mógłbym dać sobie wtedy radę?

Cathy nagle poczuła się nieswojo. Czy nie okazała się nieuprzejma wobec tego człowieka, który uratował życie całej trójki jej adoptowanych

dzieci? To oraz fakt, jak wiele przy tym ryzykował, było przecież ważniejsze od jego niezwykłego życiorysu i szczególnych umiejętności.

Wyciągnęła ku niemu obie ręce i ujęła jego dłonie w geście, który nie był ani trochę oficjalny.

– Czuj się u nas jak w domu – powiedziała. – Teraz i zawsze.

Cachat momentalnie jakby odtajał.

– No... dziękuję – powiedział zakłopotany, wyglądając spoza wykuwanego przez dekadę pancerza.

Cathy natomiast zrozumiała coś, co Anton próbował jej kiedyś wytłumaczyć: że przy tym wszystkim, czym Cachat był obecnie, w głębi duszy pozostał nieśmiałym i samotnym chłopakiem ze slumsów. Tylko garstka ludzi w całym wszechświecie o tym wiedziała i znała tego chłopca. Nawet Anton nie miał się za jednego z nich. Coś może wiedział, ale na pewno nie wszystko.

– Nie wiem, czy odsłonił się przed kimś więcej niż Thandi Palane i Ginny Usher – powiedział kiedyś. – No, może jeszcze Kevinem Usherem.

Cathy uznała, że chyba dołączyła właśnie do tego skromnego grona. Po pierwsze dlatego, że naprawdę wiele mu zawdzięczała. Po drugie zaś, ponieważ lubiła takie wyzwania. Oraz przez...

Nie zdołała powstrzymać się od chichotu. W jej wieku!

– Co w tym zabawnego? – spytał Anton.

– Mniejsza z tym. – Skłonna była sądzić, że nawet Anton by tego nie zrozumiał. Jego zdaniem rebelianckie skłonności Cathy brały się z jej poglądów politycznych. Niemal wszyscy tak uważali, nie licząc Jeremy'ego X i Weba Du Havla. I może jeszcze Królowej Elżbiety.

W sumie było w tym trochę prawdy, ale prawdziwa była też jej młodzieńcza radość płynąca z ucierania nosa wyższym sferom. Dowolnej

proweniencji establishmentowi.

Jako hrabina Tor nosiła w herbie motto „Nie mogę”, które zgodnie z rodzinną legendą wzięło się od decyzji pewnego polityka, który postanowił nie podpisywać pewnej populistycznej, oczekiwanej, ale niemądrej ustawy. Cathy niezbyt wierzyła w tę historię, ale motto jej pasowało. Czasem tylko myślała, że powinna dodać do niego „Épater la bourgeoisie”. Albo używać tego sformułowania zamiennie ze starym.

Już wcześniej zdołała wywołać skandal w socjocie Królestwa Manticore swoim długotrwałym związkiem z szalonym terrorystą Jeremym X, ku wielkiemu żalowi szanownego towarzystwa obecnie członkiem gabinetu rządowego Torch. Teraz mogła jeszcze dodać do tego równie skandaliczną przyjaźń z człowiekiem, który był najbardziej popularnym tajnym agentem Republiki Haven.

Piękna sprawa.

Poprowadziła gości przez hol do pokojów w głębi domu. Pierwszym z nich był salon, który Anton zwykł nazywać „przybytkiem ekstrawagancji” albo „wesołym miasteczkiem”.

Cachat rozejrzał się i poczuł chyba trochę zaskoczony.

– Gratuluję opanowania, Victorze – powiedział ze śmiechem Anton. – Gdy ja pierwszy raz tu wszedłem, od razu obraziłem czyjaś mamusię. Musiały minąć cztery godziny, nim spytałem, gdzie jest kibelek. W sumie to chyba normalne. A toalet jest osiem. Czy uwierzysz, że oni nadal mają to za zwykłą willę?

– Zależy, jak rzecz rozumieć – mruknął Cachat całkiem naturalnym tonem. – Nad pewnymi sprawami nie ma co się zastanawiać, lepiej od razu postawić je pod murem i rozstrzelać.

Chociaż i to dodał niemal obojętnie, Cathy nie dała się zwieść. Była pewna, że gdy ten agent Republiki Haven stawia kogoś pod ścianą, a było praktycznie pewne, że mu się to zdarza, czyni to w podobnie niewymuszony sposób.

Tak, szykowały się nie lada atrakcje. Będzie musiała tylko zadbać o obecność lekarza na sali, gdy przedstawi Cachata na którymś z „wieczorków”. Należało oczekiwać, że paru co bardziej zasadniczych członków wyższych sfer Królestwa Manticore dostanie przy tej okazji ataku serca.



– Nie sądzicie, że jego obecność wprowadza nieco nerwowości? – spytała Królowa Elżbieta, gdy delegacja Republiki Haven wyszła już z sali konferencyjnej. Monarchini spojrzała na Honor Alexander-Harrington, która siedziała po jej lewej stronie, przy wielkim stole na środku pomieszczenia. – Mam na myśli agenta specjalnego Cachata.

Honor zaśmiała się i podrapała za uszami kremowo-szarego treecata siedzącego na oparciu fotela.

– Tym razem nie miał przy sobie maszyny piekielnej. A przynajmniej tak mi się wydaje.

Stojący za fotelem Spencer Hawke, jej osobisty ochroniarz, wyprostował się w wybitnie służbowy sposób.

– Zapewniam panią, milady, że niczego takiego nie miał. Tym razem. Sprawdziliśmy go naprawdę dokładnie. Oczywiście gwardziści Królowej zrobili to samo – dodał trochę niechętnie.

– Nie mówiąc już o tym, że mamy tu trzy treecaty, które nie spuszczały z niego oka – dodał Hamish Alexander-Harrington, który siedział naprzeciwko Honor z Samanthą, partnerką Nimitza, zwiniętą na jego

kolanach. Zamruczała z satysfakcją, na co Nimitz i zdecydowanie od nich młodszy Ariel zareagowali rozbawionymi bleeknięciami. Samantha raczyła otworzyć na chwilę jedno oko o kolorze trawy i zerknąć na wesołków z drapieżnym potępieniem.

Honor pokręciła głową.

– Obawiam się, że wszyscy mylicie się co do Victora Cachata. Po pierwsze, to owszem, może wprowadzać pewną nerwowość – powiedziała, spoglądając na Elżbietę. – Ale nie jest potworem ani maniakiem. Bardziej już przypomina treecata.

Nimitz wydał odgłos będący czymś pośrednim między pomrukiem a warknięciem, ale Samantha tylko poruszyła koniuszkiem ogona.

– Rzecz w tym, że dowolny ładunek autodestrukcyjny, który mógłby nosić, nie byłby bombą powodującą ogólną destrukcję. Byłby to ładunek bardzo selektywny, przeznaczony wyłącznie do likwidacji jego osoby. – Spojrzała na kapitana Hawke’a i dwóch członków regimentu Queen’s Own stojących pod ścianą za Królową. – Poddaliśmy analizie jeden z nich, gdy wraz z Zilwickim złożył mi wizytę na pokładzie *Imperatora*. Gdyby go aktywował, doszłoby do uwolnienia do krwiobiegu szeregu związków chemicznych, które weszłyby w reakcję z wszczepionymi wcześniej kapsułami. Bez katalizatora nieaktywnymi. Skutkiem byłoby zatrzymanie akcji serca i tym samym ustanie dopływu krwi do płuc oraz mózgu.

Królowa skrzywiła się lekko, podobnie jak Hamish i wszyscy zgromadzeni przy stole. Honor aż się rozejrzała, by sprawdzić reakcję Williama Alexandra, barona Grantville i premiera Gwiezdnego Imperium Manticore, sir Anthony’ego Langtry’ego, ministra spraw zagranicznych Gwiezdnego Imperium, oraz dwóch admirałów, sir Thomasa Caparellego, Pierwszego Lorda Przestrzeni, oraz admirał Pat Givens.

– Nie bądźcie więc tacy pewni siebie w kwestii tego, co może mieć wszczepione – kontynuowała Honor. – Równie dobrze może chodzić o biologiczny mechanizm wykrywalny dopiero przy drobiazgowych badaniach. A tych oczywiście nie przeprowadzaliśmy. To byłoby bardzo niedyplomatyczne posunięcie.

– Gdybym o tym wiedział, mimo wszystko należałbym na takie badania – stwierdził premier Alexander, wyraźnie zaniepokojony.

Honor chciała mu odpowiedzieć, ale treecaty ją wyprzedziły. Tym razem wszystkie trzy warknęły głośno, a Nimitz przyłożył dłoń do ust, po czym wykonał nią zamach i przytknął najdłuższy palec do czoła. Wszyscy obecni w sali ludzie rozumieli język migowy – Nimitz zasygnalizował „Zły pomysł”. Hamish aż się zaśmiał.

– Wydaje mi się, że żaden z sześciorgich uczestników naszej dyskusji nie jest skłonny się z tobą zgodzić – zauważył, a potem spojrzał przeciągle na Honor. – Ale rozumiem, do czego zmierzasz. Rzecz nie w tym, co Cachat mógłby zrobić, ale co wolałby zrobić.

– Tak – zgodziła się Honor i spojrzała ponownie na Elżbietę. – Wiesz sama, do czego zdolny jest Anton Zilwicky. Teraz chcesz się dowiedzieć, jak daleko może posunąć się Cachat, gdyby okazało się to naprawdę konieczne, i dlatego poprosiłaś go o przybycie na Manticore. Gdy chodzi o ich zespół, sądzę, że to najlepsza para działających razem szpiegów, jaka pojawiła się w galaktyce od naprawdę długiego czasu. Dzięki temu stali się prawdziwym koszmarem dla wrogów, naszych wrogów i wrogów Republiki Haven, dla nas zaś czystym błogosławieństwem. Tacy ludzie niełatwo deklarują lojalność, ale gdy już im się to zdarzy, są trwalsi w swych postanowieniach niż najmocniejszy pancerz.

Ostatnie zdanie dodała takim tonem, jakby chodziło o coś całkiem oczywistego.

– Innymi słowy sugerujesz, że powinniśmy przestać krążyć wokół tematu – powiedziała Elżbieta.

– Można to tak wyrazić. Pora zdeklarować się, czy siedzimy pod ścianą, czy też ruszamy do tańca.

Królowa zachichotała, podobnie Hamish. Admirałowie poprzestali na lekkich uśmiechach.

Tylko minister spraw zagranicznych wyglądał na niezadowolonego, ale wolał się nie odzywać. Premier westchnął i przeczesał dłonią włosy.

– Jeśli mogę ująć to w bardziej oficjalny sposób, to prawdopodobieństwo, że Cachat i Zilwicki się mylą, jest marginalne – rzekł. – I nie ma żadnych powodów, żeby wątpić w ich lojalność. Co oznacza, że planując nasze działania, powinniśmy oprzeć się na tym, co nam dostarczyli.

– Oto wypowiedź godna męża stanu – podsumowała Honor.

Nimitz mruknął aprobowująco. Ariel przyłączył się do niego, Samantha zaś tylko pokiwała głową w geście, który treecaty już wieki temu podpatrzyły u ludzi.



– Chyba dobrze nam poszło – powiedział Victor, gdy usiedli do późnego obiadu, i Cathy zagadnęła go o spotkanie z Królową. – Oczywiście trudno o pewność. To nie są ludzie, których łatwo przejrzeć.

Cathy przechyliła głowę.

– To dlaczego wydajesz się nieco zdenerwowany?

Zaskoczony Cachat uniósł spojrzenie znad talerza.

– Ja?

– Spięty jak diabli – odezwał się Anton. – Trudno coś takiego zignorować, zwłaszcza w twoim przypadku.

– A, o to chodzi. – Victor dotąd ledwie tknął swoje danie. Teraz odłożył sztucce takim gestem, jakim średniowieczny rycerz mógł odkładać miecz, przyznając się do porażki. – W sumie w ogóle o tym nie myślałem – powiedział i spojrzął na czasomierz. – Pięć dni temu wysłaliśmy kuriera na Torch. Zaraz po tym, jak tu przylecieliśmy. Powinien już dotrzeć do Beaconu.

Anton wciągnął powietrze przez zęby.

– Z wiadomością dla Thandi, że jesteś już na Manticore i dlatego nie zatrzymałeś się na Torch w drodze na Haven.

Cathy spojrzała na jednego, potem na drugiego.

– Sądysz, że jest jej smutno z tego powodu?

– A czy uran nadaje się do ładunków nuklearnych? – spytał Anton.

– Ona mnie zabije – mruknął proroczo Victor.

ROZDZIAŁ X



Thandi Palane zerknęła gniewnie na wyliczenia widniejące na ekranie kompa. Bezskutecznie próbowała wcisnąć okrągły kołek w kwadratowy otwór: posiadane przez nich zaplecze logistyczne żadnym sposobem nie było w stanie obsłużyć takich sił zbrojnych, jakie Torch powinno rozwinąć. I próbowali to zrobić, ale rzeczywistość ciągle skrzeczała.

Co gorsza, siedzący obok niej kapitan Anton Petersen od dawna to powtarzał. Zawsze uprzejmie, ale miał w tym o wiele większe doświadczenie niż Thandi. Ona skupiała się dotąd na problemach czysto taktycznych, jak większość oficerów Solarnej Marynarki Wojennej. Logistykę, która dawała jej obecnie tak do wiwatu, zostawiała zawsze innym.

W innych obszarach też brakowało jej doświadczenia, toteż zaraz po ustanowieniu Królestwa Torch wystosowała do Manticore i Haven prośbę o przysłanie specjalistów, którzy wsparliby ją radą i pomocą.

Oba państwa odpowiedziały pozytywnie, chociaż Haven zorganizowała swoją ekipę dopiero po jakimś czasie. Petersen i jego ludzie zjawili się natomiast już po dwóch miesiącach. Petersen był oficerem liniowym, który dowodził wcześniej dwoma niszczycielami i lekkim krążownikiem HMS *Impulse*. Potem został ciężko ranny i na czas rehabilitacji trafił do sztabu, gdzie odkrył zajęcia ciekawsze niż dowodzenie okrętem wojennym. Jego przełożeni zauważyli tę nagłą zmianę zainteresowań i nie mieli nic

przeciwko temu, trafił więc pod skrzydła sir Thomasa Caparellego. I tam zastał go nagły przydział na Torch.

Obecnie pracował już tutaj ponad rok i okazał się bezcennym pomocnikiem. Wprawdzie formalnie był nadal tylko „doradcą”, ale w praktyce odpowiadał za flotę wojenną Torch. Nawet ludzie z Haven uznali jego zwierzchnictwo, gdy już się pojawili.

Chwilowo jednak niewiele to pomagało. Nikt nie lubi osób „kraczących”, zwłaszcza gdy mają rację.

– Wejść – zawołała Thandi, słysząc brzęczyk u drzwi.

– Przybył kurier z Manticore – oznajmił pułkownik Shai-gwun Metterling, wchodząc do gabinetu. – Wydaje się, że...

Słyszając wahanie w głosie zwykle pewnego siebie oficera, Thandi natychmiast uniosła głowę.

– Co się wydaje?

– Cóż, z wiadomości wynika, że agent specjalny Cachat i Anton Zilwicki udali się z Haven na Manticore zamiast tutaj, jak oczekiwaliśmy. Zwłaszcza w przypadku Cachata.

Thandi wpatrywała się w niego przez kilka sekund.

– Cachat jest już trupem. Chociaż o tym nie wie.

Metterling chciał coś powiedzieć, ale zamknął usta. Doradzanie przełożonej w sprawach sercowych nie należało do jego specjalizacji. Już prędzej mógłby pomóc jej w napisaniu opery.

– Trup – powtórzyła Thandi i nagle wstała. – Nie dawajcie temu kurierowi zgody na odlot. Lecę na Manticore. Anton, przejmujesz fort.

– Tak, generał Palane. Kiedy możemy oczekiwać pani powrotu?

Ona jednak była już za progiem. Gnała przed siebie niczym wcielenie wszystkich czterech Jeźdźców Apokalipsy.

Chociaż po prawdzie to Śmierć była w szpicy. Zaraza, Wojna i Głód deptały jej po piętach.



Kapitan Petersen nie miał najmniejszego zamiaru wypowiadać się o zawirowaniach w relacji między Palane i Cachatem, bo i kto dobrowolnie pchałby się między Scyllę a Charybdę, ale nie mógł też udawać, że o niczym nie wie. Zwłaszcza że wzburzona Palane pozwoliła sobie w zasadzie na samowolkę, czyli samowolne oddalenie się z miejsca służby. Gdy dopuszczał się tego zwykły żołnierz, kara mogła być bardzo surowa. Natomiast w przypadku głównodowodzącego całymi siłami zbrojnymi...

Najpierw zadzwonił do Hugh Araia. Prywatnie, ponieważ Arai nie piastował żadnego urzędu, związki panujących zaś były na Torch ich osobistą sprawą.

Jednocześnie Arai był najwłaściwszą osobą do poproszenia o radę w takiej chwili. Należał do nieformalnego „wewnętrznego kręgu” i wiedział praktycznie o wszystkim, co było ważne. Co więcej, Petersen zwykł ufać jego osądowi.

Szybko okazało się jednak, że niepokój kapitana był przedwczesny. Thandi Palane zdołała w ciągu kwadransa dotrzeć do swojego apartamentu, gdzie w trzy minuty spakowała torbę podróżną i ochłonęła na tyle, żeby zrozumieć swój błąd. Nie mogła po prostu nakazać dowódcy jednostki kurierskiej, by zaraz zabrał ją na Manticore.

Skontaktowała się więc z Petersenem.

– Przepraszam, Anton... Poniosło mnie. Cofnij to zatrzymanie kuriera. Za godzinę będą z powrotem.

Jednak Petersen zaalarmował już wcześniej Araia, ten zaś przekazał wszystko swojej partnerce, będącej akurat królową. Doradził jej też to

i owo, a Berry, jak zwykle, na wszystko się zgodziła.

Zadzwoniła więc do Thandi ledwie trzydzieści sekund po tym, jak gospodyni skończyła rozmowę z Petersenem. Przebieg tej drugiej konwersacji okazał się całkiem odmienny, niż Thandi oczekiwała.

– W czym mogę pomóc, Wasza Wysokość?

– Od kiedy to tak się do mnie zwracasz? Mam prawdziwą bombę. Okazało się, że tata i Victor trafili na Manticore. Wyobrażasz sobie?! Postanowiłam więc upiec dwie pieczenie przy jednym ogniu. Zamierzam połączyć spotkanie z tatą z oficjalną wizytą w Gwiezdnym Imperium. Chciałam już wydać odpowiednie rozkazy, ale pomyślałam, że byłoby to niefortunne posunięcie. To raczej twoja działka. Przekaż więc kapitanowi *Pottawatomie Creek*, żeby jak najszybciej przygotował się do wyruszenia na Manticore. I sama też się spakuj. Lecisz z nami. Kapitan Petersen da sobie radę, a ty będziesz miała okazję spotkać Victora. Zabieram też Weba i Jeremy’ego. Hugh zostanie, by pilnować interesu.

Thandi patrzyła w milczeniu na twarz młodej kobiety widniejącą na ekranie. Jej dusza zmieniła się w ptaka, który szalał, by się wydostać.

Usłyszała głos kogoś stojącego za Berry, ale nie zrozumiała słów. Potem dołączył do nich ktoś jeszcze. Mówił równie niezrozumiale.

– Co znaczy, że nie możesz? – spytała Berry, spoglądając przez ramię.

Ktoś coś odpowiedział.

– To paradne, Hugh! – zawołała Berry. – Nie cierpię głupich formalności.

Znowu jakieś głosy.

– Mogę powiedzieć, gdzie mam „integralność gabinetu rządowego”, ale to nie zabrmi dobrze. Każ mu zrobić cię członkiem gabinetu.

Głosy, głosy, głosy...

– A skąd ja mam wiedzieć, na jakim stanowisku w tym gabinecie? Za dużo ode mnie oczekujesz, Jeremy. Zresztą, kogo to obchodzi? – Berry spojrzała ponownie na Thandi. – Słyszysz, co oni wymyślają? – spytała, bez dwóch zdań mając na myśli absurdalną politykę państwową. Po chwili jednak znowu obejrzała się przez ramię. – Niech zostanie oficjalnym zastępcą premiera i Królowej na czas ich wyjazdów. Nazwij tę funkcję... Nie wiem... Minister komplementarny?

Coś jej odpowiedziano. Berry zacisnęła mocno wargi.

– Taak? – Zerknęła na Thandi. – Pora przestać bawić się w dyplomację – mruknęła i odwróciła głowę. – A słyszałeś o tym, że mam prawo skazać jedną osobę rocznie na wygnanie? Wedle własnego wyboru, bez uzasadnienia, prawa do apelacji i tak dalej. Mam rację?

Tym razem dało się rozróżnić słowa.

– Tak, Wasza Wysokość.

Berry uśmiechnęła się triumfalnie.

– Świetnie. Puść zatem w obieg informację, że ten, kto pierwszy zakwestionuje prawo Hugh do kierowania sklepikiem podczas naszej nieobecności, zostanie wygnany z Królestwa. Niech podają to w serwisach, wykrzykują na placach i ulicach, nawet z dachów domów. Wystarczy? Czy czuje się pan już usatysfakcjonowany, panie ministrze od deficytu budżetowego? A pan, panie doktorze od chirurgii analnej?

Obróciła się do Thandi.

– Jak szybko możesz tu dotrzeć?

Thandi się zastanowiła.

– Za jakieś pół godziny.



Zanim Thandi dotarła na miejsce, Ruth Winton uznała, że też do nich dołączy.

Niemniej gdy ogłosiła swoją decyzję o udziale w podróży na Manticore, pojawiły się różne obiekcje i wątpliwości związane z faktem, że pod nieobecność Antona Zilwickiego to właśnie księżniczka była odpowiedzialna za wywiad Królestwa Torch. Część tych wątpliwości rozwiła Berry, która dowodziła, że jako monarchini musi mieć w podróży odpowiednią świtę, a jeśli komuś się to nie podoba, może się pakować na wygnanie. Poza tym, co to za wywiad, jeśli trzeba prowadzić go cały czas za rączkę?

– *L'état, c'est toi!* – mruknął Hugh.

– Co to za dowcip? – spytała Berry.

– Żaden dowcip, sama prawda – odparł Jeremy X i zanucił pierwsze takty *Marsylianki*. Na wszelki wypadek bardzo cicho.

ROZDZIAŁ XI



Czy ona kiedykolwiek przestaje jęczeć i narzekać? – spytał pułkownik Donald Toussaint. Uśmiechał się jednak przy tym i wcale nie wyglądał na zirytowanego. Najwidoczniej został już wcześniej uprzedzony co do charakteru i zachowania kapitan *Hali Sowle*.

– Ganny? – Komandor Loren Damewood pokręcił głową, ale nie oderwał oczu od obserwowanej konsoli. – Jakoś nie trafiłem na taką chwilę. Mogłem jednak ją przeoczyć, zajęty czymś innym. Poza tym po jakimś czasie można się do tego przyzwyczaić. Gdy mieszkasz nad morzem, nie słyszysz przyboju.

– Co za dureń robił ten program? – rozległo się z głośnika. – Na rany Boga, szydełkiem zrobiłabym coś lepszego niż to gówno...

Donald wyłączył przekaz i obrócił się z fotelem w stronę podwładnych. Z trudem stłumił uśmiech. Jego ludzie przypominali raczej piracką zbieraninę z powieści historycznych niż prawdziwą załogę.

Z lewej strony siedział major Arkaitz Ali bin Muhammad, roślejszy nawet niż sam Donald i kojarzący się z jakimś urządzeniem pokładowym, któremu dla żartu nadano ludzki kształt. Wcześniej znany był głównie jako Arkaitz X, ale gdy wstąpił do sił zbrojnych Torch, porzucił końcowe „X” i zgodnie ze zwyczajem przyjął nazwisko jednego z przywódców historycznych buntów niewolników. W tym przypadku chodziło o człowieka, który stał na czele wielkiego buntu Zanjów w kalifacie Abbasydów ponad trzy tysiące lat temu.

Po prawej stronie stała kobieta, której przynależność do gatunku ludzkiego nie budziła najmniejszych wątpliwości. Była to porucznik Ayibongwinkosi Kabweza, zastępczyni Donalda. W linii matki pochodziła od niewolników wyzwolonych stulecie wcześniej na Beowulfie, ale kolejne cztery pokolenia dorzuciły typową dla współczesności mieszankę genów. Miała pewne cechy typowe dla mieszkańców Mfecane, ale najbardziej przypominała ludzi ze Starej Ziemi.

Osobą siedzącą pośrodku była major Anichka Sydorenko. Tak jak w przypadku Kabwezy, jej ludzkie pochodzenie nie budziło wątpliwości, podobnie jak płeć. Jak niemal wszystkie kobiety Scragów, była wysoka, z blond włosami i błękitnymi oczami, wyprostowaną i majestatyczną sylwetką.

Scragi oraz byli członkowie Baletu byli zachęceni do wstępowania do sił zbrojnych Torch, chociaż rzecz jasna nie istniał żaden prawny wymóg w tej kwestii. Scragi także rezygnowały wówczas z „X” po imieniu, ale nie przyjmowały żadnego nazwiska, chyba że awansowały ponad stopień podoficerski. W takich przypadkach sekretarz wojny zalecał stanowczo przyjęcie nazwiska. Gdy niezadowoleni wytknęli mu, że sam tego nie zrobił, Jeremy X odpowiedział, że jego celem było podkreślenie cywilnej kontroli nad armią.

Miało to sens czy nie, Jeremy X nazwiska nie przyjął. Większość uważała, że był to dyskretny sygnał pod adresem Baletu. Jeremy dawał w ten sposób do zrozumienia, że chociaż formalnie się z nim rozstał, tak naprawdę wcale go nie porzucił.

Donald jednak nie skupił uwagi na majorach. W tej chwili bardziej interesowała go Kabweza. Zjawiała się tu ledwie przed tygodniem, by objąć stanowisko dowódcy sił zbrojnych Torch na stacji Parmley. Co więcej, miała już za sobą prawdziwą służbę wojskową.

Donald był oficerem tylko formalnie. Zasadniczo pełnił funkcję komisarza w Ludowej Republice Haven, analogiczną jak niegdysiejsi komisarze w Rosji Radzieckiej. W Rosji bolszewicy ustanowili urząd komisarzy, by skutecznie nadzorować oficerów wywodzących się z carskiej armii. Nie ufali im, ale na kimś musieli się oprzeć. Zadaniem komisarzy było kontrolowanie postaw politycznych dowódców, którzy prowadzili wojsko do walki.

Tutaj było trochę inaczej. Poglądami politycznymi nikt się nie przejmował; ostatecznie duża część oficerów i żołnierzy należała wcześniej do Baletu. Mogli różnić się w szczegółach, ale pogrobowców utrzymywanego przez Manpower reżimu na pewno wśród nich nie było. No i nie istniała najmniejsza szansa, by ktokolwiek, nawet dopiero wczoraj wcielony szeregowy, zdezerterował czy przeszedł na drugą stronę, co u bolszewików oraz w Haven było na porządku dziennym.

Walka z przeciwnikiem aż tak zagorzale broniącym niewolnictwa jak Mesa i Manpower miała więc swoje plusy. Bo i czym mogli skusić uciekinierów? „Chodź do nas, założymy ci kajdany na resztę życia i zniewolimy całe twoje potomstwo do ósmego pokolenia włącznie”?

Torch borykało się poniekąd z przeciwnym problemem. Tutejsi komisarze mieli pilnować, by oficerowie i podoficerowie przestrzegali regulaminów wojskowych i ogólnej dyscypliny. Czasem trzeba było na kogoś huknąć, czasem podyskutować, czasem sięgnąć po metody negocjacyjne.

Zależnie od rodzaju sił zbrojnych i jednostki, byli członkowie Baletu stanowili od dwudziestu do czterdziestu procent składu. Drugie tyle liczyła grupa ludzi pozostających wcześniej pod wpływem Baletu i jego zwolenników.

Wśród oficerów było ich procentowo o połowę mniej.

Nie wynikało to z dyskryminacji i nikt nie formułował podobnych zarzutów, zwłaszcza że sekretarzem wojny był Jeremy X. Problem wiązał się z wyszkoleniem i doświadczeniem bojowników Baletu, którzy bez dwóch zdań wiele wiedzieli o walce, ale mało mieli wcześniej kontaktów z organizacjami typu wojskowego. Czyli przede wszystkim z regularną armią.

To rodziło realne zagrożenie konfliktami między kadrą oficerską a żołnierzami. Jeremy zdecydował, że najlepsze będzie przeciwdziałanie, w drugiej kolejności negocjacje, a dopiero w ostateczności sankcje karne. Na głównych wykonawców tego planu wybrał najbardziej znanych i szanowanych przywódców Baletu, którzy zostali oficerami liniowymi.

W ten sposób Donald został oficjalnie dowódcą wszystkich członków sił zbrojnych Torch przydzielonych do stacji Parmley, jak i zawiadującym akcjami, które miały być stąd przeprowadzane. Wiedział jednak, podobnie jak wiedzieli to wszyscy inni, że za akcje zbrojne odpowiedzialna była tak naprawdę Kabweza, obiema fregatami przypisanymi do stacji zaś dowodził w rzeczywistości porucznik komandor Jerome Llewellyn.

Fregaty trafiły tutaj, ponieważ były zbyt małe i słabo uzbrojone, żeby móc współdziałać ze współczesnymi flotami. Ich niegdyś rolę przejęły obecnie niszczyciele, które budowano coraz większe. Żadna flota, o ile chciała być traktowana poważnie, nie utrzymywała już fregat. Owszem, nadal istniało zapotrzebowanie na relatywnie małe jednostki, jednak tę lukę wypełniły kutry, niebywale zmodernizowane podczas ostatnich wojen. W odróżnieniu od zwykłych okrętów, w których trzeba było poświęcić znaczną część masy na siłownię zapewniającą prędkości nadświatłne, lekkie kutry były jednostkami podświatlnymi. Dzięki temu można było łatwo wzmocnić ich uzbrojenie, opancerzenie i ekrany burtowe.

W tej postaci były bardziej skuteczne w walce i jednocześnie bardziej odporne na uszkodzenia, a kosztowały znacznie mniej niż fregata.

Kutry miały wszakże jedną wielką wadę związaną z zasięgiem. Świetnie nadawały się do obrony, ale w przypadku konieczności urządzenia demonstracji siły trzeba było dysponować dodatkowo lotniskowcem, żeby przewieźć je do innego układu planetarnego. Lotniskowce zaś były bardzo, bardzo kosztowne.

Do niedawna niewielka flota Torch składała się z ledwie piętnastu fregat zbudowanych dla niej przez Hauptman Cartel. Siedem należało do typu „John Brown”, osiem do nowszego typu „Nat Turner”. Pierwszy był modernizacją konwencjonalnych fregat, podczas gdy drugi wywodził się ze znacznie nowocześniejszego i zdolnego do lotów nadświatlnych typu „Shrike”.

Sytuacja zmieniła się radykalnie, gdy Luiz Roszak przekazał Torch ciężki krążownik *Spartacus* i wszystkie jednostki, które poddały się po bitwie o Torch, niemniej ten wspaniały w swej istocie dar stał się również poniekąd kłopotem. Przede wszystkim wiązało się to z wcześniejszą, bardzo prostą strukturą Marynarki Torch, po drugie zaś, wcześniej dysponowała ona tylko fregatami, ponieważ na nic droższego nie mogła sobie pozwolić, a i to nie byłoby możliwe, gdyby nie promocyjne stawki zaproponowane przez Hauptmana. Poza tym, i to może było nawet najważniejsze, fregaty nadawały się idealnie do szkolenia załóg.

Z oczywistych przyczyn wśród byłych niewolników niewielu było wykształconych techników, mających pojęcie o obsłudze jednostek nadświatlnych, i to nie tylko okrętów wojennych. Ledwie garstka potrafiła odnaleźć się na dużych jednostkach w rodzaju krążowników liniowych czy superdreadnoughtów, które stanowiły trzon współczesnych flot. Potencjalnych dowódców takich olbrzymów w ogóle nie mieli. Ci, którzy

przeszli wcześniej przez flotę, wywodzili się zwykle z piechoty morskiej albo służyli tam jako prości marynarze. Ochotnicy z Beowulfa i Manticore, gdzie wyzwoleni niewolnicy i ich potomkowie z wielką werwą podejmowali służbę wojskową, stanowili jak dotąd garstkę, chociaż była to garstka zdecydowanie najlepiej przygotowana do pełnienia obowiązków. Niemniej nie było ich dość do obsadzenia ciężkich jednostek, nawet gdyby Królestwo Torch mogło sobie pozwolić na ich kupno. A bez wyszkolonego personelu nawet najnowocześniejszy krążownik liniowy nie mógł wiele zdziałać.

Większość biednych planet, które stawiały czoło takim samym problemom, rezygnowała całkowicie z posiadania własnej floty. Co najwyżej utrzymywała jakieś skromne siły dla poprawy samopoczucia. Ogólna zasada była taka, że demokratyczne planety ograniczały się do kosmicznego odpowiednika „straży ochrony wybrzeża”, dyktatury i inne autokratyczne twory zaś fundowały sobie coś, co i tak było za słabe, by liczyć się w prawdziwej wojnie, ale mogło zrobić wrażenie na laikach. Zwykle dotyczyło to despotów uwielbiających paradować w wymyślnych mundurach z całymi rzędami orderów na piersi.

Na Torch uznano, że przy tak rozwiniętym przemyśle farmaceutycznym już za kilka lat może być ich stać na prawdziwą flotę. Raczej małą, ale dość silną, żeby obronić się samodzielnie przed intruzami, których odparł Luiz Roszak. A dzięki niemu mieli już rdzeń takich sił, który można było rozbudowywać. Najpierw jednak musieli wyszkolić załogi, by to wszystko obsadzić, a do tego akurat fregaty typu „Nat Turner” nadawały się idealnie. Zbyt słabe, by przetrwać współczesne starcie, były jednak dość duże i szybkie, by przyszli oficerowie i marynarze mogli się na nich uczyć fachu.

Na dodatek, jak to mawiano, fregata fregacie nierówna. „Turnery” były w sumie groźniejsze, niż mogłoby się wydawać. Jako rozwinięta wersja

posiadanych przez RMN kutrów typu „Shrike” miały dwukrotnie więcej wyrzutni pocisków oraz parę grzbietowych graserów z dodatkowym rufowym uzbrojeniem energetycznym. Ich elektronika została uproszczona, jak zwykle w wersjach eksportowych (a dodatkowo miały przecież operować w rejonie dominacji Haven, umowę zaś zawierano w czasie, gdy nikomu się jeszcze nie śniło, że oba mocarstwa zostaną sojusznikami), w praktyce jednak dysponowały potencjałem bojowym porównywalnym z większością używanych obecnie niszczycieli, które w bezpośredniej walce nie byłyby dla nich żadnym przeciwnikiem. Przewyższały też pod tym względem parametry jednostki przekazane z zasobów Urzędu Bezpieczeństwa. Owszem, Republika Haven obiecywała im w swojej łaskawości nowe okręty, ale do czasu ich nadejścia „Turnery” były najlepszymi jednostkami szkoleniowymi, o jakich mogli marzyć.

Z drugiej strony, póki co podstawą były symulacje działań bojowych. Wcześniej czy później dobrze byłoby sprawdzić załogi w prawdziwej walce.

Tyle że należało w tym celu wybrać właściwego przeciwnika. Najlepszym kandydatem było oczywiście uwikłane w handel niewolnikami Manpower, które utrzymywało różne placówki w całej zasiedlonej części galaktyki. Ten wróg był z jednej strony dość twardy, z drugiej zaś wystarczająco słaby, żeby dostarczyć rodzącej się Marynarce Torch okazji do praktycznych ćwiczeń.

I stąd też pojawił się *Hali Sowle*. Główny problem występujący przy użyciu fregat przeciwko handlarzom niewolników, zwłaszcza gdy chciało się atakować placówki, nie inne uzbrojone jednostki, wiązał się z faktem, że trudno było je zamaskować. Fregaty rzucały się w oczy i nie można było ich pomylić z niczym innym. Tylko najbardziej niedouczeni handlarze mogli jeszcze nie usłyszeć o tym, że na planecie zwanej Verdant Vista

doszło do rewolty – byli niewolnicy opanowali ją i przechrzcili na Torch. Ta nazwa miała swoje znaczenie, a co więcej, planeta wypowiedziała wojnę Mesie, jej flota zaś składała się głównie z fregat. Jasne, nie ona jedna dysponowała tymi jednostkami, ale większość pozostałych to były małe światy trzymające się na uboczu historii albo państewka walczące akurat o byt na obszarze pogrążonej w chaosie Konfederacji Silesiańskiej.

Jeśli zatem obsługa jakiejś placówki dojrzałaby fregatę wchodzącą do układu planetarnego, od razu wiedziałaby, co o tym myśleć.

Hali Sowle nie budził takich podejrzeń. Trampy były od zawsze używane przez handlarzy; jedne transportowały niewolników, inne dostarczały wszystko, co było potrzebne w tym interesie. Pojawienie się takiego frachtowca było czymś całkiem naturalnym, nawet jeśli ta konkretna jednostka nie gościła wcześniej w tym czy innym układzie.

Fregaty typu „Nat Turner” mieściły się bez trudu w ładowni przeciętnego frachtowca, co znacznie ułatwiało wszelkie operacje.

Właściciel i operator *Hali Sowle* zgodził się oczywiście na takie wykorzystanie statku, ale Ganny El i tak miała własne zdanie i oczekiwania, a popierał ją cały klan, w którego imieniu się targowała.

Nie ustępowała więc łatwo. Jak dotąd wywalczyła na Beowulfie pokrycie kosztów prolongu dla wszystkich członków klanu, którzy byli dość młodzi, żeby się mu poddać. Potem wzięła się do zapewnienia im jak najlepszego wykształcenia. Także za cudze pieniądze.

W tym przypadku kandydatami byli Manticore, Beowulf oraz liczne światy z centralnych obszarów Ligi Solarnej.

Liga z oczywistych powodów odpadała, Ganny zaczęła więc pracować nad Manticore i Beowulfem, które to państwa były też czystym przypadkiem patronami nowo powstałego Królestwa Torch.



W praktyce pojawiły się jednak niejake trudności związane z budową starego frachtowca, który nie był w żaden sposób przystosowany do wprowadzania fregat do swego wnętrza. Co gorsza, jako jednostka przestarzała nie miał też możliwości współpracy z sondami zwiadowczymi dalekiego zasięgu, których wykorzystanie miało zasadnicze znaczenie dla powodzenia misji. Zdecydowano się więc na kompromisowe rozwiązanie, czyli umieszczenie fregat na kadłubie frachtowców z wykorzystaniem mocowań zaprojektowanych kiedyś dla zewnętrznych kontenerów ładunkowych. W ładowni miano ulokować urządzenia wsparcia i łączności.

W sumie wyszło więc nawet dobrze. Zakładając oczywiście, że Ganny nie zacznie manewrować bez ładu i składu, gdy podejną już do celu. Raczej nie powinna, bo chociaż w pewien sposób szalona, swój rozum miała. W takiej sytuacji nikt nie powinien zauważyć uczeplonych kadłuba fregat. Zwłaszcza jeśli frachtowiec będzie cały czas ustawiony dolnym albo górnym ekranem w stronę przeciwnika.

Ostatni problem wiązał się z podłączeniem nowoczesnych systemów łączności fregat z tym, co kiedyś zbudowano na starym frachtowcu. Ta część roboty stanowiła prawdziwe piekło.



– Jeśli dopadnę kiedyś tego pedofila, który zmajstrował ten program, Bóg mi świadkiem, że mu rączki i nóżki, i jeszcze coś powyrywam – rozległo się z interkomu głośniej nawet niż zwykle.

Donald Toussaint skrzywił się mimowolnie. Loren, który oderwał się na chwilę od pracy przy sąsiedniej konsoli, zaraz to zauważył.

– Aż tak ci to przeszkadza? – spytał ze śmiechem. – Spróbuj może z nią kiedyś pogadać.

Donald spojrział na niego zdumiony.

– A co, próbowałeś?

– Osobiście nie. Jasne, że nie. I dzięki Bogu. Ale różne rzeczy słyszałem. Mało budujące.

– Nie, nie będę ostrzyć noża. Pierdolić miłosierdzie. Użyję piły ręcznej, jak w średniowieczu. Tak, dobrej piły z wielkimi zębami. Nigdy o tym nie słyszałeś? To dowiesz się czegoś nowego, chłopaczku...

CZERWIEC 1922 ROKU PO DISAPORZE

„Gdy zabijałem ludzi na sztuki, byłem terrorystą. Teraz, gdy jestem żołnierzem, zabijam hurtowo i jeszcze mi za to płacą”.

– Sierżant Supakrit X, Royal Torch Marines

ROZDZIAŁ XII



Anton Zilwicky odniósł wrażenie, że Jacques Benton-Ramirez y Chou ledwie powstrzymał się przed rozłożeniem rąk albo jakimś innym gestem wyrażającym bezradność. Na przykład mrugnięciem jednym okiem. Jacques był nieoficjalnym i dobrze zakonspirowanym łącznikiem między Beowulfem a Baletem. Poza tym pełnił funkcję ministra bez teki w rządzie planety.

Komuś obcemu system polityczny Beowulfa mógł wydać się dziwaczny. Podobnie jak wiele innych rzeczy, chociażby nazwanie elitarnych sił szybkiego reagowania Korpusem Zwiadu Biologicznego. Co więcej, nie była to wyłącznie przykrywka – nazwa miała swoje historyczne uzasadnienie. Wieki wcześniej jego członkowie faktycznie zajmowali się zwiadem. Niemniej zgodnie z miejscową logiką mieszkańcy Beowulfa uważali, że robota wykonywana przez takiego Hugh Araia nadal ma coś wspólnego z biologią.

Jakim cudem? Anton nie miał pojęcia. Niemniej był tylko prostym góralem z Gryphona. Jego zdaniem związek ograniczał się do tego, że Korpus regularnie okaleczał, patroszył, rozczłonkowywał i zabijał żywe organizmy swoich przeciwników.

– Szkoda, że nie udało wam się zabrać McBryde’a – powiedział Jacques, ale uśmiechnął się przy tym do Antona i Victora, dając do zrozumienia, że nawet nie próbuje ich krytykować. Po prostu żałował, że coś się nie udało. I miał rację.

– Zgadzam się – odparł Victor. – Herlander Simões jest w sumie dość ograniczony, przydałby się nam ktoś lepszy. Jasne, sporo wie o „otwartym” społeczeństwie Mesy, ale pomijając kwestie techniczne, jest niemal ignorantem. Także w sprawie Równania. Jego przełożeni na pewno dbali, żeby tak to właśnie wyglądało. To, co wie, usłyszał pewnie od McBryde’a, zanim uciekli. Owszem, przyjaźnili się, ale McBryde był funkcjonariuszem służby bezpieczeństwa. Może niskiego szczebla, ale jak oni wszyscy miał zakodowane, by nie kłapać dziobem. Na pewno większość istotnych spraw zachował dla siebie.

Eloise Pritchard poruszyła się lekko na krześle. Nie żeby było jej niewygodnie. Jak wszystkie meble należące do rodziny królewskiej Manticore, i ten był najwyższej jakości. Dopasowywał się idealnie do sylwetki siedzącego.

Podobnie jak przedstawiciel Beowulfa, czuła się sfrustrowana. Tak samo jak Jacques, była na tyle świadoma sytuacji, żeby nie winić Cachata i Zilwickiego, którzy sprawili się zdumiewająco dobrze podczas tej akcji. Ale tak już bywa, że nie można mieć wszystkiego i czasem coś się wymyka.

Jack McBryde, człowiek, który przekazał im tak wiele informacji, zginął z własnej ręki. Wiedząc o zbliżających się do niego agentach Mesy, zdecydował się na wysadzenie Centrum Gamma.

Ten, którego Cachat i Zilwicki zdołali wywieźć z Mesy, był naukowcem. Okazał się bezcennym źródłem wielu danych technicznych, ale poza tym wiedział niewiele. Czy też inaczej: znał mało szczegółów. Niemniej zdołał uzupełnić informacje dostarczone wcześniej przez McBryde’a, dzięki czemu uzyskali w miarę pełny ogólny obraz sytuacji. Trzy punkty wydawały się w nim najważniejsze.

Pierwszy – w ramach struktur rządowych i korporacyjnych Mesy i Manpower istniała niejawna organizacja znana jako Równanie.

Drugi – Równanie powstało już dawno temu, zapewne w czasie kolonizacji Mesy sześć stuleci wcześniej. Jego zaczątkiem byli ludzie skupieni wokół Leonarda Detweilera, wcześniej przywódcy frakcji politycznej na Beowulfie, która sprzeciwiała się zaostreniu przepisów dotyczących dozwolonych manipulacji ludzkim genomem. Wszyscy sądzili, że stworzenie Manpower Inc. zaspokoiło ich apetyty i wystarcza im selektywne poprawienie genów tej grupy, która wyemigrowała z nimi na Mesę. Nikt nie podejrzewał, że ingerencje genetyczne w ich własne organizmy zaszły o wiele dalej, niż pierwotnie zakładali, przy czym prawda o tym nie przeniknęła wcześniej poza krąg zainteresowanych.

Trzeci – ostatecznym celem Równania było nic innego jak podbój zamieszkaną przez ludzi części galaktyki. Próbowano dokonać tego środkami znacznie subtelniejszymi niż otwarta walka, ale skutek miał pozostać taki sam. Równanie chciało podporządkować sobie ludzkość i narzucić wszystkim swój punkt widzenia na kształtowanie i poprawianie gatunku.

Poza tym zdołano ustalić także kilka innych rzeczy. Po pierwsze, Równanie wynalazło co najmniej jeden, a zapewne dwa nowe typy napędu jednostek kosmicznych, opartych na rewolucyjnych wręcz zasadach fizycznych. Po drugie, użyło jednostek z nowym napędem podczas lutowego ataku na Manticore. Po trzecie, było odpowiedzialne za szereg zabójstw oraz prób zabójstw z wykorzystaniem nieznanymi dotąd nanotechnologicznymi metod kontroli umysłu. Zamordowano w ten sposób Yves'a Grosclaude'a, porucznika Timothy'ego Mearesa, admirała Jamesa Webstera, Larę Novakhoskayą i prawie trzysta innych osób. Zginęły one podczas nieudanego zamachu na Berry Zilwicką i Jwei-shwan Andermana,

krewnego Imperatora Gustava Andermana, drugiego w kolejności do tronu Imperium. Z pewnością były jeszcze inne śmierci, o których póki co nie wiadomo, jak i jedna dobrze znana, spektakularna porażka związana z osobą Honor Alexander-Harrington.

Po czwarte, Równanie było w znacznym stopniu odpowiedzialne za wybuch i przebieg wojny między Republiką Haven a Królestwem Manticore. Na przykład można już było stwierdzić z całą pewnością, że były sekretarz stanu Republiki Haven, Arnold Giancola, był agentem Równania, skoro Yves Grosclaude był jedynym człowiekiem mogącym dowieść, że to Giancola sfałszował korespondencję dyplomatyczną i pchnął oba państwa do wznowienia konfliktu.

Ostatni, czwarty punkt nie był równie dobrze udokumentowany jak pierwsze trzy, ale różnica w tej materii była naprawdę niewielka. Zdaniem Antona chodziło o prawdopodobieństwo rzędu 99,8 procent zamiast 99,9. Mogłoby to zainteresować jedynie akademickich specjalistów od statystyki.

Po wypowiedzi Victora w sali zapadła cisza na tyle długa, że zrobiło się dziwnie. Wreszcie Królowa Elżbieta położyła dłonie na blacie stołu i zdecydowała się zabrać głos.

– Nie ma co płakać nad stratą, której nie cofniemy. Musimy pracować z tym, co mamy. Pytanie na dzisiaj: jaki powinien być nasz następny krok?

Anton już chciał odpowiedzieć, ale Victor go uprzedził.

– Musimy wrócić na Mesę i wypełnić luki w naszych danych.

Anton zamierzał zasugerować to samo. Usiadł więc wygodnie i poczekał na nieuchronny wybuch emocji.

Który nastąpił. Wszyscy zaczęli mówić równocześnie.

– To szaleństwo – rzuciła prezydent Pritchard.

– Zwariowaliście? – spytała Królowa Elżbieta.

– To wyjątkowo głupi pomysł. – Benjamin Mayhew, protektor Graysona.
– Postradali zmysły. – Premier Alexander.
– To najbardziej szalony pomysł, o jakim słyszałem, niemniej... –
Admirał Givens.

– Czyste samobójstwo. – Pierwszy Lord Przestrzeni Caparelli.
– Prościej wyjdzie, jak od razu palnicie sobie w łeb. – Minister spraw
zagranicznych Langtry.

Ostatni odezwał się sekretarz wojny Republiki Haven Tom Theisman:

– Odbiło wam.

Co ciekawe, Hamish Aleksander-Harrington też chciał coś powiedzieć,
ale zamknął usta, zauważywszy, że Honor milczy. Można było sądzić, że jej
akurat też przyszedł ten pomysł do głowy.

A co jeszcze ciekawsze, Jacques Benton-Ramirez y Chou zacisnął tylko
usta i rozglądał się po sali w taki sposób, jakby dyskusja chwilowo go nie
obchodziła. Anton zaraz to zauważył.

O czym on myślał? Tego Anton nie potrafił odgadnąć, ale gość
z Beowulfa musiał coś wiedzieć. Coś ważnego i zapewne interesującego.

– Victor ma rację – powiedział Anton, gdy gwar już ucichł. – To jest coś,
co trzeba zrobić, i w oczywisty sposób to my nadajemy się najbardziej na
wykonawców takiego zadania. I nie, to nie jest szaleństwo. Na pewno
będzie niebezpieczne. Bardzo niebezpieczne. Ale nie nazwałbym tego
samobójstwem.

– Proszę o wyjaśnienie – odezwała się Honor. – Przebranie nie
wystarczy, nawet nanotechnologiczna zmiana ciała to będzie za mało
w waszym przypadku. Wcześniej czy później zdobędą próbki waszego
DNA. Może już je mają, jeśli zostawiliście jakieś ślady na Mesie.

– Bardzo w to wątpię – odparł Victor. – Nawet jeśli coś znaleźli, w co nie wierzę, bo bardzo uważaliśmy, istnieje moim zdaniem szansa jedna na dziesięć, że dysponują czymś, co da się wykorzystać.

– Dlaczego? – spytał Hamish. Podobnie jak jego żona raczej z zainteresowaniem niż sceptycyzmem.

– Za sprawą Jacka McBryde’a – wyjaśnił Anton, który omawiał to już wielokrotnie z Victorem. – Wybuch, który zniszczył Centrum Gamma, musiał być spowodowany przez ładunek nuklearny. Tylko tak można wytłumaczyć stopień zniszczenia budynku i relatywnie małe szkody w okolicy. A to oznacza...

– Że ładunek został przygotowany dużo wcześniej – podjął Victor. – A skoro jedna osoba zdołała go odpalić, musiał zostać umieszczony tam przez samo Równanie. Czyli...

– Czyli było to ich własne zabezpieczenie – dopowiedział Anton. – Już od jakiegoś czasu musieli się obawiać, że ktoś zaatakuje Mesę. Ostatecznie jest to układ z jedną tylko zamieszkaną planetą, pozbawiony liczącej się floty. Zadbali więc o to, żeby ewentualny najeźdźca nie miał szansy trafić na jakikolwiek ślad ich istnienia.

– Żeby nadal mogli udawać członków zwykłych bandyckich korporacji – dokończył Victor.

– A to sugeruje oczywiste wnioski – dodał Anton.

Na chwilę znowu zapadła cisza.

– Czemu czuję się jak idiotka? – spytała wreszcie Królowa Elżbieta i spojrzała na obu agentów. Nie jak idiotka, raczej jak bazyliszek. – Wyjaśnijcie. W tym towarzystwie tylko wy jesteście szpiegami. Jakie są te oczywiste wnioski?

Anton i Victor spojrzeli po sobie. Z wyrazu twarzy Victora, którego nikt inny z obecnych na pewno nie potrafił przeniknąć, Anton wyczytał niemą prośbę: „To twoja Królowa. Do jasnej cholery, wyjaśnij to tak, żeby nie wkurzyć jej jeszcze bardziej”.

Anton odchrząknął.

– Wasza Wysokość, poznaliśmy Jacka McBryde’a na tyle, aby uzyskać pewność, że był ważną figurą w Centrum Gamma. Na tyle ważną, jak się okazało, że był w stanie uruchomić detonator samodzielnie, bez udziału drugiej osoby.

Hamish, Theisman i Caparelli chrząknęli niemal równocześnie. Honor otworzyła szeroko oczy.

– Jezu Chryste – rzucił Pierwszy Lord Przestrzeni. – Jak mogło nam to umknąć?

Wzrok monarchini był niemal zdolny zamieniać ludzi w kamień. Caparelli natychmiast to dostrzegł i pospieszył z wyjaśnieniami:

– Programów autodestrukcji na taką skalę nie projektuje się w sposób umożliwiający uruchomienie przez jedną osobę, Wasza Wysokość. Chyba że ktoś posiada specjalne upoważnienie. Albo sam je sobie nadał.

– Zaraz zmienię was w kamień i będziecie wietrzeć z wolna przez eony lat...

Honor Harrington zaśmiała się.

– Rzecz w tym, Elżbieto, że McBryde albo miał uprawnienia do samodzielnego odpalenia ładunku, co wydaje się możliwe, biorąc pod uwagę znaczenie Centrum Gamma, albo zhakował system i sam je sobie przyznał. W pierwszym przypadku musiał być kimś ważniejszym, niż wcześniej zakładaliśmy, a to by znaczyło, że niemal na pewno miał dostęp do systemów bezpieczeństwa wewnętrznego Równania. Może tylko

w obrębie Centrum Gamma, ale to wystarczyło, by samemu coś do nich wprowadzić. Jeśli zaś sam się do tego dobrał, to zapewne był dość zdolny, żeby wejść, dokąd tylko miał ochotę. Albo prawie.

Bazyliiskowe spojrzenie nie złagodniało, ale zagrożenie jakby zmalowało. Zdawało się móc zmieniać żyjące istoty już raczej w wapień niż bazalt.

– Dobrze. Rozumiem. I co dalej...?

– Co jeszcze mógł zrobić? – spytała Honor. – Jakie działania przedsięwziął, żeby uszkodzić system bezpieczeństwa Równania? Zamierzał uciec i był skłonny się zabić, gdyby ucieczka się nie powiodła. To znaczy, że był wściekły. Musiał być. Nie pełen gotującej się złości. Co to, to nie. Ktoś taki musiał być chłodny i panować nad sobą. Ale czuł wściekłość. I miał serdecznie dość Równania. Nie odszedłby, nie zadbawszy o wyrządzenie organizacji jak największych szkód.

Spojrzenie Królowej mogłoby zmieniać już tylko w skamieniałe drewno. I szybko złagodniało. Elżbieta oparła się wygodniej na krześle. Sądząc po wyrazie oczu, zaczynała chyba coś rozumieć.

Theisman uznał, że napięcie opadło do poziomu, przy którym może się odezwać.

– Mógł sobie obrać wiele celów, Wasza Wysokość. Jednym z nich była na pewno kontrola orbitalna Mesy. Dlatego *Hali Sowle* udało się odlecieć bez żadnych problemów. Może nigdy nie dowiemy się, co jeszcze zrobił, ale wydaje się prawie niemożliwe, zważywszy na to, czym się zajmował, że nie spróbował zniszczyć banku danych Równania dotyczących wrogów organizacji.

– W tym przypadku nie musimy w sumie zgadywać – powiedział Victor. – Herlander przekazał nam, że nazwa kodowa planu McBryde'a brzmiała „Eggshell”. Chciał rozbić skorupkę jaja. Możemy zatem sądzić, że chodziło

o poczynienie jak największych zniszczeń w systemie bezpieczeństwa Równania. – Wzruszył ramionami. – Ich skali możemy nigdy nie poznać, podobnie jak nie dowiemy się, jakie obszary miał przede wszystkim na uwadze. W pierwszym rzędzie musiał skupić się na danych dotyczących Baletu. Jednak łatwiej by mu było... – Spojrzał na Zilwickiego. – Tutaj Anton jest ekspertem. Niech on wyjaśni.

– Próba wyłuskania danych na temat Baletu byłaby marnowaniem czasu, Wasza Wysokość. Po co tak się trudzić? O wiele prościej było unicestwić wszystko, co wiązało się z inwigilacją przeciwników. Która to kategoria oczywiście...

– Obejmuje także nas – dopowiedział Victor. – Dlatego sądzimy, że na Mesie nie mają żadnych zapisów naszego DNA. O ile kiedykolwiek je mieli, w co raczej wątpię.

Znowu zapadła cisza.

– Ale pewności mieć nie można – powiedział Benjamin Mayhew.

– Nie można. – Victor wzruszył ramionami. – Nasza praca zawsze wiąże się z ryzykiem. Ale po prawdzie działaliśmy już w gorszych okolicznościach.

Królowa spojrzała na nich sceptycznie. Już tylko sceptycznie.

– Z rzadka – sprecyzował Victor.

– Kiedy na przykład? – spytał Langtry.

– W przypadku Victora podczas incydentu Manpower – powiedział Anton. – Wtedy szanse były naprawdę marne. Oczywiście był wtedy młodszy i głupszy, nie rozumiał w pełni różnicy między skalkulowanym ryzykiem a szaleństwem.

Anton uśmiechnął się krzywo.

– Nawet jako młodziak trzymałem się od tej granicy dalej niż on. Ale teraz dobrze znam już tę różnicę. Nasza propozycja to nie szaleństwo. To zwykłe ryzyko.

– Diabelne ryzyko – mruknął Theisman.

– Może i tak. Ale wiąże się z samą naturą działania. Infiltracja systemu bezpieczeństwa Równania na Mesie będzie ryzykowna niezależnie od tego, czy mają nasze DNA, czy nie. Ale zgadzam się z Victorem. Nie sądzę, żeby je mieli.

Jacques Benton-Ramirez y Chou, który przez cały ten czas milczał, sprawiając wrażenie zatopionego we własnych myślach, zdecydował się wreszcie odezwać:

– To bez znaczenia. Nawet jeśli mają wasze DNA, jakikolwiek jego zapis, da się to obejść. Przynajmniej teoretycznie. Nigdy jeszcze nie sprawdzaliśmy tego w warunkach operacyjnych.

Królowa zacisnęła wargi.

– A co to dokładnie jest? – Jej spojrzenie znowu niebezpiecznie stwardniało. – Dlaczego wszyscy prócz mnie próbują być dzisiaj tacy tajemniczy?

Jacques zerknął na nią przepaszająco.

– Nie próbuję być tajemniczy, Wasza Wysokość, ale pracujemy nad tym zagadnieniem już długo i jakiś rok temu otrzymaliśmy pierwsze efekty. To projekt ściśle tajny, a pewne odruchy trudno wyeliminować. Nie potrafię mówić o tym tak otwarcie. To jak... – Wydął policzki, szukając stosownego porównania.

Królowa uśmiechnęła się lekko.

– Proszę jednak spróbować.

Wokół stołu rozległy się ciche śmiechy i wesołość udzieliła się także samemu Bentonowi-Ramirezowi y Chou. Wzruszył ramionami, jakby pozbywał się ciężkiego brzemienia, i zaczął mówić:

– Sprawa opiera się na tym, co udało nam się...

W tej chwili usłyszeli pukanie do drzwi. Prawdziwe pukanie, nie odgłos brzęczyka czy inny mechaniczny sygnał. Anton domyślał się, że spotkania odbywające się w pałacu rzadko bywały przerywane, a tym samym nikt nie ustalił sygnału, który pozwoliłby zrobić to bardziej dyskretnie.

Elżbieta zmarszczyła brwi.

– Wejść.

Drzwi otworzyły się i w progu stanęła kobieta, w której Anton rozpoznał jedną z asystentek Królowej, chociaż nazwiska nie pamiętał. Była wyraźnie spięta.

– Przepraszam, że przeszkadzam, Wasza Wysokość, ale zdarzyło się coś niezwykłego...

– Przejdź od razu do rzeczy, Beatriz – przerwała jej Królowa.

– Zjawiała się delegacja z Królestwa Torch, Wasza Wysokość. Chociaż może „delegacja” to nie jest właściwe słowo. Większość ich rządu do nas przyleciała.

Irytacja na twarzy Królowej zniknęła, zastąpiona wyrazem czystego zaskoczenia.

– A kto dokładnie?

– Królowa Berry. Premier Du Havel. Sekretarz wojny... X. Dowódca sił zbrojnych, generał Palane. I wasza kuzynka, księżniczka Ruth.

– Wielki Boże. Dobrze, wprowadź ich zatem. – Królowa zmierzyła spojrzeniem stół konferencyjny i zwróciła się do swoich gwardzistów: – Musimy zrobić tu trochę miejsca. Zajmie się pan tym, poruczniku Tengku?

Porucznik sięgnął do przycisku na ścianie, tak zgrabnie zamaskowanego, że Anton wcześniej go nie zauważył. Wysunął się mały panel kontrolny i chwilę później stół zaczął się wydłużać. Czy raczej zajmowana przezeń przestrzeń zaczęła puchnąć. Antonowi skojarzyło się to z opisem rozszerzania się wszechświata. Nic nie zmieniało swojego położenia w przestrzeni, raczej samej przestrzeni przybywało.

Sala nie zrobiła się od tego ani trochę większa, ściany nie drgnęły, ale krzesła wraz z siedzącymi na nich ludźmi znalazły się jakby dalej od siebie. Prawie nie czuło się przy tym ruchu podłogi.

Spojrzał na Victora, żeby zobaczyć jego reakcję na nagłe zjawienie się Thandi Palane. Agent specjalny z Haven miał trochę nieprzytomne oczy i Anton omal nie wybuchnął śmiechem.

Był jednak pewien, że Victor przede wszystkim cieszy się na to spotkanie. Chociaż targają nim zapewne i inne emocje. Strach. Obawa. Trwoga. To byłaby długa lista.

ROZDZIAŁ XIII



Wskazane byłoby najpierw dokonać prezentacji – powiedziała Królowa Elżbieta, gdy delegacja z Królestwa Torch zajęła miejsca przy stole. – Ta młoda dama, która siedzi u szczytu stołu naprzeciwko mnie, to Królowa Berry, córka Antona Zilwickiego. Wszyscy znacie premiera Du Havla, który siedzi obok niej, jak i oczywiście moją kuzynkę Ruth. Z drugiej strony Królowej Berry siedzi głównodowodząca sił zbrojnych Torch, generał Thandi Palane.

Victor był pod wrażeniem. Królowa Manticore nigdy wcześniej nie spotkała Thandi. Musiała postarać się zapamiętać jej wygląd z nagrań. W galaktyce była cała masa monarchów, którym nigdy nie przyszłoby to do głowy. Na Manticore panowały jednak inne zwyczaje.

Zastanowił się, czy wszystkich tak dobrze zapamiętała. I czy dobrze odgadnie. Elżbieta wpatrywała się w ostatniego z członków delegacji, którego podobizny były rzadkością. Inni też na niego patrzyli, niektórzy ze zdumieniem.

Najwyraźniej i w tym przypadku się postarała.

– No i oczywiście nikt z nas nie miał do tej pory okazji poznać sekretarza wojny Królestwa Torch. Przyznaję, że etykieta trochę mnie w tym momencie zawodzi. Czy właściwym będzie zwracać się do pana per „Panie X”?

Jeremy uśmiechnął się szeroko.

– O bogowie! Nie, Wasza Wysokość, najlepiej będzie po prostu Jeremy.

Wszyscy nadal nie spuszczaali z niego oka. Ostatecznie był najślynniejszym terrorystą galaktyki. Albo bojownikiem o wolność, zależnie od punktu widzenia. Niemniej tak czy siak był naprawdę kimś!

– Bardzo proszę wszystkich, by porzucili mroczne myśli – powiedział, nie przestając się uśmiechać. – Rogi i kopyta zostawiłem w domu. Zabrałem tylko ogon, ale zapewniam was, że to już tylko dekoracja.

Niektórzy z obecnych się uśmiechnęli, a Benjamin Mayhew roześmiał głośno. Protektor Graysona rozejrzał się wokół.

– Jeśli interesuje was opinia eksperta z Graysona, to powiem, że Jeremy X wykazuje spore braki w podobieństwie do diabłów opisanych w Księdze Stworzenia. Jak i do tych, które naprawdę krążą po świecie – dodał poważniej. – Na przykład na Mesie. Ale tutaj ich nie ma. Nie dzisiaj i nie w tej sali.

Nimitz ziewnął i spojrział na Jeremy'ego. Po czym bleeknął z rozbawieniem.

Te dwie reakcje zdecydowanie rozluźniły atmosferę. Tylko dwaj gwardziści z Graysona i dwaj członkowie Queen's Own pozostali niewzruszeni i nadal nie spuszczaali oczu z Jeremy'ego. I chyba nie mieli zamiaru dać mu żadnych forów aż do końca spotkania.

On nie zwracał na nich uwagi, jeśli nie liczyć pierwszego spojrzenia, zaraz po wejściu.

Gdy sytuacja wróciła do normy, Elżbieta skinęła na Bentona-Ramireza y Chou.

– Jacques zaczął nam właśnie wyjaśniać, z czym wiąże się jeden z tajnych programów Beowulfa, który...

– Najpierw powinniśmy zapewne wprowadzić przyjaciół z Torch w nową propozycję wysuniętą przez pana Zilwickiego i agenta specjalnego Cachata – odezwała się z uśmiechem Honor.

Wszyscy spojrzeli na tę dwójkę. Thandi Palane od początku zachowywała obojętny wyraz twarzy. Można by pomyśleć, że nigdy wcześniej nie spotkała Cachata. Chociaż emocje się w niej kłębiły, była przede wszystkim zawodowym żołnierzem i nie zwykła ich okazywać.

– Czy zechce pan zabrać głos, agencie Cachat? – spytała Honor Harrington.

Victor streścił to, o czym wcześniej rozmawiali. Bez wnikania w argumenty za i przeciw, same najważniejsze kwestie.

Gdy skończył, znowu rozległa się wrzawa, chociaż tym razem mniejsza.

– Nie, tato, nie możesz – odezwała się Królowa Berry.

– Ale poza tym wszyscy zdrowi? – Sekretarz wojny Jeremy X.

– Bez sensu kombinujecie. Nie macie żadnych szans. – Premier Du Havel.

– Komuś tu solidnie odbiło. – Księżniczka Ruth Winton.

Jedynie Thandi Palane się nie odezwała. Uniosła tylko brew, jakby zaintrygowana pomysłem, ale z zamiarem osądzenia go później.

Niewiele później, jak się okazało.

– Powiedz im, że nie mogą tego zrobić, Thandi – zwróciła się do niej Berry. – Tata może nie, ale Victor cię posłucha. A bez niego tata nie poleci.

Palane uniosła brew jeszcze wyżej.

– Sądząc po ostatnich wydarzeniach, agent specjalny Cachat nie zwraca uwagi na to, co mówię – stwierdziła całkiem spokojnym tonem, jakby była entomologiem opisującym zachowanie chrząszcza.

Antonowi wydało się, że Victor lekko się skrzywił, ale trudno było o pewność. Zwykle agent specjalny Haven mógł wygrywać z posągami konkursy na najbardziej kamienną twarz.

– Co więcej, nie jestem zwierzchnością żadnego z nich i nie mam nad nimi władzy – kontynuowała Palane. – Przede wszystkim zaś...

Po raz pierwszy pozwoliła sobie na odrobinę emocji. Przepraszający ton.

– To zapewne całkiem dobry pomysł, Berry. Tak naprawdę oni nie są szaleni. A jeśli nawet, to w ten specyficzny sposób, który czyni z nich geniuszy.

– Thandi!

– A może posłuchasz, co mamy do powiedzenia? – zwrócił się Anton do córki. – To nie pomysł, na który wpadliśmy z nudów. Dużo rozmawialiśmy o tym z Victorem, a teraz wydaje się, że Beowulf może jeszcze zwiększyć nasze szanse.

Berry skrzyżowała ręce na piersiach i przez chwilę wyglądała jak uparta dwunastolatka. Potem przypomniała sobie chyba o swym obecnym statusie oraz okolicznościach tego spotkania.

– Dobra – powiedziała z westchnieniem. – Mów.



Wprowadzenie w szczegóły, również takie, które Victor wcześniej pominął, zajęło Antonowi ledwie kilka minut, chociaż co chwilę ktoś próbował mu przerywać, wygłaszając własne zdanie albo jakieś porady. Gdy skończył, spojrzął na Bentona-Ramireza y Chou.

– No i jak pan wspominał...

Jacques przytaknął i zabrał głos:

– Rozwinęliśmy technologię, która, wyjaśniając rzecz prosto, pozwala na maskowanie tożsamości poprzez zasłonę fałszywego DNA. Fałszywego w tym sensie, że nie należy ono do osoby, która je nosi. Technicznie rzecz biorąc, jest ono prawdziwe, tyle że pochodzi od kogoś innego.

Wszyscy spojrzeli na niego ze zdumieniem.

– Jak można zmienić komuś DNA? – spytał minister spraw zagranicznych Langtry, międląc w palcach koniuszek ucha. – Sądziłbym, że...

– Ale wtedy to już nie będzie ta sama osoba – zauważyła Eloise Pritchard. – Przynajmniej tak mi się wydaje. Wasz wynalazek może zrodzić istotne pytania filozoficzne.

Jacques pokręcił głową.

– Filozofia nijak się na tym nie pożywi. DNA zamaskowanej osoby pozostaje bez zmian. Maską polega na... – Skrzywił się trochę, jakby zmuszał się do mówienia. – Na czymś trochę innym. To nie jest aż tak drastyczne, chociaż cofnięcie procesu może być mało przyjemne. Zasadniczo działanie polega na tym, że zamienia się skórę danej osoby na nową, zawierającą cudze DNA.

– Obrzydliwe – rzuciła z niesmakiem Berry.

Anton wzruszył ramionami.

– Niewiele się to chyba różni od regeneracji tkanki skórnej po urazach, chociaż wtedy używa się zawsze własnych genów?

– I najtrudniejszy element to właściwe sterowanie działaniem układu odpornościowego – przytaknął Jacques. – Przy przeszczepach jest to zwykle proste, ale skóra jest największą objętościowo tkanką i wchodzi w kontakt z całym ciałem, przez co sprawa jest szczególnie złożona. Technologia nie ma szans na medyczne zastosowanie, ponieważ ktoś

pozbawiony z jakiegoś powodu stu procent skóry i tak zaraz umiera. Pomyśleliśmy jednak, że dla celów wywiadowczych taka możliwość może być wprost bezcenna, o ile ją dopracujemy.

Victor nawet się nie skrzywił. Służba w instytucjach Republiki Haven przyzwyczaiła go do spokojnego przyjmowania nawet najbardziej groteskowych pomysłów. Mogły one w efekcie okazać się użyteczne w jego pracy. Wydawał się głównie zainteresowany.

– Proszę mnie poprawić, jeśli się mylę – powiedział. – Na ile zrozumiałem, to maskowanie będzie chronić nas przed rutynowymi badaniami DNA z wykorzystaniem włosów, naskórka, śladów potu i tak dalej. Jeśli ktoś spróbuje ustalić naszą tożsamość na podstawie tego, co zostawimy na poręczach czy klamkach, wprowadzi go to w błąd. Ale szczegółowe badania, na przykład na podstawie wymazu z jamy ustnej, to co innego.

– Dobrze pan zrozumiał. Muszę zaznaczyć, że jeśli macie rację i Mesa nie posiada waszego DNA, zastosowanie tej maski zwiększy ryzyko misji.

– Tak, to oczywiste – odparł Victor. – Przy dokładnym badaniu odkryją, że mamy dwa różne DNA, co będzie wybitnie podejrzane nawet wówczas, jeśli wcześniej nikt nie zwróci na nas większej uwagi. – Spojrzał na Antona. – Sądzę, że i tak warto.

Anton pokiwał głową.

– Też tak uważam. Wymazy wezmą tylko wtedy, jeśli naprawdę zaczną coś podejrzewać. Mesa nie jest dyktaturą, swoich obywateli traktuje w miarę dobrze, prawo przestaje się tam liczyć dopiero wówczas, gdy państwo uzna swoje interesy za zagrożone. Jeśli zaliczy nas do wrogów, tak czy siak będziemy mieć kłopoty.

– Co zaś wydaje mi się najważniejsze w tym maskowaniu, to że pozwoli ono na całkowite ukrycie naszej tożsamości – powiedział Victor. – Jeśli mamy rację i nie mają naszego DNA, możemy podstawić im coś pod każdym względem mylącego. Prawda?

Jacques spojrzał na niego ze zdumieniem.

– Nie jestem pewien... Aaa... – Twarz mu się rozpozodziła. – Rozumiem, do czego pan zmierza. Jeśli nawet Mesa nie ma waszego DNA, ogólnie sporo o was wie. Dość, by mieć pewne grupy przybyszów na oku.

– A to oznacza, że będą zwracać szczególną uwagę na wszystkich przybywających z Haven, a dokładniej tych z Nouveau Paris czy z gór Gryphona. Żadna z tych populacji nie jest tak charakterystyczna genetycznie jak mieszkańcy Masady czy Mfecane – stwierdził, zerkając kolejno na księżniczkę Ruth i Thandi – ale mimo wszystko można chyba je odłowić nawet przy rutynowym badaniu.

– Żadne „chyba” – odezwał się Benton-Ramirez y Chou. – Genetyka jest na Mesie rozwinięta nie gorzej niż na Beowulfie. Pod pewnymi względami poszli nawet dalej. Możecie mieć pewność, że bez najmniejszego trudu zidentyfikują ludzi przybywających z Haven czy Gryphona. A nawet dokładnie określą, z jakiego rejonu planety oni pochodzą. Tyle bez wątplenia potrafią.

Victor uśmiechnął się ironicznie.

– Rozumiem. Polecimy zatem jako... – Spojrzał na Zilwickiego. – Kim chciałbyś zostać, Antonie?

– Zawsze miałem słabość do obrzydliwie bogatych oligarchów z Pogranicza. Osobników bez zasad i skrupułów.

– Może chcesz pochodzić z Hakim? – spytał z uśmiechem Jeremy.

– Niech będzie. – Układ Hakim słynął ze skandalicznego zachowania tamtejszej klasy wyższej, no i był mocno oddalony zarówno od Haven, jak i Manticore. – A ty, Victorze? Może jakiś świat z jądra Ligi Solarnej?

Siedząca po drugiej stronie stołu Thandi Palane uśmiechnęła się równie ironicznie jak wcześniej Victor.

– Reporter od siedmiu boleści, zbyt bogaty, żeby naprawdę przykładać się do pracy, ale z rojeniami o wielkiej sławie dziennikarskiej. Na przykład z układu Hirochi, zaludnionego głównie przez kolonistów ze wschodniej Azji. Dodatkowo leży on bardzo daleko od Haven.

Berry aż pobladła.

– Jeszcze ich zachęcasz?

Palane uśmiechnęła się jakby łagodniej.

– To dobry pomysł, Berry. Naprawdę potrzebujemy więcej informacji na temat Równania, a Victor i Anton są akurat najwłaściwszymi ludźmi do tej roboty.

Victor zamyślił się na chwilę.

– W sumie przydałaby się nam niejaka pomoc...

Anton od razu zrozumiał, o co chodzi. Albo prawie od razu. Zgodność ich myślenia była wręcz niepokojąca. Ale pomysł był ciekawy.

– To byłoby bardzo na miejscu! – Uśmiechnął się szeroko do Thandi. – Zgrana paczka na wakacjach.

– Chyba żartujecie – powiedziała Thandi.

– Ja ani trochę – odparł Anton i skinął na Cachata. – On raczej też nie.

Honor odezwała się po raz pierwszy, od kiedy delegacja z Królestwa Torch weszła do sali.

– O ile się nie mylę, proponują, żeby generał Palane dołączyła do zespołu. Takie przynajmniej jest zdanie agenta Cachata i pana Zilwickiego. Pani generał zdaje się zachowywać pewną rezerwę w tej sprawie.

Berry otworzyła szeroko usta, a potem spojrzała na ojca.

– Dostrzegam kilka plusów takiego wyboru – ciągnęła Honor. – Chociaż także jedną poważną wadę. Generał Palane jest głównodowodzącą sił zbrojnych Torch. To będzie wyglądało trochę tak, jakbyśmy my wysłali admirała Caparellego na misję wywiadowczą.

– To nietrafiona analogia, księżno Harrington – odezwał się Jeremy X. – Z dwóch powodów. Po pierwsze, te tak zwane „siły zbrojne” Torch są dopiero w fazie organizacji i nie przypominają jeszcze tego, co u was czy na Haven zwykło zwać się wojskiem. Generał Palane dogląda na razie cyklu szkoleń dla sił lądowych. Przebiegają całkiem nieźle i chyba można rzecz powierzyć na jakiś czas jej bezpośrednim podkomendnym. To samo dotyczy marynarki wojennej, która póki co nie przedstawia sobą żadnej istotnej siły. – Spojrzał przepaszająco na Thandi. – Oczywiście bez obrazy.

Palane wzruszyła ramionami.

– Nie ma się o co obrażać, to przecież sama prawda. Na dodatek zwykłam zostawiać kapitanowi Petersenowi jak najwięcej swobody. Na temat organizowania floty wie o wiele więcej niż ja.

Honor pokiwała głową.

– Tak, znam Antona. Jest świetnym oficerem. Wiele zależy od tego, jak długo was nie będzie. Kilka miesięcy to nie problem. Wasze siły zbrojne potrzebują co najmniej tyle czasu, zanim osiągną gotowość operacyjną. Ale gdy zaangażujecie się w walkę...

– Będziemy potrzebować prawdziwego dowódcy – dokończyła Thandi.
– Na miejscu. Tak, rozumiem to.

Spojrzała na Victora i Antona.

– Jak długo to potrwa?

– Trzy miesiące – odparł Victor. – Może cztery. Nie więcej niż pięć.

Anton wydał wargi.

– Radosny optymista, jak zawsze. Zgadzam się, że potrzebne będą co najmniej trzy miesiące. Ale górną granicę przesunąłbym do sześciu.

– To wystarczy?

– Sytuacja jest niepewna i zmienia się raptownie – stwierdził Anton.

– Być może i przez pół roku nie natrafimy na to, czego szukamy – dodał Victor. – Ale przedłużanie misji ponad tę granicę byłoby niecelowe. I to jest jeden z powodów, dla których udział generał Palane ma sens. Sytuacja na miejscu może się skomplikować.

Theisman spojrzał na Thandi.

– Jeśli można spytać, co sprawia, że pani udział robi tak wielką różnicę?

Palane poczuła się trochę niezręcznie.

– Trudno wyrazić to w dwóch zdaniach...

– Przede wszystkim mało kto w całej galaktyce może się równać z generał Palane w umiejętności walki na małe odległości – odezwał się Victor. – A na pewno nikt nie jest od niej lepszy – dodał zdecydowanym tonem. – Mogę zaświadczyć o tym osobiście. Jeśli weźmiemy ją ze sobą, będzie tak, jakbyśmy wzięli drużynę Marines. Dowolnych Marines, możecie wybierać z najlepszych.

– Może nawet pół plutonu – wtrącił Anton. – Był jakiś powód po temu, że Luiz Roszak, który nie jest głupcem, możecie mi wierzyć, osobiście wybrał ją do swojego sztabu, chociaż nie była w żaden sposób ustosunkowana. Z tego samego powodu na Torch nazywają ją Wielką Kają. To zwrot pochodzący z dialektu Scragów, oznaczający najgroźniejszą

wilczycę. – Spojrzał na Caparellego. – Bez obrazy, ale nawet Pierwszy Lord Przestrzeni nie mógłby się równać z Palane tam, dokąd się udajemy.

– Nie czuję się urażony – odparł ze śmiechem Caparelli i spojrzał na Thandi ze znacznie większym zainteresowaniem niż wtedy, gdy wchodziła na spotkanie. – Mają rację, generał Palane? I proszę nie kryć się za fałszywą skromnością.

– Tak – odparła krótko. – Mają.

Honor obserwowała tymczasem panią generał. Antonowi wydało się, że czyniła to z jakąś szczególną intencją, ale nie potrafił odgadnąć, o co chodzi. Podejrzewał jedynie, że księżna układa sobie w głowie jakiś plan.

Jaki? Jedyne, co zdołał wykombinować, to że być może pomyślała dokładnie o tym samym co oni.

Wojna z Równaniem była już nieunikniona, a właściwie nawet się zaczęła. Prędzej czy później Mesa miała zostać podbita i znaleźć się pod okupacją. Kto powinien wprowadzić wówczas wojska okupacyjne? Kto to powinien być, zważywszy na to, że chodziło o planetę, na której przez wieki panowało niewolnictwo i dwie trzecie jej mieszkańców to byli niewolnicy albo ich nominalnie wolni potomkowie?

Torch nie było w stanie stworzyć armii, która samodzielnie by temu podołała, niemniej zwykle oddziały mogli podesłać inni. Torch było natomiast idealnym źródłem specjalistów i kadry dowódczej, złożonej z ludzi mających analogiczne doświadczenia i wiedzących, jak rozmawiać z mieszkańcami Mesy i zdobyć ich zaufanie.

Gdyby jeszcze głównodowodzący sił okupacyjnych miał doświadczenie zdobyte podczas osobiście przeprowadzonego rekonesansu, byłoby to bardzo cenne. Gdyby w dodatku wyzwoleńcy i niewolnicy Mesy

dowiedzieli się, że tenże dowódca ryzykował wcześniej życie dla dokonania tego zwiadu i rozpoznania terenu przed wyzwoleniem planety...

Anton musiał chyba też całkiem intensywnie wpatrywać się w Honor, skoro w pewnej chwili obejrzała się i zerknęła wprost na niego. Zupełnie jakby miała zdolności telepatyczne.

Ale to musiało być złudzenie. Nie była przecież treecatem.

– Dostrzegam jeszcze inne powody, dla których udział generała Palane w tej wyprawie może być pożądany – powiedziała Honor. – Sporządzony przez nią raport na temat Mesy, oparty na własnych obserwacjach i doświadczeniach, byłby dla nas bardzo ważny. Zwłaszcza za jakiś czas.

Na pewno nie jest telepatą? – pomyślał Anton. Niby jak, przecież w ludzkim genomie nie ma cech telepatycznych. Chyba że...

Osobisty komunikator, który Honor nosiła na nadgarstku, zawibrował dyskretnie.

– Mój sztab przypomina mi, że pora, byśmy wrócili z admirałem Theismanem na *Imperatora* – wyjaśniła z uśmiechem sugerującym, że tak naprawdę o niczym nie trzeba jej przypominać, ale docenia pilność swoich podwładnych. – Zawsze istnieje jakaś szansa, że admirał Filareta przybędzie do nas zgodnie z rozkładem.

ROZDZIAŁ XIV



Gdy cała delegacja z Królestwa Torch znalazła się w przeznaczonym dla niej apartamencie w pałacu Mount Royal, Berry zwróciła się to Thandi:

– Ale... – zaczęła niepewnie. – Jeśli ty też polecisz, to... ja...

Palane otoczyła ją ramieniem.

– Dasz sobie radę. Twój ojciec będzie potrzebował mnie o wiele bardziej niż ty. Poza tym Jeremy nie planuje żadnego zamachu stanu.

– Żadne takie – mruknął Jeremy, rozciągając się na sofie w salonie. – Będę jagnięciem między lwami. Jedyna kobieta na Torch groźniejsza od Wielkiej Kai to sama Królowa.

Berry spojrzała na niego z dezaprobatą.

– Nieprawda.

– Ależ jak najbardziej. Jesteś wcieleniem rosyjskiej carycy Katarzyny Wielkiej. Tyle że jej mąż był mięczakiem, którego musiała się pozbyć. O ile dobrze pamiętam. Tymczasem u nas małżonek Królowej to bestia z Beowulfa. Ogry pierzchają na sam jego widok – dodał Jeremy, ale zaraz spoważniał. – Jestem całkiem zadowolony z tego, jak radzi sobie nasz rząd, Berry. Zwłaszcza ty. – Zerknął chłodno na stojącego nieopodal Du Havla. – Nawet premier niespecjalnie mi wadzi. Mimo że jest trochę niezdecydowany i idzie na zbyt wiele kompromisów z establishmentem.

– To my jesteśmy establishmentem! – przypomniał mu Web.

– Ha! Tylko na naszej planetce. Mówię o galaktycznym establishmentie.

Du Havel opadł na kanapę stojącą prostopadle do sofy Jeremy'ego.

– Jestem czy nie jestem zbyt skory do kompromisów, to sprawa raczej drugorzędna. Czy dobrze mi się wydaje, że koalicja zwalczająca Manpower oczekuje od nas, że po zdobyciu Mesy wprowadzimy tam wojska okupacyjne? Nie żeby całe, a nawet nie większość.

– Co? – Berry spojrzała na niego, jakby nic nie rozumiała.

Jeremy uśmiechnął się lekko.

– Też potrafię czytać w fusach herbacianych, Web. Czy raczej we wnętrznościach.

– Co? – powtórzyła Berry.

– Odniosłam podobne wrażenie – powiedziała Thandi, stojąca wciąż przy drzwiach. – Co więcej, to chyba jest już zdecydowane.

– Co? – Berry przeniosła spojrzenie na Thandi.

Brzęczyk w drzwiach dał o sobie znać i Palane spojrzała na zegarek.

– Tak właśnie sądziłam. – Otworzyła drzwi.

Do środka wszedł Victor Cachat z Antonem Zilwickim depczącym mu niemal po piętach. Zaraz za nimi pojawił się Jacques Benton-Ramirez y Chou.

Thandi i Victor spojrzeli na siebie z bardzo poważnymi minami. Usta Antona drgnęły w powstrzymywanym uśmiechu.

– To była moja wina, Thandi – powiedział. – Victor chciał lecieć najpierw na Torch, ale...

– On kłamie – wtrącił Cachat.

– Ty kłamiesz – odrzekła Thandi. Ani na chwilę nie odrywali od siebie oczu.

– Ale ja nalegałem, żeby nie robić przystanków. A zresztą, do diabła z tym. Jeśli nie macie ochoty zaakceptować wersji, która pozwala wam obojgu na zachowanie twarzy, to zejdźcie z tematu. Mamy misję do zaplanowania, o okupacji Mesy nie wspominając.

– Chwilę – odezwała się Berry. – Chyba jako jedyna tutaj nie wiem, o co chodzi, i głupio się z tym czuję.

– Nie jedyna, Wasza Wysokość – powiedział Jacques, zamykając za sobą drzwi. – I też chętnie czegoś się dowiem.

– Nie mów do mnie „Wasza Wysokość” – odcięła się Berry, wciąż jeszcze mocno nie w sosie. – Proszę – dodała przeproszającym tonem.

– Nie jesteśmy u siebie, Wasza Wysokość – odezwał się Web. – On musi tak mówić, a ty musisz mu na to pozwolić.

– Zwłaszcza na Manticore – powiedział Jeremy. – Ale czuję, że będą z tego kłopoty. Zbyt dużo tutaj monarchów. Proponuję więc lekko rzecz zmodyfikować. Zaczniemy mówić tak, jak robiono to kiedyś. Na przykład Wasza Chrześcijańska Wysokość. Wasza Katolicka Mość. I tak dalej. – Rozejrzał się po pokoju. – Co wy na to? Może być Wasza Skromna Jejmość?

Berry parsknęła.

– Ledwie trzy minuty temu wymyślałeś mi od inkarnacji Katarzyny Wielkiej.

– Miałem nadzieję, że już zapomniałaś. Dobrze zatem. Wasza Groźna Waszmość.

Celowo czy nie, Jeremy skutecznie rozładował w ten sposób panujące w pokoju napięcie. Thandi zrobiła wreszcie te trzy kroki, ujęła głowę Victora i namiętnie pocałowała go w usta.

– Wybaczam ci – powiedziała. – Nie rób tego więcej.

Potem wzięła go za rękę i poprowadziła do innej kanapy, tworzącej trzecie ramię ustawionych w U mebli, gdzie razem usiedli. Naprzeciwko mieli Jeremy'ego, oddzielonego od nich stolikiem, który zaczął zapewne żywot jako stolik do kawy, ale potem przeistoczył się w stolik bankietowy. Web Du Havel usiadł po ich prawej stronie, na środkowej kanapie.

Berry zajęła miejsce obok Weba, który przesunął się bardziej na środek, robiąc miejsce Antonowi. Jeremy postąpił podobnie, żeby Jacques i Ruth też mieli gdzie spocząć. Gość z Beowulfa rozparł się wygodnie, co na podobnie kosztownym meblu nie było trudne. Ruth, zgodnie ze swoim zwyczajem, przysiadła na krawędzi. Tapicerka nie od razu chciała z nią współpracować, ale udało się ujarzmić bestię.

Gdy wszyscy już siedzieli, albo prawie siedzieli, jak Ruth, Jacques podjął wątek.

– Wcale nie żartowałem, Wasza Wysokość. Naprawdę nie jestem na bieżąco. Wydaje mi się na przykład, że ktoś zaczął poważnie rozważać użycie oddziałów z Torch w roli sił okupacyjnych na Mesie. Naprawdę? Jeśli tak, to zaczynam podejrzewać, że z moją kuzynką jest coś nie tak.

– A ty co o tym myślisz? – spytał Victor.

– W sumie jeszcze nie wiem. Nigdy wcześniej się nad tym nie zastanawiałem.

Cachat skinął na Zilwickiego.

– Sporo rozmawialiśmy o tym z Antonem. Mieliśmy naprawdę dużo wolnego czasu, dryfując w przestrzeni. Logika podpowiada, że to dobre rozwiązanie.

– Jak najbardziej – powiedziała Ruth i uniosła dłoń, żeby odliczać na palcach. – Po pierwsze, i tak będziemy musieli okupować Mesę. Na razie nie skupiam się na tym, jacy „my”, ale zakładałabym, że będzie chodzić co

najmniej o Gwiazdne Imperium, Republikę Haven i Królestwo Torch. I może jeszcze Beowulfa. To ostatnie jest mniej pewne, ale wydaje się wysoce prawdopodobne.

– Sądzę, że można nas doliczyć – stwierdził Jacques.

– I jeszcze Erewhon, i sektor Maya – dodał Victor. – Nie od razu, ale wcześniej czy później też się włączą.

Jacques spojrzał na niego z ukosa.

– Erewhon rozumiem. Ale sektor Maya? Barregos i Roszak są równie przywiązani do idei „realpolitik” jak Imperium Andermańskie.

– Jeśli „realpolitik” znaczy to, co myślę, to chyba źle ich oceniasz. Przynajmniej Roszaka. Oravila Barregosa nie znam.

– Mniejsza z tym – powiedział Anton. – Chłodna polityczna kalkulacja pchnie ich do tego równie szybko jak potencjalny idealizm. Który i tak musi być znaczący, przynajmniej w przypadku Roszaka.

– Ale wracając do sprawy – odezwała się Ruth. – Gdy wszyscy zrozumieją, że będziemy musieli okupować Mesę, pojmą także i to, że im szybciej do tego dojdzie, tym lepiej. Ponieważ... – Uniosła kolejny palec. – Duża część tej wojny przebiega na froncie propagandowym. Większość mieszkańców Ligi Solarnej nadal nie wierzy w naszą wersję wydarzeń. Najlepsze, co możemy zrobić w tej sprawie, to szybkie opanowanie Mesy, żeby zyskać dostęp do jej archiwów.

Anton chrząknął sceptycznie.

– Na to bym nie liczył. To, co zrobił McBryde, sugeruje, że są w stanie zniszczyć swoje zapisy, gdy uznają to za konieczne.

Ruth chyba nie poczuła się przekonana, co w przypadku tak upartej osoby nie było niczym niezwykłym.

– Może. Ale zostają ludzie, których można przesłuchać.

– O ile nie zostaną zamordowani – powiedział Jeremy. – Tym draniom nawet powieka przy tym nie drgnie.

– Tym bardziej powinniśmy działać szybko – odezwał się Victor. – A wracając do tego, od czego zaczęliśmy, tym bardziej należy zebrać takie siły okupacyjne, których miejscowe władze nie zdołają przelicytować. Większość oddziałów będzie musiała zostać dostarczona przez innych, ponieważ armia Torch nie jest dość liczna, ale jeśli zapewni... Jak to nazwiemy?

– Rozpoznanie terenu i jednostki łącznikowe – odpowiedziała Thandi.

– O właśnie. W takiej sytuacji będziemy mieli szansę zyskania poparcia dwóch trzecich społeczeństwa.

– Nawet więcej – stwierdziła Ruth. – Pełnoprawni obywatele nie stanowią więcej niż trzydziestu procent mieszkańców Mesy. Około sześćdziesięciu procent to niewolnicy, reszta zaś to potomkowie niewolników, wyzwolonych w czasie, gdy władze Mesy jeszcze na to pozwalały.

Jacques wyduł wargi.

– Ile okupacyjnych armii w historii mogło liczyć na taką przewagę?

– Z tego, co wiem, to żadna – odparł Du Havel. – Najbliższa analogia, jaka mi się nasuwa, to okupacja Południa przez Północ po amerykańskiej wojnie secesyjnej. Ale tam chodziło jednak o mniejszość populacji.

– Sprawa wygląda więc na oczywistą, przynajmniej w teorii. Ale w praktyce...

– Czy Torch ma dość ludzi, by podołać takiemu zadaniu? – spytała Thandi. – Nad tym się zastanawiasz?

– Tak.

Wzruszyła ramionami.

– Obecnie nie. Ale dążymy do takiego stanu. Mamy rozwinięte programy szkoleniowe i nieustanny dopływ ochotników.

– Zakładam, że nie rozważacie przymusowego poboru?

– Nie – odparł Du Havel.

– Jeszcze nie – dodał Jeremy i spojrzał ostro na premiera. – Ale zrobimy to, jeśli okaże się konieczne.

Thandi uniosła rękę.

– Nie wracajmy może do tego sporu. W tej chwili byłby bezcelowy. Gdyby napływ ludzi zwiększył się radykalnie, nasz program szkoleniowy musiałby się załamać. Nadal mamy wielkie braki kadrowe.

– Gdyby chodziło o wyrównanie niewielkich niedoborów, myślę, że Beowulf mógłby być pomocny – powiedział Jacques. – Tak albo inaczej. Biorąc pod uwagę, jak zapowiada się ta wojna... – Przerwał na chwilę. – Ale nie wybiegajmy za daleko naprzód. Najpierw poczekajmy, jak rozwinie się sytuacja z Filaretą. A potem będziemy musieli zacząć negocjacje z zaangażowanymi stronami. Zwłaszcza z Manticore i Haven.

– Zgadzam się – stwierdziła Thandi.

– I ja też – dodał Victor. – Zajmijmy się więc tym, co najpilniejsze. Jak miałyby wyglądać to maskowanie genetyczne, o którym wspominałeś? Ile czasu to zajmie?

– I dla ilu osób możecie je przygotować? – dorzucił Anton. – Skoro jest czymś nowym, musi być kosztowne.

– Nawet bardzo – przyznał Jacques. – Ale Beowulf jest bogatą planetą. Stać nas na przeprowadzenie tylu zabiegów, ile będzie potrzebne. Nie na skalę całego batalionu, oczywiście, ale jednak. Ważniejsze zatem jest, jak liczna ma być grupa biorąca udział w operacji. I kto to będzie.

– Nasza trójka jest oczywista – rzucił Zilwicky, spojrzawszy wcześniej na Victora i Thandi.

– Yana też powinna się w niej znaleźć – powiedział Victor. – O ile zechce. Spędziła miesiące na Mesie, zna więc teren.

– Zechce – powiedziała Thandi.

– Skoro mowa o stacji Parmley... – Anton zmarszczył czoło. – Czy sądzicie, że Steph Turner byłaby skłonna wrócić na Mesę? Nikt z nas nie zna tej planety tak jak ona.

Victor skrzywił się sceptycznie.

– Nie wiem. Zgadzam się, że byłaby idealną kandydatką, ale... – Pokręcił głową. – Nie widzę nic, co mogłoby ją skłonić do takiego ryzyka. Jest cywilem, trzeba by nad nią popracować.

– Nie kojarzę tej osoby – powiedział Jacques, patrząc po rozmówcach.

– Steph była na Mesie właścicielką restauracji, w której pracowałem – wyjaśnił Anton. – Skontaktowaliśmy się z nią przez Balet. Nie należała do organizacji, ale była im winna przysługę. Wróciła z nami, bo jej restauracja została spalona. Zabrała ze sobą córkę.

– Zapłać jej – powiedział Jeremy i wskazał kciukiem na Bentona-Ramireza y Chou. – Ze skarbca Beowulfa. Ile zażąda, będzie ich stać.

Jacques nie zaprotestował. Podobne kwestie zdawały się nie robić na nim wrażenia.

– I to wystarczy?

– Zapewne nie – odparł Victor, zerknąwszy na Antona. – Ale jeśli powiążemy to z czymś, na czym naprawdę jej zależy...

– Może – dokończył Zilwicky. – Musimy tylko wykombinować, co by to mogło być. Już teraz ma dość, by odbudować swoją restaurację.

– Nancy – odezwała się Ruth. – Trzeba podejść ją przez Nancy.

Jacques przechylił głowę.

– Nancy to...

– Córka Steph. W tej chwili przebywa na Beowulfie, gdzie przechodzi prolong. Ma piętnaście lat, może już szesnaście. Innymi słowy...

– Lada chwila będzie zdobywać wyższe wykształcenie – przytaknął Jacques. – A skoro jej matka jest uchodźcą z Mesy i stać ją tylko na restaurację... to zakładam, że za prolong płaci Beowulf, tak?

Ruth potwierdziła.

– I na nic więcej nie wystarczy. Jeśli Steph chce iść na dobrą uczelnię...

– Rozłożyła ręce. – Sami wiecie, jak to jest.

Wysoko rozwinięte planety w rodzaju Manticore czy Beowulfa miały rozbudowane programy stypendialne, pozwalające studentom z biedniejszych rodzin na zdobycie porządnego wykształcenia, niemniej nawet wówczas wsparcie ze strony ich rodzin bardzo się przydawało. Przy rozbudowanej biurokracji co rusz zdarzało się, że ten czy ów urzędnik wyszukiwał powody, żeby uznać studenta za nie dość przodującego w nauce i zapłacić mniej. Albo zwlekał całe miesiące z podjęciem decyzji, nim przekazał należne środki.

– Warto spróbować – powiedział Victor. – I tak musimy wysłać kuriera na stację Parmley, żeby skontaktować się z Yaną. Możemy poprosić Steph, by przyleciała wraz z nią. Na razie nie podając powodu, rzecz jasna...

– O tak – rzucił Jacques, krzywiąc się kwaśno. – Ta nowa technologia nie jest tajna. Ona jest superhipertajna. Musimy ograniczyć wiedzę na jej temat do jak najmniejszego kręgu.

– Co cofa nas do pierwotnej kwestii – powiedział Victor. – Ile potrwa taki zabieg?

Jacques przyjrzał mu się uważnie.

– Rozumiesz, że to nie zastąpi nanofizjologicznego przekształcenia ciała? Chodzi o coś dodanego na wierzch tkanki.

– Tak, to jest dla mnie oczywiste. Niewiele by nam przyszło ze zmiany DNA, gdybyśmy zostali przy zwykłym wyglądzie.

– A! – wykrzyknęła Ruth. – Kiedyś przez to przechodziłam. Trwało wiele dni i było dość paskudne.

– W rzeczy samej – zgodziła się Berry.

Victor wzruszył ramionami.

– Jestem pewien, że nie będzie aż tak źle.

Berry i Ruth spojrzały na niego jak na szaleńca. Anton mimowolnie się roześmiał.

– Nie zapominajcie, z kim rozmawiacie, dziewczyny. To Czarny Victor. Może kiedyś opowie wam, co działo się w Akademii Służby Bezpieczeństwa za rządów Saint-Justa.

– Zapamiętam sobie – mruknęła Berry. – Ale już kojarzę. Victor wspominał mi kiedyś, do jakiego progu bólu doszedł. Czwarta lokata w dziejach akademii. Co rodzi jeszcze jedno pytanie, którego wtedy nie zadałam i teraz też nie mam ochoty. Jak oni to mierzyli?

– Też jestem ciekaw – powiedział Jacques. – Jak wyglądały te testy, panie Cachat?

– Cóż, zasadniczo...

– Wystarczy – przerwała mu Thandi. – Też nie chcę o tym słuchać. W ogóle zostawmy na razie kurację nanofizjologiczną. Jak wygląda ta nowa? I ile czasu zajmuje?

– Mniej niż sądzicie. Jej opis może brzmieć dziwacznie dla laika. Ponieważ zastępujemy całą dotychczasową skórę, nie możemy pozwolić,

by wzrost nowej następował w zwykłym tempie. Najważniejsze jest przy tym niedopuszczenie do odrzutu nowej tkanki. Dyskomfort jest taki sobie.

– Zakładam, że trzeba to będzie przeprowadzić na Beowulfie – powiedział Anton.

– Tak. W sumie jest tylko jedna placówka, która może to zrobić. Ta przy uniwersytecie w Grendel.

Thandi niemal się skrzywiła.

– Dopuszczacie akademików do spraw o takim stopniu tajności?

Anton zachichotał. Znał Beowulfa o wiele lepiej niż Thandi. To była pod wieloma względami unikatowa planeta.

– Cóż, to nasi akademicy – powiedział Jacques. – Z Wydziału Chaosu.

– Wydziału czego?

– Chodzi o dziedzinę badań rozwijaną chyba tylko na Beowulfie – wyjaśnił Jacques.

– Czuję, że będzie zabawnie – mruknął Anton.

ROZDZIAŁ XV



Co my tu mamy, pomyślał Yuri, gdy trafił wraz z Sharon do apartamentu na najwyższym piętrze Suds Emporium. Pokój, do którego weszli, musiał uchodzić tutaj za salon, dając tym samym świadectwo szczególnego poczucia humoru mieszkańców Erewhonu. Dowolny despota z antycznego Orientu pozieleniałby z zazdrości, widząc taki przepych. Brakowało tylko skapo odzianych niewolnic i niewolników, wachlujących gości liśćmi palmowymi.

Nie było ich zapewne tylko dlatego, że władcy Erewhonu zwykli jednak dbać o bezpieczeństwo. Niewolnicy mieli uszy, mogli potem niejedno wygadać albo zapisać (gdyby obcięto im języki). Gangsterzy, którzy pierwotnie zasiedlili Erewhon, po prostu zabiliby niewygodnych świadków, ale ich potomkowie nie byli już tak bezlitośni.

Nie aż tak. Mieli na przykład całkiem wydajną klimatyzację.

Dostawszy wezwanie od Waltera Imbesiego, Yuri i Sharon założyli, że spotkanie przebiegnie w kameralnej atmosferze. Czekał na nich jednak cały triumwirat rządzący aktualnie Erewhonem: Tomas Hall, Alessandra Havlicek i Jack Fuentes, jak i sam Imbesi, który nie sprawował żadnej oficjalnej funkcji, ale z praktycznych powodów był tak naprawdę w składzie ekipy, czyniąc z niej quadrumwirat.

Zapewne nie był to jedyny taki rząd w galaktyce, ale na pewno jeden z niewielu. Na Erewhonie istniał oficjalny gabinet oraz podział władzy na wykonawczą, prawodawczą i sądowniczą, była konstytucja zapewniająca

teoretycznie mnóstwo praw obywatelskich, ale istniała też cała sieć nieformalnych czy półformalnych związków i sojuszy łączących wielkie rody planety. I to one decydowały o wszystkim, co było naprawdę istotne.

W zasadzie system oparty na takich kontrastach nie powinien w ogóle działać, jednak na Erewhonie sprawdzał się już od długiego czasu. Nie zdarzały się poważniejsze problemy, o paraliżu władzy nie wspominając. Ostatnim godnym uwagi kryzysem była krwawa wojna domowa między nacjonalistami a konwencjonalistami, zakończona trzy i pół stulecia temu. Zwycięscy nacjonaści musieli jeszcze potem raz czy drugi zapobiegać ponownemu rozlewowi krwi, niemniej połączone siły wielkich rodzin szybko wygaszały niepokoje.

Cały układ mógłby być opresyjny dla zwykłych mieszkańców planety, gdyby nie fakt, że wszystkie rody od dawna zwykły adoptować każdego, kto wykazywał jakiś prawdziwy talent czy w inny sposób był obiecujący. Jedną z konsekwencji takiej praktyki był oczywiście wzrost wpływów wielkich rodzin. W obecnych czasach nie było na Erewhonie nikogo, kto nie byłby w jakiś sposób z nimi związany, i cała społeczność planety czerpała profity z zasad stworzonych kiedyś przez subkulturę przestępczą, obecnie jednak rozwiniętą na tyle, że nikt w całej galaktyce nie myślał kwestionować legalności porządku prawnego Erewhonu.

Dodatkowo Erewhon był jednym z niewielu państw, gdzie naprawdę nie dawało się znaleźć ani śladu ksenofobii czy zjawiska społecznego wykluczenia. To dlatego Erewhon od samego początku akceptował powstanie po sąsiedzku państwa byłych niewolników. Oczywiście było to względne sąsiedztwo, jako że obie planety dzieliło dwadzieścia siedem lat świetlnych, ale w obecnym stadium rozwoju podróży kosmicznych nie była to spora odległość.

Co do składu ekipy gospodarzy, to nie obecność Waltera Imbesiego była najciekawszą wiadomością. Wspomnianej czwórce towarzyszył jeszcze Luiz Roszak, faktyczny głównodowodzący floty sektora Maya, który rozbił armadę wysłaną, by zniszczyć Torch. Kto ją wysłał, oficjalnie nie było wiadomo, ale nikt nie wątpił, że najemników opłaciło Manpower oraz inne, mniej jawne ugrupowania z Mesy.

Wraz z Roszakiem zjawił się jeszcze jeden mężczyzna, także noszący mundur Marynarki Ligi. Yuri go nie znał, w ogóle nie spotkał dotąd żadnej ważnej figury z sektora Maya. Roszaka rozpoznał, ponieważ jeszcze w drodze na Erehon przejrzał raporty Sharon, w których było trochę zdjęć oficera.

– To porucznik komandor Jiri Watanapongse, oficer wywiadu ze sztabu kontradmirała Roszaka. Dobry w tym, co robi.

Gospodarze poczekali uprzejmie, aż goście zakończą wymianę informacji, po czym Alessandra Havlicek wstała i podeszła do stojącego pod ścianą barku.

– Drinka? – spytała, nalewając sobie szklaneczkę. – To turneriańska whiskey, moim zdaniem najlepsza, jaką można kupić za pieniądze. Ale jeśli nie gustujecie w whiskey... – Wskazała wolną ręką na długie rzędy butelek. – Może znajdziecie dla siebie coś innego.

Sharon pochyliła się do partnera.

– Trzymaj się z daleka od napitków, chyba że wzięłeś coś antyalkoholowego – wyszeptała mu do ucha.

Yuri uniósł rękę.

– Proszę, nie urodziłem się wczoraj. – Wiedział świetnie, że miejscowi na pewno wzięli środki przeciwdziałające wpływowi alkoholu, ci z sektora Maya najpewniej też. Sam się tym nie trudził, przede wszystkim dlatego, że

nie gustował w podobnych napojach. Wolał więc abstynencję od faszerowania się chemią.

Nie starał się też szeptać. Widząc, że przyjął postawę, którą można by streścić słowami: „wszyscy tu jesteśmy dorośli i nie będziemy się wygłupiać”, Sharon wzruszyła ramionami i podeszła do barku.

Ona podjęła wcześniej stosowne kroki. W odróżnieniu od Yuriego lubiła mocne alkohole, i to na tyle, by zawsze mieć jakiś pod ręką. Zwykle zamiast wspomnianych pastylek. Starła się pozostawać zawsze pod lekkim wpływem, którego w ogóle nie uważała za negatywny skutek działania alkoholu. Pilnowała jednak, żeby nie mąciło jej to myślenia.

– Nigdy nie piłam turneriańskiej whiskey, ale dawno już o niej słyszałam – powiedziała do Havlicek. – Jaką pani poleca? Czystą czy z lodem?

– Nie należy rozcieńczać jej lodem. Jeśli naprawdę chce ją pani schłodzić, polecam...

– Zatem czystą. Czy będzie pani tak uprzejma?

Wymieniły przy tym uśmiechy w sposób od niepamiętnych czasów charakterystyczny dla towarzyszy w konspiracji. Czy też szpiegów, fanów jakiegoś sportu lub wielbicieli używek.

Gdy Havlicek napełniała szklaneczkę Sharon, Yuri zajął miejsce obok Watanapongsego.

– Co my tu mamy? – spytał, spoglądając na mały, ale na oko kosztowny metalowy tygielek stojący na stoliku naprzeciwko kapitana. Obok stał miniaturowy kubek z jakimś ciemnym płynem.

– To rodzaj kawy, którą pijamy w sektorze Maya. Nazywa się „kawą po turecku” i podobno wywodzi jeszcze z Ziemi. Byłem tam dwa razy, ale nigdy nie udało mi się zobaczyć, jak ją robią.

Kawa wyglądała na bardzo mocną i zapewne była gorzka. Yuri uznał, że właśnie taki napitek przydałby mu się w nadchodzących ciężkich chwilach.

– Też chętnie bym spróbował. Gdzie...

– Przygotuję ją dla pana, ale to chwilę potrwa. – Watanapongse wstał lekko ze swojego fotela i skierował się do blatu pod ścianą. Widniało tam urządzenie, którego prototyp został zapewne zaprojektowany do parzenia kawy. To obecne mogło równie dobrze służyć do nawigacji w lotach nadświetlnych.

„Ciężkie chwile” nie były zapewne właściwym określeniem. Należało oczekiwać, że wszyscy będą zachowywać się wręcz uprzedzająco uprzejmie. Ostatecznie nawet osłabiona wojną z Manticore Republika Haven nadal była jedną z największych potęg militarnych galaktyki. Znaczyła pod tym względem o wiele więcej niż Erewhon i Maya czy nawet ich połączone siły. Co więcej, Republika Erewhonu była obecnie sojusznikiem Republiki Haven i było niemal pewne, że sektor Maya dąży do tego samego. Lub co najmniej bliskich formalnych kontaktów z Haven.

Tak naprawdę Yuri był w zasadzie pewien, że przed upływem pięciu minut właściwej rozmowy okaże się osobą rozpaczliwie wręcz niekompetentną, a potem będzie już tylko gorzej. W obliczu tego, czego tutaj najpewniej oczekiwano, jego pełnomocnictwa nie miały żadnej wartości. Co więcej, zapewne nie zdoła się wymigać, powołując się na swój niski status dyplomatyczny. Obywatele Republiki Erewhonu nie myśleli w ten sposób. Mieszkańcy sektora Maya może tak, ale raczej nie w tym miejscu i nie w tym czasie.

Nie, nie mieli żadnych szans na przekonanie gospodarzy, że przełożeni nie upoważnili ich do uzgodnienia istotnych kwestii. Co gorsza, przełożonym Sharon, a zapewne też Yuriego, był nie kto inny jak Victor

Cachat. Czyli osoba, która z zasady nie przywiązywała wagi do ograniczeń związanych z zakresem kompetencji. Zwłaszcza własnych.

Pierwsze i najdawniejsze prawo wszystkich urzędników opłacanych z rządowej szkatuły brzmiało: chroń swoją dupę. I dobrze, ale jak chronić dupę przed kimś takim jak Victor Cachat? W tym przypadku jedynym sposobem uniknięcia przykrych konsekwencji było działanie wedle jego zasad, czyli chwytanie każdej okazji, jaka tylko się nadarzała, i wkładanie całego serca wraz z przyległościami w wykuwanie sukcesu.

Na przykład takiego jak rozszerzenie sojuszu przeciwko największym graczom galaktyki, czyli Lidze Solarnej i Równaniu, o nowych członków pod postacią Republiki Erewhonu i sektora Maya.

Gdyby to Cachat siedział teraz na miejscu Yuriego i czekał na kapitana z kawą (który właśnie wracał do stolika), raczej nie przeżywałby udręk służbowo-egzystencjalnych. Jako morderczy socjopata oblizywałby się raczej w oczekiwaniu uczyty. Przy takim charakterze nie miewa się wątpliwości.

Watanapongse postawił tygielek i kubeczek na stole. Yuri nalał sobie kawy i spróbował ostrożnie.

Po czym westchnął.

– Dobra, prawda? – spytał oficer.

Yuri znowu westchnął. To było prostsze i bezpieczniejsze niż cokolwiek innego. Za pięć minut zaś...

Jack Fuentes odchrząknął znacząco.

– Dziękuję wam obojgu za przybycie. Powód, dla którego zdecydowaliśmy się na to spotkanie...

Nie, za dwie minuty. Wszystko, co proste i bezpieczne, stało się równie odległe jak cywilizacja Sumerów.

Zastanowił się, czy sumeryjscy urzędnicy też trafiali na podobne problemy w trakcie wykonywania obowiązków.

Zapewne tak. Po coś utrzymywano tam katów na etatach państwowych.



– Daj spokój, wcale nie było tak źle. – Sharon wsiadła do kapsuły, podczas gdy Yuri podtrzymywał jej właz.

System transportu zbiorowego w stolicy Erewhonu opierał się na kolejce próżniowej. Była szybka i wydajna, ale same wagoniki były nieduże i łatwiej wsiadało się do nich, gdy ktoś w tym pomagał.

Gdy Sharon zajęła siedzenie, Yuri usiadł obok, podał miejsce przeznaczenia i nacisnął klawisz informujący, że wszyscy wsiedli. Kapsuły mogły być łączone w składy po sześćdziesiąt sztuk, ale miały na tyle niewielki przekrój, że dwie osoby nie bardzo mogły wygodnie siedzieć obok siebie. Chyba że któraś z nich była małym dzieckiem.

Kapsuła wystartowała z rozgłośnym szumem, który mocno utrudniał rozmowę.

– Sam przyznaj! – zawołała Sharon i chciała odwrócić głowę, ale przypomniała sobie o wirtualnym ekranie, który pozwalał na utrzymywanie kontaktu wzrokowego ze współpasażerem. – Sam przyznaj! – powtórzyła, gdy ekran się pojawił.

Przez chwilę Yuri miał ochotę odpowiedzieć, że w tych warunkach nie da się myśleć i nie będzie niczego przyznawał, jednak...

Szum ustał i sygnał dźwiękowy oznajmił, że dotarli na miejsce. Wymówka zniknęła. To był naprawdę szybki i wydajny system transportowy.

– Dobrze – mruknął, gdy już wysiedli. – Nie było tak źle, jak oczekiwałem. – Uniósł ostrożnie palec. – Ale weź pod uwagę, że to nic nie znaczy. Leczenie kanałowe też miało nie być takie straszne, gdy mi o nim opowiadano. A wyszło inaczej.

Sharon przewróciła oczami.

– Nikt nie stosuje leczenia kanałowego... od kiedy? Pewnie już ze dwa tysiące lat. Może poza planetami, które popadły czemuś we wtórne średniowiecze. – Ujęła Yuriego pod ramię i poprowadziła w kierunku wyjścia. – Narzekasz, bo uważasz, że w tym akurat jesteś mistrzem. A skoro o mistrzostwie mowa, sądzę, że cholernie dobrze ci dziś poszło – dodała radosnym tonem. – Zwłaszcza jak na marnego wysokiego komisarza i wysłannika nadzwyczajnego.

Wyszli na otwartą przestrzeń. Słońce stało wysoko na niebie i świeciło jasno, chociaż ich zdaniem miało trochę nietypową barwę. Gwiazda układu Erewhon należała do typu K5 i była trochę mniejsza i ciemniejsza niż należąca do Haven czy La Martine gwiazdy typu G. Dla Yuriego i Sharon wszystko wokół było lekko zabarwione na pomarańczowo.

Wiał też wiaterek, który czynił dzień przyjemniejszym. Mimo zamiaru znalezienia powodów do ogłoszenia klęski Yuri poczuł się jakoś różnie.

Sharon, która świetnie to wyczuwała, natychmiast bezlitośnie wykorzystała ten jego nastrój.

– Spójrz na to z jasnej strony – powiedziała. – Po pierwsze, nie ma już wątpliwości, że Erewhon i Maya postanowiły wreszcie zaufać sobie nawzajem.

– Jasne, gangsterzy zawsze dogadają się ze zdrajcami.

– Po drugie, i to też jest oczywiste, chociaż głośno tego nie powiedzieli, zamierzają zintegrować swoje siły zbrojne aż do szczybla liniowego, nie

chodzi zaś o uczynienie z Erewhonu zaplecza technicznego. Dzięki temu dwie drugorzędne armie mogą stworzyć coś o sporych możliwościach.

– Galaktyka o niczym innym nie marzy. Jeszcze jeden Machiavelli w grze.

– Przestań. Równie dobrze jak ja wiesz, jakie to będzie istotne, jeśli Liga Solarna się rozpadnie. A oboje myślimy, że do tego dojdzie, i to w nieodległej przyszłości.

Yuri tylko się skrzywił. Nie mógł nie zgodzić się z tym, co Sharon mówiła. Rzecz tylko w tym, że...

Dotarli do wejścia do budynku, w którym mieszkali, i rzucił Sharon ostrzegawcze spojrzenie. Dopóki rozmawiali na otwartej przestrzeni, ich urządzenia zagłuszające skutecznie uniemożliwiały jakikolwiek podsłuch, a także czytanie z ruchu warg. W mieszkaniu, gdzie mieli jeszcze lepszy sprzęt, znowu mieli być bezpieczni. Niebezpieczna mogła być strefa pomiędzy. Ktoś mógł zainstalować tam podsłuch, którego przenośne moduły nie potrafiły zneutralizować, lepiej więc było poczekać z wymianą zdań, aż znajdą się u siebie.

Sharon oczywiście nie potrzebowała takiego ostrzeżenia, czemu dała wyraz, spoglądając gniewnie na Yuriego. Zaiste nie postąpił najmądrzej, traktując w ten sposób byłego oficera służby bezpieczeństwa.

Żadne nie powiedziało ani słowa aż do chwili, gdy zamknęli za sobą drzwi. Potem sprawdzili odczyty dla upewnienia się, że cały system działa. Ostatecznie Sharon skrzyżowała ręce na piersiach i spojrzała surowo na Yuriego.

– Dobra, bierz się do roboty. To jest... Co, Yuri?

Zaczerpnął głęboko powietrza.

– Dlaczego ja? Dlaczego muszę ciężko kombinować w tej sprawie? Owszem, zgadzam się, że ten sojusz będzie dla nas dobry i wszystkim nam się przyda. Ale tym bardziej dlaczego muszę się tym zajmować w sytuacji, gdy nikt nie był skłonny dać mi wystarczających uprawnień, bym mógł przemawiać w imieniu Republiki Haven?

– Bo jesteś w tym dobry – odparła Sharon i poklepała go po policzku. – Dlatego właśnie Victor zadbał, żebyś dostał ten przydział.

ROZDZIAŁ XVI



Oczywiście, że mam was wszystkich za szalonych – oznajmiła Honor Alexander-Harrington znad kieliszka wina z typowym dla siebie krzywym uśmiechem i spojrzała na osobliwy zestaw ludzi, z którymi spożywała obiad. Żaden z jej współmałżonków nie mógł być akurat obecny, osoby gości i ich plany zaś zmusiły ją do drastycznego ograniczenia listy zaproszonych. Na stole znajdowały się pozostałości wystawnego posiłku, a James MacGuinness krążył wokół z filiżankami kawy dla tych, którzy przedkładali kofeinę nad alkohol. Jak Victor Cachat (co nie zdumiewało wcale Honor) oraz Yana Trietiakowna.

– Jeśli uważasz, że to zły pomysł, trzeba było powiedzieć o tym wcześniej – odparł Jacques. – A jeśli mamy rozmawiać o szalonych pomysłach, mogę wspomnieć kilka twoich. A nawet więcej niż kilka.

– Oczywiście, że możesz! Dzięki moim doświadczeniom wiem dobrze, o czym mówię. Poza tym poważnie traktuję historię rodzinną i znam swój genom. Obie gałęzie mojej rodziny mają swoje szaleństwa na sumieniu. Tata opowiadał mi na przykład o jednym z moich wujków, który służył chyba jako kapitan w Korpusie Zwiadu Biologicznego...

– Przepraszam, że przerywam, milady, ale chyba żaden z wyczynów pani wujka nie przebije tego, co sama pani kiedyś zrobiła na Cerberusie – odezwała się Thandi Palane.

– Ja zaś pamiętam pewien obiad – dodał rzeczowo Benjamin Mayhew. Protektor Graysona i jego żony byli zdaniem gospodyni jedynymi osobami,

które ratowały jakoś honor jej dzisiejszych gości.

– To wszystko drobiazgi. – Honor poruszyła znacząco kieliszkiem. – Poza tym przyznałam już, że mam na koncie własne doświadczenia w tym względzie. I nigdy nie twierdziłam, że to zły pomysł. Zaznaczam jedynie, że cały nasz zestaw nieustraszonych agentów ma pewien kłopot z racjonalnym oglądem rzeczywistości. – Mówiąc to, zatoczyła kieliszkiem półokrąg obejmujący Thandi, Victora Cachata, Antona Zilwickiego i Yanę Trietiakówną. – I zapewne trochę zbyt wiele odwagi.

– Nie chcę się kłócić, milady, ale uważam obiegowe opinie o mojej odwadze za zdecydowanie przesadzone – powiedział Zilwicki. – Gdy znajdziemy się już na miejscu, zamierzam wzorować się w tej materii na dawnej ziemskiej myszy.

– Wcale mnie to nie dziwi – odezwała się Catherine Montaigne. – Już dawno zauważyłam, że jest pan typem nieśmiałym i wycofanym.

– W sumie to nawet nie jest żart – powiedział poważnym tonem Jacques Benton-Ramirez y Chou. Catherine spojrzała krytycznie na przyjaciela, który wzruszył ramionami. – Jest wiele sposobów, żeby nie rzucać się w oczy. Jeden z nich polega na tym, żeby jako ktoś całkiem inny pchać się ciągle na pierwszy plan. I to właśnie nasi przyjaciele proponowali.

– Co nie znaczy oczywiście, że nie będziemy zachowywać ostrożności, gdy przyjdzie do kluczowych spraw – zgodził się Zilwicki. – Niemniej zamierzamy zastosować zasadę znaną wszystkim magikom i tak usilnie zwracać na siebie uwagę, by nikomu nie wpadło do głowy zastanawiać się, co możemy ukrywać.

– Wszystko to brzmi pięknie – stwierdziła z powagą Honor. – I w sumie się z wami zgadzam. Ale jest też coś, o czym zwykle się nie mówi. Rzecz w tym, jak długo Równanie było w stanie skrywać swoje istnienie i prowadzić jednocześnie różne operacje, włączając w to infiltrację cudzych

systemów bezpieczeństwa. Ten uśpiony agent, którego znaleźliście na Torch, jest tylko jednym z przykładów tego, jak dobrze się przygotowali. Jeśli zaś McBryde miał rację co do „śpiochów” Równania rozsianych po całej galaktyce, na ile możemy być pewni, że dostali się kiedyś także do Korpusu Zwiadu Biologicznego?

– Muszę przyznać, że też mnie to niepokoi – odparł ze smutkiem Jacques. – Oczywiście będziemy musieli zrewidować nasze spojrzenie na Mesę w świetle tego, co przywieźli Victor i Anton oraz Yana. Mamy kilka pomysłów, jak podejść do sprawy potencjalnych „genetycznych śpiochów” za pomocą testów, ale przez lata nikt na podobne sprawy nie zwracał uwagi. Z drugiej strony, nasza praktyka od zawsze opierała się na zasadzie ograniczania dostępu do informacji. Każdy wiedział tylko tyle, ile naprawdę musiał. Prawdę mówiąc, właśnie dlatego jestem skłonny z takim spokojem skorzystać z tej nowej technologii maskowania genetycznego. Owszem, istnieje jakaś szansa, że Równanie o niej słyszało albo nawet ma jakiegoś „śpiocha” wśród osób pracujących nad tym projektem, chociaż osobiście uważam to za wręcz nieprawdopodobne. Zapewniam was jednak, że gdy tylko wrócę do siebie, wszyscy oni zostaną skrupulatnie sprawdzeni, i to trzy pokolenia wstecz. Nie wyobrażam sobie takiej przykrywki, która wytrzymałaby nasze najnowsze metody dochodzeniowe.

Wziął z talerza kawałek selera i podał go szaro-kremowemu treecatowi siedzącemu obok na wysokim stołku. Postrach Korników bleeknął radośnie i wziął się do konsumpcji. Zwiadowca z Klanu Tancerzy Błękitnej Góry był przydzielonym właśnie Bentonowi-Ramirezowi y Chou osobistym ochroniarzem i wujek Honor starał się wypracować jak najlepsze warunki współpracy. To nie było to samo co więź między treecatem a adoptowanym przezeń człowiekiem, na co wskazywało chociażby pozostanie kotowatego

przy jego własnym imieniu, ale nowy, coraz częstszy typ relacji, związany z coraz powszechniejszym wnikaniem treecatów w ludzkie społeczeństwo.

– Gdy tylko PK i ja dotrzemy na Beowulfa, zaraz zajmiemy się weryfikacją ludzi pracujących przy projekcie – powiedział Jacques i uśmiechnął się, widząc, jak Honor przewraca oczami, słysząc skrót, jakim obdarzył „swojego” treecata. – Jego koledzy bez wątpienia nam w tym pomogą i na pewno nie przegapimy nikogo nielojalnego. Potem zajmiemy się całą naszą strukturą bezpieczeństwa. – Skrzywił się. – Oczywiście będziemy ograniczeni czasem i liczbą współpracujących z nami treecatów, więc nie od razu zejdziemy poza szczebel wyższego zarządu, ale w pierwszej kolejności skupimy się na najwrażliwszych projektach. Zwłaszcza tym jednym. A jeśli kogoś namierzymy, zajmiemy się nim naprawdę skrupulatnie – dodał z ponurym wyrazem twarzy.

– Jak dla mnie brzmi rozsądnie – stwierdził Cachat.

– Dla mnie też – zgodziła się stanowczo Yana.

Jako były Scrag zdumiewająco dobrze dogadywała się z gospodynią. Jacques przypuszczał, że zapewne dzięki niejakiemu podobieństwu dziewczyny do Nimitza. Chociaż „ucywilizowana” i pod przemożnym wpływem Thandi Palane nadal miała w sobie sporo z drapieżnika.

– Mam nadzieję, że nie wyjdę na ignorantkę, ale wiem, że wrogość między Beowulfem i Mesą narastała przez wiele, wiele lat – odezwała się Katherine Mayhew. – Na dodatek zdaje się mieć znacznie bardziej „osobisty” charakter, niż wcześniej przypuszczałam. Nie miałam okazji uczestniczyć w tych wszystkich odprawach wywiadu, które organizuje Benjamin, i w odróżnieniu od niego nikt nie wysłał mnie w swoim czasie na Starą Ziemię, żebym zdobyła porządne wykształcenie. Nie rozumiem więc, dlaczego, na Testera, ktoś poświęcił aż sześćset lat na zaplanowanie czegoś takiego? – Pokręciła głową. – Nie próbuję uzyskać informacji, które

panowie Zilwicki i Cachat przywieźli z Mesy. Staram się tylko cokolwiek pojąć.

– I to będzie jeden z problemów, które napotkamy, gdy będziemy chcieli wytłumaczyć rzecz solarnym, Kat – powiedziała Honor. – Liga nie będzie skłonna zauważyć, że to coś więcej niż zwykła panika, podsycana przez Manticore i Haven, opętane imperialistycznymi obsesjami i przez to tak fanatycznie walczące od dawna o egzekwowanie konwencji z Cherwell. Ich zdaniem, cokolwiek wcześniej mówiliśmy, teraz maska opadła i sprawa jest jasna. Niemniej dołączenie Beowulfa do tej grupy ułatwi ich propagandzie dyskredytację naszego stanowiska. Wszyscy przecież wiedzą, że Beowulf pełen jest szaleńców, od stuleci zwalczających Mesę. A co więcej, cała ta sprawa wydaje się absurdalna.

– Tego nie powiedziałam... – zaczęła Katherine, ale Benton-Ramirez y Chou jej przerwał.

– Honor tego nie sugerowała. Ale ma rację, i ty też masz rację. To brzmi absurdalnie. Nawet na Beowulfie jest sporo osób, które nie bardzo w to wierzą. Oczywiście w ich przypadku nie oznacza to, że uwierzą Mesie. Nie potrafią przyjąć do wiadomości, że przez tyle lat mogliśmy niczego nie zauważać. Po części dlatego, i to już trochę nasza wina, że przywykliśmy przez lata utożsamiać Mesę z Manpower i ich partnerami.

– Osobiście uważam, że to ich promowanie Manpower było niczym wystawienie figuranta – powiedziała Catherine Montaigne. – Sporo dyskutowałam już kiedyś z Webem Du Havlem o tym, dlaczego Mesa tak się uparła przy utrzymywaniu i wspieraniu niewolnictwa mimo ekonomicznej niewydolności tego systemu i wszystkich problemów społecznych, które stwarza to na planecie. Teraz, gdy wiemy już o Równaniu, to zaczyna nabierać sensu. Jedno to atmosfera społeczna sprzyjająca manipulacjom. Łatwo wtedy utaplać kogoś w błocie, by potem

mieć na niego haka. A drugie to fasada sprawiająca, że Mesa stała się głównym, a wręcz jedynym czarnym charakterem. I to ma jeszcze więcej sensu.

– Właśnie – zgodził się Jacques. – Idea, że ktoś mógłby przyjąć rolę czarnego charakteru galaktyki tylko po to, żebyśmy skupieni na nim nie zauważyli czegoś jeszcze podlejszego, z trudem daje się zaakceptować. A prawda jest taka, że Beowulf nauczył się nienawidzić głęboko wszystko, co wiąże się z Mesą i Manpower, i potrwa trochę, nim zaczniemy traktować obecne zagrożenie tak poważnie, jak powinniśmy.

– Tak, to jest problem – przyznała Katherine. – Zawsze zastanawiałam się, dlaczego nienawiść między wami a Mesą urosła tak bardzo. Rozumiem, że mogło się tak stać, ostatecznie mamy przykład na własnym podwórku, wystarczy wspomnieć o Masadzie. Nie rozumiem tylko... mechanizmu.

– Sądzę, że wiąże się to z faktem, że podobnie jak pierwotnych kolonistów Manticore, waszych przodków też ominęła Ostateczna Wojna – powiedziała Honor. – Zanim pierwsi ludzie wysiedli na Manticore z *Jasona*, wojna była już tylko wspomnieniem. Jeszcze bardziej dotyczy to was, z Graysona. Czy raczej nas z Graysona, jak powinnam powiedzieć. – Uśmiechnęła się przelotnie. – Dowiedzieliście się o niej dopiero w chwili, gdy odzyskaliście kontakt z resztą galaktyki, a wówczas mieliście już o wiele ważniejsze sprawy na głowie, biorąc pod uwagę specyfikę środowiska naturalnego waszej planety i Masadę.

– Honor ma rację – odezwał się Benton-Ramirez y Chou. – I muszę przyznać, że chociaż Ostateczna Wojna była czymś strasznym, miała na Beowulfa i Mesę większy wpływ niż na jakiegokolwiek inne planety w Lidze. Nawet na ludzi żyjących dzisiaj w Układzie Słonecznym. Nasze Muzeum Ostatecznej Wojny w Grendel jest największą i najlepszą taką placówką

w całej Lidze, chociaż w Muzeum Wojskowym Ligi Solarnej w Starym Chicago poświęcono tylko jej jedno skrzydło budynku.

– Wiem o Ostatecznej Wojnie znacznie mniej, niżbym chciał, i w ogóle uważam, że to kretyńska nazwa – powiedział Cachat i uśmiechnął się słabo.

– Podobnie jak Graysończycy, do niedawna miałem inne sprawy na głowie.

– Zapewne nie zaszkodzi, gdy zajrzysz do muzeum podczas pobytu na Beowulfie – odrzekł z namysłem Jacques. – Zakładając oczywiście, że będzie na to czas. W naszych bazach jest też sporo całkiem dobrych programów edukacyjnych na ten temat. Polecam na czas dochodzenia do siebie po modyfikacji.

– Jasne! – wykrzyknęła Yana. – Chce w ten sposób odwrócić naszą uwagę od tego, co będą z nami robić.

Wszyscy się zaśmiali, ale Benton-Ramirez y Chou zaraz spowaźniał i ponownie zwrócił się do Katherine Mayhew.

– Mimo trafnej uwagi Victora, że nie ma czegoś takiego, jak „ostateczna” wojna, na Starej Ziemi była poniekąd właśnie taką, przynajmniej gdy chodzi o Układ Słoneczny. Oficjalnie wzniciła ją Ukraińska Supremacja, tracąc kontrolę nad swoimi superżołnierzami... – Spojrzał przepaszająco na Yanę, która prychnęła, słysząc to określenie. – Ale to nie była jedyna ekipa szaleńców zarządzających tamtym domem wariatów. Ówczesni superżołnierze zaś byli zmodyfikowani genetycznie w podobnym stopniu co Honor. Byli silniejsi, mieli lepszy refleks, ich rany szybciej się goiły i byli podobno inteligentniejsi od przeciętnego człowieka, chociaż z tym można dyskutować. Niemniej to było małe piwo w porównaniu z tymi, których wyhodowano gdzie indziej. Na przykład Konfederacja Azjatycka wyprodukowała coś, czego można było się przestraszyć. Wszczepione uzbrojenie, metabolizm tak podkrecony, że wypalali się w niecałe dwadzieścia lat i musieli mieć moduły żywieniowe

w wyposażeniu bojowym, żeby się nie zagłodzić. No i byli na tyle zmodyfikowani genetycznie, że aż sterylni od tego, i dzięki Bogu. W walce wszystkie te modyfikacje niewiele im dawały, biorąc pod uwagę zaawansowanie nawet najprostszycy ówczesnych systemów uzbrojenia. Refleks czy siła niewiele znaczą, gdy piechota staje wobec czołgów. Nadawali się świetnie do operacji specjalnych, a dodatkowe mody „wywiadowcze” pchnęły ich na skraj megalomanii. I przez to zwrócili się przeciwko politycznym władzom Konfederacji podczas przewrotu pekińskiego, i dopiero wówczas Ostateczna Wojna zmieniła się w koszmar.

– A po co był im ten przewrót? – spytał Cachat. Jacques spojrział na niego, unosząc brew, i agent specjalny Haven wzruszył ramionami. – Z tego, co wiem, Konfederacja wygrywała od jakiegoś czasu z Ukrainą, ale zaraz po przewrocie to się zmieniło. Po co więc im to było?

– Przewrotu dokonali, ponieważ byli sterylni – odezwała się Honor, zanim jej wuj zdołał odpowiedzieć. – Uznali, że są lepsi od zwykłych ludzi i to oni powinni wydawać rozkazy, jako wyższy ewolucyjnie rodzaj człowieka. Niemniej to władze Konfederacji kontrolowały farmy klonów, na których hodowano żołnierzy, i odmówiły nieograniczonej ich reprodukcji. – Wzruszyła ramionami. – Wznieci bunt w celu opanowania tych farm i zwiększenia liczby podobnych sobie.

– A wojna w Europie przybrała niepomyślny dla nich obrót, ponieważ modyfikacje zmieniły ich w drapieżców pozbawionych instynktów społecznych – dodał Benton-Ramirez y Chou. – Poza tym tak głęboko pogardzali swoimi ludzkimi oponentami, że nie potrafili zjednoczyć się nawet w walce z nimi. Zamiast tego zaczęli wyrzynać się nawzajem, dążąc do zdobycia kontroli nad Konfederacją.

– I wówczas szaleńcy z Europy Zachodniej wypuścili własne demony – powiedziała ze smutkiem Catherine Montaigne, która spędziła na Starej

Ziemi więcej czasu niż ktokolwiek z obecnych. Sporą jego część poświęciła na badanie zjawisk poprzedzających powstanie Mesy i niewolnictwa genetycznego. – Ukraina zaskoczyła wszystkich wyborem momentu ataku, ale tak naprawdę cały Układ Słoneczny go oczekiwał, i to od dawna. Zachodnia Europa nie była zainteresowana modyfikacjami genetycznymi ludzi, zaczęto więc grzebać przy znanych już wcześniej chorobach i czynnikach chorobotwórczych, jak wąglik, tyfus, cholera, zapalenie opon mózgowych, botulizm, dżuma oraz ebola.

– O większości z nich nawet nie słyszałam – wyznała Yana.

– Ponieważ większość została skutecznie zwalczona – odparła Montaigne. – I dzięki Bogu! Na Ziemi wiele z nich nie występowało już przed Ostateczną Wojną. Aż do chwili, gdy ci idioci je odkurzyli i posłali do walki.

– Jak mogli oczekiwać, że to zadziała? – spytała Elaine Mayhew z przerażeniem malującym się w ciemnych oczach. Dla kogoś wychowanego w zamkniętych enklawach Graysona musiał to być szczególnie szatański pomysł.

– Wydawało im się, że wbudowali w swoje genetycznie zmodyfikowane zabawki wystarczające zabezpieczenia – odparł Benton-Ramirez y Chou. – Coś na kształt specjalnych wyłączników. Dodatkowo zgromadzili jeszcze olbrzymie zapasy szczepionek, jednak uwolnione do środowiska, mikroby zaczęły ewoluować o wiele szybciej, niż oczekiwano. Owszem, z początku broń biologiczna dawała pożądany efekt. Ten etap trwał około trzech lat i żołnierze Konfederacji, z ich szybkim metabolizmem, okazali się bardziej podatni na nowe choroby niż zwykli ludzie. Jednak gdy patogeny dotarły do ludności cywilnej Azji, dały o sobie znać skutki uboczne. Gdy fala epidemii niejako wróciła do Europy, mikroby były już na tyle zmutowane,

że okazały się odporne na szczepionki. Te szczepionki, które miały chronić Europejczyków.

Katherine i Elaine spojrzały na męża, jakby miały nadzieję, że zaprzeczy słowom Bentona-Ramireza y Chou. Benjamin jednak pokiwał głową.

– I dlatego wyhodowane specjalnie zarazki zdołały zabić niemal całą populację Ziemi – powiedział zonom. – I nie myślcie, że była to tylko wina Europy i Azji. Zachodnia półkula też dołożyła swoje do masakry.

– To prawda – mruknęła Honor. – Z drugiej strony, oni akurat nie byli na tyle szaleni, żeby używać genetycznie zmodyfikowanych patogenów.

– O nie! – rzucił Benton-Ramirez y Chou przez zaciśnięte zęby. – Byli o wiele bystrzejsi. Sięgnęli po nanosystemy uzbrojenia!

– Słodki Testerze – mruknęła Katherine Mayhew.

– A może byśmy tak dali na razie spokój tym opowieściom, które mogą zaburzyć trawienie obiadu przygotowanego dla nas przez Maca? – zaproponowała Honor. – Spróbujmy nie zagłębiać się bardziej w specyfikę Ostatecznej Wojny. Chyba nie jest to nam potrzebne do wyjaśnienia relacji panujących między Mesą a Beowulfem.

– Faktycznie, nie jest – zgodził się Jacques. – Ale sposób, w jaki Beowulf i reszta kolonii zareagowały na samobójstwo Ziemi, ma z tymi stosunkami sporo wspólnego.

Upił łyk wina i starannie odstawił kieliszek.

– Moi przodkowie, podobnie jak i przodkowie Honor, oczywiście, stworzyli flotę ratunkową. Można powiedzieć, że ta akcja stoi za dzisiejszą potęgą Ligi. Wtedy też zaczął się na dobre handel międzygwiazdny, podobnie jak i ruch pasażerski. W pewnym sensie obecna sytuacja jest więc naszą winą. Z drugiej strony, mamy dość bieżących problemów, by nie sięgać po historyczne. Tak Beowulf, jak i mieszkańcy innych kolonii

wyciągnęli z Ostatecznej Wojny jedną zasadniczą naukę: nie można pozwolić na powtórkę tego koszmaru. Przy czym superżołnierzy, zwłaszcza tych ukraińskich, uznano za zagrożenie większe niż genetycznie zmodyfikowane patogeny.

Kilka osób spojrzało na niego ze zdumieniem.

– Wiem. W porównaniu z produkcją Konfederacji Azjatyckiej Scragi to niemal baranki. – Wskazał na Yanę. – Popatrzcie na nią. I na Honor. Nie ma między nimi wielkich różnic, prawda?

Yana i jej kuzynka spoglądały przez chwilę na siebie.

– Nie, żadnych – powiedziała z uśmiechem Honor i pokręciła głową.

– Rzecz w tym, że koncepcja, na której oparła się Ukraina, budziła większy sprzeciw – wyjaśnił Jacques. – Konfederacja traktowała swoich superżołnierzy jak jeszcze jeden typ uzbrojenia. Żywe maszyny, które nie miały się rozmnażać i nie były przyszłością ludzkości. Ukraińcy uznali ich jednak za kolejny etap wymuszonej ewolucji, *homo superior*. I to legło u podstaw całego konfliktu. Cała ta wojna, rzeź, która pochłonęła miliardy ofiar, zaczęła się od ukraińskiego planu genetycznego poprawienia ludzkości. Militarne wykorzystanie biotechnologii i nanotechnologii jeszcze pogorszyło sprawę. Ekipy ratunkowe rozkopujące masowy grób, którym stała się Ziemia, i przywracające planetę do życia uznały, że nie może być powtórki. Kodeks etyczny nauk biologicznych przyjęty na Beowulfie wywodzi się wprost z doświadczeń Ostatecznej Wojny. Dlatego właśnie wyklucza się w nim militarne wykorzystanie biotechnologii oraz nakłada ograniczenia na modyfikowanie genetyczne ludzkości.

– A Mesa się z tym oczywiście nie zgadza – stwierdził Victor.

– Właśnie – przytaknął Benton-Ramirez y Chou. – Leonard Detweiler uznał te reakcje za histeryczne, a całą wojnę, jakkolwiek straszną, za

incydent o lokalnym zasięgu, skoro objęła tylko jeden układ planetarny. Bo owszem, epidemie sięgnęły Luny i Marsa, ale nie wyszły poza obłok Oorta i żaden inny układ od nich nie ucierpiał. Zresztą nawet gdyby, to skutek byłby dla niego ten sam, czyli nauczka dla ludzkości. Nie miał nic przeciwko zakazowi militarnego wykorzystania biotechnologii, a przynajmniej tak wtedy mówił. Co go rozwścieczyło, to zawarty w kodeksie etycznym zakaz radosnego poprawiania ludzkiego genotypu i wprowadzenie naszej kontroli nad pracami idącymi w tym kierunku. Powiedział, że „małe umysły zawsze lękają się śmiałych koncepcji”. Po prostu nie pojmował, jak rozumne istoty mogą odwrócić się od tego i zaprzepaścić szansę na ulepszenie samych siebie.

Przerwał na dłuższą chwilę i westchnął głęboko.

– Po prawdzie w niektórych sprawach miał rację – przyznał. – Znowu wystarczy spojrzeć na Honor i Yanę. Nie ma w nich niczego strasznego, prawda? Podobnie jak w dwóch tuzinach populacji planetarnych zmodyfikowanych w taki sposób, żeby dostosować ludzi do miejscowych warunków życia. – Uśmiechnął się do protektora i pokręcił głową. – Bez takich właśnie w tajemnicy wprowadzonych zmian nie mielibyście szans na przeżycie. Ale czego Detweiler nigdy nie zrozumiał czy nie zaakceptował, to tego, że większość mieszkańców Beowulfa odrzuciła pomysł takiego poprawiania genotypu, które miałyby doprowadzić do powstania nadczłowieka. Istoty rodem z marzeń Adolfa Hitlera, ukraińskich ideologów czy malzackich niepokonanych, chcących powołać do życia rasę panów. Nowy gatunek o takich cechach, które z oczywistych przyczyn będą predestynować go do podporządkowania sobie całej reszty ludzkości. Detweiler nie pojmuje, że kogokolwiek taka perspektywa może odrzucać i że wielu dostrzegало w tym groźbę wskrzeszenia dawnego rasizmu.

Niektórzy patrzyli na niego bez zrozumienia. Parsknął i zwrócił się do Catherine Montaigne:

– Jestem pewien, że twój przyjaciel Du Havel wyjaśni ci, co to było.

– Już dawno to zrobił – wyznała. – To, o czym wspomniał Jacques, to koncepcja, zgodnie z którą niektóre cechy genetyczne, zwykle tak trywialne, jak kolor skóry, włosów czy oczu, świadczą o czyjejś wyższości albo niższości. Jak zaznaczył Web, w swoim czasie nawet Królowa Elżbieta zostałyby uznana za sprawą koloru skóry za istotę niższą i zaliczona do niewolników.

– To osobliwe! – rzuciła Elaine Mayhew, a Benton-Ramirez y Chou zaśmiał się ponuro.

– Oczywiście. Takie pomysły rodziły się w prymitywnym okresie dziejów. Problem jednak w tym, że Detweiler proponował powrót do tej koncepcji, ponieważ miała ona stać się prawdziwą. Zamierzał to zademonstrować, udowodnić i wyskalować. Oczywiście kwestia, co właściwie decydowałoby o „wyższości”, byłaby zapewne różnie interpretowana, co tylko pogorszyłoby sprawę. Beowulf jest rzecznikiem merytokracji, ale jesteśmy też bardzo przywiązani do koncepcji społecznej i prawnej równości, które Detweiler i jego grupa chcieli wymazać. Zatem powiedzieliśmy mu nie. I to nawet dość zdecydowanie. Gdyby chciał wprowadzać swoje zamiary w czyn na Beowulfie, zostałby pozbawiony prawa wykonywania zawodu i uwięziony. – Benton-Ramirez y Chou wzruszył ramionami. – Możliwe, że przesadziliśmy z reakcją, chociaż moim zdaniem mieliśmy ku temu powody. Z drugiej strony, Detweiler był arogantem bardzo zazdrosnym o swoją pozycję. Poczł się głęboko urażony tym, jak zdecydowanie go odprawiono, i odnoszę wrażenie, że obecni przywódcy Równania do dzisiaj przeżywają tę jego frustrację. Gdy porzucił Beowulfa i wyemigrował na Mesę, zabrał ze sobą całkiem liczną grupę

z naszego środowiska medycznego. Większą nawet, niż oczekiwano, że za nim pójdzie, chociaż wobec populacji planety była to oczywiście ledwie garstka. – Uśmiechnął się do Katherine Mayhew. – I tak zaczęła się wrogość między Mesą a Beowulfem, która trwa do dziś. Można powiedzieć, że w pewnym sensie Mesa przypomina Masadę. To porównanie jest chyba nawet trafniejsze, niż mogliśmy sądzić przez ostatnie stulecia.

– Myślę, że to spore niedomówienie – zauważył Zilwicki. – O ile oczywiście mogą się tak wyrazić.

Benton-Ramirez y Chou pokiwał głową.

– Tak. Sporo o tym myślałem od waszego powrotu i doszedłem do wniosku, że to, co naprawdę kryje się za ich planem, założywszy oczywiście, że McBryde trafnie rzecz przedstawił, to znacznie więcej niż dawna koncepcja Leonarda Detweilera, żeby stworzyć genetycznie poprawionego nadczłowieka. O tym też myślą, rzecz jasna, ale nasza obecna wiedza o Mesie sugeruje, że na równi zależy im na udowodnieniu, że od początku mieli rację. Od Ostatecznej Wojny minęło już bardzo wiele lat. Odraza i przerażenie tamtymi działaniami zatarły się w znacznej części, uprzedzenia wobec genetyki zaś są obecnie znacznie słabsze niż wtedy. W sumie, gdyby nie genetyczne niewolnictwo, mogłyby już całkiem zaniknąć. Gdyby Równanie przeznaczyło chociaż ułamek tych środków, które musiało wyłożyć na stworzenie technologii pozwalających na lutowy atak, na udającą edukację propagandę, to niemal na pewno zdołałoby przekonać ludzkość do swoich celów. Do poprawiania ludzkiego genomu. Może bardziej stopniowego, niż mogliby sobie życzyć, ale jednak. Ostatecznie już teraz istnieje wiele dowodów na to, że można to robić i nic złego się nie dzieje. Ale nie przypuszczam, żeby ich myślenie kiedykolwiek zbłądziło na podobne tory. Chyba ciągle tkwią w przekonaniu, że ten

pomysł trzeba narzucić, a ich przeznaczeniem jest dokonać tej rewolucji. Między innymi dlatego porównałem ich do Masady, Katherine. Reprezentują irracjonalną postawę, gdy chodzi o osiągnięcie celu. Zupełnie jak tamci, którzy zbudowali bombę Sądu Ostatecznego, gotowi zniszczyć własną planetę, byle tylko „uratować” ją przed Benjaminem Wielkim.

– Zgadzam się – powiedziała cicho Honor. – Całkowicie się zgadzam. I to najbardziej mnie przeraża. Bo jeśli oni naprawdę są religijnymi fundamentalistami, wyznawcami czegoś w rodzaju kościoła genetycznej poprawności, to Bóg jeden wie, co jeszcze mogli przygotować, żeby zawlec nas mimo sprzeciwów do swojego Syjonu.

ROZDZIAŁ XVII



Pierwsze, co Thandi Palane zauważyła, wchodząc do przydzielonego im mieszkania, to że kanapy w salonie zostały przestawione przed wielki ekran ścienny, na którym leciał właśnie jakiś zdecydowanie popularny program.

– ...nie wie o tym człowieku – powiedziała ostrym tonem rudowłosa kobieta siedząca przy stole widocznym na środku ekranu.

– Tak daleko bym się nie posunął – odpowiedział jej mężczyzna zajmujący miejsce przy drugim końcu stołu o kształcie zbliżonym do litery L. Wydawał się prowadzić całe przedstawienie. Zaraz potem zerknął na mały ekran wbudowany w blat. – Wiemy na przykład, że był przez niedługi czas gubernatorem prowincji La Martine.

– Niedługi czas! – wyrwało się rudowłosej, która dodatkowo się zaśmiała. Brzmiało to niezbyt przyjemnie i Thandi chyba coraz mniej ją lubiła. – To zbyteczny eufemizm. Został zwolniony z tej posady, ledwie ją objął, a potem spędził sporo czasu w areszcie. Nie mogę oprzeć się wrażeniu, że...

– Wyluzuj, Charlene – przerwała jej kobieta siedząca naprzeciwko domniemanego prowadzącego. – To wszystko domysły, nie fakty. Wydarzenia, o których z Yaelem wspominał, miały miejsce podczas rewolucji i przewrotu Saint-Justa, a my niewiele wiemy o tak odległych od nas prowincjach Haven. Zresztą wszystko, co dotyczy tamtej rewolucji, jest ciągle dość niejasne, zwłaszcza sprawy spoza centrum zdarzeń. Sądzę więc, że nie powinniśmy...

Thandi spojrzała na Ruth Winton, która siedziała obok Victora.

– Co to jest?

– Program publicystyczny „Co nowego w Gwiezdnym Imperium”.
Prowadzi Yael Underwood.

– To ten blondasek z pyskiem łasicy, siedzi po prawej – dodał Anton Zilwicki, tkwiący między Jakiem Bentonem-Ramirezem y Chou i Catherine Montaigne.

– Górale z Gryphona są pamiętliwi! – zauważyła ze śmiechem Catherine.

– Pamiętliwi? – spytała Thandi.

Berry, która weszła zaraz po Thandi, najpierw się roześmiała, a potem przystąpiła do wyjaśnień:

– Underwood wystawił kiedyś tatę. To było, jeszcze zanim spotkaliśmy ciebie podczas ceremonii pogrzebowej Hieronymusa Steina na Erewhonie.

– ...odmawia pani przyznania, że wszystko, co o nim wiemy...

– ...nie wiem dlaczego, ale wydaję się tu jedyną osobą pamiętającą, że jeszcze wczoraj ten człowiek był naszym zaprzysięgłym wrogiem...

– ...nie posunąłbym się tak daleko jak Charlene, ale to absolutnie pewne, że jego rola podczas incydentu Manpower była...

Thandi odwróciła się od tego źródła jazgotu.

– W jakim sensie wystawił?

– Underwood zrobił cały program o Antonie – wyjaśniła Cathy. – Zaprosił różne gadające głowy i najpierw pozwolił im na zwykły bełkot, po czym wprowadził kogoś, kto naprawdę coś wiedział, i ten facet, przedstawiony jako pan Wright, narobił masę zamieszania.

– Potem ustaliłem, że naprawdę nazywa się Guillermo Thatcher – powiedział Anton. – Został właśnie zwolniony ze Special Intelligence Service. Gdybyście nie wiedzieli, to cywilna agencja wywiadowcza. Mam nadzieję dopaść go kiedyś w ciemnej uliczce, najlepiej bez świadków.

Thandi uśmiechnęła się szeroko. Zwłaszcza gdy zauważyła ponurą minę Victora.

– ...agent specjalny Cachat – powiedziała Charlene. – Ciekawa jestem, dlaczego „specjalny”? Gdybym miała to określić bliżej...

– A teraz wystawia Victora, tak?

– Próbuje – odparł Anton. – Jak dotąd wszyscy pływają i nie sędzę, by mieli jakiegoś nowego pana Wrighta za kulisami. Głównym akcentem jest więc walka na poduszki między Shrilla Charlene i tą drugą. Nazywa się Florence Hu i reprezentuje mniej więcej głos Partii Liberalnej.

– Raczej mniej niż więcej – wtrąciła Cathy.

– Okładają się nawet energicznie, ale ile można zdziałać poduszką? – powiedział Anton. – Wychodzi na to, że nikt tam nie wie niczego konkretnego o Victorze, od Underwooda poczynając. Jego też chętnie spotkam w tej ciemnej uliczce.

Thandi usiadła obok Victora i poklepała go po dłoni.

– Nie przejmuj się. Niebawem będzie po wszystkim.

– Obawiam się, że nie – odparł ponuro Victor.

– Te programy są przeznaczone dla debili. Poza tym mało kto je ogląda. W przyszłym tygodniu...

– W przyszłym tygodniu będą mówić już tylko o Victorze – przerwał jej Anton. – No, może trochę później, zależy, jak sprawy się ułożą. Nie wszystko wiesz o Victorze, Thandi. Jego ponury nastrój nie wynika z tego,

co o nim mówią. Rzecz w tym, że wie, co powinien teraz zrobić, i bardzo mu się to nie podoba.

Victor chrząknął znacząco.

– Najbardziej dołuje mnie fakt, że ten tutaj obywatel potrafi odgadnąć, co myślę. Dość to irytujące. Im lepiej mu idzie, tym gorzej się czuję.

– O czym wy mówicie? – spytała Thandi, marszcząc czoło.

Stojąca obok Berry przyjrzała się kolejno obu agentom.

– Popatrzcie tylko na nich. Istni członkowie bardzo elitarnego klubu, w którym tajemnica goni tajemnicę.

Ruth zerwała się nagle z miejsca i klasnęła w dłonie.

– Mój Boże! To genialny pomysł. To absolutnie genialne! – Zaczęła chodzić tam i z powrotem tak energicznie, że omal nie strąciła na podłogę cennego zapewne wazonu, ustawionego na skraju stołu. – Oczywiście konieczna będzie oficjalna zgoda. Może nawet prezydent Pritchart. Ale ona też była szpiegiem i zrozumie. I na pewno doceni pomysł. – Mijając Jacques'a, pomachała do niego ręką. – On też będzie musiał go zaaprobować. Ale nie przypuszczam, żeby to był problem.

– A tę co napadło? – spytał Benton-Ramirez y Chou, spoglądając na Thandi i Berry.

Palane wzruszyła ramionami.

– Nie mam pojęcia. Chyba nie myślę jak szpieg. Victorze, czy mógłbyś nas oświecić? – Zacisnęła mocno wargi. – Może nie wyraziłam się dość jasno – dodała po chwili. – Jeśli nam tego nie wyjaśnisz, wymyślę nowe ćwiczenie. Będzie nazywać się precel Cachata.

– Dasz popatrzeć? – spytała Berry.

Victor uniósł ręce w geście frustracji i kapitulacji zarazem.

– Skoro nie ma już szans, żeby pozostać w cieniu... – westchnął głęboko – trzeba to wykorzystać. Obrócić na naszą korzyść.

– Tak jest – powiedział Anton. – Zgarnąć niczym obornik i zasypać tym media. Żeby tylko czubek wystawał. Niech żrą, aż się udławiają. Niech żrą jak najdłużej. – Spojrzał na Jacques'a. – Będziesz musiał nam pomóc. Żeby naprawdę zadziałało, potrzebny nam będzie sobowtór Victora. Mój chyba też.

– Nie chyba – dorzucił Victor. – Na pewno.

Anton zaśmiał się, ale nie odwrócił spojrzenia od Jacques'a.

– Pewnie będą musieli zostać pokryci naszym DNA na wypadek, gdyby ktoś dorwał jakieś próbki. Oczywiście nie będą mieli bezpośredniego kontaktu z mediami, bo wtedy musieliby nie tylko wyglądać, ale i zachowywać się jak my.

– Wszechświat ma przechłapanie – mruknęła Thandi.

– To będzie ryzykowna sztuczka, ale gdy wypuścimy już całą historię, a my wiemy, gdzie kopać...

– Media oszaleją – zaśmiała się Ruth.

– Zwłaszcza jeśli damy im nagranie Baletu z akcji w Starym Chicago – podpowiedział Anton.

Victor zabalgotał, jakby dławził w sobie głos protestu. Anton spojrzał na niego z ukosa.

– Oczywiście, że musimy to puścić. To będzie jak wisienka na torcie. Wiesz o tym równie dobrze jak ja.

Agent specjalny Haven przeszedł już chyba do etapu zrezygnowanego zgorzknienia.

– Nigdy nie widziałem tego nagrania, ale podobno Jeremy też się na nim pojawia. – Spojrzał ostro na Cathy. – Zgadza się?

– No... owszem. Pod sam koniec.

– O ile dobrze pamiętam, załatwił ostatniego z czterech drani. Niech więc media zobaczą, jak działa „najgroźniejszy terrorysta galaktyki”.

– To... pewnie nawet dobry pomysł – stwierdził z zastanowieniem Anton.

Jacques, który od jakiejś chwili zerkał to na jednego, to na drugiego, uniósł w końcu rękę.

– Chyba z wami zwariuję. Nie rozumiem... – Nagle urwał, jakby doznał olśnienia. – Boże w niebiesiech. To... genialny pomysł.

Thandi zagwizdała bezgłośnie.

– Chyba nie uwierzyliście w ten precel Cachata. Jeszcze chwila, a zrobię z niego element porannej gimnastyki. Czy ktoś powie wreszcie łaskawie, o co chodzi?

Jacques wskazał na Victora i Antona.

– Najpierw stworzymy ich sobowtóry, które poddamy takiemu samemu jak ich zabiegowi maskowania genetycznego. I w tym samym czasie, gdy będziemy zajmować się nimi. Po drugie, gdzieś w przyszłym tygodniu, gdy dotrzemy na Beowulfa, zaczniemy karmić media strzępami informacji. Ale nie za długo, bo zależy nam na wielkim łubudu, dlatego szybko damy im wszystko. Underwood dostanie tyle materiału, ile zebrał niegdyś, by obsmarować Zilwickiego. Kiedy to było? Dwa lata temu?

– Trzy – odparł Anton.

– Poza tym przedstawił go całkiem pozytywnie! – wtrąciła Berry.

– Pozytywnie, negatywnie, wszystko jedno – rzucił Jacques. – Ma być gorąco i sensacyjnie. – Spojrzał na Montaigne. – Nie widziałem tego materiału, o którym mówiłaś. Czy to jest...

– Gorące i sensacyjne? – Przez chwilę myślała, co odpowiedzieć. – Powiedzmy w ten sposób: Victor załatwił wtedy co najmniej tuzin Scragów i ludzi безпеki. Jeremy zajął się resztą. Jeden przeżył, był ciężko ranny. Tego zastrzelił Donald X, teraz znany chyba jako Donald Toussaint. To też jest na nagraniu.

– I pewnie to wytniemy – zasugerował Anton.

– Dlaczego? – spytał Victor. – Donaldowi to nie robi różnicy. Kto niby go oskarży, czy mnie albo Jeremy'ego? Właściwe do tego sądy znajdują się na Ziemi i mają obecnie masę innej roboty. Nie sądzę, by chcieli drążyć tamten incydent i wysyłać noty ekstradycyjne.

– To prawda – zgodził się Anton. – Co dalej, Jacques?

Jednak Benton-Ramirez y Chou przystanął już obok Ruth.

– To świetny pomysł. Media oszaleją. Musimy tylko o wszystkim pomyśleć. Na przykład... – Spojrzał na Antona, potem na Cathy. – Przebieg incydentu Manpower znam tylko w zarysie. Poprawcie mnie, jeśli się mylę, ale zdaje się, że Victor uratował wtedy życie twoim dzieciom?

– Ponad wszelką wątpliwość – powiedział Anton.

– Tak – dodała Berry. – Też tam byłam, chociaż nie przy samej strzelaninie.

Jacques pokiwał głową.

– W sensie propagandowym byłaś pewnie trochę zbyt blisko całej sprawy, ale teraz musimy przekonać obywateli Manticore i Haven, że pora zakończyć tę najbardziej krwawą i okrutną wojnę galaktyki. Spotkamy się z oporem, trzeba więc nakarmić ich wszystkich, najpierw tutaj, potem w Haven, opowieścią o młodym agencie Republiki, który uratował troje dzieci z Manticore, przy czym jedno z tych dzieci jest teraz oficerem floty, drugie zaś koronowaną niedawno Królową Torch, a później jeszcze

zaprzyjaźnił się z ojcem tych dzieci, który jest znaną postacią w Gwiezdnym Królestwie...

– Kapitan Zilwicki, bohater galaktyki! – parsknęła Ruth.

– Ich przyjaźń zaś przyczyniła się dodatkowo do ujawnienia zdradzieckiego planu działającego na Mesie Równania, która to organizacja jest odpowiedzialna między innymi za wzniecenie i podtrzymywanie wojny między Manticore i Haven. – Jacques zatarł ręce. – Nie wspominając już o tym, że Victor należał do opozycji, która obaliła ostatecznie reżim Saint-Justa. Piękna sprawa. Media będą się tym żywić przez ileś tygodni. A gdy im się w końcu znudzi... – Opuścił ręce i uśmiechnął się szeroko. – Wtedy sobowtóry będą już gotowe. Będziemy przeganiać ich co jakiś czas w polu widzenia kamer. Nie za blisko i nie za często, tylko by zasugerować, że Cachat i Zilwicki mają pełne ręce roboty w służbie rządowej, no i że są tutaj, może też na Haven i później na Beowulfie, a nie osiemset lat świetlnych dalej. Na Mesie, w ostatnim miejscu, gdzie ktokolwiek skłonny byłby ich oczekiwać.

Thandi potarła dłonią twarz.

– Dobra, już rozumiem. To, co proponujecie, to zasadniczo dywersja. Duża i tłusta. I masz rację. To świetny plan. Ale będziemy potrzebowali też mojego sobowtóra. Jestem zbyt ważną osobą, by zwyczajnie zniknąć. Jeśli ktokolwiek zobaczy mojego sobowtóra kontaktującego się z moimi odpowiednikami tutaj, nawet się nie zdziwi. Czegoś takiego właśnie się oczekuje.

Anton i Victor spojrzeli po sobie.

– Ona ma rację – powiedział Victor.

Anton przytaknął. Podobnie Jacques.

– Dołączymy cię do grupy. – Zastanowił się chwilę. – Ktoś jeszcze? Ta Yana, o której mówiliście?

– Nie – odparli jednocześnie Victor i Thandi.

– Nikt nie zauważył jej zniknięcia – wyjaśniła Thandi. – Zmianę będzie musiała przejść, bo była już kiedyś na Mesie, ale sobowtóra nie potrzebuje.

– To samo dotyczy Steph Turner – dodał Victor. – Zakładając, że zgodzi się na udział w misji.

Jacques wyciągnął swój komunikator.

– Dobrze. Kto zadzwoni? I do kogo najpierw?

Victor i Anton znowu na siebie spojrzeli.

– Zaczynają się schody – mruknęła Cathy.

– Naprawdę? – spytała z uśmiechem Berry.

– Musimy zacząć od prezydenta Pritchard – powiedział Anton i wskazał na Victora. – Wierzycie czy nie, ale on jest bardzo zdyscyplinowanym funkcjonariuszem. Nie zrobi niczego bez zgody swoich przełożonych. A biorąc pod uwagę, że ciągle zmieniają mu przydział, jedynie prezydent Pritchard może zatwierdzić coś takiego. Jeśli zaś chodzi o to, kto zadzwoni...

Victor też sięgnął po komunikator.

– Ja to zrobię. Jacques byłby lepszy, ale dobry agent powinien umieć stawić czoło swemu szefowi. – Wybrał numer i przybrał lekko nieobecny wyraz twarzy kogoś rozmawiającego z osobą znajdującą się całkiem gdzie indziej. – Mówi agent specjalny Cachat. Proszę o przekazanie prezydentowi Pritchard, że zależy mi na pilnej rozmowie. – Przerwał na chwilę. – Tak, rozumiem, że jest bardzo zajęta, ale to bardzo ważne. – Znowu chwila ciszy. – Tak, dziękuję – powiedział, wznosząc oczy ku niebu, i zakończył połączenie. – Jak to Szekspir mawiał? Że najpierw zabijemy urzędasów?

– Nie. – Cathy pokręciła głową. – Najpierw prawników.

– No to się pomylił. – Victor odłożył komunikator. – Obawiam się, że nieprędko uda nam się z nią skontaktować. Ten sztywniak, czyli główny sekretarz pani prezydent, dał mi jasno do zrozumienia, że nie powinienem ludzić się w tej materii.

– Naprawdę? – spytał Jacques, ponownie wyjmując własne urządzenie. – Może jednak ja spróbuję. – Z takim samym nieobecny wyrazem twarzy wybrał właściwy numer. – Mówi Jacques Benton-Ramirez y Chou z Rady Dyrektorów Beowulfa. Czy mogę spytać o pana nazwisko? – Kilka sekund przerwy. – Dziękuję, panie sekretarzu Hancock. Chcę rozmawiać z prezydent Pritchard. – Kilkanaście sekund przerwy. – Nie wspomniałem nic o umówieniu spotkania, panie Hancock. Powiedziałem, że chcę rozmawiać z panią prezydent. Teraz. Jeśli znaczenie słowa „teraz” jest dla pana niejasne, mogę poprosić mojego kuzyna, żeby pana oświecił. Mój kuzyn to Chyang Benton-Ramirez, przewodniczący Rady Dyrektorów Beowulfa. – Krótka chwila ciszy. – Dziękuję, panie sekretarzu. Zaraz z nią połączy – powiedział stojącym obok niego.

– Eloise? – odezwał się po chwili. – Mówi Jacques. Mamy coś bardzo ważnego i muszę jak najszybciej się z tobą zobaczyć. Zabiorę też agenta Cachata i kapitana Zilwickiego. I generał Palane. Świetnie, zatem o piętnastej trzydzieści.

Odłożył komunikator i sprawdził godzinę.

– Mamy trochę ponad dwie godziny. Lepiej się zbierajmy.



Gdy wyszli, Ruth ponownie zasiadła przed ekranem. Gadające głowy jeszcze nie skończyły.

– Niestety, muszę się zgodzić, że tak właśnie jest – powiedział Yael Underwood. – Nie wiemy wiele o Cachacie, a to, co jest nam wiadome, opiera się w większości na spekulacjach.

– Do czasu, chłoptasiu – rzuciła Ruth. – Jeszcze się zdziwisz.

ROZDZIAŁ XVIII



Gdy Steph Turner i Andrew Artlett zostali wprowadzeni do sali konferencyjnej, ze zdumieniem ujrzeli czekające już w środku Królową Berry i księżniczkę Ruth. Był też ktoś, kogo nie rozpoznali, co nie było nawet dziwne, zważywszy na to, że ledwie co zjawili się w Columbii na Beowulfie. Ich statek wylądował poprzedniego wieczoru.

– Gdzie Victor? – spytała Steph. – I Anton? To oni wysłali mi wiadomość, żebym czym prędzej przyleciała.

Andrew odsunął jej krzesło i pomógł usiąść przy stole, dokładnie naprzeciwko Berry, Ruth i nieznanego mężczyzny. Rzadko zdobywał się na taką galanterię, jednak teraz peszyły go spojrzenia pytające: „I co on tu robi?”, i wolał czymś się zająć.

Steph szybko zorientowała się w sytuacji.

– Andrew postanowił polecieć ze mną – wyjaśniła.

– Wiem, że nie zostałem zaproszony – powiedział Andrew. Zająwszy miejsce, odzyskał trochę animuszu. – Jednak też znam Cachata i Zilwickiego. Rozumiem, że coś szykują. Coś, w czym Steph ma wziąć udział. Najpewniej nie będzie to nic dobrego. Dołączyłem więc, by przypilnować, żeby w nic jej nie wrobili.

Berry i Ruth spojrzały po sobie, a potem na nieznanego.

– Sądzę, że to twoja działka – zwróciła się do niego Ruth.

Mężczyzna zaśmiał się krótko.

– Kto to wie? Cały ten plan wymyka się zwykłemu podziałowi kompetencji, że o porządku prawnym nie wspomnę. Ale spróbuję.

Obrócił się z fotelem w stronę Artletta.

– Zakładam, że jesteś Andrew Artlett, tak? Sławny obecnie w niektórych kręgach mechanik pokładowy, który zdołał prowizorycznie naprawić *Hali Sowle* i umożliwił tym samym Cachatowi i Zilwickiemu powrót z nowinami, które wstrząsnęły galaktyką.

– I co z tego? – spytał Andrew, opierając przedramiona na blacie stołu.

Steph położyła mu dłoń na ramieniu.

– Spokojnie, on stara się być uprzejmy. Hamuj się, dobrze?

– Hm. – Andrew wyprostował się na krześle z miną kogoś zakłopotanego, ale niechętnego do przyznania tego głośno. – Hm.

– Nazywam się Henry Kham – powiedział mężczyzna. – Jestem z... powiedzmy, że w tej chwili reprezentuję Międzyagencyjny Zespół Rozwojowy.

– A o jakie agencje chodzi i czego to rozwój? – spytał Andrew.

Steph spojrzała na niego karcąco.

– Sądzę, że niebawem się dowiesz. Pozwól panu Khamowi dokończyć.

– Hm.

– Chodzi o współpracę między szeregiem instytucji reprezentujących jak dotąd cztery organizmy państwowe. To Beowulf, Manticore i Torch. Haven też bierze w tym udział, chociaż na naszym spotkaniu nie ma reprezentanta Republiki.

– Gdzie jest Victor? – spytała Steph.

– Chwilowo jest związany... innymi obowiązkami.

Berry zaśmiała się, Ruth chyba prawie też. Kham spojrzał na nie pytająco.

– Źle się wyraziłem?

– Nie, wszystko w porządku – odparła Ruth.

Mruknęła pod nosem coś w rodzaju „zwykle to on związuje innych”, chociaż Steph nie była pewna, czy dobrze usłyszała. Młoda Królowa chyba z trudem opanowywała śmiech. W końcu Ruth machnęła lekceważąco ręką.

– Rób swoje, Henry. Nie zwracaj na nas uwagi.

Kham spojrzał ponownie na Steph i Artletta.

– Co do rozwoju, rzecz jest całkiem prosta. Informacje dostarczone przez Cachata i Zilwickiego były wprawdzie bezcenne, ale musimy wiedzieć więcej. Planujemy więc wysłać na Mesę kolejną ekipę wywiadowczą. – Spojrzał wprost na Steph. – I chcemy namówić panią, żeby weszła pani w jej skład.

Andrew chciał już chyba zaprotestować, ale Kham powstrzymał go uniesieniem dłoni.

– Najpierw proszę mnie wysłuchać. Nie oczekujemy od pani Turner, że zajmie się bezpośrednio działaniami operacyjnymi. Chcemy ją prosić, żeby zapewniła bezpieczny lokal oraz wspierała właściwych agentów radami i swoim doświadczeniem.

– Nie – powiedział Artlett. Zaraz też wstał i wyciągnął rękę do swojej partnerki. – Steph, idziemy.

– Siadaj, Andrew – poleciła.

Zamarł z otwartymi ustami, wpatrując się w nią.

– Siadaj – powtórzyła. – Po pierwsze, to moja decyzja, nie twoja. Po drugie, jesteś nieuprzejmy. Słucham, panie Kham. O jaki rodzaj bezpiecznego lokalu chodzi i jakie pieniądze wchodzi w grę?

Kham wzruszył ramionami.

– Mamy nadzieję, że sama nam pani powie, jaki lokal byłby najlepszy. Pieniądze nie są problemem. Dostarczymy ich tyle, ile będzie trzeba.

Steph zacisnęła wargi i zamyśliła się na chwilę.

Artlett usiadł z powrotem.

– Steph, nie myślisz chyba poważnie...

– Cicho.

Przewrócił oczami, ale zamilkł.

Steph ożyła jakieś pół minuty później.

– Restauracja zapewne odpada, chociaż to byłoby mi najłatwiej zorganizować.

– Zgadzam się – odparł Kham. – Też już o tym myśleliśmy, ale... – Pokręcił głową. – Problem w tym, że nie wiemy dokładnie, jakie dane mogą posiadać na Mesie na temat Cachata, Zilwickiego i ich poprzedniego pobytu na planecie. Być może mają panią w aktach. Możemy dać pani nową tożsamość, ale już wcześniej prowadziła tam pani restaurację i to mogło zostać odnotowane. Otwarcie nowego lokalu w dzielnicy niewolników zwróciłoby zapewne uwagę.

– Sugerowałabym noclegownię – powiedziała Ruth. – Z tego, co czytałam, w tamtej okolicy jest wiele podobnych tanich przybytków.

Steph pokiwała głową.

– A tak. Wielu wyzwoleńców, głównie mężczyźni, to robotnicy sezonowi. Ciągłe wędrują z miejsca na miejsce. A noclegownie co rusz ktoś zakłada albo zamyka, zależnie od zmieniających się potrzeb. Nie ma żadnych regulacji dotyczących ich funkcjonowania, poza ogólnymi przepisami sanitarnymi i przeciwpożarowymi. Ale rzadko kto sprawdza, czy są przestrzegane.

– Tak właśnie sądziłem. No i to byłoby bliskie interesowi, który wcześniej pani prowadziła, bo chyba zwykle jest w takiej noclegowni także garkuchnia? Albo nawet mała restauracja?

– Zgadza się. – Steph znowu się zamyśliła i Kham wykorzystał tę chwilę, żeby znów się odezwać.

– Niektórzy nasi ludzie też podnieśli tę kwestię, zwracając uwagę, że byłby to interes niejako z tej samej branży i dlatego również mógłby zwrócić uwagę, a to byłoby niepożądane.

– Może tak się stać – przyznała Steph. – Ale nie to mnie niepokoi. – Spojrzała ostro na Ruth. – Czytała pani o innych usługach zapewnianych zwykle przez noclegownie?

Ruth zmarszczyła brwi.

– Chyba nie wiem, o czym mowa.

– To także pralnia. Ale jak wspomniałam, klientela jest głównie męska. Zatem większość noclegowni ma też własne prostytutki. Czasem są to te same kobiety, które prowadzą firmę. Częściej jednak najmuje się je z zewnątrz.

Berry skrzywiła się lekko.

– Steph, nikt nie oczekuje od ciebie...

Kobieta roześmiała się szczerze.

– I lepiej, żeby nie! Ale to nie problem. – Spojrzała na Khama w sposób daleki od przyjaznego. – Jeśli dobrze kombinuję, ten wasz zespół bez trudu dostarczyłby też kilka kurew?

– No... to niezupełnie byłyby kurwy. Raczej wyszkolone agentki. Ale w sumie tak. Moglibyśmy. – Wzruszył ramionami. – Szpiegowanie i usługi seksualne od wieków niewiele się różnią.

– Alfonsa też byście mieli? – Machnęła ręką. – Mniejsza z tym. Pytanie retoryczne. Jestem pewna, że tak. Podobnie jak nie mam wątpliwości, że Victora tu nie ma, bo przechodzi proces modyfikacji ciała. Nie wyobrażam sobie, żeby nie chciał brać w tym udziału. Zróbcie go oficjalnym alfonsem, a nikt nie ośmieli się zbliżyć. Zwłaszcza po odwiezieniu pierwszych intruzów do kostnicy. – Pokręciła głową. – Ale to i tak nie problem. Gdzie chcecie mieć ten lokal? Neue Rostock? To najlepsza dzielnica, jeśli chodzi o unikanie policji. Podobnie jak Dolne Radomsko. Tyle że w Neue Rostocku będziemy mieli na karku gang Duseka, który nie zgodzi się łatwo... – Zamyśliła się na chwilę. – To warte zastanowienia. Dolne Radomsko to bezkrólewie, masa małych gangów. Victor mógłby załatwić każdy z nich ze śpiewem na ustach, ale jest ich trochę za dużo i czasem im odbija. Niech pomyślę.

Minęła prawie minuta, nim znowu na nich spojrzała.

– Noclegownia może być. Albo też butik. W każdej dzielnicy są ich setki, otwierają się i znikają jak kwiaty na wiosnę. Efemeryczne byty. Władze w ogóle nie zwracają na nie uwagi, chyba że jakiemuś lepiej pójdzie i wprowadzi płatność bezgotówkową. Wtedy zjawiają się czasem inspektorzy z agencji. Prywatnej, ale powiązanej z policją i urzędami od zezwoleń. Jednak dopóki sprzedaje się tylko za gotówkę, jedynie klientela zauważa taki sklepik.

– A jaka to klientela? – spytał Kham.

– W większości kobiety. Szukające okazji i... – Westchnęła. – Mężczyźni się z tego śmieją, ale każdy modny ciuch, nawet tani, poprawia jakość życia.

– Amen – powiedziała Ruth. Gdy wszyscy na nią spojrzeli, trochę się zarumieniła. – No co? Rodzin królewskich też to dotyczy. Różnica jest taka, że.... nas stać na drogie ciuchy. Znam tylko jedną kobietę, która jest

obojętna na modę. – Wskazała kciukiem w bok. – To jej myszowatość. Dla mnie to nienaturalne zachowanie.

– Ciuchy to ciuchy – rzuciła Berry. – Wielka mi sprawa. Nigdy nie rozumiałam, co inne kobiety w nich widzą. Równie dobrze mogłyby podniecać się tym, co dostają na śniadanie.

– Jak mówiłam, brak naturalnych odruchów – podsumowała Ruth i spojrzała na Steph. – Dostrzegam pewne zalety tego pomysłu.

– A gdyby połączyć oba przybytki? – spytał Kham. – Mała noclegownia z małym butikiem?

– Żadnych zalet – odparła Steph. – Za to zsumowane wady. Ale teraz pora na moje pytania. Do czego dokładnie ma służyć ten bezpieczny lokal? Albo może raczej komu?

– Prawda jest taka, że jeszcze nie wiemy. Nie wiemy komu. Drugą funkcją, a być może i jedyną, będzie funkcja stałej skrzynki kontaktowej. Miejsca, w którym będzie można przekazywać informacje. Dalej albo między sobą.

– Tak albo tak – przytaknęła Steph. – Innymi słowy, na miejscu będą działać przynajmniej dwa zespoły. Może więcej. A wy chcecie być z nimi w kontakcie, pozornie nie utrzymując żadnego kontaktu.

– No... tak.

– Dość tego certolenia się – rozległ się nagle w pokoju całkiem nowy głos. – Pani Turner, wchodzi pani w to czy nie?

– Kim jesteś?

– Kim, do cholery, jesteś?

Pierwsze pytanie zadała Steph, drugie Andrew. Oboje rozejrzeli się po sali konferencyjnej, poszukując źródła głosu.

– Czy to ważne w tej chwili? – spytał głos.

– Poznajesz tego gościa? – spytała cicho Steph, pochylając się do Artletta.

Pokręcił głową.

– To nikt znajomy. Ale jestem pewien, że pochodzi z układu Traccora. Mieliśmy kiedyś na stacji załogę statku niewolniczego właśnie stamtąd. Ich akcent jest nie do podrobienia.

– Tak czy nie, pani Turner? – spytał ponownie głos. – W tym przypadku względy bezpieczeństwa odgrywają kluczową rolę. Jeśli pani w to wchodzi, rozmawiamy dalej. Jeśli nie, dziękujemy za cenną pomoc, której już nam pani udzieliła, i będziemy życzyć szczęśliwej podróży powrotnej.

– Aha – rzucił Andrew, chyba z ulgą, i znowu wstał. – Idziemy, Steph.

Ona jednak ani drgnęła.

– Jeśli w to wejdę, co z Nancy?

Kham i głos ze ściany odezwali się równocześnie, ale Berry obu uciszyła.

– Zamknijcie się. – Spojrzała wprost na Steph. – Zajmę się nią do twojego powrotu. Albo jeśli nie wrócisz. Będzie miała wszystko, co potrzebne, i tak długo, jak będzie trzeba.

Nie dodała niczego w stylu „przysięgam” czy „obiecuję”, ale nie było to konieczne.

– Beowulf pokryje wszystkie koszty wykształcenia pani córki. Zapewniam, że...

– Cicho. To wiedziałam od początku. Wiele macie za uszami, ale nie jesteście skąpi. Jednak nie o to mi chodzi. Jeśli zginę podczas tej misji, i nie marnujcie czasu, przekonując mnie, że to się nie może zdarzyć, bo na Mesie wszystko jest możliwe, wówczas Nancy straci jedyną bliską osobę. Całą jej rodzinę. Bardziej niż pieniądze potrzebni będą jej ludzie.

Berry spojrzała jej w oczy i tym razem trwało to trochę dłużej. Zaraz potem Steph pokiwała głową.

– Dobrze.

– Steph!

Obróciła się do Artletta.

– Nienawidzę tamtych ludzi, Andrew. Nawet nie wiesz jak bardzo. Po prostu nie możesz wiedzieć. Wam było ciężko na Parmley, tobie pewnie nawet ciężej niż innym, ale zawsze mogłeś być sobą. Nikt nie pozbawiał cię godności. Nikt nie decydował, kim jesteś. Chodzi o ludzi, którzy pogardzają innymi i nawet się z tym nie kryją. Pogardzają nimi od samych ich narodzin i przy każdej okazji pokazują, gdzie jest ich miejsce, a jeśli tamci próbują protestować albo chociaż spojrzeć im prosto w oczy, masakrują ich albo zabijają. I robią to bezkarnie. – Zaczepnęła głęboko powietrza. – Teraz nie są już dla mnie niedotykalni. Gdy opuściłam Mesę, nie od razu to zrozumiałam. Nawet nie w trakcie tych miesięcy, gdy dryfowaliśmy na pokładzie *Hali Sowle*. Dopiero gdy dotarłam na Torch i zobaczyłam ten nowy świat...

Andrew otworzył usta, ale zaraz je zamknął. Potem potarł twarz.

– Chyba jestem już trochę za stara na napady patriotyzmu – powiedziała Steph. – Albo tylko go sobie wmawiam, podczas gdy tak naprawdę chodzi o zwykłą zemstę. Nieważne. Ale umiem już podnieść na nich rękę. A jeśli ktoś chce wbić im nóż w bebechy i potrzebuje mojej pomocy, jestem gotowa.

Spojrzała na ścianę.

– To ty, Victorze? Czy Anton jest z tobą?

– Tak czy nie, pani Turner? – spytał głos. – Rozumie pani chyba, że jeśli teraz powie pani „tak”, a później się rozmyśli, będziemy musieli zatrzymać

tu panią do zakończenia misji?

– Sądziłam, że powiesz coś o podejrzeniu gardła.

– A niby po co? – spytał autentycznie zdumiony głos.

Steph roześmiała się.

– Wiedziałam. To Victor. Tak, wchodzę.

Andrew wydał policzki.

– Dobrze. To i ja też. – Wskazał oskarżycielsko na ścianę. – I nie spieraj się ze mną, Victorze! Też lecę, to już postanowione. Ale jak udało ci się pozbyć tego cholernego akcentu z Nouveau Paris?

– Dlaczego miałbym się z tobą spierać? Już teraz przychodzą mi do głowy co najmniej dwa powody, dla których się przydasz. Tak, to ja, Victor. Berry, Ruth, Henry, zaprowadźcie ich do nas, proszę. Anton wreszcie się obudził. Thandi i Yana chodzą po ścianach. Nuda źle na nie działa.

Głos przerwał na kilka sekund, po czym znowu się odezwał:

– Yana jest za butikiem. Thandi nie chce wyjść od siebie, ale głośnie podobnie. Ja nie mam pojęcia, o czym mowa, Anton zaś prawie zasnął, ale na pewno uważa, że to genialny pomysł. Chodźcie tutaj, to pogadamy.

Berry i Ruth wstały od stołu. Kham poszedł w ich ślady i wyciągnął komunikator, by przekazać jakieś instrukcje.

Jedna ze ścian sali zaczęła odsuwać się na bok. Po drugiej stronie widać było jakiś korytarz, dziwnie kojarzący się ze szpitalem.



– Naprawdę sprytna sztuczka – powiedział Victor, wskazując na swoje gardło. – Zrobili coś z moimi strunami głosowymi i pobawili się nerwami w krtani. Nie pytajcie o szczegóły, bo nic z tego nie zrozumiałem. Ale

skutek jest taki, że mój akcent z Nouveau Paris, który zawsze utrudniał mi robotę szpiega, zmienił się w akcent z Traccory.

– Nie cierpię tego akcentu – powiedziała leżąca na sąsiednim łóżku Thandi. – Ciało jak ciało, ale ten jego nowy głos...

Sylwetka Victora niewiele się zmieniła. Nie było powodu specjalnie w nią ingerować, skoro była dość typowa. Jednak twarz uległa daleko idącej metamorfozie. Teraz był bardzo przystojnym mężczyzną, trochę androginicznym. Ciemne wcześniej oczy zrobiły się jasnozielone, czarne włosy pojaśniały. W połączeniu z nowym głosem w ogóle nie przypominał dawnego siebie.

Anton zaś był niemal taki sam jak wcześniej. Owszem, twarz dostał nową, ale muskularna i przysadzista postura pozostała bez zmian.

Andrew Artlett zmarszczył brwi.

– Nie rozumiem. Po co zostawiać takie samo ciało? Bez obrazy, ale mało jest ludzi tak zbudowanych.

Zilwicki skrzywił się i wskazał na Victora.

– To jego wina. Miałem zostać przerobiony na granda z Hakimu, ale...

– To nie był dobry pomysł – powiedział Victor. – Gdy zaczęliśmy projektować zmiany, wyszło nam, że jedynym sposobem na ukrycie jego sylwetki jest dodanie takiej tuszy, że wyglądałby jak piłka. A to oznacza problemy zdrowotne. Co więcej, jako grubas...

– I teraz mówią, że to dla mojego zdrowia – rzucił kwaśno Anton.

– ...nie mógłby szybko się poruszać, co podczas tej operacji może okazać się konieczne.

Victor skrzyżował ręce.

– Pierwotny plan był taki, że Anton wystąpi jako grand z Hakimu, a Yana jako jego służąca. Zaproponowałem odwrócenie ról. Teraz Yana jest

ważną osobą, ten mięśniak zaś jej unizonym sługą. Hakim ma wiele kopalń, w których korzystają ze zmodyfikowanych genetycznie robotników. Nasz przyjaciel jest całkiem do nich podobny.

– Ale nie ma symbolu na języku – zauważyła Steph.

– To nie jest niezbędne – odezwał się Anton. – Hakim dopuszcza wyzwalanie niewolników. To chyba jedyny plus tej planety. Obecnie żyje tam już całkiem sporo wyzwolenców.

Cachat spojrział na uchylone drzwi do przyległego pomieszczenia.

– Yano, przestań się dąsać. I tak prędzej czy później będziesz musiała się pokazać.

– Pieprz się. To był twój pomysł. Nie wybaczę ci tego do końca życia.

Yana Trietiakowna weszła do pokoju. Poruszała się w wyrafinowany sposób, wręcz można powiedzieć seksownie. Wcześniej cechował ją raczej sprężysty krok osoby bardzo wysportowanej.

Powód był... oczywisty. Steph uśmiechnęła się szeroko. Artlett zresztą też.

– Nic nie mówcie. Nic a nic – przestrzegła ich Yana i spojrzała na dolną część swojego ciała.

– To będzie krótkie życie – powiedziała. – Jedna chwila nieuwagi, a wywalę się z takim rozmachem, że łopatką będą mnie zbierać.

– W kulturach Pogranicza taka sylwetka to znak wysokiego statusu społecznego – wyjaśnił Kham. – Im ktoś jest bogatszy, tym więcej w siebie inwestuje.

Steph i Andrew ponownie spojrzeli na Yanę.

– A jak będziesz się teraz nazywać? – spytał Artlett. – Może Midas?

ROZDZIAŁ XIX



Co powiedziałaś?

Skonsternowany Albrecht Detweiler spojrział na swojego najstarszego syna z miną, która wstrząsnęłaby każdym ze skromnego grona jego znajomych.

– Powiedziałem, że do naszych analiz zdarzenia w Green Pines zakradł się drobny błąd – odpowiedział spokojnym głosem Benjamin Detweiler. – Ten skurwiel McBryde nie próbował uciec sam. – Benjamin zdążył oswoić się z tą informacją podczas lotu z Mendel, ale nadal był przerażony. Zapewne jeszcze bardziej niż jego ojciec. – A z tego, co mówią w Manticore, wynika, że wcale nie próbował zatrzymać Cachata i Zilwickiego. Nie powiedzieli tego wprost, ale chyba popełnił samobójstwo, by zatrzeć ślady swoich działań.

Albrecht spoglądał jeszcze chwilę na syna, po czym potrząsnął głową i wciągnął głęboko powietrze.

– Mów dalej – sapnął. – Jestem pewien, że to nie wszystko.

– Zilwicki i Cachat żyją – oznajmił Benjamin. – Nie wiem, gdzie się podziewali tak długo, ale zapewne wracali jakąś okreźną drogą do siebie. Nie mamy jeszcze pełnego obrazu, oni zaś nie ujawniają żadnych danych operacyjnych, ale jest możliwe, że cyberatak McBryde'a miał przede wszystkim pomóc im w ucieczce. Z tego, co wiemy, skierowali się na Haven, nie Manticore, co wyjaśniałoby też ich długą nieobecność. Nie wiem, co dokładnie chcieli w ten sposób osiągnąć, ale udało im się ściągnąć

Eloise Pritchard na Manticore, gdzie doszło do rozmów i podpisania jakiegoś traktatu pokojowego z Królową Elżbietą.

– Z Elżbietą.

– Dobrze wiemy, że to nie jest wariatka, chociaż taki właśnie kit wciskaliśmy zawsze solarnym – przypomniał Benjamin. – Czasem diabelnie mało elastyczna, ale zbyt pragmatyczna, by odrzucić taką okazję. Jeszcze przed operacją Oyster Bay wysłała Honor na Haven z analogiczną w gruncie rzeczy propozycją. Teraz Pritchard dorzuciła do puli argument pod postacią niejakiego Herlandera Simõesa. Doktora Herlandera Simõesa... który pracował w swoim czasie w Centrum Gamma nad napędem strumieniowym.

– O kurwa – szepnął Albrecht, wkładając w to jednak dużo serca.

– Będzie jeszcze lepiej, ojczy. Nie wiem, ile i jakich informacji przekazał McBryde Zilwickiemu i Cachatowi ani na ile okazały się one dla nich użyteczne, ale na pewno dowiedzieli się o wiele więcej ponad to, czym zamierzaliśmy ich nakarmić. Już w tej chwili mówią głośno o wirusowej nanotechnologii sterowania ludźmi, w tym także i zabójcami, o napędzie strumieniowym oraz typu triplet, a na dodatek wspominają coś o mesańskiej organizacji noszącej nazwę Równanie. Opowiadają to wszystko w parlamencie Manticore i jestem pewien, że Kongres Republiki Haven słyszy mniej więcej to samo. A wraz z nim cała reszta pierdolonej galaktyki! Wszyscy mają teraz przed nosem sensacyjne informacje o mesańskim planie podboju wszechświata! Zdziwisz się może, ale niektórzy powiadają, że sekretarz stanu Arnold Giancola był na żołdzie Równania, gdy wmanewrował Haven we wznowienie działań wojennych z Manticore!

– Co? – spytał zaskoczony Albrecht. – Nie mieliśmy z tym nic wspólnego!

– Oczywiście, że nie, ale prawdę mówiąc, wiedzieliśmy, że fałszował korespondencję. Owszem, dotarło to do nas dopiero po fakcie, gdy wciągnął w to Nesbitta, by pomógł mu zatrzeć ślady tej działalności, ale wiedzieliśmy. Wydaje się, że udostępnienie Nesbittowi nanotechnologii, gdy chciał pozbyć się Grosclaude’a, było taktycznym błędem. Usher chyba coś jednak wywęszył, a nawet jeśli nie, zbyt wiele było podobieństw między samobójstwem Grosclaude’a i zabójstwem Webstera, by nikt tego nie zauważył. No i dodaj jeszcze próbę zabójstwa Harrington. Teoria powstała więc taka, że skoro tylko my pracujemy nad nanotechnologiami i skoro Giancola ich użył, by usunąć Grosclaude’a, musiał cały czas pracować dla nas. Na razie nie włączyli w to jeszcze Nesbitta, ale mogą dojść i do tego, skoro opierając się na dostępnej im w tej chwili wiedzy, zdołali zrekonstruować aż tyle.

– Po prostu wspaniale – mruknął z goryczą w głosie Albrecht.

– Na razie to wszystko, ojciec, niemniej wszystkie serwisy na Manticore mówią o tym na okrągło. Niektóre solarne też już zaczęły. Na Ziemi jeszcze cisza, ale to kwestia kilku dni. Trudno powiedzieć, co się wtedy stanie, ale Beowulf już wie i domyślasz się chyba, jak tam zareagowali.

Albrecht zacisnął wargi, jakby zdarzenia go przerosły. Już wiadomość, że Cachat i Zilwicki żyją i mogą podważyć rozpowszechnianą przez Równanie wersję tego, co zdarzyło się w Green Pines, była świadectwem porażki. A jeśli doszło na dodatek do poważnego wycieku tajnych informacji...

– Dziękuję – powiedział po chwili jadowitym, oschłym tonem. – Mam nadzieję, że w ostatecznym rozrachunku wezmą i się tym udławią. Na przykład wtedy, gdy zrozumieją, od jak dawna wodziliśmy za nos ich pożałowania godny wywiad. Chciałbym zobaczyć wtedy minę tego drania Bentona-Ramireza y Chou. Niestety, cokolwiek się zdarzy, możemy być też

pewni, że poprą Manticore. Może nawet przystąpią do tego ich Sojuszu. Zwłaszcza jeśli Haven już się tam zapisało.

– Mimo perspektywy konfliktu Manticore z Ligą? – powiedział Benjamin pytająco, chociaż świetnie wiedział, o co chodzi ojcu.

– Do diabła, cała Liga trzyma się na nas. To my wszystko w niej ustawialiśmy, tak więc ona posypie się jako pierwsza, Ben! Myślisz, że ci z Beowulfa przejmą się zdaniem aparatczyków z Chicago? – Albrecht prychnął z pogardą. – Mogę nie cierpieć tych skunksów i chętnie dorwałbym się im do tętnic, ale nie są głupi i mają dość jaj, by nie dać się zrobić Kołokolcowowi w cokolwiek, na co nie mają ochoty.

– Pewnie masz rację – mruknął ponuro Benjamin. – Nie, na pewno masz rację.

– I niestety, ale to nie będzie koniec – podjął Albrecht. – Już sam koniec wojny między Manticore a Haven to zła nowina, a przecież jest jeszcze Gold Peak, i to zbyt blisko nas, by można było o niej zapomnieć. Na dodatek ona za wiele myśli i jest zbyt dobra w swojej robocie. Zapewne nic jeszcze nie słyszała, ale niebawem się dowie. A jeśli przyjdzie jej ochota na przygody, albo gdy Elżbieta ją do tego namówi, za kilka tygodni będziemy tu mieli całą pierdoloną RMN, która nie zauważy nawet, że jakieś okręciki z Mesy próbują jej stawiać opór. A dochodzi jeszcze i ta radosna perspektywa, że Haven i Gold Peak przyłączą się do wycieczki, jeśli zdążą podpisać, co trzeba.

– Też przyszło mi to do głowy – stwierdził Benjamin. Jako dowódca marynarki wojennej Równania świetnie wiedział, do czego mogą być zdolne te floty, jedyne wyposażone w zasobniki holowane i wielostopniowe pociski, jeśli zamiast strzelać do siebie nawzajem, zdecydują się na sojusz.

– Jak myślisz, co zrobi teraz Imperium Andermańskie? – spytał po chwili, wywołując u ojca atak śmiechu.

– Isabel zawsze była przeciwko wykorzystywaniu nanotechnologii bez absolutnej potrzeby. Niestety jej nie słuchaliśmy – powiedział Albrecht i pokręcił głową. – Nadal uważam, że należało usunąć Huanga, i szkoda, że nam się nie udało, ale skoro Manticore wie już o naszej nanotechnologii, to dowie się o niej też Gustaw. Przypuszczam, że w tym przypadku zapomni o „realpolitik”. Rzecz nie tylko w tym, że zaatakowaliśmy jego rodzinę. Porwaliśmy się na sukcesję. Dynastia Andermanów nie przetrwałaby tak długo, gdyby puszczała podobne rzeczy w niepamięć. Masz jak w banku, że jeśli uwierzą Manticore, sami rzucą się nam do gardła. Gwiezdne Imperium też to wie i nie zdziwię się, jeśli wyłączą go z Sojuszu. W sumie powinni to zrobić, jeśli mają trochę oleju w głowie. W ten sposób Gustaw nie będzie narażony na ataki Ligi Solarnej i będzie mógł zająć się nami. Manticore spokojnie dołoży SLN bez jego pomocy! A tak się złożyło, że my nie tknęliśmy nawet andermańskich zasobów, co oznacza, że mają dość wielostopniowych pocisków, by wymazać nas z mapy. A jeśli Gustaw zajmie się nami we właściwej chwili, czy sądzisz, że ktokolwiek z Chicago przyjdzie nam z pomocą? Zwłaszcza gdy uświadomią sobie, że Manticore naprawdę może dać im do wiwatu?

– Nie – stwierdził Benjamin. – Nie ma na to najmniejszej szansy.

Na dłuższą chwilę zapadła cisza. Obaj myśleli o tym samym: jak nagła odmiana losu może położyć kres wszystkim planom Równania.

– Dobrze – powiedział w końcu Albrecht. – To nie jest niczyja wina. Albo inaczej, jeśli już ktoś jest temu winien, to tylko ja. Ty i Collin przekazaliście mi najlepsze z możliwych oceny tego, co naprawdę zaszło w Green Pines, i zgodziłem się z wami. To, że Cachat i Zilwicki nie wypłynęli wcześniej, zdawało się je potwierdzać. Skoro zaś w żadnym z naszych wewnętrznych raportów nie pojawiło się nazwisko Simõesa,

w każdym razie nie przypominam sobie tego, jak rozumiem nasi śledczy uznali, iż zginął w eksplozji?

– Tak – odparł Benjamin, krzywiąc się niemiłosiernie. – Nagrania z Centrum Gamma, które w „tajemniczy” sposób przetrwały cyberatak McBryde’a, pokazywały Simõesa na miejscu tuż przed wybuchem. – Westchnął. – Jakoś nie zastanowiło nas, dlaczego te nagrania ocalały, chociaż wiele innych uległo kasacji.

– Nie was jednych – zaznaczył zdecydowanym tonem Albrecht. – Gładko go wyprowadzili i trudno było nie założyć, że po prostu wyparował. Bóg jeden wie z iloma innymi. – Potrząsnął głową. – I nadal uważam, że dobrze zrobiliśmy, wykorzystując całe to wydarzenie do zdyskredytowania Manticore w oczach Ligi. Ale cóż, jak to mawiają, niewiedza nie boli tak bardzo jak fałszywa wiedza. W tym przypadku prawdziwe jak diabli.

– Chyba mamy w tej kwestii podobne zdanie, ojcze.

Znowu zapadła cisza, przzerwana ostatecznie przez Albrechta.

– Cóż, to jeszcze nie koniec świata. Przynajmniej przyspieszyliśmy operację Houdini.

– Ale daleko z nią nie zaszliśmy – przypomniał Benjamin. – I nie zajdziemy, jeśli Manticore i Imperium Andermańskie się do nas dobiorą. A jeśli jeszcze solarni uwierzą w ich historię, to będziemy mieli naprawdę mało czasu na działanie.

– Powiedz mi coś, czego nie wiem – mruknął Albrecht, jednak po chwili uniósł rękę w geście przeprosin. – Wybacz, Ben. Wyżywanie się na tobie to kiepski pomysł. Oczywiście masz rację. Tyle że nie mamy żadnego planu, jak sobie poradzić z czymś takim – dodał i zaśmiał się gorzko. – Różności chodziły nam po głowie, ale taka katastrofa... Wiesz, o czym mówię.

Benjamin pokiwał głową, a Albrecht przechylił się do tyłu wraz z fotelem i zabębnił palcami na podłokietnikach.

– Chyba musimy przyjąć, że McBryde i Simões nas zdekonspirowali. Całkowicie lub prawie, a na pewno na wszystkich polach, do których mieli dostęp – powiedział po dłuższej chwili. – Osobiście wątpię, by tak dokładnie było, ale nie zamierzam przesadzać z optymizmem. Chociaż owszem, jesteśmy na tyle rozdrobnieni, że McBryde o pewnych rzeczach po prostu nie mógł wiedzieć. Skoro zaś Simões pracował w Centrum Gamma, nie miał żadnego pojęcia o działalności operacyjnej. Przed realizacją Oyster Bay nikt nie został tam wtajemniczony w plan Houdini. Zatem jeśli Cachat i Zilwicky nie potrafią czytać w myślach, ta część jest nadal bezpieczna.

– Zapewne – zgodził się Benjamin.

– Ale i tak będziemy zmuszeni jeszcze przyspieszyć jego realizację. Gorzej, że będziemy musieli zmieścić się z nim w bardzo niewielkim przedziale czasowym. Tego nie braliśmy pod uwagę. Trzeba pomyśleć, jak zamaskować tyle zniknięć i wypadków, by nikt nie zwrócił uwagi na ich nadzwyczajne nagromadzenie. Roboty od zajebania – rzucił ze złością i dał sobie kilka sekund na ochłonięcie. – Trzeba będzie ograniczyć liczbę wypadków komunikacyjnych, ale część ofiar da się pewnie przypisać do ogólnego bilansu Green Pines. Nie te eksponowane, ale sporo drugoplanowych postaci rzeczywiście tam mieszkało. Jeśli nie mają rodziny ani żadnych bliskich przyjaciół, będzie można dopisać ich do listy.

– Zajmiemy się tym z Collinem, gdy tylko tu dotrze – powiedział Benjamin. – Ale masz rację, że możliwości maskowania będziemy mieli mniejsze. Wiele ofiar zostawi bliskich, a jeśli zaczniemy nagle rozszerzać operację...

– Racja. Przyjrzyj się temu dokładnie. Każdy nowy sposób załatwienia sprawy będzie na wagę złota. Co do reszty, będziemy musieli po prostu wykazać więcej inicjatywy.

Zakołysał się wraz z fotelem i nagle uśmiechnął się, jakby naprawdę coś go rozbawiło.

– Co? – spytał Benjamin.

– Chyba pora wykorzystać znowu Balet.

– Chyba nie nadążam.

– W sumie nie jest ważne, co i kogo Manticore podsunie mediom – odparł Albrecht. – Dopóki nie zdobędą Mesy i nie zaprezentują twardych dowodów, większość ludzi w Lidze Solarnej będzie miała to za stek kłamstw. Tym bardziej jeśli pojawi się tam wzmianka o Balcie. Bóg mi świadkiem, ile czasu, potu i pieniędzy poświęciliśmy, by przekonać Ligę, że to banda maniakalnych morderców! Bardzo nam zresztą pomogli, będąc maniakalnymi mordercami. A teraz, po pojawieniu się tylu pogłosek o rozwijanym przez setki lat mesańskim spisku, nadeszła pora, by mściciele wkroczyli do akcji. Oczywiście wszystkie te pogłoski okażą się całkowicie fałszywe, w najlepszym razie zaś przesadzone, toteż cała odpowiedzialność za zbrodniczą reakcję Baletu spadnie na Manticore. Chociaż oczywiście nikt nie wskaże winnego palcem. Tyle że trzeba będzie zadbać o dobrze zaplanowane luki w naszym systemie bezpieczeństwa.

Benjamin wpatrywał się chwilę w ojca, a w końcu się uśmiechnął.

– Myślisz, że uda się go rozszczelnić na tyle, by położyli swoje brudne łapy na paru ładunkach nuklearnych?

– Z naszego dochodzenia wynika jasno, że ten sam drań, który działał z Zilwickim i Cachatem, dostarczył też ładunek, który eksplodował w parku – stwierdził Albrecht. – Cachatowi i Zilwickiemu zależy zapewne na

przekonaniu opinii publicznej, że oni nie przywieźli na Mesę żadnych ładunków, więc naszej wersji raczej nie podważą. Zatem tak, sądzę, że to możliwe. Najpewniej znajdzie się jakiś głęboko zakonspirowany fanatyk, który podburzony jadowitymi kłamstwami Manticore dokona zamachu terrorystycznego. Na nas i z użyciem ładunku nuklearnego. A skoro tak, to logicznym celem, oczywiście o ile patologiczni mordercy bywają logiczni, powinni stać się dla niego przedstawiciele klasy wyższej społeczeństwa Mesy.

– Może zadziałać – powiedział w zamyśleniu Benjamin. – Ale jeśli to zrobimy, wzrosną straty uboczne. Plan Houdini nie brał czegoś takiego pod uwagę.

– Wiem, że nie – odparł Albrecht. – I też mi się to nie podoba. Nie spodoba się także wielu ludziom objętym Houdunim. Ale mimo wszystko nie mamy chyba innego wyboru, jak przyjrzeć się dokładnie tej opcji. Nie możemy sobie pozwolić na zostawianie śladów, które Bóg jeden wie, kogo do nas doprowadzą. McBryde pracował, gdzie pracował, musiał więc wiedzieć sporo o naszych badaniach militarnych, ale nie został dopuszczony do niczego związanego z Dariusem, nie miał też dostępu, przynajmniej oficjalnie, do nikogo związanego z układem Mannerheim czy planem Renesans. O tym drugim mógł coś słyszeć i na pewno domyślił się, że dysponujemy czymś w rodzaju stacji Darius. W Manticore też pewnie rozumieją, że nie bylibyśmy w stanie przeprowadzić operacji Oyster Bay bez takiego zaplecza, i wszyscy skłonni uwierzyć w ich wersję uwierzą także, że Równanie ma jakąś kryjówkę. Nie możemy pozwolić sobie na ujawnienie niczego, co potwierdzałoby te domysły. Nawet kosztem dalszych „strat ubocznych”. Jeśli trzeba będzie coś poświęcić, to trudno.

Benjamin przytaknął, chociaż minę miał dość nieszczęśliwą.

– Dobrze zatem – powiedział Albrecht. – Na gorąco to będzie chyba tyle. Pomyślę jeszcze nad tym, gdy trochę ochłonę. Lepiej będzie nie palnąć czegoś głupiego. Owszem, nie mamy wiele czasu, ale jeśli wpadniemy w panikę, pogorszymy tylko sytuację. Nie podejmiemy więc żadnej konkretnej decyzji, dopóki nie przeprowadzimy dokładnej analizy sytuacji. Wspomniałeś, że Collin jest już w drodze?

– Tak.

– Gdy tylko się zjawi, usiądziemy we trzech i podsumujemy wszystko, co wiemy. Punkt po punkcie. Domyślam się, że jak zwykle przygotowałeś już wstępną rozpiskę?

– Pomyślałem, że może ci się przydać – odparł Benjamin, sięgając do kieszeni po mikroczip.

– Oto jeden z plusów posiadania kompetentnych podwładnych – powiedział Albrecht niemal normalnym tonem. – W takim razie zaczniemy od razu – zdecydował, włączając kompa i wyciągając rękę do syna.

ROZDZIAŁ XX



Kapral Supakrit X postawił jeden z dwóch przyniesionych kubków przed Takahashi Ayako, po czym odsunął krzesło i usiadł przy stole naprzeciwko dziewczyny. Patrząc na nią, podmuchał na swoją kawę. Młoda kobieta wydawała się dziwnie ponura jak na kogoś, kto właśnie przestał być niewolnikiem.

Domyślał się powodów. Musiało chodzić o niepewność przyszłości, a dokładniej brak pojęcia, jaką przyszłość wybrać. To zawsze mąciło radość w takich chwilach. Wprawdzie nie znał Ayako dość dobrze, ale sytuacja była oczywista, zmiana zaś gwałtowna, a skłonny był sądzić, że dziewczyna należy do tych osób, które bronią się przed ryzykiem doznania zawodu, zakładając z góry, że i tak zdarzy się najgorsze.

To był typowy syndrom. Sam przechodził coś podobnego, gdy był jeszcze niewolnikiem Manpower. Optymizm nie był wtedy w cenie.

– Możesz wstąpić do Baletu – powiedział.

Ayako zaraz się skrzywiła.

– I co tam będę robić? To, że kogoś zabiłam, nie znaczy jeszcze, że jestem maniakałnym mordercą. Ten gość mnie zgwałcił, to była osobista sprawa.

Supakrit przycisnął dłoń do piersi.

– To boli! Ja byłem takim maniakałnym mordercą. – Upił łyk kawy. – I byłem w tym nawet dobry.

– Byłeś? – Ayako spojrzała na niego niepewnie. – A kim niby jesteś teraz, kapralu morderco? Filantropem?

– Teraz jestem mordercą w mundurze – odparł z uśmiechem. – To olbrzymia różnica. Gdy zabijałem ludzi na sztuki, byłem terrorystą. Teraz, gdy jestem żołnierzem, zabijam hurtowo i jeszcze mi za to płacą. Mogę nawet dostać medal.

– A masz jakiś? – spytała sceptycznie Ayako.

– No, nie. Generał Palane wywodzi się ze starej szkoły Marines. Nie uznaje rozdawania odznaczeń na lewo i prawo, jak robią to w Marynarce Ligi. Byłem przedstawiony do Odznaki Wzorowego Żołnierza, ale... – Znowu się uśmiechnął. – I chyba przez ciebie.

– Ha!

– Rzecz w tym, że teraz jestem żołnierzem i jako żołnierz mogę dostać medal. Będąc w Balecie, mogłem liczyć co najwyżej na plakat z listem gończym.

– Już od wieków nikt nie drukuje takich plakatów.

– To elektroniczny list gończy. Wysłali taki za mną.

– Za co? – spytała, ale zaraz machnęła ręką. – Nieważne, nie chcę wiedzieć. Wolę wyobrażać sobie ciebie jako fajnego chłopaka, nawet jeśli trochę postrzelonego.

Po raz pierwszy upiła nieco ze swojego kubka.

– Ale świństwo – orzekła.

– To kawa Marines. Kwestia zasad. W marynarce kawa jest zawsze świetna, a w Marines musi być paskudna. Jak ktoś parzy za dobrą, zostaje zdegradowany. Dwie wpadki w ciągu roku i lądujesz w areszcie pokładowym.

Na chwilę zapadła cisza. Potem Ayako westchnęła i pokręciła głową.

– Chyba nie chcę wstępować do Baletu.

– Sam bym tego nie polecał, jeśli mam być szczery. – Wskazał na swój mundur. – Z jakiegoś powodu ich rzuciłem i wstąpiłem do Marines. Balet... Powiedzmy, że przechodzi kryzys tożsamości.

– Naprawdę?

– Jasne. Balet stracił niejako rację bytu, od kiedy utworzono Królestwo Torch. Nie pomogło mu również to, że i Jeremy odszedł. Ale sądzę, że nawet gdyby został, nie zmieniłoby to wiele.

Dopił swoją kawę.

– Co mają teraz robić? Odstrzeliwać kolejnych handlarzy? Zasadzać się na nich inaczej? Nawet z materiałami wybuchowymi nie są w stanie dokonać takich zniszczeń jak okręt wojenny czy batalion Marines.

– Mogą użyć broni atomowej.

– Jeremy zawsze to wykluczał. Broń chemiczną i biologiczną też. – Supakrit pokręcił głową. – Logicznie rzecz biorąc, to nieważne, jak się zabija, prawda? Ale ludziom robi to różnicę i bardzo nie lubią, gdy ktoś używa broni, którą obłożono kiedyś klątwą. Jeremy pilnował nawet, żeby nie stosować ładunków wybuchowych w sposób nieuprawniony.

– Czyli?

– Dobre pytanie, długo by można o tym dyskutować. Ale w praktyce oznaczało to, że wysadzaliśmy biura i przedstawicielstwa Manpower, a nie restauracje czy budynki mieszkalne, chociaż w nich też mogły kryć się jakieś skorpiony.

– Co więc Balet robi teraz? – spytała.

– Nie wiem. A skoro nie wiem, wolałem nie czekać, aż się dowiem. Przy pierwszym zaciągu wstąpiłem do Marines. – Przerwał na chwilę, by się zastanowić. – Pewnie wybiorą jedno z dwojga. Albo nasilą terror, i to

będzie głupie wyjście, albo rozwiążą Balet i powołają na jego miejsce partię polityczną.

– Partię polityczną? Myślałam, że na Torch nie ma partii.

Kapral mlasnął językiem.

– Naiwne z ciebie dziecko. Oficjalnie nie ma. Rządzi wielka koalicja. Ale to nie potrwa wiecznie. Osobiście dam im jeszcze dwa do trzech lat. Prędzej czy później wykrystalizują się jakieś oficjalne frakcje. Wiesz, czym jest partia? To taki zgrabny sposób zadeklarowania, że „my się tutaj zgadzamy, a was mamy gdzieś”.

– Ile ich będzie?

– Sądzę, że co najmniej trzy. Jedna w typie Baletu, zwłaszcza jeśli będą mieli dość rozumu, by w porę go rozwiązać. Druga dla tych, którzy zgadzają się z Du Havlem. I zdziwię się, jeśli nie będzie jeszcze trzeciej. W każdej społeczności są ludzie konserwatywni, którzy też chcą mieć swoich rzeczników.

– Myślałam, że Du Havel reprezentuje właśnie konserwę.

Supakrit aż się zaśmiał.

– Tylko według definicji Baletu. A i to nie całkiem. Większość moich byłych kumpli nie myślała o nim w ten sposób. Jestem pewien, że Jeremy też nie, nawet jeśli kiedyś tak uważał. – Pokiwał znacząco dłonią. – Na Torch Du Havel zaliczany jest do centrystów. Wszędzie indziej, może poza Haven, zostałby uznany za gorącego radykała. No, może nie gorącego. Ale radykała na pewno. – Przerwał i spojrzał na dziewczynę z ukosa. – Interesujesz się polityką?

– Nieszczególnie.

– I to też się liczy. Zatem Balet nie jest dla ciebie. Duszne gabinety też nie.

– Gabinet nie musi być duszny. Można go przewietrzyć. Albo z niego wyjść.

– Aha. Skoro tak mówisz, to historykiem też nie będziesz.

Spojrzała na niego przenikliwie.

– Jaja sobie ze mnie robisz?

– Nie. Staram się pomóc ci w podjęciu decyzji, co zrobisz ze swoim życiem. – Uniósł pusty kubek. – Jeszcze kawy?

– Nie skończyłam pierwszej. Supakrit...

– Tak?

Milczała przez chwilę, wpatrzona w blat stołu.

– Nie wiem, co chcę zrobić z moim życiem – powiedziała łagodnym tonem. – Jeszcze kilka tygodni temu byłam niewolnicą. Wiesz, jak to jest. Wtedy nie myśli się o przyszłości.

– Tak, wiem.

– I trzymałam się od wszystkich z daleka. Też to znasz.

Supakrit przytaknął. Świetnie wiedział, o czym mowa. Lepiej nawet niżby chciał. Jako nastolatek miał pecha się zakochać. Przeżyli kilka wspaniałych miesięcy, po czym ją zabrano. Nie wiedział dokąd. Ani wtedy, ani teraz. Nigdy więcej jej nie zobaczył. Nie wiedział nawet, czy nadal żyje. I był niemal pewien, że nigdy się tego nie dowie.

Od początku rozumiał ograniczenia, które Jeremy X narzucił członkom Baletu. Rozumiał i zgadzał się z nimi. Ale to był tylko element taktyki. Emocjonalnie...

Gdyby Supakrit X mógł zgarnąć wszystkich związanych z Manpower, może poza personelem sprzątającym, i cisnąć ich w czarną dziurę, zrobiłby to bez wahania. A potem spędził całą wieczność, słuchając ich wrzasków.

A może odwrotnie? To dla nich byłaby wieczność, a dla niego tylko kilka sekund?

Oczywiście ludzie nie żyją tak długo, nawet po prolongu. Ale właśnie...

– Ile masz lat, Ayako? Dwadzieścia dwa, dwadzieścia trzy?

– Dwadzieścia dwa.

– To masz jeszcze trochę czasu. Myślałaś kiedyś o prolongu?

Wzruszyła ramionami.

– Nie stać mnie.

– Tak, to nie jest tanie.

– A ty? A może jesteś już za stary?

Supakrit wstał i podszedł do ekspresu. Nalał sobie kawy i wrócił do stołu. Chciał zyskać na czasie, nim podejmie decyzję.

Bardzo łatwą decyzję, jak się okazało.

– To był jeden z powodów, dla których się zaciągnąłem – powiedział, gdy znowu usiadł. – Prolong jest kosztowny dla prywatnej osoby, ale rząd... – Uśmiechnął się do dziewczyny. – Magia podatków. Chociaż Torch wyciąga pewnie więcej z ceł eksportowych niż podatków. Ale zasada jest ta sama.

– Jaka zasada?

– Jedna z pierwszych, które ustalono. Jeśli się zaciągniesz, rząd Torch opłaca twój prolong. Zrobiłem to od razu. – Podmuchał na kawę. – Teraz mam trzydzieści lat, jeśli jesteś ciekawa.

Ayako skrzywiła się.

– Supakrit, naprawdę nie sądzę, żebym nadawała się do wojska.

– Ja też nie – odparł z uśmiechem. – Kwestia samokontroli.

– Należało mu się!

– Nie zaprzeczam. W takich przypadkach można to nawet zrozumieć. Nawet podejść do tego z szacunkiem, jeśli spojrzeć z właściwej strony. I tak to cały czas widzę, że dodam na marginesie. Ale zapewne rzeczywiście nie masz dość samodyscypliny jak na żołnierza. Może ewentualnie w marynarce byś się utrzymała, ale na pewno nie w Marines.

Upił trochę kawy. Już pół kubka. Spróbował się zmobilizować. Podjęcie decyzji było łatwe, ale wykonanie... Nie dokończył myśli, tylko przeszedł do rzeczy.

– W tych regulacjach jest paragraf dotyczący rodziny, Ayako. Małżonkowie i dzieci wojskowych też są objęci funduszem. Obowiązuje to tylko w trakcie służby, jeśli więc ktoś założy rodzinę potem... – Nie umiał dokończyć, zszedł więc na kwestie drugorzędne. – Można złożyć wniosek, żeby zapłacili też za rodziców czy rodzeństwo. Słyszałem, że zwykle rozpatrują je pozytywnie, ale... – Zacisnął szczęki. – Ilu byłych niewolników ma rodziców albo rodzeństwo? Albo wie, gdzie oni są, jeśli kiedykolwiek byli.

Ayako wpatrywała się w niego.

– Czy to propozycja? – spytała nagle.

– Tak. – Supakrit uniósł dłoń. – Słuchaj, to byłaby tylko formalność. Nikt tutaj nie będzie wtykał nosa w nasze życie seksualne...

– Zamknij się. Co za dureń. Ale owszem. Tak.

W tym momencie trochę się zgubił.

– Co... tak?

Przewróciła oczami.

– Będę miała idiotę za męża. Tak, wyjdę za ciebie. A co niby może znaczyć „tak”?

Wstała i podała mu rękę.

– Chodź, nie ma na co czekać. Mam osobny pokój, ty nie. Nie będę gzić się w koszarach. Zostaw tę głupią kawę. Zapewniam cię, że ja smakuję o wiele lepiej.

Ledwo jednak zrobili dwa kroki w stronę drzwi, rozległ się alarm.

– Cały personel przypisany do operacji Wyłom Serket stawi się natychmiast przy stanowisku sigma dziewięć. Misja wyrusza o szesnastej.

Supakrit i Ayako równocześnie sprawdzili godzinę.

– Niech to – rzucił kapral.

– Nie ma na świecie sprawiedliwości – zawtórowała mu Ayako. – Lepiej biegnij. Ale wróć w jednym kawałku, dobra?

Czasu starczyło im tylko na pocałunek.



Gdy wyszedł, Ayako nie wiedziała, co ze sobą zrobić, skierowała się więc do centrali stacji Parmley. Nie była upoważniona do wstępu, ale przekonała się już, że personel Korpusu Zwiadu Biologicznego gotowy był naginać zasady, jeśli mogło to czemuś posłużyć.

Uznała, że ma wystarczający powód, i nie czekała nawet, aż ktokolwiek zwróci na nią uwagę przy wejściu. Od razu skierowała kroki do wielkiego wyświetlacza pośrodku pomieszczenia. Nie widziała centrali nigdy wcześniej, ale rozpoznała wyświetlacz taktyczny. Kiedyś opisywano jej, jak wygląda coś takiego. I rzeczywiście, ten był chyba podobny do tych stosowanych na statkach.

– Właśnie wyszłam za mąż, to znaczy zgodziłam się wyjść, ale nagle wy... – Zdołała się opanować i powstrzymać od inwektyw. – Wy, źli ludzie, zabraliście mojego narzeczonego, żeby robił gdzieś tam za marine. I nawet nie wiem gdzie – dodała tonem skargi. – Nie wiem, bo jacyś kompulsywni

skur... naprawdę źli ludzie mają fioła na punkcie bezpieczeństwa. I co? Zostałam jak głupia.

Pięć obecnych w centrali osób wpatrzyło się w nią ze zdumieniem. Dwoje było na pewno z Torch, reszta bez wątpienia z Beowulfa. Nie miała pewności co do gościa, który pracował przy konsoli pod przeciwległą ścianą. A może to była gródź? Ayako nie była pewna.

– Kim jesteś? – spytał mężczyzna z ekipy Beowulfa. Razem z dwiema innymi osobami obserwował ekran taktyczny.

– I co tu robisz? – spytał drugi stojący tuż obok niego. On pochodził z Torch, podobnie jak kobieta, która im towarzyszyła. Ją akurat Ayako już wcześniej widziała, tylko nie była pewna nazwiska. Alexia... albo jakoś tak.

– Powiedziałam już, że właśnie wyszłam za mąż, ale mój świeżo poślubiony... No dobra, będę upierdliwie dokładna. Mój przyszły mąż jest na tym statku. – Wskazała na wyświetlacz, który przypominał jej bardzo barwny kalejdoskop. – Którymś z nich. Gdzieś tam.

– Na *Hali Sowle*? – spytał kobieta z Beowulfa siedząca przy niedalekiej konsoli.

– Tak, tak się nazywa.

Mężczyzna z Torch spojrział na nią niechętnie.

– Ale nie możesz tak sobie...

– Spokojnie, Liam – powiedział ten z Beowulfa. – To czarująca sprawa. Wszechświat bardzo potrzebuje ostatnio dobrych nowin. – Spojrział na Ayako. – Zakładam, że twój mąż, przeszły, obecny czy przyszły, to marine albo ktoś z załogi *Hali Sowle*. Jak się nazywa?

– Supakrit. Kapral Supakrit X. Royal Marines.

– Magdo, możesz to sprawdzić?

Kobieta siedząca przy konsoli przebiegła palcami po klawiaturze i spojrzała na ekran.

– Tak jest. Przydzielony do tej misji.

– Ejże, względy bezpieczeństwa! – zaprotestował Liam.

– Przestań, dobrze? – Magda nadal coś sprawdzała. – Co ona może zrobić? Nie rozwinie własnego żagla, by polecieć z ostrzeżeniem do kogoś, o kim nawet nie wspomniałam. – Postukała w ekran i spojrzała na Ayako. – Ale co ciekawe, tutaj mam informację, że kapral Supakrit X zaciągnął się jako kawaler.

Liam spojrzał niechętnie na Ayako.

– Więc ona kłamie.

– Pieprz się. Właśnie się pobraliśmy. No, postanowiliśmy się pobrać. Jakieś dwie sekundy przed alarmem ogłoszonym przez jakichś skur... złych ludzi. I rozkazem, by zameldował się na stanowisku sigma-gigma.

– Rozkaz wydała pułkownik Anderson, nie my – wyjaśniła kobieta, która chyba nazywała się Alexia. Była spokojna i rozbawiona sytuacją. – My odpowiadamy tylko za ruch w obszarze stacji i tak dalej.

– Urocze – rzucił mężczyzna z Beowulfa. – Właśnie zaręczeni? Chodź, pokażę ci, gdzie jest twój przyszły mąż. Nazywam się Bill Jokela. A ty?

– Takahashi Ayako. Mów mi Ayako. – Ignorując niechętnie wciąż spojrzenie Liama, podeszła i stanęła obok Jokeli. Z bliska wyświetlacz taktyczny był jeszcze mniej czytelny.

Jokela wskazał na jeden z symboli o jasnozielonej barwie.

– To jest *Hali Sowle*. Opuścili już Parmley, ale nadal są dobre piętnaście minut świetlnych od granicy nadprzestrzennej. Nie zrobią więc skoku alfa jeszcze przez...

– Czego nie zrobią?

Jokela przerwał i spojrzał na nią uważnie. Potem zerknął w ten sposób na wyświetlacz.

– A właściwie mamy czas – powiedział. – Teraz będzie krótkie wprowadzenie do astrogacji. Słuchaj uważnie, Takahashi Ayako. Kto wie, może zrobisz w tym jeszcze karierę?

ROZDZIAŁ XXI



Zachariah McBryde?

Zachariah obrócił się do pytającego, starając się nie rozlać przy tym kawy. Miał zwyczaj nalewać z czubkiem, co czyniło powrót do laboratorium czynnością wymagającą podobnej precyzji jak jego codzienna praca.

Jak szybko odkrył, stało za nim aż dwóch mężczyzn. Obaj w prostych kombinezonach z plakietkami na lewych kieszeniach. Jeden nazywał się A. Zhilov, ten po prawej S. Arpino. Mieli też przypięte pełne znaczków plakietki gości.

– Tak?

Ten z plakietką z napisem „Zhilov” skinął sztywno głową.

– Proszę z nami, McBryde. – Obrócił plakietkę, pokazując hologram ukazujący jego podobiznę i napis „Agent, GAUL”.

Zachariah starał się zachować spokój. GAUL oznaczało Genetic Advancement and Uplift League, czyli wewnętrzną służbę bezpieczeństwa. Jej członków nazywano czasem Gaulami, chociaż nigdy w ich obecności.

Niepokój Zachariaha był uzasadniony. Gaulowie byli wykorzystywani przez szefostwo Równania zwykle wtedy, gdy trzeba było sięgnąć po niekonwencjonalne metody działania.

– Lepiej mówić o „wewnętrznym dyscyplinowaniu” – wyjaśnił kiedyś brat Zachariaha, Jack. Uśmiechnął się przy tym znacząco, ale wcale nie

było mu wesoło. Podobnie jak większość zawodowych specjalistów od bezpieczeństwa, nie cenił wysoko Gaulów.

Napięcie Zachariaha zmieniło się w złość.

– Ile razy jeszcze mam przez to przechodzić? – spytał stanowczo. – Powiedziałem już o moim bracie wszystko, co wiedziałem. I to co najmniej pięć razy. Nie ma nic więcej. Naprawdę. Nada. Zip. Zero. Nie mam pojęcia, dlaczego zrobił to, co zrobił.

O ile to zrobił, pomyślał. Ani przez chwilę nie wierzył w winę brata.

Zhilov zmarszczył brwi.

– Nie wiem, o czym pan mówi. Pańskie sprawy rodzinne nas nie interesują. – Spojrzał znacząco na swojego partnera. – Nieprawdaż?

Arpino sprawdzał coś w tablecie.

– Mam tu wzmiankę o pana bracie nazwiskiem Jack McBryde, który już nie żyje. Ale z tego, co widzę, nasza sprawa nie ma z nim żadnego związku.

– Tak myślałem – powiedział Zhilov. – Proszę z nami.

Zdumiony Zachariah poczuł, że gniew zaczął go opuszczać. Zastąpiła go jednak irytacja. Proszę z nami! Jakby był ich służącym.

Upił łyk kawy. Po trosze po to, żeby ich opóźnić, przede wszystkim zaś dlatego, że jeśli miał iść dokądś dalej, wolał nie rozlać napoju. Nie przez wzgląd na personel sprzątający, kawa była po prostu dobra.

Jego brat Jack nazwał kiedyś Gaulów ludźmi od mokrej roboty, ale nic więcej nie chciał dodać. Zdawał się nawet żałować, że coś takiego mu się wymknęło. Zachariah nie naciskał. Obaj z bratem tkwili głęboko w wewnętrznych strukturach, ale działali w całkiem innych specjalnościach. Jack miał pod pewnymi względami wyższy poziom dostępu, pod innymi Zachariah go wyprzedzał. Byli sobie bliscy, zapewne

podobnie jak większość braci, ale bardzo uważali, żeby nie wchodzić sobie nawzajem w kompetencje.

Kusiło go, żeby stawić jakiś opór Gaulom, ale wiedział, że prędzej czy później i tak musiałyby się poddać. Nie przyszliby po niego bez wyraźnego polecenia. Mieli też reputację ludzi zawsze wykonujących rozkazy, no i z pewnością nie byli głupi. Nikomu z wewnętrznego kręgu nie brakowało inteligencji. Brakowało im jednak wyobraźni, o empatii nawet nie wspominając.

– Dobrze. Chodźmy. Dokąd mnie zabieracie?

Nie otrzymał odpowiedzi. Gaulowie odwrócili się i ruszyli korytarzem, a on za nimi.



Gdy Gaulowie wprowadzili Zachariaha do pokoju, skrytego w labiryncie administracyjnego budynku Centrum Naukowego, pierwszą ujrzaną przez niego osobą była Lisa Charteris. Siedziała u szczytu stołu konferencyjnego stojącego pośrodku pokoju.

Zachariahowi ulżyło. Mimo pozornie nonszalanckiego podejścia do Gaulów odczuwał jednak niepokój, który wzrósł jeszcze, gdy opuścili budynek laboratoryjny i skierowali się do administracji. Rzadko tam bywał i nie rozumiał, w jakim celu mogą go tam prowadzić. Chyba że...

Że co? Fakt, że Zhilov i Arpino nie przyznali się do posiadania żadnej szczególnej wiedzy na temat Jacka, sugerował, że nie chodziło o kolejne przesłuchanie na temat jego rzekomej zdrady. Ale skoro tak, to o co mogło chodzić...?

Zachariah nie cierpiał niepewności. Może poza przypadkami, gdy czekał na wynik eksperymentu.

Teraz, widząc Charteris, trochę się odprężył. Niepewność nie zniknęła, bo nadal nie wiedział, dlaczego się tu znalazł, ale zawsze dobrze dogadywał się z Lisą. Nie byli przyjaciółmi; Lisa starała się utrzymywać niejaki dystans, ale szanowali się nawzajem, cenili swój profesjonalizm i każde ich spotkanie było sympatycznym doświadczeniem.

Tym samym Zachariah nie przypuszczał, żeby Lisa miała wziąć udział w jeszcze jednym przesłuchaniu w wiadomej sprawie. Bo i po co? Nie miała nic wspólnego z tą paskudną historią. W odróżnieniu od Zachariah nie kwestionowała chyba oficjalnej wersji wydarzeń i oskarżenia Jacka o zdradę. Jednak z pewnością nie uważała, żeby Zachariah był jakoś zaangażowany w tę sprawę, jakkolwiek ona naprawdę wyglądała.

– Cześć, miło cię widzieć.

Spojrzała na niego i uśmiechnęła się jakoś niepewnie, po czym wskazała na krzesło obok siebie.

– Siadaj, proszę.

Gdy zajmował miejsce, kątem oka dostrzegł Gaulów stojących po obu stronach drzwi. Nie na baczność, ale prawie. Pod prysznicem pewnie też tak się zachowywali. Takim ludziom nawyki zawodowe wchodziły w krew.

– Co mamy...

Charteris uniosła dłoń.

– Poczekaj chwilę. Ona powinna zaraz przyjść...

Drzwi za nią otworzyły się i do środka weszła kobieta, którą Zachariah natychmiast rozpoznał, chociaż nigdy dotąd z nią nie rozmawiał. Była w strukturach znacznie wyżej od niego i zapewne głębiej siedziała też w sprawach bezpieczeństwa.

Jednak nie tego „bezpieczeństwa”, którym zajmował się Jack. Zachariah niewiele wiedział o pracy brata, jednak na podstawie różnych wzmianek

odniósł wrażenie, że zajmował się on ochroną systemów firmy. Był jednym z najważniejszych „strażników” w Równaniu.

A osoba, której podlegał, niejaka Isabel Bardasano, była z kolei...

Zupełnie inna. O ile Jack był psem stróżującym, o tyle ona była wilkiem. Co do tego Zachariah nie miał akurat żadnych wątpliwości.

Spotkał ją tylko dwa razy i były to krótkie spotkania, ale dobrze ją sobie zapamiętał. Zwracała uwagę zachowaniem, jak i wyglądem, cała w jaskrawych tatuażach i ćwiekach.

Kobieta, która weszła do pokoju, była tak samo arogancka, ale tatuaże i inne ozdoby ciała zniknęły. Nie miała nawet kolczyków.

Zachariah zastanowił się, czy to nie kopia Bardasano. Po zniszczeniu Centrum Gamma gdzieś zniknęła. Mogła nawet zostać wyeliminowana. Równanie rzadko stosowało karę śmierci, przynajmniej wobec ludzi z wewnętrznego kręgu, ale gdy już do tego dochodziło, wszystko odbywało się zawsze bardzo cicho. Po tak wielkiej katastrofie mogli zdecydować się na wyeliminowanie zamieszanych w nią osób. Zachariah był niemal pewien, że oskarżenia wysuwane pod adresem jego brata były nieprawdziwe, zatem musiało zdarzyć się coś innego. Coś, w co Bardasano była zapewne głęboko zaangażowana. A skoro tak, mogła za to zapłacić.

Kobieta usiadła naprzeciwko Zachariaha.

– Nazywam się Janice Marinescu. Miło mi pana poznać. Proponuję nie marnować czasu. Zna pan plan operacji Houdini.

To nie było pytanie, tylko stwierdzenie, jednak Marinescu przerwała i spojrzała na Zachariaha. Z jakiegoś powodu chciała, żeby potwierdził jej słowa.

– Tak, znam – odparł. – Dlaczego...

– Ponieważ jej realizacja właśnie się rozpoczęła. Sytuacja polityczna zmienia się ostatnio w szybkim tempie i nie chcemy, żeby ktokolwiek miał szansę na tym skorzystać...

Skorzystać? – pomyślał Zachariah. Kusiło go, żeby nazwać wprost tego „kogoś” głośno. Wszyscy wiedzieli przecież, że chodziło o Manticore.

Ale nie odezwał się. Za to niepokój wrócił. Coś...

Poszło mocno nie tak. Albo osoby z samego centrum organizacji doszły do wniosku, że niebawem mogą zacząć się kłopoty.

– ...dołączy więc pan do trzeciego transportu. Pan i szef działu naukowego Charteris. – Wskazała na Lisę. – Chociaż możliwe, że nie będziecie ewakuowani tymi samymi drogami.

Zachariah wciągnął głęboko powietrze. To wyjaśniało obecność Gaulów. Houdini miał rozdzielić wiele rodzin, włączając w to jego własną. Władze rozumiały zagrożenie. Każdy objęty planem musiał dostać strażników na wypadek, gdyby nagle strzeliło mu coś do głowy.

Nie wątpił też, że owi strażnicy, czy może przewodnicy, jak wołał o nich myśleć, mieli wyraźny rozkaz uciszenia na zawsze każdego, kto próbowałby kwestionować polecenia.

Zachariah rozumiał, że tak właśnie trzeba. Plan Houdini zakładał usunięcie z Mesy wszystkich, którzy mieli jakiegokolwiek pojęcie o działaniach wewnętrznego kręgu i tym samym mogliby coś zdradzić. Mieli albo zniknąć z planety, albo wręcz pożegnać się z życiem.

Trzeciej możliwości nie było, jednak dotąd Houdini pozostawał czymś mało realnym. Niewiele o nim myślał, aż w końcu jednak się zdarzył. Naprawdę. Nadszedł niespodziewanie, niczym atak serca.

Zachariah poczuł nagły ból w klatce piersiowej, jakby rzeczywiście dostał zawału. Ale nie. Uświadomił sobie tylko, że niebawem straci całą

rodzinę. To akurat było absolutnie pewne. Wcześniej zakładał, że zostanie ewakuowany razem z bratem, który też się kwalifikował. Wtedy miałyby chociaż jego.

Teraz... już nikogo. Zupełnie nikogo.

Miał zostawić Veronicę, swoją dziewczynę, jednak nie to było najgorsze. Ich związek nie był naprawdę poważny.

Najgorsze było to, że nie mógł nikogo uprzedzić. W ogóle nie mógł nic powiedzieć najbliższym. Po wielekroć podkreślano, jakie to ważne. Na Mesie nie mogła pozostać ani jedna osoba, która wiedziałaby cokolwiek istotnego, w tym o samym istnieniu planu Houdini.

Co znaczyło, że Zachariah musi milczeć. Gdyby pisnął choć słowo komukolwiek, a władze Równania by się o tym dowiedziały, cała jego rodzina zostałaby zlikwidowana.

Cały rozedrgany, zaczerpnął głęboko powietrza. Lisa nakryła jego dłoń ręką i lekko ścisnęła.

Ona też miała kogoś zostawić. Nie wiedział dokładnie kogo, ale zapewne między innymi męża. Jules Charteris zajmował eksponowane stanowisko w rządzie Mesy. Chyba nawet dość prestiżowe. Jednak mało kto ze struktur rządowych planety należał do wewnętrznego kręgu.

– Kiedy? – spytał, ale Marinescu nic nie powiedziała, tylko spojrzała mu prosto w oczy.

ROZDZIAŁ XXII



Ruth Winton zanosła się sarkastycznym śmiechem.

– Popatrzcie tylko! Pierwszy raz w pisanej historii cywilizacji gadające głowy nie wiedzą, co powiedzieć! Od trzech tysięcy lat nic ich tak nie zatkało!

Miała rację. Goście programu dyskusyjnego „Co nowego w Gwiezdnym Imperium” gapili się na ekran ukazujący strzelaninę w historycznej dzielnicy Starego Chicago. Czyli to, co wedle oficjalnej wersji spowodowało wiele lat temu słynny „incydent Manpower”.

W rzeczywistości nie było to takie proste. Konflikt, który zakończył się likwidacją wynajętych przez Manpower najemników generała Raphaela Durkheima, szefa bezpieczeństwa Haven w placówce w stolicy Ligi Solarnej, i późniejszym zniszczeniem przedstawicielstwa Manpower w tym mieście przez oddział Baletu, toczył się już od dłuższego czasu. Tyle że nikt, ani na Manticore, ani na Ziemi czy na Haven, nie wiedział na ten temat nic poza ogólnikami. Nie znano też nazwisk osób, które brały w tym udział. Media nie zdołały ich wytropić.

Pierwsza i najważniejsza z tych osób siedziała teraz obok Ruth. Victor Cachat, który odegrał główną rolę w masakrze, przedstawianej właśnie na ekranie uczestnikom programu Underwooda. No i nie tylko im...

– Jaką mamy oglądalność, Ruth? – spytał Anton Zilwicky siedzący obok Cathy Montaigne w salonie centrum terapii genetycznych.

Ruth zerknęła na ekran trzymanego w dłoni komunikatora.

– Dwieście siedemdziesiąt trzy miliony widzów... i stale rośnie – dodała po paru sekundach. – Wieści szybko się rozchodzą. Gdy wyemitujemy powtórki, sięgnie dwóch miliardów. I to tylko tutaj, na Manticore. Gdy nagranie trafi na resztę planet Gwiezdnego Imperium, a potem na Haven, Beowulfa i Bóg wie jeszcze dokąd, będą to już liczby astronomiczne.

Stuknęła kilka razy w ekran komunikatora.

– Tak jak sądziłam. Już teraz mamy trzecie miejsce w rankingu oglądalności w tej dekadzie. Weszliśmy na teren zarezerwowany zwykle dla największych wydarzeń sportowych.

Gadające głowy nie zamilkły oczywiście na długo. Szybko wróciły do formy i zaczął się zwykły jazgot.

– ...zawsze pozostawało tajemnicą, dlaczego kapitan Zilwicki zaufał mu tak bardzo. Czego zaś nadal nie wiemy...

– ...teraz to chyba jasne jak słońce...

– ...i zawsze będę to powtarzał. Nie mamy żadnego powodu, absolutnie żadnego powodu, by tak nagle zaufać Cachatowi. Jeśli czegokolwiek w ten sposób dowiódł, to swojego skrajnego nieopanowania...

– ...miał wtedy do czynienia z najgorszego autoramentu zabójcami i socjopatami, tak zwanymi „superżołnierzami”, pozostałymi po Ostatecznej Wojnie. Oczywiście, że musiał działać energicznie! A co niby miał tam zrobić, Charlene? Wygłosić pogadankę? A może sądzisz, że...



Siedząca naprzeciwko Victora i Ruth Thandi na chwilę się wyłączyła. Wciąż próbowała dojść do ładu z tym, co właśnie zobaczyła. Wiedziała o tamtej strzelaninie, ale nagranie zobaczyła dopiero teraz.

Brutalność nie była dla niej zaskoczeniem, podobnie jak i zdolność Victora do zabicia tak wielu ludzi w ciągu ledwie paru chwil.

Podchodząc do sprawy obiektywnie, wiedziała, że gdyby to ona znalazła się w tych zrujnowanych katakumbach Chicago, wszystko przebiegłoby jeszcze sprawniej i szybciej.

Victor zginąłby zapewne, gdyby nie Jeremy X i jego interwencja pod sam koniec. Trzech ocalałych i całkiem sprawnych Scragów wciąż miało broń i wymierzało ją właśnie w Victora. W sumie to samo dotyczyło trzech rannych. Dopiero Jeremy ich wyeliminował.

Thandi nie potrzebowałaby jego pomocy. Była rościejsza niż Victor, silniejsza i szybsza niż on, lepiej też strzelała z dowolnej broni, w zabijaniu gołymi rękami zaś w ogóle nie mógł się z nią równać. Na dodatek całe dorosłe życie ćwiczyła ten właśnie rodzaj walki.

Tyle że... gdyby miała tyle lat, co on wtedy? Stając do tamtej walki, Victor nie miał za sobą żadnego treningu. Nie znał jeszcze symulatorów, nie był w akademii.

To wydawało się wręcz niemożliwe. Gdyby Thandi Palane znalazła się tam bez swojego obecnego przygotowania, z jego ówczesnym wyszkoleniem, które po prawdzie było żadne...

Victor przetrwał, a nawet wyszedł zwycięsko z tej walki tylko i wyłącznie dzięki swojemu charakterowi. Już wtedy, młody i zielony, okazał się z natury zabójcą. I to świetnym, na granicy ludzkich możliwości. Gdyby młoda i niedoświadczona Thandi znalazła się w tamtej jaskini, zdołałaby załatwić dwóch, może trzech przeciwników. Potem byłaby martwa.

To samo spotkałoby każdego, kogo dotąd poznała. Każdego, poza tym jednym człowiekiem, z którym sypiała, gdy tylko się dało.

Serce zabiło jej żywiej i sięgnęła, by ująć dłoń Victora. Zapewne niewielu kochanków tak by właśnie zareagowało, ale ona urodziła się i wychowała na Ndebele.

Ścisnęła jego dłoń, a gdy na nią spojrział, uśmiechnęła się gorąco.

Szykowała się szczególnie namiętna noc...



Anton Zilwicky był myślami całkiem gdzie indziej. Pracował z Victorem od tak dawna, że nagranie w żaden sposób go nie zaskoczyło. Raz, że widział je już wcześniej, a dwa, oddawało to, co znał z własnego doświadczenia. Wtedy nie było go na miejscu, zjawił się zaraz po strzelaninie. Helen, która wyjrzała właśnie z ukrycia, zaraz pobiegła w jego stronę. Po drodze musiała co rusz przeskakiwać i omijać jakieś ciała, a na dwa nawet nastąpiła, przez co buty miała potem tak brudne od krwi, że musiała je wyrzucić.

Ledwo skończyła wtedy czternaście lat. A trochę wcześniej...

– Cholera jasna – rzucił nagle. – Zadbalem, żeby dranie nie dopadli Helen, i marynarka okazała się chętna do współpracy w tej sprawie. Berry sama wie, co robić. Ale o tym nie pomyślałem. Lars nigdy nie spotkał Victora i w ogóle był poniekąd poza sprawą, więc wydawało mi się, że nie muszę nic robić.

Underwood puścił kolejne nagranie. Tym razem był to przygotowany wcześniej wywiad z Larsem Zilwickim. W tle widać było budynki Nowego Uniwersytetu w Landing. Lars zaczął tam właśnie trzeci rok studiów.

– ...w ogóle tego nie widziałem... nawet skutków, jeśli można tak powiedzieć. Zadbano o to, żeby ewakuować mnie i Berry różnymi drogami. Potem oczywiście wiele o tym słyszałem, ale nie spotkałem Victora Cachata. Ani wtedy, ani nigdy. – Młody człowiek wzruszył ramionami. –

Szczerze mówiąc, niewiele mnie to wtedy obchodziło. Wciąż byłem zbyt wstrząśnięty tym, co poprzedniego dnia zrobiła Helen, żeby myśleć o wydarzeniach mających miejsce w podziemiach obok ruin Instytutu Sztuki, gdzie ukrywaliśmy się wraz z Berry. – Zastanowił się i skrzywił lekko. – No, może nie tym, co ona zrobiła, ale jak ja obszedłem się potem z ciałami. Ci dranie... zranili Berry. Bardzo mocno.

Kamera przesunęła się na przeprowadzającą wywiad, która lekko zmarszczyła brwi.

– A... o czym dokładnie pan mówi, panie Zilwicki?

– Zamknij się, Lars – mruknął pod nosem Anton, wpatrując się w postać na ekranie. – Nic nie mów, nic nie mów, nic nie mów... Niech to wszyscy diabli – dodał głośno.

– To Lars – powiedziała z uśmiechem Cathy. – Nasłali na niego bardzo atrakcyjną i doświadczoną kobietę. Naprawdę sądzisz, że nie powie?

– Jest dziesięć lat starsza od niego – warknął Anton. – Co najmniej dziesięć.

Berry też się uśmiechnęła.

– A od kiedy to niby przeszkadza mojemu bratu...?

– ...myślałem, że już o tym wiecie – kontynuował Lars. – Po tym, jak Helen uciekła Scragom pracującym dla Durkheima, no może niezupełnie dla niego... To wiecie, prawda? Wpadła wtedy w podziemiach na trzech gości. Zaatakowali ją, sądząc... W sumie nie wiem, co myśleli, ale pewnie planowali to samo... że to Berry... Mniejsza z tym.

Anton zerknął na Berry, ale jego córka zdawała się nie przejmować. I pewnie tak było, jak ją znał. Incydent, o którym opowiadał Lars, był traumatyczny, ale dla Berry chyba należał już do przeszłości. Poradziła

sobie z nim dzięki pomocy najlepszych terapeutów, jakich Cathy zdołała znaleźć. Czyli najlepszych praktykujących w tej galaktyce.

– ...co tych trzech, którzy uwięzili mnie i Berry. Czego ci... dranie nie wiedzieli, to że chociaż miała dopiero czternaście lat i była drobna jak na swój wiek, całkiem inaczej niż dzisiaj, znała dobrze sztuki walki. Sam Robert Tye ją uczył, tak, ten Robert Tye.

– Zdołała więc się obronić? – spytała dziennikarka.

Lars miał lodowaty wyraz twarzy, całkiem niepasujący do jego wieku.

– Można chyba tak powiedzieć. Zabiła wszystkich trzech.

Na tym wywiad się urwał. Underwood miał nowy temat do przemienienia. Odwrócił się wraz z fotelem, co poszło mu szybciej niż gościom, bo cały czas siedział bokiem do ekranu, i spojrzał z przejęciem w obiektyw kamery.

Na swój sposób był geniuszem w tym fachu. Potrafił tak spojrzeć, że nawet gdy nie miał nic do powiedzenia, atmosfera z miejsca się zagęszczała. Podczas podobnych programów umiejętność bezcenna.

Zaraz potem zmienił wyraz twarzy i zajął się swoimi gadającymi głowami.

– Ciekawe, prawda? Zwłaszcza ostatnia kwestia. Co ty na to, Charlene?

Charlene Soulliere, reprezentująca nieoficjalnie Partię Postępową, skrzywiła się kwaśno. Nie pierwszy raz w trakcie tego programu. Jej partia, która wcześniej z jakichś trudnych do zrozumienia powodów broniła Haven, teraz sprzeciwiała się ostro zbliżeniu między Manticore a Republiką.

Dlaczego? Tego nikt, być może poza przywódcami partii, tak naprawdę nie wiedział, ale krążyło kilka teorii.

Jedna z nich zakładała, że Partia Postępowa była opłacana przez Równanie. Antonowi wydawało się to mało prawdopodobne, chociaż nie potrafił wykluczyć takiej możliwości. Sam bardziej skłaniał się ku innej wersji, zgodnie z którą...

Partia Postępowa była po prostu zbieraniną idiotów, niemających najmniejszego pojęcia o polityce i bredzących cokolwiek, byle zwrócić na siebie uwagę.

Cathy Montaigne sądziła, że to całkiem możliwe. Teorię z Równaniem odrzucała, przekonana, że zbrodnicza, ale zasadniczo kompetentna organizacja nie zniżyłaby się do marnowania pieniędzy na przekupywanie podobnych kretynów. Poza tym nie było w tej materii żadnych dowodów. Najbardziej skłaniała się więc ku trzeciej wersji, głoszącej, że...

Partia Postępowa chciała powrócić do władzy, zawiązawszy koalicję z konserwatystami. Był to dziwaczny pomysł, który ktokolwiek chociaż w miarę zdrowy na umyśle w pierwszej chwili by odrzucił, jednak scena polityczna rządziła się swoimi prawami. Co więcej, tak naprawdę oba ugrupowania różniły się jedynie tym, że konserwatyści głośno ogłaszali, że „co nasze, to nasze, i za nic tego nie oddamy”, postępowcy zaś pozbawieni byli jakichkolwiek zasad i gotowi zrobić wszystko, żeby tylko dorwać się do władzy.

– Jakiś komentarz, Charlene?

– Nie wiem, czy wśród widzów jest choć jedna osoba, której nie zaszokowała brutalność przedstawionych materiałów. To jest główny problem, z którym się tutaj spotykamy. Niedaleko pada jabłko od jabłoni. Bo chyba nie muszę przypominać, jakim maniakałnym mordercą jest ojciec tej czternastoletniej dziewczynki? To ten sam człowiek, który wcale nie tak dawno zasiał majątek w Tor martwymi ciałami!

Cathy prawie podskoczyła z uciechy.

– Tak! Bierz ją, Mack! Załatw tę sukę!

Potem dorzuciła jeszcze kilka zdań, które chociaż niepoprawne gramatycznie, trafiały w sedno. Podobnie jak piranie zwykły trafiać w sedno, gdy przychodziło do konsumpcji.

Mack to był Macauley Sinclair, siedzący z lewej strony prowadzącego. Niski gość o okrągłej, wesołej twarzy, który reprezentował Partię Liberalną, chociaż czynił to równie nieoficjalnie, jak Soulliere występowała w imieniu partii postępowców.

W tym programie zajął miejsce Florence Hu. Cathy pociągnęła za wiele sznurków, żeby do tego doszło. Chciała sensownego głosu liberałów na antenie, nie pisków i skomlenia, które słyszała ostatnio. Wybór też nie był przypadkowy. Współpracownicy Sinclaira od dawna już nazywali go Mackiem Majchrem.

Yael Underwood wiedział oczywiście o tym wszystkim i z miejsca udzielił głosu Sinclairowi.

– Maniakalny morderca, tak? – zaczął Mack szyderczym tonem, ale zaraz wszedł w tryb polityczny i spojrzał śmiało wprost w kamerę. – Z powodów, których nie potrafię zrozumieć, Lars Zilwicky nie przedstawił szczegółów tego zajścia. Tak się jednak składa, że miałem okazję je poznać, podobnie jak obecna tu pani Świętoszkowata mogłaby do nich dotrzeć, gdyby choć trochę się postarała. – Spojrzał na nią sceptycznie. – Tak przynajmniej sędzę, że ich nie zna, i jej wypowiedź jest tylko skutkiem ignorancji, a nie czegoś gorszego.

Rozzłoszczona Charlene chciała mu przerwać, ale Sinclair jej nie pozwolił.

– Oto owe szczegóły, smutne w sumie, by nie powiedzieć ponure – ciągnął, zwracając się wprost do publiczności. – Trzej wspomniani przed

chwilą mężczyźni, których Lars Zilwicky słusznie nazwał draniami, porwali go wraz z siostrą Berry i przetrzymywali potem w niesławnych podziemiach Chicago. Lars miał wtedy jedenaście lat, Berry trzynaście. Oboje zostali brutalnie pobici, zwłaszcza dziewczynka, którą ponadto wielokrotnie zgwałcono. A tych trzech pechowych dżentelmenów, których zdaniem pani Świątoszkowatej zamordowano z zimną krwią... – przerwał, żeby prychnąć szyderczo – ...próbowało zrobić to samo. Zostali zabici w samoobronie.

Rozległa się ogólna wrzawa, ale Mack Majcher zdołał zapanować nad tym zbiorowiskiem dyskutantów. Głównie dlatego, że nadal patrzył prosto w kamerę.

– Moim zdaniem to wręcz symptomatyczne, że ta sama Partia Postępowa, która okazała się całkowicie niezdolna do prowadzenia wojny z Haven, gdy naprawdę istniała taka potrzeba, próbuje obecnie sabotować podpisanie traktatu pokojowego z Republiką, chociaż dla wszystkich poza nią jest to krok oczywisty i szczęśliwie wreszcie możliwy. A jedynym powodem ich postawy, zakładając oczywiście, że wiedzą w ogóle, co czynią, może być tylko pogoń za doraźnymi korzyściami politycznymi.

Podpisał się w ten sposób wyraźnie pod teorią numer trzy, chociaż nie skreślił też definitywnie teorii numer dwa. Innymi słowy, trzymał linię wyznaczoną przez Cathy.

Nie było w tym nic dziwnego, skoro zasadniczo dla niej pracował. Nieoficjalnie wprawdzie i bez wynagrodzenia, ale nie bez powodu nazywano go też „Żołnierzem Mafii Montaigne”.

Anton spojrział ponownie na ekran. Sinclair nie spuszczał z tonu. Wprawdzie miał tylko pięć stóp wzrostu i nosił drogi garnitur, ale bez trudu można było sobie wyobrazić go z dwuręcznym mieczem przodków.

– ...nie słuchajcie tego, co mówi. Prawdziwy powód wrogości Soulliere wobec Cachata jest bardzo prosty. Nie znosi go, ponieważ jest on żywym dowodem, po trzykroć już zweryfikowanym, że nie ma teraz dla nas lepszego sojusznika niż to samo Haven, z którym walczyliśmy, mogłoby się zdawać, że od zawsze. Zadam wam całkiem proste pytanie...

W studiu słychać było narastający jazgot. Soulliere ze wszystkich sił próbowała odzyskać uwagę widzów, ale Sinclair panował nad sytuacją.

– ...takie naprawdę podstawowe. Wyobraźcie sobie, że zostaliście napadnięci w ciemnej uliczce. Kogo zawołacie wtedy na pomoc, by stanął w waszej obronie? – Prychnął szyderczo. – Soulliere i jej kolegów z politycznej kanapy? Czy Victora Cachata i Antona Zilwickiego? Albo jeszcze inaczej, skoro mowa o wojnie, przy której nasz konflikt z Haven może być jak zabawa w piaskownicy. Ją czy bandę maniakałnych morderców w mundurach, takich jak...

Obrócił się do Underwooda i w tym momencie Anton nie miał już wątpliwości, że Mack Majcher i prowadzący program wcześniej to wszystko uzgodnili.

– Wydaje mi się, że masz jeszcze jeden ciekawy materiał, prawda, Yael?

– A owszem... Tak się składa, że mam.

Na ekranie pojawiła się córka Antona, Helen. Była w mundurze i pozowała do zdjęcia z czterema młodymi oficerami marynarki. Anton kojarzył wszystkich, prócz jednego. To byli przyjaciele Helen, jak i jej towarzysze broni. Ludzie, z którymi studiowała na wyspie Saganami.

Wyglądała...

Wyglądała dobrze. Naprawdę dobrze. Nigdy nie była piękną, chociaż i tak więcej miała pod tym względem po matce niż po ojcu. I dzięki Bogu. Może była trochę zbyt masywnej budowy, ale stała swobodnie,

w postawie wypracowanej przez ponad dziesięć lat trenowania Neue-Stil Handgemenge, jednej z najskuteczniejszych sztuk walki stworzonych w historii ludzkości. Przede wszystkim jednak była młodą kobietą dumną z noszonego munduru, dumną ze swojego kraju i dość pewną siebie, żeby stawić czoło całej galaktyce, jeśli będzie trzeba.

– To jest ta młoda osoba, którą Soulliere nazwała maniakałnym mordercą – odezwał się znowu Sinclair. – Już nie dziewczynka, która uciekła oprawcom Manpower, ale młoda kobieta, która podczas bitwy o Monicę służyła jako oficer taktyczny sir Aivarsa Terekhova. Nie zapominajcie o tym, zwłaszcza w chwili, gdy wilki znów podejną pod wasze drzwi. Gdy to się stanie, Soulliere i jej banda tchórzliwych kundli pierwsi podniosą wrzask, żądając, by tacy właśnie maniakałni mordercy przybyli ich ocalić. Raz jeszcze ocalić.

Soulliere całkiem już wyszła z siebie, chociaż „banda tchórzliwych kundli” to nie była zapewne najgorsza obelga zaplanowana na ten wieczór. Ostatecznie pora nie była jeszcze zbyt późna.

Nie żeby mu to przeszkadzało. Niemal odruchowo zaśpiewał to, co wręcz się narzucało:

A rekiny w oceanie

mają zębów pełen pysk... [1](#)

Był pewien, że wielu ludzi w Gwiezdnym Imperium przywołało właśnie te same wersy. Ostatecznie to była bardzo stara i znana piosenka.

– Genialnie wyszło! – zawołała Cathy, ujęła dłoń Antona i mocno ją ścisnęła.

Szykowała się szczególnie namiętna noc.

Anton zdołał zapanować nad twarzą.

1. Fragment libretta *Operry za trzy grosze* Bertolta Brechta, przekład Władysława Broniewskiego (przyp. tłum.). [↵](#)

LIPIEC 1922 ROKU PO DIASPORZE

„Jesteście wszyscy aresztowani. Okazuje się, że z dawna drzemał we mnie megaloman. Nigdy nic nie wiadomo”.

– Hugh Arai, małżonek Berry, Królowej Torch

ROZDZIAŁ XXIII



To było genialne posunięcie – powiedziała z podziwem Ruth, studiując dane widoczne na ekranie tabletu. – Kto chce być ojcem sukcesu? A może podzielimy się zasługami, w duchu kolektywizmu, współpracy i pokory? Albo i czegoś jeszcze, wedle gustu.

Victor spojrzał na nią z niechęcią.

– Stawiam na Antona. Albo jeszcze lepiej na Yanę.

Yana oglądała właśnie swoje ciało, korzystając z tego samego lustra co Victor. I wydawała się równie niezadowolona jak on.

– Wyglądam jak krowa. Po co komu wymiona tych rozmiarów? Mogłabym wyżywić czworaczki. Chociaż z drugiej strony, sutki nadal są tylko dwa.

Spojrzała ze złością na Victora.

– I facetom to się podoba?

Victor nawet na nią nie zerknął. Nadal patrzył na swoją sylwetkę.

– Spytaj kogoś innego. Mnie zdeprawowano jeszcze w młodości. Nie jestem miarodajny.

Thandi Palane dała spokój oglądaniu swojej nowej postaci jakieś dziesięć minut wcześniej i odpoczywała na fotelu. Była raczej zadowolona, co wynikało z prostego faktu, że w jej przypadku zmiany były niewielkie. Głównie ze względu na zdolności i wytrenowanie. Jakakolwiek modyfikacja, która odmieniałaby jej profil fizyczny i wydolność mięśni,

byłaby wysoce niepożądana, ograniczono się zatem do przydania jej trochę wzrostu i wagi.

Bardziej już popracowano nad twarzą. Zniknęły rysy charakterystyczne dla mieszkańców planety Ndebele. Cera nadal była blada, ale teraz Thandi kojarzyła się raczej z kimś z planety o podwyższonej grawitacji, kto miał wśród przodków głównie ludzi z północnej Europy i na pewno nikogo z Afryki.

Yana zaś była obecnie ucieleśnieniem marzeń napalonego nastolatka o idealnie zbudowanej kobiecie. Zwłaszcza takiego, który żył na razie wyłącznie teorią.

Otrzymała również nową twarz, z atrakcyjnej blondynki stając się kuszącą brunetką, z cechami raczej dalekowschodnimi niż słowiańskimi. Jedyne, co się prawie nie zmieniło, to jej wzrost. Nanoboty mogły wiele, ale drastyczne zmniejszenie kogoś musiałoby wiązać się ze skracaniem kości długich albo kręgosłupa, co zawsze niosło ze sobą poważne ryzyko zdrowotne. Ostatecznie ujęto jej więc tylko cal, akurat dość, żeby zmylić automatyczne systemy rozpoznawania osób, które mogły być wykorzystywane na Mesie.

Zapewne nie był to niezbędny zabieg, ale skoro można go było przeprowadzić, to dlaczego nie. Anton, Victor i Thandi też mieli obecnie inny wzrost, tyle że wyższy.

– Jakiego sukcesu, Ruth? – spytał Andrew Artlett. Siedział obok Steph Turner na kanapie naprzeciwko wielkiego lustra. Jego wygląd uległ tylko minimalnej zmianie, ponieważ większe nie były konieczne. Gdy mesańscy inspektorzy zjawili się raz na pokładzie *Hali Sowle*, Andrew przebywał cały czas w swojej kabinie. Mogli uzyskać skądś profil genetyczny, może nie tyle jego własny, ile klanu, do którego należał, jednak nie mieli okazji zdobyć jego aktualnej podobizny. Ingerencja ograniczyła się do pogrubienia

brwi i nosa, uwydatnienia kości policzkowych oraz zmiany koloru oczu i włosów na wypadek, gdyby Mesa miała jednak jakieś jego stare holo. Prawdopodobieństwo było astronomicznie małe, ale skoro można było prosto rzecz zrobić, to zrobiono.

Dokładniej rzecz biorąc, to Anton i Victor podjęli taką decyzję pomimo protestów Andrew. Oskarżył ich potem, że uczynili to wyłącznie z racji upodobania do gnębienia bliźnich.

Coś mogło w tym nawet być. Kontakt z nanobotami należał do wybitnie niemiłych doświadczeń.

– Spójrzcie na to – powiedziała Ruth i wprowadziła kilka poleceń, dzięki którym wirtualny ekran jej tabletu urósł dziesięciokrotnie i odsunął się na tyle, żeby Andrew i Steph też mogli go widzieć. – Tutaj i tutaj. – Przesunęła kursor, podświetlając trzy liczby, opisane jako „Presja opiniotwórcza”, „Dynamika zmiany” i „Perspektywa odwrócenia trendu”.

Andrew zmarszczył swoje odmienione czoło. Steph zrobiła to samo, jakkolwiek czoło miała teraz nieco wyższe. U niej zmiany wiązały się głównie z twarzą. Ryzyko, że Mesa dysponuje podobiznami właścicieli małej restauracji w podejrzonej dzielnicy, było raczej niewielkie, ale z pewnością mieli zapis jej DNA. Powód był prosty: władze rejestrowały DNA każdej osoby urodzonej na planecie. Nawet jeśli Anton i Victor nie mylili się, uważając, że McBryde zniszczył zapisy służb, mogło nie objąć to zwykłych, cywilnych baz danych.

Otrzymała więc maskowanie genetyczne, podobnie zresztą jak Andrew. W jej przypadku było bardziej finezyjne niż u pozostałych. Nie było potrzeby ukrywać jej pochodzenia, wręcz odwrotnie, uczyniono z tego część przebrania, zmieniając jedynie niektóre partie kodu, tak by nie wskazywały już na jej dawną osobę.

– Nie mam mglistego pojęcia, co to może znaczyć – powiedziała Steph.

– Ja też – dodał Andrew. – I powiem jeszcze, że może jestem głupi, ale nie rozumiem nawet tych terminów. To znaczy znam pojedyncze słowa, ale nie w tym zestawieniu. Na przykład co to ma być ta „presja opiniotwórcza”?

– Też jestem głupia – pisnęła Berry, siedząca na skraju kanapy i pochylająca się, by lepiej widzieć ekran. – Może jakieś objaśnienie?

Ruth spojrzała na nich kolejno z lekkim zdumieniem, konsternacją i niepewnością. Berry skłonna była odczytać to, jak następuje:

1. Jak ktoś może być aż takim ignorantem w kwestiach socjometrii?
2. Naprawdę muszę to objaśniać?
3. Moje objaśnienia mogą być dla kompletnych laików trudniejsze do zrozumienia niż te terminy.

Sytuację uratował Anton.

– W niejakiem uproszczeniu termin „presja opiniotwórcza” odnosi się do stopnia ugruntowania opinii, a mowa jest o „presji”, ponieważ...

– Spece od socjometrii uwielbiają wszystko komplikować i użycie prostego języka przyprawiłoby ich o nagły atak duszności – wtrącił Victor.

– To też. Ale jak mówiłem, nim ten mędrak mi przerwał, mowa jest o „presji”, ponieważ stopień trwałości czy ugruntowania opinii zależy od tego, jak często jest ona potwierdzana przez czynniki zewnętrzne. Na przykład ktoś wierzy, że planeta jest okrągła, ponieważ napotyka wiele sygnałów, które wzmacniają to przekonanie. Gdyby było wsparte co najwyżej paroma przekazami, zostałyby uznane za przekonanie słabe, czyli o słabej presji.

– Czyli jak oni to mówią, depresjonowane – dodał Victor. – To aż sześć sylab. Właśnie dlatego zostaliśmy z Antonem szpiegami, a nie

socjometrystami.

Anton pokręcił ze smutkiem głową.

– Zawsze musi wszystkiemu dorobić gębę. Chociaż po prawdzie ma też sporo racji. W tej dziedzinie nie brakuje jajogłowych.

– A co znaczy ta liczba? – spytał Andrew. – Presja opiniotwórcza: 0,67.

Ruth uznała, że na to pytanie może odpowiedzieć:

– To określenie presji w skali od 0 do 1. Zero oznacza pełne depresjonowanie, co wydaje mi się nawet ciekawym terminem, że dodam na marginesie. W praktyce byłaby to opinia nieistniejąca. Jedyńka oznacza zaś coś tak często potwierdzanego ze wszystkich stron, że zostaje powszechnie uznane za fakt.

– Na przykład? – spytała Steph.

Ruth ponownie spojrzała na nich tak, jakby byli nieistniejącymi zwierzętami.

– Na przykład, że księżyc jest zrobiony z zielonego sera – odezwał się Anton. – Współczynnik PO wyniesie 0,01. Może 0,02 albo 0,03. Nic nie otrzymuje nigdy wartości skrajnych, zerowej albo jedynkowej. Na drugim końcu może znaleźć się twierdzenie, że „księżyc orbituje wokół planety”. To zdanie otrzyma wartość 0,9 albo jakoś tak. – Spojrzał na ekran. – Ten wynik informuje nas, że dwie trzecie populacji Gwiezdnego Imperium ma informacje przekazane w programie Underwooda za prawdziwe. O zasięgu badania informuje nas liczba podana w lewym górnym rogu ekranu, Ruth dotąd o niej nie wspominała. Widzimy tam 0,99, co oznacza, że analiza odnosi się do niemal stu procent populacji...

– Każdy inny uznałby, że jest po prostu prawdziwa – dodał Victor. – Ale ci muszą obijać sobie dupę blachą.

– Ale to nie ma sensu! – zaprotestował Andrew. – Nie, że dwie trzecie, to może się zgadzać, ale nonsensem jest mówić o dziewięćdziesięciu dziewięciu procentach pewności przy całej populacji. – Uniósł w dramatycznym geście obie ręce. – Mówiłaś, że liczba widzów nie przekroczyła pół miliarda, prawda? To znacznie mniej niż wynosi liczba mieszkańców samego układu Manticore. Który ma ile? Trzy miliardy?

– Około – odparł Anton. – Trochę ponad, o ile dobrze pamiętam.

– Czyli to nie jest nawet dwadzieścia procent.

Ruth była chyba bliska eksplozji. Jak ktokolwiek może być aż takim ignorantem...?

Jednak tym razem to Berry ją poratowała.

– Te pół miliarda to była tak zwana próba. I tak gigantyczna. Większość badań opinii publicznej wykonuje się na góra dwóch procentach populacji.

– Nawet mniej – odezwał się Victor. – Ta liczba nie oznacza, że dziewięćdziesiąt dziewięć procent mieszkańców Gwiezdnego Imperium wzięło udział w badaniu. Mówi tylko o prawdopodobieństwie, że próba jest reprezentatywna dla całej populacji. W praktyce rzeczywiście oznacza to, że nie ma żadnego marginesu błędu. – Podrapał się po brodzie. – I nawet mnie to nie zdumiewa. Bardziej zaskakujący jest sam wskaźnik. Oczekiwałem raczej zero przecinek trzy. Może zero, przecinek cztery, jeśli mielibyśmy szczęście.

– Wynik DZ jest jeszcze ciekawszy – powiedziała Cathy Montaigne, siedząca na poręczy fotela Antona.

– Mówisz o dynamice zmiany, tak? – spytała Steph. – Rozumiem, o co chodzi, ale nie wiem, dlaczego czujesz się zaskoczona?

– Odnosi się to do tego, jak szybko zmienia się opinia w danej sprawie – wyjaśniła Cathy. – A to zawsze jest związane z presją. Zasadnicza reguła

jest taka, że im większa presja, tym mniejsza dynamika. I odwrotnie oczywiście. Wyjątki są bardzo rzadkie.

– Dobrze, rozumiem – mruknął Andrew. – Żeby podać przykład, to mój pogląd, że Victor i Anton napuścili na mnie brutalną hordę mikroskopijnych golemów tylko po to, żebym cierpiał ku ich radości, ma tak wysoki współczynnik presji, że prędzej protony zaczną się rozpadać, niż zdoła się on zmienić. Jaki współczynnik by to opisywał?

– Dążyłby do zera – odparła ze śmiechem Cathy. – Socjometrycznie byłoby to „mniej niż jedna setna procent”. Praktyka badawcza nie przewiduje niższych wyników. – Wskazała na Victora. – Jak kolega niedawno powiedział, ta banda wie, jak obijać sobie dupy blachą.

– I dlatego powiedzą „mniej niż”, zamiast podać właściwą liczbę? – spytała Berry.

– Bo to naukowcy z krwi i kości – wyjaśnił Victor i wskazał na ekran. – Tutaj mamy DZ na poziomie trzydziestu sześciu procent. Oznacza to, że presja opinii rośnie w tempie o trzydzieści sześć procent większym niż prognozowane dla tej presji.

– Że jak? – spytał Andrew.

– Chodzi o zmierzenie, jaka jest faktyczna dynamika zmiany wobec zmiany oczekiwanej w zwykłych warunkach – odezwała się znowu Ruth. – Jeśli nowa opinia jest szczególnie faworyzowana, wskaźnik ma wartość dodatnią z symbolem „więcej niż”. W sytuacji odwrotnej wskaźnik ma wartość ujemną.

– Że co? – spytał Andrew.

– Zasadniczo znaczy to tyle, że program Underwooda o... – Victor na chwilę się zawiesił.

– O tobie, kochanie – podpowiedziała mu z uśmiechem Thandi.

– ...o mnie dał taki skutek, że opinia publiczna Gwiezdnego Królestwa przychyliła się ku pożądanemu przekazowi dotyczącemu międzygwiazdnej polityki w o wiele większym tempie, niż wynikałoby to z pierwszego wskaźnika, który wynosił sześćdziesiąt siedem setnych. Zwykle w takich przypadkach dynamika jest mała albo nie ma jej wcale.

Na chwilę zapadła cisza.

– To znaczy, że powinniśmy się cieszyć? Rany?

– I to jak! – odezwała się Ruth. – Jedyne wytłumaczenie tego zjawiska, jakie przychodzi mi do głowy, to wzmocnienie emocjonalne przekazu związane z historią młodego oficera Haven, który ryzykował życie dla uratowania córki oficera Royal Manticoran Navy. To musiało przełamać całą masę uprzedzeń. A potem jeszcze ich wieloletnia przyjaźń.

– Chyba masz rację – powiedziała Cathy. – Osobista historia obu agentów przydała prawdopodobieństwa temu, co przywieźli z Mesy. Gdyby podać to wprost, że „dwaj nasi agenci, jeden z Haven, drugi z Manticore, zdecydowali się na współpracę i wiecie, co z tego wynikło?”, reakcja na pewno nie byłaby taka sama.

– A co oznacza ten ostatni wskaźnik? – spytała Berry. – Ta „perspektywa odwrócenia trendu”?

– To socjometryczny bełkot mający odnosić się do możliwej zmiany dynamiki – odparł Victor. – Dodany dla draki, bo przecież dwa pierwsze wskaźniki już wszystko mówią.

– Proszę nie brać komentarza kolegi Victora pod uwagę – odparł Anton. – W rzeczywistości POT pozostaje w ścisłej korelacji z poprzednimi wskaźnikami.

– Ścisła korelacja – parsknął Victor. – Podobnie jak szansa na przegranie partii wynosząca dziewięćdziesiąt dziewięć procent jest ściśle skorelowana

z szansą na wygraną wynoszącą jeden procent.

– Już pora – odezwała się nagle Cathy, sprawdzwszy godzinę. – Ruth, chyba zaraz będzie transmisja?

– Jasne. – Księżniczka Manticore wystukała coś na ekranie tabletu i zamiast wykresów ujrzeli okolicę pałacu Mount Royal i podchodzący do lądowania wahadłowiec.

Gdy przyziemił po paru minutach, oddział gwardii ustawił się szpalerem niedaleko wjazdu. Gdy pierwsi pasażerowie zaczęli wysiadać, odezwała się reporterka, która chyba bardzo niecierpliwie czekała na tę chwilę:

– Tak jak oczekiwaliśmy, oto prezydent Eloise Pritchard, przybywająca na spotkanie z Królową i premierem. Za nią widzimy sekretarza wojny Thomasa Theismana. A teraz, o ile nasze nieoficjalne źródła się nie myliły, powinien pojawić się...

Na rampie stanął niski i barczysty mężczyzna.

– Tak, to on. Sławny od niedawna kapitan Zilwicki, kiedyś oficer wywiadu Royal Manticoran Navy, obecnie działający samodzielnie. Albo w tandemie z niezwykłym partnerem...

Kolejny mężczyzna był ubrany na czarno, w stylu mocno kojarzącym się z mundurami niegdysiejszej Służby Bezpieczeństwa Haven.

– A oto i Victor Cachat, który stał się równie sławny jak Zilwicki. Niektóre goniące za sensacją serwisy nazwały go już nawet „Czarnym Victorem” – dodała ze śmiechem reporterka.

– Tak! – wykrzyknął Anton, unosząc zaciśniętą pięść. – I ty zostaniesz celebrytą!

Victor wyglądał, jakby poczucie humoru całkiem go opuściło.

– Kiedy odlatujemy? – spytał. – Może chociaż na Mesie zdołam zachować trochę prywatności.

Ruth wyduła wargi.

– To najciekawsza kwestia, jaką dotąd słyszałam. Ale czego można oczekiwać od... – uśmiechnęła się i zniżyła głos do dramatycznego szeptu:
– ...od Czarnego Victora?

ROZDZIAŁ XXIV



Zawsze marzyłam o czymś takim – powiedziała sardonicznie Yana Trietiakowna, patrząc na unoszący się przed nią hologram. – Mój własny statek kosmiczny. – Przechyliła głowę i zmarszczyła brwi. – Ale myślałam, że będzie większy. To wersja kompaktowa?

Proces jej zmiany w dalekowschodnią piękność nie został jeszcze zakończony, ale obecne stadium zmusiło ją do modyfikacji pewnych przyzwyczajzeń związanych z nowymi proporcjami ciała. Narzekała zwłaszcza na trudności podczas codziennych ćwiczeń na bieżni. Przy takim wzroście masy w górnych rejonach tułowia nie było to nic dziwnego. Zapewne z tego właśnie powodu z entuzjazmem odpuściła sobie rutynowe zajęcia.

Oczywiście wkurzał ją dodatkowo fakt, że Anton nie musiał się do niczego przyzwyczajać, a co gorsza, żadne z zaleceń jego terapii nie przewidywało powściągliwości w uwagach rzucanych pod adresem jej entuzjazmu. Z drugiej strony, lojalnie pocił się obok niej podczas ćwiczeń, o których ograniczeniu nawet nie myślał, chociaż jego pojęcie o „lekkim treningu” doprowadziłoby połowę kulturystów galaktyki do łez.

– Tak naprawdę to nie jest twój statek – zauważył obojętnym tonem. – Jestem pewien, że po wszystkim Zwiad Biologiczny będzie chciał dostać go z powrotem, i to raczej w niezłym stanie.

– Nie zamierzam go popsuć – odparła trochę rozdrażniona. – Poza tym i tak nie ja będę za niego odpowiadać. Jeśli pamięć mi dopisuje, to twoje

zadanie.

– Nonsens! Żaden technik z Hakimu nie może być ważniejszy od takiej patrycjuszki jak ty. Każdy twój grymas mym rozkazem, pani. Oczywiście w granicach rozsądku.

– No tak, oczywiście! – rzuciła sarkastycznie Yana, ale nadal z przyjemnością przyglądała się smukłym liniom stateczku. – A skoro mowa o tym, by zwrócić go w dobrym stanie, to skąd Korpus wytrzasnął takie cacko w tak krótkim czasie?

– Znikąd go nie wytrzaszywali. – Anton wzruszył ramionami. – Nie musieli. *Brixton's Comet* to ich własność. Już od trzydziestu lat, jak wspomniał wujek Jacques. Tyle że dotąd się nim nie chwalili.

Yana uśmiechnęła się, słysząc, jak Anton użył przezwiska, które zespół szpiegów nadał Jacqueso'wi Bentonowi-Ramirezowi y Chou. Nikt nie wiedział dokładnie, od czego to się zaczęło, ale zapewne spore znaczenie miały te narady na Manticore, w których uczestniczyła również jego niezwykła kuzynka. Ostatecznie to Victor Cachat użył go pierwszy całkiem odruchowo, i to w rozmowie z bezpośrednio zainteresowanym. Szczęśliwie o połowę niższy od Victora obywatel Beowulfa z marszu przeszedł nad sprawą do porządku dziennego i nie mrugnawszy nawet okiem, kontynuował rozmowę. Przezwisko było w sumie podszyte sympatią, nawet jeśli nie wszystkie pomysły Jacques'a były zespołowi w smak, Yana zaś, znając trochę Korpus i widząc taką właśnie reakcję, skłonna była przypuszczać, że ktoś na Beowulfie już dawno wpadł na podobny pomysł. Ba, biorąc pod uwagę, jak mało sformalizowane były kontakty w Korpusie, tanto przezwisko mogło być nawet bardziej poufale. Siły specjalne miały to do siebie, że jeśli kogoś w nich szanowano, dawano temu wyraz. Tak czy siak, Benton-Ramirez y Chou nie miał najwyraźniej nic przeciwko byciu „wujkiem” i pewnie nawet się nad tym nie zastanawiał.

– A skąd możemy być pewni, że nikt poza Korpusem nie wie o tym statku, skoro mają go już tyle lat? – spytała.

– Praktycznie nie ma takiej szansy. – Anton znowu wzruszył ramionami. – Zrobili to, jak mogli najlepiej. Kupili ten statek czy dokładnie zlecili jego budowę tutaj, w stoczni Hidalgo, ale przez łańcuch sześciu różnych firm i od tamtego czasu był jednostką na wynajem. Jak mówił wujek Jacques, korzystali z niego dwa razy w różnych tajnych misjach, ale poza tym koszty jego budowy zwróciły się po wielokroć, zawsze dzięki legalnym kontraktom. Dzięki temu ma absolutnie prawdziwą i niepodważalną historię eksploatacji. Gdyby nawet ktoś głęboko szperał, nie znajdzie niczego podejrzanego. Zdradzić cokolwiek mógłby tylko ktoś z samego Korpusu, o ile wie coś o tym statku, oczywiście. A jeśli oni mają kogoś na tyle głęboko w strukturach, to przepadliśmy. Już teraz i tutaj. Sądzę więc, że statek jest podobnie czysty jak my.

Yana zastanawiała się nad tym przez chwilę, po czym pokiwała głową. Wprawdzie na użytek publiczny udawała czasem typowego Scraga, w rzeczywistości jednak była zdecydowanie inteligentna. Chociaż jej dotychczasowe szkolenie i doświadczenie wiązały się przede wszystkim z walką, dość długo współpracowała już z duetem Cachat–Zilwicki, by uznać te wyjaśnienia za wystarczające.

Anton ustawił powiększenie tak, żeby dało się rozróżnić szczegóły kadłuba.

– Ładny stateczek – stwierdził tonem konesera. – Tylko czterdzieści pięć tysięcy ton, ale pod wieloma względami podobny do osobistego jachtu księżnej Harrington. Wprawdzie *Tankersley* jest bardziej luksusowo wykończony, niżby sobie tego życzyła, i nie został przewidziany aż dla tylu osób, ale napęd i wyposażenie mają niemal identyczne.

– To chyba dobrze, zważywszy na to, jak mało wiem o bebeczach statków kosmicznych – stwierdziła Yana. Była wprawnym pilotem i siadała zarówno za sterami klasycznych samolotów, jak i wielkich frachtowych wahadłowców czy opancerzonych desantowców, ale jej doświadczenie obejmowało tylko jednostki podświetlne.

– Spokojnie – zapewnił ją Anton. – Trochę się na tym znam, poza tym ten system jest wysoce zautomatyzowany i z tyłoma układami rezerwowymi, że ryzyko poważnej awarii zostało sprowadzone praktycznie do zera. *Comet* jest nie tylko o całą generację młodszy od *Hali Sowle*, ale też był przez cały czas właściwie serwisowany.

– Ulżyło mi. Dość mam dryfowania w próżni, a karty obrzydły mi na całe życie. Więcej, dziękuję, ale nie.

– I ja podobnie – odparł z uśmiechem Anton. – A skoro mowa o zaletach statku, wpakowano w niego tyle automatyki, żeby mogły go obsługiwać ledwie dwie osoby. Nie będę więc potrzebował wielu pomocników, a nawet znajdę pewnie czas, żeby zająć się astrogacją.

– Dowieź nas tylko w jednym kawałku, a złego słowa nie powiem.

Systemy sterowania w normalnej przestrzeni nie różniły się w przypadku *Cometa* wiele od tego, co widywało się na nowocześniejszych wahadłowcach. W sumie były nawet prostsze, gdyż jacht nie był przeznaczony do lotów atmosferycznych. Oczywiście trzeba było jeszcze pomyśleć o wormholu Visigoth, co przypomniało Yanie...

– Pamiętasz, że musimy przejść przez tego cholernego wormhola? – spytała.

– Z pomocą kontroli przejścia, komputerów pokładowych i mojego doświadczenia z marynarki jakoś tam się pewnie przeczolągamy.

– No jasne – mruknęła, wciąż wpatrzona w hologram.

– Już ty się o to nie martw – powiedział z przekonaniem. – Sam przelot to nasz problem. Na dodatek będzie nam znacznie wygodniej niż innym.

– Przynajmniej jeśli chodzi o Andrew i Steph – zaśmiała się Yana.

– Po prawdzie sędzę, że Victor będzie miał najgorzej. Kabiny załogi na liniowcach typu *Pygmaliona* nie są luksusowe, ale to również nie kazamaty. Na pewno lepsze niż to, co mają na stacji Parmley, i znacznie wygodniejsze od przybytków, które Steph poznała w Mendel. Ale Victor będzie biedny! Wyobraź sobie, jak parszywie musi poczuć się rewolucjonista w kabynie pierwszej klasy jednego z najbardziej luksusowych liniowców pozostających w użyciu! Całą siłą woli będzie musiał powstrzymać się od wzniesienia rewolucji! – Anton pokręcił głową i smutek odbił się w jego oczach. – Będzie bardzo rozgoryczony!

– Akurat! – zaśmiała się Yana. – Dobrze wiesz, czym będzie zajmować się ze swoją Kają przez całą podróż.

– Nie mam pojęcia, o czym mówisz – odparł poważnie Anton, wywołując kolejny wybuch śmiechu.

Musiał jednak przyznać jej rację. Zresztą nawet gdyby było inaczej, Victor zawsze potrafił się dostosować. A fakt, że Mesa była planetą regularnie odwiedzaną przez *Pygmaliona* (którego kapitan był winien wujkowi Jacques’owi kilka porządnych przysług), okazał się bardzo przydatny. Liniowiec należał do luksusowych Tobias Lines, który to armator nie był w żaden sposób powiązany z Beowulfem, będący obywatelami Ligi Solarnej właściciele zaś należeli do najzagorzalszych krytyków „manticorańskiego imperializmu”, i to od co najmniej czterdziestu lat. Mieli za złe Gwiezdnemu Imperium, że od lat rugowało firmy Ligi Solarnej z „ich” rynków, przodując nie tylko w przewozach frachtu, ale i biorąc się do przewozów pasażerskich. Owszem, flota kilkudziesięciu szybkich liniowców przynosiła całkiem porządne zyski, ale

nie znaczyły one wiele wobec malejących profitów uzyskiwanych z operowania blisko setką frachtowców.

Jednak w tej chwili najważniejsze było to, że *Pygmalion* nie był w żaden sposób podejrzany z punktu widzenia Równania oraz że pokonywał tę samą trasę, włączywszy w to Beowulfa i Mese, już od siedmiu lat. Cieszył się zasłużoną świetną reputacją, jego właściciele zaś nie musieli wiedzieć, że szwagierka kapitana Vandora zawdzięczała życie (swoje i trójki nienarodzonych jeszcze wówczas dzieci) zespołowi Korpusu dowodzonemu przez majora Bentona-Ramireza y Chou. Właśnie kapitan i jego rodzina bardzo dbali, żeby ta wiadomość nie rozeszła się zbyt szeroko. Mieli po temu kilka powodów, z których jednym było przekonanie Vandora, że należy spłacać swoje długi. Oznaczało to na przykład gotowość do utrzymania w tajemnicy tożsamości kryminalistów, którzy wdarli się do biura szanowanego solarnego armatora, tego samego biura, gdzie pracował (wtedy i nadal) Sebastián Vandor, „porywając” przy tym jedną z sekretarek, która zdołała jednak potem uciec i obecnie była matką wnuków Sebastiána.

Firma Tobias Lines byłaby bardzo niezadowolona, gdyby ktoś próbował upowszechnić informację, iż brat (zmarły, niestety) obecnego dyrektora generalnego wykorzystywał swoją pozycję do przewożenia na statkach kompanii niewolników genetycznych, i to w obrębie Ligi. Oczywiście działo się to w dawnych dobrych czasach, gdy Tobias miał o wiele większą flotę frachtowców. Czasy się zmieniły, ale ludzie wciąż pamiętali, prawo Ligi zaś nie przewidywało przedawnienia, gdy chodziło o niewolnictwo. Niemniej właśnie dzięki tej dawnej sprawie *Pygmalion* mógł zawijać na Mese, ciesząc się zaufaniem miejscowych władz i różnych agencji.

Tym samym był też praktycznie poza podejrzeniami i nie oczekiwano obecności na jego pokładzie szpiegów pragnących przeniknąć do wnętrza ciemności.

Brixton's Comet nie był równie szybki jak *Pygmalion*. Liniowiec wyposażono w wojskowe ekrany przeciwcząsteczkowe i generatory nadprzestrzenne typu admiralicji, podobnie zresztą jak większość superszybkich jednostek pasażerskich i frachtowców specjalnego przeznaczenia. *Comet* zaś był raczej zabawką dla bardzo bogatych ludzi i miał tylko cywilne podzespoły. W nadprzestrzeni był w stanie dorównać *Pygmalionowi*, jednak jego prędkość podróży sięgała tylko 70 procent osiągnięć liniowca, który był w stanie przebyć trasę z Beowulfa na Mesę przez układ Visigoth w trochę ponad dwanaście dni. *Comet* potrzebował na to dziewiętnastu. Z drugiej strony, jacht nie musiał zwracać uwagi na rozkład lotów, dzięki czemu Anton i Yana mogli odlecieć cały tydzień przed przybyciem pasażera na Beowulfa. To oznaczało, że dotrą na Mesę cztery dni przed resztą zespołu, co da im dodatkowy czas na znalezienie sobie miejsca. Odstęp czasowy między przybyciem ich oraz pozostałych również był okolicznością korzystną.

Victor i Thandi mieli przylecieć jako oficjalni goście, posługujący się autentycznymi (choć nie całkiem legalnie zdobytymi) wizami. Oczekiwano, że podczas przejścia przez odprawę urzędnicy straży granicznej wykryją, iż zgłoszony powód wizyty Victora na planecie nie jest prawdziwy. Mesa czy nie Mesa, i tutaj funkcjonariusze powinni ucieszyć się, że coś znaleźli, i poklepując się nawzajem po plecach, uznać, że ten jeden mały mroczny sekret to już wszystko. Nie przeczuwając, że celowo im go podsunęto, by nie szukali głębiej.

Przybycie Andrew Artletta i Steph Turner zostało zaplanowane jako znacznie mniej oficjalne. Statki w rodzaju *Pygmaliona* często werbowwały tymczasowych członków załogi, ci zaś nierzadko rezygnowali z roboty w którymś z kolejnych portów. Dla wielkich armatorów był to czysty zysk – płacili im ułamek zwykłej pensji, mając pełną świadomość, że

tymczasowym pracownikom zależy po prostu na jak najtańszym transporcie na upragnioną planetę. Zwykle nazywano ich Cyganami, przynajmniej gdy mowa o w miarę uprzejmych określeniach, i nikt nie przejmował się specjalnie ich rotacją. Mesa też przymykała zwykle oko, gdy któryś z nich postanawiał zostać w takim miejscu jak Mendel, ale Victor obmyślił plan dokładnie w swoim stylu, tak żeby Andrew i Steph mogli praktycznie zniknąć, gdy już trafią na planetę.

Anton Zilwicki zasadniczo nie lubił zbyt złożonych planów. Pamiętał, że zbyt duża wiara we własną bystrość jest jawną prowokacją wobec praw Murphy'ego i tym samym zwykła się mścić. Już dawno temu przyjął własną wersję zasady KISS, czyli „prostota przede wszystkim, głupku”. Jednak w tym przypadku i po rozważeniu wszystkich aspektów uznał, że lepiej będzie pójść tropem tego, co powiedziała o nich księżna Harrington. Skoro byli szaleni, należało pofolgować szaleństwu.

Poza tym to naprawdę miły stateczek, pomyślał, patrząc na hologram. Zamierzał się nim nacieszyć. Tym razem nie groziły mu długie tygodnie rżnięcia w karty i słuchania pogwizdywania Antona. W obliczu tego komfortu mała rozpierducha znaczyła naprawdę niewiele.

ROZDZIAŁ XXV



Cary Condor zdjęła czapkę i powiesiła ją na kołku obok drzwi. Jak wszystko w tym mieszkaniu, wieszak też był antyczny, zrobiony z prawdziwego drewna pozyskanego z nakeli porastających większość równin Mesy. Ich drewno nie miało ciekawej faktury, niczym specjalnym nie pachniało i w ogóle było nieszczególne, za to dawało się łatwo obrabiać, było tanie i ogólnie dostępne.

W dzielnicach wyzwoleńców stosowano je powszechnie do wyrobu mebli i drobnych przedmiotów domowego użytku, takich jak wieszaki na odzież, zwykle produkowane z pianki pamiętającej. Taka pianka, wyczuwając czapkę, sama wysunęłaby boleć dostosowany kształtem do tego konkretnego nakrycia głowy, po czym wchłonęła go po zdjęciu czapki. Drewniany wieszak oznaczał ryzyko...

Był twardy, niezmienny w kształcie i nieustępliwy. Gdyby ktoś się potknął i wpadł na niego, mógłby stracić oko.

Chwilowo jednak nie było to największe z zagrażających im niebezpieczeństw, zatem Cary nie poświęciła wieszakowi specjalnej uwagi. Zerknęła tylko na niego krzywo i obróciła się do swoich towarzyszek.

A właściwie tylko do jednej z nich, jak się okazało. Karen ciągle spała.

– Jak z nią?

Stephanie siedziała przy małym kuchennym stole.

– Nie lepiej, ale i nie gorzej. Przynajmniej na oko. Być może jej stan się ustabilizował, choćby na trochę.

Cary westchnęła, odsunęła sobie krzesło i dołączyła do Stephanie.

– Najgorsza jest w tym wszystkim świadomość, że gdybyśmy mogły zapewnić jej porządną opiekę lekarską...

– Wtedy dałoby się ją wyleczyć. Całkowicie. Nowe nogi, nowe organy wewnętrzne i tak dalej. Przy obecnym stanie medycyny nie byłoby to ani specjalnie trudne, ani nawet tak bardzo drogie. – Wzruszyła ramionami. – Ale cóż. Równie dobrze mogłybyśmy marzyć o własnym statku kosmicznym i zgodzie na odlot bez żadnych pytań.

Cary zaśmiała się.

– I jeszcze o pilocie, nie zapominaj o tym! Żadna z nas nie potrafiłaby poprowadzić statku kosmicznego.

– Ty to nawet lotni – odrzekła Stephanie. – Chociaż ja sama też ledwie daję sobie z nią radę.

Cary skrzywiła się. Raz leciała ze Stephanie i przysięgała potem, że nigdy więcej się na to nie odważy. Cary i Stephanie nie były żadnymi wyjątkami: większość wyzwolenców nie umiała obsługiwać żadnych maszyn poza tymi, do których obsługi przyuczono ich w pracy. Jeśli któryś z nich umiał pilotować, musiało to oznaczać, że był prywatnym szoferem, taksówkarzem albo kierowcą ciężarówki. Stephanie umiała tyle, ile udało się jej nauczyć podczas kilku miesięcy, gdy pracowała jako pomocnik parkingowego.

Cary nienawidziła władców Mesy, czyli Manpower, Jessyk Combine i reszty tutejszych wielkich firm. Uważała, że spowodowana przez Davida Pritcharda detonacja ładunku nuklearnego w Green Pines była czystym

szaleństwem, o fatalnych skutkach dla samego Davida nie wspominając, ale rozumiała emocje, które go do tego pchnęły.

Ponad połowa mieszkańców Mesy żyła w stanie niewolnictwa i nie mogła nawet liczyć na wyzwolenie. Potomkowie niewolników, którzy zyskali wolność w zeszłym stuleciu, gdy wyzwalamie było jeszcze legalne, wegetowali w warunkach, które były tylko minimalnie lepsze. Cary też się do nich zaliczała. Od strony czysto materialnej mieli często nawet gorzej. Tyle że w odróżnieniu od niewolników mogli cieszyć się niejaką wolnością osobistą. Bardzo ograniczoną, ale Cary przynajmniej nie musiała pytać o zgodę właścicieli na każdy swój krok, niemal każdy oddech.

– Nie ma co zadręczać się sytuacją Karen. – Głos Stephanie przerwał jej gniewne rozmyślenia. – Prawda jest taka, że będziemy miały szczęście, jeśli którakolwiek z nas przeżyje. Od kiedy David, żeby go piekło, zmajstrował tę bombę, coś takiego musiało się po prostu zdarzyć.

Cary wzdrygnęła się mimowolnie. Tygodnie zaraz po eksplozji były...

Przerażające. Wszystkie służby bezpieczeństwa Mesy ganiały jak wściekłe psy. Co rusz najeżdżały dzielnice wyzwoleńców. Oficjalnie po to, żeby wyeliminować „terrorystów”, ale to był tylko pretekst, o którego prawdopodobieństwo i tak nikt nie dbał. Szukali po prostu zemsty.

Ironią losu było to, że zapewne właśnie dzięki temu Cary, Karen i Stephanie uniknęły pojmania. Tamci tak rozproszyli siły w ramach przypadkowych napaści, że nie starczyło ich do zwalczania prawdziwych wrogów.

I tak, będąc zawsze o pół kroku przed prześladowcami, zdołały uciec, chociaż Karen została przy tym ciężko ranna. Niemniej większość ich byłych towarzyszy schwytano.

Ledwie kilka godzin po Green Pines dopadli przywódcę grupy, Carla Hansena. Chociaż dostali tylko jego ciało. Widząc, że nie ma szans na ucieczkę, popełnił samobójstwo. Gdyby tego nie zrobił, tamci złapaliby wszystkich. Śmierć Carla dała im trochę czasu.

Cary nie wiedziała, komu jeszcze udało się uciec. Niestety, nie mogli korzystać z przewidzianych na takie okazje skrzynek kontaktowych. Angus Levigne, który ustalał ich lokalizację, bardzo niechętnie o nich informował i w rezultacie tylko one trzy wiedziały obecnie, gdzie ich szukać.

– Obudź się! – powiedziała Stephanie, trącając Cary palcem w ramię. – Dokądkolwiek odpłynęłaś, nic nam z tego nie przyjdzie. Skupmy się na dniu dzisiejszym. Znalazłaś coś?

Cary zdała sobie sprawę, że na chwilę znalazła się bardzo daleko. Zdarzało się jej to niezwykle często, podobnie jak powracające niemal co noc koszmary. Wiedziała, że cierpi na zespół stresu pourazowego, który podobnie jak obrażenia Karen, byłby przy właściwym leczeniu łatwy do usunięcia.

Jasne. Musiały tylko ukraść lotnię, dzięki skromnym umiejętnościom Stephanie dotrzeć nią do portu kosmicznego i nie rozbić się po drodze, tam ukraść wahadłowiec, którego nie potrafiły pilotować, mimo wszystko dolecieć nim na orbitę i opanować statek kosmiczny, którego też nie potrafiły prowadzić, żeby uciec nim na jakąś inną planetę, chociaż nie miały żadnego pojęcia o astrogacji, na miejscu uzyskać pomoc medyczną od obcych ludzi i zapłacić im pieniędzmi, których nie miały.

Po drodze omijając jeszcze wszystkie systemy obronne Mesy.

Cary mogła tylko się roześmiać. Całkiem szczerze, chociaż zapewne trochę histerycznie.

– W skrzynce nic nie było, jak zwykle. Ale spotkałam osobę, o której wspominałaś.

Stephanie zacisnęła wargi.

– Więc chociaż to... – Zaczerpnęła głęboko powietrza. – Nie na darmo.

Stephanie pierwsza nawiązała kontakt z miejscowym środowiskiem przestępczym. Ponieważ nie miały żadnych wolnych pieniędzy, musiały inaczej płacić za potrzebne im informacje.

Nie było to przyjemne, chociaż nie gorsze też niż wiele innych rzeczy, przez które przeszły. Obie spędziły kiedyś sporo czasu w areszcie służb bezpieczeństwa, gdzie były przesłuchiwane. Na Mesie oznaczało to także gwałty, stosowane wobec młodych kobiet wręcz rutynowo, podobnie jak wobec młodych mężczyzn. Inne grupy wiekowe też były narażone; słyszano o gwałtach na starszych osobach.

Cary zdarzyło się to dwa razy. Najgorsza była w tym całkiem bezosobowa postać brutalności. Gwałciciele zachowywali się tak, jakby odpracowywali obowiązek, traktując ją jak połec mięsa. Miała wrażenie, że w ogóle nie widzieli w niej człowieka i równie dobrze mogliby pracować w rzeźni.

Potrząsnęła głową, odpędzając złe wspomnienia. Poszło łatwo, bo wówczas udało się jej uzyskać pomoc, żeby jakoś dojść do siebie.

– Tak czy siak, to, co usłyszałaś, wydaje się prawdą. Poszłam do tego baru, o którym ci mówił.

– Rodezyjskie Rendez-vous.

– Tak. Niezła speluna, można się wystraszyć. Nawet bardzo. W środku same karczycha. Byłam jedyną kobietą. – Zaśmiała się bez humoru. – Choć raz nie żałowałam, że nie wyglądam jak ty. – Cary nie była nieatrakcyjna, ale nie mogła równać się urodą z Moriarty.

– Zaufaj mi – powiedziała Steph i skrzywiła się kwaśno. – Taka twarz to zarówno błogosławieństwo, jak i przekleństwo. Ale co było później?

– Ten gość tam był. Ten... jak on się nazywał? Ten, który kazał tam o to pytać.

– Jake. Albo jakoś tak. Nie pamiętam nazwiska. Może w ogóle go nie podał.

– Niemniej nie oszukał. Triêu Chuanli był na miejscu. W jednym z pokoiów na tyłach. Musiałam trochę ponawijać, żeby go zobaczyć, ale w końcu mnie wpuścili.

– Pewnie wyglądało to jak audyencja u królowej.

– W sumie nie. Ci dwaj, którzy mnie tam zaprowadzili, bardzo się puszyli, ale Chuanli nie. Był nawet uprzejmy. Poprosił mnie, bym usiadła, spytał, czy chcę coś do picia. Zupełnie jakby był dżentelmenem proponującym damie herbatę i kruche ciasteczka. Cokolwiek to jest.

– Takie herbatniki jadane przez Angoli na Starej Ziemi. Chociaż nie wiem, kim byli Angole. – Moriarty machnęła ręką. – Nawijaj dalej.

Cary postanowiła ominąć wstępną wymianę zdań, która trwała kilka minut. Triêu, który nalegał, by zwracała się do niego po imieniu, okazał się wręcz życzliwy. Gdyby Cary nie wiedziała, że jest szychą miejscowego podziemia, wzięłaby go za kogoś całkiem innego. Może nawet profesora uniwersytetu. I całkiem dobrze wyglądał.

– W skrócie wygląda to tak, że będzie zainteresowany transakcją, gdy pojawimy się z towarem. Był oczywiście ciekawy, dlaczego teraz go nie mamy i nie wiemy nawet, kiedy będzie dostępny. Ale nie naciskał.

– I to wszystko? Naprawdę? Musi być w tym jakiś haczyk.

– Był. Rozwijając sprawę, nie był przesadnie chętny. Rynek na towar jest, powiedział, ale nie ma ciągłego popytu. Popyt się zdarza, a do zwykłej

lodówki tego towaru zapakować nie można. Jego przetrzymywanie kosztuje i może nawet obniżyć zysk. I tu jest haczyk, taka sobie cena. Ale pójdzie na to. Albo zapłaci nam od razu...

– Ile?

Cary podała cenę we wszystkich trzech walutach, które Chuanli jej zaproponował. Moriarty się skrzywiła.

– Niewiele – powiedziała. – Starczy góra na trzy miesiące.

– Inna możliwość jest taka, że weźmiemy na siebie część ryzyka. Jeśli sprzeda szybko, zapłaci nam trochę więcej. Ale może być i tak, że otrzymamy mniej, niż wynosiła początkowa cena, jeśli towar poleży za długo. I może w ratach, jeśli jeden klient nie kupi od razu wszystkiego.

Stephanie znów się skrzywiła.

– Wtedy musiałybyśmy mu dodatkowo zaufać.

– Sądzę, że to nie jest problem. Trudno mi to wyjaśnić, ale... Mam wrażenie, że gdy robi się interes z kimś takim jak Chuanli, z góry się zakłada, że wszyscy działają w dobrej wierze. Złodziejski honor. Pewnie dlatego, że tutaj nie można odwołać się do sądu i nikt nie chce ryzykować, że oszukany wróci, pałając żądzą mordy.

Stephanie przewróciła oczami.

– Tak, jasne. – Rozłożyła ręce, wskazując na ciasne mieszkanie. – Mamy tu całą armię facetów od takiej roboty. Chociaż nie. Facetów już nie mamy. Czyli co, dziewczyny?

– Daj spokój. Nikt nie obiecywał nam życia usłanego różami.

– Tak, ale czy musimy cały czas stąpać po kaktusach? Już za dużo tego.

– Przygryzła dolną wargę. – To co myślisz? Pójdziemy na tę bardziej ryzykowną wersję?

– Tak.

Znowu przygryzła wargę.

– Dobra. Niech tam. I tak cały czas ryzykujemy.

ROZDZIAŁ XXVI



George Vickers jedno przynajmniej zrobił dobrze, decydując o wyborze przydzielonych Lajosowi pomagierów. Obaj okazali się bardziej rozgarnięci niż poprzednio przypisani do niego „asystenci”.

Tamtym zawdzięczał Bardasano. Nieobecna tajemniczo szefowa bezpieczeństwa Równania zwykle dobrze wiedziała, co czyni, ale tamtym razem wynalazła ludzi, którzy przy pierwszym spotkaniu z podejrzanymi polegli z kretesem. Trzeba jej oddać, że działała w pośpiechu i miała pod ręką tylko zwykłych funkcjonariuszy ochrony, należących do peryferyjnych struktur Równania i nawykłych do radzenia sobie ze zwykłymi wyzwoleńcami. Byli na dodatek agresywni z natury i nadmiernie pewni siebie, jak wszyscy, których brutalność nie była w żaden sposób krępowana zasadami prawnymi. Nikt nigdy nie rozliczał ich z tego, co robili ze swoimi ofiarami. W ten sposób, nawet jeśli kiedyś cechowała ich jakaś inteligencja, zamienili się w sadystycznych arogantów, poniekąd ofiary własnych praktyk.

Co gorsza, wyznaczone Lajosowi „cele” były w sumie podobne. Lajos nie spotkał w swojej karierze gorszych drani. Zwłaszcza jeden z nich był na tyle groźny, że załatwił wszystkich trzech pomagierów w kilka sekund. Może nawet szybciej. Lajos nie pamiętał tego za dobrze, bo był za bardzo przerażony.

Niedługo później przerażenie jeszcze wzrosło, gdy dwóch z rozpracowywanych zaciągnęło go do jakiegoś tunelu i zaczęło

zastanawiać się głośno, czy i jego zabić. Bez wątpienia gotowi byli to zrobić. Lajos budził się niekiedy, dręczony koszmarami, w których znowu widział lodowate spojrzenie jednego z nich. Czarne, bezlitosne oczy kojarzące się ze ślepiami pająka. Nie potrafił ich zapomnieć.

Tym razem wyższe czynniki bardziej się postarały. Dwaj nowi agenci byli pełnymi członkami Równania i zdawali się mieć doświadczenie w kontaktach z naprawdę groźnymi przeciwnikami. Raczej agenci do zadań specjalnych niż zwykli ochroniarze czy policjanci. Lajos nie miał wątpliwości, że poradzą sobie w prawdziwej potrzebie. Chociaż lepiej oczywiście, żeby nie musieli. Nie dostrzegał niczego atrakcyjnego w przemocy. W razie powodzenia planu wszystko miało ograniczyć się do transakcji z przestępczym podziemiem, działalności w sumie banalnej i równie zwyczajnej jak byle zakupy w sklepie spożywczym.

Lajos skończył przeglądać swoje notatki i odwrócił się od ekranu.

– Sądzę, że najlepiej zrobimy, próbując nawiązać kontakt z Jurgenem Dusekiem w Neue Rostock. Alternatywnie możemy rozejrzeć się po Dolnym Radomsku.

Neue Rostock znajdował się w centrum dzielnic zamieszkiwanych przez wyzwoleńców. Kryminaliści czuli się tam jak u siebie, Dusek zaś był powszechnie znanym, chociaż niekoronowanym władcą okolicy. Nie jedynym znaczącym gangsterem, ale kimś, kogo w czasach antycznych nazywano *capo di tutti capi*.

Dolne Radomsko było zupełnie inne. Też znajdowało się w głębi terenów wyzwoleńców i przestępczość była tam jeszcze wyższa niż w Neue Rostock, ale nie tak zorganizowana. Dominowały drobne gangi, które nie uznawały żadnego zwierzchnictwa.

– Wybrałbym Neue Rostock – doradził Stanković. – O wiele łatwiej będzie dogadać się z Dusekiem niż z tą dziką zgrają, która kłębi się

w Dolnym Radomsku.

Martinez tylko chrząknął, co miało chyba sugerować, że zgadza się z partnerem.

Lajos myślał podobnie, ale postanowił zagrać na razie adwokata diabła.

– No tak, to prawda, ale ta opcja ma też słabe strony. Jeśli coś pójdzie nie tak z Dusekiem, będzie znacznie trudniej. Nie miałem z nim dotąd do czynienia, ale sporo o nim wiem. Wszyscy zgodnie twierdzą, że jeśli raz urazisz jego gangsterską godność, zmienia się w kuzyna Huna Attyli. A nawiasem mówiąc, jest czarną owcą w rodzinie.

Stanković zareagował śmiechem.

– Tak, też to słyszałem. Ale... – Spojrzał na swojego szefa z ukosa. – Proszę mnie źle nie zrozumieć, ale nie zna pan chyba za bardzo Dolnego Radomska.

– W ogóle go nie znam – zgodził się Lajos. – Przynajmniej osobiście. Chociaż sporo dowiedziałem się z naszych materiałów.

– Tak myślałem. Rzecz w tym, że trzeba spędzić w tej dzielnicy trochę czasu, żeby naprawdę ją poznać. Freddie i ja nie mieliśmy po temu okazji, ale pracowaliśmy z jednym agentem Mesy z Tablelands, który siedział tam całe lata. Opowiadał takie historie, że... – Stanković pokręcił głową. – To jedno wielkie szambo.

Lajos wyprostował się i spojrzał na niego z zainteresowaniem.

– A coś bliżej?

– To... – zaczął agent, ale nie mógł chyba znaleźć właściwych słów.

– Pierdolony dom wariatów – odpowiedział Martinez.

Jego partner pokiwał głową.

– Tak. Po prostu totalny chaos, szefie. Myślisz, że coś załatwiłeś, coś tam uzgodniłeś, po czym gość daje ciała i musisz zaczynać od początku.

Tamtemu z TAB zdarzyło się to trzy razy. Nie żartuję. Było nawet tak, że musiał nagrywać układ aż z czterema gangami, i wcale nie chodziło o wielkie pieniądze.

– Szukał tylko zbiegłego niewolnika – dodał Martinez. – Nagroda to były jakieś drobniaki. Ale dla nich to była już wystarczająco duża suma, by kogoś załatwić.

– Dopadł go w końcu, ale aż pięciu ludzi musiało przy tym zginąć – powiedział Stanković. – W tym i zbieg. Akurat kobieta. Jeden z gangów poderznął jej gardło, byle tylko konkurencja nie zgarnęła nagrody.

– Pierdolić Dolne Radomsko – podsumował Martinez.

Lajos roześmiał się i uniósł ręce w geście kapitulacji.

– Dobra. Przekonaliście mnie. Zatem Neue Rostock.

Lajos miał powody do zadowolenia. Nie tylko udało się podjąć decyzję, ale jeszcze zadbał o lepszą integrację zespołu. Wcześniej trochę się tym niepokoił. Dotąd zawsze pracował jako samotny wilk i nie miał doświadczenia w prowadzeniu innych agentów, jednak sądząc po pogodnych minach Stankovicia i Martineza, uczynił właśnie krok naprzód.



– O co chodzi? Masz już raport od...

Widząc ludzi siedzących w gabinecie Lisy Charteris, Zachariah McBryde przerwał w pół zdania. Gdy dostał wezwanie, tym razem przez kuriera, co było rzadkością, ale czasem się zdarzało, założył, że chodzi o jeden z projektów, nad którym ostatnio pracowali.

Nagle jednak zrozumiał, że to musiało być całkiem coś innego. Dwoje z czworga obecnych w gabinecie naukowców nie miało z tym projektem żadnego związku, a co więcej, jednego z nich w ogóle nie znał.

Najbardziej niepokojąca była jednak obecność Janice Marinescu, której nie widział od czasu spotkania dotyczącego rozpoczęcia operacji Houdini.

Poczuł ucisk w żołądku. Eksperymenty, które ostatnio przeprowadzał, były na tyle trudne, że nie myślał prawie o niczym innym. Skoro zaś czas mijał i temat Houdiniego nie powracał, zdołał niemal o tym zapomnieć. A teraz to wróciło, i to z całą mocą. Nie było innego wytłumaczenia dla obecności Marinescu.

– Widzę, że wszyscy już dotarli – powiedziała. – Cała wasza piątka została zakwalifikowana do objęcia programem Houdini. Lisa Charteris zarządza tym centrum. Troje z was jest szefami programów. – Spojrzała na Zachariaha i jeszcze dwoje naukowców. – Gail Weiss zaś jest... Powiedzmy, że dysponuje umiejętnościami, na których nam zależy. Jak się zapewne domyślacie, plan Houdini wszedł w fazę realizacji. Pierwsza grupa została już zabrana z planety. Niestety, musimy ewakuować wszystkich w znacznie krótszym czasie, niż zamierzaliśmy. To oznacza konieczność wykorzystania kanałów przerzutowych, które nie były uwzględniane w pierwotnej rozpisce. Wielu z was, w tym i ja, zostanie ewakuowanych za pomocą jednostek należących do Manpower.

Jeden z naukowców, Stefka Juarez, skrzywiła się odruchowo. Zaraz przywołała się do porządku, ale Marinescu i tak to zauważyła i spojrzała na nią karcąco.

– Jakiś problem, pani Juarez?

Nie poczekała jednak na odpowiedź, tylko od razu pociągnęła wątek:

– Wydaje mi się, że jest już trochę zbyt późno, by wyrażać zastrzeżenia wobec działalności Manpower. Należycie do wewnętrznych struktur, i to praktycznie od początku waszego dorosłego życia. Od dawna też wiecie, że realizacja długofalowych celów Równania wymaga rozwoju genetycznego niewolnictwa. Nic nam nie wiadomo, byście mieli coś przeciwko temu,

chyba że kryliście się z odmiennym zdaniem. Co więcej, taka sytuacja będzie musiała jeszcze potrwać. Minie kilka pokoleń, nim cokolwiek się zmieni.

Przerwała i spojrzała na nich chłodno.

– To odnosi się do was wszystkich. Jeśli więc okazuje się, że trzeba was będzie ewakuować jednostkami należącymi do handlarzy niewolników, możecie się z tym tylko pogodzić. Jako naukowcy otrzymaliście szansę zachowania czystych rąk, ale reszta z nas, w tym i ja, nie miała takiego szczęścia. Wybaczcie mi więc zatem, że nie okażę zrozumienia dla waszych zastrzeżeń. Które zresztą niewiele znaczą.

Przerwała ponownie, tym razem przyglądając się każdemu z osobna.

– Chcecie coś powiedzieć?

Wszyscy milczeli. Charteris i Weiss pokręciły głowami.

– Bardzo dobrze. – Marinescu uniosła trzymane dotąd na kolanach dłonie i wskazała na drzwi. – Gdy stąd wyjdziecie, każde z was otrzyma przewodnika z Uplift League, który przeprowadzi was do sali odpraw. Tam poznacie szczegóły waszej ewakuacji. Wszystko, co powinniście wiedzieć, oprócz dokładnej daty i nazwy statku, na który wsiądziecie. To usłyszycie później. Jesteśmy dopiero w połowie zgrywania planu ewakuacji drugiej grupy.

Joseph van Vleet, trzeci z szefów programów, zmarszczył nagle brwi.

– A skąd się dowiemy...

– Że przyszła pora odlotu? Ta sama osoba, którą za chwilę spotkacie, zjawi się, żeby was o tym poinformować. Będzie wam też towarzyszyć w trakcie ewakuacji. Przez cały czas, aż dotrzecie do punktu docelowego.

Tym razem Juarez zgłosiła zastrzeżenia. Zachariah ledwo ją znał, bo pracowali nad dość odległymi sprawami, jednak nie mógł wyjść ze

zdumienia, jakim cudem ktoś o tak małym wyrobieniu społecznym mógł zostać szefem programu.

– Czy to naprawdę konieczne? – spytała.

Marinescu spojrzała na nią w sposób, w jaki drapieżnik śledzi najsłabszego członka stada.

– Sam fakt, że to pytanie padło, podkreśla zasadność procedury – powiedziała po chwili. – Spojrzała na pozostałych. – Czy muszę raz jeszcze wyjaśniać, o co chodzi w Houdinim? Wydaje mi się, że każde z was słyszało to przynajmniej trzy razy. Główny cel planu: sprawić, żeby nasi przeciwnicy jak najmniej dowiedzieli się o Równaniu. Zwłaszcza o jego głębszych strukturach. Najlepiej byłoby, gdyby samo istnienie jądra organizacji pozostało dla nich tajemnicą. Osiągnąć to możemy, tylko przestrzegając dwóch zasad. Po pierwsze, nikt spoza zakwalifikowanej grupy nie może dowiedzieć się niczego o planie. Absolutnie nikt, włączywszy w to naszych współmałżonków, dzieci, rodzeństwo, kuzynów, przyjaciół. Po drugie, nie możemy zostawić tu nikogo, kto wiedziałby cokolwiek o operacji. Znowu, dosłownie nikogo. Nikogo.

Przebiegła spojrzeniem po ich twarzach, szukając oznak słabości, wahania czy niezdecydowania. Czegoś, co pobudziłoby jej instynkt drapieżcy. Było to bezlitosne spojrzenie. Zachariah wstrzymał oddech. Chwila była groźna. Dosłownie groźna.

– Jeśli nie rozumiecie w pełni, co to oznacza, wyjaśnię wam to bez ogródek – powiedziała po chwili. – Jeśli powiecie o Houdinim komuś, kto nie jest objęty operacją, ta osoba zostanie wyeliminowana. Podobnie jak każdy, komu mogła coś przekazać. Zwracam uwagę na słowo „mogła”. Nie zawahamy się przed żadnym koniecznym środkiem bezpieczeństwa. – Skinęła głową na Lisę. – Powiedzmy, że dyrektor Charteris wspomniałaby coś mężowi albo któremuś z trojga dzieci. Wszyscy oni zostaliby

wyeliminowani. Ona oczywiście też. Naruszenie zasad Houdiniego będzie traktowane jak zdrada stanu. Czy dobrze się rozumiemy?

Lisa siedziała ze ściągniętą twarzą, ale skinęła głową. Podobnie Zachariah i van Vleet. Weiss i Juarez wpatrywali się tylko w podłogę.

– Na wszelki wypadek dodam, że ewentualny przekaz będzie interpretowany tak szeroko, jak to tylko możliwe. Zatem nie próbujcie, nie myślcie nawet o tym, żeby wspomnieć rodzinie czy znajomym o bliskim wyjeździe. Nie uprzedzajcie, że czeka was wyjazd służbowy. Nie fundujcie kosztownych prezentów, nie zabierajcie nikogo na niespodziewane wakacje. Nie róbcie absolutnie niczego, co odbiegałoby od normy. I nie łudźcie się, że się o niczym nie dowiemy. Będziecie pod nieustanną obserwacją. Nic nam nie umknie. – Znowu przerwała. – Powtarzam: czy do wszystkich to dotarło?

Tym razem nikt nie ociągał się z przytaknięciem.

– Dobrze. Teraz druga sprawa. Może okazać się, że coś pójdzie nie tak. Prawdopodobieństwo jest niewielkie, ale nie sposób całkiem go wykluczyć. Sprawa może się wydać, i to nawet nie z waszej winy. Gdyby do tego doszło, wówczas opiekujący się wami Gaul dopilnuje, byście nie dostali się w ręce wroga. Nie będziecie musieli nic robić w tej sprawie, wasz opiekun sam wszystkim się zajmie. Czy muszę powiedzieć to dobitniej? Jeśli trzeba, mogę.

Zachariah miał już dość tego spotkania. Czuł się tak, jakby ktoś przyłożył mu kijem w głowę. I jeszcze zmasakrował duszę. Duszę, bo ducha już nie miał.

Marinescu nie zamierzała jednak zostawić sprawy niedokończonych.

– Powtarzam, czy muszę powiedzieć dobitniej, co to znaczy?

Cała piątka pokręciła głowami.

– Dobrze. Dyrektor Charteris, zechce pani wyjść pierwsza? Pozostali wyjdą za panią w pięciosekundowych odstępach. Jako druga Juarez, potem McBryde i van Vleet. Pani Weiss pójdzie jako ostatnia.

Charteris wstała natychmiast i skierowała się do drzwi. Juarez tylko chwilę się zawahała i poszła w jej ślady. Gdy szefowa przekroczyła próg, Juarez odczekała, aż jej czasomierz pokaże, że upłynęło pięć sekund, i też opuściła pomieszczenie.

Zachariah uczynił to samo. Gdy znalazł się na korytarzu, nie zobaczył już Juarez. Musiała zaraz dokądś odejść, za to jeden z czekających Gaulów zrobił krok do przodu.

– Szefie zespołu McBryde, będę pańskim przewodnikiem. Proszę za mną.

Zachariah poznał go, ale nie kojarzył, czy to był Zhilov, czy Arpino. Mężczyzna od razu ruszył przed siebie i nie było kiedy spytać.

Z drugiej strony nie miało to znaczenia. Czuł się jak człowiek prowadzony na szafot. Czy w takiej sytuacji zwykło się pytać kata, jak się nazywa? Po co marnować czas? Z natury rzeczy taka znajomość musiała być krótkotrwała.

ROZDZIAŁ XXVII



Pułkownik Nancy Anderson odczekała, aż *Hali Sowle* znajdzie się osiem minut świetlnych od celu, zanim zdecydowała się powiedzieć cokolwiek o misji. Racjonalnie rzecz biorąc, zwłoka nie miała sensu; jeśli jakiś dobrze ukryty szpieg albo zwykły przypadek sprawiły, że personel Manpower na stacji cokolwiek podejrzewał, byli już martwi. Przy tak małej odległości nawet pocisk średniego zasięgu ze słabą głowicą mógłby zniszczyć ich frachtowiec.

Na dodatek, jakkolwiek było, jaki był sens czajenia się tak długo? Ostatecznie byli statkiem kosmicznym, nie okrętem podwodnym, chroniącym się w kokonie ciszy w celu uniknięcia wykrycia w wodnych głębinach. W próżni, jak głosiło stare powiedzenie, nikt nie usłyszy twojego krzyku. A rozmowy, szeptu czy śpiewu tym bardziej.

Niemniej atmosfera na pokładzie i tak była napięta. Funkcjonariusze Korpusu Zwiadu Biologicznego znosili ten stres całkiem dobrze. Anderson też; inaczej nie awansowałyby do stopnia pułkownika. Ale i tak...

Osiem minut świetlnych oznaczało jednostkę astronomiczną, jedną z najdawniejszych spośród wszystkich miar odległości. Pochodziła od średniej odległości Ziemi od Słońca.

Większość mieszkańców Beowulfa nie była przesądna, ale też lubiła uspokajające symbole. Zresztą wszyscy pracownicy próżni przywiązywali czemuś sporą wagę do dystansu równego jednostce astronomicznej i traktowali go jako szczególnie znaczący.

– Jak dotąd żadnych problemów. A u was?

– Też żadnych – odparł Damewood. – Wilk wkradł się między owieczki, a te niczego podejrzanego nie wyczuły. – Wskazał na swoją konsolę, teraz dobrze zamaskowaną, żeby inspektorzy Manpower nie wykryli jej obecności. – Też sprawdzałem, możesz mi wierzyć.

– Wilk między owieczkami! – prychnęła siedząca na fotelu kapitańskim Ganny El. – Wilk nie ma zębów i pazurów, te owieczki zaś wyglądają na drapieżne. – Uniosła znacząco palec. – Powiadam wam, że więcej tego nie uczynię! Słyszysz, Anderson? I mam gdzieś, ile forsy przejdzie mi przez to koło nosa.

Pułkownik uśmiechnęła się i nic nie odpowiedziała. Też wolałaby nie powtarzać tak ryzykownych eksperymentów. Jedno podejście do dużej i świetnie wyposażonej placówki Manpower powinno wystarczyć, by sprawdzić maskowanie *Hali Sowle*. Uznali, że lepiej będzie zrobić to w ten sposób, z załogą szkieletową na pokładzie, niż z pełną obsadą bojową.

Na razie nie wywołali żadnego alarmu. Nazwa i parametry statku zostały przyjęte bez cienia podejrzeń. *Hali Sowle* podszedł do stacji Balcescu całkiem otwarcie, z pełną identyfikacją. Cumował tam przez dwa dni, załoga zaś korzystała z uroków stacji, odwiedzając sklepy i restauracje. Potem odlecieli w równie zwyczajny sposób i też nie doświadczyli kłopotów, jeśli nie wspomnieć o kłótni między Ganny a właścicielką jednego ze sklepów, która oskarżyła panią kapitan o próbę oszustwa.

Byli więc czyści i mogli lecieć, dokąd wola i ochota, może tylko nie na Mesę. Chociaż jeśli Zilwicki i Cachat mieli rację i zniszczenie Centrum Gamma (oraz inne działania Jacka McBryde'a) unicestwiło wszystkie zapisy na temat statku, to i Mesa wchodziła w grę.

Nikt jednak nie proponował przyjęcia takiego kursu. Zbyt ryzykowne byłoby korzystanie w tamtej okolicy drugi raz ze statku, który podjął

szpiegów z Mesy. Nie dałoby się też wykorzystać go jako rajdera. Flota Mesy w żaden sposób nie mogła się równać z marynarkami wojennymi Manticore czy Haven, ale z dwiema fregatami poradziłaby sobie śpiewająco.

Niemniej pomijając Mesę, reszta galaktyki stała przed *Hali Sowle* otworem.

Anderson z czystej ciekawości spróbowała wyliczyć, ile trzeba byłoby zapłacić Ganny, żeby zmieniła zdanie. Na pewno byłaby to spora suma, ale daleka od nieskończoności. Matriarchalny klan ze stacji Parmley nie był nigdy specjalnie chciwy i nawet Ganny mało dbała o własne bogactwo. Pilnowała jednak interesów rodziny lepiej niż ktokolwiek poznany dotąd przez Nancy.

Teraz, gdy uzyskała już pełny prolong dla wszystkich, którzy mogli go przyjąć, i miała zagwarantowane wykształcenie dla młodocianych, a nawet kilku starszych członków klanu, którym chciało się jeszcze uczyć, czego więcej mogłaby chcieć?

Znając ją, musiała mieć coś w zanadrzu. Ale co?

Loren Damewood pomyślał o tym samym i chwilę później, jak miał to w zwyczaju, wyraził myśl głośno:

– Daj spokój, Ganny. Musi być jakaś cena, która by ci odpowiadała. O czym jeszcze marzysz? O posiadłości nad brzegiem Morza Szmaragdowego, gdzie zamieszkaliby wszyscy twoi bliscy, od niemowląt po starców? O wycieczce luksusowym liniowcem po światach centralnych?

– A może o cennych metalach i klejnotach? – wtrąciła się Nancy. – Najcenniejszych, jakie ludzkość wymyśliła.

Ganny tylko prychnęła pogardliwie.

– Nawet gdyby coś takiego istniało, a dla jasności powiadam, że nie istnieje, jaka to dla was różnica? I tak bylibyście za ciency. Korpus Zwiadu Biologicznego! Gadanie. Ochronkę wam prowadzić, a nie interesy robić!

– Dobry pomysł, Ganny.



Csilla Ferenc obserwowała widoczny wciąż na ekranie odlatujący frachtowiec. Samym statkiem nie była wcale zainteresowana. Przy tej odległości był tylko punktem, na którym dawało się zawiesić oko, chociaż oprogramowanie nawigacyjne stacji nadal nadawało mu zasadniczy kształt jednostki kosmicznej.

Odlot *Hali Soul...* nie, *Hali Sowle*, był nawet mniej znaczący niż odlot zwykłego trampa. Głównie dlatego, że w ciągu ostatnich paru tygodni ruch na stacji Balcescu wzrósł znacząco. I to było warte zastanowienia.

Ferenc nie martwiła się dodatkową pracą. Nie żeby ją cieszyła, chociaż nadgodziny były dobrze płatne, a trochę grosza zawsze mogło się przydać. Niepokoiło ją, że nie zna przyczyny aż takiego zwiększenia ruchu.

Statki lecące na Mesę i z Mesy miały wszystkie papiery w nienagannym porządku (teraz oczywiście w wersji elektronicznej, ale stare powiedzenie nadal funkcjonowało). I to też było dziwne. Te papiery były nawet zbyt bezbłędne. Ferenc miała dość doświadczenia, by wiedzieć, jak rzadko to się zdarza.

A te jednostki miały wszystko pięknie wypełnione, opłaty w komplecie wniesione, a ich zezwolenia wyglądały dokładnie tak samo, chociaż chodziło o statki czterech różnych armatorów: Manpower, Jessyk Combine, Axelrod Transstellar i Technodyne.

I jeszcze jedno je łączyło. Każde pytanie wykraczające poza rutynową wymianę zdań natrafiało na mur milczenia. A gdy Csilla dwa razy trochę

ponaciskała, została szybko zbesztana przez swoich przełożonych.

I to bardzo zdecydowanie.

Ta natychmiastowa reakcja zaskoczyła ją chyba najbardziej. Zarząd stacji pełen był zimnych drani. Byli już tacy, gdy zaczynała tu pracę. Nie bawili się też nigdy w uprzejmość i chętnie nadużywali inwektyw.

Nigdy jednak nie działali w takim tempie. Byli równie paskudni jak leniwi. Zwykle musiało upłynąć do dwóch tygodni, zanim wystosowali upomnienie. Czasem nawet dwa miesiące. A teraz zrobili się nagle dziwnie pracowici. W pierwszym wypadku minęły ledwie godziny, gdy się na nią wydarli. W drugim mniej niż godzina.

A ona spytała tylko o dane trzech osób wymienionych w manifeście jako „pasażerowie nadzwyczajni, specjalny przydział”. Normalnie oberwałaby za brak podobnego pytania!

Coś się działo. A co gorsza, chyba domyślała się, co to może być.

Czystym przypadkiem w tej samej chwili osoba siedząca obok niej musiała dojść do podobnych wniosków.

– Csilla, sądzisz, że wszystkie te historie opowiadane przez Manticore o spisku Manpower mogą mieć jakiś sens?

Ferenc rozejrzała się wokół. Tuż obok siedział András Kocsis, ale akurat całkowicie pochłaniało go naprowadzanie podchodzącego frachtowca. Poza tym był takim samym wyrobnikiem jak ona.

Uspokojona spojrzała na dalszą sąsiadkę, Bélé Harsányi.

– Chcesz narobić sobie kłopotów?

Béla trochę się zmieszała, ale była zbyt uparta, żeby zamilknąć.

– Nie mów, że też się nad tym nie zastanawiasz. – Wskazała na ekran. – Nad tym ruchem, który ostatnio mamy. Niektóre z tych statków są u nas po raz pierwszy. A wiele zachowuje się... No wiesz, dziwnie.

Dziwnie. Było to zarówno niedopowiedzenie, jak i przesada. Chodziło zaś przede wszystkim o załogi statków niewolniczych, przynajmniej niektórych, zachowujące się na przepustce w odmienny sposób niż zwykle.

Po pierwsze, rzadziej zaglądały ostatnio na stację. Po drugie, gdy już im się to zdarzyło, nie robiły wrażenia stada aroganckich dupków. Chociaż składały się właśnie z aroganckich dupków. I zwykle było to świetnie widać. Ci byli jacyś wyciszeni, trochę nawet nerwowi.

Idąc na służbę, Ferenc splatała włosy w warkocz. Był to stary nawyk, wywodzący się z czasów, gdy sztuczna grawitacja innej stacji, na której kiedyś pracowała, czasem zawodziła. Raz zdarzyło się jej pływać w stanie nieważkości z rozpuszczonymi włosami, które co rusz przesłaniały widok, i nie było to przyjemne.

Mogłaby już przestać zaplatać włosy, skoro podobne awarie nie zdarzały się na Balcescu. To nie był punkt tranzytowy na zabitej dechami prowincji, tylko najważniejsza stacja Manpower w całym sektorze. Ferenc przywykła jednak bawić się końcem warkocza w trakcie rozmowy, zwłaszcza takiej ożywionej. Albo nerwowej.

Teraz też trzymała koniec warkocza w palcach.

– Nie wiem, Béla. Owszem, zastanawiałam się, ale...

Puściła warkocz i wzruszyła ramionami.

– Po pierwsze, pewnie nigdy się tego nie dowiemy. A po drugie, mam nadzieję, że się nie dowiemy, bo to by oznaczało...

Urwała. Harsányi nie chciała jednak jeszcze kończyć rozmowy.

– Tak, racja – powiedziała. – Gdybyśmy się dowiedziały, oznaczałoby to, że Manticore postanowiło dowieść, że ma rację. Zostałaby z nas mokra plama.

Csilla pomyślała, że to niejaka przesada. Stacja Balcescu nie znajdowała się na głównym szlaku wiodącym na Mesę i flota Manticore raczej tędy by nie leciała. Chociaż trudno orzec coś takiego na pewno.

Zwłaszcza w przypadku Manticore. W odróżnieniu od większości mieszkańców Mesi, a zwłaszcza tych ignorantów z Ligi Solarnej, Ferenc i Harsányi wiedziały sporo o regułach wojny kosmicznej.

Może nie wszystkich, ale rozumiały, że Manticore mogło być dla nich bardzo groźne. Gdyby tylko zechciało, oczywiście.

Po pierwsze, ludzie z Manticore nienawidzili niewolnictwa, a ona i Béla obsługiwały handel niewolnikami, nawet jeśli osobiście nie były w nic zaangażowane. Po drugie, Csilla ledwo co obchodziła czterdzieste urodziny i kojarzyła, że Manticore przez ponad połowę jej życia prowadziło wojnę. Po trzecie, było upiornie dobre w wojennym rzemiośle.

– Nie dojdzie do tego – powiedziała. – To byłaby już przesada, nie sądzisz?

Jednak zanim skończyła zdanie, znowu ujęła koniec warkocza w palce.



Całkiem gdzie indziej na stacji, w przedziale, w którym zajmowano się mniej trywialnymi sprawami, siedziała jeszcze jedna osoba, która zastanawiała się dokładnie nad tym samym. Był to zastępca dowódcy stacji, Zoltan Somogyi, najwyższy zwierzchnik Ferenc na pokładzie i autor tych dwóch reprimend, które otrzymała.

Zoltan zapomniał już, że miał cokolwiek do Ferenc. Zapomniał o tym niemal zaraz po fakcie. Reprimend nie wydał z troski o jej właściwe podejście do obowiązków. Ledwie ją znał. Pracowała dla niego, ale była jedną z prawie ośmiuset osób, którymi zarządzał.

Zrugął ją tylko dlatego, że ludzie znani mu jeszcze mniej niż Ferenc jasno go ostrzegli, iż nie będą tolerować żadnego wtrącania się w ich sprawy, o których nie miał pojęcia. Tuzin innych pracowników też oberwało z tego powodu. Jedyne zaś, czego Zoltan był pewien, to że osobnicy od tych tajemniczych spraw mieli niemal nieograniczoną władzę. Nie tylko w Manpower, ale także w...

W sumie nie miał pojęcia w czym, ale na pewno sięgała daleko. Na tyle daleko, że ostatnio sypiał jakoś mniej spokojnie.

Pracownicy tacy jak Ferenc czy Harsányi nic nie wiedzieli o Równaniu. Uważali, że zatrudnia ich wielka korporacja, która w praktyce rządzi planetą. I nawet jeśli większość ludzkości pogardzała ich pracodawcą, dla nich niewiele to znaczyło. Podobnie jak górnicy, którzy w dawnych czasach zjeżdżali pod ziemię, żeby wydobywać bogactwa naturalne, niewiele sobie robili z krytyków mówiących, że taka praca jest brudna i poniżej ludzkiej godności.

Zoltan Somogyi słyszał o Równaniu, ale miał je za organizację zajmującą się poprawianiem genomu mieszkańców Mesy. Miał nawet nadzieję, że z czasem stanie się jego członkiem.

Istniały jednak na jego planecie jeszcze inne, bardziej zakonspirowane siły. Zoltan znajdował się wystarczająco wysoko w strukturach administracyjnych, żeby już dawno zauważyć pewne zastanawiające prawidłowości. Musiał być jeszcze ktoś, kto pociągał za sznurki.

Ale kto... tego nie wiedział, chociaż podejrzewał, że chodziło o samą elitę Manpower.

Jakie były cele tej organizacji... tego też nie wiedział.

Jakie miała wobec niego plany... nie wiedział na pewno.

Co go niepokoiło, to myśl, że takie plany najpewniej istniały. I cokolwiek zawierały, raczej nie powinien oczekiwać od nich niczego dobrego. Nie dlatego, żeby ktoś miał go za przeszkodę. Raczej dlatego, że nic dla owych potężnych sił nie znaczył.

Ostatecznie gdy taki Behemot ruszy przed siebie, realizując swoje zamiary, nie będzie przecież zwracał uwagi na różne mrówki i żuczki, które mogą znaleźć się na jego drodze...

ROZDZIAŁ XXVIII



Tak więc jesteśmy z powrotem – powiedziała Berry, podchodząc do Hugh. Zaraz jednak zatrzymała się i spojrzała na niego niespokojnie. – Coś się zdarzyło, gdy nas nie było?

Hugh zaznaczył na tablecie miejsce, gdzie skończył czytać, i odłożył urządzenie na poręcz wygodnego fotela, na którym siedział.

– Jeśli nie liczyć dwóch krwawo stłumionych powstań i trzech zamachów stanu, to niewiele. Głowy rebeliantów zatknęliśmy na pikach wzdłuż Vesey Boulevard. I był jeszcze jeden piewca porządku konstytucyjnego, który sam skazał się na wygnanie, by nie służyć tyranii. Poza tym nie było problemów. Nie liczę trzech premier teatralnych, trzech performance'ów ulicznych, osiemnastu nagrań i dwóch staromodnych pamfletów obnażających brutalność rządów uzurpatora Araia. A skoro o tym mowa... – Wskazał palcem na grupę wchodzącą do salonu w ślad za Berry. – Jesteście wszyscy aresztowani. Okazuje się, że od dawna drzemał we mnie megaloman. Nigdy nic nie wiadomo.

Berry spojrzała na niego z wyrzutem i poniekąd też z rozbawieniem, po czym udaremniła skutecznie próbę zamachu stanu, siadając małżonkowi na kolanach, obejmując go i całując energicznie.

Tymczasem Jeremy zajął miejsce naprzeciwko nich, a księżniczka Ruth i Web Du Havel na kanapie stojącej z boku.

– Z czystej ciekawości – zagadnęła Ruth. – Ile w tym było prawdy?

Hugh wyzwolił się z monarszych objęć.

– Kilka filmów powstało naprawdę. Jeden był fałszywy, drugi zaś wicherzycielski. I naprawdę znalazł się gość, który wyniósł się w proteście wobec naruszania porządku konstytucyjnego. Opublikował nawet długi list otwarty, który wciąż jest dostępny w sieci, gdybyście chcieli poczytać. Nosi tytuł „Droga do poddaństwa”.

– Naruszenia porządku konstytucyjnego, tak? – Du Havel pokręcił głową. – Interesujące, zwłaszcza wobec faktu, że Torch nie ma na razie uchwalonej konstytucji.

– Właśnie. To było naruszenie numer jeden.

Ruth zmarszczyła brwi.

– A tak właściwie to dlaczego nie mamy konstytucji?

Jeremy wskazał na Du Havla.

– To robota premiera. Odkłada sprawę, jak może. Naprawdę się stara. Oskarżyłbym go o działanie na szkodę państwa, gdybym się z nim nie zgadzał. Ostatnie, czego nam teraz trzeba, to marnowanie sił i środków na przepychanki prawne wokół konstytucji.

Ruth spojrzała na Du Havla.

– Czy możesz to rozwinąć? Nie zamierzam się z tobą spierać, ale wydaje mi się... Sama nie wiem. Jakby... – zaśmiała się – ...coś to naruszało.

– Sądzę, że lepiej będzie poczekać kilka lat, żeby sprawy same się ułożyły, zanim zaczniemy formułować cokolwiek na piśmie – powiedział Du Havel, krzywiąc się lekko. – Teraz nie pora na to. Brakuje nam zbiorowego doświadczenia, a doświadczenie jednostkowe jest jeszcze mniejsze. Niewolnictwo nie jest stanem sprzyjającym nabywaniu praktyki społecznej. – Web zaczął podwijać rękawy, co oznaczało, że szykuje się do dyskusji. – Żeby konstytucja była dobra, musi być krótka, prosta

i zrozumiała. Jedna z najstarszych, uchwalona w antycznych Stanach Zjednoczonych, liczyła mniej niż pięć tysięcy słów. Razem z tym, co nazywali wówczas „Kartą Praw”. Krótka była głównie dzięki temu, że mieli za sobą lata doświadczeń z wcześniejszą wersją, która okazała się bardzo nieudana. Owszem, w wielu innych przypadkach próbowano przyspieszyć ten proces, co skutkowało zwykle powstaniem długich dokumentów, napisanych językiem zrozumiałym wyłącznie dla prawników. Tego wolałbym uniknąć.

– Ale co... – zaczęła Ruth, lecz zamilkła, słysząc sygnał dobiegający z ekranu ściennego, na którym w tej akurat chwili rozgrywała się jakaś scena bukoliczna.

– Oczekujemy jakichś wieści? – spytała Berry.

Hugh podrapał się po brodzie.

– „Oczekujemy” to może złe słowo. Ale jestem niemal pewien, że to Yuri Radamacher albo Sharon Justice. Albo nawet oboje.

Berry uniosła brwi.

– Są tutaj? Na Torch?

– Przybyli dwa dni temu.

– No to odbierz rozmowę.

Hugh przycisnął sensor z boku stołu i ekran ożył.

Rzeczywiście, to był Radamacher w towarzystwie Justice. Wysoki komisarz przedstawił swoje listy uwierzytelniające już parę tygodni temu, jednak stało się to podczas jego krótkiej wizyty na Torch i zaraz potem, gdy objął placówkę. Większość czasu spędził poza tym na Erewhonie.

– Witam, wasza myszowatość – powiedział.

– Uwielbiam ten tytuł – stwierdziła radośnie Berry.

Ruth przewróciła oczami.

– Ramzes i Nabuchodonozor w grobach się przewracają.
– Chcieliśmy porozmawiać, jeśli można – powiedział z uśmiechem Radamacher.

Berry rozejrzała się wokół.

– Z kim dokładnie?

– Ze wszystkimi. Czy też wszystkimi, których widzę na ekranie. Dla ścisłości oznacza to ciebie, księżniczkę Ruth, premiera Du Havla, sekretarza wojny Jeremy’ego X i sekretarza Araia.

Berry zanosła się śmiechem.

– Naprawdę mu sekretarzujecie?

Hugh wzruszył ramionami.

– To był twój pomysł, zapomniałaś? I do diabła, wydało mi się to nawet urocze i pomogło unormować sytuację. Większość ludzi zrozumiała, że to było stanowisko stworzone ad hoc i trochę na granicy prawa.

Berry nie czekała, tylko wprowadziła kod dający znać ochronie, że można wprowadzić gości do pałacu.

Nie trwało długo, a drzwi się otworzyły i weszło dwoje obywateli Republiki Haven. Berry wskazała im wolną kanapę stojącą po lewej stronie, naprzeciwko Ruth i Weba Cztery masywne meble, dwie kanapy i dwa fotele, stały na środku pomieszczenia, tworząc kwadrat wokół niskiego stołu.

– Siadajcie – powiedziała. – Z czym przybywacie?

Gdy zajęli miejsca, wysoki komisarz skinął głową wszystkim obecnym.

– Sharon ma pewną informację, którą chce się podzielić. Co do mnie, to oficjalnie mnie tu nie ma.

Web wstał i podszedł do bocznego stolika.

– Coś do picia? Herbata? Kawa? Sok z khavy?

Yuri zerknął podejrzliwie na dzbanek wypełniony czymś gęstym o kolorze bursztynu albo terakoty.

– Co to za sok? I jak smakuje?

– Wyrabia się go z khavy, z korzenia, nie owocu, który rośnie na Kapteyn 2. Nie mam pojęcia, jak smakuje. I nie zamierzam sprawdzać.

– Oto cały nasz premier – stwierdził ze śmiechem Jeremy. – Konserwatywny do szpiku kości. – Był to zapewne osobliwy opis premiera kraju, który powstał na skutek buntu niewolników, ale były przywódca Baletu zwykł widzieć sprawy po swoim.

– Co do smaku zaś, to wykrzywia mordę – dodał jeszcze Jeremy. – Wystarczy na to spojrzeć.

– Poproszę kawę – powiedziała Sharon.

– Nieoficjalnie dla mnie też – odezwał się Yuri.

– Dlaczego jesteś taki nieoficjalny? – spytała Ruth i machnęła ręką. – To oczywiście nieoficjalne pytanie.

– Jak zwykle. Wygodna wymówka. Swoją drogą, kto to wymyślił? Ktokolwiek to był, mam nadzieję, że smaży się w piekle.

– Raczej marznie – rzucił Hugh. – Założę się, że w Malebolge, ósmym kręgu piekieł, gdzie trafiają hipokryci, krzywoprzysięzcy, łapówkarze i fałszywi doradcy. A co do osoby, trudno powiedzieć na pewno. Osobiście stawiam na Oktaviana.

– Jakiego Octaviana? – spytała Berry.

– Octaviana De Brassieresa – wyjaśniła Ruth. – Może być. Był Legislatorem, który zaproponował wprowadzenie dodatku za niekompetencję. W nowej konstytucji Haven, około 1850 roku.

Hugh skrzywił się lekko, ale nic nie powiedział. Ruth jednak i tak na niego nie patrzyła, skupiona wciąż na Radamacherze. Yuri uśmiechał się zaś, rozbawiony tym wszystkim.

– Nie jestem tu oficjalnie, ponieważ rząd Haven nie zajął jeszcze oficjalnego stanowiska w sprawie rozwoju wydarzeń, w których z Sharon mamy dopiero się zorientować. Z tego też powodu rząd Haven oficjalnie nie wie na razie nic o tych wydarzeniach.

– A nieoficjalnie?

– Jestem pewien, że Cachat doskonale się już w nich orientuje. Ale komu coś powiedział... – Zamachał dłonią. – Antonowi Zilwickiemu i Kevinowi Usherowi na pewno, tym samym prezydent Pritchard też zapewne coś wie, podobnie jak i księżna Tor. A jeśli ona wie, to powiedziała też chyba Królowej Elżbiecie.

Ruth zmarszczyła brwi.

– Czyli w sumie wszyscy, którzy się liczą. Po co więc udawać? – Pokręciła głową. – Ale mniejsza o to. Głupie pytanie. Jak więc sprawy się rozwijają?

Web wrócił z dwiema filiżankami kawy i podał je gościom.

– Teraz to i ja jestem ciekaw.

Sharon odstawiła filiżankę, nie spróbowałszy nawet napoju.

– W wielkim skrócie tak, że Erehon i sektor Maya stworzyły sojusz. Nie wiem, na ile formalny. Na razie nie wiem. Ale tak czy siak, to prawdziwy sojusz. Sedno sprawy tkwi w tym, że Erehon ma być w tym układzie zapleczem rozwoju i produkcji systemów uzbrojenia.

Przerwała na chwilę, wzięła filiżankę i podmuchała na kawę. Chyba chciała zyskać na czasie i zastanowić się, ile może powiedzieć.

Yuri, który cały czas trzymał swoją filiżankę, teraz upił ostrożnie łyk. Kawa była jeszcze za gorąca. Odsunął naczynie, ale go nie odstawił.

– Czy wiecie, że tylko w ciągu ostatnich dwustu lat i jedynie w Haven wynaleziono jedenaście różnych urządzeń do schładzania kawy? Sprawdziłem to kiedyś, gdy miałem zbyt wiele wolnego czasu. W sumie nie tylko kawy, dowolnego gorącego płynu. Jednak żadne z nich nie cieszyło się powodzeniem na rynku.

Znowu spróbował kawy. Nadal była za gorąca, więc ją odstawił.

– Być może coś z nami jest nie tak. Może jesteśmy strasznie konserwatywni, co jednak nie pasuje do tempa zmian mody. Albo też przedkładamy zwyczaję ponad praktyczność. Dmuchiwanie na gorącą kawę to świetny sposób, żeby przerwać na chwilę rozmowę, nie tworząc niezręcznej sytuacji.

– On zawsze tak filozofuje? – spytał Jeremy.

– Często – potwierdziła Sharon, upiła wreszcie łyk napoju i zaraz się rozpromieniła. – Ale dobra. Odmiana z Sumatry?

Du Havel rzucił jej pełne szacunku spojrzenie konesera.

– Z pewnymi modyfikacjami, ale tak. Uprawiana jest dokładnie na Gascogne, jednym z księżyców giganta gazowego przy Mendelschoen. Ale szczerp wywodzi się z ziemskiej Indonezji.

Ruth spojrzała na nią niecierpliwie. Jej wiedza na temat kawy ograniczała się do tego, że umiała odróżnić ją od herbaty.

– Jakiej produkcji? – spytała.

– Głównie na potrzeby marynarki wojennej. Wszystko, od superdreadnoughtów począwszy.

Wszyscy unieśli głowy.

– Budują superdreadnoughty dla sektora Maya? – spytał Hugh.

– Ile? – dorzuciła Ruth.

– Co najmniej tuzin. Podobnie jak i wiele lżejszych jednostek. Oficjalnie powstają w stoczniach Erewhonu. Krążowniki liniowe z zasobnikami holowanymi. Wielostopniowe pociski dla jednostek pomocniczych, które Roszak z takim powodzeniem wykorzystał w bitwie o Torch. Krążowniki, niszczyciele. Nie ma lotniskowców, na ile udało mi się ustalić. Na razie nie ma.

Du Havel potarł czubek głowy.

– Wielki Boże. Wiedziałem, że ich kontakty się ociepliły, ale nie miałem pojęcia, że aż tak bardzo.

– Kto buduje te okręty? – spytał Hugh. – Tak konkretnie. I od jak dawna to trwa?

– Zapewne Carlucci Group. Zasadniczo chyba samodzielnie, chociaż muszą mieć masę podwykonawców. A od kiedy... Nie jestem pewna. Co najmniej dwa lata.

– I kiedy wprowadzą te jednostki do służby? – zainteresował się Jeremy.

– Gdy mowa o jednostkach liniowych, to zapewne za dwa lata. Ale już za rok będą mieli krążowniki liniowe. Krążowniki i niszczyciele... tu brak pewności, ale część jest już chyba w służbie. Niemal na pewno udało im się już wyrównać wszystkie braki w stanach powstałe podczas bitwy o Torch.

– Uśmiechnęła się do Berry. – Oddanie wam *Spartacusa* i innych okrętów zdobytych na wrogu było szlachetnym aktem, to nie budzi wątpliwości, ale Roszak wiedział już świetnie, że niebawem zrekompensuje sobie straty.

– I to w sposób, który na pewno nie będzie dyskusyjny – dodał Jeremy. – Ale i tak doceniam jego gest.

Web dał spokój swojej głowie.

– Wszyscy doceniamy, ale teraz to już coś więcej. – Spojrzał znacząco na Yuriego i Sharon. – Dlaczego nam to przekazujecie, chociaż musicie wiedzieć, że w konsekwencji odciągnie nas to od zacieśniania kontaktów z Haven?

– Och, tak bym tego nie ujął – powiedział Yuri. Kawa nadawała się już do picia, siorbnął więc z filiżanki. – My widzimy to trochę inaczej. Biorąc pod uwagę, co stało się z flotą Filarety w układzie Manticore, wiemy, że czeka nas pełnowymiarowa wojna między Ligą Solarną a Imperium Manticore, czyli naszym obecnym sojusznikiem. To trochę niepewny sojusz... chociaż nie. Nie jest niepewny, ale ciągle najeżony problemami, których rozwiązanie zajmie nam jeszcze sporo czasu. – Przerwał i znowu siorbnął kawy.

Sharon wykorzystała tę chwilę.

– Co to oznacza dla Torch? A to, że sytuacja może mocno się skomplikować, chyba że zacieśnicie stosunki z innymi jeszcze obrońcami. Głównie tymi leżącymi najbliżej, jak Erewhon i Maya.

– I takimi na dodatek, którzy udowodnili już swoją gotowość do wspierania Królestwa Torch – dodał Hugh. – Ale nadal ciekawi mnie, dlaczego chcecie inicjować ten proces.

Sharon odstawiła filiżankę i skrzyżowała ręce na piersi.

– To wydaje się właściwe. Przyspieszenie procesu, który i tak jest nieunikniony, nie przyniesie Republice Haven żadnej szkody. Manticore też nie, chociaż... – Spojrzała przepraszająco na Ruth. – To akurat nie jest przedmiotem naszej największej troski.

Hugh pokiwał głową.

– Tak, rozumiem. Ale... – uśmiechnął się osobliwie – ...z moich doświadczeń wynika, że specjaliści wysłannicy, nawet tacy z Beowulfa, nie

słyną ze śmiałych inicjatyw.

Yuri miał zamiar dokończyć swoją kawę, ale zamarł z uniesioną filiżanką.

– No...

– Przyznaj się – powiedziała Sharon. – Cachat tobą posterował.

– Boże, dopomóż... – jęknął Yuri.

ROZDZIAŁ XXIX



Andrew rozejrzał się po wielkim pokoju na parterze budynku, który właśnie zakupili.

– Będzie trochę roboty, jeśli zamierzasz założyć tu butik. Z przedszkolem byłoby łatwiej. Trochę farby na ściany, coś miękkiego na podłogę. Byle trzymać się jasnych kolorów, dzieciaki je lubią.

Steph go zignorowała. Byli parą od niecałego roku, ale przekonała się już, że jej facet należy do ludzi znajdujących ukojenie w gadaniu, co ślina na język przyniesie. Zwłaszcza gdy odczuwa stres. Mogło to irytować, ale dawało się z tym żyć. Ojciec jej dziecka w takich sytuacjach upijał się i bywał agresywny.

Chociaż wobec niej tylko raz. Przydało się, że była kucharzem z zawodu. Dzięki temu zawsze miała pod ręką jakiś nóż. Zwykle solidny. I na dodatek umiała go użyć. Nawet bardzo go nie pocięła. Gdy wytrzeźwiał, obejrzał swoje rany i postanowił poszukać zieleńszych pastwisk. Nancy miała wtedy ledwie osiem miesięcy, nie pamiętała więc ojca, co zdaniem Steph było szczęśliwym zrzędzeniem losu.

Zastanawiała się nad przedszkolem i nawet podzieliła się tym pomysłem z Antonem i Victorem, jednak po krótkiej dyskusji uznali, że takie rozwiązanie miałyby więcej wad niż zalet.

Rzecz w tym, że dzieci zwykle mają rodziców. Wy tłumaczenie, dlaczego w okolicy ciągle kręci się ktoś obcy, nie byłoby problemem w przypadku cztero- czy pięcioletków, ale z dorosłymi byłoby trudniej. Zwłaszcza

z takimi bardzo zainteresowanymi, czy nowi opiekunowie ich dzieci zasługują na zaufanie.

Nie, butik był lepszym pomysłem. Do sklepu może zajrzeć każdy i nikt nie zwróci na to uwagi. Zwłaszcza w przypadku żeńskiej klienteli.

Andrew wiedział o tym wszystkim, bo też brał udział w dyskusji. To dziwne, że ktoś tak zdumiewająco zdolny może mieć równie dziecinne odruchy. Steph jednak już dawno pogodziła się z faktem, że wszechświat nie jest doskonały, i nauczyła się cieszyć tym, co było chociaż ogólnie pozytywne. Zwłaszcza że spotykała już znacznie gorszych ludzi.

– Najwięcej roboty będzie z półkami – powiedziała. – I trzeba wstawić stojaki. Ale te bez problemu kupimy.

Z funduszami, którymi dysponowali, mogliby zlecić komuś te wszystkie prace, ale jako szpiegzy nie uważali tego za dobre rozwiązanie. Zawodowa paranoja podpowiadała, że każdy wynajęty wykonawca może okazać się czyimś informatorem.

Poza tym na półkach się nie kończyło. Musieli przygotować jeszcze jakieś ukryte pomieszczenia dla ludzi, którzy woleli pozostawać poza polem widzenia władz. Do takich prac nie najmowało się firm budowlanych. No i były jeszcze urządzenia maskujące i zagłuszające, niektóre całkiem masywne. Pracując z kimś z zewnątrz, nie zdołaliby utrzymać ich istnienia w sekrecie.

Cała robota spadała zatem na Andrew. Steph miała oczywiście mu pomagać. Niewielkie miała w tym doświadczenie, ale nie przejmowała się, skoro towarzyszył jej człowiek zdolny naprawić pokładowy generator nadprzeźrzenny.



To, co najbardziej uderzyło Thandi, gdy prowadziła ciężarówkę główną aleją miasta, to poziom bogactwa widocznego nawet w najbiedniejszych dzielnicach. Owszem, w porównaniu z okolicami zamieszkanymi przez pełnoprawnych obywateli dzielnice wyzwolenców przypominały slumsy. Były bardziej zatłoczone, brudniejsze i po prostu zaniedbane. Niemniej w zestawieniu z tym, co Thandi pamiętała z Ndebele i większości światów Pogranicza, wyzwolenci niemal opływali w luksusy. Pomijając te budynki, które były całkowicie opuszczone, wszędzie były prąd i klimatyzacja. Może i panował tam tłok, ale tylko wedle miejscowych standardów. Nie przypominały nawet rojowisk, w których biedota mieszkała na innych światach. Czy slumsów, w których i Thandi się wychowała.

Znała starą zasadę powiadającą, że satysfakcja z poziomu życia zawsze zależy od pozycji zajmowanej w społeczeństwie, nie od bezwzględnego poziomu majątku. Od niepamiętnych czasów reakcyoniści wskazywali całkiem słusznie, że nawet ludzie z dołu hierarchii byli tak naprawdę Midasami w zestawieniu z paleolitycznymi myśliwymi i zbieraczami. Nigdy jednak nie rozumieli, że czynienie takich zestawień mija się z celem.

Co naprawdę liczyło się dla biednej matki, to nie fakt, że w jakimś świecie Pogranicza (lub w antycznych czasach) jej dziecko najpewniej umarłoby w niemowlęctwie, tutaj zaś miało szansę przeżycia. Ważne było, że w razie choroby nie zdoła zapewnić dziecku najlepszej możliwej opieki medycznej, zarezerwowanej dla pełnoprawnych obywateli, i będzie musiała poprzestać na byle jakich, akurat dostępnych dla niej metodach leczenia.

Nawet wiedząc to wszystko, Thandi i tak czuła się trochę dezorientowana. Podświadomie oczekiwała, że ujrzy dzielnice przypominające slumsy z jej dzieciństwa.

Jednak im dalej podążała wąwozami zatłoczonych ulic, tym bardziej zaczynała pojmować, że różnice były większe, niż zauważało się to

w pierwszej chwili. Nie tylko w zestawieniu z warunkami życia obywateli, ale także jej rodaków z Ndebele.

Victor i Anton wyjaśniali jej złożoność tutejszej historii, ale dopiero teraz widziała to na własne oczy. Dzielnice wyzwolenców na Mesie powstawały według z góry założonego planu, nie żywiołowo, jak to zwykle slumsy. To oznaczało nowoczesną, piętrową zabudowę zamiast rozpełzających się na mile szop i domków. Taka sytuacja miała liczne plusy. Dzielnice zajmowały mniej miejsca, były bardziej ekologiczne, mniej energochłonne, zapewniały wyższy poziom wykształcenia. I tak dalej.

Z drugiej strony, starano się budować je jak najtaniej. Prawie wszystkie wieżowce zostały wzniesione w początkowym okresie kolonizacji i były raczej przestarzałe. Co więcej, od początku zamierzano wykorzystywać je jako lokum dla wyzwolonych niewolników, których liczba przekroczyła wszelkie oczekiwania. To sugerowało też jakość wykończenia.

Ponieważ miały służyć biedocie, której elity Mesy nie zamierzały stwarzać żadnych okazji do awansu społecznego, zostały celowo zaprojektowane jako maksymalnie użytkowe i zapewniające jedynie minimalne wygody. Niemniej z początku i tak wyposażono je w ogrzewanie, klimatyzację i windy, chociaż w zasadzie nic więcej. Były też niższe, góra na trzysta pięter, czyli o połowę mniej niż zwykłe wieże mieszkalne. Chodziło o efekt psychologiczny, czyli zmuszenie ich mieszkańców do zadzierania głów, ilekroć chcieli spojrzeć na „wysokie zamki” swoich panów, przewyższających ich tak genetycznie, jak i społecznie.

Pierwotnie dzielnice wyzwolenców zostały zaplanowane na bazie pierścienia otaczającego centrum Mendel, razem z pasami zieleni, parkami i tak dalej. Przez stulecia centrum rozrosło się jednak i zagarnęło większość dawnych dzielnic wyzwolenców. Ich wieżowce zostały wyburzone i na ich

miejscu wyrosły pełnoprawne wieże mieszkalne, odsuwając getto coraz dalej, chociaż liczba jego mieszkańców rosła.

Z punktu widzenia wyzwoleńców znaczące było jeszcze to, że od samego początku budowę wieżowców powierzono Maidenstone Enterprises of Mesa. Firma ta nie dbała specjalnie o utrzymanie standardów. Trzeba oddać rządowi Mesy, że starał się sprawować nad nią jakiś nadzór, chociaż oczywiście nikt nie traktował tego śmiertelnie poważnie. Jakość wykonania spadała więc z czasem, a dodatkowo pogarszał się też poziom utrzymywania budynków. Ostatecznie wyszło na to, że chociaż gęstość zaludnienia na milę kwadratową była tutaj mniejsza niż w dobrych dzielnicach, to same wieżowce były piekielnie przeludnione.

Wszystkie biedne dzielnice Mendel zamieszkiwało dziesięć do dwunastu milionów ludzi. Władze nigdy nie próbowały ich policzyć, bo i po co? Wyzwoleńcy nie mieli praw wyborczych. Zajmowały około stu mil kwadratowych, niemniej jedna trzecia tego to były zakłady przemysłowe i sektor usług. W dobrych dzielnicach nikt ich nie chciał, tam psuły i krajobraz, i powietrze. Tutaj zaś wydawały się na miejscu, skoro to właśnie wyzwoleńcy byli źródłem niemal całej wolnej siły roboczej. Kadra kierownicza i zarządzający, przynajmniej powyżej poziomu właściciela sklepu, wywodziła się niemal w całości z pełnoprawnych obywateli.

Obszary przemysłowe i usługowe służyły ponadto do podziału getta na sektory. Były one zawsze dobrze oświetlone i patrolowane przez prywatne firmy ochroniarskie, jak i patrole policji miejskiej. Ich zadaniem było pilnowanie zakładów oraz zniechęcanie wyzwoleńców do przemieszczania się „skrótami”, czyli z pominięciem oficjalnie wyznaczonych przejść. W rezultacie zapobiegały też organizowaniu się wyzwoleńców w jakiegokolwiek nieformalne struktury obejmujące całe miasto.

Przemysł stolicy był w większości nowoczesny, oparty na najnowszych technologiach. Nie produkował wielu zanieczyszczeń i nie przeszkadzał specjalnie mieszkańcom, jednak w dzielnicach wyzwoleńców trafiały się i gorsze okolice. Całe hektary hal produkcyjnych z własnymi systemami transportowymi i betonem, jak okiem sięgnąć. Nie widywało się tu powszechnej gdzie indziej zieleni. Jej funkcję pełniły skrzynki z roślinami pod oknami tanich restauracji i barów przeznaczonych dla wyzwoleńców.

Nie były to więc zadymione slumsy z ery przed Diasporą i bieda nie rzucała się aż tak w oczy. Było kilka rozrzuconych tu i ówdzie parków, jedno czy drugie zoo, nawet muzea. Ostatecznie jednak o charakterze tych dzielnic przesądzało co innego: nieprzestrzeganie prawa. Na Ndebele było pod tym względem lepiej. Władze mogły być tam brutalne i skorumpowane, ale zaznaczały swoją obecność nawet w gettach.

Tutaj...

Owszem, pewne podstawowe sprawy pozostawały w gestii władz. Takie jak wytyczanie granic dzielnic czy komunikacja miejska. Z tych mniej widocznych obejmowało to najpewniej wywóz śmieci czy zapewnienie dostaw energii elektrycznej, bo bez tego zapanowałby chaos, który rozszerzyłby się z czasem na lepsze dzielnice.

Poza tym jednak władze Mesy zdawały się nie zauważać tych dzielnic i zostawiały je swojemu losowi. Od czasu lądowania i przejścia przez kontrolę w porcie kosmicznym Thandi widziała tylko jeden pojazd policyjny. Milę od portu wjechali do dzielnic wyzwoleńców i od tamtej pory nie trafiła już na najmniejszy ślad sił porządkowych.

Na Ndebele policja była widoczna wszędzie. Owszem, mundurowi zachowywali się bardziej jak armia okupacyjna i często ignorowali przestępstwa wymierzone przeciwko najbiedniejszym, poza tym reagowali

z opóźnieniem i niechętnie, ale jednak byli obecni i należało się z nimi liczyć.

Tutaj... panowała pustka. Thandi odczuła niemal ulgę, gdy skręciła z napowietrznego traktu do labiryntu tuneli komunikacyjnych pod dzielnicami wyzwoleńców.

Dzięki Victorowi wiedziała, czego oczekiwać, chociaż, jak doszła później do wniosku, chyba nie do końca mu uwierzyła. Ostatecznie jak rządzić miastem bez sił porządkowych? Po tej stronie bram nieba wydawało jej się to absolutnie niemożliwe.

Inna sprawa, że jakieś władze tu funkcjonowały, tyle że nieoficjalne. Stosowały też różne środki przymusu, jednak robiły to poniekąd uznaniowo. Można powiedzieć, że dzielnice wyzwoleńców na Mesie były najlepszym przykładem praktyki libertariańskiej w dziejach ludzkości. Była to rzeczywistość w istocie nieodróżnialna od „państwa zbrodni”, co oczywiście nie świadczyło najlepiej o libertarianizmie.

Jak wspominał Victor, wielu szefów świata przestępczego robiło tu więcej dla utrzymania ładu i sprawiedliwości społecznej niż niejedne oficjalne władze. Zwłaszcza władze Mesy. Chaos i bezprawie nie sprzyjały robieniu interesów, także tych nielegalnych, chociaż udziały uzyskiwane przez władców półświatka z całkowicie legalnej działalności były zapewne nie mniejsze niż podatki, gdyby ktoś je tu płacił.

Dla przeciętnego właściciela biznesu ochrona rekieterów nie różniła się specjalnie od tego, co teoretycznie mogłaby zapewnić ochrona ze strony legalnych władz. Naukowcy rzadko przyznają, że tak to wygląda, ale jednak. Gdy zapłaciło się takim za ochronę, zyskiwało się spokój, bezpieczeństwo dostaw i działalności oraz szansę na poprawę poziomu życia. Czyli to samo, co można było uzyskać od władz w przeciętnie praworządnym kraju. Na Beowulfie czy Manticore o wiele więcej, ale

w światach Pogranicza lepiej było opłacać się mafii niż złodziejom i bandytom siedzącym na wysokich stołkach.

Minusem tej sytuacji był fakt, że nawet najważniejsi przywódcy z dzielnic wyzwoleńców nie sprawowali oficjalnie żadnej władzy.

Władza jest tak stara jak ludzkość i przez cały ten czas bywała nadużywana. Zwykle jednak gdy przywoływało się ten termin, myślało się o „legalnej władzy”, odróżnianej od każdej innej dzięki jej powszechnemu uznaniu, skodyfikowanemu sposobowi funkcjonowania i wyłaniania.

W dzielnicach wyzwoleńców nie było o tym mowy. Oczywiście istniały zwyczajowe wymogi i struktury, które zastępowały poniekąd te oficjalne. Każda dzielnica miała nieformalną radę złożoną z przywódców świata przestępczego, kierowaną przez najsilniejszego z nich. W Neue Rostock kimś takim był Jurgen Dusek. Wszyscy oni pozostawali w kontakcie, tworząc jeszcze jedną nieformalną radę. Kto do niej przynależał, uchodził jednocześnie za elitę tego światka.

Rada starała się zapobiegać konfliktom i z reguły jej się to udawało. Niemniej gdy któryś z wielkich bossów umierał albo tracił wpływy, a nie miał powszechnie uznawanego spadkobiercy, zawsze oznaczało to wybuch otwartej walki. Oczywiście według reguł podziemia. Niekiedy kończyło się na kilku zabójstwach, czasem jednak dochodziło do rzezi. Taki stan mógł trwać parę dni, ale też długie miesiące.

O ile Neue Rostock był przykładem jednej skrajności, Dolne Radomsko przedstawiało całkiem przeciwny obraz. Pół wieku wcześniej boss, który kontrolował dzielnicę, został zabity przez jednego z rywali, a ten zginął niecały dzień później z ręki kolejnego rywala, który zmarł następnego dnia na skutek ran odniesionych w walce. Zaraz potem dzielnica popadła w anarchię, z której do teraz nie wyszła. Bossom z sąsiednich dzielnic wcale się to nie podobało, ale żaden nie chciał pozwolić, by któryś z nich

zyskał nagle większe wpływy. I tak nic się nie zmieniało, bossa nie było, a Dolne Radomsko przodowało w przemocy. No i było też najbiedniejszą dzielnicą Mesy.



Thandi przemierzała najniższy z poziomów podziemnego ciągu komunikacyjnego. Podobne sieci były czymś zwykłym w miastach rozmiarów Mendel. Zmiana gęstości zaludnienia związana ze wznoszeniem wież antygrawitacyjnych miała swoje ekonomiczne i ekologiczne plusy, zmusiła jednak do opracowania nowych rozwiązań komunikacyjnych. Jednym z typowych sposobów podejścia do problemu było przeniesienie ruchu pod ziemię, z wyjazdami na powierzchnię tylko tam, gdzie było to naprawdę niezbędne. Często oznaczało to lokowanie punktów rozładunkowych także pod ziemią.

Ten ciąg składał się z czterech ulic umieszczonych jedna nad drugą. Z ulicy dojazdowej wyłoniła się nagle inna ciężarówka, która ostro skręciła i obniżyła się niebezpiecznie blisko. Komputer pokładowy Thandi zareagował błyskawicznie, decydując o awaryjnym lądowaniu i zatrzymaniu pojazdu ledwie kilka cali nad nawierzchnią.

– Dranie – mruknęła, nie myśląc nawet o tamtym kierowcy, ale o operatorach systemu, który powinien automatycznie zapobiegać podobnym sytuacjom, nakazując pojazdom zdalnie zmianę prędkości czy poziomu. Zauważyła już jednak, że od paru mil programy kontrolne dostały jakby czkawki.

Kolejna ciężarówka, która wyjechała z tego samego tunelu, skręciła aż na pasmo przeznaczone dla ruchu w przeciwnym kierunku, chwilowo szczęśliwie puste, i zatrzymała się dokładnie naprzeciwko Thandi, prostopadle do jej pojazdu.

Rzut oka we wsteczny ekran potwierdził jej przypuszczenia. Trzecia ciężarówka blokowała drogę z tyłu.

Thandi nie próbowała nawet spoglądać na boki. Po prawej stronie miała ścianę, z trzech kolejnych blokującą ją pojazdy. Sprawdziła za to swoją pozycję w tunelach. Nie od razu zdołała odczytać obraz, ponieważ program lokalizacyjny stosował jedynie oficjalne nazwy dzielnic miasta.

Ostatecznie jednak upewniła się, że wjechała już do Dolnego Radomska. Tylko trochę, ale jak widać i to wystarczyło.

Całkiem możliwe, że operator systemu został opłacony, by skierować ją właśnie tutaj. Ciężarówka nie była wynajęta, tylko kupiona, ale nie mieli jeszcze czasu umieścić logo firmy „Komlanc Intermodal Transport, Ltd” na burcie. Było już gotowe do nalepienia i czekało na właściwy moment w pudle obok wszystkiego, co było potrzebne do urządzenia butików Steph Turner.

Niemniej brak logo nie miał pewnie większego znaczenia w tym przypadku. Gdyby ktoś zechciał, w kilka chwil zdołałby ustalić, że Komlanc Intermodal nie było zarejestrowaną firmą transportową. Takie nielegalne firmy były normą w dzielnicach wyzwoleńców, ale oczywiście nie korzystały tym samym z żadnej ochrony prawnej. Z drugiej strony, w większości miejsc to nie był problem. Najgorsze, co mogło się zdarzyć, to wizyta przedstawicieli miejscowego bossa, którzy w uprzejmy sposób upomnieliby się o opłatę za ochronę, i nawet tę ochronę zapewnili. Victor zamierzał to wykorzystać do przeniknięcia do struktur podziemia.

Tutaj jednak było Dolne Radomsko, w którym brakowało bossa. Dzielnicą zupełnie inną niż Neue Rostock czy Ayacucho. Ktoś zamierzał uprowadzić ich ciężarówkę i zapewne gotów był zabić, żeby tylko osiągnąć swój cel.

Z pojazdów zaczęli wysiadać ludzie. Dwóch mężczyzn z przodu, mężczyzna i kobieta z tyłu. Wszyscy oprócz kobiety byli uzbrojeni w pistolety. Ona niosła jakiś mały pakunek, zawierający zapewne materiał wybuchowy.

– Głupi dranie – mruknęła Thandi, wybierając numer na komunikatorze.



Victor był cztery przecznice od niej, gdy odebrał sygnał. Zaraz włączył specjalny program, który miał oddać mu kontrolę nad pojazdem, a przy okazji ukryć ten fakt przed systemem zarządzającym siecią. Samochód skręcił i przesunął się na najwyższy, komercyjny poziom, i kryjąc się tuż za jakąś ciężarówką, pognął w stronę miejsca, gdzie czekała Thandi.

O ile kierowca tej ciężarówki nie był całkowicie pochłonięty swoimi sprawami, powinien spostrzec Victora. Podczas jazdy ze zdalną kontrolą mógł skupić się na czymś innym, ale trudno było na to tak bardzo liczyć. Inna sprawa, że ryzyko, iż cokolwiek z tym zrobi, było małe. Sam najpewniej był wyzwolencem, nie miał więc raczej skłonności do donoszenia o zauważonych wykroczeniach drogowych.

Prawdziwe niebezpieczeństwo wiązało się z programem kontrolnym sieci, który w zwykłej sytuacji zaraz wyłapałby problem, a właściwie dwa problemy. Pierwszym wykroczeniem Victora było wjechanie prywatnym pojazdem na komercyjne pasmo ruchu, drugim zaś przejęcie sterowania pojazdem w obszarze zdalnego sterowania ruchem. Tyle że zastosowany przez Victora program został przygotowany przez Antona, którego zdolności wykraczały poza to, co potrafili informatycy od systemów kontroli ruchu. Można powiedzieć, że wóz Victora po prostu zniknął z sieci nadzoru, chociaż nadal był na drodze.

Anton dodał też program szyfrujący do ich komunikatorów, co pozwalało na stosunkowo bezpieczne rozmowy. Tylko najlepsze systemy deszyfrujące mogłyby sobie z nim poradzić, a czymś takim dysponowały jedynie agencje rządowe Mesy. Gdyby zaś one się nimi zainteresowały, byłoby bardzo źle i bez wnikania w treść jakichkolwiek rozmów.

Thandi przedstawiła mu pokrótce sytuację.

– Największy problem stwarza ta ciężarówka nade mną – zakończyła. – Zupełnie odbiera mi możliwość manewru.

– Zajmę się tym – odparł Victor. – Ty przypilnuj tych, którzy wysiedli. A skoro o nich mowa, dobrze byłoby, gdyby udało się wziąć kogoś żywcem.

– Yana miała rację. Żadnej z tobą zabawy.



Yana weszła do centralnej kajuty apartamentu na *Brixton's Comet*. Pomieszczenie miało jakąś oficjalną nazwę, której nie pamiętała. Sama nazywała je salonem, Anton zaś „Xanadu”. Gdy spytała go, co to znaczy, odmówił odpowiedzi i mruknął tylko, że to długa i krępująca historia. Yana mu nie uwierzyła. Zilwicki był równie podatny na zakłopotanie co gwałtowny wpływ lawy.

Anton siedział tam, gdzie spędzał większość dnia, czyli przy terminalu stojącego w rogu komputera. Określenie „w rogu” było nieprecyzyjne, ponieważ kajuta nie była raczej kwadratowa i w ogóle robiła wrażenie, jakby projektował ją pomyleniec. To samo odnosiło się zresztą do wnętrza całego liniowca. Pozostawało żywić nadzieję, że chociaż siłownia wygląda normalnie.

Przeszła przez salon do kajuty, którą przeznaczyci na sypialnię. Anton nazwał ją Shangri-La. I w tym przypadku nie wyjaśnił, dlaczego tak

właśnie, i podał nawet te same powody.

Zamontowane tu łoże dałoby się wykorzystać do uprawiania co najmniej czterech znanych Yanie sportów, tyle że było za miękkie, by pewnie na nim stanąć. Ostatecznie więc nadawało się tylko do jednego typu aktywności.

Wróciła do salonu i oparła dłonie na biodrach, które jej zdaniem też były zbyt bujne, chociaż i tak skromniejsze niż inne walory. Rzuciła Antonowi zde gustowane spojrzenie.

– I co? Żadnej z tobą zabawy!

ROZDZIAŁ XXX



Mężczyzna, który zdawał się przewodzić napastnikom, podszedł już do kabiny ciężarówki.

– Hej tam! – krzyknął. – Otwierać!

Dla podkreślenia swoich słów zamachał jednocześnie pistoletem, jakby był to miecz. Co on sobie właściwie wyobrażał?

Thandi zastanawiała się głównie nad tym, czego bandzior zamierza dokonać za pomocą tego pistoletu. Pocisk z wojskowego karabinu pulsacyjnego dałby radę przebić burtę kabiny, podobnie jak inne rodzaje cięższej broni ręcznej, przynajmniej gdyby strzelać z bliska i celnie. To była stosunkowo nowoczesna ciężarówka, przeznaczona do przewożenia ciężkich ładunków, nie mały samochód sportowy. Pistolet był tu na nic.

Być może napastnicy to rozumieli, skoro zabrali też ładunek wybuchowy. Najpewniej z zamiarem wybicia otworu w drzwiach kabiny. Zapewne coś by nawet w ten sposób osiągnęli, ale takie działania musiałyby potrwać około minuty. Jeśli kobieta miała wprawę w takiej robocie, to trochę mniej. Ale tylko trochę.

– Potrzebuję rozpiski czasowej – rzuciła Thandi do Victora.

– Daj mi jeszcze dziesięć sekund. Jeśli bardzo trzeba, zmieszczę się w pięciu.

Victor należał do najbardziej flegmatycznych osób, jakie Thandi dotąd poznała. Był spokojny nawet w bardzo stresujących sytuacjach. Mówił

wtedy całkiem normalnie, nawet puls miał nieprzyspieszony. Był jednak człowiekiem, nie robotem. Skoro odpowiedział całym zdaniem, a nie paroma słowami, to sugerowało, że przejął się sytuacją. Nim skończył mówić, minęły aż trzy sekundy. Kolejne trzy poświęcił zapewne na własne rozpoznanie sytuacji.

Siedem.

Osiem.

Przywódca napastników postukał rękojęścią broni w drzwi kabiny.

– Otwieraj, do cholery!

Do cholery z tobą, pomyślała. Właśnie podpisałeś na siebie wyrok śmierci.

Pora.

Thandi odblokowała drzwi i z całą siłą pchnęła je na zewnątrz. Nadal siedziała, więc masa ciała niewiele dała, ale transformacja nie zmniejszyła w żaden sposób wydolności jej mięśni. Nawet te dodatkowe kilogramy prawie niczego nie zmieniły.

Krawędź drzwi trafiła mężczyznę w twarz, łamiąc mu nos i żuchwę, wybijając większość zębów, rozbijając czaszkę i skręcając kark. Jego bezwładne ciało zostało odrzucone na kilka jardów, nim wywinąwszy niemal pełne salto, spadło na nawierzchnię i znieruchomiało.

Któryś z jego kompanów zaczął zaraz strzelać, wykazując się przy tym nawet niezłym refleksem.

Celował jednak fatalnie. Wszystkie strzałki poszły za wysoko, część nie trafiła w ogóle wabinę i żadna nie przeleciała blisko miejsca, gdzie powinna znajdować się głowa Thandi. Która i tak nie czekała cierpliwie na tę chwilę. Gdy tylko otworzyła drzwi, wyskoczyła z kabiny.

Spadła z wysokości niemal dwóch jardów, niemniej spodziewała się tego i wylądowała bez problemów. Zaraz potem wtoczyła się pod pojazd, gdzie było akurat dość miejsca, przyjęła pozycję strzelecką i zaczęła zabijać napastników. Też użyła w tym celu pistoletu, ale wojskowego modelu, co stanowiło sporą różnicę.

Jej umiejętność celowania także była zdecydowanie wyższej próby, chociaż pierwsze dwa razy chybiła. Zbyt się pospieszyła, zamiast dać sobie pół sekundy na ustabilizowanie broni.

Niemniej nie oznaczało to, że pociski zostały zmarnowane. Tyle że zamiast rozwalić rzepekę kolanową drugiego mężczyzny, zafundowała mu przerwanie tętnicy piszczelowej przedniej i połamanie kości strzałkowej. Mężczyzna krzyknął i jego nogi spłynęły krwią, pistolet zaś poleciał na bok. Zaraz potem napastnik upadł.

Thandi przekląła się pod nosem, ale strzelała dalej. Tym razem postrzeliła oboje napastników dokładnie w kolana.

Drugi z mężczyzn też zawył boleśnie i upadł, ale nadal ścisnął pistolet w garści. Thandi rozbroiła go, po prostu pozbawiając dłoni. Zawsze zwykła oddawać dwa strzały do każdego celu, tym samym strzałki z jej pulsera nie miały żadnych problemów ze zmasakrowaniem wszystkich kości tworzących ludzką dłoń, o tkankach miękkich nawet nie wspominając.

Kobieta stała jeszcze chwilę z szeroko otwartymi ustami i gapiła się na Thandi. Może nie rozumiała, co właściwie się z nią stało, skoro wszystko zdarzyło się tak szybko.

Thandi kusilo przez chwilę, żeby położyć kres jej zagubieniu, albo strzelając jej w drugie kolano, albo w ogóle ją likwidując, ale wydało się jej to przesadą. Kobieta trzymała tylko ładunek wybuchowy, który najwyraźniej nie został jeszcze uzbrojony. Poza tym Victor chciał mieć jeńców.

Wytoczyła się zatem spod ciężarówki i skoczyła przed siebie.

– Kładź się – rzuciła do kobiety, celując w nią z pistoletu.

Tamta spojrzała na swoje kolano. Noga ociekała krwią.

– Ty suko – zaskrzeczała, po czym zamknęła wreszcie usta i upadła. Pakiet wyleciał jej z dłoni i leżał jakiś jard od niej.

Thandi kopnęła go jak najdalej w kierunku klatki schodowej wiodącej chyba do jakiegoś magazynu. Gdyby tam eksplodował, nikomu nie zrobiłby krzywdy. Chyba że ci dranie zastosowali jakieś wyjątkowo silne świństwo.

Gdzie Victor? Sądząc po odgłosach dobiegających z góry, był zapewne dość zajęty. Ale co dokładnie robił?

Thandi uniosła głowę i przez chwilę nie wiedziała, czy śmiać się, czy kłać.

– Cachat, ty... ty...



Victor miał nieco trudniejsze zadanie niż Thandi. Załatwienie czterech ludzi na ziemi nie było dla nich wyzwaniem, jednak osiągnięcie kogoś siedzącego w kabinie ciężarówki wiszącej dziesięć jardów nad ziemią to już trochę inna historia.

Victor zawsze był wierny swoim zasadom prowadzenia starcia, zaczął zatem od staranowania ciężarówki własnym samochodem. Był to lekki pojazd, ważący może jedną siódmą tego co ciężarówka, ale nie chodziło o jej zniszczenie, tylko zepchnięcie na bok. O uszkodzenia własnego wozu nie dbał. Miał dość środków, by kupić następny, czy nawet jeszcze dwadzieścia takich. Zależało mu za to na elemencie zaskoczenia.

Przy zderzeniu potrząsnęło nim bardziej niż pasażerami ciężarówki, ale on się tego spodziewał. Systemy ochronne nowoczesnych pojazdów

wystarczały aż nadto, żeby wyjść z takich kolizji bez szwanku. Nie chroniły jednak w żaden sposób przed zaskoczeniem.

Gdy ciężarówka przesunęła się trochę do przodu i na bok, pod ścianę, ludzie w jej kabinie oniemieli. Ich popłoch wzrósł jeszcze, gdy ujrzeli jakiegoś maniaka siedzącego na masce wozu i celującego do nich z broni.

Która okazała się ręcznym miotaczem granatów.

To był już szczyt wszystkiego.

W kabinie siedziały dwie osoby, mężczyzna i kobieta. Ona była tylko szoferem, on dowodził akcją porwania.

Czy raczej próbą porwania.

– Ej! – wydarła się kobieta. – Ten sukinsyn ma...

Więcej nie zdążyła powiedzieć, ale cóż, los bywa niesprawiedliwy. Granat kalibru trzydzieści pięć milimetrów został zaprojektowany do niszczenia masywniejszych celów niż zwykła ciężarówka. Bez trudu przeszedł przez boczne drzwi i eksplodował niemal dokładnie pośrodku kabiny. Szyby i kawałki konstrukcji posypały się na nawierzchnię. Wszystko, co było w środku, włącznie z dwojgiem napastników, przestało istnieć w swej dotychczasowej postaci.

Automatyczny system sterowania ciężarówką też zasadniczo wydał ostatnie tchnienie, jednak wcześniej zdołał dokonać analizy nowej sytuacji i uznać, że awaria wyklucza dalszą jazdę, dlatego też wyłączył wszystkie systemy. To, że ciężarówka nie zwała się od razu na jezdnię, wynikało z zabezpieczeń. Program awaryjny poszukał jeszcze wolnego skrawka przestrzeni, by posadzić pojazd w możliwie łagodny sposób.

„Łagodny” dla pojazdu o tej masie, oczywiście. Ostatecznie stało się więc tak, że ciężarówka wylądowała na jednym z bandytów, rozgniatając go na miazgę.

Szczęśliwym zrządzeniem losu był to osobnik zabity już wcześniej przez Thandi.

Tymczasem program awaryjny w wozie Victora zadziałał w analogiczny sposób. Jego samochód wylądował jednak na całkiem pustym kawałku jezdni.

Victor wyskoczył ze środka.

– Dobra robota – powiedział.

– A gdzie twoi jeńcy? – spytała jadowitym głosem Thandi.

– Wiedziałem, że mogę na ciebie liczyć – odparł z uśmiechem. – Ilu mamy?

– Trzech. Żaden nie jest w idealnej kondycji, ale sam rozumiesz.

– Byle mogli mówić.

– O czym niby? I w ogóle po co ich potrzebujemy? Osobiście sędzę...

Przerwała i rozejrzała się wokół. Mieli przynajmniej tuzin widzów. Podziemne ulice posiadały też chodniki, chociaż korzystano z nich rzadziej niż na górze. Co najmniej jedna z ruchomych ścieżek była nieczynna i widać było jakąś parę umykającą nią czym prędzej na własnych nogach.

Oddalali się naprawdę szybko jak na piechurów. Wyraźnie woleli nie mieć z całym zajściem nic wspólnego.

– ...że lepsi byliby martwi – dokończyła. – Martwi nie rozsiewają plotek.

– A po co mieliby strzępić języki? Jesteśmy w Dolnym Radomsku, Thandi. Nikogo nie obchodzi, co tu się stało. Chociaż nie. Masę ludzi to zainteresuje, ale tylko miejscowe gangi wyciągną z tego jakieś wnioski. A ci tutaj... – Wskazał na zabitych i rannych. – Oni są miejscowi. Mała szansa, żeby było inaczej. Dlatego chciałem jeńców. Muszę coś ustalić.

– Co niby?

– Coś, co pozwoli orzec, czy moja nagła zmiana planów miała sens. Cóż by innego?

Podszedł do najbliższego rannego. Był to drugi z mężczyzn postrzelonych przez Thandi.

– Kto jest twoim szefem? – spytał. – I gdzie go znajdę?

Mężczyzna, który rozpaczliwie starał się zatamować krwawienie, spojrzał tylko na Victora i rzucił krótkie:

– Pierdol się!

– Nazwisko twojego szefa – powtórzył Victor, wyciągając mały pistolet. – I jego obecne miejsce pobytu.

Powiedział to spokojnie, bez jakichkolwiek emocji. Thandi wiedziała, że był to jednoznaczny sygnał. Victor gotów był zabić z zimną krwią.

– Lepiej mu powiedz – odezwała się do leżącego, wiedzona humanitarnym impulsem. Słabym wszakże, bo nie miała wątpliwości, że bandyci zamierzali zabić ją po porwaniu. – No mów.

– Też się pierdol!

Victor strzelił mu w głowę i zaraz podszedł do kobiety.

– Twoja kolej. Nazwisko twojego szefa. Jego miejsce pobytu. Masz pięć sekund – dodał i zerknął na zegarek.

– Na miłość boską – wyrzuciła z siebie Thandi. – Daj tej biedaczce chociaż dziesięć sekund. Zaczynając... – Spojrzała na czasomierz. – Od teraz.

Twarz Victora ani drgnęła.

– Skoro nalegasz. Masz dziesięć sekund – powiedział do kobiety. – Zaczynając od teraz.

Thandi westchnęła.

– Powiedz mu. Jeśli tego nie zrobisz, zabije cię i przejdzie do ostatniego. Jeśli on nie odpowie, też zginie.

To zajęło jakieś siedem sekund. Victor zaczął odliczanie:

– Trzy. Dwa. Jeden.

– Dość! – krzyknęła kobieta. – Dość! – Uniosła zakrwawioną dłoń, jakby chciała odpędzić Victora. – Zabiłeś już naszego szefa. Był w tej ciężarówce, którą... co jej właściwie zrobiłeś?

Victor zignorował pytanie.

– Ilu z waszego gangu jeszcze zostało? Gdzie macie melinę?

– Zostało? – Kobieta zaniósła się histerycznym śmiechem. – Zostało? Nie ma nikogo więcej. Zabiłeś wszystkich. Wszystkich oprócz mnie i... – Obejrzała się na jedyne ocalałego mężczyznę, który założył sobie prowizoryczną opaskę uciskową z własnego paska i gapił się na nich. – I Teddy'ego.

Victor skinął głową w stronę mężczyzny.

– Miło mi cię poznać, Teddy. – Potem znowu spojrzał na kobietę. – Jak się nazywasz?

Zawahała się przez chwilę, potem wzruszyła lekko ramionami. Właściwie tylko jednym ramieniem, bo drugą ręką przyciskała do rany na kolanie.

– Jestem Calantha Patwary. Mówią mi Callie.

– Ciebie też miło mi poznać, Callie. Jestem Achmed Buenaventura, a moja partnerka to Evelyn del Vecchio. Skoro już się znamy, może zechcecie dla mnie pracować? – Rozejrzał się wokół. – Ta okolica potrzebuje chyba nowego pana.

Callie i Teddy wpatrzyli się w niego ze zdumieniem. Callie znowu otworzyła szeroko usta.

Thandi domyślała się, co musiało szaleć w duszy kobiety. Sama była pod wrażeniem.

Victor Cachat i jego sztuka improwizacji, pomyślała. Pomysłowy jak zbieg z domu wariatów. I proszę, w co się wpakowaliśmy.

ROZDZIAŁ XXXI



Czy on nigdy nie może trzymać się planu? – jęknęła Yana, gdy przeczytała odszyfrowaną przez Antona wiadomość.

– Nie przypominam sobie podobnego przypadku – odparł spokojnie Anton. – Ale pamiętaj, że taki jest cały wszechświat. Też nieustannie odchodzi od planu. Wrzuć na luz. Gdy chodzi o improwizację, Victor gra w osobnej lidze. To prawdziwy geniusz.

Yana nie wyglądała na przekonaną.

– Myślałam, że mamy trzymać się z dala od Dolnego Radomska.

– Owszem, tak było. Trochę za duży tam tłok. Ale teraz mamy punkt zaczepienia, skoro jakiś gang sam z nami zaczął. Czy raczej zaczął z Thandi i Victorem.

Yana zaśmiała się.

– Strzelanina o nagrodę Darwina.

– Tak, to był zamach samobójczy – zgodził się Anton. – Nie planowaliśmy tego, ale co się stało, to się stało. Teraz mamy własny kącik w Dolnym Radomsku, więc czemu z tego nie skorzystać? Teren nie jest łatwy, ale sytuacja ma pewne jasne strony.

– Na przykład?

– Przede wszystkim władze Mesy ignorują niemal wszystko, co tam się dzieje. Saburo wspomniał, że czasem wyślą paru agentów, ale robią to tylko

w szczególnych przypadkach. Na przykład w ramach poszukiwań zbiegłych niewolników.

– Dobrze. Co jeszcze?

– W Dolnym Radomsku nie ma żadnych systemów śledzących. Absolutnie żadnych. Miejscowe gangi niszczą z mety wszystko, co wyda im się podejrzane. Według Sabura agencje przestały już cokolwiek instalować. Czasem tylko nowy szef jakiejś agencji próbuje się wykazać, ale szybko mu przechodzi. Parę tygodni i jest spokój. Jeśli zaś mu nie przechodzi, zostaje zwolniony albo przeniesiony, a jego miejsce zajmuje ktoś z większym rozumkiem.

– Aha. Co jeszcze?

– Musisz opędzać się od innych gangów, ale mafia z innych dzielnic zostawia cię w spokoju. Dla nich to skórka niewarta wyprawki.

– Właśnie! – powiedziała Yana, pewna, że znalazła wreszcie minus nowego planu. – Będziemy musieli marnować masę czasu na walkę z różnymi gangami!

– Ale tym zajmą się już Thandi i Victor. Nasza broszka to na pewno nie będzie.

Yana spojrzała na niego, potem na ekran i podrapała się po brodzie.

– Obawiam się, że szybko przejdą do „ataków uprzedzających”.

Anton uśmiechnął się i jeszcze raz przeczytał wiadomość, po czym wskazał palcem dwa ostatnie zdania.

– Prawdziwy problem tkwi w tym. Mniejsza o gangsterów.

Yana zerknęła na koniec listu: „Ciężarówka w porządku, ładunek cały, ale będziemy potrzebować nowego samochodu osobowego”.

– Gdzie tu problem? – spytała. – Ten handlarz, od którego kupili pierwszy wóz, na pewno ma jeszcze mnóstwo innych.

– Jak to możliwe, że były Scrag pozostaje naiwnym neofitą, gdy chodzi o świat przestępczy? – spytał.

– Jesteśmy superżołnierzami, zapomniałeś? – odparła z uśmiechem. – Czy Achilles i Hektor umieli włamywać się do cudzych domów?

Anton zdumiał się lekko, że Yana zna Homera, ale tylko lekko. Ze Scragami trzeba było uważać, żeby ich nie urazić, chociaż mieli raczej grubą skórę. Tyle że łatwo było ich nie docenić.

Owszem, potomkowie superżołnierzy z Ostatecznej Wojny na Ziemi bywali aroganccy, narcystyczni i dumni ze swojej ignorancji, ale uważano ich czemuś za lepszych od zwykłych żołnierzy. To nie była zwykła propaganda dawnych władców Ukrainy. Nawet przytłoczeni przewagą liczebną wroga superżołnierze byli bliscy wygrania tamtej wojny w początkowej jej fazie. Wszystko zmieniło się dopiero wtedy, gdy po pierwszym zaskoczeniu wszyscy zaczęli sięgać do własnych arsenałów pełnych potworności. I sprawy szybko się posypały.

– Nadal nie wyjaśniłeś, dlaczego Victor nie może po prostu zwrócić się ponownie do tego samego dilera – spytała Yana.

– Pomyśl tylko. Jaka ma być nowa przykrywka Victora? Stara jest już do niczego. Nikt nie uwierzy, że jest tylko dziennikarzem śledczym.

Potarła znowu brodę.

– No tak. Chyba żeby przenieść tę rolę na Thandi.

Anton pokręcił głową.

– Bez sensu. Thandi wygląda jak człowiek od mokrej roboty. Victor raczej to utrzyma, może nawet puści farbę, że mu pomogła. Chociaż główną chwałę za rozbitcie gangu zgarnie sam.

– Wciąż nie rozumiem, dlaczego nie może kupić sobie nowego samochodu.

– A jak stracił poprzedni? Przecież nie przyzna się teraz, jak było naprawdę. Że Thandi wpadła w zasadzkę, a on rozwalił wóz, spiesząc jej na pomoc. Nie, nie. Mowy nie ma. To by nie pasowało do... – Zniżył głos. – Do Achmeda Okrutnego, nowego króla zbrodni w Dolnym Radomsku. A niebawem pretendenta do tronu całego tego szamba. Zapewne.

– Dobrze, rozumiem – odparła Yana. – On zamierzał rozbić ten wóz od chwili, gdy go kupił.

– Ba, od chwili, gdy wylądował na Mesie – poprawił ją Anton. – Albo nawet od chwili, gdy opuścił światy centralne.

– Zgadza się – mruknęła Yana, ucieszona, że nie okazała się wcale taka głupia. – A przecież ktoś taki nie może sobie po prostu kupić samochodu, prawda? Prędzej sprzeda wrak na części i zorganizuje sobie nowy, na przykład zabierając go kolejnemu gangowi, który spróbuje z nim zadrzeć. To bardzo zły człowiek.

– Nie na darmo nazwałem go Achmedem Okrutnym.



– Jesteś pewien? – spytała Thandi i spojrzała na kulawych gangsterów ściśniętych na tylnej kanapie ciężarówki w sposób sugerujący, że obce są jej wszystkie ludzkie odruchy. Ani śladu miłosierdzia, współczucia czy empatii. – To droga sprawa.

– Mamy masę forsy, pora ją wykorzystać.

Callie i Teddy (Thandi uważała, że to dziwaczne imię dla gangstera) byli już prawie nieobecni. Gdy przeminął szok adrenalinowy, ból odezwał się z pełną mocą, podali im więc środki uśmierzające, żeby byli cicho. Nadal pozostawali przytomni, ale już słabo kontaktowali.

– Nie obawiasz się...

– Że jak pojedziesz stąd do butiku, to ich zdemaskujesz? – Victor pokręcił głową. – A kogo obchodzi, co robimy? Jeśli nawet mesańska policja zauważyła to zajście, odnotuje jeszcze jedną burdę w Dolnym Radomsku. Gęstość zaludnienia wyklucza praktycznie śledzenie tu kogokolwiek. Gliny zakładają, że mafiosi wszystkiego pilnują, i to na nich w razie czego skupi się gniew oficjalnych czynników, nie na płótkach.

Wskazał na otoczenie. Nadal widać było gapiów, ale trzymali się z daleka i starali się nie rzucać w oczy.

– Właśnie załatwiliśmy jedyny gang, który szarogęsił się w tym zakątku. Nikt nie ma tutaj dość dobrego sprzętu, żeby śledzić nas zdalnie. Musiałby osobiście. I byłby bez szans.

Rzeczywiście, takie śledzenie samochodu we współczesnym mieście wymagałoby licznego zespołu doświadczonych agentów. Żaden gang w Dolnym Radomsku nie dysponował takowym i pewnie nawet Dusek by go nie zorganizował bez odpowiednio długich przygotowań.

Thandi przeczesła palcami włosy. To było dla niej coś nowego. I dziwnego. Thandi zawsze nosiła krótkie włosy, jak to żołnierz. Niemniej coś rosło jej na głowie i była z tego czegoś nawet dumna, chociaż nigdy nie przyznałaby się do tego głośno. Albinizm, tak częsty wśród współczesnych mieszkańców Ndebele, skutkował włosami o barwie jasnej platyny, i do tego mocno kręconymi.

Teraz miała włosy pasujące do reszty postaci. Ciemne i całkiem zwyczajne. Wyglądały jako tako tylko dlatego, że były krótkie na jakiś cal. Sterczała z nich idiotyczna, szarobrunatna kitka, mająca zapewne hołdować modzie panującej na jej rodzinnej planecie, zwanej Pezenec. Thandi nigdy tam nie była, ale poczytała sporo o owym świecie podczas drogi na Mesę.

– Dobrze – powiedziała. – Gdzie i kiedy teraz się spotkamy? – Nie spytała go, co zamierza robić i dokąd pójść. Tego nie musiała wiedzieć.

– Nie wiem dokładnie. To zależy od paru rzeczy. Pewnie za jakieś dwa dni, chyba że coś mocno się skomplikuje.

Powiedziawszy to, otworzył drzwi i wysiadł. Gdy stanął na ziemi, poświęcił kilka sekund na obserwację okolicy, po czym oddalił się energicznym krokiem w stronę jednego z budynków za nimi.

Thandi nie odprowadzała go spojrzeniem. Zapaliła silnik i wprowadziła cel podróży. Poszło jej szybko, bo był ten sam co wcześniej, jeszcze przed zasadzką.

Czy po dzielnicy już się rozeszło, jak wyglądała ta zasadzka? Powinno.

Zastanowiła się nad tym przez chwilę i ruszyła dalej.

Takie zasadzki to mogą sobie... Tak, głęboko i z rozmachem. A jeśli trzeba, ona zawsze będzie gotowa pomóc.



Mężczyzna wzbudzał przerażenie, ale matka Hasrula miała się coraz gorzej. Musiał skombinować jakieś pieniądze na lekarstwa dla niej, i to szybko. Obawiał się, że bez nich mama nie pociągnie długo.

– Nie opowiadaj – powiedział mężczyzna i oparł się ramieniem o ścianę budynku. Zrobił to jednak dziwnie lekko i Hasrul był pewien, że mógłby w każdej chwili zerwać się do walki. – Prawie mnie obraziłeś. Naprawdę sądzisz, że okradłbym kogoś takiego jak ty?

Hasrul ani myślał przyznać się do tego głośno, ale czuł, że mężczyzna nie kłamie. Chłopak nie był ubrany najgorzej, ale za kilka miesięcy jego rzeczy mogły zacząć przypominać łachmany. Choroba matki wyczerpywała środki rodziny. Niewiele zostawało nawet na te najpotrzebniejsze rzeczy.

– Nie mam narzędzi – zaprotestował. – I nie stać mnie na nie.

– Nie oczekiwałem tego. Ani jednego, ani drugiego. – Mężczyzna przechylił lekko głowę. – Ale chyba nie powiesz mi, że nie znasz kogoś, kto mógłby to uczynić i ma odpowiednie narzędzia? Jeśli to zrobisz, obrazisz mnie po raz drugi i wejdiesz na cienki lód.

Hasrul zignorował groźbę. Owszem, gość wzbudzał przerażenie, ale wokół było takich pełno, a Hasrul przywykł do pogroźek. Ciekawsze wydawało się to, że tamten użył słowa „lód”. Już wcześniej zdradził się dziwnym akcentem, ale teraz wszystko było już jasne. Musiał być z innego świata. Na Mesie nikt tak nie mówił, a lód występował tu tylko w zamrażarkach i na biegunach.

Może to dziwne, ale Hasrul poczuł się pewniej. Byli w Dolnym Radomsku ludzie gotowi zamordować dwunastoletniego chłopca nawet dla tego nędznego ubrania, ale ktoś, kogo było stać na bilet na statek kosmiczny, nie bawił się przecież w takie rzeczy.

– Tak, jasne, znam kogoś. Co mam mu powiedzieć? I co będę z tego miał?

Mężczyzna wskazał kciukiem za siebie. Uszkodzone pojazdy stały na końcu uliczki i było je dobrze widać.

– Powiedz mu, że mam jeden samochód po wypadku, całkiem porządny, lecuycer 80 zed alpha, i dwie ciężarówki. Może je rozebrać i sprzedać wszystko, co zdoła.

Jedna z ciężarówek nie była wcale uszkodzona, ale Hasrul wiedział, że bezpieczniej będzie rozebrać ją na części, niż próbować sprzedać cudzy pojazd. W Dolnym Radomsku mógłby sobie jeździć, tutaj policja nigdy by go nie namierzyła, ale przy wyjeździe dokądś dalej zaczęłyby się kłopoty. Tam zawsze sprawdzali rejestrację i wszystko inne.

– Jaki podział?

- Siedem do trzech.
- Dla kogo?
- Jeśli dobrze się uwinie, siedem dla niego, trzy dla mnie.
- Będzie próbował oszukiwać.
- Wiadomo. Ale jeśli nie będzie zbyt chciwy, przymknę oko.
- A skąd ma wiedzieć, kiedy stanie się zbyt chciwy?

Mężczyzna po raz pierwszy się uśmiechnął. Teraz był jeszcze bardziej przerażający.

– To proste. Gdy zobaczy swój mózg spływający na ziemię, to będzie znaczyło, że przesadził. Możesz mu więc doradzić ostrożność.

Dla Hasrula było to całkiem jasne postawienie sprawy, a co więcej, poczuł się znacznie lepiej. Było coś dziwnego w sposobie, w jaki ten mężczyzna wypowiadał groźby. Jakby wcale nie chciał nikogo nastraszyć, a tylko przepowiadał przyszłość. I to taką, która na pewno się zdarzy. Nawet wróżka, stara Bianka, nie potrafiła wygłaszać przepowiedni z takim przekonaniem.

Hasrul naprawdę nie wyobrażał sobie, żeby ktoś taki zrobił krzywdę dwunastolatkowi. Nie dlatego, że nie był bezlitosny, ale po prostu to byłoby poniżej jego godności.

Została jeszcze jedna ważna sprawa do uzgodnienia.

- A co będzie dla mnie?

Mężczyzna odsunął się od ściany i stanął prosto.

– To już twój wybór. Albo pięć procent tego, co sam dostanę, albo przysługa.

- Co to znaczy przysługa?

– Będę ci winien przysługę. Jakąkolwiek. I wywiążę się, oczywiście w granicach rozsądku.

– A kto zdecyduje, czy to będzie w granicach rozsądku?

– Oczywiście ja. – Uśmiech powrócił na twarz mężczyzny, tym razem jakby podszyty prawdziwą wesołością. – Nie obawiaj się. Jeśli nie będę mógł albo chciał czegoś zrobić, poproszę o inną propozycję. Nie zrobię ci krzywdy, tylko powiem po prostu „nie”.

Pięć procent byłoby oczywiście sensownym wynagrodzeniem, ale...

Wystarczyłoby na lekarstwa tylko przez kilka tygodni. A w tym gościu było coś niezwykłego.

– Jak się nazywasz?

– Achmed. Achmed Buenaventura.

– Jestem Hasrul Goosens. Jesteś mi winien przysługę. To znaczy będziesz winien. Za jakieś cztery godziny.

ROZDZIAŁ XXXII



Zwariowałaś? – syknął Andrew, gdy zajrzał do kabiny ciężarówki i zobaczył dwoje kryminalistów.

– To był pomysł Victora, nie mój – odparła Thandi. – I nie ma co gardłować. Co się stało, to się nie odstanie.

– Jak to nie? – Andrew wskazał oskarżycielsko na obiekty swego gniewu. Wyglądało to jednak dość głupio. W kabinie było ciasno i musiał trzymać rękę tuż przy piersi. – Wyrzucić ich gdzieś daleko i już.

– Nie. Nie zrobimy tego, Andrew. Porzuć ten pomysł. Pomóż mi raczej wziąć ich do środka.

– Ludzie zobaczą! Zaczną coś podejrzewać.

– To podjazd zaopatrzeniowy. Nikogo tu nie ma.

– Ale są lampy uliczne.

– Pięćdziesiąt jardów stąd. Niczego nie oświetlają.

– Ale ktoś...

– Zamknij się. I przytrzymaj drzwi.

Wyciągnęła rękę i uniosła Callie w podobny sposób, jak zwykli to czynić strażacy, po czym wyniosła ją na zewnątrz. Stamtąd łatwo było już przetransportować nieprzytomną kobietę do wnętrza wynajętego domu.

Artlett szczęśliwie nie odzywał się już więcej, tylko posłusznie przytrzymał drzwi. W środku Thandi ułożyła Callie na podłodze w pokoju na tyłach. Na razie nie był umeblowany.

Dwie minuty później Teddy znalazł się obok niej.

– Dobra, teraz wyposażenie.

– Trzeba wnieść tylnymi drzwiami. Te są za małe.

Podczas gdy Andrew poszedł do właściwego wejścia, Thandi zawróciła ciężarówkę i objechała dwa sąsiednie tunele. Jak to zwykle bywało z wieżowcami, zaopatrzenie dostarczano do nich podziemnymi wejściami. Z rannymi nie chciała się tam pokazywać, bo niemal na pewno ktoś kręcił się w okolicy. Z wyposażeniem było łatwiej. Znajdowało się w sporych pojemnikach opatrzonych logo firmy i nawet uważny obserwator nie wypatrzyłby niczego szczególnego. Poza tym właśnie otwierali własny biznes, potrzebowali mebli i całej reszty.

Pierwszy z wyładowanych kontenerów zawierał sprzęt szyfrujący i antypodsłuchowy. Nie był wcale największy, mierzył dwa jardy na jeden i jeden jard, ale ważył swoje. Podpięła go do generatora antygravitacyjnego, nie sprawił więc jej kłopotu.

Andrew pilotował ją, a potem poprowadził stromymi schodami do piwnicy, z wejściem poniżej poziomu ziemi.

– Nie ma windy?

– Jest, ale nie działa. Taka dzielnica.

Thandi nawet się nie zirytowała. Teraz, gdy mieli już oboje kryminalistów pod dachem, humor wyraźnie się jej poprawił, uwagi Andrew zaś wręcz bawiły.

Wskazał ręką na sufit.

– Windy obsługujące wyższe piętra w zasadzie działają, ostatecznie to trzysta kondygnacji. Jednak budżet na serwis jest bardzo skromny i utrzymuje się tylko to, co naprawdę niezbędne. Wind w piwnicy zaś używają tylko sklepikarze. Jeśli chcą mieć je sprawne, niech zapłacą.

Jak się okazało, piwnice miały pięć kondygnacji, i Thandi szybko zrozumiała, dlaczego Andrew i Victor nie obawiali się, że ktokolwiek namierzy ich sprzęt. Byli zdecydowanie za głęboko, a dodatkowo maskowały ich wszystkie stropy powyżej. Żaden silniejszy sygnał nie miał prawa się stąd wydostać, miasto zaś produkowało tyle elektronicznego szumu, że słabe sygnały łatwo w nim ginęły.

Wyładowawszy pierwszy kontener, Thandi zwinęła uprzęż generatora i wróciła na górę po resztę towaru. Obracała tak kilka razy, a największy kontener zostawiła na koniec. Zawierał moduł medyczny, który był bardzo ciężki. Nie miał szansy zmieścić się na schodach do piwnicy, na górę też raczej nie dałaby rady go wnieść, musiał więc trafić do któregoś z tylnych pokoi na parterze. To stwarzało niejaki ryzyko, ale nie było innego wyjścia.

Victor bardzo nalegał na ten sprzęt. Uważał, że może okazać się nawet bardziej potrzebny niż urządzenia szyfrujące. Thandi odnosiła się do tego sceptycznie, ale nie zamierzała się spierać. Anton też nie oponował.

A teraz... Wyglądało na to, że Victor miał rację. Istniało wiele sposobów na zachęcenie ludzi do wstąpienia do nowego gangu i chociaż nigdy wcześniej się nad tym nie zastanawiała, musiała uznać, że zaoferowanie dobrej opieki medycznej wydawało się jednym z najlepszych.

Nie był to najnowocześniejszy moduł, bo taki musiałby zostać wyprodukowany na Beowulfie, jednak sprowadzenie stamtąd czegokolwiek na Mesę nie byłoby najlepszym rozwiązaniem. Zakupili więc inny, podobnej klasy, ale ze Strathmooru. Nie był on równie uniwersalny jak duże szpitalne moduły, ale komplet funkcji nie powinien im być potrzebny. A jeśli nawet, to tylko w beznadziejnej sytuacji, na przykład w katowniach służb bezpieczeństwa Mesy.

Ponieważ Andrew był ciągle zajęty elektroniką, Steph sama musiała zdecydować, gdzie ustawić moduł.

– Chyba całkiem na tyłach. Obok kuchni jest spora nisza. Gdyby dosunąć go do ściany, Andrew mógłby zamaskować go potem odsuwanyymi półkami. To prymitywny sposób, ale chwilowo niczego lepszego nie wymyślimy.

– Dla mnie to ma sens – powiedziała Thandi. – Przy dokładnym przeszukaniu znajdą go, ale gdyby doszło do takowego, lokal i tak byłby spalony. Fałszywa ściana z półek, na przykład z zapasami żywności, w zwykłych okolicznościach, gdyby na przykład ktoś wlaź tam przez pomyłkę, powinna wystarczyć. Albo gdyby złodziej się włamał, chociaż przy naszym sprzęcie to mało prawdopodobne.

– Na złodziei mam jeszcze noże – dodała rzeczowo Steph. – Nie wzięłam wszystkich, skoro nie otwieramy restauracji, ale i tak sporo.



Nie trwało długo, a wszystko było gotowe. Przyszła pora na pierwsze użycie modułu medycznego.

– Kto pierwszy? – spytała Steph.

– Kobieta. Ma poważniejsze obrażenia.

Steph zmarszczyła brwi.

– Skąd wiesz? U obojga nogi wyglądają paskudnie.

– Sama ich postrzeliłam i wiem, gdzie trafiły strzałki. Callie straciła całe kolano, Teddy nie, chociaż okoliczne tkanki są zmasakrowane.

– Skoro tak mówisz, pani życia i śmierci.

– Mogłam ich po prostu zabić.

Thandi nie dodała, że w sumie chętnie by to zrobiła, gdyby nie wyraźne polecenie Victora.



Mając kilka wolnych godzin, Victor postanowił spędzić je produktywnie. Trzy ze skrzynek kontaktowych, założonych podczas ich poprzedniego pobytu na Mesie, znajdowały się akurat na tyle niedaleko, by mógł dotrzeć do nich względnie szybko. Zakładając oczywiście, że nie wpadnie w jakieś kłopoty, o które nietrudno było w Dolnym Radomsku.

Z drugiej strony, nie oczekiwał problemów. Do tej pory wieści o jego wyczynie powinny rozejść się po najbliższej okolicy, on zaś nie planował dłuższej wyprawy.

Ruszył zatem piechotą. Dwóch rzeczy był pewien. Po pierwsze, wszyscy mieszkańcy dzielnicy na pewno byli wyczuleni na język ciała, zwłaszcza przekaz informujący: „Nie zadzieraj ze mną, nawet o tym nie myśl”. Po drugie, Victor potrafił stwarzać takie właśnie wrażenie. Nauczył się tego jeszcze w akademii, potem sporo ćwiczył w symulatorach. Później, przez lata praktyki, aura drapieznika znalazła potwierdzenie w rzeczywistości. Gdyby ktoś go zaczepił, boleśnie by to odpokutował.

Po drodze rozważał swój nowy plan działania. Z początku myślał o przejęciu władzy w Dolnym Radomsku, ale potem porzucił ten zamiar. To byłoby możliwe, o ile zabrałby się do roboty razem z Thandi. Niemniej zajęłoby zbyt wiele czasu.

Z drugiej strony, ile znaczyło w tych okolicznościach „zbyt wiele”? Sam tego nie wiedział, ale czuł, że pomysł nie był dobry, już dawno zaś przywykł ufać swoim instynktom.

Oczywiście w rzeczywistości nie były to żadne „instynkty”, ale doświadczenie i bystry umysł. Owszem, nie miał takiego doświadczenia jak

Kevin Usher, ale jako samorodny talent był pewnie nawet lepszy od niego.

Jego umysł działał na wielu poziomach, z których część pozostawała poza sferą świadomości. Analizował, dopasowywał, przeliczał, szacował. Można by tu wymienić wiele różnych form aktywności, ale w sumie nie miałyby to sensu. Dla Victora była to bardziej sztuka niż nauka.

Stąd chociaż nie potrafił wyjaśnić, skąd wzięło się przeświadczenie, że nie mają dość czasu, żeby opanować Dolne Radomsko, był pewien, że tak właśnie jest. Międzygwiezdna sytuacja polityczna pogarszała się z każdym dniem, zagłada floty Filarety jeszcze przyspieszyła ten proces. Każdy mający choć trochę oleju w głowie dostrzegał, że Liga Solarna skazana jest na upadek. Nie wiedzano tylko jeszcze, w jaki dokładnie sposób się rozpadnie.

Niemniej w ramach tego procesu należało oczekiwać jeszcze czegoś. Mesę też czekała klęska. Victor był dziwnie pewien, że teraz to nie potrwa już długo.

Zanim dotarł do granicy Dolnego Radomska, podjął już decyzję. Nie musiał opanowywać dzielnic; powinno wystarczyć samo wrażenie, że mógłby to zrobić. W ten sposób dałoby się wykorzystać część pierwotnego planu, czyli użyć mafii Duseka do infiltracji struktur Mesy. Tyle że miałyby wtedy znacznie mocniejszą pozycję, co zawsze przydaje się przy rozmowach z kryminalistami.

Perspektywa ucieszyła go na tyle, że uśmiechnął się szeroko do kierowcy wezwanej taksówki. Pojazd zamówił, opuściwszy dzielnicę, bo do samego Dolnego Radomska żaden taryfiarz by nie wjechał, niezależnie od okoliczności i wysokości obiecanej zapłaty. Niemniej nawet będąc tylko blisko tej enklawy zła, taksówkarz i tak czuł się nieswojo. Poczł się lepiej, widząc uśmiech Victora. Na dodatek uzgodniona zapłata za kilka godzin

pracy okazała się dwa razy wyższa od normalnej stawki i zapowiadało się na to, że zarobi tego dnia trzy razy tyle co zwykle.



Taryfiarz nazywał się Bertie Jaffarally. Nim skończył obwozić Victora po różnych miejscach, w których znajdowały się skrzynki kontaktowe, zaczął nazywać go w myślach Achmedem Serdecznym i kombinował po cichu, jak by tu złapać z nim jakiś stały kontakt. Achmed był bez wątpienia nie stąd, a goście spoza planety często wynajmowali taksówki na całe dni.

Oczywiście nie miał przy tym pojęcia, czym naprawdę zajmuje się jego klient, chociaż znał termin „skrzynka kontaktowa”. Spotkał się z nim w paru thrillerach, ale nie wiedział, jak coś takiego mogłoby wyglądać. Pewnie było podobne do staromodnej skrzynki pocztowej.



W obecnych czasach nikt nie używał skrzynek pocztowych poza szczególnymi okazjami. Termin „skrzynka kontaktowa” odnosił się do znanej od wieków metody utrzymywania łączności pomiędzy agentami bez ryzyka związanego z bezpośrednim spotkaniem.

Pierwsza ze skrzynek mieściła się w cyberschowku zamontowanym w narożniku windy pewnego biurowca. Schowek był dodatkowo chroniony maską szyfrującą, dostępny zaś stawał się jedynie wówczas, gdy winda wjeżdżała kolejno na cztery konkretne piętra, w tym przypadku 115, 38, 209 i 66. Była to zapewne najbezpieczniejsza z przygotowanych przez Victora skrzynek, niemniej była też trudna w obsłudze z racji małych szans na bycie jedynym pasażerem podczas wszystkich czterech kursów. Operacja, która teoretycznie mogła zabrać tylko kilka minut, potrafiła znacznie rozciągnąć się w czasie. Victor musiał odbyć ostatni kurs aż trzy

razy, zanim udało mu się aktywować cyberschówek, wysyłając jednocześnie właściwy sygnał z kompa, żeby ściągnąć zawarte w skrzynce dane.

Drugie miejsce znajdowało się w salonie rozrywki. Skrzynka została zamontowana w automacie wróżącym i Victor był z niej bardzo dumny, chociaż Anton długo wyrażał się o niej ironicznie. Mógł, ponieważ to on przeprogramował automat. Dla Victora byłoby to zbyt trudne zadanie. Jego rola sprowadziła się do przekupienia szefa salonu, by uzyskać dłuższy dostęp do maszynki. Wyjaśnił, że musi sprawdzić, czy jego żona korzysta z niego, by sprawdzić wierność małżonka. Było to dość absurdalne wytłumaczenie, ale szefowi nie zrobiło różnicy. Dla niego ważny był jedynie solidny bakszysz.

W tym przypadku starczyło wejść do boksu i wprowadzić albo ściągnąć dane, korzystając z jednorazowego szyfru opartego na popularnej książce kucharskiej. Przepisy z niej zostały ponumerowane z wykorzystaniem liczb pierwszych mieszczących się w przedziale od stu do jednego. Było ich tylko dwadzieścia pięć, ale szansa, że skrzynka będzie wykorzystywana więcej razy, oscylowała w okolicy zera.

Victor nie trudził się rozszyfrowywaniem niczego na miejscu. Raz, że zapewne i tak skrzynka była pusta, a dwa, trwałoby to za długo. Nikt nie spędzał w takim boksie wiele czasu. Automat był tanim modelem, wyposażonym jedynie w kilkadziesiąt „wróżb”, i żadna nie trwała dłużej niż minutę.

Trzecia skrzynka była jego ulubioną, chociaż też najmniej pewną ze wszystkich trzech.

Podobnie jak inne planety o łagodnym klimacie, Mesa cieszyła się oceanami pełnymi ryb. Nie były to dokładnie ziemskie ryby, ale ich miejscowe odpowiedniki, bardzo w sumie podobne do oryginałów.

Ewolucja przebiegała tu podobnie, produkując opływowe i symetryczne stworzenia wodne z łbem, płetwami i ogonem, chociaż ogony te były poziome jak u ziemskich waleni. Poza tym większość była raczej mięśniopłetwa niż promieniopłetwa.

Dla przeciętnego człowieka to wystarczało, by nazywać je po prostu rybami, nawet jeśli układ ich wewnętrznych organów był trochę odmienny.

Kombinacja dwóch czynników – obfitości ryb i wielkiego ubóstwa – zawsze prowadziła do powstawania wielkich targów rybnych z wieloma stoiskami i całą masą wystawionych na sprzedaż ryb. Liczba stoisk była zmienna, ale nigdy nie spadała poniżej dwudziestu. Ponieważ mesański tydzień też miał siedem dni, uznawany za standard niemal na wszystkich skolonizowanych planetach, a Victor lubił liczby pierwsze, klucz był łatwy do zapamiętania. Należało umieścić wiadomość na rybie na stoisku odpowiadającym konkretnemu dniowi tygodnia, zakładając, że tydzień zaczyna się od poniedziałku, i kierując się następnie na południe i przeskakując liczbę pierwszą dwa.

Tego dnia był czwartek, co oznaczało jedenaste stoisko od południa. Victor sprawdził także siódme i piąte, bo nie mógł zakładać, że wiadomość trafiła tu dokładnie tego samego dnia. Równie dobrze mogło zdarzyć się to w środę lub we wtorek, jednak nie wcześniej. Ryby były nietrwałym, a ponadto jadalnym produktem. Wiadomość starsza niż trzy dni zostałaby raczej wyrzucona albo skonsumowana.

Chociaż raczej nie dosłownie zjedzona. Mikroczip miał zostać wciśnięty w płetwę ogonową, a tych raczej nikt nie jadał, nawet będąc w największej biedzie, nie licząc miłośników miejscowej zupy, do której wykorzystywało się całe ryby, nawet z wnętrznościami. Niemniej nawet wówczas byłoby to trudne, ponieważ tworzywo, z którego mikroczip był sporządzony, rozpuszczało się podczas gotowania.

Największa sztuka sprowadzała się do odszukania właściwej ryby. Najpopularniejszym z jadalnych gatunków była ryba zwana bacau, na którą trafiało się dosłownie na każdym stoisku. Agent zostawiający wiadomość powinien był wybrać bacau w głębi wystawy, sztukę z najjaśniejszym paskiem bocznym. Uważano powszechnie, że taki pasek świadczy o pochodzeniu ryby ze skażonego środowiska. Tak przynajmniej mawiali wyzwoleńcy, bo wolni obywatele rzadko jadali bacau. Mieli zresztą rację co do tego skażenia, niemniej Victorowi to nie przeszkadzało, ponieważ nie miał zamiaru konsumować owej ryby. Bacau silnie zalatywały tranem i ci, których stać było na coś lepszego, omijali je z daleka, te zaś z jasnym paskiem schodziły wyjątkowo opornie i często w ogóle nie znajdowały nabywcy.

A najbardziej podobało się Victorowi w tej skrzynce to, że nie musiał czekać, by przekonać się, czy ktoś coś w niej zostawił. Ostatecznie nikt postronny nie wpadłby na pomysł, by przyczepiać rybie czip do ogona.

Obejrzał się na sprzedawcę, ale nikt go nie obserwował. W przeciwnym razie musiałby kupić rybę. Nie chodziło o pieniądze, ale o dyskomfort, gdyby musiał później z nią łączyć.

W kilka chwil sprawdził ogony czterech bacau z najjaśniejszymi paskami. Czip był mały i wyglądał na część płetwy, ale można go było dostrzec, gdy wiedziało się, czego szukać.

Nic. Przeszedł do siódmego stoiska. Znowu nikt nie patrzył. Tu miał do sprawdzenia tylko trzy ryby.

Znowu nic. Teraz piąte stoisko.

Pierwsza ryba, której dotknął, miała przyczepiony czip.

Ten sprzedawca był czujniejszy. Zerkał wyraźnie na potencjalnego klienta. Nie podejrzliwie, ale co najmniej z zastanowieniem.

Trudno. Trzeba kupić tę rybę.

Tyle dobrego, że bacau nie były duże. Ta ważyła niecały kilogram.

Gorzej, że śmierdziała. Wiedział, że jeśli nie zapakuje jej czym prędzej do lodówki, będzie źle. Po chwili pomyślał jednak, że przecież może pozbyć się ryby szybciej, jeszcze przed opuszczeniem targu rybnego.

Podszedł do sprzedawcy i spytał o cenę, celowo mówiąc z jak najbardziej obcym akcentem. Tamten musiał uznać go za idiotę z innego świata, bo policzył mu za pospolitego bacau prawie jak za frykas.

Victor niczego innego oczywiście nie pragnął. Nie miał najmniejszych szans uchodzić za tubylca. Tożsamość głupkowatego turysty, który w niczym się nie orientuje, była wybitnie wygodna. Zwłaszcza takiego, który kupuje bacau za sumę, za którą mógłby dostać perido bez skorup albo pół kilo kinta.



Victor pozbył się ryby w najbardziej logiczny sposób, czyli rzucając ją na stertę innych bacau na straganie przy samym wyjściu. Mikroczip miał już wtedy schowany w kieszeni. Wolałby trzymać go w ustach, żeby od razu go połknąć w razie konieczności, ale użyty w tym przypadku materiał był naprawdę delikatny i reagował ze śliną tak jak z gorącą wodą.

Gdy wrócił do taksówki, ponownie uśmiechnął się szeroko do Bertiego. Był w naprawdę dobrym humorze. Nie spodziewał się, że znajdzie cokolwiek. Oczywiście musiał poczekać z odszyfrowaniem przekazu, ale to z pewnością była dobra wiadomość. Przynajmniej jeden z rebeliantów, z którymi poprzednio współpracowali, nadal żył i działał.

Chociaż niekoniecznie. Mogło być i tak, że został pojmany i zdradził położenie skrzynki, wiadomość zaś została podłożona przez agentów bezpieczeństwa. Niemniej dzień był słoneczny i Victor nie miał ochoty się

zamartwiać. Ostatecznie poranek zaczął się dobrze. Wpadli w pułapkę i udało im się to obrócić na swoją korzyść. To był dobry znak, nawet jeśli Victor nie wierzył w głupie przesady.

– Dokąd teraz? – spytał Bertie.

– Na dziś koniec z obowiązkami. Zawieź mnie tam, gdzie wsiadłem. – Wyciągnął komunikator. – I daj mi swój numer, żebym mógł cię znaleźć. Możliwe, że często będę potrzebował taksówki.



Bertie był wręcz zachwycony Achmedem. Żeby wszyscy klienci byli tacy...

ROZDZIAŁ XXXIII



Będę z panem szczery, panie Huygens. Jak pan na pewno wie, mamy chwilowo zastój na rynku, który i bez tego nigdy nie był wielki. Muszę więc powiedzieć panu to samo, co przekazuję innym kontaktującym się ostatnio ze mną sprzedającym. O ile nie zgodzi się pan wziąć na siebie części ryzyka, nie jestem w stanie zaoferować panu wysokiej ceny.

Lajos Irvine zmarszczył brwi.

– A o jakim dokładnie ryzyku pan mówi? – Kusiło go, by spytać, co spowodowało zapaść na rynku organów i tkanek, ale wolał się powstrzymać. Jako Carlos Huygens powinien mieć o tym spore pojęcie. Może nawet znać odpowiedź.

Siedzący po drugiej stronie biurka Triêu Chuanli wyprostował się i splótł dłonie na karku.

– Normalnym ryzyku. W kilku postaciach. Ludzkie tkanki i organy łatwo się psują i trzeba przechowywać je w specjalnych warunkach. Zwykła lodówka nie wystarcza. Chyba nie muszę panu tego tłumaczyć, skoro boryka się pan z tymi samymi trudnościami.

Lajos musiał szybko wykombinować, jak wydostać się z tej pułapki, w którą wpadł. Nie dość dobrze dopracował swoją tożsamość, by pasowała do planu. Powinien był raczej tak ułożyć plan działania, by móc wykorzystać w nim swoje potencjalne tożsamości. Przypomniał sobie stare powiedzenie pisarzy: autor pisze o tym, na czym się zna. To samo powinno dotyczyć agentów w jego sytuacji.

– Jasne. Chciałem się tylko upewnić, że mówimy o tym samym. Jaki udział w ryzyku pan proponuje?

Wstrzymał oddech, niepewny, czy i ten element nie był już zwyczajowo ustalony. Niemniej Chuanli nie zareagował podejrzliwie, zapewne więc kwestia była płynna.

– Przy obecnym stanie rynku oczekiwałbym pokrycia przez pana trzydziestu procent dodatkowych kosztów do chwili, gdy towar zostanie sprzedany. To samo proponuję wszystkim innym.

Lajos uznał, że tym razem może bezpiecznie zadać pytanie.

– Wielu mam tutaj konkurentów?

– Dwóch. I nie nazwałbym ich dokładnie konkurentami. To nie są zawodowcy, działają prywatnie, a w jednym przypadku to dopiero możliwość. Dogadaliśmy się, że towaru jak dotąd nie ma.

Gangster będący dowódcą mafijnych żołnierzy Duseka uśmiechnął się lekko.

– Co oznacza, że pewnie czekają, aż ktoś umrze, i nie chcą tego przyspieszyć. Sądzę, że chodzi o kogoś z ich rodziny. To domysły, jak jest naprawdę, nie wnikałem.

Lajos pokiwał głową z taką miną, jakby chciał powiedzieć: „Normalne, ciągle na to trafiam”.

W rzeczywistości nie przyszło mu nawet wcześniej do głowy, że ktoś może sprzedać organy członka własnej rodziny. Wyzwolenicy byli z reguły biedni w porównaniu z pełnoprawnymi obywatelami, ale nie aż tak biedni. Ktoś mógł mieć problemy z pokryciem kosztów pogrzebu, ale zwykle rozwiązywano to, przekazując ciało jakiejś uczelni czy instytutowi badawczemu. Pieniądzy z tego nie było, ale organy kogoś, kto umarł

w podeszłym wieku czy z powodu choroby, i tak nie były wiele warte na czarnym rynku.

Wyjątkami mogły być sytuacje, gdy ktoś młody i zdrowy zginął w wypadku albo został zamordowany, chociaż wtedy zwykle wkraczała policja. Lajos przypuszczał, że przyciśnięta nędzą rodzina mogłaby spróbować sprzedać ciało, ale to wyraźnie nie był ten przypadek, skoro dostawcy nie pojawili się jeszcze z towarem. Z jakiegoś powodu czekali...

Nagle dotarło do niego, że w sumie łatwo to wyjaśnić. Na przykład tak, że domniemany członek rodziny umierał z powodu obrażeń, które należało raczej utrzymać w tajemnicy. Może chodziło o kryminalistę, który popełnił wcześniej jakieś przestępstwo? Napad się nie udał i dlatego...

Albo był terrorystą Baletu czy członkiem grupy rewolucyjnej. Wszyscy oni mocno oberwali po Green Pines. I to mogło także tłumaczyć, dlaczego rynek organów tak nagle się załamał.

Lajos poczuł przypływ optymizmu. Może nawet uda się wycisnąć coś z głupiego planu Vickersa. Jak to mawiają? Nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło.

– Czy te warunki panu odpowiadają, panie Huygens?

Lajos otrząsnął się z zamyślenia.

– Hm, tak, panie Chuanli. Trzydzieści procent kosztów. Do przyjęcia.

– Kiedy mogę oczekiwać dostawy?

– To zależy od pana. Co schodzi teraz najlepiej? – spytał, ponieważ się dochodząc do wniosku, że to też powinien wiedzieć, dodał więc pośpiesznie: – U pana, nie ogólnie na rynku.

– Najszybciej schodzą młode organy. Zasada jest taka, że im młodsze, tym lepsze.

– Tak sądziłem, ale chciałem się upewnić. – Lajos wstał i wyciągnął rękę ponad blatem. – Proszę dać mi trzy dni.

– Będę więc pana oczekiwał. – Chuanli też wstał i uścisnął jego dłoń.

Trwało chwilę, nim Lajos zdołał opuścić budynek. Dusek obrał sobie za siedzibę największy kompleks w Neue Rostock. Był to jeden z najokazalszych biurowców w mieście. Niezbyt wysoki, poniżej trzystu pięter, co było zgodne z regulacjami budowlanymi w tych dzielnicach, i zaprojektowany pierwotnie jako centrum handlowe. Przypominał ziggurat z tą jedną poprawką, że dawne piramidy nie wyrastały na dwie trzecie mili w górę i nie miały tylu tarasów. Przez cztery stulecia, które minęły od jego wzniesienia, budynek zmienił się w gigantyczny labirynt. Podobnie jak wcześniejsi królowie zbrodni, Dusek upewnił się, że żadne aktualne plany budynku nie istnieją, co pięć lat zaś dokonywał przebudowy wystarczającej dla zmylenia tych, którzy poznali układ pomieszczeń i mogliby to jakoś wykorzystać. Utrzymywał małą armię młodych ludzi, którzy mieli tylko trzy obowiązki: poznać ten labirynt, służyć za przewodników i zatrzymać tę wiedzę dla siebie. Ktokolwiek z nich spróbowałby wynieść te informacje na zewnątrz, nawet nie pod postacią szkiców, ale w zwykłej rozmowie, zostałyby...

Zniknięty. W gmachu była niezliczona liczba pustych komórek i wnęk, w których można uwięzić człowieka. I zamurować.

Wreszcie jedenastoletnia dziewczynka, która była przewodniczką Lajosa, wyprowadziła go na ulicę. Wokół było widać ślady deszczu, ale teraz zrobiło się pogodnie, chociaż słońce nie docierało na dno wąwozów między niebotycznymi budynkami.

To pasowało do jego nastroju. Sprawy zaczynały przybierać pozytywny obrót. Czy przynajmniej mogły zacząć. Nie należało cieszyć się zbyt wcześnie.



– Sądzę, że jest podstawiony – powiedział Chuanli.

Mężczyzna na ekranie przechylił głowę.

– Dlaczego? – spytał Jurgen Dusek. Nie zakwestionował przypuszczenia. Oglądał nagranie i sam doszedł do podobnych wniosków, miał jednak zwyczaj wysłuchiwać podwładnych. Między innymi dlatego dobrze się dla niego pracowało, dopóki ktoś go oczywiście nie rozgniewał. Wtedy boss stawał się zupełnie innym człowiekiem.

– Plątał się – odparł Chuanli. – Chyba nie zna dobrze tego interesu. Jaki zawodowiec pytałby o takie rzeczy?

Dusek pokiwał głową.

– Też odniosłem podobne wrażenie. Dobrze, uznajemy zatem, że to sztyft. Ale czyj? Kim naprawdę jest i czego chce?

– Może pracować dla któregoś z naszych rywali mającego ochotę na powiększenie terenu wpływów. Mógł go przysłać McLeod. Albo Bachue Nos.

Dusek pokręcił głową.

– Możliwe, ale mało prawdopodobne. McLeod jest zbyt ostrożny. Nos czasem kręci, ale jest za cienka, żeby poważnie z nami zadzierać. Poza tym dlaczego mieliby startować właśnie w tej branży? Są lepsze. Wiesz, jak wygląda rynek organów. Jest strasznie chimeryczny. Czasem sam mam ochotę dać sobie z nim spokój.

Chuanli wzruszył ramionami.

– Przedstawiam różne opcje. Sam nie przypuszczam, żeby tak było, ale inne warianty wydają mi się jeszcze mniej sensowne.

Dusek wiedział, o czym mowa. Alternatywne wyjaśnienie zakładałoby, że „pan Huygens” pracował dla którejś z agend Mesy. Pewnie nawet

rządowej, chociaż trudno było wykluczyć prywatne zlecenie.

Normalnie Dusek zgodziłby się z Chuanlim, że to jeszcze mniej prawdopodobna wersja niż nasłanie gościa przez inny gang. Bo i po co niby taka agencja miałaby inwestować w podobnie złożoną akcję? Agenci z dwóch instytucji zainteresowanych na co dzień Neue Rostock, czyli Tableland Auditor Board i Interservice Verification Agency, wiedzieli świetnie, jak dotrzeć do Duseka. Dyrektor TAB miał nawet jego prywatny numer.

Jurgen dbał o to, żeby żyć z nimi w zgodzie. Zwłaszcza z TAB. Dzięki temu unikał napływu ludzi Baletu i innych radykałów do Neue Rostock. Nie kochał władz, ale czasem wydawał im jednego czy drugiego wichrzyciela, chociaż nigdy nie ruszał członków Baletu. To byłoby zbyt niebezpieczne.

Po co więc ktoś miałby mieszać mu w interesach, i to w taki dziwny sposób?

Ostatecznie to Chuanli wyraził głośno to, co obu im chodziło po głowie. I co należało powiedzieć, chociaż obaj dalecy byli od pewności.

– Gdybym miał zgadywać dalej, postawiłbym na dwie możliwości. Pierwsza, to że któraś z agend ma nowego szefa, który próbuje się wykazać.

– Nowa miotła i tak dalej. Jasne. A ta druga możliwość?

– Druga wiąże się z faktem, że wszystko zaczyna się sypać, szefie. Na razie powoli, ale nabiera tempa.

Dusek skrzywił się kwaśno.

– Nie lubię takiego czarnowidztwa. Interesy idą normalnie.

Jego podwładny wzruszył ramionami.

– Też mi się to nie podoba, ale sądzę, że Manpower wkurwił zbyt wiele państw. Co gorsza, jego nowi wrogowie mogą załatwić go na cacy. Solarni

stracili... ile? Czteryście superdreadnoughtów?

– Jakoś tak. – Wiadomość o zagładzie floty Filarety w układzie Manticore właśnie dotarła na Mesę. Przynajmniej oficjalnie. Ci u sterów władzy pewnie słyszeli już coś tydzień temu. Dusek rozumiał, jakie to musiało mieć skutki. – A jeśli tego dokonali, to trudno oczekiwać, że zawahają się przed zniszczeniem Manpower?

– Właśnie. A skoro ja to dostrzegam, to masa innych ludzi pewnie też. Na przykład agenci różnych służb bezpieczeństwa.

– Ale to nie wyjaśnia jeszcze obecności tego gościa.

– Tego akurat nie, ale gotów jestem się założyć, że nadciąga sezon cudów. Nagle okaże się, że wszyscy pracowali dla samych zastępów niebieskich.

W zasadzie była to tylko hipoteza, ale Dusek miał ją za wielce prawdopodobną.

– Dobra. Na razie trochę go przytrzymamy i zobaczymy, co będzie dalej. A póki co zadzwonię do mojego oswojonego agenta i zobaczę, czy dorzuci coś do obrazu.



– Słyszałeś – powiedział Lajos. – Niemowlęta, dzieci, podrostki. Wystarczą tkanki, ale najlepsze byłyby organy.

Oficer na ekranie dalej gapiła się na niego, jakby niczego nie rozumiała. Może była opóźniona w rozwoju.

– Dalej, pani Mendez – dorzucił Lajos. – Musicie coś mieć.

– Ale... – Mendez spojrzała w bok na coś albo na kogoś. Zapewne na kogoś. Trwało to tylko parę sekund. – Ale my mamy tu więzienie, nie żłobek.

Bez dwóch zdań opóźniona w rozwoju. Albo ma przełożonych kretynów, trudno powiedzieć.

– Wiem. Ale wiem też, że należy do was druga największa kostnica w mieście. Nie wierzę, że niczego się w takich miejscach nie pozyskuje. Zwłaszcza z policyjnej kostnicy. Oni mają nieregularne dostawy, u was jest większy porządek. Proszę kazać sprawdzić komuś, co jest na stanie. Na pewno znajdzie się coś z tego, czego potrzebuję.

Kobieta kiwnęła energicznie głową.

– Skontaktuję się z panem.



Zaraz po zakończeniu rozmowy Mendez połączyła się z porucznik Jernigan, która była między innymi od takich spraw. Kobieta trzymała się podczas rozmowy z dala od kompa, żeby nie być widzianą na ekranie. Nie z jakiegoś konkretnego powodu, ale czystego nawyku osoby, która stara się unikać odpowiedzialności za cokolwiek.

– I jak to wygląda, pani porucznik?

– Chyba niczego nie mamy. Normalnie byłoby tak, jak mówił, ale ostatnio wszystko się pieprzy.

Mendez nie skomentowała nawet doboru słów, chociaż postawa Jernigan mogła budzić zastrzeżenia. Od czasu Green Pines wszyscy mieli masę roboty i z niczym nie wyrabiali się w porę. Było źle do tego stopnia, że powzięto nawet decyzję o błyskawicznym ukręceniu łba wszystkim zalegającym i wątpliwym sprawom.

Obejmowało to także dzieci i niemowlęta, które zginęły w wypadkach. O ile nie było jednoznacznych dowodów wskazujących na morderstwo,

z miejsca przekazywano ciała do automatycznego krematorium i wydawano prochy rodzinie.

Będąc bardziej pracowitą i obowiązkową niż Jernigan, Mendez postanowiła sprawdzić rzecz dokładnie. Ale tamta miała rację. W obecnej chwili kostnica służb penitencjarnych nie dysponowała stosownymi zwłokami. Tak samo sprawy się miały w miejskiej kostnicy. Uzasadnienie brzmiało identycznie. Że od kilku tygodni nie daje się normalnie pracować.

Tego było już za wiele. Sprawa kwalifikowała się do przekazania wyższej instancji.

Pod koniec dnia wróciła ona tam, gdzie się zaczęła, czyli na biurko George'a Vickersa, szefa Lajosa.

– Rany – mruknął Vickers. – Czy naprawdę sam muszę wszystko załatwiać?

Zadzwoił do przyjaciela z rady planowania długoterminowego i wyłożył problem.

Przyjaciel, który nazywał się Juan Morris, podrapał się po brodzie i zastanowił.

– Hm. Mam dwa takie typy. Sprawa nie jest jeszcze zakończona, ale zobaczę, co da się zrobić.



Morris odezwał się do niego następnego wieczoru.

– Przepraszam, że musiałeś czekać tak długo, George, ale wszystko się sypie od czasu... Mniejsza o szczegóły. Wiesz, brakujące ogniwo w łańcuchu dowodzenia, i to gdzieś wysoko. Ale wiatry ci sprzyjają, bo Valerie rwie włosy z głowy i co rusz przyspiesza sprawy. Szczęśliwie ma do tego uprawnienia. Jej ulży to w robocie, a tobie się przyda.

– Dobrze. Kiedy...?

– To już załatwione. W jakiej postaci chcesz szczątki? Całe, pokrojone, wypreparowane...?

– Sam nie wiem. Zostawcie je w całości, ale spuście płyny ustrojowe. I zapakujcie jakoś. Niech Irvine się martwi, co dalej z nimi zrobić.



Następnego dnia przesyłki trafiły do gabinetu Lajosa. Gdy otworzył pojemniki, przez długi czas wpatrywał się w ich zawartość. Czasem naprawdę nie cierpiał tej pracy.

W ciągu ostatnich miesięcy takie chwile trafiały się coraz częściej.

Lajos poczuł się wyróżniony, gdy po Green Pines przyjęto go do wewnętrznego kręgu w nagrodę za rozwiązanie sprawy zdrady McBryde'a. Gdy jednak zaczął poznawać z czasem cele i metody Równania, miał do nich coraz więcej zastrzeżeń.

Spora ich część brała się zapewne z doświadczenia człowieka, który wiele lat przesiedział poniekąd w okopach i nauczył się racjonalnie planować każdy krok. Nigdy nie słyszał o szkockim poecie Robercie Burnsie, ale gdyby ktoś wyrecytował mu słynny cytat *Przemysłne plany i myszy, i ludzi w gruzy się walą¹, usłyszałby, że przecież to nic nowego.

Lajos wierzył też niezachwianie w prawdziwość starożytnego prawa Murphy'ego. Jego zdaniem nie istniały plany, które zdołałyby obejść wspomnianą zasadę, i to w skali wielu stuleci.

Jednak nie wszystkie jego wątpliwości brały się z czystego pragmatyzmu. Względy moralne też odgrywały swoją rolę. Zawsze uważał się za twardego, ale odkrył, że jego bezwzględność ma się nijak do okrucieństwa prezentowanego przez kierownictwo Równania. Potrafił

zaakceptować brutalne obchodzenie się z niewolnikami i wyzwolencami i miał to za przykrą konieczność. Rozumiał, że proces poprawy mesańskiego genomu wymaga ofiar. Z czasem doszedł jednak do wniosku, że Detweilerowie i ludzie z ich bezpośredniego otoczenia w ogóle tych ofiar nie zauważają. Cała niesprawiedliwość i suma wszystkich nieszczęść, których Lajos był świadkiem i które uczyniły go twardym, dla nich były tylko pozycjami w opracowaniach statystycznych. Mało ważnych opracowaniach na dodatek.

Obiekty, które mu dostarczono, były kiedyś istotami ludzkimi. Bardzo małymi i całkiem bezbronnymi. Wiedział jednak, że gdyby tak właśnie opisał je swoim przełożonym, w żadnym razie nie zostałyby zrozumiane.

Dla nich były to tylko... obiekty. Dobre do każdego właściwie wykorzystania, skoro nie przydały się w swej pierwotnej roli.

1. *Do myszy*, przekład Stanisława Barańczaka (przyp. tłum.). [↩](#)

SIERPIEŃ 1922 ROKU PO DIASPORZE

„Cholera, żałuję, że spytałam”.

– Stephanie Moriarty, mesańska rewolucjonistka

ROZDZIAŁ XXXIV



Zachariah McBryde nigdy nie opłakał swojego brata. Sam nie wiedział dlaczego. Z początku był zbyt zaskoczony i wstrząśnięty. Nie samą śmiercią Jacka, ale okolicznościami. Nie wierzył, że jego brat popełnił samobójstwo jako zdrajca.

Ostatecznie sam fakt jego śmierci do niego dotarł, ale oficjalna wersja przebiegu zdarzeń, podana przez władze, pozostawała dlań wciąż niewiarygodna. Nie próbował jednak protestować. Milczał.

Należąc do wewnętrznego kręgu Równania i mając taką pozycję jak Zachariah, człowiek nie czuł się jak uległy poddany pod władzę tyrana. Jasne, nie była to demokracja i Detweilerowie zawsze mieli ostatnie słowo, niczym rodzina zawiadująca własną wielką korporacją.

Ale było też coś więcej. W zwykłej korporacji płaciło się pracownikom, kupując w ten sposób także ich lojalność. Detweilerowie nie czynili inaczej, dodatkowo otaczając się jednak ludźmi, którzy podzielali ich wizję przyszłej ludzkości. Byli oddani sprawie i mieli swój cel, zdecydowanie wykraczający poza sprawy doczesne.

Rasa ludzka stworzyła już w dziejach wiele podobnych ideologii i służących im organizacji. Większość z nich miała charakter religijny, niemal cała reszta głównie polityczny, kilka czysto społeczny. Zwykle miały jedną cechę wspólną: skupione na walce z przeciwnikami stawiały na żelazną dyscyplinę i ścisłą hierarchię członków. Czasem dochodziły do tego nawet w demokratyczny sposób i nadal wyznawały etos egalitaryzmu,

w praktyce jednak stawiały na rządy autorytarne czy przynajmniej dryfowały w ich kierunku. Papież mógł być wybierany przez konklawe, ale miał władzę absolutną.

Równanie było bardziej hierarchiczne i autorytarne niż większość jego poprzedników, głównie za sprawą realizowanych celów i przyjętych zasad. Demokrację szanowało pozornie, do egalitaryzmu w ogóle nie przywiązywało wagi. Liczyły się tylko kwestie związane ze statusem genetycznym. Detweilerowie dzierżyli władzę, ponieważ reprezentowali najdoskonalszą z linii alfa. Byli poniekąd jak średniowieczna dynastia monarchów.

Mieli jednak nowoczesne podejście do kwestii wykonywania poleceń i posłuszeństwa. Członkowie jądra, zwłaszcza ci głęboko usadowieni, mieli nawet sporo swobody. Ich zdanie było brane pod uwagę i często zachęcano ich do wyrażania własnych opinii. Gdyby hipotetyczny obcy się im przyjrzał, uznałby zapewne, że ma do czynienia z ludźmi żyjącymi i pracującymi w jednoznacznie demokratycznych strukturach. I równie demokratycznym systemie prawnym.

I trwałby w tym przekonaniu, aż trafiłby na spadający z rozmachem topór. Wtedy dostrzegłby różnicę.

W systemie demokratycznym usunięcie kogoś zajmuje zwykle wiele czasu i jest ściśle regulowane przez prawo. Detweilerowie i ich pomocnicy załatwiali sprawę w kilka minut albo nawet i szybciej. Wszystko trwało dokładnie tyle, ile było potrzeba na przekazanie polecenia zlikwidowania tej czy tamtej osoby i dokonanie morderstwa.

Zachariah wolał więc milczeć na temat rzekomej zdrady brata. Kierownictwo Równania było na tyle profesjonalne, że nie próbowało karać rodziny Jacka. Nie było nawet nieformalnych sankcji. Nikt nie stracił pracy, nikogo nie zdegradowali, nikomu nie odmówiono awansu. Jednak otwarty

protest czy jakikolwiek jawny sprzeciw byłby bardzo ryzykowny. Może nawet niebezpieczny.

Z tych wszystkich powodów, a zapewne też z kilku innych, o których Zachariah nie zamierzał rozmawiać nawet ze swoim terapeutą, opłakiwanie Jacka nie wchodziło w grę.

Gdy teraz patrzył na ojczystą planetę malejącą na ekranie, poczuł w końcu żal i smutek. Może dlatego, że właśnie utracił całą swoją rodzinę. Reszta jego bliskich żyła wprawdzie, ale szansa, że ich jeszcze kiedykolwiek zobaczy, była mała. Teraz, gdy po stuleciach przygotowań byli już blisko ostatniego etapu walki, mogło zdarzyć się wszystko. Ludzie z samego jądra organizacji mieli świadomość, że ta bitwa nie będzie łatwa i z pewnością nie zakończy się szybko.

Zasadniczy problem był od dawna znany i od zawsze wiedziano, czego oczekiwać. Warunkiem koniecznym rozpoczęcia ostatniej fazy był rozpad Ligi Solarnej. Mimo licznych słabości i często popełnianych błędów Liga wciąż była zbyt silna i samą swą wielkością mogła udaremnić realizację planów.

Kiedyś Detweilerowie rozważali wykorzystanie jej do swoich celów, ale nie wpadli na sposób, jak to zrobić. Trzeba więc było ją zniszczyć, gromadząc uprzednio odpowiednio wielkie siły, które musiały jednak pozostać ślepyimi narzędziami. Nie można było dopuścić do tego, żeby pojęły swą rolę, zwłaszcza że spora część z nich była nastawiona wrogo do Równania w jeszcze większym stopniu niż Liga.

Wielka prapraprawnuczka Leonarda Detweilera, Cecilia, ujęła to kiedyś w ten sposób: „Wypuścimy na nich jednego bizona i całą watahę wilków, trudność zaś będzie polegać na tym, że wataha pozostanie poza naszą kontrolą”.

Szczęśliwie statek niewolniczy był na tyle duży, że Zachariah dostał własną kabinę i nie musiał znosić nieustannej obecności swojego Gaula. Patrząc na malejącą na ekranie Mesę, zapłakał cicho. Łzy były tym bardziej gorzkie, że z nikim nie zdołał się pożegnać.

Nadal płakał, gdy statek dokonał skoku, ostatecznie opuszczając układ. Zapewne na zawsze, a z pewnością na wiele lat.



Gdy Stephanie Moriarty wróciła do wynajmowanego mieszkania, twarz miała dziwnie ściągniętą. Nawet jej uroda gdzieś zniknęła, przytłoczona emocjami.

Cary Condor zaraz to zauważyła.

– Co się stało?

– Jeszcze nie wiem... nie wiem nawet, czy „się stało”. – Zaczęła z wolna zdejmować kurtkę. Rano, gdy wychodziła, było dość chłodno. Potem wyciągnęła coś z kieszeni i pokazała przyjaciółce.

– Znalazłam to w rybie.

– Mój Boże – wyszeptała Cary i wstała zaraz, żeby przyjrzeć się z bliska mikroczipowi. Przypominał rybią łuskę i wydawał się nieskończenie drobny i kruchy. – Przyniosę czytnik. Nie ruszaj. To znaczy, nie...

Moriarty jakby odtajała i znów była piękna.

– Ledwo go doniosłam. Cały czas kusilo mnie, żeby go zniszczyć. Wiesz. Ale pewnie utrzymam go jeszcze przez kilka sekund.

– Dobra, przepraszam. Jezu... Nigdy nie sądziłam...

– To może być fałszywa nadzieja.

– Nie wygłupiaj się.

Cary zaczęła przetrząsać szufladę w poszukiwaniu specjalnego tabletu. Zachowała go mimo wszystko. Na oko wyglądał całkiem zwyczajnie i dopiero dokładne oględziny ujawniłyby istnienie małego slotu przystosowanego do nietypowych czipów. Niemniej nikt poza służbami bezpieczeństwa nie próbowałby tak dokładnie badać urządzenia, gdyby zaś dostało się w ich ręce, i tak byłoby już po wszystkim.

W końcu znalazła cholerstwo i uniosła triumfalnie.

– Jak to fałszywa? – spytała. – Kto pakowałby czysty czip do bacau?

– Zobaczymy. A kto? TAB na przykład. I jeszcze ci z tej agencji... No, oni są najgłupszy, ale zawsze...

– Zamknij się. – Cary wzięła czip i ostrożnie umieściła go w czytniku. – Gdyby na nas trafili, nie próbowaliby nawet czegoś tak złożonego.

– Dlaczego nie? Byłybyśmy przynętą na innych. Oni nie wiedzą, że reszta nie żyje albo zaginęła.

Cary wprowadziła kod odczytu.

– Zamknij się.

Rozumiała zagrożenia i wiedziała, że któraś z agencji mogłaby czemuś przeciągać grę. Starła się jednak o tym nie myśleć, przynajmniej na razie, skoro pojawiła się jakaś szansa. Może nikła, ale...

Wiadomość pojawiła się na ekranie.

– Ambasador Jim Johnson – odczytała.

Stephanie sięgnęła po własny tablet.

– *Wysłannik. Giacomo ibn Giovanni al-Fulan. Mam.*

– *Mary miała baranka z runem białym jak śnieg* – powiedziała powoli Cary.

– Rozdział jedenasty. Mam. – Sceptycyzm Stephanie zniknął jak ręką odjął. – To musi być od Angusa.

Chodziło jej o agenta Republiki Haven, który zorganizował cały system skrzynek, Angusa Levigne'a, i specyficzny szyfr, jakim mieli się posługiwać. Nie był tak dobry jak tablice jednorazowe, ale dawał większe możliwości. Porządny fachowiec miał szansę go złamać, ale z racji wielkiej liczby wariantów odczytania zabrałoby to sporo czasu. Już łatwiej byłoby poddać aresztowane kobiety działaniu proszków prawdy. Na wszelki wypadek Angus dał im wtedy duże opakowanie jakichś tabletek i powiedział, że to środki znoszące działanie takich specyfików. Muszą tylko pamiętać, żeby brać je raz w miesiącu.

Wyglądał przy tym na bardzo zadowolonego z siebie. Tak, Angus był... dziwny. I mógł przerażać.



Potrwało chwilę, nim skończyły.

– Możemy mu zaufać? – spytała Stephanie.

– Kto to wie? – Cary wzruszyła ramionami. – Jak dla mnie może być i tak, że złamali Angusa i wyciągnęli od niego szyfr.

Stephanie przygryzła dolną wargę.

– Prawdę mówiąc, nie wyobrażam sobie tego. Jestem pewna, że torturami by go nie złamali. W każdym razie nieprędko.

Cary zaśmiała się całkiem bez humoru.

– Nieprędko to znaczy...?

– Naprawdę długo. Ale pewnie i tak nie dałby im szansy. Wiesz, on jest...

– Dziwny.

Stephanie uśmiechnęła się.

– Raczej inny. Może być? Ale rzecz w tym, że moim zdaniem możemy mu zaufać.

– Też tak uważam. Ale będziemy musiały pójść obie. Jedna osoba nie da rady nawiązać tego kontaktu.

Stephanie obejrzała się na leżącą w kącie pokoju Karen, która chyba spała. Obecnie przesypiała większość czasu.

– To będzie tylko kilka godzin. I dopiero jutro. Obudzi się wcześniej, wtedy jej wyjaśnimy. Tak żeby wiedziała, co się z nami dzieje, gdyby ujrzała puste mieszkanie.

– A jeśli w ogóle nie wrócimy...

– Umrze za kilka dni zamiast za kilka tygodni. Po prostu.

Obie były twarde, jak na rewolucjonistki z Mesy przystało, ale nawet według ich standardów ktoś taki jak Angus Levigne był... dziwny i przerażający.

ROZDZIAŁ XXXV



Wciąż nie mogę uwierzyć, że ludzie przemierzali tak kiedyś oceany – powiedziała Malissa Vaughn. – I to przez całe stulecia.

Stała razem z mężem przy relingu na pokładzie obserwacyjnym *Magellana*. Jej małżonek uśmiechnął się.

– Słabo u ciebie ze znajomością historii – powiedział protekcyjnym tonem. – Nie stulecia, ale raczej tysiąclecia.

Jeffrey Vaughn nie był w najlepszym humorze. Żałował, że wpadł na pomysł takiego właśnie spędzenia urlopu. Dwa tygodnie odpoczynku na pokładzie statku z epoki wydawały się miłą perspektywą. Poczytał nawet z ciekawości o chorobie morskiej.

Niestety, okazało się, że olbrzymi liniowiec z nowoczesnymi stabilizatorami podlega tym samym prawom co dawne statki. Tak samo jak one pływał po wodzie, wykorzystując stare zjawisko wyporności, zamiast unosić się na modułach antygravitacyjnych.

Co gorsza, była to woda składająca się na wielki ocean, falujący nieustannie na skutek oddziaływań energetycznych z atmosferą. Wytwory ludzkiej cywilizacji były niczym wobec energii takiego żywiołu.

W efekcie statkiem kołysało. Przechylał się z boku na bok, z góry na dół i tak przez cały czas. W takich warunkach żołądek przeciętnego człowieka po prostu odmawiał współpracy i pozostawał głuchy na wszelkie próby negocjacji.

– Dobrze się czujesz, kochanie?

– Nic mi nie jest – odparł, bezwiednie okazując przywiązanie do jeszcze innego dziedzictwa przeszłości, czyli niechęci do przyznawania się do słabości, jeśli drugą stroną jest kobieta. Była to cecha niemal równie mocno zakorzeniona jak obawa przed pytaniem obcych o drogę.

– Nie wyglądasz dobrze. Pozieleniałeś na twa...

Nic więcej nie zdążyła powiedzieć, ponieważ wielka eksplozja u burty *Magellana* zakołysała silnie statkiem i cisnęła ich oboje z pokładu do wody. Spadali blisko trzydzieści jardów i chociaż żadnego z nich sam upadek nie zabił, Jeffrey stracił przytomność i szybko utonął. Malissa była tak oszołomiona, że wypłynąwszy na powierzchnię, krążyła w kółko. Nie zauważyła nawet, że statek odpływa coraz dalej.

Nie oddalił się jednak bardzo. Kolejna eksplozja rozdarła poszycie na dziobie. W ciągu dwóch minut statek osiadł wyraźnie w wodzie i zaczął przechylać się na prawą burtę. Niemniej do tego czasu wdrożono już procedurę ratunkową.

W przeszłości, gdy takie statki dominowały na oceanach, istniał zwyczaj ogłaszania od czasu do czasu alarmów szalupowych w celu przeszkolenia pasażerów. Zwykle mało kto się do nich przykładał. Ograniczano się do jednego takiego alarmu na początku podróży, a polegał on na zgromadzeniu pasażerów w przypisanych im strefach i natychmiastowym rozpuszczeniu całego towarzystwa. Nikt nie ćwiczył wsiadania do szalup, które kołysały się nieprzyjemnie na żurawikach.

Z *Magellanem* było inaczej. Był nowinką i jednym z niewielu prawdziwych statków na Mesie. W sumie od blisko czterech stuleci nie zbudowano niczego podobnego; jego poprzednicy pływali co najwyżej po rzekach. Procedury ewakuacyjne traktowano na nim bardzo poważnie. Jak dotąd przeprowadzono aż dwa alarmy, chociaż nie byli jeszcze nawet

w połowie podróży. Podczas każdego z nich pasażerowie zajmowali miejsca w promach ratunkowych. Od prawdziwej ewakuacji różniło się to tylko tym, że promy nie startowały. To byłoby zbyt kosztowne. Ich awarii nikt się nie obawiał, wszyscy przywykli już dawno, że technologia antygravitacyjna jest praktycznie niezawodna.

Nie trwało więc długo, nim jedna trzecia osób obecnych na pokładzie liniowca odleciała w stronę lądu. Kolejnych pięćset osób ładowało się do następnych promów.

Pierwszy z nich eksplodował jeszcze w mocowaniach startowych. W jego miejscu pojawiła się puchnąca kula ognia, która zabiła wszystkich w środku i wiele osób na pokładzie. Właściwie wszystkich znajdujących się w promieniu sześćdziesięciu jardów. Dokładna liczba ofiar nigdy nie została ustalona.

Niecałe dwie sekundy później eksplodowały dwa promy, które znajdowały się już w powietrzu. Po kolejnych pięciu sekundach to samo spotkało dwa znajdujące się jeszcze na pokładzie. Łączna liczba ofiar sięgnęła co najmniej tysiąca.

Załoga i pasażerowie wpadli w panikę, szukając schronienia we wnętrzu statku. *Magellan* tonął, ale był solidnej budowy i wodoszczelne grodzie nadal trzymały. Eksplozje promów nie naruszyły integralności kadłuba, chociaż górne pokłady spłynęły krwią.

Jakiś czas potem, gdy ocalali członkowie załogi zaczęli przywracać porządek, statkiem wstrząsnęła trzecia eksplozja. Tego było już za wiele. Projektanci liniowca zrobili wiele, by zapewnić pasażerom bezpieczeństwo, ale czegoś takiego nie mogli przewidzieć. W ciągu minuty statek przewrócił się do góry dnem i jego dziób zaczął tonąć. Kilka chwil później rufa uniosła się wysoko ponad fale. Dokładnie w cztery i pół minuty pokład rufowy zniknął pod wodą.

Z 2744 pasażerów i 963 członków załogi ocalało tylko 855 osób. Trzy promy, które zdołały dotrzeć do lądu, uratowały blisko sześciuset rozbitków. Reszta została wyciągnięta z wody już po zatonięciu statku przez jednostki ratunkowe, które przyleciały z wybrzeża. Pierwsze z nich dotarły na miejsce katastrofy czterdzieści minut po pierwszej eksplozji. Szczęśliwie na falach unosiło się wiele pływających szczątków, których rozbitkowie mogli się przytrzymać, ponieważ zaś rejs odbywał się w strefie subtropikalnej, nie zagrażała im hipotermia.

Jedną z pierwszych wyłowionych osób była Malissa Vaughn. Mimo upadku z dużej wysokości była w całkiem dobrym stanie. Dobrze pływała i potrafiła utrzymać się na powierzchni. Ponieważ statek odpłynął od niej na blisko dwieście jardów, nim doszło do eksplozji promów, nie ucierpiała od uderzeń spadających do wody szczątków.

Niczego jednak nie pamiętała. Ostatnie, co kojarzyła, to że wyszła z mężem na pokład. Chcieli zaczerpnąć świeżego powietrza.

Wobec gwałtownego przebiegu katastrofy nie udało się znaleźć wielu ciał. Listę ofiar sporządzono na podstawie rejestrów pokładowych, czy raczej rejestrów armatora statku, którym było Voyages Unlimited. *Magellan* zatonął na głębokości siedmiu mil, zatem wydobywanie jego komputerów byłoby kosztowne i armator nie palił się do tego, skoro miał kopię wszystkiego na lądzie.



Zaraz po eksplozji pierwszego promu władze pojęły, że do katastrofy *Magellana* nie doszło przypadkiem. Szczególnie podejrzane były wybuchy promów. Co do samego statku, to zważywszy na jego niestandardową konstrukcję i niski poziom wiedzy o klasycznej żegludze, niektórzy byli

skłonni się zastanawiać, czy nie chodziło jednak o jakieś zaniedbanie czy serię pechowych zdarzeń.

Ale promy antygravitacyjne były standardowe. Używano ich od dawna i uważano za bezawaryjne. Tutaj nie mogło być mowy o żadnym pechu czy zaniedbaniu.

Na dodatek od incydentu w Green Pines minął dopiero rok i hipoteza o zamachu terrorystycznym sama się nasuwała. Voyages Unlimited (oraz ubezpieczyciele armatora) z miejsca przychyliłi się do tej wersji. Można by wręcz powiedzieć, że forsowali ją. Niemniej rzecznicy stron, którzy byli zawodowcami, potrafili zachować pełne powagi, żałobne oblicza.



– Naprawdę słuchasz tego gówna? – spytała Skylar Beckert, dyrektor działu analiz krajowych w Dyrektoriacie Bezpieczeństwa Mesy, ledwo wpadła do gabinetu Bentleya Howella, który kierował dyrektoriatem i bardzo nie lubił, gdy ktoś pakował mu się niezaproszony do biura. Skylar funkcjonowała jednak na szczególnych prawach, bo to ona i jej ludzie dostarczali tak pożądanym przez Howella informacji. Włączając w to i takie, którymi Fran Selig czy Gillian Drescher wcale nie mieli ochoty się dzielić.

– Oczywiście, że słucham – warknął Howell, wpatrzony w stojący w rogu blatu ekran. – Ale opuściłem jakieś pierwsze dwadzieścia sekund. Kto to, kurwa, jest?

– Twierdzą, że są z Baletu – odparła Beckert. – To ma być rodzaj ich manifestu. I utrzymują, że *Magellan* to ich robota.

– Dranie – syknął Howell. – A mówiłem Seligowi i McGillicuddy’emu...

– Szefie, nie musimy im wierzyć – przestrzegła Beckert. – To może być całkiem inna organizacja, która chce skierować sprawę na fałszywe tory.

– Oczywiście – rzucił Howell z sarkazmem w głosie. – Jak wiadomo, terroryści słyną z rozsądku i praktycznego podejścia do życia.

Beckert powstrzymała westchnienie. Pogarda, jaką Howell darzył niewolników i wyzwolenców, czasem zaburzała mu trzeźwy osąd. Niekiedy lepiej było nie poruszać z nim pewnych tematów. Obeszła więc biurko, żeby też spojrzeć na ekran.

Obraz przedstawiał osobę siedzącą przy małym stoliku i patrzącą wprost na widza. Obszerny strój oraz elektroniczne zniekształcenie twarzy i głosu nie pozwalały na ustalenie płci. Skylar zastanowiła się, dlaczego ktoś się do tego posunął. Prościej byłoby w ogóle zrezygnować z obrazu. Zakładając, że to był naprawdę żywy człowiek. Na razie jedyne, co było pewne, to ten spoczywający na dnie oceanu wrak. Niemniej mimo okazanego przed chwilą sceptycyzmu Beckert nie znała wielu organizacji zdolnych do przeprowadzenia podobnego ataku. Czy dość zmotywowanych, żeby w ogóle próbować. Zwłaszcza na Mesie.

Ktokolwiek to jest, wybrali zły świat do swoich zabaw, pomyślała ponuro.

– ...podczas gdy miliony mieszkańców żyją w skrajnym ubóstwie – mówił osobnik na ekranie. – Mamy nadzieję, że chociaż padlinożercy w głębinach oceanu skorzystają na naszej walce o wolność. Wypełniają pożyteczne funkcje, w odróżnieniu od pasożytów, które marnują czas na ostentacyjne otaczanie się kosztownymi luksusami. Wszyscy tacy...



– ...ostrzeżeni. Postępując dalej w ten sposób...

Półtorej mili dalej ekipa solarnych dziennikarzy nie zwracała na przekaz najmniejszej uwagi, gorączkowo pakując sprzęt. Chcieli pierwsi znaleźć się na miejscu katastrofy i przekazać materiał przed konkurentami.

Xavier Conde był gwiazdą medialną Ligi Solarnej, ale należał pewnie do drugiego szeregu. W sumie nieźle nadawał się do tej roboty. Był przystojny, telegeniczny, ambitny jak diabli i pozbawiony sumienia.

Dodatkowo średnio inteligentny, co mogło tłumaczyć fakt, że jak dotąd nie udało mu się awansować bliżej szczytu. A może szkodziło mu przekonanie o własnej wybitnej inteligencji i wyskakiwanie co rusz z jakimś niedopracowanym pomysłem, żeby to udowodnić. Zaszedłby wyżej, gdyby zaakceptował swoje ograniczenia. Ostatecznie było wielu sprawnych dziennikarzy, od których nikt nie oczekiwał, że pewnego dnia wynajdą proch.

Conde i jego zespół zjawili się na Mesie miesiąc wcześniej, żeby przygotować specjalny raport o ofiarach zajścia w Green Pines. Materiał miał dotyczyć głównie wyzwoleńców. Conde chciał w nim udowodnić własną tezę, że fanatyczni terroryści najczęściej zabijają „swoich”.

Mesański Dyrektoriat Kultury i Informacji nie miał oczywiście nic przeciwko powstaniu takiego reportażu.

– Dalej, zbierać się! Ruchy, ruchy!

ROZDZIAŁ XXXVI



I jak ci jest w małżeństwie? – spytał Supakrita X lokator jednej z sąsiednich koi.

Sierżant, który właśnie odzyskał dawny stopień, nie odpowiedział.

Leżący na koi po drugiej stronie wąskiego przejścia kapral Bohuslav Hernandez uniósł głowę z poduszki i spojrział na nieruchomą postać sierżanta.

– Chyba mu dobrze – powiedział. – Już śpi.

– Moim zdaniem musiał zwariować – stwierdził czwarty lokator kabiny, kapral Ted Vlachos. Siedział na skraju swojej koi, nad Hernandezem. – Ja bym tam z nią do wyra nie poszedł. Połaskoczesz, gdzie nie trzeba, lecisz na orbitę.

Drugi kapral nie odpowiedział. Jedyne kwestie, które przychodziły mu do głowy, zabrzmiałyby wysoce nieuprzejmie. Vlachos po prostu miał pecha. Od sześciu miesięcy, co najmniej sześciu, nie dzielił z nikim łoża, chociaż jako biseksualny miał zasadniczo szeroki wybór.

Przede wszystkim jednak był nieprzyjemnym typem. Nie pomagało mu i to, że chrapał, kąpał się rzadziej, niż regulamin tego wymagał, mlaskał przy jedzeniu i zamęczał ludzi głupimi żartami. Długo można by wymieniać. Jak w ogóle zdołał awansować powyżej szeregowego, pozostawało jedną z zagadek wszechświata.

– Ruszamy za piętnaście sekund – rozległ się z interkomu głos kapitan *Hali Sowle*. – Złapać się czegoś. Nie będę wysłuchiwać skomlenia, że ktoś się potłukł.

Bohuslav uśmiechnął się szeroko. Ganny El też miała swoje wady i trudny charakter, no i nie zawsze trzymała się przepisów, ale radziła sobie z głupcami w sposób budzący głęboki szacunek.

Sprawdził przypięcia koi, potem znowu zerknął na Supakrita. Sierżant nie zapiął pasów przed zaśnięciem. Z drugiej strony wyglądał na tak bezwładnego, że pewnie bez szkody przetrwałby dowolny upadek. Zresztą prawdopodobieństwo, że coś się stanie, było minimalne.

– Ruszamy.



Rękawy i podłączenia zostały odsunięte i poobijany frachtowiec (którego generator nadprzestrzenny przeszedł właśnie regulaminowy przegląd) oddalił się powoli od stacji Parmley na silniczkach manewrowych. Nie spieszył się specjalnie i trwało kilka minut, nim dostał pozwolenie na uruchomienie głównego ciągu fuzyjnego i odlot z łagodnym przyspieszeniem dwudziestu g. Ganny nazbyt trzęsa się nad reaktorem, żeby decydować się na wyższe przyspieszenie. Z drugiej strony, nawet w tym wariancie oddalenie się od stacji na stosowny do skoku dystans czterystu kilometrów miało zająć tylko pięćdziesiąt pięć sekund. Dwie fregaty typu *Turner*, *Gabriel Prosser* i *Denmark Vesey*, dotrzymywały frachtowcowi kroku aż do tej granicy, gdzie wszystkie trzy jednostki wyłączyły napęd. Fregaty przechyliły się następnie i włączywszy wiązki ściągające, podeszły do kadłuba większego statku, żeby wpasować się w mocowania na burtach.

Kolejne trzy minuty trwało uszczelnianie rękawów i sprawdzanie ich hermetyczności. Fregaty były samowystarczalne, ale ciasne, i nie było powodu, dla którego ich załoga nie mogłaby przejść na czas skoku na pokład frachtowca. Kontrola wypadła pomyślnie i dowódcy fregat dali komendę do przejścia.

– Wszystko gotowe, Parmley. Wynosimy się stąd – oznajmiła Ganny El.

Hali Sowle włączył ekran i wystrzelił z przyspieszeniem stu siedemdziesięciu g. Pięć minut później znajdował się już w odległości blisko pięćdziesięciu tysięcy mil i z przyspieszeniem pięciuset g kierował ku granicy nadprzestrzennej.



Kapitan Antoni Petersen przełączył obraz, żeby ukazać zebrany w sali konferencyjnej nowe zestawienie liczb.

– A tak wyglądają moje prognozy dotyczące szkolenia jednostek specjalnych. Przy okazji, nie mamy jeszcze dla nich nazwy. Przydział do takiej formacji zawsze wpływa dobrze na morale.

– Wolne żarty – zaśmiał się Hugh Arai. – W Royal Manticoran Navy oznacza to przydział do czyszczenia kibli.

– Ten akurat oznacza jeszcze sporo więcej – odparł z uśmiechem Petersen. – I nigdy nie jest powodem do radości.

– Nazwij ich Królewskimi Komandosami – zaproponowała Ruth.

– Do tego im daleko – rzucił pogardliwie Jeremy X. – To grupa miłych chłopców i dziewcząt, ale nie nadają się do zdobywania fortec. Ich zadaniem ma być raczej zagłębienie pod każdy kamień i sprawdzanie, co też może czaić się pod spodem.

– Większość komandosów robi takie rzeczy – zripostował Hugh. – Przypomniałem sobie moich towarzyszy z Korpusu Zwiadu Biologicznego. Zdobywanie fortec? – Wzruszył ramionami. – Od tego są Marines. Co nie znaczy, że nasza młodzież nie może dojść w jakiejś chwili do poziomu Korpusu. Trochę treningu, dobra doktryna walki, sporo doświadczenia i coś z tego będzie. Jednak na razie ta uświęcona historyczna nazwa byłaby w ich przypadku mocno na wyrost.

– To może Królewskie Myszołowy? – odezwała się Berry.

– To już... – zaczął ze zmarszczonym czołem sekretarz wojny.

– Mnie się podoba – powiedział Hugh.

– Oczywiście – mruknęła Ruth. – Tobie wszystko się podoba, jeśli możesz dzięki temu zasłużyć na łaski naszej monarchini. Uważaj tylko, żeby nie przesadzić. Moim zdaniem ta nazwa średnio pasuje. Jakoś za mało w niej szacunku.

– Ha! – odezwał się Jeremy, który już się rozpogodził. – Dobrze im zrobi na morale. Poza tym to byli niewolnicy. Łatwo ich zadowolić. Musimy tylko wymyślić dobre godło jednostki. Proponuję wizerunek mruczącego kota...

– Myszołów to ptak – powiedział Hugh, krzywiąc się, ale został zignorowany.

– ...trzymającego w pysku świeżo złowionego gryzonia.

Ruth spojrzała na niego sceptycznie, ale już zaczęła kombinować.

– A może warczący kot ponad... skrzyżowanymi mieczami?

– Faj! – zaprotestowała Berry. – Żadnego warczenia. Może być kocia głowa, ale raczej w stylu kota z Cheshire. Najlepiej w chwili, gdy jego uśmiech nie znikł jeszcze całkowicie. Ponad... – Zastanowiła się głębiej nad tą kwestią. Wzrok miała trochę nieobecny. – Zamarłymi w strachu

gryzoniami, gapiącymi się w górę. Dwoma z każdego boku. A nad kocią głową... może skrzyżowane lasa?

Klasyczna heraldyka była jednym z hobby Petersena, ale zdołał się nie skrzywić, słysząc propozycję Królowej. Kot z Cheshire był w porządku, podobnie jak przerażone myszy. Lassa jednak absolutnie nie pasowały.

Szczyśliwie można było jeszcze czerpać z tradycji.

– Na górę proponuję parę lwów, wspiętych lub siedzących, ewentualnie skrzyżowane klucze. Jednak w tym drugim przypadku optowałbym za użyciem innego wzoru niż klucze świętego Piotra, żeby nam żaden Kościół nie zaczął protestować.

Wszyscy obrócili ku niemu spojrzenia.

– Jakie wspięte lwy? – spytała Berry.

– Klasycznie nazywało się ten wzór „rampantem”, ale obecna heraldyka nie stosuje już terminów wywodzących się z czasów normańskich... Czyli jeszcze ze starej Ziemi. Tak czy siak, wspięty lew to taki stojący na tylnych łapach, z przednimi uniesionymi wysoko, jakby szykował się do walki. Siedzący to inaczej „sejant”, czyli lew pełniący straż.

Berry zadumała się na chwilę.

– Nie za dużo tego na jednego kota z Cheshire? Może poprzestańmy lepiej na kluczach.

– Zdecydowane – powiedział. – Mamy zatem Królewskie Myszołowy.

Petersen odchrząknął znacząco.

– Proponowałbym raczej Korpus Królewskich Myszołowów. W obu przypadkach zaczną zaraz nazywać siebie po prostu Myszołowami, ale jako korpus poczują się o wiele lepiej. To przyda im znaczenia i godności.

– Dla mnie może być – rzucił Hugh, spoglądając na Berry.

– Dla mnie też – odparła. – Jeremy?

– Dość mi się podoba. A skoro już tak się bawimy, to jak wielki miałby być ten korpus, kapitanie Petersen? I jak zorganizowany?

– Zaczniemy od grupy około czterystu oficerów i podoficerów, niewielkiego batalionu dowodzonego przez podpułkownika. Zostaną podzieleni na cztery kompanie po stu ludzi, każdą dowodzoną przez kapitana. Każda kompania będzie dzielić się na cztery plutony po dwudziestu żołnierzy, każdy z porucznikiem na czele, plus jeden pluton specjalny, też dwudziestu, ale dowodzony przez kolejnego kapitana. Te specjalne będą składać się głównie ze specjalistów od wywiadu.

– Trochę zaburzone proporcje – mruknął Jeremy. – Zbyt wielu oficerów.

– W zwykłej jednostce byłyby zaburzone – zgodził się Petersen. – Ale Myszołowy mają wypełniać zadania specjalne, których trudność będzie wymagać większej inicjatywy pododdziałów i konkretnych żołnierzy. Sądzę, że wyższe nasycenie kadrą jest w takim przypadku mocno pożądane.

– U was też tak jest? – Jeremy spojrział na Hugh.

– Cóż... rozumiem tok myślenia Antona. My mamy inne stopnie, ale struktura organizacyjna Korpusu Zwiadu Biologicznego jest zasadniczo podobna. W sumie z tego samego powodu. Co mnie martwi, to że już teraz brakuje nam oficerów, zwłaszcza zawodowych. To pogłębi problem.

– Jasną odpowiedź poproszę – rzekł lekko zirytowany sekretarz wojny. – Tak czy nie?

– Tak, tak. Tylko głośno myślę.



Walter Imbesi spojrział na stołeczną panoramę Maytag. Taras widokowy kilka pięter poniżej szczytu Suds Emporium pozwalał dojrzeć także

Whirlpool Gulf i okolice zatoki. W tej chwili myślał jednak nie o krajobrazach, tylko o historii.

Czy raczej zastanawiał się nad historią w związku z obecną sytuacją polityczną. To, co rozciągało się w dole, było tylko dekoracją. Imbesi miał spore wyczucie ironii i dostrzegał, jak przeszłość odbija się w teraźniejszości.

Większość odwiedzających Erewhon, a także większość mieszkańców planety sądziła, że Whirlpool Gulf zawdzięcza nazwę wirom tworzącym się przy wejściu do zatoki podczas silnych przyptywów. W rzeczywistości nazwa powstała na tej samej zasadzie jak wiele innych tutaj, gdy dawni gangsterzy zaczęli osiedlać się na planecie. Planując generalną przepierkę tak pieniędzy, jak i własnej reputacji, szukali nazw, dzięki którym mogliby zagrać na nosie reszcie galaktyki. Maytag i Whirlpool to były kiedyś marki pralek, suds oznaczało zaś pianę mydlaną.

– Czy ktoś z was studiował historię antyczną? – spytał, odwracając lekko głowę.

– Ja nie – odparła Sharon Justice.

– Zdefiniuj „antyczną” – powiedział Yuri Radamacher.

– Wszystko, co wydarzyło się przed Diasporą. – Walter oderwał spojrzenie od widoku i obrócił się do reszty obecnych na tarasie, który bardziej przypominał luksusowy salon. Suds zostało zaprojektowane z myślą o prywatnych spotkaniach i atmosferze dyskrecji. Wykładzina na ścianach zdecydowanie utrudniała podsłuchiwanie, elektronika zaś ułatwiała resztę. Oczywiście goście mogli zawsze przynieść jeszcze własne urządzenia antypodsłuchowe. – Myślę dokładnie o dwóch stuleciach pomiędzy pierwszymi lotami atmosferycznymi a pierwszą wyprawą międzygwiazdą.

– To Krzysztof Kolumb odkrył Księżyc, prawda? – spytała Sharon.

– Mam nadzieję, że to żart – odparł cierpko Imbesi. – Księżyc został odkryty przez australopiteka. Kolumb zaś żył niemal pięćset lat przed pierwszym lotem atmosferycznym.

– Myślałam, że to będzie zabawne.

Yuri zignorował tę wymianę zdań.

– Trochę o tym wiem. Dlaczego?

– Nasza sytuacja kojarzy mi się z czymś, co miało miejsce właśnie wtedy, i sądzę, że możemy znaleźć rozwiązanie naszego problemu w przeszłości. Albo przynajmniej inspirację.

– Wyjaśnij, proszę.

– Po pierwszej z dwóch wielkich wojen światowych dwie główne potęgi europejskie, Niemcy i Rosja, znalazły się w izolacji z przyczyn politycznych. W przypadku każdej z nich w grę wchodziły inne powody. Rosja była rozległym krajem, o którym mało było na świecie wiadomo. Była też rozpaczliwie biedna i gorączkowo szukała wsparcia technologicznego. Niemcy stanowiły niemal jej przeciwieństwo. Wysoko rozwinięte, ale nieżywiące raczej wielkiego szacunku dla indywidualności. Na dodatek musiały się rozbroić po przegranej wojnie. Oba kraje doszły więc do porozumienia. Rosjanie pozwolili Niemcom pracować nad tajnymi projektami wojskowymi na swoim terytorium i pomogli w szkoleniu nowych kadr dla armii. W zamian Niemcy wsparli Rosjan od strony technicznej i pomogli im stworzyć nowoczesne struktury wojskowe.

Yuri zmarszczył brwi.

– W zarysie kojarzę. Ale jeśli dobrze pamiętam, tam było znacznie więcej różnic.

Walter machnął tylko ręką.

– Oczywiście. Zaczynając od tego, że obie strony traktowały się podejrzliwie, co w naszym przypadku nie ma miejsca.

Uśmiechnął się szeroko do czwartego uczestnika spotkania, którym był porucznik komandor Watanapongse. Oficer wywiadu z sektora Maya, bez wątpienia występujący jako nieoficjalny negocjator, reprezentujący przebywających całkiem gdzie indziej gubernatora Barregosa i admirała Roszaka.

Porucznik komandor włączył się nawet w dyskusję, chociaż uczynił to na swój sposób. Trzeba było jednak przyznać, że jego chrząknięcie było wymowne i sugerowało spore poczucie humoru.

– Jak w przypadku większości analogii, także i ta nie będzie ścisła – powiedział Imbesi. – Na przykład nie proponujemy sojuszu wojskowego, a rozmowy toczą trzy strony, a nie dwie. Inna sprawa, że nikt nie szuka teraz miejsca na szkolenie wojsk. Galaktyka jest olbrzymia i pełna pustych planet, które można wykorzystać w dowolny sposób.

Sharon uśmiechnęła się nieśmiało.

– Muszę przyznać, że zastanowiło mnie porównanie Haven do tego biednego i zacofanego kraju... Jak on się nazywał?

– Rosja.

– Może honor się we mnie odezwał. Masz szczęście, że zostawiłam pistolety w domu.

Imbesi uniósł ręce w geście protestu.

– Nie sugerowałem, że Haven jest...

– I bardzo dobrze – powiedział z uśmiechem Watanapongse. – W rzeczywistości Republika Haven wyprzedza nas na wielu polach, gdy chodzi o technikę wojskową. I nie możemy równać się z nią pod względem doświadczenia i gotowości bojowej. I nie zależy nam dokładnie na sojuszu,

który mógłby wywołać u nas zbyt duży ferment, ale czymś możliwie bliskim aliansu.

– To, o czym mówisz, kojarzy mi się z tajnym porozumieniem obronnym – powiedział Yuri. – Czy dokładniej, tajną klauzulą do porozumienia, które już podpisaliśmy.

Watanapongse i Imbesi spojrzeli na siebie.

– To chyba byłoby to – zauważył Imbesi.

– Dopóki pozostanie tajne – zgodził się oficer z sektora Maya.

– A jakie byłyby podstawowe założenia? Czego byście od nas oczekiwali?

– W ogólnym zarysie, same sformułowania możemy dopracować później, chodziłoby o udzielenie nam przez Haven gwarancji wsparcia militarnego. Pod postacią samych okrętów, nie tylko pomocy i doradców, gdyby zrobiło się naprawdę gorąco i Liga Solarna zechciała nas zaatakować. – Skinął na Imbesiego. – Albo gdyby ruszyli na Erewhon. Chociaż z tamtej strony ich głównym celem byłby pewnie sektor Maya.

– Tak, rozumiem – powiedział Yuri. – Jak długo się da, zamierzacie pozostać neutralni. Ale jeśli solarni przejrzą waszą grę i spróbują was ukarać, będziecie chcieli, żeby Haven przybyło wam na pomoc.

– Żadne „jeśli” – stwierdził Watanapongse. – Wcześniej czy później to się stanie. Mamy tylko nadzieję, że wcześniej Liga Solarna się rozpadnie albo będzie już zbyt słaba i dezorganizowana, by wiele zrobić w naszej sprawie.

– I to jest kolejna analogia z dawnymi czasami – odparł Yuri. – Słyszeliście o doktrynie Monroego?

Watanapongse pokręcił głową, Imbesi roześmiał się serdecznie.

– Oczywiście! – powiedział i dostrzegł zdumione spojrzenie Watanapongsego. – Na zachodniej półkuli istniało wtedy wielkie państwo, które zdominowało cały region. Stany Zjednoczone Ameryki. Ogłosiło, że reszta świata nie ma prawa wtrącać się w to, co robi na swojej półkuli. – Spojrzał na Yuriego. – W sumie się zgadza. To pozwoliłoby nam pozostać niezależnymi i wzmacniać nasze siły, podczas gdy wy ogłosilibyście, że znajdujemy się w waszej strefie wpływów i nie będziecie tolerować żadnego ingerowania w to, co tu się dzieje, czy prób zdestabilizowania waszej południowej flanki.

– Jak dotąd wygląda to dobrze, przynajmniej z waszego punktu widzenia – odparł Yuri. – Ale, z przeproszeniem za śmiałość, co my będziemy z tego mieli?

– Pokaz dobrej woli? – podpowiedział oficer z sektora Maya.

Yuri wzruszył ramionami.

– To też jest coś warte, nawet w stosunkach międzygwiazdnych, ale jeśli chcecie, żebym przedstawił rzecz Eloise Pritchard, przydałoby się też trochę lukru na tym torcie.

Imbesi spojrzał na Watanapongsego.

– To twój pomysł, Jiri – powiedział.

– Nie mój, tylko Barregosa, z dużym wkładem Roszaka – odparł oficer. – Dyskutowaliśmy jednak wcześniej o tej propozycji i otrzymałem jasne instrukcje. Możemy wesprzeć Haven na polu wywiadu. To, czym dysponujemy na terenie Ligi Solarnej, przerasta wszystko, co wam czy Manticore udało się dotąd stworzyć. – Przesunął palcami po rękawie swojego munduru. – Jak sami widzicie, jestem nadal oficerem wywiadu Marynarki Ligi. Podobnie jak Luiz admirałem, a Oravil gubernatorem sektora.

– Moim zdaniem to ciekawa propozycja – powiedziała Sharon. – Porozumienie nadal będzie bardzo faworyzowało sektor Maya i Erewhon, ale z drugiej strony my już jesteśmy w stanie wojny z Ligą Solarną i możliwe, że wy w ogóle nie weźmiecie udziału w tej konfrontacji. Przynajmniej takiej na większą skalę, z poważną interwencją Ligi.

– Też tak sędzę – odezwał się Yuri. – Oczywiście nie ja będę decydował. Jestem tylko pionkiem w tym dostojnym towarzystwie, mizernym wysokim komisarzem i wysłannikiem nadzwyczajnym.

– A właśnie – powiedział z uśmiechem Imbesi. – Byłbym zapomniał wspomnieć, że oficjalnym powodem naszego spotkania jest przedstawienie panu pewnego formalnego wniosku wobec Nouveau Paris. Erewhon uważa, że najlepiej by było, gdyby interesy Republiki Haven reprezentował tu ambasador. Ściśle rzecz ujmując, ambasador nadzwyczajny i plenipotentny.

W języku dyplomacji oznaczało to najwyższą szarżę. Podpis takiego ambasadora, gdy został złożony na pakcie o sojuszu, nieraz w historii posyłał armie do walki.

Yuri pokiwał głową.

– Rozumiem. Czy ma pan właściwe rekomen...

– Pytanie. Jasne, że mam.

ROZDZIAŁ XXXVII



Victor spojrział na bezwładną postać spoczywającą na łóżku.

– Kiedy ostatni raz się obudziła?

– Ze dwanaście godzin temu – odparła Cary. – Zaczynamy się niepokoić.

– Bardzo jej się ostatnio pogorszyło – powiedziała Stephanie. – Zaczęło się tydzień temu. Wcześniej jej stan też był kiepski, ale raczej stabilny.

Victor nawet się nie zdziwił. Biorąc pod uwagę rodzaj obrażeń, kobieta musiała mieć bardzo silny organizm, skoro przeżyła tak długo.

– Dobra – stwierdził. – To będzie trochę ryzykowne, ale nie mamy wyboru. Zabierzemy ją stąd wieczorem.

– Zabierzemy? – spytała Cary. – Dokąd?

– I dlaczego? – dodała Moriarty.

– Nieważne dokąd. Nie musicie wiedzieć. A co do reszty, to mamy moduł medyczny. Nie taki wielki jak w szpitalach, nie uzdrowi jej całkowicie, ale ustabilizuje i utrzyma przy życiu.

– Na jak długo?

– Od strony medycznej na lata. O politycznej trudno cokolwiek powiedzieć. – Victor odwrócił się od łóżka. – Przyślę po nią ludzi. Zjawią się zaraz po zmroku. Musicie przygotować ją do drogi.

– Przygotować? Jak?

Wzruszył ramionami.

– Jak tylko możecie.

– Nie ma szans – odparła zdecydowanie Stephanie. – Nie zdoła nawet wstać.

Ponieważ Karen straciła nogi, nie mogła chodzić. Victor zastanowił się nad alternatywami. Najłatwiej byłoby przenieść kobietę na noszach i nie byłoby to nawet specjalnie ryzykowne. Zwłaszcza w nocy, chyba że ktoś specjalnie by ich śledził, na przykład poprzez system kamer monitorujących, zainstalowanych gęsto w większości tutejszych budynków.

Z drugiej strony, korytarze były słabo oświetlone. Ktoś wpatrujący się w obraz zobaczyłby tylko, że dwie osoby wnoszą trzecią. Ranną albo chorą. Bez żadnych szczegółów. Łatwo byłoby też tak ucharakteryzować jej twarz, żeby zmylić programy rozpoznające rysy. Nawet zakładając, że mesańska безпеka miała fotki wszystkich trzech kobiet.

W sumie więc przebranie i maskowanie... A to znaczyło...

– Obędziemy się bez noszy. Weźmiemy ją pod ramiona we dwie osoby. Mam ludzi, którzy zrobią to w naturalny sposób. Gdy jakaś kamera ich złapie, będą wyglądali na przyjaciół odprowadzających pijaną Karen po imprezie.

– To zadziała – orzekła Stephanie z lekkim uśmiechem na twarzy. – Wszyscy wiedzą, że tutaj mieszkają sami pijacy i narkomani.

– Dla niej to może być trudne, ale da radę – powiedziała Cary. – I jest dość lekka, żebyśmy same sobie poradziły.

Victor pokręcił głową.

– Nie wy ją poniesiecie. Przynajmniej nie obie. Cary pójdzie ze mną na spotkanie z Chuanlim. Przedstawi mnie.

Obie kobiety zmarszczyły brwi.

– A po co chcesz się z nim spotkać? – spytała Stephanie. – Myślałam, że skoro nie będziemy mu sprzedawać ciała Karen, to możemy zapomnieć

o gościu.

– Naprawdę chcecie wiedzieć? Nie musicie, ale... – Wzruszył ramionami. – Możecie, względy bezpieczeństwa nie wchodzą tu akurat w grę.

Stephanie i Cary spojrzały po sobie.

– Nie – odparła Cary.

– Tak – powiedziała Stephanie. – Dość mam tego błędzenia w mroku.

– To proste. Zamierzam przejąć Dolne Radomsko, a raczej przekonać Duseka, że mogę to zrobić, żeby wykorzystać jego struktury mafijne do pewnych celów. Jakich, tego nie musicie już wiedzieć.

– Cholera, żałuję, że spytałam – mruknęła Stephanie.



Facet był równie dziwny jak Angus Levigne. Chociaż fizycznie w ogóle go nie przypominał; był bardzo przystojny, czego akurat nie można było powiedzieć o Angusie. Roztaczał jednak wokół siebie podobną aurę, kogoś twardego jak diament, bezlitosnego i śmiertelnie niebezpiecznego. Czyżby Manticore produkowało seryjnie takich ludzi?

Przedstawił się im jako Philip Watson. Stephanie była pewna, że to pseudonim, podobnie zresztą jak Angus Levigne. Nie uściślił, kogo dokładnie reprezentuje; Levigne był równie tajemniczy. Jednak Carl Hansen wspomniał kiedyś, że Levigne i ten drugi, potężnie zbudowany mężczyzna, który zjawił się poprzednio razem z nim, byli agentami Manticore. Stephanie nie widziała powodu, żeby w to nie wierzyć, nawet jeśli tamtych dwóch agentów mówiło z różnymi akcentami.

Stephanie nie rozpoznawała ich. Watson mówił jeszcze inaczej i tym razem coś jej się skojarzyło. Goście z Manticore rzadko zjawiali się na

Mesie, ale przybysze z Dockhornu byli całkiem liczni z racji ich zaangażowania w handel niewolnikami. Stephanie spotkała nawet kilku. Wszyscy mieli charakterystyczny akcent.

Tylko dlaczego ktoś z Dockhornu miałby pracować dla Manticore? To się nie trzymało kupy.

Zaraz zrobiłaby się podejrzliwa, gdyby nie...

Rzecz w tym, że nie było żadnego logicznego powodu, by sądzić, że Watson reprezentuje jakąkolwiek inną stronę poza Manticore. Trudno było nawet wyobrazić sobie, że jakaś agencja na Mesie zadałaby sobie tyle trudu. Po co mieliby rozkręcać aż taką operację? Gdyby wykryli siatkę kontaktową zmontowaną przez Levigne'a, to wiedzieliby też, że dwie ocalałe buntowniczkę nie miały z nikim kontaktu. Mogliby je łatwo zgarnąć.

Rozmawiała o tym z Cary po powrocie. Doszły nawet do kilku możliwych wyjaśnień, ale przede wszystkim musiały przygotować Karen do drogi.

W Watsonie było coś szczególnego i pod tym względem nie różnił się ani trochę od Levigne'a. Mogli być skrajnie okrutni, ale nie byli niełojalni. Stephanie głowę by dała, że obaj wyznawali tę samą zasadę: „Nie zostawisz rannego towarzysza”.

Łzy wezbrały jej w oczach, co dotąd prawie nigdy się nie zdarzało. Przez lata walki zaprzyjaźniła się z Karen. Zwłaszcza w tym trudnym okresie zaraz po Green Pines. Jeszcze niedawno była pewna, że los Karen został już przesądzony i że same będą musiały ją nawet pokroić.

Nagle zaśmiała się przez łzy. Nadal wszystko mógł szlag trafić. Jak zaznaczył Watson, sytuacja polityczna była niepewna. Jednak unikną

oprawiania Karen na podobieństwo zwierzęcej tuszy. Znow się zaśmiała. Już taka zmiana to było coś!



– Używaliśmy ich na stacji Parmley – wyjaśnił Andrew i zatoczył ręką wokół. Thandi podążyła spojrzeniem za jego palcem wycelowanym w przedmioty zamontowane w równych odstępach na suficie piwnicy. Było ich dziesięć, cztery w dwóch szeregach i po jednym tuż przy ścianach. – Pod podłogą jest jeszcze więcej. Oryginalnie stosowane są jako miny górnicze.

Thandi zrobiła dziwną minę i Artlett zareagował śmiechem.

– Żołnierze i ich skojarzenia! Nie miny, jakie stawia się na polu walki, ale takie, jakich używają minerzy. Górnicy robiący głębokie otwory, żeby wydobywać różne minerały.

– Nadal się ich używa? – spytała wciąż zaskoczona Thandi.

– A tak. Oczywiście rzadko, bo łatwiej i taniej jest sięgnąć po moduły rekombinacji molekularnej albo rozebrać całą asteroidę na kawałki, ale od czasu do czasu bywają przydatne. Tyle że niemal zawsze trzeba wiercić pod nie głębokie otwory. I dlatego... – Wskazał znowu na urządzenia. – Używa się tego. To węzły presorowe. Gdy się je włączy, wzmacniają strukturę tego, do czego zostały przyłączone, jak ściany tunelu kopalni czy jaskini. Używaliśmy ich dla poprawy bezpieczeństwa w tych częściach stacji, które wydawały nam się słabsze i groziły przebiciem. Musiałem trochę przy nich pokombinować, żeby były skuteczne także w przypadku fali uderzeniowej.

Thandi była pod wrażeniem. Artlett mógł być irytujący, ale na polu techniki potrafił czynić prawdziwe cuda.

– Innymi słowy, mamy teraz w piwnicy porządną schron.

Andrew pokiwał dłonią.

– O ograniczonej wytrzymałości. Bezpośrednie trafienie i tak go zniszczy, nie ochroni też przed orbitalną bronią kinetyczną. Ale wszystko poniżej tego zatrzyma.

– Ale to pobiera chyba tyle energii, że jest łatwe do wykrycia? – spytała z niepokojem Thandi.

– No... tak. Ale nie będziemy ich włączać bez potrzeby. Gdyby zaś chcieli się do nas przebić, to już bez znaczenia, co wykryją. Mieliśmy ten sam problem na stacji. Nie chcieliśmy, żeby handlarze mogli łatwo wykryć moduły, a z włączonymi tak by było, więc trzymaliśmy je niejako w odwodzie. Do włączenia w razie potrzeby.

Spojrzał na Thandi w taki sposób, w jaki patrzy się niekiedy na dzieci deklarujące, że nie radzą sobie z matematyką. Potem wskazał na jeszcze jeden z elementów wyposażenia znajdujący się w kącie piwnicy.

– Widzisz to? To akumulator Faber-Knappa. Ładuje się od chwili naszego przybycia. Za parę dni będzie w stanie utrzymać bunkier na tyle długo, żebyśmy zdążyli uciec.

– Uciec? Którę...

– Zanim spytasz którądy, coś ci pokażę. – Poprowadził ją za narożnik, gdzie zobaczyła w ścianie coś w rodzaju włazu do statku kosmicznego.

– To przejście do sieci kanałów – wyjaśnił.

Skrzywiła się i Artlett znowu zachichotał.

– Spokojnie. Rozejrzałem się tam trochę. Najbliższy kanał wygląda na nieużywany, i to od wieków. To wielkie miasto i ma pod ziemią prawdziwy labirynt tuneli. W tej chwili pewnie nikt nie zna go w całości.

– I jesteś pewny, że tamtędy wyjdziemy?

Znowu spojrział na nią z politowaniem, jakby nie znała tabliczki mnożenia.

– A skąd mam wiedzieć? Spenetrowanie tej sieci zajęłoby długie miesiące. Ale da się tam zniknąć, a to już coś, prawda?

– Jasne – odparła z uśmiechem.

Gdy wrócili do głównego pomieszczenia, Thandi spojrzała w górę.

– A jak z nią?

– Już dobrze. Teraz on jest w środku. Jak ma na imię?

– Teddy.

– Właśnie. Głupie imię dla bandyty. Zamieniliśmy ich, żeby maszynka zrobiła najważniejsze z jego ranami. Za kilka godzin znów ich zamienimy. Druga tura będzie już dłuższa. I potem znowu.

– Gdzie ona jest?

– W pokoju na piętrze.

– Kto jej pilnuje? My jesteśmy tutaj, a Steph chyba w pokoju od frontu.

– Spokojnie. Jej obrażenia nie zagrażają życiu.

– Nie tym się martwię. Jeśli ucieknie, mogą być kłopoty.

– Ucieknie! – rzucił szyderczo Andrew. – Po pierwsze, jest na prochach. Po drugie, nie wyjdzie stamtąd. Zadbalem o to. Musiałaby torować sobie drogę ładunkami wybuchowymi, a tych przecież nie ma. A gdyby miała i spróbowała, to sama by przy tym zginęła. To mały pokój. Niewiele większy niż kibel.



Anton przyjrzał się liczbom widocznym na ekranie.

– Co, u diabła...?

Po chwili zaświtało mu, jak to wyjaśnić. Nie żeby wyciągnął wnioski. Kilka minut zastanawiał się, jak zestawić posiadane informacje. Nie aby sprawdzić ich prawdziwość, bo to uczynił już wcześniej, ale by wychwycić istniejące między nimi korelacje.

Oczywiście nie były one tożsame z przyczynowością. Zanim niemowlak nauczy się chodzić, pije mleko, jednak nie znaczy to, że dzięki niemu zdobywa umiejętność poruszania się. Niemniej Anton wiedział, że jeśli wyszuka więcej korelacji, w końcu na coś trafi.

Właśnie. Wstępne rezultaty otrzymał, korelując zniknięcia z miejscem zamieszkania. Drugą oczywistą korelacją byłoby powiązanie ich z wykonywanym zawodem. Trzecią...

DNA obywateli Mesy było rejestrowane w chwili ich narodzin. Włamanie się do tych zapisów było ryzykowne, ale Anton uważał, że zrobił to w bezpieczny sposób. Trudniejsze było już ogarnięcie tak wielkiej bazy danych. Niemniej bycie kochankiem Cathy Montaigne zapewniało mu niejaką przewagę. Zawsze była gotowa wspomóc go swoim bogactwem, gdy potrzebował czegoś do pracy. W tym przypadku oznaczało to dostęp do pokładowego komputera, który był znacznie wydajniejszy niż maszynki montowane zwykle na prywatnych jachtach. Wielkie liczby poddały się jego procesorom.

Ta korelacja dała jeszcze dziwniejsze wyniki, ale jeśli Anton miał rację, powinny pojawić się też jakieś prawidłowości. Skoro Mesa stosowała gradację obywateli według jakości genomu, należało oczekiwać zaburzenia rozkładu statystycznego. Istnienie jakiejś wyróżnionej grupy.

Jeszcze jedna korelacja. Może...

– To przedziwne – powiedziała Yana. – Nigdy do tego nie przywyknę.

Anton oderwał spojrzenie od ekranu i spojrzął w lewo, gdzie Yana leżała rozciągnięta na komfortowym szezlongu stojącym pod ścianą salonu. Technicznie rzecz biorąc, była to oczywiście gródź, ale ten termin nie pasował do przepychu wokół. Ostatecznie na jakiej grodzi wieszają się obrazy, z których każdy wart był majątek?

– Co jest przedziwne? – spytał.

– Ty. Obserwuję cię od dziesięciu minut, a ty przez cały ten czas w ogóle się nie poruszyłeś. Tylko czasem mrugnąłeś albo przesunąłeś palec.

– Myślę – odparł.

– Nie. – Pokręciła głową. – Myśleć można przez górę piętnaście sekund. To, co robisz, jest jeszcze bardziej nienaturalne niż moje nowe ciało.

Yana często narzekała na swoją obecną postać, ale dbała o związaną z nią tożsamość. Teraz miała na sobie strój zaprojektowany przez jednego z najlepszych dyktatorów mody z Ziemi. Krój idealnie podkreślał jej sylwetkę, tkanina przylegała do ciała niby mgła. Była niemal przezroczysta. Anton nigdy wcześniej o niej nie słyszał, nazywała się vaporaise. Była też chyba upiornie droga, skoro dostarczono ją pod eskortą wejściem dla służby.

– Oczywiście! – wykrzyknął i obrócił się znowu do ekranu. – Skorelować zniknięcia z zakupami odzieżowymi.

– Miło, że mogłam pomóc – powiedziała Yana.



– Oczekujemy kłopotów? – spytał Borisav Stanković, gdy zbliżali się do celu wyprawy.

Lajos Irvine pokręcił głową.

– Nie. A gdyby jakieś się zdarzyły, to przykro mi, chłopaki, ale jesteśmy na terenie Duseka i niewiele moglibyście zdziałać.

– Tak, w jednej chwili byłoby po nas – stwierdził Freddie Martinez całkiem spokojnym głosem.

Obaj podwładni Lajosa byli pod tym względem podobni. Nie próbowali przechwalać się czy obrażać bez potrzeby. W Równaniu nawet zwykli agenci mieli klasę.

– To po co tu jesteśmy? – Stanković chciał wiedzieć, jaka rola została im przypisana.

– Zasadniczo jako dekoracja. Chcę uchodzić za poważnego kontrahenta.

– Jak to w półświatku – powiedział Stanković, kiwając głową. – Nie wypada, by ktoś taki sam nosił towar. Zwłaszcza bez ochrony.

On i Martinez trzymali w lewych dłoniach walizki z organami, które Lajos miał sprzedać tego dnia. Prawe ręce mieli wolne na wypadek, gdyby trzeba było sięgnąć po broń.

Oczywiście nie mieliby prawa tego zrobić. Jeśli zastawiono na nich pułapkę, dowiedzieliby się o tym na krótką chwilę przed śmiercią. Ludzie pokroju Duseka nie fuszerowali takich spraw. Ale nie należało tego oczekiwać. Towar nie był aż tak cenny, żeby królowi podziemia opłacało się ryzykować reputację uczciwego złodzieja. Lajos wziął swoich ochroniarzy ze względów protokolarnych. W świecie zorganizowanej przestępczości nie wypadało zachować się inaczej. Podobnie jak nie wkładało się zwykłego ubrania na uroczysty bal. Należało dbać o formy.

ROZDZIAŁ XXXVIII



Każdy dzień mógłby być taki – powiedziała Bea Henderson i wyprostowała się w fotelu, żeby upić ostrożnie łyk kawy przyniesionej właśnie przez drugiego pilota z kuchenki za kokpitem.

George Couch zajął miejsce, balansując własnym kubkiem. Widokom rozciągającym się w dole nie poświęcił prawie uwagi, ale też spektakularna sceneria słynnych Kanionów Ganimedesa kryła się jeszcze za mgłą. O tej porze, gdy słońce chowało się wciąż za horyzontem, było to całkiem normalne.

– Ciesz się chwilą – powiedział. – Niebawem będziemy mieć na karku kolejną pijaną bandę.

Henderson tylko się skrzywiła. Posada pilota w Knight Tours była dobrze płatna, ponieważ ich operator oferował usługi dla najbogatszej klienteli, oznaczało to jednak, że musieli zajmować się też pasażerami, zamiast skupić się wyłącznie na pilotowaniu. A pasażerowie bywali różni. Czasem przyjaźni i sympatyczni, czasem zaś bezgranicznie aroganccy, i to w ten najpaskudniejszy sposób, który pojawia się wraz z wielkimi pieniędzmi, zwłaszcza tymi dziedzicznymi. Kontakty z tą grupą potrafiły być mocno frustrujące.

Niemniej tego ranka otrzymali polecenie powrotu na pusto do Mendel. Zwykle brali jakichś pasażerów przy każdym locie, ale widocznie jakaś grupa bogatych zażyczyła sobie wahadłowca na wyłączność.

Za kilka minut mieli wejść w przestrzeń powietrzną stolicy. Henderson pochyliła się, by nawiązać łączność z wieżą.

– Co, u diabła? – Kątem oka zobaczyła, że drugi pilot zawiesił wzrok na jednym z ekranów.

– Bea, lepiej... Kurwa!

To było jedyne ostrzeżenie, które usłyszała, zanim wahadłowiec został trafiony rakieta–powietrze, wystrzeloną gdzieś pomiędzy ciągnących się w dole kanionów. Na ziemię spadł tylko grad szczątków.



– ...nie ujawniono jeszcze listy osób obecnych na pokładzie wahadłowca – mówił prezenter. – Jednak według wstępnych doniesień nikt nie przeżył katastrofy. Na pokładzie był komplet pasażerów. Należy się więc spodziewać, że lista ofiar obejmie ponad dwadzieścia pięć nazwisk, w tym kapitana i pierwszego pilota. Władze sugerują, że katastrofa została spowodowana niecodzienną awarią...



– Marnujemy tylko czas – rzucił Xavier Conde.

Nie wspominając o pieniądzach, pomyślała producent, Vittoria Daramy, ale nie powiedziała tego głośno. Zaraz doszłoby do kolejnej sprzeczki, a ona miała już dość dyskusji z impulsywnym prezenterem.

Problem tkwił w tym, że wprawdzie Conde nie był gwiazdą pierwszego formatu, ale zyskał wystarczającą pozycję i popularność, żeby w razie zaostżenia się sporu do poziomu, który nie pozwalałby już na dalszą współpracę, to ona została posłana na zieloną trawkę.

Wiedziała, że Conde próbował już raz doprowadzić do jej zwolnienia, oskarżając ją o „skrajne skąpstwo”. Nie udało mu się głównie dlatego, że

notorycznie prowokował konflikty ze swoją ekipą, zwłaszcza z producentami, a na dodatek był rozrzutny. Ich pracodawca doszedł widocznie do wniosku, że jeśli raz ulegnie jego żądaniu, zaraz pojawią się następne. Niemniej i tak mogło być jeszcze różnie.

Daramy wpatrzyła się w pusty ocean widoczny za oknem.

Wyglądał tak samo jak każdy inny wielki przestwór wodny. Bez cech szczególnych. Zanim dotarli na miejsce katastrofy *Magellana*, wszelkie ślady już zniknęły. Szczątki zatoneły albo zostały rozproszone przez fale i nic nie zostało, jeśli nie liczyć oczywiście ocalałych, którzy trafili na stały ląd.

I tam też podążyli inni dziennikarze, mniej skłonni do wyrzucania pieniędzy na wynajmowanie prywatnych promów, by lecieć na środek wielkiego nic. Przeprowadzali już pewnie ciekawe wywiady.

Vittoria nie oponowała przeciwko pomysłowi Condego, ale oboje pochodzili ze świata pozbawionego oceanów, zajmujących tak wielką powierzchnię na Ziemi czy Mesie. Obfitował on w małe morza i spore jeziora, których nikt nie zdołał dotąd policzyć, ale nie było tam ani jednego naprawdę rozległego czy głębokiego zbiornika wodnego. Nie uświadamiała więc sobie, ile może potrwać taki lot i jak mało zobaczą z góry.

Technik nagraniowy próbował ich ostrzec. Alex Xu urodził się w świecie bogatym w oceany, i to w rodzinie rybaków. Rozumiał o wiele lepiej niż oni, że nawet katastrofa, która spowodowała zatonięcie *Magellana*, nie była niczym na tyle wielkim, żeby zostawić trwalszy ślad na powierzchni tak olbrzymiego zbiornika. Conde zlekceważył jednak jego słowa, Vittoria zaś była akurat zbyt zajęta załatwianiem wynajmu promu, by myśleć o czymkolwiek innym.

I w ten sposób trafili właśnie tutaj i zostali bez materiału, z wielkim rachunkiem do zapłacenia i dobowym co najmniej opóźnieniem wobec

planu pracy. A do tego dochodził jeszcze egocentryczny gwiazdor, pełen pretensji do wszystkich wokół.

Vittoria żałowała czasem, że nie przyjęła posady wykładowcy dziennikarstwa na New Mali Central University. Naprawdę tylko czasem, ponieważ zarabiałaby tam może połowę tego, co obecnie, studenci zaś potrafili być równie irytujący jak gwiazdy mediów, a na dodatek było ich więcej.



– To absurd! – wykrzyknęła Harriet Caldwell. – Po prostu absurd. – Potrząsnęła tabletem tuż przed twarzą Anthony’ego Lindstroma z taką energią, jakby był lekką kartką. – Popatrz na te liczby! To jest, kurwa, niemożliwe. Wiesz, jaki potencjał musiałyby mieć Balet, żeby przeprowadzić to wszystko? Nie mają tylu ludzi, nie mają takiej broni i na pewno nie mają dojść, dzięki którym zdołaliby przemyścić na pokład luksusowego liniowca tylu swoich agentów z bombami. Nie mówiąc już o genialnych hakerach, bez których nigdy nie zdołaliby wyłączyć systemów alarmowych.

W końcu złapała oddech, dając Lindstromowi szansę na zabranie głosu.

– Mówimy o tych samych ludziach, którzy odpowiadają za Green Pines, prawda? Nie wiem, skąd bierzesz pewność, że terroryści zdolni do wykradzenia ładunku nuklearnego i zabicia tysięcy ludzi mieliby problemy ze zdobyciem klasycznych ładunków, żeby dodać do rachunku jeszcze trochę ofiar.

– Tony, porównujesz dwie różne sprawy i świetnie o tym wiesz. Jasne, w Green Pines zabili znacznie więcej ludzi, ale tylko dlatego, że w ich ręce wpadła nie tyle nawet bomba, ile zapewne półfabrykat. Ustaliliśmy, że to mogło się stać. Inna sprawa, skąd...

– Mogło się stać – powtórzył sarkastycznie Tony. – A może spróbujemy powiedzieć to wprost? Z jednej strony twierdzisz, że dali radę wyłączyć lokator ładunku, co, jak sama wiesz, bez znajomości kodów jest praktycznie niemożliwe, ale znacznie prostszych alarmów na statku już nie byli w stanie unieszkodliwić. To właśnie sugerujesz?

– To nie jest dobre porównanie! – wykrzyknęła Caldwell, niemal podskakując w miejscu. – Nigdy nie twierdziłam, że Balet to banda klaunów. Setki, nawet tysiące ofiar świadczą o tym jednoznacznie. Jednak nigdy nie działali na taką skalę. Wysyłali samotnych zabójców albo małe zespoły, i to dlatego tak trudno było ich zwalczać. Dwóch, trzech, nigdy więcej niż pięciu ludzi. W Green Pines wystarczyć mogło im dwóch. Jeden do zneutralizowania elektroniki, drugi do samobójczego odpalenia ładunku.

– Dwóch by nie wystarczyło – odparł Lindstrom. – Przede wszystkim skądś musieli wziąć ten ładunek. To nie jest coś, co kupisz w sklepie z bombami.

Spojrzała na niego ze złością.

– Dobrze – rzuciła przez zaciśnięte zęby. – Mieli więcej współpracowników.

Lindstrom pokręcił głową.

– Masz obsesję na tym punkcie, Harriet. Lepiej to zostaw.

Nie dodał już, że jego zdaniem Harriet Caldwell stanowczo zbyt często ulegała podobnym obsesjom i powinna zgłosić się z tym do terapeuty.

Sam jednak nie zamierzał jej tam kierować, zostawiając tę sprawę przyjacielom kobiety. Harriet denerwowała go tymi obsesjami, ale właśnie dzięki nim była tak świetnym analitykiem bezpieczeństwa. Nie bez powodu koledzy i koleżanki z Biura Śledczego nazywali ją Buldogiem. Trochę żartem, trochę z zawiści, ale przede wszystkim mówili to z podziwem.

– Zostaw to – powtórzył, wiedząc świetnie, że Harriet niczego nie zostawi, niemniej może chociaż da mu na razie trochę spokoju.



Następnego dnia Janice Marinescu znalazła na biurku raport o aktywności zespołu Xaviera Condego z dołączoną osobną opinią jednego z analityków z Biura Śledczego. Żadna z osób stojących za dokumentami nie należała do jądra, ale wszystkie były pośrednio pod obserwacją. Oczywiście sam zespół dziennikarski znajdował się pod obserwacją bezpośrednią.

– Sądzę, że możemy skorzystać na poczynaniach Condego – powiedziała na porannej naradzie. – Czy zespół Mitchella jest wolny?

– Tak – odparł Kevin Haas, jeden z jej zastępców. – Wczoraj skończyli robotę z Fischerem. Zgadzam się, że będą do tego idealni. Czy mają zająć się też... – Spojrzał do notatek. – Tą całą Caldwell?

Marinescu pokręciła głową.

– Nie, to byłaby przesada. Nie mamy aż tylu zespołów do dyspozycji. Przekaż jej sprawę któremuś z naszych łączników w Biurze Bezpieczeństwa Publicznego.

– Załatwione – powiedział Haas i zanotował polecenie w swoim tablecie.

WRZESIEŃ 1922 ROKU PO DIASPORZE

„Wzywam was do natychmiastowej kapitulacji, ale jeśli tego nie zrobicie,
nie poczujemy się rozczarowani”.

– Pułkownik Donald Toussaint, Royal Torch Navy

ROZDZIAŁ XXXIX



Triêu Chuanli nie zmienił się wiele od czasu, gdy Victor widział go poprzednio. Szczupły, niezbyt wysoki, odprężony i czarujący, w każdym calu dżentelmen. Tyle że tym razem nie był tak uprzedzająco uprzejmy. Może poczuł się zaskoczony widokiem kogoś, kto był zdecydowanie przystojniejszy od niego.

Victor przywykł już do swojego nowego wyglądu i przekonał się nawet, że atrakcyjna aparycja sama w sobie jest bardzo wygodna. Ludzie jakby nie zauważali kogoś takiego, porażeni jego urodą. Podobnie jak w przypadku spotkania z kimś wybitnie szpetnym, tylko wówczas powodem ignorowania była porażająca brzydota.

Inżynierowie z Beowulfa szukali natchnienia wśród modeli z wybiegów świata mody. Gwiazdy mediów z góry wyeliminowali. Wbrew powszechnej opinii aktorzy naprawdę rzadko grzeszyli urodą. W ich przypadku bardziej liczyła się osobowość, dzięki której budowali swoje role. W świecie mody i reklamy osobowość nie miała znaczenia. Te osoby były jak nieme. Wystarczała im uroda, najlepiej na tyle wyidealizowana, że wręcz abstrakcyjna i tym samym nieodciągająca tak naprawdę uwagi od wszelakich dóbr, które takie osoby prezentowały.

Byli jak piękne kwiaty. Każdy je zauważał, przechodząc obok, ale gdyby poprosić taką osobę, żeby opisała ów widziany niedawno kwiat, byłaby w kropce. Powiedziałyby, że płatki były czerwone, i była jeszcze łodyga,

i te tam, takie... W przypadku ludzi opis byłby podobny: No... jasne włosy. I niebieskie oczy. Rysy... no, takie regularne.

Jedyne, co dawało się łatwo zapamiętać, to wzrost, kolor oczu i włosów. Na to pierwsze Victor nie mógł wiele poradzić, ale był wzrostu średniego, czyli w granicach bezpieczeństwa. Co do reszty, nosił ze sobą zestaw pozwalający na błyskawiczną zmianę barwy włosów i tęczówek. I jak to on, trenował sporo, by nabrać w tym wprawy.



– Sytuacja w Dolnym Radomsku jest cokolwiek problematyczna – powiedział Chuanli, nawiązując do wcześniejszej uwagi Victora. – Niemniej to znany problem. Żyjemy z nim od dziesięcioleci. W tym przypadku proponowane dotychczas lekarstwa okazywały się gorsze od samej choroby.

Victor przytaknął.

– Tak, rozumiem. Niemniej zagrożenie chorobą zwykle związane jest ze środowiskiem.

Starał się eksponować swój nowy akcent, zbliżając się wręcz do karykaturalnego przerysowania. Chciał, żeby Chuanli zaczął podejrzewać, iż tylko udaje przybysza z Dockhornu.

Nie wiedział, na ile mu się to udaje. Nie miał tego jak sprawdzić. Przy okazji odnotował jednak, że o ile wcześniej za żadne skarby nie mógł pozbyć się akcentu z Nouveau Paris, teraz operował swoim głosem o wiele swobodniej.

Nie miał jednak pojęcia, czy Chuanli był w stanie zauważyć różnicę między prawidłowym akcentem z Dockhornu a jego sposobem mówienia. Ostatecznie był tylko gangsterem, który spędził całe życie w jednym

miejscu. Nawet wpływowy mesański wyzwoleniec pozostawał mesańskim wyzwoleniec.

Czego jednak można było się domyślić, to że gospodarz nagrywał rozmowy, tym samym mógł zaprezentować potem nagranie specjalście od języków. Oczywiście o ile uznał, że warto to zrobić.

– Środowisko... – powtórzył obojętnym tonem Chuanli. – W jakim sensie?

– Myślę o środowisku politycznym. A dokładniej o obecnych realiach Mesy. Zwłaszcza w dzielnicach wyzwolenców. To podręcznikowy przykład tego, co wiatr może uczynić z domkiem z kart. Zwłaszcza huragan. – Nagle coś do niego dotarło. – Miewacie na Mesie huragany, prawda?

Chuanli uśmiechnął się w wystudiowany i raczej mało przyjazny sposób.

– Często, ale na wybrzeżach. Mendel leży na równinie. Najgorsze, co nam się przytrafia...

Obrócił się do stojących za nim ochroniarzy.

– Stefan, jak to się nazywa? Ten podmuch?

Strażnik rozciągnął grube wargi w kpiącym uśmiechu.

– Zefir. Prawdziwy mężczyzna może przy nim sikać pod wiatr.

Uśmiech miał chyba sugerować, że jego zdaniem gość nie jest prawdziwym mężczyzną.

Victor odpowiedział podobnym uśmiechem, wypraktykowanym w symulatorze. Był jeszcze mniej przyjazny niż uśmiech Chuanliego. Bardziej uśmiech drapieżnika. Uśmiech rekina.

– Przy naszym wietrze sikanie pod wiatr byłoby ryzykowne. Nazywamy go mantykorą. Gdy zaczyna wiać na moim świecie, wszystko przygina się ku ziemi. Przynajmniej wszystko, co ma związek z Mesą.

Napięcie w pokoju wzrosło wyraźnie, przechodząc od stanów średnich do wysokich. I nadal rosło.

Jednak Chuanli nadal zachowywał spokój, nie zmienił nawet barwy głosu. Wciąż był taki jak na początku rozmowy.

– Nie wiedziałem, że mantykora występuje na Dockhornie. O ile wiem, ta planeta znajduje się dobre pięćset lat świetlnych od Gwiezdnego Imperium i nie ma z nim bezpośredniego połączenia przez żadnego wormhola.

– Zgadza się. Tak naprawdę nie pochodzę z Dockhornu. Chwilowo ten świat jest mi bliski i pasuje mi działać właśnie z niego.

– A naprawdę jest pan z...

Victor machnął lekceważąco ręką.

– W to na razie nie ma co wnikać. Nie poprosiłem o spotkanie, żeby przekonywać pana do czegokolwiek, panie Chuanli. Chodzi o kwestie praktyczne. Chciałem uprzedzić pana w uprzejmy sposób, że wraz z moimi odległymi znajomymi zamierzamy rozwinąć niejaką działalność w Dolnym Radomsku. Żaden z pańskich interesów nie zostanie przez to zagrożony i mamy nadzieję na stworzenie korzystnych relacji tak z panem, jak i z panem Dusekiem.

Wstał i uklonił się gospodarzowi, po czym pożegnał się ze Stefanem. Drugiego ochroniarza zignorował.

– Dziękuję za przydzielenie przewodnika – dodał, tym razem ze szczerym uśmiechem. – Obawiam się, że bez niego zaraz bym się zgubił.

– To więcej niż pewne – odparł Chuanli z podobnym uśmiechem i skinął na drzwi za Victorem. – Ten sam chłopiec będzie czekał na pana, żeby wyprowadzić pana na zewnątrz.



Chłopiec przedstawił się jako Ambros. Może i miał dobrą pamięć do miejsc, ale do imion chyba nie, ponieważ poprzednio nazywał się Thanh.

Z drugiej strony, to mogło być celowe. Wyzwoleńcy bywali czasem subtelni. W ten sposób chłopiec mógł dawać Victorowi do zrozumienia, że próba przekupstwa by się nie powiodła. A dokładniej, że łapówkę by przyjął, ale nic by z tego nie wynikło.

Rozgarnięty chłopak. Dziesięcioletni Victor był do niego podobny, gdy zaczął wspierać rodzinę forszą uzyskaną dzięki współpracy z gangsterami w slumsach Nouveau Paris. Wiedział, jak robić swoje i czego nie gadać. I że jeśli ktoś da mu łapówkę, nie należy kombinować, tylko zaraz powiedzieć o tym swojemu szefowi.

W Nouveau Paris ludzie nie znikali pewnie tak łatwo jak w Dolnym Radomsku, ale wszystko mogło się zdarzyć.



– Chyba zapomniał wspomnieć mi o tym drobiazgu – stwierdziła z kwaśną miną Thandi, patrząc na okaleczoną postać Karen Steve Williams. – Trudno będzie udawać, że wlecemy pijaną, skoro ona nie ma nóg. Ale nic. Gdy pracuje się z Vic... Philipem Watsonem, trzeba umieć improwizować.

Rozejrzała się po pokoju, ale nie znalazłszy niczego przydatnego, przeszła do małej łazienki. Szczęśliwie albo suszarka nie działała, albo obie kobiety starały się oszczędzać pieniądze, bo używały ręczników, które wisały na antycznych haczykach.

Nadal je robiono, chociaż w niewielkiej liczbie, podobnie jak wiele innych przedmiotów wywodzących się z odległej przeszłości. Można było kupić nawet baty do powożenia. Thandi trafiła na nie podczas swojego niedawnego pobytu na Beowulfie. Korzystając z panującej tam swobody

obyczajowej, wybrała się na zakupy do specjalnego sklepu i wzbogaciła swój zbiór zabawek.

Osobiście nie interesowała się akurat batami, palcatami i podobnymi przyrządami, które znajdowały się na wystawie. Miała inne, cokolwiek rzadziej spotykane preferencje seksualne. Nie obejmowały one sadomasochizmu. A nawet gdyby tak było, Victora nie zdołałaby w to wciągnąć.

Wzięła dwa ręczniki i starannie je zrolowała.

– Coś na nią narzucimy, a to będzie robiło za nogi – powiedziała, wracając do pokoju. – Musimy tylko jakoś przymocować ręczniki do kikutów. Nie chciałabym ich niczym przywiązywać, bo to byłoby dla niej raczej mało wygodne.

Szczęśliwie były jeszcze inne antyczne wynalazki, które wciąż znajdowały zastosowanie. Czasem okazywały się nawet na tyle dobre, że przez tysiące lat nie próbowano ich zastępować.

– Mamy taśmę klejącą – powiedziała Stephanie i poszukała w szufladzie szafki w rogu. Wróciła z rolką szarej taśmy. Trochę już odchudzoną, ale w starym budownictwie miała wiele zastosowań.

Ostrożnie i powoli, żeby nie urazić chorej, Thandi przymocowała zrolowane ręczniki do kikutów nóg. Potem owinęła Karen kocem i wzięła ją na ręce.

– Potrzebujesz pomocy? – spytała Cary, ale Thandi pokręciła głową.

Dałaby spokojnie radę nawet wtedy, gdyby Karen była cała i zdrowa.

– Poprowadź mnie tylko i otwieraj wszystkie drzwi po drodze.



Wychodząc z budynku, minęły tylko jedną kamerę monitoringu. Teoretycznie mogły być jeszcze jakieś zamaskowane tu i ówdzie, ale Thandi wątpiła, żeby komuś chciało się aż tak fatygować. Nawet ta jedna wydawała się niesprawna.

Nie należało jednak przesadnie ryzykować, zatem Thandi zrobiła pełną niechęci minę, przechodząc pod kamerą zaś, powiedziała to, co powinna w tej sytuacji powiedzieć:

– Następnym razem sama będziesz wracać, dziwko jebana. Mam dość twoich numerów.



Wyjście na zewnątrz zabrało im niecałe trzy minuty. Jak większość budynków mieszkalnych w okolicy, ten także miał ponad dwieście pięter, ale mieszkanie trzech kobiet, jedno z najgorszych w całym gmachu, znajdowało się stosunkowo nisko. Widać było z niego tylko podjazd dostawczy, wybrały je zaś, ponieważ bezpośrednie wyjście na ulicę było zablokowane przez zawaloną ścianę, która runęła lata wcześniej. Ponieważ nie była to ściana nośna, właściciel nie widział powodu, żeby ją odbudowywać. Ostatecznie były jeszcze cztery alternatywne wyjścia. A jeśli komuś się to nie podobało, mógł się wyprowadzić.

Thandi już wcześniej zamówiła taksówkę. Użycie ciężarówki zwróciłoby uwagę, taryfiarz zaś i tak nie włączał licznika. Nazywał się Bertie Jaffarally i zgodnie z życzeniem Victora był wyłącznie na ich usługi przez okrągłą dobę.

– Ktoś może was powiązać – zauważyła trochę wcześniej Thandi, pełna obaw, że taka nieostrożność może się zemścić.

On jednak pokręcił głową.

– Owszem, i co z tego? Nas już pokojarzyli. A może zapomniałaś o pewnej strzelaninie, po której zostało kilka uszkodzonych samochodów i zwłok leżących na jezdni? Myślisz, że nikt tego nie widział?

– No... jacyś przechodnie. Ale ja myślę o władzach...

– One na pewno też. To biedna dzielnica, w której każdy chce zarobić. Chyba nie sądzisz, że różne agendy władzy z tego nie korzystają? Na Mesie jest z dziewięć takich, które na pewno opłacają całe tysiące szpicli. Albo chociaż płacą im za informacje. Gwarantuję, że niecałą godzinę po zajściu te typki doniosły o wszystkim co najmniej jednej agencji. A najpewniej trzem albo czterem.

– Wtedy jakoś się tym nie przejmowałaś – zauważyła.

– Ani wtedy, ani teraz. – Wzruszył ramionami. – Po prostu znam trzy prawa szpiegodynamiki.

– Właśnie je wymyśliłaś.

– Nie. Pierwsze mówi, że apetyt władz na informację zawsze rośnie i nie zna wartości granicznej poza barierą śmierci cieplnej wszechświata. Drugie, że służby odpowiedzialne za zbieranie informacji są zawsze niedofinansowane. Stąd bierze się trzecie prawo, z którego właśnie korzystamy. Suma informacji zebranych przez służby zawsze przekracza ich zdolność do analizowania tychże. Można powiedzieć, że dławią się skutkami własnego poczucia zagrożenia.

– Nonsens – rzuciła ze złością Thandi. – Gdy tak to przedstawić, wychodziłoby na to, że powodzenie w tej branży jest z definicji niemożliwe. A przecież wiemy, że to nieprawda.

– Owszem, ale jeśli się coś udaje, to wówczas, gdy ktoś narusza zasady działania agencji. Zwykle wtedy, gdy trafi się agent zdolny skutecznie i bez obaw odsiewać zbyt cenne informacje. Tacy agenci się trafiają, ale... –

Przetarł paznokcie i sprawdził efekt. – Jesteśmy rzadkimi okazami, Thandi. Nie zamierzam mówić ci, jak wygrywać bójki uliczne, i mam nadzieję, że nie będziesz próbowała uczyć mnie szpiegostwa.

To praktycznie zamknęło dyskusję.

W efekcie skorzystała więc z taksówki Bertiego. Było to z pewnością wygodniejsze niż każda inna kombinacja. A jeśli ktoś ich widział, co niemal na pewno miało miejsce, i przekazał to gdzieś wyżej...

Wiedziała, co powiedziałyby Victor: „A kogo to obchodzi? Kogo obchodzi, że jedna babka odwozi do domu drugą, która zalała pałę. Najłatwiej schować się w tłumie”.

Victor bywał irytujący i dobrze, że go kochała. W przeciwnym razie już dawno by go udusiła.

ROZDZIAŁ XL



Cały dzień będziesz tak gapił się w przestrzeń? – spytała Yana, kładąc dłonie na biodrach. Zaraz potem je zdjęła. Nie cierpiała tego nowego odruchu, jednak mając takie biodra, trudno było go zwalczyć.

Anton uniósł głowę i uśmiechnął się lekko.

– Po prawdzie to nie gapiłem się w przestrzeń, ale kontemplowałem mądrość barda.

– Barda? Zacząłeś nadawać imiona komputerom? To się źle skończy. Ostrzegam i prorokuję.

– Mam na myśli antycznego poetę i dramatopisarza nazwiskiem Szekspir. Zastanawiałem się nad wersem z jednej z jego największych sztuk: „Coś się psuje w państwie duńskim”.

Wyjął czip z konsoli, odsunął fotel i wstał.

– I psuje się. Szczury opuszczają tonący okręt Mesy. Teraz jestem już pewien. Przeprowadziłem siedem różnych korelacji i wszystkie dają ten sam wynik. Oczywiście przy dużym stopniu ogólności.

Yana wiedziała, o co chodzi. Jedną z dobrych stron pracy z Antonem i Victorem była możliwość zetknięcia się z wieloma nowymi rzeczami. Żaden z nich nie bawił się w tajemniczość dla zasady. Matematyczne techniki opracowywania danych, którymi posługiwał się Anton, pozostawały poza jej zasięgiem rozumienia, ale wiedziała, czego szukał.

– Jak dużym?

– Powiedzmy, że dostrzegam wzorzec, nawet jeśli tylko w zarysie. Ale gdybym przedstawił to zawodowemu analitykowi, wzięłby to za halucynacje. Statystyczne halucynacje wynikłe ze zbyt długiego wpatrywania się w liczby. W sądzie zaś zbłąźniłbym się z takimi dowodami. Tak więc i dobrze, że nie jestem prawnikiem.

Pokiwała głową.

– Rozumiem. I tak stawiam na ciebie, inni mogą się gonić. Skoro mówisz, że istnieje wzorzec, wierzę ci na słowo. Ale czy masz jakieś trochę twardsze dane?

– Ba, nawet ogólnych nie mam. – Pokręcił głową. – Sprawa może dotyczyć przedziału od kilku tysięcy ludzi do... stu tysięcy? Może nawet ćwierci miliona. – Zerknął na trzymany w dłoni czip. – Zdumiałbym się jednak, gdyby chodziło o dolny próg. Najlepsze dane liczbowe wyciągnąłem z raportów o katastrofach i wypadkach. Z natury rzeczy trudniej je zafałszować, nawet jeśli ktoś próbuje, niż dane o wakatach czy zakupach odzieżowych. Oczywiście zakładając, że władze Mesy nie fałszują wszystkiego z góry na dół, w co jednak mocno wątpię. To nie jest w sumie państwo policyjne i mają tam prawdziwe problemy z oszustwami oraz korupcją na wielką skalę. Nie mogą za dużo grzebać, bo wtedy wszystko im się posypie.

– Co masz na myśli, mówiąc o fałszowaniu z góry na dół?

– Na przykład doniesienia o wypadkach, które wcale się nie zdarzyły. Albo całkowitą blokadę na informacje o takich zdarzeniach. W pierwszej opcji musieliby urobić masę ludzi. Dyżurnych służb, medyków i paramedyków, policjantów. I jeszcze dziennikarzy. Drugie jest nawet trudniejsze. Chyba że zaprowadzisz reżim totalitarny, co otwiera puszkę Pandory, bo od tej pory będziesz potykać się co rusz o własne kłamstwa.

Yana zmarszczyła brwi.

– Chyba nadażam. Jeśli więc chcesz kogoś „zniknąć”, najlepiej zaaranżować prawdziwy wypadek, i to z ofiarami śmiertelnymi. Tylko jak wyjaśnić, że nie będzie tam ciała osoby, o którą chodzi?

– Po prostu. Wystarczy zatopić wielki liniowiec pośrodku oceanu. Tak jak zdarzyło się to z *Magellanem*. Winę zwałasz oczywiście na terrorystów z Baletu. Odzyskano bardzo niewiele ciał, zatem lista ofiar została sporządzona na podstawie listy pasażerów. Rozwał wahadłowiec nad Kanionami Ganimedesa, zapewne najbardziej górzystą okolicą planety. Nie znaleziono żadnych ciał.

Yana zacisnęła wargi.

– Ile było ofiar śmiertelnych w katastrofie *Magellana*? Trzy tysiące?

– Trochę mniej. Ponad sto ciał odnaleziono. Niemniej na liście zaginionych jest ponad dwa tysiące siedemset nazwisk. Oczywiście tylko mała część to nasi „zniknięci”. Zdecydowana większość zginęła naprawdę.

– Dlaczego tak uważasz? A, już wiem. Chodzi o to, co mówiłeś wcześniej. Że skoro to nie jest państwo policyjne, „znikanie” ludzi wiąże się z wieloma trudnościami.

– Właśnie. Co wtedy trzeba zrobić... – Zamyślił się na chwilę. – Ha. To jest pomysł. Musimy sprawdzić, czy przeżył ktokolwiek z działu dogląającego pasażerów i załogi. Nie wiem, jak to się nazywa na liniowcach. Założę się, że jeśli w ogóle ktoś ocalał, nie był to nikt ważny.

Yana szybko zrozumiała jego intencje.

– Tak, trzeba zabić wszystkich, którzy mogliby zaprzeczyć oficjalnym rozpiskom. Ale... Co z tym wahadłowcem? Nie mogą chyba. A!

– Ależ mogą – powiedział z uśmiechem Anton. – Trzeba było zadbać, żeby zaginieni, których ciał nie odnaleziono, nie mieli bliskiej rodziny. I dobrze, żeby nie mieli też przyjaciół.

– Zgadza się. Bo wtedy nikt nie podniósłby wrzawy, gdyby usłyszał o przerwaniu poszukiwań ciał ofiar, ponieważ... Jak to powiedzieli? „Warunki były zbyt niebezpieczne, by kontynuować operację”. – Pokręciła głową. – Ale jeśli masz rację, nawet wielkie katastrofy w rodzaju zatonięcia *Magellana* nie wystarczą, by „zniknąć” taki tłum. Na tamtym wahadłowcu miało zginąć dwadzieścia kilka osób. Musieliby je rozbijać codziennie, żeby coś osiągnąć, a wtedy ludzie nabraliby podejrzeń. Te jednostki rzadko miewają awarie. Nie da się usunąć tysięcy ludzi tak detalicznymi metodami.

– Właśnie. I to rodzi przerażające implikacje. Jeśli mam rację... Co będzie, gdy ludzie odpowiedzialni za ten plan przejdą do fazy masowej? – Spojrzał na czip. – Musimy to jak najszybciej przekazać Victorowi. Czy ten jego obdartus gdzieś tu się kręci?

– Raczej nie, ale zostawił swojego kumpla. Tyle że nie podoba mi się, że Victor wciąga w to dzieciaki.

– To jego urwisy z Baker Street – stwierdził ze śmiechem Anton. – Nie krytykuj go, zna swoją robotę lepiej niż ktokolwiek inny. Jeśli mówi, że to bezpieczny kontakt, możesz przyjąć, że tak jest.

– Tak, jasne. Ani myślę z nim dyskutować. To byłoby jak gadać z wężem o technikach pełzania po grząskim gruncie. Ale sądzę, że to wariat.



Dziesięć minut później opuścili statek. Na wszelki wypadek oficjalnie udając się na kolejne rozpustne zakupy. Już wcześniej doszli do wniosku, że to idealny cel dowolnych wypadów.

Przepisy portu wymagały, żeby każdy wychodzący korzystał z bramki na poziomie ziemi, dopiero potem mógł wjechać na napowietrzne arterie.

Zaraz za bramką kręcił się cały tłumek żebraków, którzy zawsze byli tu obecni. Większość z nich była młoda, ponieważ wyzwolenicy już dawno nauczyli się, że obcy chętniej dają pieniądze dzieciom.

Goście zwykle ignorowali żebraków i startowali zaraz za bramką, jednak szlachcianka z Hakimu czerpała dziwną i z pewnością chorą satysfakcję z osobistego rozdawania pieniędzy biedakom. Tak i tym razem wychyliła się z okna i zaczęła wciskać czipy kredytowe w małe chciwe dłonie.

Co dziwne, nie rzucała ich w powietrze, by dzieciaki je łapały i zbierały z ziemi. Postępowała niehigienicznie, ale z pewnością było ją stać na najlepszą opiekę medyczną. Może zresztą uważała, że w ten sposób przybywa jej świętości.

Jeden z ochroniarzy portu przeważ ją trzeciego dnia panią Anielskie Cycki.



Yana przeszła tego dnia samą siebie. Poza zwykłą porcją biżuterii, dzieł sztuki i kosztownych ciuszków wróciła z pręgowanym jaszczurem pochodzącym z jednego ze światów układu Astophel. Anton miał go za wyjątkowo szpetne bydło, długie na dodatek na pół metra i ważące pod dwadzieścia kilo. Musiał jednak przyznać, że był barwny niczym falująca tęcza.

- Co ten bydlak jada? – spytał, oglądając się z fotela kierowcy.
- Skarlałych przedstawicieli rasy ludzkiej. Głównie dlatego go kupiłam.
- Ciągłe bolejesz nad swoimi cyckami, co?



Dziewczynka, która wzięła czip z zakodowanym przekazem, nazywała się Lily Berenger. Miała dopiero dziewięć lat, ale była dobrze wyszkolona.

Gdy tylko zobaczyła, że inne dzieciaki ją otoczyły, upuściła czip na ziemię. Krzycząc ze strachu, pochyliła się, żeby go podnieść, i w tej samej chwili została zaatakowana przez inną dziewczynkę. Podjęła walkę o zachowanie skarbu, który wsunęła tymczasem do ust.

Ta druga dziewczynka nazywała się Magda Yunkers i była najlepszą przyjaciółką Lily. Była też jedną z „podwładnych” Hasrula.

Walka przeciągała się i dla postronnych mogła wyglądać bardzo poważnie, ale też obie dziewczynki serio traktowały zadanie i były dumne ze swoich umiejętności. Dzieciaki wokół kibicowały im głośno, połowa z nich z czystą radością, połowa zaś z obowiązku, bo też należała do gangu i znała swoje powinności.

Ostatecznie Lily wyszła ze starcia jako zwycięzca i z dwoma zaprzyjaźnionymi dzieciakami za sobą ruszyła do najbliższego ruchomego chodnika. Czip trzymała pod policzkiem i gdyby została zatrzymana, zdążyłaby go połknąć. O ile gliniarze nie zrobiliby jej natychmiast płukania żołądka, tworzywo czipa szybko poddałoby się sokom trawiennym i potem byłoby już nie do wykrycia.

Yana uważała, że aż takie ufanie dzieciakom było ze strony Victora wyrazem lekkomyślności, on jednak wiedział dobrze, co robi. W przeszłości już dwa razy korzystał z pomocy takich grup dzieciaków ze slumsów. Przy pierwszej okazji nakłonił techników do przygotowania mu materiału, z którego korzystał do tej pory. Był on bardzo plastyczny i dawał się formować w dowolne kształty. Można było robić z niego czipy kredytowe, monety, płatki gumy do żucia, raz nawet zdarzyła się miniatura samochodu. Niezależnie od formy wystarczały dwie minuty w żołądku, by taki drobiazg rozpląwał się w luźne molekuly, i to bardzo zwyczajne, zwykle spotykane w żołądkach, także dziecięcych. Nawet w przypadku dokładnej analizy nie miały prawa wzbudzić żadnych podejrzeń.

Victor angażował dzieci ze slumsów, ponieważ świetnie rozumiał ich psychikę. Kiedyś sam był jednym z nich. Oczywiście nie były odporne na tortury, ale miały szczególne, często nawet przesadzone i mocno romantyczne pojęcie o honorze. W naturalny całkiem sposób rozumiały, że jeśli przyjmujesz złoto króla, stajesz się człowiekiem króla. I gotowe były trwać w tym, o ile tylko „król” dobrze się do nich odnosił. Nie zdradzają, nie sprzedadzą. W każdym razie nie za pieniądze.

Władcy przestępczego podziemia w rodzaju Duseka i Chuanliego też świetnie o tym wiedzieli i dlatego zatrudniali dzieci w roli przewodników po labiryncie. Co sugerowało, że patriotyczni agenci i zwykli gangsterzy mieli ze sobą wiele wspólnego... Prawda, którą Victor zrozumiał już dawno.



Nie trwało długo, w sumie o wiele krócej, niż można by się spodziewać, a Lily przekazała czip Hasrulowi Goosensowi. On z kolei zaniósł go bezpośrednio Victorowi, chociaż normalnie skorzystałby w tym celu z jednej z przygotowanych specjalnie dla niego skrzynek kontaktowych.

Nie mógł używać tych wcześniejszych przeznaczonych dla Carla Hansena i jego ludzi, ponieważ nie nadawały się dla dzieci. Uliczny oberwaniec jeżdżący windą w biurowcu czy włączący się po targu rybnym byłby z mety podejrzany. No i zupełnie nie wiadomo, po co miałyby korzystać z automatycznej wróżki.

Hasrul chciał się przekonać, jak wyszło z przysługą, którą winny był mu Achmed. Skierował się do domu Steph Turner, chociaż oczywiście nie szedł tam prostą drogą. Korzystał z dobrze znanej mu sieci kanałów pod dzielnicą, gdzie żaden tajniak nie miałby najmniejszej szansy go wyśledzić. Teren był niebezpieczny, ale dawało się przejść, o ile uważało się na

obecnych w tunelach ludzkich drapieżców. Inna sprawa, że dzieciaki nie były ich celem. Gorzej, gdyby trafiło się na większą bandę szaleńców. W mniejszych byli zwykle nieszkodliwi, innym zaś dawało się łatwo uciec.

Tym razem nie spotkał w podziemiach nikogo.

Hasrul oczekiwał, że Achmed palnie mu kazanie na temat naruszenia zasad bezpieczeństwa, mężczyzna jednak nic nie powiedział, gdy Steph wprowadziła chłopca do pokoju na tyłach butiku.

– Przyszedłeś zobaczyć, co z matką? – odezwał się dopiero po chwili. – Spokojna głowa, wszystko gra.

Poczucie lojalności Hasrula, już wcześniej twarde jak skała, jeszcze się umocniło. Chłopak nie pomyślał nawet, że zapewne po to właśnie Achmed tak się zachował, niemniej przeciętny dwunastolatek rzadko miewa podobne refleksje. Choćby i taki twardy i doświadczony życiem.



Moduł medyczny był dla niego cudem jak z baśni. Wiedział, że takie urządzenia istnieją, ale wcześniej żadnego nie widział. Tylko bardzo bogaci wyzwoleńcy mogli oczekiwać w ramach opieki medycznej czegoś lepszego niż wizyta u lekarza czy pielęgniarki, którzy mogli nawet mieć sporą wiedzę, ale zwykle bardzo marne wyposażenie.

Spojrzał na matkę leżącą w komorze modułu za przezroczystą szybą.

– Czy ona śpi? – spytał.

– Niezupełnie – odparł Achmed. – Zasadniczo jest w śpiączce, ale celowo wywołanej i w pełni kontrolowanej.

Chłopak uniósł głowę. W jego zazwyczaj obojętnych oczach pojawił się lęk.

– Ale będzie z nią dobrze?

Achmed położył mu uspokajająco dłoń na ramieniu.

– Będzie dobrze, Hasrulu. Nie ma żadnych obrażeń. Cierpi na paskudną kombinację paru chorób, między innymi bronchitu, połączonych z poważnym osłabieniem organizmu. To groźna kombinacja, ale łatwa w leczeniu.

Słyszając za sobą jakiś hałas, Hasrul obrócił się gwałtownie. Do pokoju wszedł jakiś mężczyzna, którego wcześniej nie spotkał.

Z jakiegoś powodu obcy znał jednak sprawę albo wywnioskował coś ze słyszanej końcówki rozmowy.

– To działa, uwierz mi, że ta maszynka działa – powiedział, po czym uniósł nogę i uderzył się otwartą dłonią w kolano. Zrobił to trochę niezgrabnie, ale uderzenie było silne. – Jeszcze kilka tygodni temu to była krwawa miazga. Nadal nie jest całkiem dobrze, ale kiedyś... – Skinął w stronę modułu medycznego. – Gdy twoja matka wyjdzie, ja się tam załaduję – powiedział z szerokim uśmiechem. – Siedzimy tam na zmianę, ja, Callie, twoja mama i ta nowa dziewczyna. A przy okazji, jestem Teddy.

– Co się stało z twoim kolaniem? – spytał Hasrul.

Teddy wskazał kciukiem na Achmeda.

– Dziewczyna naszego szefa mnie postrzeliła.

– Dlaczego to zrobiła?

– No, wtedy jeszcze Achmed nie był naszym szefem i mieliśmy...

– Drobną sprzeczkę – podpowiedział Achmed.

W tej chwili do pokoju wszedł ktoś jeszcze. Kobieta.

Hasrul podniósł na nią wzrok, ale nie od razu zobaczył jej twarz. Musiał zadrzeć głowę.

Nie znał tej kobiety, ale z miejsca odniósł wrażenie, że...

– O wilku mowa – powiedział Teddy i uśmiechnął się do niej. – Bez obrazy, Evelyn.

– Zero obrazy – odparła kobieta, nie spuszczać spojrzeń z Hasrula. – To ty musisz być tym chłopcem, którym Achmed tak się chwali – powiedziała. – Nazywasz się Hasrul, tak? Jestem Evelyn del Vecchio.

Skinął głową. Do jego lojalności i przywiązania doszedł jeszcze strach. Hasrul nigdy specjalnie nie bał się Achmeda, ale ta kobieta...

– Miło mi panią poznać – powiedział. Każda inna kwestia wydawała mu się niemądra.



– Tego już za wiele – powiedział Victor jakiś czas później, gdy odczytał przekazaną przez Antona wiadomość. Nie próbował weryfikować danych liczbowych. Nie tylko dlatego, że nie był dość dobry z matematyki, ale przede wszystkim nie widział w tym żadnego sensu, skoro Anton już to zrobił. To byłoby tak, jakby mając w zespole mistrza kuchni, upierał się przy samodzielnym przygotowaniu obiadu. – Lada chwila zacznie się piekło.

Thandi czytała to samo, zaglądając mu przez ramię.

– Dlaczego tak mówisz? Anton pisze, że szczury opuszczają tonący okręt. I sam przyznaje, że opiera swoje twierdzenie na bardzo mglistych danych.

– Jeśli Anton mówi, że trafił na pewien wzorzec, to mu wierzę. Nawet przy mglistych danych. I nie mówimy wcale o szczurach zdolnych do tak pragmatycznych działań jak opuszczanie tonącego okrętu. Tu chodzi o fanatyków realizujących długofalowy plan. Nikt nie pracuje nad takim spiskiem przez sześć stuleci, żeby nagle po prostu uciec.

Victor powiedział to ze szczególnym wyrazem twarzy, który kojarzył się Thandi z dumą czy może poczuciem własnej wartości kogoś, kto potwierdził swoją fachowość, oraz czymś w rodzaju poczucia winy.

– Najgorsze, że jestem w stanie zrozumieć ich sposób myślenia, chociaż sam tak nie myślę – powiedział. – O ile to ma jakiś sens.

Thandi starała się za nim nadążyć.

– Zatem... tak naprawdę nie myślisz, że jak myślisz? – Pokręciła głową. – Boże, ale to pokręcone. Co właściwie twoim zdaniem robią?

– Nie mogą po prostu uciec i schować się w jakiejś dziurze. Najpierw muszą zniszczyć wszystkie dowody, że kiedykolwiek istnieli. To jest ich podstawowa taktyka. A znaleziony przez Antona wzorzec pasuje do czegoś innego, co bardzo mnie niepokoi.

– Czego?

– Oglądasz wiadomości.

– Masz na myśli *Magellana*?

– I ten wahadłowiec, który rzekomo uległ awarii nad Kanionami Ganimedesa. Jeśli sądzisz, że to był zwykły wypadek, to chyba cię przeceniałem. To był akt sabotażu, tak samo jak w przypadku liniowca. Pytanie tylko, kto to zrobił? Oficjalnym winnym jest Balet, ale ani przez chwilę w to nie wierzyłem.

Thandi pokręciła głową.

– Oczywiście, że nie. Mieliśmy odprawę z Saburem i Jeremym na temat kadry Baletu na Mesie. Nie podali żadnych nazwisk, ponieważ...

– Nie mamy z nimi współdziałać, więc nie ma co naruszać zasad bezpieczeństwa. A poza tym nie ma ich tu wielu. – Uniósł otrzymany od Antona czip. – Balet z pewnością nie ma tu dość ludzi, żeby przeprowadzić zamach w rodzaju zatopienia *Magellana*.

– Uważasz więc, że to była prowokacja – powiedziała Thandi tonem stwierdzenia.

– Tak, ale... coś tu nie gra.

Thandi zmarszczyła brwi.

– Jak to nie gra? Dla mnie wszystko jest wręcz typowe. – Zmieniła trochę ton głosu. – Przesiąknięci złem terroryści Baletu knują dzień i noc, szykując coraz ohydniejsze akty przemocy, czyny tak odrażające, że nikt jeszcze nigdy... Bla, bla bla. Co w tym nie gra?

– Zasadniczy przekaz jest typowy – przyznał ze śmiechem Victor. – Ale gdy przychodzi do lamentów nad zatopieniem *Magellana*, zaczyna się podkreślanie wielkich możliwości Baletu. Co pozostaje w sprzeczności ze zwykłą taktyką stosowaną wobec rewolucjonistów i innej zbrojnej opozycji. – Chrząknął znacząco. – A w tym akurat jestem poniekąd ekspertem, odebrawszy wykształcenie w szkole samego Oscara Saint-Justa. Który był potworem w ludzkiej skórze, ale i mistrzem w swoim fachu.

Teraz Thandi pokazała zęby w uśmiechu.

– Nie mogę się doczekać wykładu o złych uczynkach w wykonaniu największego autorytetu.

– Bardzo zabawne. Główna sztuka polega na umiejętnym przypisywaniu przeciwnikowi złych cech przy jednoczesnym lekceważeniu jego możliwości. Nie próbujesz budować wizerunku silnej organizacji, na miłość boską...

– Przecież nie wierzysz w Boga.

– Bardzo śmieszne. Ponieważ jeśli zaczniesz to robić, zachowasz się jak ktoś naganiający przeciwnikowi zwolenników. Rany, skoro są tak dobrzy, to może się do nich przyłączę, pomyśli zaraz jeden z drugim. Rozumiesz, w czym rzecz?

– Gdy tak to przedstawiłeś... – Zmarszczyła brwi i spojrzała na ekran. – Faktycznie zdają się niemal... nie tyle zachwalać Balet, ile...

– Ile nie traktują go z pogardą – dokończył za nią Victor i pokręcił głową. – I to jest mocno nie tak, Thandi. – Powinni z niego szydzić. Dlatego właśnie terroryści są zwykle „tchórzliwi”, chociaż stwierdzenie „tchórzliwy terrorysta” to absurd i oksymoron.

– Dobrze. I co z tego wynika?

Wstał i rozejrzył się po pokoju, jakby oceniał jego przydatność w roli schronienia.

– A to, że przywiezienie przez Antona tych modułów presorowych było bardzo dobrym posunięciem. Od dzisiaj wszyscy sypiamy na najniższej kondygnacji piwnicy.

W końcu zrozumiała, do czego dążył.

– Jezu. Naprawdę sądzisz, że mogą okazać się aż tak bezwzględni?

Spojrzał na nią lodowato. Nie znała nikogo innego, kto czyniłby to w równie przejmujący sposób.

– To są ci sami ludzie, którzy od pięciu wieków fundują milionom istot ludzkich dożywotnie niewolnictwo w cierpieniu i strachu. Oczywiście, że są aż tak bezwzględni.

ROZDZIAŁ XLI



W tym samym czasie, ale całkiem gdzie indziej, w hotelowym pokoju, urządzonym znacznie mniej komfortowo niż jacht Antona i Yany, osoba uważana powszechnie za najlepszego dziennikarza śledczego Ligi Solarnej także zdecydowała się wyrazić swoje wątpliwości.

– Coś mi tu nie gra – powiedziała z naciskiem Audrey O’Hanrahan. – Obraz, który próbujecie mi przedstawić, jest jak... – Przerwała i zaśmiała się głośno. – Jest jak mantykora. Tak właśnie. Trochę tego, trochę tamtego, fragmenty różnych zwierząt połączone spoiwem opowieści i udające prawdziwe żywe stworzenie. Ale ja tego nie kupuję.

Siedzący po drugiej stronie biurka urzędnik od informacji publicznej spojrział na Audrey z głęboką urazą. A raczej próbował to zrobić. Dziennikarka była pewna, z całego szeregu powodów, że demonstrowane przezeń emocje są równie fałszywe jak udzielane jej informacje.

– Audrey – zaczął tonem sugerującym, że póki co stara się być wobec niej cierpliwy, ale jeśli nie spotka się z rozsądnym odzewem, to jego cierpliwość w końcu się wyczerpie. – Zapewniam cię...

Machnęła lekceważąco ręką.

– Oszczędź mi tego, Kyle. Po co robicie tyle szumu wokół rzekomego zagrożenia działaniami Baletu? I na jakiej podstawie sądzicie, że z miejsca w to uwierzę? Relacjonowałam to, co działo się po Green Pines, pamiętasz?

– Nie przesadzaj – zachnął się urzędnik, znajdując punkt zaczepienia. – Zjawiała się dopiero...

– Ale i tak dość szybko. Wasze służby nie działały wcale subtelnie i łatwo to udokumentować. Wiem dokładnie, w jaki szal wpadły – dodała gniewnym tonem. – Nie masz pojęcia, ile szczęścia mieliście, że moi producenci przekonali mnie do wycofania najbardziej drastycznych nagrań. Ale odkładając to na bok, nie kto inny jak ty osobiście zapewniałeś mnie wtedy, że Balet „został rozbity, a jego struktury na Mesie całkowicie zniszczone”. To twoje własne słowa. Mówiłeś też, i znów posłużę się cytatem, że „nie został nawet najmniejszy ślad po Balecie”. Nawiasem mówiąc, miałam to wówczas za świadectwo zarozumiałości.

Kyle emanował wręcz urażoną niewinnością, co było kolejnym fałszem, na który Audrey nie zamierzała dać się nabrać.

– Nie wygłupiaj się, Kyle. Nie ma co udawać. Oboje wiemy, że są dwie możliwości. Albo wtedy kłamałeś, albo kłamiesz teraz. To jak jest?

Wciągnął powietrze przez nos i zapatrzył się w okno.

– Tam nie ma nic, tylko mżawka – powiedziała Audrey bez cienia współczucia. – Jesteśmy na wysokości tysiąca jardów. Przestań się czaić. Kłamstwa wtedy, kłamstwa teraz, aż nie chce mi się pytać o przyszłość, bo wiadomo, co powiesz. Jak jest naprawdę?



Fraenzl miał już pecha pracować z O’Hanrahan w przeszłości. Dyrektoriat Kultury i Informacji przydzielił go do jej ekipy po masakrze w Green Pines i wówczas traktowała go tak samo nieufnie i tak samo nie chciała nawet udawać, że mu wierzy. Inni dziennikarze akceptowali tę grę pozorów, bo wiedzieli, że bez tego niewiele uzyskają. Ale nie ona. A najgorsze, że w jej przypadku wszelkie uniki były bezskuteczne. Nie

dawała się spacyfikować, a przy tym była zbyt znana poza Mesą, żeby zakazać jej wstępu. Gdyby tylko spróbował, zaraz ogłosiłaby na całą galaktykę, że coś musi się za tym kryć, jej dziennikarska wiarygodność zaś, połączona ze zwyczajem upierdliwego wtrącania się w sprawy najmożliwszego tego świata, sprawiłaby szybko, że zyskałaby posłuch. Taki czarny PR był ostatnią rzeczą, której Mesa obecnie potrzebowała. Miał zatem tylko dwie opcje: zacząć odpowiadać jej w miarę rozsądnie albo unieść się gniewem i wyjść.

Osobiście wolałby wyjść i bardzo za tym tęsknił, ale otrzymał wyraźne instrukcje od samego dyrektora swojej placówki.

– Cokolwiek zrobisz, nie poddawaj się – powiedział mu dyrektor Lackland. – Bóg mi świadkiem, że wolałbym nie mieć jej tutaj, wtykającej nos we wszystko, ale skoro już się zjawiała, nie możemy zrobić niczego, co sugerowałoby chociaż, że chcemy jej zamknąć usta. Podniosłaby wtedy taki raban, że wyszlibyśmy na całej imprezie jeszcze gorzej. Obsmarowałaby nas totalnie.

Zatem siedział na miejscu i starał się jak najdokładniej wykonywać instrukcje, nawet jeśli robił w ten sposób z siebie głupca.

– Gdy spojrzeć na to dzisiaj, to zapewne cechował nas wówczas przesadny optymizm.

– Zapewne?

To było tylko jedno słowo, ale tak ociekające sarkazmem, że Kyle aż zacisnął zęby ze złości.

– Dobrze. Przesadziliśmy z optymizmem.

– Tamtemu optymizmowi towarzyszyła nadzwyczajna brutalność waszych sił porządkowych. Sama to widziałam. Czy mam więc rozumieć,

że niezależnie od skłonności do stosowania skrajnej przemocy okazali się też niekompetentni?

Fraenzl spojrział na nią ze złością. Jej zdolność odwracania kota ogonem była... była...

Uśmiechnęła się do niego bez cienia życzliwości.

– Uważaj, bo ci serducho wysiądzie – powiedziała. – Poza tym masz mi pomagać, a ja ciągle czekam na odpowiedź.



Trwało to trochę, ale ostatecznie Audrey udało się wydusić z niego oficjalne stwierdzenie, że działania podjęte przez agendy odpowiedzialne za bezpieczeństwo państwa po zamachu w Green Pines w celu likwidacji Baletu na Mesie zostały wówczas ocenione z „nadmierną dozą optymizmu”.

Zawsze zdumiewała ją niezdarność różnych rzeczników, gdy przychodziło im przyznać się do błędu. Jakby nie rozumieli, że proste „myliliśmy się” albo nawet „przykro nam, ale daliśmy ciała” przyniosłoby na dłuższą metę o wiele lepszy efekt niż słowna ekwilibrystyka, którą tak uwielbiali.

„Nadmierna doza optymizmu”. I to miało jej wystarczyć!

Wstała zza biurka i podeszła do okna. Na starej Ziemi jej witryna „Prawda wyjdzie na jaw” biła rekordy popularności, Audrey zaś była jej główną podporą, dzięki czemu producenci nie ograniczali jej specjalnie i mogła sobie pozwolić na dodatkowe wydatki. Obejmowało to pokój hotelowy z prawdziwym oknem zamiast ekranów okiennych, tak powszechnych we współczesnych miastach. Z tej wysokości widziała nawet skraj płaskowyżu, na którym wzniesiono Mendel.

A raczej widziałaby, gdyby nie chmury i deszcz. Ale mniejsza z tym. Tak naprawdę widok jej nie interesował. Musiała trochę uporządkować myśli.

Nawinęła kosmyk kasztanowych włosów na palec i zmrużyła jasne oczy. Zadeklarowany cel jej wizyty na Mesie był zupełnie inny od rzeczywistego. Jednego z najtrudniejszych, jakie sobie dotąd wyznaczyła.

Audrey O'Hanrahan poświęciła trzydzieści lat na zdobycie pozycji jednego z kilku najlepszych dziennikarzy śledczych w Lidze Solarnej, a może nawet w całym wszechświecie. Była dociekliwa, drobiazgowa i obiektywna. Nieraz już udowodniła, że można jej wierzyć, i naprawdę nie zniekształcała rzeczywistości, starając się oddzielić dobre od złego. Oczywiście popełniała błędy, ale przyznawała się do nich i korygowała, co należało. Jak dotąd nikt nie próbował oskarżać jej na serio o przygotowanie materiału „pod tezę” czy na zamówienie.

Podobnie jak wszyscy, miała kilka prywatnych sekretów. Jednym z nich był fakt, że wywodziła się z mesańskiej linii alfa.

Uśmiechnęła się lekko. Starannie zaprojektowany genotyp dawał jej przewagę nad zwykłymi ludźmi, ale i tak musiała długo i ciężko pracować, żeby zdobyć obecną pozycję najlepszego tropiciela fałszu w życiu publicznym. To zaś, jak na ironię, naprawdę ją pasjonowało. Nie cierpiała hipokryzji, oszustwa, korupcji, nadużywania władzy, stanowisk czy pozycji majątkowej. Mogło się to wydawać dziwne u kogoś tkwiącego w sercu najstarszego spisku galaktyki, ale naprawdę odrzucało ją od chciwości czy narcystycznej gigantomanii, stojących zwykle za korupcją i różnymi manipulacjami. W sumie szczerść tych odczuć, przebijająca się w realizowanych materiałach, była decydującym czynnikiem, który zaważył na jej popularności i obecnej reputacji kogoś, kogo należało się bać.

Ale było jeszcze drugie dno, czyli ukryty powód, dla którego jej sława pogromcy możnych tego świata i głosicielki prawdy była tak ważna dla Równania.

I tym razem otrzymała instrukcje nie tyle ogólne, ile bardzo szerokie. Wprawdzie jej kanały łączności z jądrem były bez dwóch zdań bezpieczne, ale przełożeni nie chcieli wyrażać się zbyt szczegółowo. Już dawno temu uznała, że to typowe dla prawdziwych konspiratorów, i uważała za słuszne, nawet jeśli czasem utrudniało agentom robotę. Z drugiej strony, reprezentowała linię alfa i umiała czytać między wierszami. Nauczyła się tego mniej więcej wtedy, gdy zaczęła mówić. Albo gdy skończyła szkołę i została zwerbowana jako aktywny agent. Znała tylko ogólne założenia misji i tym bardziej poczuła się zaskoczona, gdy tym razem przekazano jej wyraźną instrukcję, żeby zatrzymała się w tym właśnie hotelu. Średnio kosztownym przybytku o nazwie Huntington Arms. Dlaczego właśnie tutaj? W takich sprawach zostawiano jej zwykle wolny wybór.

Jednak im dłużej przebywała na Mesie, tym więcej zaczynała rozumieć. Także w sprawie innych instrukcji otrzymanych przy tej szczególnej okazji.

O'Hanrahan nie została objęta operacją Houdini. Nawet o niej nie słyszała, nazwa Houdini zaś kojarzyła się jej wyłącznie z nazwiskiem magika sprzed wielu wieków. Należała jednak do tej garstki, która nie tylko wiedziała o istnieniu Równania, ale znała także prawdziwy cel jego działalności. Już kilka miesięcy temu zrozumiała, że przygotowywany z dawna plan wchodzi w krytyczną fazę realizacji. Podejrzewała, że zaczęło się to wcześniej, niż ktokolwiek w jądrze oczekiwał. Jako specjalista od międzygwiazdnej polityki, jak i splecionych z nią zagadnień militarnych, szybko doszła do wniosku, że musiało to oznaczać również kres Mesy w jej obecnej politycznej postaci, ustanowionej kilka wieków temu. Co więcej, ten kres był już całkiem blisko. Nie chodziło wcale o mglistą przyszłość,

sprawa zaś dojrzała już na tyle, że nawet ktoś mniej rozgarnięty miał prawo domyślić się istnienia jakiegoś planu w rodzaju Houdiniego. Oraz tego, że plan ów jest już najprawdopodobniej realizowany.

Jako agent z linii alfa wiedziała, że wprawdzie zasadnicza część członków jądra od dziesiątków lat nie przebywa już na Mesie, ale Równanie nadal miało tu wielu swoich ważnych ludzi.

Ilu dokładnie? Nie miała pojęcia, ale musiała to być przynajmniej pięciocyfrowa liczba. Część członków jądra musiała pozostać na Mesie do czasu zrzucenia maski, żeby zarządzać tym wszystkim, czego zorganizowaniu poświęcono tyle czasu. Niektórzy z tej grupy, wyrastającej ponad miliony zwykłych pracowników, którzy nigdy nie słyszeli o planie Detweilera, mogli zostać w razie konieczności poświęceni dla sprawy, ale większość na pewno nie. To oznaczało, że trzeba było zabrać ich z planety, i to w całkowitej tajemnicy, nie zostawiając żadnych śladów sugerujących, dokąd właściwie się udali, kim naprawdę byli ani co się z nimi stało. A biorąc pod uwagę, że wydarzenia wyraźnie nabierały tempa, trzeba było to zrobić szybko.

Szybciej niż było to przewidziane w przygotowanych z dawna planach. A to oznaczało...

Drastyczne środki. Naprawdę drastyczne, bo bez nich tak masowa ewakuacja nie miała prawa się udać. To zaś pasowało idealnie do jej nowych zadań i niektórych poleceń. Przełożeni nie zasugerowali jej wynajęcia apartamentu w Huntington Arms, tylko wprost nakazali, by skorzystała z tego właśnie hotelu. Takie polecenie wydaje się tylko wówczas, gdy istnieje pewność, że zatrzymanie się gdziekolwiek indziej wiązałoby się z poważnym ryzykiem. I tylko komuś bardzo ważnemu.

Chcieli, żeby pozostawała bezpieczna, poza strefą, w której coś mogło się zdarzyć. A jeśli ewakuacja już się zaczęła, co było bardzo

prawdopodobne, logiczne było również oczekiwanie, że będzie wspierać tak naprawdę w swoich materiałach obecne stanowisko rządu Mesy. Musiała w tym celu posunąć się trochę dalej, niż zwykle czyniła to jako reporter, komentator i analityk, ale nie byłby to pierwszy raz i czuła się w tej roli całkiem dobrze. Wiedziała dokładnie, jak skroić materiały, żeby osiągnąć ten cel.

Pierwsze. Krytykować ostro, a nawet okładać bez litości władze Mesy za ich dawne, obecne i przyszłe grzechy wobec niewolników oraz tych obywateli, którzy byli dla władz tylko wyzwoleńcami.

Drugie. Szydzieć z ich niekompetencji, wyśmiewając przy tym i krytykując, co tylko się da, oczywiście w takich granicach, żeby nie narazić na szwank własnego obiektywizmu, skupiając się głównie na tym, że zamiast ścigać terrorystów, władze skoncentrowały się na represjach wobec własnych obywateli.

Trzecie. Zasugerować i taką możliwość, że Balet jest na Mesie obecny w znacznie większej skali, niż władze są skłonne to przyznać. Ostrzeżono ją przy tym (całkiem niepotrzebnie, rzecz jasna), że powinna przedstawiać to zagrożenie z wyczuciem, żeby nikt nie mógł oskarżyć jej, że goni za sensacją.

Oczywiście to nie był problem. Zawsze dotąd uważała, żeby nie przesadzać z eksponowaniem sensacyjnych wątków, jeśli plan ewakuacji zaś został już wdrożony i jej domysły okażą się słuszne, należało oczekiwać wydarzeń, które same z siebie staną się wielkimi sensacjami.

Całe szczęście, że producenci tak hojnie wyznaczali jej budżet. Teraz miał się rzeczywiście przydać. Za dwa dni miała wynająć naprawdę dobrych ochroniarzy. Należało oczekiwać zamachu na jej życie, który, chociaż nieudany, musiał jednak wyglądać całkiem realistycznie. Oczywiście bez jednoznacznego wskazania sprawców. To mógł być Balet,

mogli być niezadowoleni z czegoś przedstawiciele którejkolwiek z rządowych agencji, działający na własną rękę, albo nawet przedstawiciele tej czy innej spółki armatorskiej, którym nadepnęła na odcisk.

Przeżyła już dwie takie próby i w obu przypadkach tożsamość zamachowców nie została nigdy ustalona, chociaż oczywiście pojawiły się na ich temat różne teorie. W obu przypadkach nie miało to najmniejszego znaczenia. Raz był to prawdziwy zamach, ale to też był drobiazg. Liczył się odbiór. Za każdym razem widzowie nie dość, że siedzieli przed ekranami jak przymurowani, to jeszcze wielce się z nią solidaryzowali i w znakomitej większości dochodzili do wniosku, że gdyby nie miała racji, nikt nie próbowałby jej w ten sposób uciszyć.

Szczęśliwie dla niej linia alfa miała już od wieków zaprogramowane upodobanie do ekstremalnych przygód. Niektórzy nazwali to uzależnieniem od adrenaliny.

Sama miała to za raczej prymitywne określenie zjawiska. Adrenalina była tylko środkiem, nie obiektem uzależnienia. Istota sprawy tkwiła w charakterze, odbijającym starannie zbilansowany zestaw genów, dobranych przez inżynierów Równania.



Następnego ranka nagrała pierwszy materiał.

– Mówi Audrey O’Hanrahan. Jestem obecnie na Mesie, gdzie wszystko zapowiada nadchodzącą katastrofę.

Dobrze, pomyślała. To nie tylko zwykły wstęp, ale i coś, co powinno przyciągnąć uwagę.

– Ci spośród was, którzy oglądali moje poprzednie reportaże z wydarzeń na Mesie po ataku terrorystycznym na Green Pines, pamiętają zapewne, jak sceptycznie odnosiłam się do oficjalnych oświadczeń władz i jak

krytykowałam brutalność sił porządkowych Mesy. Przejawiana przez nie skrajna agresja, bo to nie była już brutalność, mogła zdumiewać, zwłaszcza w połączeniu z sugerowaną wtedy przeze mnie niekompetencją samych władz. Brutalni ludzie nie zawsze są głupcami, ale faktem pozostaje, że brutalność często ogranicza zdolność myślenia. Dotyczy to w równym stopniu samych sprawców, jak i ich ofiar. Teraz wydaje się, że moje zastrzeżenia były jak najbardziej zasadne. Wysoko postawiona osoba we władzach Mesy przyznała mi wczoraj rację, że doniesienia o całkowitym pokonaniu Baletu na Mesie oraz sprzyjających Baletowi struktur wśród tak zwanych „wyzwoleńców”, będących w praktyce obywatelami drugiej klasy, były mocno przesadzone. Ówczesne zamiary władzy sprowadzały się do pragnienia zemsty. I to ono zaślepilo je na tyle, że nie zwracano uwagi na to, czy ofiary przemocy były w jakimkolwiek stopniu winne. Oznaczało to jednocześnie, że osoby naprawdę odpowiedzialne za zamach mogły tym łatwiej ująć sprawiedliwości. Wrogowie publiczni zawsze korzystają na nieprofesjonalnym zachowaniu władz, które daje im szansę zaplanowania kolejnych wrogich aktów. „Brutalność i niekompetencja” – to powinno być motto Biura Bezpieczeństwa Publicznego na Mesie, zamiast obecnego „Zawsze czujni, zawsze gotowi”.

Spojrzała wprost w obiektyw kamery i potrząsnęła głową.

– To było coś znacznie gorszego niż przesadnie optymistyczne podejście do wyników własnych działań!



Dwadzieścia minut później skończyła nagrywać surowy materiał i obejrzała go, oceniając pod względem edytorskim. Wyszło całkiem niezłe. Może nawet lepiej niż zwykle, zwłaszcza jak na surówkę. Zawsze mogła

rozłożyć trochę inaczej akcenty, gdyby sobie tego zażyczyli, ale dawno już nauczyła się, żeby nie podejmować takich decyzji na gorąco.

Poza tym teraz, gdy już wreszcie mogła, powinna w pierwszym rządzie załatwić pewien drobiazg.

Włączyła komunikator i wybrała numer prywatnej firmy ochroniarskiej, z której usług korzystała już kiedyś na Mesie. Oficjalnie nie była w żaden sposób powiązana z Równaniem, ale pracowało w niej kilka osób z jądra.

– Cerberus Security? Mówi Audrey O’Hanrahan. Czy mogę rozmawiać z panem Lee Seagravesem? Tak, poczekam.

Uwielbiała tę pracę.

ROZDZIAŁ XLII



Zaniedbany frachtowiec wyszedł z nadprzestrzeni dwadzieścia trzy i pół minuty świetlnej od gwiazdy typu F7, nazwanej kiedyś przez węgierskich kolonizatorów Balcescu. Żagle frachtowca zajaśniały od nadmiaru energii, po czym zostały zrekonfigurowane w zwykły ekran. Chwilę jeszcze zabrakło odzyskanie orientacji w przestrzeni, co zawsze było wyzwaniem nawet dla najlepszych astrogatorów, po czym statek pospieszył ku celowi swej podróży znajdującemu się jedenaście minut świetlnych w głębi układu.



– Mamy ślad wyjścia – zameldowała Sophie Bordás, dyżurująca przy systemach czujników stacji Balcescu.

– Naprawdę? – spytał Zoltan Somogyi, dowódca stacji, odstawiając kubek i obracając się wraz z fotelem ku konsoli czujników. – I co możesz o nim powiedzieć?

– Na razie niewiele – odparła Bordás, wstrzymując się od dodania „oczywiście”. – Jest na granicy nadprzestrzeni i otrzymuję tylko sygnaturę ekranów. Sądząc po ich mocy, statek ma zapewne około miliona ton, na razie utrzymuje niewielkie przyspieszenie siedemdziesięciu dwóch g. – Wzruszyła ramionami. – Wygląda na frachtowiec w żegludze trampowej. Wyszedł z prędkością ponad dziewięćset trzydziestu mil na sekundę, będzie więc na orbicie Debrecena za cztery godziny i dwanaście minut, z obrotem za niecałe trzy godziny.

Somogyi oparł się wygodnie w fotelu i zastanowił chwilę. Mieszkańcy niewielkiej kolonii na Debrecenie, jedynej zamieszkanego planecie układu Balcescu, nie zwykli zadawać zbyt wielu pytań na temat tego, co działo się na jej orbicie. Do chwili, gdy Jessyk Combine zdecydowało się przejąć zarządzanie stacją, popadała ona z wolna w ruinę z braku właściwego utrzymania. Działo się tak, ponieważ mieszkańcy układu nie mieli praktycznie nic z jej istnienia, przez ostatnie czterdzieści lat zaś ruch był wręcz szczątkowy. Na planecie nikt nie zainteresował się nawet, po co właściwie Jessyk Combine tak przestarzała stacja. Liczyło się tylko to, że ktoś ją wynajął, wyremontował i jeszcze spowodował, że ruch w układzie zaczął wzrastać. Gdyby ktoś spróbował dokonać ekonomicznej analizy tej działalności, szybko musiałyby zrozumieć, że działalność wewnątrzukładowa partnerów Jessyk Combine nie miała prawa uczynić wynajmu opłacalnym. Faktyczny zysk był niższy niż to, co trzeba było zapłacić rządowi Debrecena. Tyle że tym też się nikt nie przejmował.

Stacja Balcescu była podzielona na dwie części. Główna była tym, na co wyglądała, czyli byle jak utrzymanym centrum przeładunkowym. Jednostki niewolnicze obsługiwała druga część, niemal całkowicie odcięta od reszty stacji.

Mimo utrzymywania pozorów sprawa była całkiem oczywista. Chyba nikt z pracujących w oficjalnej części stacji nie miał złudzeń w kwestii tego, co naprawdę działo się tuż obok. Jednak stara zasada głosząca, że „czego nie widać, o tym nie słyhać”, działała także tutaj, praca na stacji zaś była lepiej płatna niż jakakolwiek inna na dole.

Co więcej, Jessyk Combine świetnie dogadywało się z miejscowymi władzami, co zapewniało o wiele lepszą atmosferę współpracy niż w niedalekim sektorze Maya, i nie istniało ryzyko, że Solarian League Navy wpadnie tu z niezapowiedzianą wizytą w poszukiwaniu dowodów

nielegalnej działalności. Nikt więcej nie interesował się tym prowincjonalnym układem, odległym o ponad dwa stulecia świetlne od Erewhonu, o dziwnych miejscach takich jak Haven czy Manticore w ogóle nie wspominając. Zresztą, sądząc po ostatnich doniesieniach, Manticore miało dość kłopotów z Ligą Solarną, żeby nie mieszać się do różnych pomniejszych spraw swojego sąsiada. Niemniej...

– Miej na niego oko, Sophie. Upewnij się, że jest sam. I daj mi znać, gdy odbierzesz sygnał transpondera.

– Jasne – odparła Bordás. – Poprosiłam ich już o jego włączenie, ale moja transmisja dotrze do nich dopiero za osiem minut.

– Rozumiem – powiedział Somogyi i sięgnął znowu po kubek z kawą.



– Żądają włączenia transpondera – oznajmił rzeczowo dyżurny łącznościowiec na pokładzie *Hali Sowle*.

– To miło z ich strony – rzuciła Ganny El, unosząc poobijany kubek z kawą w geście pozdrowienia.

– Mam odpowiedzieć? – spytał porucznik Frank Johnson, unosząc głowę i wpatrując się w punkt gdzieś pomiędzy Ganny El i Kabwezą.

– Cóż – odparła Kabweza, uśmiechając się lekko. – O tym chyba powinni zdecydować eksperci. Ganny?

– Nie chcę zachowywać się zbyt formalnie – odpowiedziała Ganny. – Jeszcze sobie pomyślą, że jesteśmy z wojska. Niech poczekają. Tak z siedem minut. A potem włącz transponder i zobaczymy, czy wyślą nam całusa.



– Mam kod transpondera naszego gościa – powiedziała z niejakim zdumieniem Sophie Bordás. – To *Hali Sowle*. Oczekujemy go?

Zoltan Somogyi znów się do niej odwrócił. Też był trochę zaskoczony identyfikacją jednostki, ale nie na tyle, żeby rozchlapać kawę.

– Nie, nie ma w rozpisce. Ale jego kapitan... jak jest tej harpii?

– Gamble Las Vegas. – Bordás raczej lubiła starszą panią, chociaż musiała przyznać, że jest dziwna. Przelotnie zastanowiła się, co jej imię mogło znaczyć w języku używanym na Vegas.

– Właśnie. To nie byle kto. Mówiła, że będzie tędy wracać, chociaż odniosłem wrażenie, że kierowała się na Prime, a potem na Ajay. – Zaciśnięła wargi. – Chociaż może chodziło jej o coś całkiem innego i źle ją zrozumiałem. – Pochylił się, żeby przyjrzeć się ekranowi. – Masz cokolwiek podejrzanego?

– Nie. Ale sprawdzę. – Sophie wprowadziła kilka poleceń i porównała otrzymane dane. – Żadnych. Wszystko wygląda tak samo. Sygnatura zgadza się z tym, co zarejestrowaliśmy ostatnim razem.

Somogyi znów usiadł wygodnie i sięgnął po kubek.

– No to niebawem się przekonamy.

Na razie nie mieli nic więcej do roboty, jak zwykle na tej stacji, Sophie wróciła więc do czytanego właśnie romansu. Mogli sobie mówić, co chcieli, o szefie, i rzeczywiście czasem zachowywał się jak dupek, ale nie miał nic przeciwko zabijaniu jakoś czasu na służbie, zwłaszcza gdy naprawdę nie było co robić.

Z drugiej strony trudno byłoby mu pozostać służbistą w tej kwestii, zważywszy na to, że sam układał właśnie pasjansa na swojej konsoli.



Gdy Bordás znalazła zakładkę i wróciła do czytania, reszta personelu stacji miała trochę więcej zajęć. Dyżurująca w kontroli podejścia Csilla Ferenc uzgadniała z Tabithą Crowley, astrogatorem statku *Prince Sundjata*, wektor jego odejścia, podczas gdy Béla Harsányi prowadził przybyły właśnie frachtowiec, András Kocsis zaś doglądał ostatnich przygotowań do odlotu jednostki *Luigi Pirandello*.

W sumie jednak nie mieli wiele pracy. Dla trzech kontrolerów upilnowanie takiej liczby jednostek nie stanowiło żadnego problemu, zwłaszcza że ten przybywający był dopiero w odległości jedenastu minut świetlnych, *Prince Sundjata* zaś miał odcumować dopiero za trzy godziny.



Zachariah McBryde z radością opuszczał stację Balcescu i nie przeszkadzało mu nawet to, że czynił to na pokładzie starego statku niewolniczego, a nie luksusowego liniowca, którym opuścił Mesę, czy nawet prymitywnie wyposażonego promu, który dostarczył go na stację. Na pokładzie *Prince'a Sundjaty*, jakkolwiek statek był ogólnie przygnębiający, nie musiał przynajmniej stykać się z niewolnikami, trzymanymi w osobnych przedziałach.

Na stacji panował spory ruch, jednak nie był on związany z oficjalnymi gośćmi. Co gorsza, ich Gaulowie uparli się, że wszyscy „specjalni pasażerowie” powinni pozostać w wydzielonej części Balcescu, co oznaczało w praktyce część przeznaczoną dla obsługi statków niewolniczych. Przez trzy dni oczekiwania na dalszy transport mogli tylko przesiadywać w tamtejszym „bistro” i popijać kawę, której jakoś też pozostawiała wiele do życzenia.

No i patrzeć, jak przez stację przechodzą kolejne transporty niewolników, przesyłane w różnych kierunkach czy lokowane

w tymczasowych kwaterach. Wszyscy zasadniczo wiedzieli, jaką rolę odgrywał handel niewolnikami w długofalowych planach Równania, jednak dotąd było to dla nich coś abstrakcyjnego i nie byli przygotowani na bezpośrednie zetknięcie się z tym zjawiskiem. Widząc tych biedaków przechodzących w tę i z powrotem, tylko ktoś całkowicie pozbawiony empatii nie dostrzegłby w nich przedstawicieli tego samego gatunku. Może trochę innych, a nawet bardzo różnych, ale jednak braci.

Depresję pogłębiało poczucie osamotnienia po porzuceniu rodziny i tym samym czas spędzony na stacji wydawał się Zachariahowi koszmarem. Z miłą chęcią stąd odlatywał.

Żałował tylko, że Lisa Charteris została skierowana na inny statek, *Luigi Pirandello*, który miał odlecieć po frachtowcu *Prince Sundjata*. Była ostatnim ogniwem łączącym go z dawnym życiem. Drugi dyrektor programu, znany mu przynajmniej z widzenia Joseph van Vleet, leciał razem z nią.

Pozostałe dwie kobiety dzieliły jedną kabinę, ale Zachariah szczęśliwie znowu dostał jedynekę. Powiedzieli mu, że lot do miejsca ich przeznaczenia, którego nazwy nie ujawniono, potrwa kilka tygodni. Sądził, że spędzi ten czas, nadrabiając braki w literaturze fachowej oraz prywatnych lekturach. *Wojny i pokoju* Tołstoja nie czytał od czasu studiów i ledwie wgryzł się dotąd w jedenastotomowe *Annały Ayutthayi Natchayi Suramongkol*.

Inną zaletą tego frachtowca były małe kabiny, dzięki czemu nie musiał znosić obecności swojego Gaula, A. Zhilova.

Nie, zalety były jeszcze dwie. Gdy dotarli na stację, okazało się, że trzech z towarzyszących im Gaulów musi zaraz wracać na Mesę. Widocznie ludzie odpowiedzialni za Houdiniego uznali, że od tej pory starczy jeden Gaul na statek. Tym samym pan S. Arpino został zaokrętowany wraz z Lisą

i van Vleetem, Zhilova zaś przydzielono do pozostałej trójki. Dzięki temu istniała szansa, że Zachariah przez dłuższy czas nie będzie go oglądał.

Nadal nie wiedział, jakiemu imieniu odpowiada inicjał A, chociaż w sumie wcale go to nie obchodziło. Gaulowie wydawali mu się równie ciekawym towarzystwem jak przeciętna ropucha.

– Odlot za dziesięć minut – oznajmiła przez interkom kapitan statku.

Zachariah nie był pewien jej nazwiska. Bogdanov, Bogunov...? Słyszał je tylko raz. Głos miała jednak charakterystyczny, z lekką chrypką.

Ku swemu zaskoczeniu zaraz potem usłyszał: „Jeśli któryś z pasażerów chce dołączyć do nas w centrali, zapraszamy. Prosimy tylko, żeby pozostać z boku i nie przeszkadzać w wypełnianiu obowiązków”.

Zachariah w pięć sekund doszedł do wniosku, że to będzie znacznie ciekawsze niż siedzenie w klaustrofobicznej kabynie. W centrali da się przynajmniej coś zobaczyć. Może niewiele, skoro trzeba będzie trzymać się z boku, ale przecież dadzą chyba popatrzeć na ekrany. *Prince Sundjata* był frachtowcem, nie luksusowym liniowcem, i tym samym nie miał pokładu obserwacyjnego czy iluminatorów. Co nie było wcale dziwne, bo ostatecznie nie były one potrzebne w trakcie lotu kosmicznego, nawet jeśli ich brak mógł kogoś przygnębiać.



– Możliwe, że co najmniej jeden nam się wymknie. – Komandor Loren Damewood obserwował ekran wysłanego w pobliże stacji drona. Osiemnaście minut temu frachtowiec wykonał zwrot i zaczął zwalniać z deceleracją siedemdziesięciu sześciu g, ale nadal był w odległości ponad pięćdziesięciu milionów kilometrów od stacji i poruszał się z prędkością ponad dziesięciu tysięcy mil na sekundę, zatem w pechowej dla stacji chwili mógł być odległy od niej jeszcze o dwie godziny lotu.

– Obiekt numer dwa włączył impellery i zaczął przyspieszać. Odlatuje niemal dokładnie prosto od nas. Wyciąga jakieś sto siedemdziesiąt g, jest więc wolniejszy, ale ma duże wyprzedzenie. Jeśli jeszcze jakiś wystartuje w ciągu najbliższej godziny, to któryś z nich stracimy na pewno. Chyba że wyślemy w pościg obie fregaty.

Major Anichka Sydorenko spojrzała na doradzającą jej porucznik komandor Loriane Lansiquot.

– Wolałabym żadnego nie stracić – powiedziała. – Ale jeszcze bardziej wolałabym nie pozostawiać *Hali Sowle* bez osłony, gdyby stacja nas czymś zaskoczyła.

Lansiquot skinęła lekko głową na znak zgody.

– Na pewno? – spytał Damewood, marszcząc brwi.

Sydorenko zdołała nie zgromić go spojrzeniem. Tuż przed odlotem na Manticore generał Palane wyznaczyła Sydorenko do tej misji jako najbardziej obiecującego oficera Royal Torch Navy. Był to oczywiście wyróżniający przydział, ale oznaczał jednocześnie, że Anichka będzie musiała zadowolić się skromnym gronem doradców, niewywodzących się na dodatek z Manticore ani Haven. Damewood trafił tu z ramienia Korpusu Zwiadu Biologicznego, ponieważ ich systemy zwiadu i rozpoznania pochodziły z Beowulfa.

Ona sama zachowała swój stopień, ponieważ wciąż jeszcze trwała dyskusja, czy armia Torch powinna być jednorodna, czy też należy raczej podzielić ją na osobne typy sił zbrojnych. Jak dotąd pierwsza propozycja trzymała się mocno dzięki wsparciu Palane, ale pod jej nieobecność sekretarz wojny faworyzujący drugą opcję zaczynał najwyraźniej coś kombinować.

Sydorenko zgadzała się z Palane w tej kwestii, ale z osobistych powodów wolałaby przyjąć system stopni typowy dla marynarki wojennej. Może ci zagraniczni doradcy mniej by wówczas zadzierali nosa i przestali traktować ich jak kompletnych nowicjuszy.

Z drugiej strony, być może była nadwrażliwa. Nawet jeśli zdaniem większości ludzi Scragi nie były zdolne do nadwrażliwości.

Ostatecznie postanowiła posłuchać rady Lansiquot. Loriane była oficerem taktycznym, podczas gdy Damewood tylko technikiem.

– Trzymamy się planu – powiedziała. – Naszym głównym celem jest opanowanie stacji i neutralizacja każdej uzbrojonej jednostki, która mogłaby nam przeszkodzić w późniejszym odlocie. Jeśli jakiś statek ucieknie, to trudno. W sumie nie zaszkodzi, jeśli te szumowiny dowiedzą się, że nie żartujemy – dodała z drapieżnym uśmiechem. – Niech pocą się ze strachu, wiedząc, że oni będą następni.



Trwało chwilę, nim Zachariah dotarł na pokład dowodzenia i do centrali. Cztery razy musiał pytać różnych członków załogi o drogę i tak go to zirykowało, że zamierzał poskarżyć się kapitan po dojściu do celu. Czy tak trudno byłoby rozmieścić kilka tabliczek informacyjnych?

Ostatecznie jednak zrozumiał, że byłby to bardzo niemądry pomysł. Pokładowe bunty niewolników zdarzały się bardzo rzadko, ale jednak miały miejsce, i niekiedy niewolnikom udawało się nawet wyrwać z przeznaczonych dla nich pomieszczeń. Rzadko, ale jednak. I tym samym nie miało sensu wspomagać ich, dostarczając jasnych informacji o rozkładzie wewnętrznym statku, żeby łatwiej było im wytropić załogę i przejąć kontrolę nad jednostką.

Gdy wszedł do centrali, jego towarzysze podróży już tam byli. Juarez i Weiss stali pod jedną z grodzi i z ciekawością rozglądali się wokół.

Niestety, A. Zhilov też przyszedł. Zachariah był już na tyle przyzwyczajony do obecności cienia, że bez wahania podszedł do gromadki.

Weiss i Juarez musieli być chyba podobnie rozczarowani nieobecnością iluminatorów, bo całą uwagę skupili teraz na hologramie nakresowym unoszącym się w centrum pomieszczenia. Był dla nich o wiele czytelniejszy niż wyświetlane na ekranach dane.

– Ekran, moc nominalna – powiedziała kobieta siedząca przy jednym z paneli kontrolnych, ale Zachariah nie wiedział dokładnie, co właściwie tam robiła. Siedziała plecami do nich.

– Czujnik grawitacyjny numer dwa znowu szaleje – oznajmił członek załogi siedzący na lewo od kobiety. Jego konsola stała pod kątem sześćdziesięciu stopni, Zachariah widział więc jej ekran. Większość miejsca zajmowały jakieś dane, ale był też odczyt radaru. – Musimy go wymienić, ma'am, albo chociaż poddać gruntownemu przeglądowi.

– Powiedz to zarządowi, Davenport – odparła kapitan. – Od dawna ich tym męczę. Może będziesz miał więcej szczęścia.

Zachariah rozejrzał się po centrali. Oprócz kapitana, sternika i jeszcze dwóch członków załogi, których dotąd dostrzegł, były tu także dwie dodatkowe osoby. Jedną był bez dwóch zdań łącznościowiec. Drugi mężczyzna, siedzący najdalej, miał intensywnie rude włosy, ale nie wyglądały na farbowane. Zachariah nie był w stanie rozpoznać, czym się on zajmował. Może miał coś wspólnego z systemami utrzymywania życia, czyli zapewnieniem powietrza, wody, wilgotności, jakiejś skromnej dawki promieni ultrafioletowych i tak dalej.

Śledząc ekran radaru i porównując go z hologramem, Zachariah zdołał w końcu rozpoznać niektóre symbole. Jego statek był zieloną kulą z żółtym pasem, stację zaś symbolizował lawendowy ośmiościan foremny. Zielona kula z pomarańczowym pasem, znajdująca się ciągle obok stacji, to był zapewne *Luigi Pirandello*.

– Opuszczamy orbitę stacji – oznajmiła pierwsza kobieta z załogi, zapewne astrogator. – Przejmujemy sterowanie.

– Połóż nas na kurs, Tabitha – poleciła kapitan Bogunov.

– Ta, ma'am.

Kapitan przyjrzała się nakresowi i odwróciła do gości, by ich przywitać.

– I tak to wygląda – powiedziała z uśmiechem. – Wyruszamy do...

Zhilov chrząknął głośno i kapitan rzuciła mu niechętnie spojrzenie.

– Miejsca naszego przeznaczenia – dokończyła.

– Bezpieczeństwo przede wszystkim – powiedziała Juarez z wyczuwalnym sarkazmem w głosie. – Kosmiczne gremliny mogą podsłuchiwać.

Zhilov zgromił ją spojrzeniem, ale nic nie powiedział.



– Bez dwóch zdań stracimy obiekt numer dwa – stwierdził Loren Damewood, nie zwracając się do nikogo konkretnego. Major Sydorenko spojrzała na niego znacząco, ale on tylko wzruszył ramionami. – Po prostu informuję.

– Jak stracimy, to stracimy – powiedziała z większą złością, niżby chciała. – Najpierw stacja, potem bezpieczeństwo przy odlocie. To są nasze dwa priorytety. Wszystko inne później. A skoro mowa o priorytetach, proszę przygotować fregaty do oddzielenia.

– Coś nerwowo się zrobiło – mruknął pułkownik Donald Toussaint. Siedział przy pobliskiej konsoli i uśmiechał się przebiegle. Nie była to jego pierwsza prawdziwa akcja, ale tym razem był tylko widzem.

Anichka miała już dość tego towarzystwa. Doradcy, konsultanci, pomocnicy, nawet jeden komisarz, cholera...

– Może kawy, ma'am?

Obróciła się i zobaczyła swojego adiutanta, Jeffa Gomeza. Wyciągnął w jej stronę dłoń z kubkiem kawy. Płyn był smoliście czarny i wydawał się też dość gęsty.

– Mocna – powiedział z uśmiechem. – Taka, jaką pani lubi.

Jakimś cudem nie odpowiedziała mu warknięciem. Kawy jednak nie chciała.

ROZDZIAŁ XLIII



Dobra, jesteśmy już dość blisko – powiedziała Ganny. – Ruszajcie do szarzy czy jak tam to nazywacie. Fregaty mają zielone.

Wcześniej włączyła interkom, żeby było ją słychać na całym statku. Niektórzy z czekających w dawnych ładowniach Marines zmarszczyli brwi. Komunikat Ganny był wybitnie nieregulaminowy i graniczył z poważnym brakiem szacunku wobec bohaterów, którzy właśnie mieli okryć się chwałą.

Większość jednak się uśmiechnęła, a kilku nawet zaśmiało. Przywykli już do stylu bycia Ganny.

Podpułkownik Kabweza zachowała kamienną twarz, jak przystało na dowódcę operacji. Uznała, że później się pośmieje.

Major Sydorenko też pozostała poważna, chociaż Ganny naruszyła tą jedną wypowiedzią ileś punktów regulaminu. Tyle że to ona była dowódcą *Hali Sowle* i chociaż nie dowodziła akcją, jako „pierwsza po Bogu” mogła na pokładzie statku wydawać dowolne rozkazy. Sydorenko była kompletnym laikiem w dziedzinie pilotażu i tym bardziej nie próbowała nawet podważać autorytetu Ganny. Jej sprawą było zachowywać się jak żołnierz i pilnować akcji.

Szczęśliwie dla Ganny, a może i pechowo, biorąc pod uwagę kłótniwość starszej pani, Sydorenko poczuła się raczej rozbawiona niż urażona. Dzięki swemu pochodzeniu nie była przeczulona na punkcie przestrzegania protokołu. Scragi mogły być superżołnierzami, ale nie oznaczało to ślepego posłuszeństwa. W sumie notorycznie popisywały się niesubordynacją. To

był nieunikniony skutek wmawiania im, że stanowią rasę wyższą. W takiej sytuacji trudno jest przyjmować rozkazy od kogoś mniej doskonałego.

Poza tym, przy całej swej rubaszności, Ganny była wysokiej klasy profesjonalistką i jeśli powiedziała, że „jesteśmy już dość blisko”, z pewnością oznaczało to osiągnięcie przewidzianego planem operacyjnym dystansu od stacji. Znajdowali się w układzie już od czterech godzin. Prędkość *Hali Sowle* wobec stacji wynosiła obecnie 2675 mil/s, odległość zaś zmalała do pięciu milionów kilometrów. Czas dolotu był raczej nerwowy i wielu musiało się obawiać, że w ostatnich sekundach coś pójdzie nie tak. Stąd zapewne te śmiechy.

Niemniej...

Pułkownik Toussaint odchrząknął znacząco.

– To chyba Anichka powinna wydać ten rozkaz, Ganny.

Ganny machnęła ręką.

– Dobrze, dobrze. Niech wydaje.

Ogólnowojskowy ład po raz kolejny doznał uszczerbku.

– Słyszeliście starszą panią – powiedziała Sydorenko. – Pora zrobić im to, co oni mieliby wielką ochotę zrobić nam.



Atak rozpoczął się bez żadnych dramatycznych akcentów.

Hali Sowle został wyposażony w dwa stanowiska cumownicze po bokach kadłuba. W dawnych czasach przemytniczej niewinności, gdy frachtowiec wymykał się tylko celnikom, przy każdym z tych stanowisk cumowały po trzy ciężkie wahadłowce towarowe. Jeden nadal tam tkwił, ale raczej na pokaz i dla zachowania pozorów. Niemniej reszta małych jednostek, które zajęły miejsce wahadłowców, była trudna do pomylenia

z czymkolwiek innym. Były to wyprodukowane w Manticore ciężkie desantowce Mk19 Condor.

Po prawdzie była to eksportowa wersja Mk19T, zmodyfikowana na potrzeby Królestwa Torch. Większa trochę niż wahadłowiec transportowy i przypominająca zewnętrznie pinasy Royal Manticoran Navy. Mogła dostarczyć na powierzchnię planety stu dwudziestu dziewięciu żołnierzy w pełnych pancerzach bojowych albo dwustu lżej uzbrojonych. Była silniej opancerzona niż pinasa, z parą trzydziestomilimetrowych pulserów w części dziobowej i grzbietową wieżyczką z trzylufowym dwudziestomilimetrowym działkiem. Miała też niewielki luk na podczepiane uzbrojenie.

Mk19 Tango była więc doskonałym narzędziem mordy i zniszczenia, jednak odbiciu czterech jednostek desantowych nie towarzyszyły fanfary. Wszystkie w ciszy odłączyły się od *Hali Sowle* i ruszyły w kierunku stacji z przyspieszeniem 500 g. Każda niosła na swoim pokładzie pięćdziesięciu Marines w kombinezonach bojowych.

Odbicie fregat nie było wcale bardziej spektakularne. Frachtowiec wyłączył po prostu na chwilę swoje ekrany, pozwalając w ten sposób mniejszym jednostkom na wyłączenie wiązek ściągających, po czym odepchnął fregaty własnymi polami siłowymi na odległość pięciuset metrów, więcej niż było to konieczne, ale Ganny nie chciała ryzykować, że cokolwiek zadrapie jej lakier. Tam mogły już włączyć własne silniki manewrowe i oddalić się od masywnego kadłuba na dystans co najmniej dziewięćdziesięciu mil, żeby uruchomić swoje ekrany. Pośpiechu nie było o tyle, że nadal znajdowali się sześćset dwadzieścia pięć tysięcy mil powyżej zasięgu pocisków okrętowych, w które mogła być ewentualnie uzbrojona stacja Balcescu.

Gdy były już dość daleko, *Denmark Vesey* wystrzeliła od razu z przyspieszeniem 500 g, trzymając się trochę za desantowcami, które nie potrzebowały aż takiego dystansu do włączenia własnych ekranów. Celem fregaty nie była jednak stacja, ale bliższy z dwóch odlatujących statków. Bliźniacza fregata *Gabriel Prosser* pozostała w pobliżu *Hali Sowle*, zwalnając wraz z frachtowcem, chociaż z trochę wyższą wartością deceleracji. Przy 225 g obie jednostki powinny znieruchomieć wobec Balcescu w odległości około pięciu tysięcy mil. Gdyby chciały zastopować tuż przy niej, wartość deceleracji mogłaby wynosić 176 g. Tyle że większa odległość pozwalała uniknąć ryzyka związanego z ewentualnym użyciem przez obrońców broni energetycznej oraz zabezpieczała przed niespodziewanym atakiem raketowym.



– O kurwa... – wyrwało się Béli Harsányiemu, który podprowadzał *Hali Sowle*. To on był pierwszą osobą, która ujrzała, jak zwykły frachtowiec przekształcił się nagle w gargulca. – Ludzie, mamy kłopoty!

András Kocsis skrzywił się, ale nie podniósł głowy. Ledwie dosłyszał krzyki Béli, pogrążony w trudnej rozmowie nadzorcy systemów stacji z płatnikiem *Luigiego Pirandella*, która to rozmowa była tym bardziej irytująca, że frachtowiec znajdował się pięć milionów mil od stacji i po każdej kwestii zapadała na minutę cisza.

Csilla Ferenc przebijala się w tym czasie przez rutynową korespondencję. *Prince Sundjata* znajdował się ponad trzydzieści milionów mil od stacji, czyli trochę ponad dwie godziny od granicy nadprzestrzeni, ale w jego przypadku dział cargo nie znalazł żadnego błędu w dokumentacji finansowej. Tym samym Csilla nie miała żadnej wymówki, żeby odłożyć

zwykłą biurokracją na później. Przynajmniej do chwili, gdy usłyszała okrzyki Béli.

– Co jest? – spytała, wstając momentalnie i podchodząc do konsoli kolegi. Była zainteresowana, ale nie zaniepokojona. Béla był miłym chłopakiem, ale trochę narwanym. Łatwo się denerwował i po prawdzie niezbyt nadawał się do zawodu kontrolera. Powinien raczej zająć się czymś mniej stresującym, chociaż przy jego predyspozycjach skończyłyby pewnie w dziale nadzoru nad robotami sprzątającymi.

Niemniej gdy tylko spojrzała na ekran, jej spokój się ulotnił. Trzy sekundy później, bo tyle potrzebowała na uświadomienie sobie z grubsza sytuacji, była już przerażona. Nagłe pojawienie się grupy sygnatur impellerowych małych jednostek zdążających w ich stronę mogło oznaczać tylko jedno – stację zaatakowano. I wprawdzie trudno było wykluczyć, że gdzieś w galaktyce strzelali piraci dość głupi, żeby porwać się na stację zarządzaną przez Jessyk Combine, ale sprawa wyglądała najpewniej o wiele gorzej. Już sam szyk tych jednostek sugerował formację militarną. Chwilę później ujrzała, że frachtowiec włączył z powrotem swoje ekrany.

Podobnie uczyniły jeszcze dwie jednostki. Obie znacznie mniejsze od frachtowca, ale większe i szybsze od domniemanych desantowców. To był już wyraźny znak, że nie może chodzić o cywilów. Csilla przełknęła z trudem ślinę. Nigdy nie spotkała się z czymś takim i jej wykształcenie nawet nie przewidywało podobnych sytuacji.

W sumie właściwie rozumiała dlaczego. Wobec takiego ataku byli całkiem bezradni i żadne szkolenie by tego nie zmieniło. Po co więc było wyrzucać na nie pieniądze?

Harsányi siedział przed ekranem jak sparaliżowany, Ferenc podłączyła więc swój zestaw słuchawkowy do linii łączącej bezpośrednio z dowódcą, niezależnie od tego, czy był akurat na służbie, czy w swojej kabinie.

– Alarm czerwony! Alarm czerwony! Atak z frachtowca! – Chociaż przerażona, dała sobie chwilę, żeby dokładniej przyjrzeć się sytuacji. – Mamy trzy... cztery nadlatujące małe jednostki i dwa okręty wojenne! Jeden z nich idzie z przyspieszeniem pięciuset g! Są dwadzieścia minut od nas i szybko się zbliżają!



Zoltan Somogyi słyszał ostrzeżenie Ferenc, ale nie zwrócił na nie większej uwagi. Dla niego było tylko jednym z elementów mozaiki składającej się na niespodziewaną katastrofę. Sophie Bordás wychwyciła oddzielenie się niemal w tej samej chwili co Harsányi; nim Ferenc wywołała przełożonego, jemu przyszło już słuchać o wiele konkretniejszego przekazu.

– ...Toussaint, dowodzący RTNS *Bastille* i oddziałami Royal Torch Marines, którzy przybędą na waszą stację za dziewiętnaście minut. Wzywam was do natychmiastowej kapitulacji, ale jeśli tego nie zrobicie, nie poczujemy się rozczarowani. Oto nasze warunki. Jeśli postanowicie stawić opór, zastosujemy zasady konwencji denebskiej. Każdy, kto się podda, zostanie uznany za jeńca i nie stanie mu się krzywda. Jeśli jednak zamordujecie na stacji albo dopuścicie do zamordowania choć jednego niewolnika, podpiszecie na siebie wyrok. Tego ostrzeżenia nie będę powtarzał. Każdy noszący broń czy mundur zostanie natychmiast rozstrzelany. Cywilni pracownicy stacji albo instytucji politycznych czy armatorów powiązanych ze stacją także zostaną straceni. Sugeruję więc poddać się natychmiast. Nie macie szansy na skuteczny opór, kapitulacja zaś pozwoli wam uniknąć niemiłych konsekwencji, które w razie nawiązania walki będą praktycznie pewne.

Gdy mężczyzna, który przedstawił się jako pułkownik Toussaint, skończył mówić, Somogyi i Bordás spojrzeli po sobie. Potem równocześnie obrócili fotele, by przyjrzeć się głównej konsoli znajdującej się pięć jardów od nich. Na koniec z takim samym zgraniem zwrócili oczy na wartownika stojącego przy wejściu do centrali.

– Kapralu Laski – odezwał się dowódca, wskazując na konsolę. – Proszę przejść tutaj i wyjąć broń. Jeśli ktokolwiek poza mną spróbuje podejść do tej konsoli, ma go pan zastrzelić. Natychmiast.

Kapral nie miał więcej niż dwadzieścia lat i zrobił, co mu kazano, jednak wyglądał na roztrzęsionego. Zwłaszcza gdy wyjął pulser. Bordás aż syknęła ostrzegawczo. Zdawało się, że chłopak może w nerwach strzelić do nich, żeby tylko zapobiec...

Ale kto byłby na tyle szalony, żeby uruchomić automatyczny proces otwierania wszystkich cel na próżnię i spowodować śmierć ponad dwóch tysięcy niewolników? Ta konsola została zamontowana jako ostateczny środek zaradczy na wypadek buntu, który zagrażałby całej stacji. Nigdy dotąd jej nie użyto. Po prawdzie leżała nawet na niej widoczna warstwa kurzu.

Bordás domyśliła się jednak odpowiedzi, i to niemal zaraz po tym, jak postawiła sobie to pytanie. Nie wszyscy ludzie zaangażowani bezpośrednio w handel niewolnikami byli... normalni. Niektórzy byli mocno pokręcani psychicznie.

– To nic nie da! – krzyknęła. – Każda ładownia ma własny pulpit kontrolny!

– Wiem – odparł Somogyi przez zaciśnięte zęby i obrócił się z powrotem do swojej konsoli. – Robię jednak, co mogę. Co się w ogóle dzieje? Kto odpowiada za bezpieczeństwo na tej wachcie?

- Binford.
- Dawaj go.
- Tak, sir!

Połączenie uzyskała w niecałe pięć sekund. Zaraz też usłyszała beztroski głos Jeremy'ego Binforda.

- Cześć, Soph – rzucił jakby nigdy nic. – Co mogę dla ciebie zrobić?

Zaczęła na niego wrzeszczeć, ale w końcu się opamiętała. Nikt poza kontrolą i centralą nie wiedział na razie o coraz bliższej katastrofie.

– Somogyi chce z tobą porozmawiać – powiedziała i zaraz przełączyła rozmowę na konsolę przełożonego.

– To ty, Binford? – spytał Somogyi i przeszedł do rzeczy: – Słuchaj, nie mam wiele czasu na wyjaśnienia, ale za dwadzieścia minut...



Na mostku *Prince'a Sundjaty* przejęto się napaścią w zdecydowanie mniejszym stopniu niż na stacji. Przynajmniej z początku. Statek znajdował się dopiero ponad dziewięćdziesiąt milionów mil od Balcescu i niemal dwie i pół godziny od granicy nadprzestrzeni, jednak zdołał oddalić się od stacji na 2,3 minuty świetlnej i tym samym pozostawał poza sferą bezpośredniego zagrożenia. Sensory szybko wychwyciły sygnatury desantowców, które przy całym swoim potencjale bojowym były jednak małymi jednostkami, poza tym kierowały się prosto na stację, nie próbując nawet ścigać uciekającego frachtowca.

Sytuacja zmieniła się radykalnie sześć minut później.

– Będą kłopoty, ma'am – powiedział operator sensorów Mason Scribner, odwracając się od konsoli. – Mamy dwie kolejne sygnatury napędów. Jedna

jednostka zwalnia razem z frachtowcem, druga przyspiesza jak diabli. I chyba idzie za nami oraz *Luigim Pirandello*.

– Nie na stację? – spytała ostrym tonem Bogunov.

– Może i tak – przyznał Scribner. Na pokładzie pełnił obowiązki oficera taktycznego, chociaż sam najlepiej wiedział, jak kiepsko się do tego nadaje. – Jeśli to są desantowce, nie będą potrzebować wsparcia ogniowego przy ataku. Poza tym jeden większy został razem z frachtowcem i to już wystarczy z naddatkiem przeciwko wszystkiemu, czego Somogyi mógłby użyć. Na pewno będziemy wiedzieli za dwie do trzech minut, gdy desantowce wykonają zwrot. Jeśli ten idący osobno nie wykona zwrotu wraz z nimi, to na pewno pójdzie na nas.

– Co to może być?

– Sądząc po przyspieszeniu, okręt wojenny – odparł Scribner. – Robi pięćset g, a to oznacza napęd wojskowego typu. Ale jest mały.

– Niszczyciel?

– Nawet mniejszy, ma'am.

– Cholera.

Skoro mniejszy niż niszczyciel, to musi być fregata albo kuter, pomyślała Bogunov. Żadna z flot, które używały takich jednostek, nie była przyjazna Mesie. A jeśli to były fregaty, wówczas najprawdopodobniej należały do...

Jeśli *Prince Sundjata* nie zdąży uciec w nadprzestrzeń, to już po nich. Gdy handlarz niewolników trafiał w ręce Manticore, Haven albo Beowulfa, czasem uchodził z życiem. Jednak fregaty mogło wysłać tu tylko Królestwo Torch, a to oznaczałoby najgorszy wariant. Jeśli ich prześladowcy naprawdę byli eksniewolnikami, wyrok śmierci był praktycznie gwarantowany.

Przycisnęła przycisk na oparciu swojego fotela.

– Maszynownia – rozległ się kontrastowo spokojny głos.

– Mitch, mówi kapitan – rzuciła. – Jak dobry jest nasz kompensator?

– Co? – spytał główny inżynier, nadal zasadniczo spokojny, ale wyraźnie zdumiony. – W porządku. Czy mamy jakieś powody podejrzewać, że jest inaczej?

– Na razie nie – odparła ponurym tonem. – Ale chcę, żebyś wycisnął z niego, ile tylko się da. Z zerowym zapasem mocy.

Na chwilę zapadła cisza, po czym dało się słyszeć chrząknięcie.

– Na pewno, ma'am? Powiedziałem, że jest sprawny, ale przeszedł już dwie trzecie cyklu utrzymania. Jeśli aż tak go obciążymy...

– Wiem – ucięła Bogunov.

I bez wątpienia wiedziała. Instrukcja obsługi cywilnych kompensatorów bezwładnościowych określała ich maksymalne obciążenie na 80 procent. Jedyną dobrą stroną potencjalnej awarii kompensatora przy dużym przyspieszeniu było to, że ludzie na pokładzie nie mieli nawet szansy pojąć, że giną. Kilkaset w żaden sposób niezneutralizowanych g zmieniało ich błyskawicznie w mokre plamy na grodziach. Ryzyko takiej awarii nie było wysokie, chociaż rosło wraz z obciążeniem urządzenia, i rzadko było poprzedzone jakimiś sygnałami ostrzegawczymi. To oznaczało, że maksymalne obciążenie nie zostawiało żadnego marginesu błędu. Niemniej...

– Wiem – powtórzyła. – Jednak ktoś zaatakował stację i są w tym zespole co najmniej dwa okręty wojenne. Zapewne fregaty – dodała, wiedząc, że główny inżynier sam zrozumie resztę. – Wyciągają pięćset g. Potrzebuję dodatkowych pięćdziesięciu g, Mitch.

Znowu na chwilę zapadła cisza.

– Rozumiem, ma’am. Pełna moc za dwadzieścia sekund.

– Dobrze.

Bogunov puściła przycisk i spojrzała na Tabithę Crowley, swego astrologa. Miała powód, żeby przyspieszyć, i to mimo ryzyka. Przy stu siedemdziesięciu g nie mogli oczywiście uciec przed jednostką osiągającą pięćset. Owszem, może i dojdą pierwsi do granicy nadprzestrzeni, ale pozostawały jeszcze pociski. Te mogły osiągnąć ich wcześniej. Musiała naradzić się z Matsuzawą i Scribnerem i sprawdzić...

Przerwała bieg myśli i spojrzała na gości, którzy wciąż przebywali na mostku. Teraz żałowała, że ich zaprosiła. Może nie rozumieli dokładnie, co się dzieje, ale z pewnością byli bardzo przejęci i nie mogła ich za to winić.

– Proszę, byście wrócili do waszych kabin.

– Nie – odezwał się człowiek, który był ich... strażnikiem. – Musimy przebywać wszyscy w jednym pomieszczeniu.

Bogunov skrzywiła się mimowolnie. Teoretycznie nie powinna wiedzieć, co robił na jej statku ten Gaul o nazwisku... chyba Zhukov. Ani nawet tego, że był Gaulem. Niemniej tak wyszło, że wiedziała wiele rzeczy, które nie były dla niej przeznaczone, i woziła już „specjalnych” pasażerów. Przed odlotem ze stacji nie podano jej żadnych nazwisk, ale wiedzona doświadczeniem podsłuchiwała gości w ich kabinach. Wychwyciła między innymi krótką rozmowę między mężczyzną, Zachariahem, a jedną z kobiet. Nie dowiedziała się z niej, czym jej pasażerowie się zajmowali ani dla kogo pracowali, ale wynikało z niej jasno, że ich pracodawca nie ma zamiaru dopuścić, żeby wpadli wraz ze swoją wiedzą w niepowołane ręce. Nie pierwszy raz się z tym spotkała. Jessyk Combine i Manpower zwykły dobrze płacić, ale obie firmy bezlitośnie eliminowały pracowników, którzy mogliby w jakikolwiek sposób im zagrozić.

Stąd też nie miała wątpliwości, dlaczego ten Gaul upiera się pozostać z nimi w jednym pomieszczeniu. W razie perspektywy dostania się do niewoli miał ich wszystkich zabić. Nie domyślała się nawet, jakimi informacjami mogli dysponować ci ludzie i dlaczego były aż tak niebezpieczne, że ktoś wysłał z nimi zabójcę, i wcale nie chciała tego wiedzieć. Podobnie nie zamierzała ryzykować nawet cienia podejrzeń, że interesuje się mocodawcą Gaula. Niemniej sądząc po ściągniętych twarzach naukowców, oni też świetnie wiedzieli, o co w tym wszystkim chodzi.

– Tam dalej jest mesa oficerska – powiedziała, wskazując na właz. – Korytarzem prosto, drugie pomieszczenie po lewej.

Gaul skinął na swoich podopiecznych.

– Idziemy.

Nie ruszyli się z miejsca.

– Już – powiedział, wyciągając mały pulser spod marynarki.

Mężczyzna skrzywił się, ale ruszył. Dwie kobiety poszły za nim. Strażnik podążył na końcu.

Bogunov spojrzała na swojego oficera.

– Coś nowego, Mase?

– Na razie nie. – Zwykle błąd Scribner był obecnie jeszcze bledszy. Trudno powiedzieć, czy za sprawą sytuacji taktycznej, czy wydarzenia, które miało właśnie miejsce na mostku. – Za czterdzieści trzy sekundy dowiemy się, czy fregata leci do stacji. Niemniej jeśli pięćset g to wszystko, na co ich stać, nie powinni nas dogonić. Chyba że...

Nie dokończył, ale Bogunov pokiwała głową. Resztę sama wiedziała. Obiekt już teraz rozwijał większe przyspieszenie niż większość zbudowanych gdziekolwiek fregat, co było kolejnym potwierdzeniem, że należy zapewne do Marynarki Torch. Ich fregaty zostały dostarczone przez

Manticore, a wielu przeciwników drogo już zapłaciło za niedocenie przyspieszenia okrętów Royal Manticoran Navy. Podobnie jak za niedocenie zasięgu ich pocisków. Trudno było więc odgadnąć, co te fregaty naprawdę potrafią i jakie przenoszą uzbrojenie.

– Kurwa – mruknęła pod nosem.

ROZDZIAŁ XLIV



Gdy weszli do mesy oficerskiej, Zachariah odsunął krzesło i usiadł przy jedynym stole. Gestem zaprosił obie kobiety, by poszły jego śladem, ale Zhilova zignorował.

Wiedział doskonale, dlaczego Gaul uparł się im towarzyszyć. Żeby ich zamordować, gdyby nie zdołali uciec. Jeśli ktoś miałby w tej sprawie jeszcze jakieś wątpliwości, straciłby je teraz, widząc, że Zhilov nie zapiął marynarki i nie próbował nawet zasłaniać kabury z bronią.

Juarez spojrzała na pulser, po czym usiadła raptownie. Potem przeniosła pełne strachu spojrzenie na przeciwległą ścianę. Jej oliwkowa cera była na tyle ciemna, że nie dało się dostrzec bladości, ale stężała niczym maska twarz mówiła sama za siebie.

Gail Weiss wyglądała na bardziej odprężoną. Nawet dużo bardziej. Zamiast usiąść, podeszła do automatu z napojami.

– Czy ktoś chce kawy? Stefka? Zachariah?

– Ja poproszę – powiedział McBryde. – Czarną. I dziękuję.

Juarez wpatrywała się w ścianę.

Zachariah zauważył, że Weiss też nie rozszerzyła swojego zaproszenia na Zhilova. To było coś ciekawego. Nic o niej nie wiedział, ale wyraźnie miała charakter. Nie okazywała też strachu przed Gaulem ani nie próbowała bezsensownie go ugłaskiwać.

Po raz pierwszy dostrzegł, że jest całkiem atrakcyjna. Wysoka, z lekką nadwagą, z orzechowymi oczami i bujnymi, kasztanowymi włosami. Nie była piękna, ale jej szczerą twarz zdradzała silną i bogatą osobowość.

Niemniej chwila była nad wyraz niesprzyjająca rozważaniom o urodzie kobiety, której nawet nie znał, skierował więc spojrzenie ponownie na Juarez. Weiss usiadła tymczasem przy stole i przesunęła jeden kubek po blacie w kierunku Zachariah.

– Stefka... – W sumie nie znał jej na tyle, żeby pozwolić sobie na podobną poufałość, ale kobieta była tak spięta, że chciał odciągnąć ją od czarnych myśli. – Spokojnie. Nie ma większych szans, żeby nas dogonili.

Juarez poderwała głowę i spojrzała na niego.

– To tylko domysł! Nie wiesz na pewno!

Zachariah chciał odpowiedzieć, ale zawahał się, widząc, że Weiss wklepuje jakieś polecenia do wbudowanego w blat kompa. Na ścianie mesy pojawił się nakres kursowy frachtowca. Nie był to najbardziej uspokajający obraz. Bursztynowa wcześniej ikona, symbolizująca statek podchodzący do stacji, była teraz karmazynowa, poza nią zaś było widać jeszcze sześć mniejszych, także karmazynowych znaczków. Cztery mniejsze zwalniały coraz bardziej, zbliżając się do Balcescu.

Piąta szła swoim kursem. Zachariahowi kawa zaczęła od razu mniej smakować. Jeden z atakujących okrętów ścigał *Pirandella* i ich frachtowiec. Juarez też musiała to zauważyć.

– Widzicie! – powiedziała, wskazując palcem. – Gonią nas!

– Może i tak – przyznała Weiss. – Ale to nie znaczy, że dogonią. W sumie nie mają szans.

– Tak? A skąd możesz to wiedzieć? – spytała impulsywnie Juarez.

– Ponieważ astrogacja jest jedną z moich specjalności – wyjaśniła kobieta, wyprostowała się i wskazała kubkiem na ekran. – Nawet jeśli ta fregata została zbudowana przez Manticore, nie może mieć wystarczającego przyspieszenia, żeby dogonić nas przed granicą nadprzestrzeni. Któryś z ich kutrów mógłby tego dokonać, ale kuter miałby prawie siedemset g na podejściu do stacji. Popieram decyzję kapitan Bogunov, żeby uciekać jak najszybciej, i nawet jeśli przeciążyła za bardzo kompensator, to nie szkodzi. Każde dodatkowe przyspieszenie nam się przyda, bo jednak zawsze coś może pójść nie tak. Na przykład możemy stracić węzeł napędu. Prawdopodobieństwo kształtuje się na poziomie jednego do czterystu tysięcy, ale sami wiecie, że nie ma co zostawiać zbyt wiele przypadkowi. Niemniej jeśli nic się nie stanie, to nas nie dogonią.

– Nie muszą nas dogonić, żeby zabić pociskami – przypomniała Juarez. Jak na razie nie zrobiła się wcale spokojniejsza.

– Nie, ale najpierw muszą mieć nas w ich zasięgu – odparła Weiss. – A jak wspomniałam, w tym celu musieliby dysponować kutrami.

– Jesteś pewna, że to nie kuter? – spytał Zachariah.

– Tak – powiedziała zdecydowanie Weiss. – Po pierwsze, oficer kapitan Bogunov musiałby być całkowicie niekompetentny, żeby nie odróżnić kutra od fregaty czy niszczyciela. Po drugie, jak mówiłam, gdyby to był kuter, już rozwinąłby znacznie większe przyspieszenie. – Upiła łyk kawy i spojrzała ponownie na ścianę. – A skoro to fregata, jest za mała, żeby przenosić pociski dalekiego zasięgu. Jest więc zbyt wolna i za słabo uzbrojona, żeby tak czy siak nas dopaść.

Upiła kolejny łyk kawy. Też czarnej, jak zauważył z aprobatą Zachariah. Jak wszyscy w jego rodzinie, z wyłączeniem marnotrawnej siostry JoAnne, Zachariah nie cierpiał kalania szlachetnego napitku śmietanką.

Juarez patrzyła teraz na Weiss z tym samym napięciem, z jakim wcześniej wpatrywała się w ścianę. Jednak jej spojrzenie nie było już puste, a raczej wrogie.

– A skąd możesz to wiedzieć? – spytała.

– Bo jestem ekspertem od tych spraw. Program Mir... – Przerwała i zerknęła na Zhilova, który jednak nie zareagował. Widać w tej chwili nazwy programów nie były już tak istotne. Niemniej trudno jest pozbyć się nawyków. – Program, którym kierowałam – ciągnęła Weiss, wzruszając ramionami – dotyczył taktyki walki w próżni. W odróżnieniu od oficerów solarnej Battle Fleet wiedzieliśmy świetnie, że w praktyce musi to oznaczać nieustanne analizowanie przebiegu wojny między Manticore i Haven. Jeśli to cię uspokoi, mogę wprawiać cię w stupor, recytując dane wszystkich okrętów wojennych galaktyki. – Uśmiechnęła się krzywo. – Zapewniam cię, że jestem ekspertem na akademickim poziomie. Jednak to nie ja pilotuję ten statek. To robota kapitan Bogunov, a jak dotąd nie zrobiła niczego, co kazałoby mi wątpić w jej kompetencje.



Prawie dziewięć milionów mil za rufą *Prince'a Sundjaty* kapitan Roldão Brandt doszedł do znacznie mniej optymistycznych wniosków. Parząc na ikonę oznaczającą drugi frachtowiec, pozazdrościł w duchu kapitan Bogunov szczęścia. Chętnie by się z nią zamienił. Gdy odebrał przekaz pułkownika Toussainta adresowany do dowódcy stacji, jego *Luigi Pirandello* znajdował się w odległości ponad jedenastu milionów mil od Balcescu, ale niemal dokładnie na drodze wiązki laserowej przeciwnika, który nie bawił, w kodowanie przekazu. Nie było zatem żadnych wątpliwości, skąd przybywali niechciani goście, suche liczby na ekranie zaś dowodziły, że nawet przy największym osiąganym przyspieszeniu jego

frachtowiec nie zdoła uciec zbliżającej się fregacie. Było pewne, że za jakąś godzinę znajdą się w zasięgu jej pocisków.

Całkiem inaczej niż *Prince Sundjata*.

Uniósł głowę znad nakresu i spojrzał na Genorę Hinkley, swoją drugą oficer, która potrząsnęła głową.

– Nie mam szans, kapitanie – powiedziała. – Żadnym sposobem nie zdołamy umknąć przed draniami.

– Sądysz więc, że powinniśmy przestać uciekać? – spytał Brandt.

Hinkley wzruszyła ramionami.

Kapitan zastanawiał się nad tym przez chwilę, po czym pokręcił głową i sam odpowiedział na swoje pytanie.

– Jak dotąd jesteśmy wciąż poza zasięgiem ich uzbrojenia. Potrwa chwilę, nim dojdą niebezpiecznie blisko, a kto wie, co zdarzy się do tego momentu? – Zdjął czapkę i przeczesał palcami włosy. – Ich kompensator może zawieść – dodał z uśmiechem. – Albo mogą stracić ze dwa węzły i zmniejszą przyspieszenie. Lub zawrócą, gdyby pojawiły się kłopoty na stacji.

– Jakie jest prawdopodobieństwo, że cokolwiek z tego się zdarzy? – spytała Hinkley z nutą czarnego humoru.

– Trochę większe niż szansa, że gwiazda tego układu nagle zmieni się w supernową – odparł Brandt. – Czyli minimalne, ale zawsze. A póki co, lepiej będzie chyba robić swoje, niż poddawać się przedwcześnie.

– Nasz kompensator jest bardziej podatny na awarie niż ich – zauważyła Hinkley i kapitan wzruszył ramionami.

– Oczywiście. Ale gdyby coś się stało, to przynajmniej szybko pójdzie. I po prawdzie wolałbym zginąć właśnie tak niż z ręki tych byłych

niewolników. Połowa z nich była pewnie w Balecie. Wolałbym ich nie poznawać. I ty pewnie też.

– Zdecydowanie! – przytaknęła energicznie Hinkley.

– Właśnie. Z drugiej strony, powinniśmy zadbać o bezpieczeństwo. Nie chcę, żeby nasz ładunek cokolwiek wiedział. Tego by tylko brakowało, żeby wyrwali się na wolność i opanowali statek. Co do naszych ludzi, nie chcę żadnych dyskusji z panikarzami na mostku. Mają wypełniać moje rozkazy i siedzieć cicho.

– Popieram – stwierdziła lakonicznie Hinkley.



– Nie wyklócam się. Mówię tylko, że robię, co w mojej mocy. – Zoltan Somogyi starał się panować nad swoim głosem, chociaż spływające po twarzy strużki potu zdradzały jego rzeczywisty stan ducha. – Mam swoje za uszami, ale nie sądzicie chyba, że chcę dać wam pretekst do zmasakrowania wszystkich na stacji?

Twarz na ekranie pozostała nieporuszona. Zdławił przekleństwo.

Wraz z Bordás zrobili, co tylko mogli, żeby zapobiec wybuchowi paniki, ale ich wysiłki nie zostały zwieńczone sukcesem. Zależało mu na zablokowaniu wszystkich informacji na temat zbliżających się desantowców Torch aż do chwili, gdy zadokują i zaczną wyładowywać żołnierzy. Nagłe pojawienie się tyłu uzbrojonych po zęby Marines powinno zapobiec wszelkim próbom poważnego oporu. Wprawdzie wszyscy, którzy stanęliby im na drodze, mogliby przeżyć ciężkie chwile, niemniej szybkie dotarcie oddziałów do ładowni z niewolnikami powinno uniemożliwić mniej zrównoważonym osobnikom z obsługi zabicie znajdujących się tam osób. Jeśli jakiś wariat by przy tym ucierpiał, Somogyi przyjąłby takie straty bez mrugnięcia okiem, byle tylko jego ludzie wyszli z tego cało.

Niestety, pogłoska rozeszła się niemal natychmiast. Zapewne winien był temu ktoś z kontroli lotów, ale w sumie nie miało to znaczenia. Personel stacji miał prawie czternaście minut na to, żeby najpierw się przerazić, a potem wpaść w całkowitą panikę. Potem było już tylko gorzej. W tej chwili desantowce znajdowały się trzy minuty od wyładunku, sprawy na stacji zaś nie wyglądały dobrze dla syna pani Angeli Somogyi.

– Pierwsze, co zrobiliśmy, to zablokowaliśmy możliwość odstrzelenia ładowni – wyjaśnił pułkownikowi Toussaintowi. Były niewolnik skrzywił się, słysząc o odstrzeleniu, ale trudno. Zoltan nie miał czasu dbać o jego odczucia. – Wiecie, jak to działa. Postawiłem uzbrojonego strażnika przy głównej konsoli w centrali stacji, ale są jeszcze miejscowe panele przy każdej ładowni. Jak na razie zdołaliśmy je wyłączyć, ale jest na stacji trochę ludzi, którzy nie wierzą w waszą obietnicę, że ich nie rozwalicie, jeśli się poddadzą. Albo może są szaleni, nie wiem! Niemniej ktoś zaczął dobierać się do panelu przy ładowni numer trzy. Wysłałem ludzi, żeby się tam przebili, my zaś staramy trzymać się tutaj, ale tracimy grunt. Jeśli zaś tamci odetną połączenia centrali z systemem, to już nic nie będę mógł zrobić...

– Wygląda na to, że ma pan problem, panie Somogyi – powiedział lodowatym tonem Toussaint. – Jestem pewien, że wybaczy mi pan, że nie okazuję mu specjalnego współczucia.

– Nic mi po pańskim cholernym współczuciu! – warknął Somogyi, po czym poprawił się w fotelu dowodzenia. – Chcę tylko pozostać przy życiu – dodał szczerze już zwykłym tonem. – A żeby tak się stało, ci niewolnicy, których pan tak chce uratować, też muszą ocaleć. Wiem, że mnie pan nienawidzi, tak samo jak wszystkich, którzy tu pracują, ale obaj chcemy teraz tego samego. Nawet jeśli z różnych powodów.

Donald Toussaint poczuł przyływ szacunku dla dowódcy stacji Balcescu. Nie na tyle, by stracić ochotę na zabicie go, ale tamten miał rację. I dobrze to ujął.

Pułkownik spojrział na boczny ekran, który miał przy samym kolanie. Zobaczył twarz Kabwezy, odzianej w skafander bojowy. Śledziła całą jego rozmowę z Somogyim, podczas gdy jej desantowiec zwalniał przed cumowaniem. Uniósł wymownie brew.

– Przejrzałam te schematy, które nam przekazał – powiedziała. Jej głos rozbrzmiewał tylko w słuchawce, Somogyi nie mógł nic z tego usłyszeć. – Na ile mogę powiedzieć, zgadza się z tym, co wiemy. Sądzę, że jest z nami szczery, oczywiście tylko w trosce o własną dupę. Myślę, że nam się uda. Ale może zrobić się nieprzyjemnie.

Donald sięgnął do sensora, który wyłączył fonię Somogyiemu.

– Przeżyję te nieprzyjemności, jeśli uda się uratować tych ludzi. A co z tą drugą trudnością?

– Czy damy radę załatwić drani, którzy próbują wdrzeć się do systemu? Bez trudu. To, czy zdołamy uchronić niewolników przed oddychaniem próżnią, to druga sprawa. Okoliczności przemawiają na naszą korzyść, ale nie ma co się łudzić. Jeśli nie zdołamy tam dotrzeć, zanim te sukinsyny złamią zabezpieczenia, wtedy wszyscy ci ludzie zginą. Jeśli zaś znajdziemy się blisko, głupie myśli wyparują im z głów. Zrozumieją, że w razie czego wypatroszymy ich i powiesimy za flaki.

Ma rację, pomyślał Donald.

– Właśnie odcięli łącza – powiedział Somogyi. – Nic więcej nie jesteśmy w stanie zrobić, pułkowniku. Ta garstka ludzi z ochrony, którą tu dysponuję, ma tylko broń boczną. To za mało, żeby się tam przebić.

Dowódca stacji wyglądał na wyczerpanego i zdesperowanego. Donald włączył mikrofon.

– Zatem będziemy musieli zrobić to sami, panie Somogyi – powiedział chłodnym tonem. – Niech pan zasugeruje swoim ludziom, żeby nie wchodzili nam w drogę.



– Słyszałeś pułkownika, Wat – powiedziała Kabweza do porucznika Wata Tylera, dowódcy plutonu przydzielonego do jej desantowca. – Twoi ludzie wiedzą, co do nich należy?

– Wiedzą, ma'am – zapewnił ją Tyler. – Nie mieliśmy czasu na misterne plany, więc wykorzystamy pewnie plan szturmowy Alfa?

– Może być – przytaknęła Kabweza. Wywołała na swojej konsoli plan stacji, który pojawił się też na wyświetlaczach hełmu jej i Tylera. Podświetliła cztery punkty na poszyciu stacji. – Sądzę, że tutaj.

– Tak, ma'am. – Tyler wprowadził dane do swojego pada przyczepionego na lewym przedramieniu i puścił ten sam obraz swoim podoficerom. Ci niemal natychmiast potwierdzili odbiór. Pokiwał głową z satysfakcją i spojrzał na Kabwezę. – Rozumiem, że nie zamierza pani pozostać na pokładzie desantowca?

Zasadniczo było to pytanie, ale ton głosu sugerował raczej stwierdzenie. Kabweza uśmiechnęła się do niego.

– Słuchajcie, ludziska! – oznajmił przez sieć łączności plutonu. – Nasza dama poprowadzi nas osobiście. To oznacza, że to ona będzie oceniać was po akcji. Lepiej sobie to zapamiętajcie.



– Kurde!

Aatifa Villanueva rzuciła się na pokład, gdy następny ładunek strzałek z pulsera, wystrzelony zza wykrzywionego wjazdu, przeleciał jej nad głową i zrykoszetował po grodzi. Szczęśliwie żaden rykoszet jej nie trafił, ale sądząc po głośnym krzyku gdzieś z tyłu, ktoś miał pecha.

– To jakieś wariactwo! – krzyknął leżący obok Alexi Grigorev. – Żadnym sposobem tam nie wejdziemy!

Grigorev był partnerem Villanuevy od blisko roku i miała go za zdecydowanie łatwiejszego do zniesienia niż wielu innych ludzi, z którymi pracowała wcześniej w Jessyk Combine. Chociaż lubił wygłaszać oczywiste prawdy.

– I jak sądzisz, co się stanie, gdy tam nie wejdziemy? – odkrzyknęła z desperacją, chociaż wiedziała, że naprawdę utknęli. – Wystarczy, że stracimy jednego niewolnika. Jednego, i już po nas.

– To co zyskujemy, jak nas teraz zastrzelą? – spytał Grigorev, wysuwając lekko głowę i posyłając w ciemny korytarz chmurę strzałek. Wciąż nie wiedział, jak ci szaleńcy zdołali wysadzić wjazd. To nie powinno było się zdarzyć, ale handlarze niewolników, podobnie jak inni kryminaliści, zwykli mieć wiele rzeczy, których teoretycznie nie powinni posiadać. Byli w pewien sposób paranoikami, chociaż nawet w tym przypadku zaskakiwało, że któryś z nich dysponował ładunkiem wybuchowym tej mocy.

Złe było to, że w ogóle tam weszli. Dobre zaś, że nie mogli już zamknąć wjazdu za sobą. Dlatego właśnie ochroniarze zebrani przez Jeremy'ego Benforda mieli teraz przeprawę z co najmniej dwoma bandytami blokującymi przejście.

– To się nie... – zaczęła Villanueva, ale przerwała, słysząc głos Somogyiego.

– Słuchajcie! Zostańcie tam, gdzie jesteście. Idą ludzie, którzy się tym zajmą. Zejdźcie im z drogi.

Villanueva i Grigorev spojrzeli na siebie. Nie podobała im się perspektywa znalezienia się między dwiema grupami szaleńców, jedną broniącą się, drugą atakującą. Z tego, co Villanueva wiedziała o Torch, większość tamtejszych była z Baletu. Z drugiej strony, sami nie mieli szansy przejść przez ten wąż, żywiła więc nadzieję, że ludzie z Torch się pospieszą.



Mk19T wsunął się do zatoki doku i otworzył dolny wąż. Pół tuzina uzbrojonych Marines w skafandrach wypłynęło w przestrzeń, używając silniczków manewrowych, i zajęło stanowiska w strategicznych punktach doku. Technicy zauważyli ich przybycie i bardzo, ale to bardzo ostrożnie zaczęli wysuwać rękaw, żeby podłączyć go do głównego wejścia desantowca. Operacja potrwała trochę dłużej niż zwykle, ale technikom bardzo zależało, żeby wszystko przebiegło bezpiecznie i zgodnie z procedurami. Niemniej niecałe trzy minuty później pierwszy oddział Marines dotarł do strefy mającej sztuczną grawitację i wylądował tam z kocią gracją. Były to jednak wielkie koty, uzbrojone w śmiertelne pazury i równie zabójcze kły. Natychmiast przygotowali broń do użycia, witani słabymi uśmiechami obsługi.

Były to uśmiechy myszy próbujących dogadać się z kotem, który właśnie wdarł się do mysiej nory.



Ayibongwinkosi Kabweza spojrzała z aprobatą na ruszający do walki pluton Tylera. Desantowiec odsunął się, żeby mieli miejsce do działania

i żeby go nie trafiły żadne odłamki. Marines zamocowali na poszyciu stacji specjalnie uformowane okręgi z ładunku wybuchowego. Był to element wprowadzony do planu w ostatniej chwili, ale w walce tak już bywało. Zwykle nic nie wyglądało tak, jak miało wyglądać, a niekiedy trzeba było działać szybko i na granicy wielkiego ryzyka. Tak jak teraz, jeśli mieli dać ludziom w ładowniach szansę ocalenia.

Dodatkowo mogli liczyć na element zaskoczenia. Handlarze niewolników i inny element, który zablokował dojście do ładowni i próbował otworzyć je na próżnię, zapewne nie zdążyli włożyć skafandrów.

Było to w pewien sposób sprawiedliwe.



– Może zechcecie łaskawie się pospieszyć? – warknęła Constance Mastroianni.

Strzelanina za nią jakby przycichła i Constance bardzo chciałyby wierzyć, że to dobry znak. Niestety, najpewniej durnie Somogyiego wycofywali się właśnie, żeby zrobić miejsce dla pierdolonego Baletu.

– Jeśli myślisz, że możesz załatwić to lepiej, zapraszamy! – odparł jej Liang MacHowell przez zaciśnięte zęby, wpatrując się w przewijane na ekranie linijki kodu.

– Dobra, dobra! – Mastroianni zamachała uspokajająco dłonią. – Ja tylko...

Przerwała i wzruszyła lekko ramionami. MacHowell chrząknął i znowu wziął się do pracy, Constance zaś wróciła do pół tuzina swoich broniących włazu. Klasnęła kilka razy w dłonie i stanęła na piętach, żeby stłumić trochę szalejącą w niej burzę adrenaliny i strachu, i zaklęła ciężko pod nosem.

Royal Torch Marines, pomyślała. Tak, jasne! Nie wiem, co Somogyi ostatnio palił, ale za diabła nie uda mu się sprzedać mnie Baletowi!

Constance Mastroianni zbyt długo działała w tej branży, żeby kupić podobną bzdurę. Balet raz już prawie ją dopadł. Gdyby zjawiała się na umówione spotkanie dziesięć minut wcześniej, bomba, która rozwaliała biuro Manpower, zabiłaby także i ją. Drugiej szansy nie dostaną, przynajmniej dopóki ma broń w ręce!

Znowu klasnęła w dłonie, wmawiając sobie, że obecne działanie nie jest wcale aż tak rozpaczliwe, na jakie wyglądało. Jasne, będą jej wiele obiecywać, ale prędzej czy później będzie musiała przystać na ich warunki. Wcześniej jednak zmusi drani, by czekali. Będą musieli usiąść i zacząć z nią rozmawiać. Zatrzyma ich atak. Gdy przejmie kontrolę nad systemem opróżniania ładowni, będą musieli zacząć z nią rozmawiać. A wtedy...

Opanowała rozbiegane myśli. Gdyby była mniej zdesperowana, zapewne dotarłoby do niej, że tak naprawdę nie ma zielonego pojęcia, dokąd mogą ją zaprowadzić negocjacje z Baletem. A jeśli nawet czuła coś przez skórę, nie miała ochoty się nad tym zastanawiać. W tej chwili najważniejsze było, że coś robi, zamiast siedzieć na dupie jak Somogyi.

Zawróciła do MacHowella, ale w ostatniej chwili powstrzymała się przed ponownym pytaniem o postępy. Był znacznie lepszym hakerem niż ona, poganianie go zaś nic by nie przyniosło. To było jak...

Przestań, powiedziała sobie w duchu. Jak zrobi, to będzie. Już wcześniej odcięli panele od systemu stacji i nikt z zewnątrz nie mógł nawet sprawdzić, czy udało im się złamać kody. Będą musieli założyć, że tak właśnie jest, a to oznaczało...



– Ładunek beta gotowy! – oznajmił sierżant Supakrit X, odsuwając się na bezpieczną odległość od przyczepionego okręgu. Jego zespół skończył jako pierwszy z trzech, co było powodem do satysfakcji, nawet jeśli Vlachos jak zwykle się grzebał.

Na ekranie pozostałe ikony zmieniały kolejno barwę z bursztynowej na czerwoną. Już wszystkie ładunki były uzbrojone.

– Odpalenie! – ostrzegł porucznik Tyler i nacisnął sensor.



Rozważania Constance Mastroianni dobiegły raptownie końca, gdy ładunki wyrwały cztery niemal dokładnie koliste otwory w grubym poszyciu stacji. W tego rodzaju obiektach orbitalnych znajdowała się zawsze ogromna ilość powietrza i ich dekompresja przebiegała zwykle bardzo powoli, wbrew temu, co pokazywano zwykle na filmach. Chyba że coś naruszało integralność poszycia, jak zdarzyło się to właśnie teraz. Przynajmniej w jednej części Balcescu.

Constance ledwo miała czas krzyknąć ze strachu.



Aatifa Villanueva i Alexi Grigorev znajdowali się poza otwartym nagle na próżnię przedziałem, ale niestety, hermetyczne drzwi były za ich plecami, właz przed nimi zaś był zniszczony. Mieli trochę więcej czasu niż Mastroianni, żeby zrozumieć, co się dzieje, ale w ostatecznym rozrachunku nie zrobiło im to żadnej różnicy.



I jak ci się to podoba? – pomyślał Supakrit X, gdy pierwsze ciało wystrzeliło z wyrwanej w poszyciu dziury. Była to kobieta, która ciągle

machala rękami, na jej twarzy zaś malował się wyraz skrajnego przerażenia. Sierżant pokazał zęby w uśmiechu, myśląc o tych wszystkich niewolnikach, którzy przez lata doświadczyli takiego samego losu.

To nie było jedyne ciało, które uciekające powietrze porwało w przestrzeń, a Supakrit nie wątpił, że w środku znajdą kolejne. Wedle odczytów czujników niewolnicy, których tamci próbowali zabić, nadal mieli się dobrze. Przynajmniej fizycznie, bo byli zapewne zdrowo przerażeni. Jak na ironię te same ciężkie włazy, które w zamierzeniu miały chronić wnętrze stacji w razie otwarcia ładowni na próżnię, w tej chwili zapewniały ładowniom bezpieczeństwo. Było w nich dość powietrza na wiele godzin. Zdołają spokojnie załatać dziury i przywrócić ciśnienie w korytarzach, żeby bezpiecznie wyprowadzić wszystkich niewolników.

– Dobra robota – powiedział porucznik Tyler. – Wchodzimy. I pamiętajcie, że gdzieś może kryć się jakiś drań, który zdążył włożyć skafander. W razie czego poślijcie go w ślad za przyjaciółmi.

Ten rozkaz wydał się Supakritowi nad wyraz słuszny.

Nie miał nic przeciwko.

ROZDZIAŁ XLV



Nawet zdumiewająco dobra kawa, serwowana przez automat w mesie oficerskiej frachtowca, wydała się Zachariahowi paskudnie kwaśna, gdy wydarzenia w okolicznej próżni zaczęły nabierać tempa. Obecność Gaula trudno było ignorować, ale z drugiej strony nie istniały obecnie powody do obaw o los ich statku. Gail Weiss bez wątpienia miała rację. Była dobra w swoim fachu. Wszystko, co powiedziała na temat fregaty, jak dotąd okazywało się prawdą.

Niemniej, o ile dla nich była to dobra wiadomość, *Luigi Pirandello* nie miał żadnych szans.

Atak jednostek z *Torch* zaczął się siedemdziesiąt siedem minut temu. Przez blisko półtorej godziny śledzili przebieg pościgu jednej z fregat za statkiem niewolniczym. Przez pierwsze dziewiętnaście minut dystans się zwiększał, jednak potem dysponująca większym przyspieszeniem fregata zaczęła go zmniejszać. *Prince Sundjata* nadal poruszał się szybciej niż pogoń, odległość między nimi zaś wciąż rosła, chociaż obecnie już wolniej.

Zachariah patrzył pustym wzrokiem na wysiłki sąsiedniego frachtowca, który nie miał już żadnych szans ucieczki. Drgnął dopiero wtedy, gdy Weiss dotknęła jego dłoni zaciśniętej na kubku z kawą. Gdy obrócił spojrzenie, zobaczył jej smutny uśmiech.



– Mamy przychodzącą transmisję – zameldował matowym głosem Jürgen Acker, oficer łączności Brandta.

Kapitan westchnął, zdjął czapkę i znowu przeczesał palcami włosy, po czym zamarł na moment, skrzywił się i rzucił czapkę na konsolę. Potem wyprostował się w fotelu i założył nogę na nogę.

– Dawaj ją – powiedział z rezygnacją.

– Mówi komandor porucznik Tunni Bayano, dowódca okrętu Royal Torch Navy *Denmark Vesey* – usłyszał. – Przy obecnym przyspieszeniu znajdziecie się w zasięgu moich pocisków za cztery przecinek siedem minuty. Jeśli w ciągu najbliższych pięciu minut nie zdecydujecie się poddać, otwieram ogień. To pierwsze i ostatnie ostrzeżenie. Over.

Przy odległości ponad sześciu milionów mil opóźnienie wynosiło trzydzieści trzy sekundy, co dawało trochę czasu do namysłu. Nie był to jednak długi czas. Kapitan spojrział na Hinkley i uniósł brwi.

– I co?

– Jesteśmy w czarnej dupie – parsknęła Hinkley. – Ale przynajmniej daje nam szansę kapitulacji.

– Oczywiście, że daje. Zależy mu na naszym ładunku, całym i zdrowym. Ale to nie znaczy, że żywi wobec nas jakieś ciepłe uczucia.

Spojrział na nią, a w końcu wzruszył ramionami i obrócił się do oficera łączności.

– Chcę się do nich odezwać.

– Tak. – Oficer nie krył ulgi. – Mikrofon działa.

Brandt zaczerpnął głęboko powietrza.

– To jest statek niewolniczy, słyszy się często, że załogi takich statków wylatują w próżnię, gdy trafią w ręce żołnierzy Manticore, Haven czy Beowulfa – zaczął najspokojniej jak umiał. – Zakładam, że Royal Torch

Navy wyznaje te same zasady. Nie wiem więc, co możemy zyskać dzięki przyjęciu waszej propozycji.

Odpowiedź została udzielona niemal natychmiast, odebrali ją minutę później. Jego rozmówca musiał chyba oczekiwać takiego właśnie przebiegu negocjacji.

– Po pierwsze, wspomniane marynarki wojenne mają zwyczaj wyrzucać w próżnię załogi statków niewolniczych, jeśli te wcześniej dokonały zabójstwa przewożonych niewolników. Owszem, zdarzało się też inaczej, ale zakładam, że jeśli poddacie statek, nie będziecie na tyle głupi, żeby podnosić rękę na niewolników. Po drugie, nie jesteśmy z Manticore, Haven czy Beowulfa. Królestwo Torch wypowiedziało wojnę Mesie i jeśli nie zadeklarujecie bezwarunkowej kapitulacji, po prostu podejmiemy walkę. Nie jest naszym celem wyłącznie karanie osób zaangażowanych w przestępczy proceder handlu genetycznymi niewolnikami, ale przede wszystkim wykorzenienie instytucji genetycznego niewolnictwa. W tej sytuacji uznajemy jednostki Manpower oraz Jessyk Combine za wroga i na prawach okrętów wojennych. To oznacza, że nie stosujemy wobec nich zasad przyjętych w działaniach marynarki wojennej wobec żeglugi handlowej. Niemniej uznajemy konwencję denebską regulującą zasady konfliktu w próżni. Tym samym każdego, kto się poddaje, traktujemy jak jeńca wojennego. Jest tylko jedno zastrzeżenie, o którym już wspomniałem. Musicie okazać dość rozsądku, żeby nie skrzywdzić ani jednego jeńca na waszym statku. Jeśli naruszycie tę zasadę, możecie równie dobrze strzelić sobie w łeb już teraz, oszczędzając nam kłopotów z targaniem was do śluzy.

– Czy mam na to pańskie słowo?

– Sam byłem niewolnikiem – odparł z lekkim sarkazmem Bayano. – Kilka miesięcy temu, gdy się zaciągnąłem, nosiłem imię Tunni X. Ciekawe, że teraz uważa pan, że moje słowo jest coś warte.

– Cóż mogę powiedzieć? – odrzekł Brandt, biorąc czapkę i nakładając ją na głowę. – Galaktyka się zmienia.

– Ma pan moje słowo – stwierdził Bayano czterdzieści siedem sekund później. – Tylko proszę sprawdzić czas. Zostały wam pięćdziesiąt dwie sekundy.

– Dobrze – powiedział z rezygnacją Brandt. – Poddajemy się. Co mamy robić?

– Iść z dotychczasowym przyspieszeniem – poinstruował go Bayano. – Nasze jednostki zrównają się prędkością za jakieś dwadzieścia pięć minut. Cała załoga wsiądzie wtedy do szalup i opuści statek. Moja pinasa podejdzie do waszego statku i wejdzie na pokład. Każdy członek załogi, którego tam znajdziemy, zostanie natychmiast zlikwidowany. Jeśli ustalimy, że choć jeden niewolnik został zabity, otworzymy ogień do waszych szalup i nie będziemy ratować rozbitków. Czy to rozumiałe? Czy ma mi pan coś do powiedzenia na temat statusu niewolników na pokładzie pańskiego statku?

Brandt pokiwał głową. Biorąc pod uwagę obecne przyspieszenie *Pirandella*, wyhamowanie do zera byłoby niemożliwe przed przekroczeniem granicy nadprzestrzeni. *Denmark Vesey* nie dawał im najmniejszej szansy na ucieczkę. Zaproponowany manewr był najlepszym sposobem na zrównanie prędkości jednostek.

– Jak pan wspomniał, nie jestem tak głupi, żeby skrzywdzić kogoś z nich, mając pańską fregatę na ogonie. Rozumiem pańskie warunki. Wypełnimy je.

– Dobrze. Over.

Brandt siedział jeszcze chwilę w bezruchu, a potem obrócił się do reszty obsady mostka.

– Ktoś ma coś do powiedzenia? – spytał z krzywym uśmiechem.

– Nie wiem, jak ludzie zareagują na rozkaz opuszczenia statku – powiedziała Hinkley. Rozejrzała się niepewnie i zamachała rękami. – Wiecie, niektórzy uznają, że to wybieg, żeby odsunąć nas od ładunku i zlikwidować bez ryzyka dla ich przyjaciół w ładowniach.

– Powiedz mi coś, czego nie wiem – mruknął Brandt.

– Ja wiem jedno – powiedział z ponurą miną Acker. – Najpierw powinniśmy zakuć w kajdany Voigta i Ingraham.

– Albo ich zastrzelić – zgodziła się Hinkley. – Tylko tego nam trzeba, żeby zaczęli latać dookoła, gdy załoga dowie się już o wszystkim. Ładownie mają też indywidualne sterowanie, a oni...

To był już niemal wyraz paniki, chociaż Hinkley miała rację. Tyle że kapitan mógł z centrali zablokować miejscowe sterowanie drzwiami ładowni, co też zaraz uczynił.

Niemniej problem pozostał. Nawet jeśli Voigt i Ingraham stracili możliwość likwidacji wszystkich niewolników naraz, mogli zacząć zabijać ich po kolei, co dałoby dokładnie ten sam skutek, czyli byłiby martwi niewolnicy na pokładzie. Nawet jeśli Bayano zamierzał dotrzymać słowa, to po takim znalezisku kazałby ostrzelać szalupy. W to akurat Brandt nie wątpił.

Obrócił się do dwojga strażników stojących przy wejściu.

– Pójdźcie po Voigta i Ingraham. Oboje są w maszynowni. Założycie im kajdanki i zaciągniecie na pokład szalupowy. Gdyby stawiali opór, macie prawo... inaczej, macie rozkaz użycia dowolnego środka przymusu bezpośredniego, włączając w to skrajne użycie siły.

Strażnicy natychmiast wyszli. Sami woleli się pospieszyć. Podobnie jak cała załoga, znali Voigta i Ingraham. Brandt spojrział za nimi i wtedy

dostrzegł jeszcze jedną postać stojącą przy włazie. Zupełnie zapomniał o tym człowieku. Nazywał się Arpino i zjawił się na mostku, gdy tylko zrobiło się gorąco. Brandt nie kazał mu wyjść, chociaż miał na to wielką ochotę. Przełożeni kapitana jasno stwierdzili, że Arpino ma otrzymać każdą pomoc, której zażąda.

Nie wspomnieli jednak, jakie są jego obowiązki.

Brandtowi wtedy nie spodobało się takie postawienie sprawy i teraz też miał sporo przeciwko temu. W sumie podjął już decyzję, że jeśli Arpino będzie próbował sabotować decyzję o poddaniu się, przydarzy mu się jakiś tragiczny wypadek.

– Rozumiem, że poddaje pan statek – powiedział Arpino tonem stwierdzenia.

– Nie mamy wyboru.

Wbrew oczekiwaniom Brandta Arpino nie powiedział ani słowa, tylko odwrócił się i wyszedł, rozpinając po drodze marynarkę.



Strażnicy rzeczywiście znaleźli Voigta i Ingraham w przedziale maszynowym. Nikt spoza mostka nie znał jeszcze przebiegu rozmowy kapitana z Bayanem, ale wszyscy rozumieli, jak niewiele opcji im zostało. Voigt i Ingraham dyskutowali właśnie z trzema technikami, co rusz podnosząc przy tym głos.

Strażnicy, którzy już wcześniej wyjęli broń, chociaż w nikogo jej na razie nie wycelowali, przerwali hałaśliwą rozmowę i oznajmili obojgu, że są aresztowani. Voigt wyrzucił ręce w górę w geście wielkiego protestu i usiadł na pokładzie. Ingraham rozdarła się natychmiast na strażników.

Starsza w parze, Janice Wendel, musiała znosić Ingraham już blisko trzy lata i miała jej serdecznie dość, uniosła więc pistolet i wystrzeliła dwa razy. Sama była jednak przerażona i brakowało jej doświadczenia w używaniu broni, którą wyjmowała dotąd tylko w komfortowych warunkach na strzelnicy. Spudłowała więc. Pierwsza ponaddzwiękowa strzałka chybiła całkowicie i zaczęła rykoszetować po maszynowni, jakimś cudem nikogo nie trafiając i nie powodując istotnych zniszczeń. Drugi strzał był niemal celny i prawe ucho Ingraham eksplodowało krwawą mgiełką. Kobieta poleciała do tyłu, wrzeszcząc i przyciskając dłoń do boku głowy.

Wendel zrobiła trzy kroki i przysunęła lufę na pięć centymetrów do głowy Ingraham. Z tej odległości nie mogła chybić. Czaszka kobiety eksplodowała krwią, tkanką mózgową i odłamkami kości.

Ingraham była martwa, zanim jeszcze osunęła się na pokład.

Wendel odwróciła się do Voigta, który gapił się na nią z otwartymi ustami. Wycelowała pulser w jego głowę. Fakt, że ręce jej się trzęsły, czynił sytuację jeszcze bardziej przerażającą dla inżyniera.

– Nie będę... cię... niosła – wyrzuciła z siebie. – Wstawaj, ręce do tyłu, i ruszaj na pokład szalupowy. Albo cię zastrzelę.

Voigt zebrał się tak szybko, że gdyby wstawanie z podłogi było dyscypliną olimpijską, na pewno dostałby złoty medal, i podstawił ręce pod kajdanki.



Kapitan Bogunov przekazała nieoficjalnym więźniom ostatnie nowiny na temat pościgu, chociaż i bez tego wiedzieli, że *Prince Sundjata* był już praktycznie bezpieczny, fregata zaś zwalniała. Ikony widoczne na ekranie świadczyły o tym jednoznacznie. Potwierdziła także, że Roldão Brandt zgodził się poddać swój statek.

Zachariahowi zrobiło się bardzo smutno. Niebawem miał stracić jedyną przyjaciółkę, jaka została mu w tym nowym świecie.



W rzeczywistości Lisa Charteris zginęła już wcześniej. Arpino znalazł ją leżącą na koi i patrzącą w sufit. Zerknęła na niego, gdy wszedł, po czym znowu odwróciła głowę. Chwilę potem zamknęła oczy.

Nie było już nic do powiedzenia, więc obyło się bez słów. Gdy Gaul zamykał za sobą drzwi kabiny, koja była przesiąknięta krwią.

Drugiego uczestnika programu Houdini, Josepha van Vleeta, nie było w kabinie. Poszukiwania zajęły jednak tylko trzy minuty. Statek niewolniczy był olbrzymi, ale większość pomieszczeń pozostawała zamknięta i nie dało się do nich wejść bez znajomości kodów dostępu. Nie było więc wielu kryjówek. Arpino znalazł van Vleeta w drugim z przeszukiwanych magazynów. Dwie sekundy później kałuża krwi zaczęła rozlewać się po podłodze.

Zrobiwszy swoje, Arpino wrócił do własnej kabiny, gdzie położył się na koi z rękami pod głową.

Teraz mógł już tylko czekać.



– To wszystko – oznajmił kapitan Brandt. Prędkość *Luigiego Pirandella* zrównała się z prędkością fregaty. – Wyłącz napęd i schodzimy na pokład szalupowy – polecił astrogatorowi. – Zobaczymy, czy ci... ludzie zamierzają dotrzymać słowa.

– Tak, sir!

Astrogator wyłączył ekrany statku i wymknął się z mostka. Brandt dał sobie chwilę, by spojrzeć raz jeszcze na Hinkley, i razem wyszli na

korytarz, tyle że stateczniejszym już krokiem. Pewne tradycje liczyły się nawet na pokładzie statku niewolniczego.

Pierwsze szalupy i ładowniki już opuściły swoje stanowiska i gdy tylko dwie ostatnie osoby do nich wsiadły, inżynier zaraz uszczelnił właz. Drugi pilot obejrzał się z kokpitu i Brandt uniósł ręce w tradycyjnym sygnale nakazującym odbicie. To było ostatnie, na co wszyscy czekali. Wahadłowiec wysunął się ze stanowiska i odszedł na silniczkach manewrowych. Kapitan zajął tymczasem swoje miejsce.

Spojrzał przez iluminator na oddalającą się z wolna łajbę, którą dowodził. Gdy pole widzenia pociemniało, ukazując już tylko gwiazdy, przymknął oczy. Niebawem miał się dowiedzieć, jak słowny jest Tunni Bayano.



Porucznik Marcos Xiorro obserwował podejście pinasy do frachtowca. Według manifestu pokładowego, który kapitan Brandt przesłał przed opuszczeniem jednostki, w ładowniach było niemal pięciuset niewolników. Xiorro zastanawiał się, czy ktokolwiek ich poinformował, że niebawem będą wolni.

Z drugiej strony, w tej sytuacji kwadrans w jedną czy drugą stronę nie robił już różnicy.

W sumie miał nadzieję, że jeszcze o niczym nie wiedzieli. To był pierwszy statek niewolniczy przechwycony przez jednostkę Królestwa Torch i Xiorro chciałby dzięki temu trafić do podręczników historii jako ten, który przeprowadził abordaż. Oczywiście Marines też mieli brać w nim udział, ale nie ujmowało to w niczym zasług marynarce wojennej. Xiorro uśmiechnął się, rozbawiony własną próżnością, i powtórzył w myślach słowa, które zamierzał wypowiedzieć.

Miał to być okrzyk: „Marynarka wojenna jest tutaj!”. Słowa te padły po raz pierwszy tysiące lat temu, ale tym razem kontekst był naprawdę wyjątkowy. Oto po raz pierwszy w historii galaktyki niewolnicy mieli zostać uratowani przez okręt wojenny państwa stworzonego przez byłych niewolników. Oni sami nie byli skłonni zapominać, ile razy przez minione stulecia obce okręty spieszyły im z pomocą, ale ten dzień był szczególny. Wreszcie mogli sami pomagać swoim.



Gaul imieniem Arpino nie był wymieniony na liście członków załogi *Luigiego Pirandella*, w towarzyszącym ewakuacji pośpiechu zaś nikt się nie zorientował, że nie znalazł się on na pokładzie żadnego z odbijających stateczków. Zresztą nawet gdyby o tym wiadano, nikt by się tym nie przejął. Skoro ktoś okazał się aż taki nierozgarnięty, uznaliby, że słusznie zapłaci za własną głupotę.

Arpino został na statku celowo. Tak właśnie miał postąpić. Rozkazy przewidywały likwidację wszystkich dowodów świadczących o pobycie jego podopiecznych na pokładzie frachtowca. Ostatecznie nawet trupy musiałyby wywołać zainteresowanie i ktoś pewnie zaczęłby sprawdzać, co dwoje znaczących naukowców z Mesy robiło na statku niewolniczym, chociaż oboje mieli zginąć już trochę czasu temu w wypadku samochodowym. Nie mógł być również pewien, czy na pewno nikt z członków załogi nie miał okazji usłyszeć nazwisk Charteris i van Vleeta. Musiał więc dokończyć robotę. Odczekał kilka minut po odlocie załogi i wrócił na mostek. Tam wprowadził na właściwej konsoli kod, który powinien być znany wyłącznie kapitanowi i pierwszemu oficerowi.

Teraz siedział w milczeniu, patrząc na ekran ukazujący jasno oświetloną wnękę doku. *Pinasa Torch* wsunęła się, dokonując sprawnie cumowania bez

pomocy z zewnątrz i wiązek przyciągających. Pilot stateczku wyraźnie znał się na swojej robocie.

Gdy pinasa znieruchomiała z tolerancją kilku cali wobec przepisowej pozycji, Seleven Arpino dodał ostatnią cyfrę kodu, którego teoretycznie nie miał prawa znać.



Pełen niedowierzania Zachariah zerwał się na równe nogi. Kątem oka zauważył, że Zhilov odruchowo sięgnął pod połę marynarki, ale nie mógł oderwać spojrzenia od miejsca, w którym eksplodował *Luigi Pirandello*.

Nie pojmował, jak mogło do tego dojść; jego umysł jakby się zawiesił, sparaliżowany nieprawdopodobnymi danymi. To było czyste szaleństwo! Brandt poddał statek i wyniósł się z niego z całą załogą. Po co to zrobił, skoro i tak zamierzał odpalić jakieś ładunki na pokładzie? W ten sposób tylko wystawił się na strzał, zniszczenie pinasy z okrętu Torch zaś gwarantowało, że...

Wtedy zrozumiał. Istniało tylko jedno możliwe wytłumaczenie. Zaczął obracać się w stronę Zhilova, chociaż było to działanie wybitnie nierozsądne, podyktowane czystymi emocjami. Nie miał przecież szans w takiej konfrontacji. Gdyby Gaul uznał, że wściekły Zachariah może w jakikolwiek sposób przeszkodzić mu w utrzymaniu pełnej kontroli nad sytuacją, bez wahania by go zastrzelił. Niemniej zanim zdołał cokolwiek zrobić, stało się to, co w tej sytuacji było nieuniknione.

Roldão Brandt nie otrzymał żadnej szansy udowodnienia, że on i jego ludzie byli niewinni. Chociaż zapewne i tak nie zrobiłoby to różnicy przy pięciuset niewolnikach i dwudziestu siedmiu osobach z załogi pinasy oraz Marines, którzy zginęli w kuli nuklearnego ognia.

Grubo ponad milion mil był to dystans zbyt wielki dla broni energetycznej, zatem ku szalupom pomknęły karmazynowe punkty oznaczające pociski. Dojście do celów zajęło im trzydzieści trzy sekundy, przez które Zachariah nie mógł oderwać oczu od ekranu. Gdy ich lot dobiegł końca, wszyscy ludzie z *Luigiego Pirandella* byli już martwi.

– O mój Boże, Boże, Boże, Booże... – zanosła się krzykiem Stefka Juarez, otrząsnąwszy się nagle ze stuporu. Stała po prawej stronie Zachariah, z pięścią przyciśniętą do ust i oczami rozszerzonymi przerażeniem.

– Wystrzelili! – wyrzuciła z siebie. – Wystrzelili! A teraz... – Obróciła się powoli, jak ktoś śniący koszmar, w stronę Zhilova. – A teraz strzelą do nas!

Zachariah drgnął. To było bez sensu! *Prince Sundjata* znajdował się dwie i pół minuty od granicy nadprzestrzeni. Byli już tak bliscy ucieczki z układu, że zaczęli się uspokajać, wiedząc, że przeżyją. Tym bardziej nagłe zniszczenie *Luigiego Pirandella* było takie szokujące.

Zachariah był fizykiem. Nie znał się na uzbrojeniu, jak Weiss, ale potrafił rozwiązywać zagadki. Ta nie była trudniejsza od innych. Nawet gdyby *Denmark Vesey* przynosił wielostopniowe pociski, których zdaniem Weiss tak mała jednostka nie mogła używać, i nawet gdyby te pociski były zdolne do długotrwałego utrzymywania przyspieszenia rzędu tysięcy g, dotarcie do ich frachtowca zabrałoby im ponad godzinę.

Nie wiedział, czym zajmowała się Juarez, ale z pewnością nie była to fizyka. Chyba że panika odebrała kobiecie zdolność myślenia. Dość, że wskazała oskarżycielsko palcem na Zhilova.

– Ty draniu! – syknęła. – Ty pierdolony draniu! Zabiłeś nas wszystkich! Ty...

Gdy zabrakło jej słów, rzuciła się na Gaula.

Czy dlatego, że zagłada *Luigiego Pirandella* nim też wstrząsnęła, czy to na skutek zaskoczenia wybuchem Juarez Zhilov zareagował z opóźnieniem. Wyciągnął pulser z kabury, ale zanim zdążył wystrzelić, ona już go dopadła. Większość członków jądra Równania przeszła w młodości przynajmniej podstawowe wyszkolenie w sztukach walki, niemniej Juarez i tak zadziałała instynktownie, atakując długimi paznokciami oczy przeciwnika. Zdołał unieść lewą rękę, żeby zablokować jej pierwsze uderzenie, ale ona zaraz wpadła na niego. Prawą rękę, tę z pulserem, miał w ten sposób zablokowaną między ich ciałami, gdy kobieta ponownie sięgnęła do jego twarzy.

Zhilov zawył, gdy z jego prawego oczodołu trysnęła fontanna krwi. Potem uniósł kolano i uderzył nim Juarez w brzuch. Zgięła się wpół i zatoczyła do tyłu, nie miała jednak czasu odzyskać tchu. Zanim w ogóle zaczęła się prostować, Gaul uniósł pulser i wystrzelił trzy razy w czubek jej głowy, rozbijając kompletnie czaszkę.

Wszystko to zdarzyło się błyskawicznie, jednak Zachariah odbierał kolejne zdarzenia tak, jakby działały się w zwolnionym tempie. Widział zataczającą się Juarez, uniesiony pulser, eksplodującą głowę kobiety... I uświadomił sobie też, że pulser nie opadł, a trzymająca go ręka przesuwa się z wolna.

I to w jego kierunku.

Nie wiedział, co Zhilov sobie pomyślał. W sumie nie wiedział nawet, czy ten człowiek zdolny był do myślenia. Może reagował tylko na nagły atak i ból w oczodole. Albo chciał zneutralizować pozostałe cele, zanim wykorzystają jego słabość, żeby uciec przed zagrożeniem, które reprezentował. A może chodziło o coś jeszcze innego.

W sumie nie było to ważne. Najpierw zobaczył coraz bliższy pulser i pomyślał, że zaraz umrze, a potem ujrzał, jak ręka z bronią skoczyła w górę. Gail Weiss uderzyła z wysokoku lewą stopą dokładnie w dłoń, która trzymała pistolet.

Pulser poleciał na podłogę. Zhilov wyprostował lewą rękę, trafiając Weiss w bok głowy. Upadła, nieprzytomna albo martwa. Zachariah nie widział tego dokładnie, ponieważ sam też się ruszył.

Zhilov był akurat przechylony, bliski utraty równowagi, ślepy na jedno oko, ale Zachariah wiedział, że jeśli pozwoli mu odzyskać kontrolę nad ciałem, będzie zaraz martwy. Co właściwie wywołało atak, nie miało już najmniejszego znaczenia. Liczyło się tylko to, że Zhilov chciał ich wszystkich pozabijać.

Zachariah był naukowcem, nie wytrenowanym specjalistą od spraw bezpieczeństwa, jak jego brat. „Sztuki walki” sprowadzały się dla niego do ćwiczeń relaksacyjnych i nigdy nie zamierzał wykorzystywać ich inaczej. Jednak mimo to ruszył na Gaula. Zhilov był zdecydowanie praworęczny i uderzenie Weiss musiało być dla niego dokuczliwe, ale teraz unosił lewą rękę... z wierzchu dłoni zaś wyrastało organiczne, laminowane ostrze, długie na prawie cztery cale. Mierzyło prosto w gardło Zachariaha.

Naukowiec uniósł rękę w szermierczym niemal geście i zablokował cios, sięgając natychmiast lewą ręką do zdrowego oka Gaula i próbując uderzyć go kolaniem w krocze.

Gaul obrócił się częściowo i poleciał do przodu. Zachariah natychmiast chwycił jego głowę w obie dłonie i szarpnął ją w dół, w tej samej chwili raz jeszcze podnosząc kolano.

Próbował zmiażdżyć Gaulowi twarz, ale chybił, gdy ten rzucił się do przodu, zamierzając zbić przeciwnika z nóg.

Pechowo dla siebie, i tak trafił na uniesione kolano, tyle że nie twarzą, a szyją. Zaraz upadł i przycisnął do niej rękę, charcząc przy tym, rzucając się i kaszląc, żeby odzyskać oddech. Zachariah nie przypuszczał, żeby zdołał tym uderzeniem zmiażdżyć wrogowi tchawicę, a skoro tak, to istniała obawa, że znacznie lepiej wyszkolony Gaul szybko się pozbiera...

Nagle Zachariah trafił dłonią na coś kanciastego. Odruchowo zacisnął na tym dłoń, a gdy uderzył w gródź, przetoczył się i uniósł na jednym kolanie, zobaczył, że znalezionym przedmiotem jest pulser Zhilova.

Kaszłący i ciężko łapiący powietrze Gaul zaczął się już otrząsać i lada chwila miał się wyprostować, gdy Zachariah uniósł dłoń. Twarz tamtego była zakrwawiona, ale oko znieruchomiało nagle, dostrzegając zagrożenie.

Wtedy Zachariah McBryde nacisnął cztery razy spust, zamieniając klatkę piersiową Anthony'ego Zhilova w krwawą pulpę.

ROZDZIAŁ XLVI



Csilla Ferenc nigdy jeszcze nie była tak przerażona. Myślała, że osiągnęła najwyższy pułap strachu w chwili, gdy uzbrojeni żołnierze wpadli do centrali, żeby wziąć jeńców, ją między innymi. Jednak szybko okazali się nie tacy znów przerażający. Jeden wykazał się nawet swoistym poczuciem humoru.

Teraz ludzie, którzy opanowali stację, byli po prostu wściekli. Chodząc wzdłuż szeregu jeńców stojących na baczność, trzymali broń w taki sposób, jakby zaraz zamierzali zacząć strzelać.

Poza kilkoma najważniejszymi szychami, jak Somogyi, wszyscy zostali zapędzeni do największej ładowni stacji. Kilkaset osób. Z początku Csilla uspokoiła się, będąc tylko drobiną w tłumie, ale potem coś się stało. Nie wiedziała dokładnie co, ale od napastników usłyszała, że ktoś zniszczył jeden z ich okrętów.

Była już pewna, że teraz zginą. Potem jakaś niska kobieta, której wcześniej nie widziała, sądząc po mundurze zapewne oficer, weszła do ładowni. Niemal wbiegła.

– Dość tego! – krzyknęła. – Żeby was cholera... Przestańcie zaraz! – Zwolniła i ściszyła trochę głos. – Jesteście żołnierzami, nie pierdoloną tłuszcą. Dość tego, powiedziałam!

Wskazała na jednego z żołnierzy.

– Sierzancie Supakrit, ty tu dowodzisz?

Wielki żołnierz wyglądał na mniej wściekłego niż pozostali, ale jego oblicze zdecydowanie nie było przyjazne. Zdawał się jednak nad sobą panować.

– Tak, pułkownik Kabwezo. Mam ich...? Posłuchają mnie.

– Dobrze. Otrzymujesz właśnie awans na polu walki. Na porucznika. Pozbądź się tego głupiego X i przybierz sobie nazwisko. A teraz zbierz swój oddział i ustawcie się tak, żeby bronić jeńców. Macie być gotowi do użycia broni – powiedziała, spoglądając także na resztę żołnierzy. – Wobec każdego pierdolonego Marine... tak zwanego Marine, który nie będzie robił tego, co mu, kurwa, każę. Czy to jasne, poruczniku?

– Tak, ma'am. Oddział, zbiórka w szeregu.

Mała grupa żołnierzy ruszyła w jego stronę. Broń trzymali skierowaną do góry, ale nawet dla cywila takiego jak Ferenc było jasne, że gotowi są jej użyć. I to nie przeciwko niej.

Przez tłum żołnierzy przeszedł szmer. Stojąca niedaleko Csilli niska kobieta w mundurze, chyba nawet w tym samym co ona wieku, spojrzała na nią ze złością.

Nogi ugięły się pod Ferenc i chwilę później niemal leżała na pokładzie, wsparta na jednej ręce.

– Ja tu tylko pracuję – powiedziała z płaczem. – To jedyna praca tutaj, za którą jakoś płacą. Mój mąż nie może pracować, bo jest kaleką po wypadku, i mamy dwoje dzieci. Mój ojciec też jest chory. – Z trudem, drżąc, zaczerpnęła powietrza. – Ja tu tylko pracuję.

Kobieta w mundurze też odetchnęła powoli. Chyba również była roztrzęsiona. Potem spojrzała na swoją broń i zmieniła jej położenie, tak że teraz lufa wskazywała sufit.

– Do diabła – powiedziała.



Wciąż oddychając ciężko, Zachariah obrócił się i zobaczył Gail Weiss, klęczącą kilka kroków dalej. Cios, który otrzymała od Zhilova, nie wyrządził jej chyba krzywdy.

– Nic ci nie jest? – spytał.

Uniosła rękę i spojrzała na niego. Z ulgą dostrzegł, że jej źrenice reagują prawidłowo. Może miała wstrząśnienie mózgu, ale jeśli nawet, to raczej lekkie.

Spojrzała na ciało Zhilova. Zrobiła to tak, jakby chodziło o żmiję i jakby chciała wiedzieć, czy gad na pewno został zabity. Nie wydawała się ani przerażona, ani nawet zmieszana.

– Niewiele brakowało – powiedziała chrapliwie. – Rozumiem zginąć z sensownego powodu...

Nagle przerwała i zaśmiała się.

– Ale gdzie tu sens? Zginąć, bo dwoje maniaków skoczyło sobie do gardeł?

Wstała, podeszła do stołu i usiadła. Potem dopiła swoją kawę i ostrożnie odstawiła kubek.

– Wiem, oboje wiemy, że miał nas zabić w razie ryzyka pojmania. Ale powinnam była wcześniej domyślić się, że jest w tym coś więcej. Wiesz, jak myśli służba bezpieczeństwa Równania. Słyszałeś Marinescu. Każdy, kto słyszał o Houdinim, musi albo zniknąć, albo umrzeć. Pod tym względem są nieprzejednani.

Przytaknął.

– Przygotowali więc dodatkowe zabezpieczenie. I to właśnie przesądziło o losie *Luigiego Pirandella*. Arpino zabił Charteris i van Vleeta, a potem poczekał na stosowną chwilę i wysadził statek. Zacierając tym samym

wszystkie ślady. Teraz nikt poza Równaniem nie będzie miał pojęcia, co naprawdę stało się z Charteris i van Vleetem. Co innego, gdyby odkryto na pokładzie ciała zamordowanych w niejasnych okolicznościach osób, które rzekomo zaginęły całkiem gdzie indziej. One jednak zmieniły się w gaz i są nie do odróżnienia od innych molekuł krążących w próżni.

Zachariah rozejrzał się po mesie, która przypominała teraz raczej rzeźnię. Wszędzie była krew. Zdziwiło go, że nikt nie przyszedł sprawdzić, co się dzieje, ale właz był zamknięty. I był to solidny właz, jak wszystkie na pokładzie. Jedyne, co mogło być słychać wcześniej na korytarzu, to przytłumione krzyki. Słów nikt nie miał prawa rozpoznać. A skoro tak, to i nikt nie palił się na pewno, by cokolwiek sprawdzać, wzięwszy pod uwagę osobliwy status Zhilova.

– I co teraz zrobimy?

– Na początek musimy wymyślić jakąś historyjkę dla kapitan Bogunov. Wątpię, by drażyła sprawę, jeśli przedstawimy jej chociaż w miarę spójne wyjaśnienie.

Spojrzała kolejno na ciała.

– To co proponujesz? Wcisnąć broń w dłoń Stefki i powiedzieć, że to ona... Nie, nie zadziała. Dostał cztery razy, więc żadnym sposobem nie mógł jej potem jeszcze zastrzelić.

– Sądzę, że najlepiej będzie trzymać się prawdy – odparł Zachariah. – Spanikowała, rzuciła się na niego, on ją zabił, a potem wpadł w szal. Ty wykopnęłaś mu broń z ręki, ja ją podniosłem i go zabiłem. To powinno wystarczyć Bogunov. Przynajmniej do chwili, gdy będzie mogła przekazać nas dalej.

– I co wtedy?

Wzruszył ramionami.

– Powiemy to samo i będziemy trzymać się tej wersji do końca. Jest przecież prawdziwa. Nie sądzę, żeby Równanie chciało nas ukarać. Nie będzie powodu, gdy już przejdziemy Houdiniego.

Weiss zastanowiła się.

– W sumie pewnie tak. – Uśmiechnęła się lekko. – Ci od bezpieczeństwa będą o wszystko wypytywać, ale chociaż są zimni jak pająki, są też praktyczni. Nie zabijają ludzi z czystej złośliwości.



– Co tam się, u diabła, zdarzyło? – spytał stanowczo pułkownik Donald Toussaint. Wiedział, że nikt na pokładzie *Hali Sowle* nie był w tej kwestii ani trochę mądrzejszy od niego, ale i tak spojrział z irytacją na obsadę mostka.

Denmark Vesey znajdował się prawie sześć minut świetlnych od stacji Balcescu, a sygnatury fregaty oraz *Luigiego Pirandella* zniknęły z odczytów, gdy jednostki wyłączyły swoje ekrany. Dron wytropił szalupy wystrzelone z frachtowca, potem śledził pinasę, aż jej ekran też zgasł. Potem nie było już nic. Zupełnie nic. Dopiero trzysta osiemdziesiąt trzy sekundy później skanery wyłapały błysk nuklearnej eksplozji, która zniszczyła frachtowiec.

Jeszcze trzydzieści sekund później odnotowali eksplozje, które zniszczyły szalupy.

Meldunek komandora porucznika Bayana dotarł do nich minutę po ostatnim z tych wydarzeń. Był klarowny i profesjonalnie przygotowany, chociaż pod koniec przybrał wręcz żałobny ton.

– To jest całkiem bez sensu – głosił meldunek odtwarzany na ekranie Toussainta, który teraz dopiero zapoznawał się z nim osobiście. Chciał wyłapać z tego jak najwięcej. – Poddali się już i opuścili statek –

kontynuował Bayano. – Musieli wiedzieć, dwa razy ich ostrzegałem, i to stanowczo, że zginą wszyscy, jeśli choć jeden niewolnik zostanie zabity. Po co więc wysadzili swój statek? Co chcieli w ten sposób osiągnąć? – Kapitan był wyraźnie roztrzęsiony. – Przepraszam. Wiem, że pan też nie zna odpowiedzi na te pytania, ale stracić tak porucznika Xiorra i wszystkich jego ludzi, gdy sytuacja była już pod kontrolą. To boli. Cholernie boli.

– Może chcieli zemsty i dlatego poczekali, aż będą mogli zabić także waszych ludzi – odezwała się komandor porucznik Lansiquot. Doradczyni z republiki Haven stała obok major Sydorenko, dość blisko, żeby móc obejrzeć meldunek razem z nią i pułkownikiem. Toussaint sam ją o to poprosił. Teraz przerwał odtwarzanie i spojrzał pytająco na Lansiquot.

Sydorenko była spięta i przepełniona zimną wściekłością.

– Do diabła z nimi. Zabili porucznika Xiorra i wszystkich jego Marines. I to musiał być powód.

Donald machnął ręką, starając się nie stracić cierpliwości.

– Bez obrazy, ale żadne z was nie było niewolnikiem. Ja owszem, podobnie jak Tunni, i dla mnie to, co zrobili, nie ma sensu. Po prostu. Ci ludzie byli handlarzami niewolników, nie religijnymi czy politycznymi fanatykami. W każdej takiej załodze znajdzie się paru szaleńców, ale żeby wszyscy nimi byli?

Spojrzał na zastygłą, wykrzywioną w grymasie twarz Bayana widniejącą na ekranie. Lansiquot chciała coś powiedzieć, ale się powstrzymała, Sydorenko wciągnęła głęboko powietrze.

– Czy możemy posłuchać do końca? – spytała, w domyśle zostawiając kwestię „zanim znów się wygłupię”.

– Oczywiście. – Toussaint uśmiechnął się do niej bez śladu wesołości, co sugerowało, że domyślił się tego, co pozostało niedopowiedziane, i dotknął

ekranu.

Twarz Bayana ożyła. Kapitan pokręcił głową jak wędrowiec zastanawiający się nad zagadkami Sfinksa.

– Rozmawiałem z kapitanem tamtego statku. Z pewnością nie był w samobójczym nastroju. Głównie dlatego nie potrafię sobie wyjaśnić tego, co zrobili. Naprawdę mówił z sensem, jak ktoś, kto chce ocalić własnych ludzi. I odpowiadał jak należy. Wszystko było w porządku, aż do tej ostatniej chwili.

Przerwał na chwilę, a na jego twarzy odmalował się smutek.

– Sądzę, iż może pan dojść do wniosku, że pospieszyłem się z otwarciem ognia. Jak teraz o tym myślę, zapewne ludzie w szalupach nie wiedzieli, co ma się stać.

– Pieprzyć ich – powiedział Toussaint pod adresem twarzy na ekranie, po czym uniósł wzrok na Sydorenko i Lansiquot. – To samo powiedziałem Tunniemu, gdy odebrałem ten meldunek, i zdania nie zmienię. Może mieć nawet rację, że kapitan Brandt i jego ludzie nie mieli z tym nic wspólnego, ale pozostaje faktem, że to byli śmierdzący handlarze niewolników. A zakładając, że ma rację i nic nie wiedzieli, to gdyby nawet przeżyli, i tak niczego byśmy się od nich nie dowiedzieli. – Oparł się w fotelu. – Spójrzmy na to z jasnej strony. Właśnie dowiedliśmy każdemu handlarzowi niewolników w galaktyce, że nie żartujemy. Przestrzegliśmy ich, kimkolwiek są, że będziemy konsekwentni w karaniu za brak posłuchu. Niech reszta z nich czerpie z tego naukę. – Obrócił się do Sydorenko. – Dopilnuj zebrania każdego skrawka danych na temat tego zdarzenia, Anichko. Nasze nagrania, nagrania z fregaty, ze stacji, jeśli jakieś mają. Gdy wrócimy na Torch, damy to naszym analitykom, żeby to wszystko przemielili. Może wtedy dowiemy się, co naprawdę się stało i dlaczego. Jestem pewien, że coś tu śmierdzi.



Kapitan Bogunov nawet nie udawała, że uwierzyła w ich opowieść, ale było też oczywiste, że nie zamierza dociekać prawdy.

Od tego były odpowiednie władze i niech one się tym zajmą, uznała. Te same władze, które wcześniej nakazały jej nie zadawać pytań tym pasażerom i nie mieszać się do niczego, co będzie robił Zhilov.

– Obawiam się, że będę musiała umieścić was na resztę podróży w odosobnieniu – powiedziała przeproszającym tonem. – Wybierzcie sobie kabinę. Będzie wam trochę ciasno, ale... nie ma wyjścia. Nie mam dość ludzi, żeby trzymać straż przed dwiema kabinami.

Zdecydowali się na kabinę Gail, która była pierwotnie przeznaczona dla niej i dla Juarez, dlatego też znajdowały się w niej dwie koje.

Gdy Zachariah przeniósł już swój skromny dobytek, usiadł naprzeciwko kobiety na niewielkiej, przymocowanej do ściany półce, która pełniła tu rolę stolika.

– Zostawiłeś kogoś? – spytała Weiss.

– Tak. Lisa była jedyną przyjaciółką, która mi została, i...

Pokiwała głową.

– Ja pewnie miałam szczęście. Rozwiodłam się rok temu, nie mieliśmy dzieci, moi rodzice nie żyją. Mam brata, ale nigdy nie byliśmy blisko. A ty?

Po chwili wahania zaczął opowiadać o swojej rodzinie. I mówił o tym również dwie godziny później, gdy statek zniknął z normalnej przestrzeni, ale wtedy trzymali się już za ręce.

ROZDZIAŁ XLVII



Dzięki bogatemu doświadczeniu i długiej praktyce Triêu Chuanli bez trudu znosił takie widoki jak ten ujrzany w niegdysiejszym legowisku najgroźniejszego gangu w Dolnym Radomsku. Ale po prawdzie był lekko wstrząśnięty.

Nie chodziło nawet o krew czy strzępy ciał. Nikt, kto byłby wrażliwy na takie detale, nie zostałby dowódcą mafijnej armii Jurgena Duseka. Nie, to było...

Właśnie, co? Chuanli starał się zidentyfikować, co właściwie tak go zaniepokoiło w tym obrazie śmierci i zniszczenia. Chyba fakt, że to była zbyt...

– Czysta robota – powiedział głośno.

Mówił do siebie, ale dwie towarzyszące mu osoby i tak usłyszały.

– Czysta? – spytała Tamara Hess ze zdumionym wyrazem twarzy. – To jest czyste? Cieszę się, że nie ty u mnie sprzątasz.

Henry Copper pokręcił głową.

– Nie, Tam. On ma rację. To jest precyzyjna robota. Dziwnie precyzyjna.

To ostatecznie ustawiło sprawę dla Chuanliego. Raz jeszcze rozejrzył się po pomieszczeniu skrytym głęboko w trzewiach jednej z wież mieszkalnych Dolnego Radomska. Tym razem odnotowywał każdy rozprysk krwi i inne szczegóły z taką starannością, jakby był śledczym badającym scenę zbrodni.

Tak, Henry miał rację. Precyzja była porażająca. To oraz jednostronność walki, która miała tu miejsce. Na ile można było to rozpoznać oczywiście, bo nie wszystkie ciała były kompletne. Jednemu brakowało nawet głowy. Wszystko jednak sugerowało, że żadna z pięciu ofiar nie zdążyła zrobić nic w swojej obronie, chociaż oręża tutaj nie brakowało. Był pewien, że trzy osoby nie zdołały nawet wstać.

– Sprawdźcie magazynki wszystkich sztuk broni – powiedział. – Chcę wiedzieć, czy z którejś w ogóle strzelano. I zobaczcie, czy jakiejś brakuje. Na ile się da.

W ostatniej sprawie skazani byli na zgadywanie. Niemniej mogli sprawdzić, czy liczba kabur zgadza się z liczbą pistoletów. No i przejrzeć szuflady, bo tam też coś mogło leżeć.

Ekipa, którą zabrał ze sobą, załatwiła sprawę w kilka minut.

– Jedyna broń, która wystrzeliła, należała do tego gościa – zameldował Henry, wskazując na ciało w rogu pokoju. – Ale sądząc po dziurze w kaburze i ranie stopy, sam się postrzelił, zanim jeszcze wyciągnął broń.

– Brakująca broń?

– Trudno o pewność, ale chyba żadna nie zginęła.

– Do każdych zwłok można przypisać któryś egzemplarz – wtrąciła się Tamara. – Oprócz tej tam kobiety. Ona miała dwie sztuki, z czego jedną schowaną w bucie. Z żadnej nie strzelano.

Chuanli pokiwał głową.

– A w innych pokojach?

W całym apartamencie znaleźli łącznie dziewięć ciał.

– Tak samo – odparł Henry. – Jeden zabity w korytarzu, wychodził z łazienki. Dwoje w łóżku, gdy się... – Machnął ręką. – Jeden w pokoju od frontu.

– Sądzymy, że był na nogach i widział zabójców. Chyba wyciągnął nawet pistolet, bo leży na podłodze kilka jardów od niego. Nie zdążył wystrzelić.

Teraz Triêu mógł już z grubsza wyobrazić sobie, co się stało.

– Zatem... jeden wchodzi frontowymi drzwiami, wywalając je ładunkiem wybuchowym. Dało się to zrobić, bo byli na tyle beztroscy, że nie wystawili straży w korytarzu. To był hałas, który wszystkich na moment ogłuszył. Potem ten ktoś zastrzelił strażnika we frontowym pokoju, przeszedł tutaj i załatwił tę piątkę. Gdyby nie ten syf, to powiedziałbym, że do salonu. W tym samym czasie ktoś jeszcze, albo więcej ktosiów, wywalił ścianę między korytarzem a kuchnią i załatwia sypialnię. Zabija pieprzącą się parkę i gościa z łazienki.

Spojrzał na Henry'ego i Tamarę.

– Pasuje do tego, co widzieliście?

Oboje pokiwali głowami.

– Czy cokolwiek sugeruje, że napastników było więcej niż dwóch?

Spojrzeli na siebie i zaprzeczyli.

Chuanli gwizdnął bezgłośnie.

– Jezus, Maria, Józef – powiedział powoli. – To oznacza, że ten, który wszedł od frontu, musiał być... naprawdę szybki. I że on, albo ona, nie mógł ani razu spudłować. Nie w tym czasie, który był do dyspozycji.

Ostatni raz rzucił spojrzeniem na pokój i skierował się do wyjścia.

– Dobra, idziemy. Nigdy nic nie wiadomo. Jeszcze gliny tu przyniesie.

– Chyba w lektyce – parsknęła Tamara. – I za miliard lat.

Chuanli nie próbował dyskutować. Sam świetnie wiedział, że policja nie reaguje szybko w takich dzielnicach. W Nowym Radomsku czasem w ogóle się nie zjawiała.



– Nasi najlepsi ludzie nie daliby rady. Może całą kupą, ale we dwóch? – Chuanli pokręcił głową. – Żadnym sposobem. Co najmniej jeden z tamtych musiał mieć przeszkolenie wojskowe. I to takie porządne, może nawet z elitarnej jednostki szturmowej. Może Marines. Solarnych na przykład, o tych dupkach z Mesy nawet nie myślę.

– Mógł być więcej niż jeden – mruknął Dusek. – Jestem pewien, że Watson ma jakichś ludzi. Może tę kobietę, którą widział nasz zespół.

Szef Neue Rostock rozłożył się w fotelu obrotowym, nogi umieścił na blacie biurka i złączył dłonie na brzuchu.

– Dobra, zastanówmy się nad tym. Moim zdaniem istnieją trzy możliwości. Pierwsza jest oczywista.

– Watson chce nas zniechęcić do przeszkadzania mu w sięgnięciu po władzę.

– Tak. Na poparcie tej teorii mamy to... – Wskazał na sześcian lodu stojący na przeciwległym narożniku biurka. W środku tkwiła głowa, trochę trudno rozpoznawalna z powodu niejakich uszkodzeń, niemniej Dusek zdołał ją zidentyfikować jako głowę Willego Bródki, byłego szefa wybitego bezlitośnie gangu. Przewisko pochodziło od wydatnej brody, po której nie było teraz śladu. Została odstrzelona, razem z lewym policzkiem i uchem.

Lodowy prezent został dostarczony rano przez jakiegoś dzieciaka. Zidentyfikować się go nie udało, ponieważ podrzucił tylko pakunek na podest przy wejściu, zagwizdał na dwóch stojących dwadzieścia jardów dalej ochroniarzy i uciekł. Ci nie mogli go ścigać; najpierw musieli sprawdzić, czy pakunek nie zawiera bomby, gdy zaś przejrzano nagrania z monitoringu, okazały się bezużyteczne. Chłopak używał jakiegoś

urządzenia zniekształcającego rysy twarzy. Dzieciaki z ulicy nie miewają tak drogich zabawek i normalnie ich nie potrzebują.

Do pakunku dołączona była notatka: „Z pozdrowieniami. Philip Watson”.

– Ale to jedyne, co wspiera tę teorię. Powiedz mi, Triêu, tak na zasadzie czysto akademickich rozważań, bo jestem pewien, że nie rozpatrywałeś takiej możliwości, gdybyś chciał zająć moje miejsce, czy od tego właśnie byś zaczął?

– Musiałbym być kretynem – odparł z uśmiechem Triêu. – Zastraszanie w ogóle nie wchodziłoby w grę. Uderzyłbym frontalnie. I jak teraz o tym myślę, moim zdaniem byłoby to i tak dość niebezpieczne, nawet bez takiego ostrzeżenia.

Dusek przytaknął.

– Tak właśnie sądziłem. Jako groźba to byłoby wręcz głupie. Watson zaś nie jest głupcem. To każe przejść do drugiej możliwości. Że naprawdę zamierza zrobić to, o czym mówi, czyli opanować Dolne Radomsko.

Przerwał na chwilę, spoglądając na zmasakrowaną głowę.

– Co się w tym przypadku nie zgadza, Triêu?

– Wybrał niewłaściwy gang. – Dusek nie był zaskoczony, że odpowiedź padła natychmiast. Wielkie organizacje przestępcze nie stosowały fachowego nazewnictwa, ale zwykły stosować to, co w wojsku nazywano planowaniem awaryjnym. Dusek, Chuanli i wybrani przez nich ludzie przegadali niejedno popołudnie, zastanawiając się, jak mogliby opanować Dolne Radomsko, gdyby kiedyś się na to zdecydowali. – Powinni uderzyć w Nessie Girls albo Rukkena. Eliminacja Willego Bródki i jego brudnej bandy do niczego nie prowadzi. Owszem, banda miała wielkie znaczenie dla ludzi w okolicy, ale realnie równowagi sił nie zmieniała. Ten gang był

zapewne najokrutniejszym w całym Dolnym Radomsku. I najbardziej nieprzewidywalnym. Przeciętni ludzie śmiertelnie się go bali. Ale Nessie Girls i Rukken były znacznie potężniejszymi organizacjami i w sensie biznesowym osiągnęły większy sukces.

– Zgadza się. I jest jeszcze to. – Dusek pokazał leżący na biurku czip. – Trwało chwilę, nim złamaliśmy kody dostępu, ale ostatecznie przeanalizowaliśmy zawartość, gdy ty sprawdzałeś, co się stało z gangiem.

Czip znajdował się w pakunku razem z głową.

– I co na nim jest?

– Zapis interesów Willego. Kompletny zapis, na ile się na tym znam.

– Aha. – Chuanli odchylił się w fotelu i spojrzał z namysłem w sufit. – Zatem teoria numer dwa nadaje się do kosza. Po co Watson miałyby przekazywać nam pełną informację o interesach Willego, gdyby zamierzał zająć jego miejsce? – Opuścił wzrok. – Dobrze. Ty tu jesteś szefem i mózgiem firmy. Wspomniałeś o trzech możliwościach.

– Trzecia jest taka, że Watson przedstawia swoje listy uwierzytelniające. Deklaruje dobrą wolę. Że chce z nami współpracować, ale tak naprawdę nie ma to wiele albo zgoła nic wspólnego z Dolnym Radomskiem.

– Z czym w takim razie?

– Nie mam pojęcia. – Dusek opuścił nogi na podłogę i usiadł prosto. – Ale cokolwiek to jest, musi chodzić o coś... Jak to nazwać? Spektakularnego? Nie usuwa się najwredniejszego gangu w Dolnym Radomsku tylko po to, żeby załatwić drobny interes.

Chuanli zacisnął wargi i zamyślił się na chwilę.

– No nie. Zgadzam się. Co chcesz teraz zrobić?

– Nie sądzę, żebyśmy musieli robić cokolwiek. O ile się nie mylę, niebawem Watson skontaktuje się z nami i poprosi o kolejne spotkanie.

– Zgodzimy się?

– Tak. Zgoda na spotkanie nie przesądza o tym, że zgodzimy się na jego propozycję. – Uniósł znacząco palec. – Jedna rzecz. Powiedz mu, że może zabrać ze sobą tylko jedną osobę. Jeśli to będzie kobieta, ma być przeciętnego wzrostu.



Gdy Hasrul przyniósł odpowiedź Duseka na prośbę o spotkanie, Victor zaśmiał się i pokazał tekst Thandi.

– Chyba zostałam zdemaskowana – stwierdziła.

– Tak sądzisz? – Spojrzał na Cary, która przyszła sprawdzić stan Karen.
– Pójdiesz ze mną.

– Ale jeśli Chuanli tam będzie, na pewno mnie rozpozna – zaprotestowała Cary.

– Tym lepiej. To wzmocni otaczającą nas aurę tajemniczości.

– Tak? To się nazywa aura? – spytała ironicznie Thandi. – Myślałam, że rozpaczliwa improwizacja.

– Od teraz to jest aura tajemniczości.

ROZDZIAŁ XLVIII



Gdy tylko Victor dostrzegł trzech mężczyzn wychodzących zza drzwi, do których zmierzał wraz z Cary, poczuł dziwny dreszcz przebiegający po plecach. W jego robocie takie przypadki zdarzały się równie rzadko jak w każdej innej.

– Widzisz ich? – spytał cicho, jakby toczyli zwykłą rozmowę, ale nie szeptem. Szepty były zawsze melodramatyczne. Cała sztuka sprowadzała się do mówienia w taki sposób, żeby nie dało się wyczytać niczego z ruchu warg, słowa musiały być zatem wypowiedzane trochę niewyraźnie, ale zrozumiałe dla rozmówcy.

Cary nie znała takich sztuczek, ale miała doświadczenie w konspirowaniu i na swój sposób była profesjonalistką. Kiwnęła tylko głową.

– Potknij się i przewróć, gdy będziemy ich mijać. Bez cudów. I nie zrób sobie krzywdy.

Tym razem nawet nie przytaknęła.

Gdy byli blisko, Victor przelotnie zerknął na tych trzech. Bez zwracania na siebie uwagi, tak jak można spojrzeć na każdego przechodnia w okolicy. Dwóch z tamtych trzech spojrzało tak samo na niego. Najniższy mężczyzna, idący pośrodku, w ogóle go zignorował.

Obrzucił jednak spojrzeniem Cary, podobnie jak obaj jego towarzysze. Też bez wgapienia się, całkiem naturalnie, tak jak heteroseksualni

mężczyźni mogą patrzeć na nieznaną im, atrakcyjną kobietę. Cała ta wymiana spojrzeń nie trwała dłużej niż dwie sekundy.

W odległości dwóch jardów Cary zachwiała się, jakby trafiła na nierówność chodnika. Nic niezwykłego, zważywszy na to, że chodniki w tej okolicy nie były w najlepszym stanie. Krzyknęła coś niezrozumiałego, bezskutecznie próbowała odzyskać równowagę i wylądowała na czworakach mimo wysiłków Victora, żeby ją złapać.

Reakcja tamtych trzech była natychmiastowa i zgrana. Ten pośrodku zatrzymał się gwałtownie, lewy cofnął się o krok, prawy stanął nieruchomo, obaj sięgnęli pod poły marynarek.

Victor również się zatrzymał, po czym spokojnie, trzymając dłonie na widoku, podszedł do Cary i pochylił się, żeby jej pomóc. Tamci wyraźnie się odprężyli.

Dalszy przebieg zdarzeń nie był przypadkowy, ale zgodny z pewnymi regułami i tym samym przewidziany przez Victora. W sumie miłe potwierdzenie własnych umiejętności, ale bez dreszczyku emocji.

Gdyby to Victor się przewrócił, żaden z tamtych nie próbowałby mu pomóc wstać. Skoro jednak chodziło o młodą kobietę...

Ochroniarz, który się nie cofnął, podszedł i podał Cary rękę, by wspólnie z Victorem pomóc jej się podnieść. Victor rzucił mu pełne wdzięczności spojrzenie.

– Dziękuję. – Zaciskał już dłoń na prawym przedramieniu kobiety i teraz wyciągnął drugą rękę, żeby ująć jej lewe przedramię tuż poniżej miejsca obejmowanego przez mężczyznę.

Tamten uśmiechnął się do Cary, skinął Victorowi głową i odsunął się.

Cachat nie zwracał już więcej na niego uwagi. Skupił się całkowicie na Cary.

– Wszystko dobrze? – spytał. – Groźnie to wyglądało.

Pokiwała głową.

– W porządku.

Tamci trzej ruszyli tymczasem swoją drogą i byli już kilka jardów dalej. Wtedy jeden z ochroniarzy obejrzał się, ale Victor nadal patrzył tylko na Cary. Nic nie miało prawa wzbudzić podejrzeń.

Gdy odległość powiększyła się do dziesięciu jardów, Victor wziął Cary pod łokieć i poprowadził ją ponownie w stronę wejścia do kompleksu Duseka. Ze schowanych chyba we wnękach muru posterunków strażniczych wyłoniło się dwoje ludzi z karabinami pulsacyjnymi. Trzymali je swobodnie, w nikogo nie celując, ale było widać, że nie noszą ich od parady.

– Po co to było? – spytała Cary, też starając się nie ruszać za bardzo wargami.

– Potem ci powiem – odparł.



Wędrówka przez labirynt nie była już tak męcząca jak za pierwszym razem, niemniej i tak nie poradziłiby sobie bez pomocy. Tym razem prowadziła ich dziewczynka, na oko dziesięcioletnia, która zachowywała się dostojnie jak portier w operze.

Im głębiej wchodzili, tym bardziej się przekonywali, że labirynt został zbudowany w celach obronnych. Jego złożoność wykraczała znacznie ponad to, co zawierały projekty podobnych budynków i co musiało być skutkiem późniejszych ruchów Browna, typowych dla tak wielkich ludzkich mrowisk, istniejących na dodatek przez całe stulecia. Anton sprawdził dla Victora, że ten konkretny gmach został wzniesiony w 1576

roku PD, niemal trzy i pół stulecia temu (nawet jeśli data była raczej symboliczna, bo nawet przy współczesnych technikach budowlanych wykończenie czegoś tak wielkiego musiało trwać kilka lat).

Podstawowym materiałem budowlanym był cerambet, stosowany także w wewnętrznych ścianach nośnych. Przebudowa takiego budynku była technicznie możliwa, ale trudna i kosztowna, a ponadto wymagała użycia specjalnego sprzętu, który był trudno dostępny. Zwykle więc konstrukcja nośna pozostawała niezmieniona, i to przez wieki. Modyfikacje dotyczyły tylko zwykłych ścian czy stropów.

Cerambet był na tyle mocny i odporny, że jego rozbiórka byłaby bardziej kosztowna niż sama budowa. W ten sposób cerambetowe budynki stawały się elementami równie trwale wpisanymi w krajobraz jak dzieła przyrody.

W sumie bywały nawet i trwalsze. Taniej i łatwiej było zniwelować małe góry, osuszyć bagna, zmienić bieg rzeki czy nawet przeprojektować małą zatokę, niż zburzyć cerambetowe konstrukcje, które tworzyły centra wielu nowoczesnych miast.

Przez stulecia użytkowania takie budynki przechodziły wielokrotne przebudowy w ramach tego, co można było zmienić. Mniejsze apartamenty przerabiano na większe albo odwrotnie, zależnie od potrzeb zmieniano wysokość pomieszczeń, przeprojektowywano korytarze, dodawano wewnętrzne parki i tak dalej. Był to proces, który nigdy nie zamierał.

W nowoczesnych społeczeństwach istniały zasady prawne ściśle regulujące tego typu modyfikacje. Konieczne było nie tylko uzyskanie pozwolenia, trzeba było dostarczyć też kompletny plan przebudowy. Zakładano, że nawet w największym gmachu policja, pogotowie czy straż pożarna powinny łatwo się odnaleźć dzięki dostępnym w sieci planom.

W państwach, gdzie władza centralna była słaba albo skorumpowana, działało to o wiele gorzej. Tak jak tutaj, na Mesie, gdzie nikogo nie

obchodził naprawę los obywateli drugiej kategorii i ich dzielnic.

Było to bardzo krótkowzroczne, ponieważ w razie wybuchu jakiegokolwiek rewolty siły zbrojne wysłane w celu jej pacyfikacji musiałyby działać w nieznanym sobie terenie. Thandi powiedziała kiedyś Victorowi, że solarni Marines niczego tak się nie bali jak walki w mieście. Teren sprzyjał tam całkowicie obrońcom. Mogli być choćby lekko uzbrojeni, by działać skutecznie, nawet jeśli atakujący mieli świetny sprzęt i pełną wiedzę o aktualnym stanie okolicy i wewnątrz budynków. Gdyby zaś musieli działać na ślepo...

Na większości światów to nie był wielki problem. Po pierwsze, regularna armia rzadko walczyła na zamieszkałych terenach, co wynikało z treści edyktu eridiańskiego i konwencji denebskiej. Zgodnie z tymi zasadami, jeśli przeciwnik opanował orbitę, planeta powinna się poddać. Jeśli tego nie uczyniła, napastnicy mieli prawo użyć broni kinetycznej przeciwko celom wojskowym. Mało kto był na tyle głupi, żeby czekać do tej chwili, i dlatego Marines bardzo rzadko mieli okazję walczyć w mieście.

Po drugie, mało która partyzantka miejska czy organizacja terrorystyczna dysponowała wystarczającymi zasobami ludzkimi, żeby zorganizować obronę czegoś tak wielkiego jak wieża mieszkalna. Przy zmasowanym ataku ze wszystkich stron obrona przestawała być na dodatek opłacalna. Zatem i policja rzadko musiała podejmować podobne akcje, chociaż zdarzało się jej pacyfikować konkretne piętra czy części budynków. Organizacje przestępcze też nie miały niewyczerpywalnych rezerw kadrowych, a stworzenie czegoś na kształt regularnych oddziałów z jednolitym uzbrojeniem wykraczało zwykle poza ich możliwości.

Po trzecie, miasta na biedniejszych planetach, zwłaszcza na Pograniczu, rozrastały się raczej horyzontalnie niż w pionie. Przy wszystkich swoich zaletach cerambet nie był najtańszym materiałem budowlanym. Jego

komponenty owszem, była to bowiem zasadniczo sama ziemia, jednak technologia zamiany ich w produkt końcowy już nie. Same centra miast czy siedziby władz mogły być wzniesione z cerambeta i z użyciem technologii grawitacyjnej, żeby przypominać choć trochę miasta światów centralnych, ale kryminaliści czy terroryści kryli się zwykle w dzielnicach klasy niższej albo na biednych przedmieściach. Dopóki w okolicy było dość wolnej przestrzeni, a z nią na światach Pogranicza nie było zwykle problemów, biedni mieli gdzie się osiedlać, korzystając z jak najtańszego budulca, czyli drewna, kamienia, cegły i słomy na strzechy i ściany.

Z opanowaniem takich budynków nowoczesne siły zbrojne nie miały najmniejszych kłopotów.

Mesa stanowiła wyjątek. Tutejsze miasta zostały wzniesione według planu, struktura społeczna zaś była tak pokręcona, że nawet biedota mieszkała w cerambecie i robiła z wielkimi gmachami, co tylko chciała.

Victor zastanawiał się już wcześniej, dlaczego wciąż tajemnicze, starannie planujące wszystko Równanie pozwoliło na taki stan rzeczy, który mógł obrócić się przeciwko niemu.

Ostatecznie doszedł do wniosku, że ta pozorna beztroska wynikała z dwóch czynników. Pierwszym była nietypowa organizacja polityczna Mesy. Nie było to państwo policyjne, tym samym trudno było mówić o tradycyjnym totalitaryzmie (Victor zwykł nazywać go „tak zwanym totalitaryzmem”, ponieważ na dłuższą metę taki system nie miał prawa się utrzymać, jak dowiódł tego reżim na Haven; rzadko nie upadał po paru latach czy dziesięcioleciach).

Mesa była hybrydą. Dla większości mieszkańców, cieszących się statusem wolnych obywateli, pozostawała demokracją, w której panowała równość wobec powszechnie przestrzeganej prawa. Owszem, struktura państwa była raczej korporacyjna niż republikańska, jak na Haven, nie było

też monarchii, jak na Manticore, ale z drugiej strony Beowulf też był zasadniczo korporacyjny. Istniało wiele takich państw, które nie były jednak organizmami autorytarnymi czy represyjnymi. Co więcej, chociaż swobody polityczne na Mesie były ograniczone, wolność osobista obywateli na tym zasadniczo nie cierpiała.

Inaczej miała się sprawa z wyzwolencami czy niewolnikami. Ci ostatni podlegali bezpośredniej kontroli ze strony właścicieli. Niewolników było na Mesie dwa razy więcej niż obywateli, ale historycznie rzecz biorąc, były to dość typowe proporcje. W Sparcie było jeszcze gorzej, nie wspominając o karaibskich plantacjach na dawnej Ziemi. Niemniej przewaga związana z kontrolą informacji, lepszą organizacją i swobodnym dostępem do skutecznej broni czyniła władzę mniej licznych panów całkiem stabilną. Mogli czuć się bezpiecznie.

Zdarzały się czasem bunty niewolników, jak na dawnym Haiti, jednak naprawdę rzadko, przy czym zdecydowana większość była bezlitośnie tłumiona.

Wyzwolenicy byli jeszcze inną grupą. Stanowili dziesięć procent populacji i nie mieli panów, którzy by ich pilnowali, co oznaczało, że pośrednio musiały czynić to władze. Był to jednak obowiązek, któremu zwyczajne agendy państwowe nie były w stanie podołać. Poszanowanie dla prawa musi być w pierwszym rzędzie zakorzenione w zwyczajach, żeby to prawo mogło działać; nie da się tego wyłącznie wymusić. W normalnym społeczeństwie większość ludzi przestrzega prawa nie dlatego, że boi się kary, ale dlatego że rozumie sens jego istnienia. Ktoś może nie zgadzać się z całością regulacji, ale samo ich istnienie postrzega jako działające na jego korzyść. Własna świadomość jest wówczas strażnikiem stojącym na straży prawa, często do spółki z sumieniem, jego podporą zaś jest nie policja, tylko społeczna aprobata, głównie ze strony rodziny, przyjaciół i sąsiadów.

Co sprowadzało problem do punktu wyjścia. Jedynym sposobem pełnego zapanowania nad wyzwolencami byłoby zaprowadzenie pełnowymiarowego państwa policyjnego, co z kolei gwarantowałoby zaistnienie wszystkich problemów związanych z funkcjonowaniem takiego reżimu. Od czasu powstania cywilizacji technicznej wszystkie takie twory dowodziły niezmiennie swojej efemeryczności, i to niezależnie od tego, jak twardą ręką próbowano je utrzymać. Czy ludzie, którzy stworzyli Równanie, wyjątkowo inteligentni i przywykli myśleć w kategoriach stuleci, wybraliby tę opcję?

Victor uważał, że z góry ją wykluczyli. Im dłużej wgryzał się w temat, tym bardziej był pewien, że ich wybór może nie był najszcześniejszy, ale w danych okolicznościach najlepszy z możliwych.

Uważał też, że łatwiej było im dokonać tego wyboru ze względu na drugi istotny czynnik. Wiedział już od Antona, że Równanie wycofywało się z Mesy. Biorąc pod uwagę ich dotychczasowe postępowanie, można było sądzić, że od początku planowali opuścić ją w pewnej chwili.

Co oznaczało, że tak naprawdę nie obchodziło ich, co zrobią wyzwolenci ze swoimi dzielnicami i jak trudno będzie je teoretycznie spacyfikować. Do czasu, gdy mogłoby dojść tam do najgorszego, Równanie miało być już nieobecne na Mesie. Albo prawie nieobecne.

Szefowie organizacji, która z premedytacją zafundowała milionom pobratymców piekło niewoli i utrzymywała ten stan od wieków w celu realizacji swoich długofalowych planów, z pewnością nie byli skłonni do sentymentów. I nie mieli nic przeciwko temu, żeby usłużne wobec Równania, pozostałe na miejscu władze Mesy posprzątały ten bałagan w dowolny sposób.

Victor aż zaśmiał się na tę myśl. Po cichu, to nie było miejsce na ostentację.

Wchodząc do siedziby Duseka, pomyślał też, że osoba, która będąc gangsterem, zdołała przez trzy dziesięciolecia utrzymać pozycję skutecznego władcy dzielnicy, też powinna być zdolna do długofalowego myślenia.

ROZDZIAŁ XLIX



Gdy tylko uporali się z formułkami grzecznościowymi, Victor wskazał kciukiem na drzwi za sobą.

– Nie wiem, jak przedstawił się ten gość, który dopiero co stąd wyszedł, ale to agent policyjny. Wpadłem na niego, gdy poprzednio byłem na Mesie. Wtedy nie miałem pewności co do jego tożsamości, więc go puściłem. Jak się okazuje, wyszło nam to na dobre. Przyczepiłem mu teraz pluskwę, dowiemy się więc, co kombinuje.

Jurgen Dusek i Triêu Chuanli spojrzeli na niego ze skrajnym zdumieniem.

Dusek siedział za wielkim biurkiem, Chuanli zaś w fotelu po jego prawej stronie. Za nimi stali dwaj strażnicy, kolejni dwaj trzymali wartę przy drzwiach wejściowych.

Cary też spojrzała na Victora. Wiedziała, że nie o tym mieli rozmawiać.

– Naprawdę był już pan kiedyś na Mesie, panie Watson? – spytał Dusek.

– Tak. I nawet się spotkaliśmy. – Skinął na Chuanliego. – Chociaż osobiście tylko z nim, za to kilka razy. Zakładam jednak, że był pan o wszystkim informowany i widział przynajmniej niektóre nagrania z naszych negocjacji.

Chuanli zmarszczył brwi.

– Jakich nego... Przepraszam, ale nie przypominam sobie pana.

Victor go zignorował.

– Bo na pewno je nagrywał. W tym i materiał na temat tego całkiem zrozumiałego, chociaż trochę osobliwego testu, któremu mnie pan poddał.

– Jakiego testu? – spytał Dusek.

– Och, musi pan pamiętać. Nasłał pan na mnie trzech goryli w Rhodesian Rendezvous, żeby przekonać się, czy poradzę sobie z nimi tak, jak na jednego z najlepszych agentów Oscara Saint-Justa przystało. Byłem wtedy z bardzo atrakcyjną partnerką, wysoką blondynką o imieniu Yana. Pańscy ludzie trafili na nią już na samym początku walki i nie wyszli na tym najlepiej.

Chuanli zrobił wielkie oczy. Cary jeszcze większe. Tego nie było w ich planie. To nie miało najmniejszego związku z tym, co założyli. Dziewczyna poczuła się totalnie zagubiona, niczym ptak uderzony przez latający samochód.

Dołączyła w ten sposób do klubu zaskoczonych improwizacjami Victora Cachata.

– Chaz, Rick, Giselle, wyjmijcie broń – rozkazał Chuanli, gdy odzyskał już zdolność mowy. – Ale nie strzelajcie. Nawet nie celujcie w niego. Ale bądźcie gotowi. – Strażnicy natychmiast posłuchali. Rzeczywiście nie mierzyli w Victora, tylko całe dwa cale obok. – To bardzo niebezpieczny człowiek – dodał Chuanli.

Dusek w tym czasie ani drgnął. Szef podziemia przyglądał się tylko uważnie Victorowi z miną naukowca zapoznającego się z nowymi danymi.

– Spokojnie – powiedział w końcu. – Pan Nieznany nie planuje niczego niestosownego. Gdyby tak było, nie powiedziałby nam aż tyle o sobie.

– Właśnie – przytaknął Victor.

– Skoro temat już wypłynął, jak się pan naprawdę nazywa? Na pewno nie Philip Watson. Ostatnim razem występował pan jako... – Obrócił głowę

do Chuanliego, chociaż ani na chwilę nie przestał wpatrywać się w Cachata.
– Triêu?

– McRae – odparł Chuanli, który doszedł już do siebie. – Daniel McRae. Mówił, że jest ze służby bezpieczeństwa Haven.

– To ostatnie się zgadza. Ale naprawdę nazywam się Victor Cachat. Za Saint-Justa byłem jednym z jego ludzi od mokrej roboty, chociaż nie znałem go aż tak dobrze, jak sugerowałem to panu Chuanliemu. Ostatecznie przystąpiłem do opozycji, która obaliła Saint-Justa. Prawdziwym powodem, dla którego przybyłem tu poprzednio z moim partnerem, Antonem Zilwickim, który jest agentem Królestwa Manticore, było sprawdzenie paru spraw na Mesie. Mieliśmy podstawy podejrzewać, że rząd Mesy, Manpower i w ogóle wszystko, co oficjalnie działa w tym układzie, to tylko zasłona dymna. Nie fikcja, ale twory istniejące po to, by odżywiać kryjącego się w środku pasożyta. Z tego, co wiem obecnie, oficjalny system działa tak, jak widzimy, ale jest w pełni sterowany przez niejawną organizację zwaną Równaniem. To ona stoi za wszystkim, co tu się dzieje, i to od wielu stuleci. Obecnie wróciłem, znowu z Antonem, chociaż miejsce jego pobytu w tej chwili przemilczę, ponieważ Manticore i Haven weszły w sojusz skierowany przeciwko Lidze Solarnej i chcą zdobyć więcej informacji o Równaniu, do którego, mówiąc bardzo łagodnie, żywimy sporo urazy. Uważamy, że to ono jest odpowiedzialne za wojnę, która kosztowała nasze kraje wiele milionów ofiar, zabójstwa kilku naszych przywódców, jak i ostatni nagły atak na Manticore, który doprowadził do śmierci kolejnych milionów ludzi. – Odchrząknął. – Sprawdziłście mnie już na pewno i nie powinniście mieć wątpliwości. Uwierzcie mi więc, że to, co niebawem zacznie się na Mesie, będzie powtórką z Rhodesian Rendezvous, tylko na nieporównanie większą skalę. Ma pan dwie możliwości, panie Dusek. Albo udawać, że nic się nie dzieje,

i nadal odgrywać rolę króla podziemia, albo skorzystać z okazji. W pierwszym przypadku czeka pana krótkotrwały sukces zakończony tragicznym upadkiem. W drugim bliska przyszłość wygląda mało różowo, ale na dłuższą metę będzie pan mógł znacząco poprawić swój status.

– W jaki sposób?

Victor wzruszył ramionami.

– Trudno jest przewidzieć dokładnie bieg wydarzeń, ale dysponuję pewnymi prawdopodobnymi prognozami. Po pierwsze, wcześniej czy później, moim zdaniem wcześniej niż później, Manticore i Haven zaatakują Mesę. Może razem, może osobno. Zacznie najpewniej Manticore, bo jest dogodniej położone i ma więcej sił gotowych do takich zadań, ale Haven na pewno nie porzuci tematu. Straciliśmy niemal dwa miliony ludzi podczas bitwy o Manticore i każda z tych śmierci domaga się pomszczenia. Winnym ich zaś jest właśnie Równanie. Mesańskie Równanie, że zaznaczę. Po drugie, mój partner i ja, a głównie on, ustaliliśmy, że Równanie rozpoczęło ewakuację swoich ludzi z Mesy. Do chwili obecnej większość z nich została już wywieziona. W celu ukrycia faktu ich zniknięcia szykowana jest cała seria akcji, które zostaną przypisane tak zwanym terrorystom z Baletu. Ich kulminacją będzie użycie broni nuklearnej na Mesie.

– Wielki Boże, po co? – spytał Dusek, po raz pierwszy tracąc spokój.

– Te wybuchy załatwią kilka kwestii. Pozwolą ukryć zniknięcie ewakuowanych przez... poniekąd wymazanie pamięci o nich. Po drugie, wtrąca planetę w chaos, który ułatwi dalszą ewakuację. Policja i armia Mesy też są sterowane i z pewnością zareagują atakami na dzielnice wyzwolenców. Po trzecie, będą pretekstem do rozpoczęcia kampanii propagandowej, która właściwie już ruszyła, zrzucającej odpowiedzialność za zamachy na Balet, zbuntowanych wyzwolenców oskarżającej zaś o udzielanie zamachowcom pomocy i schronienia. – Wskazał kciukiem na

Cary. – Ci wyzwoleńcy to między innymi ona i jej dwie ocalałe towarzyski, z których jedna była tak ciężko ranna, że myślały o sprzedaży jej organów, gdy umrze.

Dusek zerknął na Cary.

– Rozumiem, że to już nieaktualne?

– Właśnie. W naszym wyposażeniu jest komora regeneracyjna. Nie tak wielka jak stacjonarne, oczywiście, i ma swoje ograniczenia, ale życie rannej nie jest już zagrożone. Chociaż trudno powiedzieć, jak to się dalej potoczy.

Cary zamarła przerażona odkryciem, że pierwszy klub, w którym się znalazła, nie jest jednak klubem fanów Cachata. Skłonna była się domyślać, że wszyscy mający pecha doświadczą radosnych improwizacji Victora mieli szczerą ochotę go udusić.

– Proszę mówić dalej – powiedział Dusek. – To zaczyna być ciekawe.

Chuanli wyglądał tak, jakby czymś się zadławił.

– Gdy Równanie zacznie podkładać ładunki, władze rzecz jasna zareagują. Zacznie się rzeź wyzwolenców. Dzika i powszechna. Oczywiście władze będą twierdzić, że zwalczają terroryzm. – Przerwał i spojrzał kolejno na mafiosów. – Bo chyba nie oczekujecie od nich rozsądnej i wyważonej reakcji?

Chuanli się skrzywił, Dusek wciągnął powietrze przez zęby.

Victor poczekał jeszcze chwilę, aż gospodarze dojdą do właściwych wniosków. To musiało potrwać. Nie dlatego, że byli ograniczeni czy że mu nie wierzyli. Po prostu zmuszał ich do myślenia w nietypowy dla nich sposób.

– Stara się pan nas na coś naprowadzić – powiedział w końcu Dusek. – Co to jest?

– Tak jak wspomniałem, chodzi o wykorzystanie okazji. I przygotowanie się z góry. Kontrolujecie całą dzielnicę i możecie łatwo nawiązać kontakt z szefami innych. – Rozłożył szeroko, ale i powoli ręce, jakby ogarniał otoczenie. – Zastanawialiście się kiedyś, jak trudno byłoby zdobyć taki gmach, obsadzony przez dobrze uzbrojonych i zdeterminowanych obrońców? Zwłaszcza taki z przejściami do systemu podziemnych korytarzy.

– Wspomniał pan o użyciu ładunków atomowych.

Victor wzruszył ramionami.

– Tak, ale ci od ładunków będą już wtedy całkowicie zajęci ewakuacją swoich. Stroną, która spróbuje odebrać wam Neue Rostock, będą legalne władze, nie Równanie. Ich wybór broni pójdzie raczej w innym kierunku. Najbardziej prawdopodobna wydaje mi się broń kinetyczna. Różnica wydaje się prawie żadna, ale nawet broń kinetyczna, podobnie jak atomowa, ma swoje ograniczenia. Osobiście widziałem w Nouveau Paris budynki, które przetrwały podłożenie ładunku atomowego. W kwaterze McQueena, gdy Saint-Just się go pozbył. Co więcej, były w na tyle dobrym stanie, że remont okazał się opłacalny. Owszem, zniszczenia są duże, ale już zabrano się do ich naprawiania. Po renowacji będą najpewniej znowu nadawać się do użytku. Jeśli tutejsze władze użyją broni atomowej albo kinetycznej, z początku nie wyjdą ponad kilotonę. A prawda jest taka, że kilotona to za mało, żeby naruszyć poważnie strukturę takiego budynku, podziemia zaś wyjdą z tego w ogóle nietknięte. A jeśli spróbują eskalacji, spotkają się z oporem własnych obywateli.

Dusek milczał przez chwilę, po czym spojrzał na Chuanlięgo.

– Co o tym sądzisz, Triêu?

Jego generał zawahał się, zerkając na Victora.

– Do diabła, zapomnij, że on tu jest, i gadaj otwarcie – rzucił Dusek lekko zirytowany. Nie na Chuanliego, ale na wszechświat jako taki.

– Przede wszystkim mamy już plan oporu opóźniającego i ewakuacji. Parę rzeczy trzeba będzie dostosować, bo dotąd obawialiśmy się raczej ataku koalicji innych gangów, nie sił rządowych. Ale to w sumie chyba niewielka różnica. – Chuanli wskazał na Victora. – Ma rację, mówiąc o specyfice walki w takim budynku. To główny powód powstrzymujący wielkich bossów przed atakowaniem się nawzajem. Jeśli policja albo nawet wojsko na nas ruszą, z pewnością utrzymamy się dość długo, żeby wycofać się do tuneli. Stamtąd... – Zamyślił się, jakby coś obliczał. – W końcu najpewniej nas wykurzą. Mogą użyć gazów bojowych albo podobnych środków. Ale nie uda im się tego zrobić szybko. Chyba że...

– Chyba że co?

Chuanli znów spojrzał na Victora.

– Nie wiem, czy będą skłonni ewakuować z miasta wszystkich obywateli, żeby przeprowadzić naprawdę wielkie uderzenie kinetyczne. Nie twierdzę, że się do tego posuną, ale to byłby jedyny sposób na szybkie skończenie z miastem.

– I stanowiłoby oczywiste naruszenie edyktu eridiańskiego, i to na wielką skalę – zaznaczył Victor.

Chuanli uśmiechnął się kpiąco.

– Jakby się tym przejmowali! Zresztą to nie naruszy edyktu. Nie jestem agentem, nigdy nie byłem w wojsku, ale rozumiem, że znajduje on zastosowanie podczas wojny. To zaś będzie akcja policyjna czy też tłumienie zamieszek grożących przerodzeniem się w poważną rebelię. Wydaje mi się, że niejeden rząd sięgał już po takie środki w podobnych okolicznościach, i jeśli tylko strona rządowa ostatecznie nie przegrała, nikt

nie ciągał jej potem po sądach. Nie ma więc szans na to, żeby Liga Solarna próbowała wymusić tutaj stosowanie się do edyktu.

Victor pochylił się i spojrział na nich tak jak kiedyś na trzech goryli, którzy mieli pecha natknąć się na niego w pewnym barze. Jak na robactwo, które trzeba wyeliminować. Poza tym jego twarz była praktycznie bez wyrazu.

– Naprawdę nie zrozumieliście? – spytał. – Zdanie Ligi Solarnej nie ma tu nic do rzeczy. To mój kraj zadecyduje. To Haven i Manticore będą oceniać, czy władze Mesy naruszyły edykt. I jeśli do tego dojdzie, rząd Mesy zostanie uznany za organizację przestępczą i odpowiednio ukarany. Jego członkowie już o tym wiedzą i pocą się ze strachu. Wcześniej czy później będą musieli stawić czoło Gwiezdnemu Imperium i nam, i to niezależnie od tego, czy wiedzą o Równaniu, czy nie. Ktokolwiek z tej bandy ma chociaż dwie szare komórki, które czasem na siebie wpadają, musi pojmować, że jeśli użyje broni wystarczającej, żeby zburzyć wasze wieże, nie pożyje dość długo, żeby zaznać na starość wyrzutów sumienia.

Wyprostował się, pozwalając zniknąć mrocznej aurze, chociaż nie do końca.

Na dłuższą chwilę zapadła cisza. Jurgen Dusek nie zwykł podejmować decyzji w pośpiechu.

– Dobrze – powiedział w końcu. – Jakie są pańskie zalecenia? Szczegółowe? Tylko proszę przystępnie, jestem skromnym gangsterem.

Victor zaśmiał się cicho.

– Po pierwsze, wypuście mnie. Muszę odszukać tamtego gościa i wycisnąć z niego, co tylko się da. Po drugie, zanim wyjdę, musimy ustalić jakiś pewny kanał komunikacyjny. Po trzecie, zacznijcie przygotowywać się do obrony tego budynku i ewakuacji do tuneli waszych ludzi, przy czym

sugerowałbym rozumieć to pojęcie jak najszerzej. Będą potrzebowali żywności i innych zapasów na dłuższy czas. Oraz, co bardzo ważne, bezpiecznego źródła wody pitnej.

– To nie jest problem – powiedział Chuanli. – Ten budynek ma własne studnie. – Zamarł zdumiony, że w ogóle to powiedział, ale widocznie także przyłączył się do klubu zaskoczonych.

Victor Cachat miał talent do wciągania ludzi w tę otchłań.

– Chwilowo to wszystko – powiedział. – Zauważacie, jak sądzę, że nic z tego nie nakłada na was na razie żadnych zobowiązań.

– Jeśli nie liczyć wypuszczenia pana z tego budynku – stwierdził Dusek, także robiąc złowróżbną minę, gorszą jakościowo od miny zaprezentowanej chwilę wcześniej przez Victora, ale także wywierającą wrażenie. – Żeby mógł pan udać się do dowolnej agendy rządowej, która przypadnie panu do gustu.

Victor zaśmiał się serdecznie.

– Daj spokój, Jurgen. Naprawdę sądzisz, że którakolwiek z tutejszych agend byłaby w stanie zmontować podobną akcję?

Po chwili także i Dusek się roześmiał.

– Trafiony, zatopiony. Albo jest pan tym, za kogo się podaje, albo kompletnym szaleńcem. Tak czy siak... sądzę, że pan stąd wyjdzie. – Spojrzał na strażników. – Schowajcie broń. Triêu, musimy ustalić sposób kontaktu z nim. Zaczniemy od dzieciaków, ale będzie potrzebny jeszcze kanał rezerwowy.

Chuanli przytaknął.

– Noel i Truong zajmą się resztą przygotowań. Ewakuacja na taką skalę nie będzie łatwa. – Zerknął na Victora i ponownie na swego szefa. – Ale

będę potrzebował podpowiedzi. Jak szeroko mam definiować „naszych ludzi”?

Dusek zwrócił się do Victora:

– Co pan miał wcześniej na myśli, wspominając o podniesieniu mojego statusu?

– Pomyśl tylko, Jurgenie – powiedział pogodnym tonem Victor. – Gdy władze Mesy zaczną się sypać, a zaczną na pewno, kto je zastąpi? Niewolnicy nie zdołają wyłonić nowego rządu. Będzie musiał zostać oparty na wyzwolencach. Którzy nigdy nie tworzyli nawet samorządów i których preferencje religijne są bardzo niejednorodne. Jeśli istnieje wśród nich jakaś silniejsza struktura, ciesząca się nawet pewnym autorytetem, to właśnie gangi.

Victor wstał i skinął na Cary, dając jej znak, że powinna zrobić to samo.

– Istnieje już jedno powszechnie szanowane państwo, założone niegdyś przez kryminalistów, którzy zapragnęli zmienić swój status. Kto mówi, że nie można tego powtórzyć?



Gdy szli za chłopcem prowadzącym ich do wyjścia, Cary zdecydowała się wreszcie odezwać.

– Watsonie Cachacie, kimkolwiek naprawdę jesteś, masz nierówno pod sufitem – wyszeptała, dołączając w ten sposób do kolejnego klubu, który także nie był fanklubem Victora.



Triêu czekał cierpliwie, aż jego szef odpowie na pytanie. Wiedział, że to musi trochę potrwać. I był pewien, że w końcu się doczeka.

– Ilu ludzi mieszka w tym budynku? – spytał wreszcie Dusek.

– Nikt nie wie tego na pewno. Powiedziałbym, że jakieś trzydzieści pięć tysięcy.

Dusek pokiwał głową.

– Tak też sądziłem. Dobrze więc. Wszyscy oni będą „naszymi ludźmi”.
Mężczyźni, kobiety, dzieci. Absolutnie wszyscy.

ROZDZIAŁ L



Znowu zmienił plan? – Yana uniosła energicznie ręce. – Po co więc w ogóle je układamy?

Czytając notatkę po raz wtóry, Anton przygryzł dolną wargę.

– Odpowiedziałyby ci, że takie plany to nie instrukcja montażu, a szkice prowadzące cię dalej.

Anton uznał, że dowiedział się już wszystkiego, i natychmiast pozbył się czipa w najprostszy możliwy sposób, czyli rozgryzając go i połykając. Stwierdził przy okazji, że jest on nawet smaczny, i zastanowił się przelotnie, czy dział techniczny świętej pamięci Komitetu Bezpieczeństwa Publicznego Ludowej Republiki Haven dodał tę cechę przypadkiem, czy może było to rozmyślne działanie jakiegoś pokręconego umysłu.

Zapewne to drugie. Cokolwiek by sądzić o takich odrażających draniach, od czasów SS byli dokładni i systematyczni.

– Victor jest pojebany – oświadczyła Yana.

– Jest czy nie, z przebiegu jego kariery wynika, że zwykle wie, co robi. I teraz też mu się udało, bo załatwił najważniejsze. My zaś musimy wynieść się z Dodge.

– Jakiego niby Dodge?

– To było miasto na środkowym zachodzie jednego z kontynentów na północnej półkuli Ziemi. Zależnie od wersji cieszyło się sławą najniebezpieczniejszego albo najnudniejszego miejsca na świecie. –

Ogarnął nostalgicznym spojrzeniem luksusowy salon jachtu. – A rzecz w tym, że musimy teraz albo uciekać z planety, albo opuścić nasz statek.

– A to dlaczego? Mesanie nie wydają się nas podejrzewać, a jesteśmy tu już dwa miesiące.

– Jeśli Victor ma rację, niebawem zrobi się tu bardzo gorąco. I dwie rzeczy staną się bardzo prawdopodobne. Pierwsza, która jest właściwie pewna, to że wszystkie służby bezpieczeństwa się zmobilizują i ich podejrzliwość wzrośnie o tysiąc procent. Nie warto ryzykować. A druga, która jest prawie pewna, to że port kosmiczny zostanie uznany za istotny cel.

– Przez kogo?

– Bardzo dobre pytanie. – Zaczął zbierać czipy i napędy i upychać je w walizeczce. – Chodźmy. Musimy zaraz spotkać się z Victorem. Znikamy na co najmniej dobę, zapakuj więc wszystko, co potrzebne na noc. Gdyby nas sprawdzali, będzie akurat.

Yana spojrzała krytycznie na jego walizeczkę.

– Jasne, nocowałam już kilka razy w hotelach w mieście. Ale jak zamierzasz uzasadnić obecność tych programów, gdyby nas zatrzymali?

– Drobną sztuczka, której nauczyłem się od Victora – odpowiedział z uśmiechem Anton. – Pierwsze, co zobaczy ktokolwiek sprawdzający te czipy, to będzie wielka i smakowita kolekcja pornografii, zebrana przez zapalonego fetyszystę. Gdyby wzięli się do dokładniejszego badania, to nie wystarczy, ale Victor przysięgał, że dziewięćdziesiąt dziewięć procent strażników wszelkiej maści nie będzie wnikać. Uznają, że coś tak dziwnego może gromadzić tylko ktoś prawdziwie zainteresowany.

– Dziwnego? – zainteresowała się Yana. – Na przykład?

Anton zamknął walizeczkę i skierował się do wyjścia z kabiny.

– Moim typem jest toksofilia. Podnieta czerpana z łucznictwa. Nie uwierzysz, co oni tam wyprawiają. Pamiętaj, weź rzeczy na noc.



– To pani weszła frontowymi drzwiami – stwierdził Triêu Chuanli.

Ponieważ było to stwierdzenie, nie pytanie, Thandi postanowiła je zignorować. Dalej patrzyła na mężczyznę siedzącego za biurkiem, który według jej rozeznania był Jurgenem Dusekiem.

– Pan Cachat wspomniał o pewnych pani zdolnościach, które mogą okazać się dla nas użyteczne – powiedział Dusek. Dłonie trzymał na blacie, jakby powstrzymywał biurko przed uniesieniem się w powietrze.

Thandi podejrzewała, że był to wyraz nieuświadomionego lęku człowieka, który nie czuł się w jej obecności bezpieczny. Jeśli tak, to Victor miał rację. Dzięki likwidacji gangu Bródki zyskała sławę, której nic nie mogło przebić.

Stwierdziła to z niejaką ulgą. Nie cierpiała bezcelowego zabijania. Nie chodziło o wyrzuty sumienia. Długo szukali właściwego celu. Jeśli ktoś w okolicy zasługiwał na likwidację, to na pewno był to gang Willego Bródki, słynący wręcz z sadystycznych uczynków. Jednak Thandi była zawodowym żołnierzem, ukształtowanym przez pochodzenie, trening i doświadczenie. Nie aprobowała zabijania, jeśli nie było ono zasadne z wojskowego punktu widzenia.

– Byłam oficerem Solarian Marines. Z doświadczeniem sztabowym, jak i liniowym.

– Jak się pani nazywa?

– W tej chwili Evelyn del Vecchio.

Chuanli zmarszczył brwi.

– Dlaczego ukrywa pani swoją tożsamość, skoro Cachat już z tego zrezygnował?

– Mam powody. Proszę mi wierzyć.

Przedyskutowali to wcześniej z Victorem i tak właśnie zdecydowali. Nie chcieli okłamywać Duseka, bo mogłoby się to zemścić, ale woleli też nie ryzykować, wyjawiając jej prawdziwą tożsamość. Victor Cachat i Anton Zilwicky byli znani, ale jeśli nie miało się pojęcia o ich reputacji, co na blokującej dopływ informacji z Haven i Manticore Mesie stanowiło normę, byli po prostu agentami. To znaczyło wszystko i nic. Zilwicky nie miał nawet oficjalnego tytułu. Ona zaś była kimś. Generał Thandi Palane, głównodowodzący sił zbrojnych Królestwa Torch.

Do teraz niewielu ludzi na Mesie, włączając w to niewolników i wyzwolenców, miało okazję usłyszeć o Królestwie Torch. Zwykle były to ogólniki, w których nazwisko Thandi w ogóle nie padało, ale to była kwestia drugorzędna. Wystarczyłby jeden chciwy członek gangu Duseka, który zamarzyłby o nagrodzie za doniesienie o niej władzom. Żadna służba bezpieczeństwa nie przepuściłaby takiej okazji.

Za jakiś czas i tak wszystko miało się wydać i wtedy będą musieli powiedzieć Dusekowi prawdę. Ale jedną z nielicznych maksym religijnych uznawanych przez Victora była ta: „Nie troszczcie się o dzień jutrzejszy, on przyniesie własne troski”.

Szczęśliwie Dusek zdecydował się zarzucić temat.

– Dobrze. Może być Evelyn. Jakie ma pani doświadczenie w obronie albo atakowaniu takich budynków jak ten?

– Niewielkie. Ale mało kto je ma. Szturm na taki gmach to najgorszy koszmar oficera wojsk lądowych. Zwykle unika się tego za wszelką cenę. Jeśli już koniecznie trzeba zneutralizować taką strukturę i nie ma czasu na

długie oblężenie, wzywa się marynarkę wojenną, żeby zapewniła nacierającym wsparcie bronią kinetyczną z orbity.

– Co może powstrzymać rząd Mesy przed takim działaniem?

– Nic. Ale nie sądzimy z Victorem, żeby od tego zaczęli. Problem z użyciem broni kinetycznej na własnym podwórku polega na tym, że chociaż nie ma potem skażenia radioaktywnego, zostaje straszliwy bałagan. W dużym mieście trudno jest też ograniczyć skutki uboczne.

– Skutki uboczne? – spytał Chuanli. – Co pani ma na myśli?

– Zniszczenia linii energetycznych, magistral wodociągowych, kanalizacji, metra i tak dalej. Całej tkanki nerwowej miasta, która znajduje się pod ziemią. Wiecie, że gdy ktoś chce kopać w mieście, zawsze musi najpierw uzgodnić to z odpowiednimi organami. Chodzi o to, żeby nie uszkodzić przy okazji czegoś, o czym może nawet nie wiedzieć, że tam jest. A w mieście tak starym jak to zawsze znajdzie się pod ziemią masa zapomnianych instalacji. Macie plan?

Dusek przytaknął.

– Daj go, Triêu.

Chuanli wyszukał coś w swoim kompie i na ścianie zajaśniał ekran. Chwilę później pojawił się na nim plan miasta.

Thandi włączyła wskaźnik laserowy własnego kompa.

– Dobrze. Tu jest centrum. Patrząc ku peryferiom, tu jest Neue Rostock. A jeszcze dalej w linii prostej znajdujemy... Właśnie. Co to jest? Wygląda na większą elektrownię.

– To Trzecia Stacja Generatorów – wyjaśnił Dusek. – Dwóch naszych ludzi pracuje przy jej utrzymaniu.

Chuanli skrzywił się lekko.

– Konkretnie mówiąc, są operatorami botów sprzątających. Posady wymagające kwalifikacji są zarezerwowane dla obywateli.

Thandi pokiwała głową. Praktycznie wszystkie wieże mieszkalne miały własne reaktory fuzyjne w podziemiach. Takie instalacje były tanie i miały sens w budynkach zamieszkałych przez nawet ćwierć miliona ludzi. Zwłaszcza że w razie awarii zasilania każdy z nich stałby się śmiertelną pułapką. Podłączenie wież do sieci miejskiej zwiększało jej niezawodność, gdyby zaś sieć padła, nie oznaczało to wyłączenia klimatyzacji i wentylacji czy wind grawitacyjnych. Nadal jednak taniej było budować centralne stacje odbioru mocy z orbitalnych elektrowni, żeby zaspokajać potrzeby infrastruktury miejskiej, począwszy od parków, na zakładach przemysłowych i portach lotniczych skończywszy. Niemniej istnienie takich struktur rodziło pewne ryzyko.

– Nieważne, kto tam pracuje – powiedziała. – W tej chwili nie chodzi o samą stację, ale jej położenie. Jak sądzicie, któredy idą linie przesyłowe stamtąd do miejsc, o których zasilanie naprawdę dbają? – spytała, wskazując na centrum miasta.

Dusek tylko się uśmiechnął.

– Nie mówcie mi, że nie wiecie. Każdy szanujący się mieszkaniec slumsów wie, któredy co przebiega, żeby móc po cichu się podłączyć.

– Takie podłączanie się do sieci jest nielegalne – stwierdził Dusek. – Tak się składa, że to jeden z naszych najbardziej dochodowych interesów. Liczymy połowę tego co kompania. Ludzie sami przychodzą, ale musimy utrzymywać pobór w rozsądnych granicach, bo inaczej zaczęłyby się kłopoty. Gdybym mógł brać oficjalną stawkę, oszedłbym już na emeryturę. – Odchylił się w fotelu, odpychając się rękami od blatu. Może dotarło w końcu do niego, jaką postawę przyjął. – Rozumiem, o czym pani mówi. Wyobrażam sobie, że taka broń kinetyczna wywała wielką dziurę

w ziemi. – Wpatrzył się w ekran i postukał palcami w biurko. – Dobrze. Jak pani sądzi, kiedy zaczną? – Nagle uśmiechnął się do Thandi. – Ale zapominam o dobrych manierach. Triêu, czyń honory domu. Czego się pani napije, Evelyn? Kawa? Herbata? Whiskey? Piwo?

Thandi spojrzała na ekran kompa. Było już po południu.

– Whiskey, z piwem do spłukania.

Victor miałby sporo przeciwko temu, gdyby tu był. W pewnych sprawach pozostawał dziwnie zasadniczy. Niemniej Thandi była pewna, że szklaneczka whiskey wzmocni jej więź z gospodarzami, zwłaszcza że upijała się z wielkim trudem. Taki miała metabolizm. Dotąd udało się to jej dwa razy, o czym Victor świetnie wiedział, ale i tak by się krzywił.

Szczęśliwie tego nie widział.



Lajos Irvine poznał tego człowieka, ledwo odwrócił się od wystawy sklepowej, którą oglądał. To był ten gość od kobiety, która się przewróciła.

– Uwa... – zaczął, ale Stanković i Martinez już wyciągali broń.

Tyle że tamten zdążył wycelować, nie, on już strzelał. Dwa strzały, każdy celny. Obaj ochroniarze zostali trafieni dokładnie w zagłębienie pod jabłkiem Adama. Profesjonalnie, w miejscu, do którego sięgała zwykle kamizelka kuloodporna. Za wysoko, żeby przebić aortę i zabić kogoś natychmiast, ale z dużym prawdopodobieństwem śmiertelnej rany czy przynajmniej takiej wyłączającej z walki.

Mężczyźni upuścili pistolety i zacisnęli dłonie na swoich szyjach. Dwie następne osoby, mężczyzna i kobieta, wyszły z drzwi sklepu kilka kroków dalej. Oboje mieli karabiny systemu flechette. Wystrzelili, masakrując nogi Stankovicia i Martineza, a potem podbiegli i dobili ich z bliskiego dystansu.

Tak przynajmniej wydawało się Lajosowi, bo był akurat zajęty. Głównie wpatrywaniem się w lufę pulsera celującego prosto między jego oczy z odległości sześciu cali.

– Może to i głupie z mojej strony podchodzić tak blisko celu – powiedział mężczyzna. – Ktoś mógłby spróbować mnie rozbroić. Ale w sumie czemu nie? Możesz zaryzykować, nim wystrzelę. Masz co najmniej dwa sposoby do wyboru. – Przerwał na chwilę. – Ale nie zamierzasz tego robić, prawda?

Znów przerwał. Lajos gapił się na broń jak sparaliżowany.

– Gdybyś nie zrozumiał, to było pytanie.

Chyba najbardziej przerażający był w tym człowieku sposób mówienia. Spokojny ton kojarzył się ze stawem w bezwietrzny dzień.

Lajos nie miał jednak wątpliwości, że mężczyzna zabiłby go bez wahania, gdyby tylko zechciał.

Coś ścisnęło go w gardle, jakby też został postrzelony. Nie mógł się odezwać, pokręcił więc tylko głową. Zbyt gwałtownie, ale zaraz się opamiętał.

– To dobrze. Teraz odwróć się i idź za moimi towarzyszami. Callie, bądź uprzejma wskazać drogę.

Lajos odwrócił się i... omal nie zwymiotował. Karabin systemu flechette był z bliska upiornie skuteczny, także wobec ludzkiej czaszki.

Bora i Freddie nie mieli już głów. Strzępy ich tkanki mózgowej leżały wszędzie wokół pod postacią szarych grudek w czerwonej otoczce.

Kobieta ominęła czerwone kałuże i otworzyła jeszcze inne drzwi. Prowadziły do sklepu z pieczywem.

Gdzie są wszyscy? – pomyślał Lajos. Obsługa sklepu? Klienci?

Rozejrzał się nerwowo, oczekując widoku zalegających ciał. Jak oni wszyscy mogli zniknąć?

Nie był przyzwyczajony do takiej brutalności, ale nie był też głupi. Znał odpowiedź, chociaż nie od razu ją zaakceptował.

Skoro tych troje nie zabiło świadków, to albo ich przekupili, albo potrafili zmusić do milczenia. Jedno i drugie wydało mu się bardziej przerażające, niż gdyby tamci wymordowali wszystkich w sklepie.



Po przejściu labiryntem korytarzy, pokoi, schodów i ramp dotarli do pomieszczenia niewiele większego od szafy.

– Zasłonimy ci teraz oczy. Bądź spokojny, nic ci się nie stanie.

Coś dotknęło jego czoła i chwilę później jasna, ale zasłaniająca wszystko materia prawie odcięła go od świata. Widział tylko własne stopy i kilka cali podłogi przed sobą.

– Dobra, idziemy.



Wreszcie zatrzymali się. Ktoś dotknął jego głowy i przesłona zniknęła, przesunięta na czoło. Na ile zdążył na nią zerknąć, przypominała dużego, płaskiego owada.

Rozejrzał się. Był w celi o rozmiarach dwa na trzy jardy, z jednymi drzwiami. Były też prycza, posłanie, przenośna toaleta. I...

Tak.

Był także ten mężczyzna. Spoglądał na Lajosa lodowato, w sposób, który wydawał mu się czemuś znajomy.

– Spotkaliśmy się już kiedyś – powiedział.

– Naprawdę?

– Raz. W pewnym lokalu. Wszedłeś i usiadłeś przy stoliku. Chwilę później troje twoich ludzi zajęło sąsiedni. Dwóch mężczyzn i kobieta. Zastrzeliłem ich wszystkich. Mój partner wyciągnął cię spod stołu, gdzie się schowałeś, i zabraliśmy cię do podziemi. Zamierzałem cię też zabić, ale nie byłem pewny, czy ponosisz jakąś winę. Mój partner, na pewno go pamiętasz, niski i szeroki w ramionach, ogłuszył cię.

Przerwał i przyjrzał się Lajosowi. Dokładnie w ten sam sposób jak wtedy. Tyle że czarne oczy były teraz błękitne, a mężczyzna wyglądał całkiem inaczej. Lajos jednak ani przez chwilę nie wątpił, że to ta sama osoba.

– Co... czego... – Zaczepnął powietrza. – Czego ode mnie chcecie?

– Prawdy. Nie, to głupi pomysł. Powiedzmy, że chcemy prawd, w liczbie mnogiej. Masz sporo grzechów na sumieniu. Nie wiem jeszcze jakich, ale zamierzam się dowiedzieć. – Wskazał na pryczę. – Odpocznij trochę. Nie stosuję tortur. Poniekąd dlatego, że to poniżej mojej godności, poza tym nie wierzę w ich skuteczność. Ludzie powiedzą wszystko, żeby uniknąć bólu, a bez drugiego źródła trudno to zweryfikować. Tak zwane serum prawdy też mnie nie kusi. Po pierwsze dlatego, że jest „tak zwane”, a po drugie działa w nieprzewidywalny sposób. Po trzecie zaś, ponieważ niektórzy ludzie, ja na przykład, biorą na wszelki wypadek antidotum. Przypuszczam, że ty też.

Odsunął się w stronę drzwi.

– Lubię załatwiać sprawy prosto i teraz też tak będzie. Co kilka godzin będę do ciebie przychodził, a ty będziesz mi przekazywał coś, co będzie prawdą, będzie ważne i będzie dotyczyło ciebie, twojej pracy i wszystkiego, co twoim zdaniem może mnie zainteresować. Gdy skończysz, wyjdę i nie

wrócę przed upływem kilku godzin. Jeśli podczas którejs z tych wizyt poczuję niedosyt, zabiję cię.

Odwrócił się i zaczął otwierać drzwi.

– Poczekaj... a skąd mam wiedzieć, co może być dla ciebie ważne albo interesujące?

– Jeśli poczujesz, że mózg wypływa ci z czaszki, będziesz wiedział, że mnie rozczarowałeś. Zalecam więc szczodre dzielenie się wszystkim, co wiesz.

ROZDZIAŁ LI



Przez ponad dwa stulecia główną atrakcją parku de Vries w wieży Hugo był wielki tor łyżwiarski, największy na całej Mesie. Miał kształt owalu długiego na trzysta jardów i na dwieście szerokiego, z wielką wyspą pośrodku, gdzie łyżwiarze mogli odpocząć, coś wypić i zjeść.

Wokół znajdowało się wiele różnych kafejek i restauracji, jak i innych atrakcji, z których najwyższą był diabelski młyn wznoszący się na sześćdziesiąt jardów. Zgodnie z wymogami władz miasta każda gondola posiadała własny moduł antygravitacyjny, ale sama konstrukcja koła była tradycyjna, identyczna jak tysiące lat temu.

Większość atrakcji w parku była równie antycznego projektu. Na tym polegał jego urok. Była nawet karuzela.

W ten weekend park jak zwykle odwiedziły tłumy ludzi; jak później szacowano, było ich prawie dwa tysiące. Tylko część zauważyła wielkie pojemniki podczipione pod sufitem, ponad sto jardów nad poziomem podłogi. Nie było jednak w tej grupie nikogo z obsługi parku, zatem nikt nie zorientował się, że tego dnia pojemniki były cztery, zamiast zwykle wiszących tam trzech.

Te trzy były częścią parkowych instalacji i mieściły filtry powietrza. Czwarty, który pojawił się w ciągu ostatniego tygodnia, miał pełnić tę samą funkcję, a przynajmniej tak poinformowano szefa działu utrzymania i eksploatacji parku de Vries. Ten pomyślał wprawdzie, że to bez sensu, skoro trzy moduły od dziesiątków lat doskonale dawały sobie radę, ale

doszedł do wniosku, że pewnie ktoś w radzie miasta dostał w łapę za ten zakup. Umiarkowana korupcja nie była w Mendel niczym niezwykłym.

Spośród osób, które w ogóle zauważyły pojemniki, tylko dwie dostrzegły, jak jeden z nich oderwał się od sufitu i zaczął spadać. Była to para, Mark Lewis i Sheila Dawsonowie. Udało im się, ponieważ ich gondola znalazła się akurat w najwyższym położeniu na kole.

Lewis patrzył tylko z otwartym ustami. Jego żona miała lepszy refleks. Wychyliła się i krzyknęła, żeby ostrzec ludzi będących dokładnie pod spadającym pojemnikiem.

– Uwaga, leci na was z góry...!

W kontenerze znajdował się generator wiązki przyciągająco-odpychającej, czyli odpowiednik modułu służącego do przeładunku, który można było przełączać między obiema funkcjami. Nagle uruchomiony z nadmierną mocą, rozerwał pojemnik, uwalniając silnie sprężony tlenek etylenu, który rozproszył się w eksplozji nad parkiem.

Jak na bombę paliwowo-powietrzną, była to wręcz prymitywna samoróbka, wykorzystująca najłatwiej dostępne materiały. Wyjątek stanowił tlenek etylenu, niezwykle toksyczna i łatwopalna substancja, mająca wiele przemysłowych zastosowań, ale używana również przy budowie takiej właśnie broni. Bomby paliwowo-powietrzne należą do najbardziej niszczycielskich, w ograniczonej przestrzeni efekt ich działania zaś może zostać jeszcze spotęgowany.

Potężna eksplozja zabiła momentalnie niemal wszystkich znajdujących się w parku. Ci będący najbliżej rozpylonej chmury praktycznie wyparowali. Ci przebywający trochę dalej zostali rozerwani na strzępy. Ludzie na skraju parku nie odnieśli w większości widocznych obrażeń, ale umarli, zwykle dość szybko, na skutek uszkodzeń organów wewnętrznych.

Nieliczni, którzy przetrwali za jakąś osłoną, mieli chyba największego pecha. Ich płuca zostały rozerwane przez próżnię powstałą po eksplozji, która dosłownie wyssała cały dostępny tlen.

Fala uderzeniowa zabiła również trochę osób, które znajdowały się poza parkiem, blisko któregoś z wejść. Łączna liczba ofiar śmiertelnych sięgnęła zapewne tysiąca dziewięciuset ludzi. Nigdy nie zdołano tego dokładnie ustalić. Wiele ciał zostało nie tylko pozbawionych jakichkolwiek rozpoznawalnych cech, ale na dodatek wysoka temperatura, sięgająca trzech tysięcy stopni Celsjusza, zniszczyła całe ich DNA.



– ...przekonać się, że oddawanie się czczym zabawom, podczas gdy niewolnicy cierpią męki...

Harriet Caldwell nie zwracała uwagi na materiał odtwarzany na kompie Działu Oceny Ryzyka. Był to zwykły bełkot w stylu Baletu. Harriet jednak nie wierzyła w jego autentyczność, poza tym była zajęta przekonywaniem swojego szefa, żeby zaczął wreszcie myśleć nieschematycznie.

– Już wstępne raporty mówią, że użyli tlenku etylenu, Tony. Tlenku etylenu! Masz pojęcie, jak niebezpieczne jest to świństwo?

Jej przełożony, Anthony Lindstrom, wyglądał jak męczennik.

– Nie. Po prawdzie nigdy o tym nie słyszałem. Jestem jednak pewien, że mnie oświecisz.

– To cykliczny eter. Jest nie tylko łatwopalny w temperaturze pokojowej, ale mutagenny i kancerogenny. Wyjątkowe gówno. Dostępny jest tylko dlatego, że wykorzystuje się go przy wielu reakcjach chemicznych, ale obrót nim jest reglamentowany. Nie możesz ot tak wejść do hurtowni i kupić sobie paru beczek.

Lindstrom miał już absolutnie dość obsesji Caldwell.

– Do cholery, Harriet! Bomby atomowej też nie kupisz w hurtowni z bombami, ale Balet gdzieś ją przecież zdobył, prawda?

Spojrzała na niego ze złością.

– Wiesz, co o tym myślę.

– Tak. Wiem. Uważasz, że wiedza i doświadczenie wszystkich analityków Biura Bezpieczeństwa Publicznego...

– To banda ignorantów!

– Udam, że tego nie słyszałem. Ich wiedza i doświadczenie są według ciebie bez znaczenia. Ani Green Pines, ani późniejsze zamachy nie były dziełem Baletu. Uważasz, że mamy do czynienia z działalnością tajemniczej grupy wyzwolenców korzystających z zagranicznego wsparcia – powiedział, starając się, by jego wypowiedź zabrzmiała jak najbardziej sceptycznie.

– Nie tajemniczej, Tony. Manticore i Haven od stuleci jasno deklarują, co o nas myślą. Teraz zaś dostały nagłego przyspieszenia i wiemy, że w zeszłym roku przysłały tu agentów.

– Poprawka. Ty uważasz, że przysłały tu agentów. To nie zostało potwierdzone ani... – Przerwał, słysząc sygnał komunikatora. – Poczekaj, muszę odebrać.

Caldwell słyszała tylko to, co zostało wypowiedziane przy niej.

– Tak, ma'am, ale...

– Ma'am, naprawdę sędzę...

– Tak, ma'am. Zaraz się zbiorę.

Gdy Lindstrom zakończył rozmowę, wyglądał na jeszcze bardziej zmarnowanego.

– Porozmawiamy później. To była Janine Riccardo. Chce, żebyśmy... to znaczy ty i ja, wspomniała dokładnie o tobie, udali się na miejsce zamachu i dokładnie je obejrzeni.

– Ale... – Ani Caldwell, ani Lindstrom nie mieli przygotowania do takiej pracy. Ani też stosownego wyposażenia pod ręką. Z drugiej jednak strony...

Riccardo była szefową Biura Śledczego, uznawanego powszechnie za elitę mesańskich sił porządkowych. Była też ich najwyższym przełożonym, jako że oni też podpadali pod wywiad wewnętrzny.

Problem, przed którym często stawała Harriet, wiązał się z zasadą, że Biuro Śledcze prowadziło zwykle tylko sprawy związane z obywatelami. Nie mogło angażować się w nic, co dotyczyło wyzwoleńców i niewolników. W praktyce nie zawsze dawało się to rozgraniczyć i wówczas wywiad współpracował z Biurem Bezpieczeństwa Publicznego i Dyrektoriatem Bezpieczeństwa.

Tyle że ta „współpraca” mogła wyglądać bardzo różnie. W tym przypadku nikt nie był z niej zadowolony. Wywiad nie przepadał za Biurem Bezpieczeństwa Publicznego, a zwłaszcza za Dyrektoriatem. Opinia Harriet, że to „banda ignorantów”, była powszechna, chociaż mało kto wypowiadał ją głośno. Z drugiej strony Biuro Bezpieczeństwa Publicznego uważało, że wywiad wewnętrzny to banda snobów, którzy nic nie wiedzą o twardych realiach i mają wyidealizowany obraz wyzwoleńców.

Dlatego też nawet gdyby przekonała przełożonego do swoich podejrzeń, nic by z tego nie wynikło. Prowadzące śledztwo Biuro Bezpieczeństwa Publicznego miało swoje zdanie i nie należało oczekiwać, że da wiarę jakimkolwiek opowieściom przedstawianym przez wywiad wewnętrzny.

Fakt, że Riccardo zdecydowała o włączeniu Harriet do ekipy, sugerował, że zdawała sobie sprawę z jej podejścia i w jakimś stopniu je podzielała.

Ona zaś, jako dyrektor Biura Śledczego, miała coś do powiedzenia w strukturze władzy. Jeśli odezwie się wystarczająco głośno, nawet ignoranci z Biura Bezpieczeństwa Publicznego będą musieli wziąć jej głos pod uwagę.

- Ruszajmy zatem – powiedziała.
- Zmarnujemy tylko czas – przestrzegł ją Lindstrom.
- Może nie. Poza tym rozkaz to rozkaz.
- Szkoda, że nie pamiętasz o tym nigdy w kontaktach ze mną.



- Ruszajcie się, ludzie! Dalej! Kto pierwszy, ten zgarnia śmietankę!

Xavier Conde znowu okazał się dupkiem, ale jego producentka, Vittoria Daramy, zdecydowała się nie przeciwstawiać jego najnowszemu kaprysowi. Ze wstępnych meldunków na temat zniszczeń w parku de Vries wywnioskowała, że raczej nie dostaną się na tyle blisko, żeby przygotować odpowiednio dramatyczny materiał. Tyle dobrego, że z wieży Franklina mieli niedaleko i mogli skorzystać z wynajętego już samochodu, bez osobnych i kosztownych przygotowań.

Osobiście uważała, że lepiej wykorzystaliby swój czas (o pieniądzach nie wspominając), gdyby przysiedli nad materiałem dokumentalnym, który mieli zrealizować. Jednak ledwo spróbowała popchnąć sprawę naprzód, Xavier zaczął stroić fochy. Był w tym naprawdę dobry. Zwykle dąsał się przez kilka godzin, zanim mu przeszło. Wiedziała, że nawet jeśli zdoła zapędzić go ponownie do pracy, dziś już nic sensownego nie zrobi.



Ponieważ to Lindstrom był oficjalnie odpowiedzialny za śledztwo, wzięli jego wóz służbowy zamiast samochodu Harriet. Jej to odpowiadało.

Jako szef Dyrektoriatu Lindstrom miał prawo do opancerzonej limuzyny. Nie naprawdę pancерnej – wzmocnione burty chroniły tylko przed ogniem broni ręcznej, ale nadal była to limuzyna, co oznaczało wygodne kanapy. Był nawet mały barek, chociaż żadne z nich nie mogło z niego skorzystać, skoro wciąż byli w pracy.

Jedynym minusem była konieczność skorzystania z szofera. Harriet miała się za dobrego kierowcę, ale Lindstrom pewnie i tak nie dałby jej prowadzić. Gdy raz się zgodził, narzekał potem, że nadużywała ręcznego sterowania (co było prawdą, bo uwielbiała kierować) i że jeżdżenie z nią jest niebezpieczne (co prawdą nie było, bo prowadziła świetnie).

Niemniej i to miało swoje plusy. Podczas jazdy mogła sięgnąć do kompa, żeby poszukać informacji o dostępności tlenu w Mendel i okolicy.



Conde chciał prywatnego garażu dla ich wozu, ale Vittoria nie widziała uzasadnienia dla dodatkowych i jej zdaniem zbędnych wydatków. Mogli przecież skorzystać z publicznego garażu, tak jak wszyscy goście hotelu.

Nie widziała też powodu, żeby płacić za odprowadzającego i przyprowadzającego wóz parkingowego. Przejścia w hotelowym garażu były całkiem praktyczne i krótki spacer nie powinien nikomu zaszkodzić. Conde oczywiście i to miał jej za złe.

Tego dnia, gdy szli do wozu, znowu zebrało mu się na wypominki. Poprzedniego wieczoru garaż był wyjątkowo zatłoczony i musieli zaparkować daleko od wejścia.

– Pewnie stracimy przez to pierwszeństwo – narzekał. – Przez jakies drobne oszczędności.

– Daj spokój, Xavier – odezwał się technik nagraniowy, Alex Xu. – Po pierwsze, to ja niosę sprzęt i nie narzekam. Po drugie, w jakim to alternatywnym świecie widziałeś parkingowego podstawiającego wóz w minutę? Te maszynki są bardzo prymitywne.

Vittoria bardzo ceniła Aleksa. Nie musiał przejmować się byle fochem Xaviera, bo w odróżnieniu od niego był najlepszy w swoim fachu. Gdyby gwiazda próbowała go zwolnić, Xu odpowiedziałby „pierdol się, dupku, sam odejść”, i już następnego dnia miałyby nową, świetną posadę.

Gdy zbliżyli się do samochodu, Xavier zaczął znowu jęczeć.

– Na miłość boską, czy to naprawdę aż tak trudne dla hotelu, żeby utrzymać w tym garażu właściwe oświetlenie? – Spojrzał ze złością na Vittorię. – Ale tak to już jest, gdy nalegasz, byśmy brali zawsze najtańsze gównno...

– Zamknij się, Xavier – przerwał mu Alex. – Coś jest nie tak. Światło nie zgasło po pro...

Z mroku za najbliższym samochodem wyłoniły się dwie postacie. Chwilę później Vittoria dostrzegła jeszcze dwie osoby nadchodzące z różnych kierunków.

Wszystkie były uzbrojone.

– „Zamknij się” to świetna rada – powiedziała jedna z nich. – Lepiej będzie, jeśli wszyscy jej posłuchacie.

Postacie były zamaskowane elektronicznie, więc ich głosy i twarze były nie do rozpoznania, ale osoba, która się do nich odezwała, była bardzo wysoka. Mężczyzna czy kobieta, nie wiadomo, ale wzrostu maskowanie nie obejmowało.

Vittoria już była przerażona, a to, co usłyszała chwilę później, wprowadziło ją w stupor.

– Jesteśmy z Baletu. Jeśli nas wkurwicie, to po was.

Z tyłu dobiegł ich cichy odgłos zbliżającego się pojazdu, a potem obok zatrzymał się masywny furgon z ciemnymi oknami.

– Wsiadajcie. Prędkiej.



W tym samym czasie Harriet Caldwell i Tony Lindstrom zbliżali się do wyjazdu z garażu swojej firmy. Wyjazd trwał trochę, ponieważ siedziba wywiadu wewnętrznego mieściła się w wielkiej wieży w centrum miasta. Rząd nie był może aż tak skąpy jak prywatni producenci, ale nikt nie widział powodu, żeby wyposażać rządowe garaże w przesadne udogodnienia. Względy bezpieczeństwa nie były przy tym argumentem. Ostatni wypadek, gdy pracownik tego działu został zamordowany w garażu, zdarzył się sto trzydzieści lat temu, zabójcą zaś była jego własna żona, zirytowana jego jawnym romanssem z partnerką ze służby.

Którą też postrzeliła, ale zdążyła tylko zranić, zanim sama została przez nią zlikwidowana.

Niemniej tego dnia długi okres bez wypadku miał się właśnie skończyć. Gdy limuzyna zbliżyła się do zaparkowanego w pobliżu garażu furgonu, jego drzwi się przesunęły i ze środka wyjrzał pysk ciężkiego trzylufowego pulsera. Broń strzelała pociskami o wadze 65 gramów, a jej maksymalna szybkostrzelność wynosiła 3 tysiące pocisków na minutę.

Opancerzenie limuzyny zostało przewidziane jako ochrona przed strzałami z lekkich pulserów, nie ciężkiego uzbrojenia piechoty. Pojazd praktycznie się rozpadł i to samo, rzecz jasna, dotyczyło ciał pasażerów.

Wystarczyło pięć sekund. Obaj strzelcy pospiesznie wyskoczyli z furgonu i zniknęli za rogiem. Zanim najbliższy świadek, który tylko słyszał strzelaninę, zjawił się na miejscu, sprawcy wjechali wyciągiem

sześćdziesiąt pięter wyżej, przeszli korytarzem do kolejnej windy, zjechali siedemnaście poziomów w dół i znaleźli się na chodniku, który miał ich wyprowadzić na kładkę wiodącą do najbliższej wieży handlowej.

Mogli poruszać się szybko, ponieważ nie byli niczym obciążeni. Działko zostawili w furgonetce.

Policja szybko je zidentyfikowała. Było to działko typu M247, wyprodukowane na licencji przez Rensselaer Industries, które jeszcze niedawno miało swoje zakłady w module przemysłowym stacji kosmicznej HMSS *Vulcan* na orbicie Sphinksa.

Tajemnicą pozostało, jakim cudem ktoś zdobył taką broń na Mesie. Nawet w układzie Manticore nie można było jej kupić, ponieważ została zaprojektowana do wyłącznego użytku sił zbrojnych Gwiezdnego Imperium.



– ...zostaliście ostrzeżeni. Wszystkie służby aparatu przemocy, do jakiegokolwiek agencji tyranii by należeli, mogą oczekiwać tej samej sprawiedliwości, wymierzonej rękami...



– Dość mam tych pierdolonych wymówek! – rzucił z wściekłością François McGillicuddy, dyrektor służb bezpieczeństwa Mesy. – Chcę odpowiedzi! Jak, u diabła, Balet jest w stanie wrzucać swoje manifesty do naszej sieci?

– Muszą korzystać z obcej pomocy, inaczej nie daliby rady – odparła jedna z jego asystentek, Grace Summers. – Mają wsparcie Manticore albo Haven.

– Albo obu – odpowiedział jej kolega, Aidan Crowder. – Albo Beowulfa.

– Albo, albo, albo! Żebyście teraz siebie słyszeli! – McGullicuddy uderzył otwartą dłonią w blat biurka. – Nie chcę pierdolonych przypuszczeń. Te może mi wnuczka opowiadać. Chcę odpowiedzi.

Spoglądał na nich przez chwilę ze złością w oczach, po czym włączył stojący na blacie komunikator.

– Zeno, powiedz tym dupkom ze Służby Celnej, że pierdolą robotę. Od teraz mają sprawdzać dokładnie wszystko, co jest przywożone na Mesę. Przepuścili broń.

– Ale... szefie – zaczął Crowder. – Naprawdę nie wydaje mi się...

– Zamknij się, kurwa. Powiedziałem, że chcę odpowiedzi, nie pieprzenia bez sensu.

I dlatego właśnie Grace tym razem w ogóle się nie odezwała.

ROZDZIAŁ LII



Tę liczbę szacuję w tej chwili ostrożnie na jakieś pięć do dwudziestu tysięcy osób – powiedział Anton. – Pewien jestem co najmniej trzech tysięcy, ale wątpię, żeby było ich więcej niż trzydzieści tysięcy.

Yana gwizdnęła.

– Aż tyle?

– Ja powiedziałbym raczej „tak niewiele”. Pomyślcie tylko.

Rozejrzał się po zebranych w małej sali konferencyjnej w Neue Rostock. Oprócz niego przy stole siedzieli Thandi, Victor, Yana, Jurgen Dusek i Triêu Chuanli.

– Jeśli mam rację, elita Równania opuszcza ostatecznie planetę. Wszyscy, co do sztuki. Na tym świecie żyje blisko sześć miliardów ludzi. Policzcie więc.

Yana zrobiła to błyskawicznie. Mogła nie znać się na statystyce, ale z arytmetyką nie miała kłopotów i była w tym nawet lepsza niż większość ludzi.

Gwizdnęła ponownie, tym razem głośniej.

– Rozumiem, do czego zmierzasz. Nawet ta górna liczba trzydziestu tysięcy to tylko pół procent jednej tysięcznej procent populacji.

Anton pokiwał głową.

– A może być jeszcze skromniejsza. Ale tak czy siak, w zestawieniu z zaludnieniem Mesy to zapewne najmniej liczna klasa rządząca w historii

ludzkości. Która utrzymała się na dodatek przez sześćset lat.

Thandi pokręciła głową.

– Nie rozumiem, jakim sposobem taka garstka zdołała to osiągnąć.

– Można powiedzieć, że dobrze wszystko ustawili i byli cierpliwi. Nawet największą maszynę można obsługiwać poprzez jeden przełącznik, jeśli dobrze się ją zaprojektuje. Jeden ruch, przekazywany na coraz większe systemy. Tyle że to musi potrwać.

– Tak, wszyscy gapili się na złego wilka i nie dostrzegali znacznie groźniejszej pchły w jego sierści. – Yana przeczesła palcami długie i lśniące czarne włosy. Ta maniera nawet jej się podobała. – Wystarczyło wystawić dużego pozoranta, jak Manpower, Inc.

– To dranie – rzucił Dusek.

– Zakładam, że nie podchodzi już pan do tego sceptycznie? – spytał Victor.

– Chyba w ogóle tak nie podchodziłem, i to od pierwszej chwili, gdy wyłożyliście mi swoją teorię. – Wymienił spojrzenia z Chuanlim. – To wiele wyjaśnia.

– Zbyt mocno powiedziane. Szefie – powiedział Chuanli, jakby po namyśle dodając ostatnie słowo.

Ego Duseka chyba na tym nie ucierpiało. Pozwalał podwładnym, żeby się z nim nie zgadzali, chociaż i w tym domagał się szacunku.

Chuanli machnął ręką.

– Wszystkiego tak naprawdę nie wyjaśnia, ale na pewno pasuje do obrazu.

– Proszę o rozwinięcie – odezwał się Victor.

Chuanli przygryzł górną wargę.

– Zawsze wydawało mi się dziwne, Jurgenowi zresztą też, że ile razy mieliśmy do czynienia z jakimiś oficjalnymi wielkimi rybami, sprawy przebiegały... – Spojrzał na Duseka, jakby szukał pomocy. – Jak to nazwać?

– Przebiegały jakby z opóźnieniem. Zupełnie jakby ci goście nie byli dość rozgarnięci jak na zajmowane pozycje. Coś tam gadali bez ładu i składu, po czym nagle sprawa była załatwiona. Jakby stał nad nimi ktoś jeszcze, ktoś, kto naprawdę coś umiał i wprawiał tę maszynę w ruch.

– To ma sens – mruknął Anton. – Przy takiej konspiracji nie można pozwolić, żeby marionetki były zbyt zdolne. A jeśli taka się trafi, to albo się ją usuwa, albo włącza do spisku. W ostateczności trzyma na dystans. Ale zawsze pracuje się przez pośredników, co musi wprowadzać opóźnienia.

– Zwłaszcza gdy rządzących jest tak niewielu – dodał Victor i potrząsnął głową. – Ale to wszystko spekulacje. Co wiemy na pewno, to że za ostatnie tak zwane zamachy terrorystyczne nie jest odpowiedzialny Balet.

– Skąd możecie mieć pewność? – spytał Chuanli.

– Z najlepszych możliwych źródeł, od Jeremy’ego X i Sabura X.

Nawet Dusek, który był najwyższej klasy pokerzystą, tym razem był pod wrażeniem.

– O tym drugim nigdy nie słyszałem – powiedział.

– Nic dziwnego – odparł Anton. – On był odpowiedzialny za operacje Baletu na Mesie. Agent najtajniejszy z możliwych.

– Niezupełnie – wtrącił się Victor. – Nikt nie może być odpowiedzialny za coś, znajdując się aż tak daleko. Ale faktem pozostaje, że nie ma poza Mesą nikogo, kto wiedziałby na ten temat więcej niż Saburo. Gdyby tutejszy Balet był zdolny przeprowadzić podobne akcje, to nigdy bez jego wiedzy.

– Może jego informacje są nieaktualne – zasugerował Chuanli. – Kiedy ostatni raz się z nim kontaktowaliście? Albo z nimi?

Victor uśmiechnął się lekko.

– Mieliśmy z nim kilkugodzinną odprawę. A kiedy? Jakież trzy miesiące temu. To więc raczej aktualne informacje.

– Aha – powiedział Dusek i nagle się zaśmiał. – Sporo o nim słyszałem i jestem ciekaw, jaki to człowiek. Jeremy X. Jako osoba.

– Po prawdzie wręcz czarujący – odparł Anton. – I być może to najlepszy strzelec w tej części galaktyki. – Wskazał kciukiem na Victora. – On nawet zawdzięcza mu życie.

Dusek i Chuanli wyglądali na szczerze zainteresowanych, ale Victor uczynił dłonią gest jasno sygnalizujący, że to nieodpowiednia pora.

– Długa historia – powiedział. – Ale w tej chwili ważne jest tylko to, że jeśli Anton ma rację, a moim zdaniem ma, zagrożenie „atakami terrorystycznymi” będzie się nasilać. Aż dojdzie do użycia ładunków nuklearnych. To będzie magiczna czapka niewidka, pozwalająca dokończyć ewakuację.

– A wtedy rząd spuści swoje psy ze smyczy. Zwłaszcza MISD – dodał ponurym tonem Dusek.

Chuanli chciał wyjaśnić, co oznacza ten skrót, ale Victor go uprzedził.

– Tak, wiem. To Dyrektoriat Bezpieczeństwa. Ale możecie być pewni, że przynajmniej jeden zamach będzie wymierzony właśnie w nich. Może nawet nie w nich bezpośrednio, ale w ich rodziny.

– Chryste, o tym nie pomyślałem – westchnął Dusek. – Normalnie są dość paskudni, a jeśli jeszcze zaczną się mścić...

Za działania odwetowe w dzielnicach wyzwoleńców odpowiedzialne były Biuro Bezpieczeństwa Publicznego oraz zespoły Dyrektoriatu

Bezpieczeństwa, kierowane w konkretne miejsca. Te ostatnie porywały ludzi wprost z ulicy, przesłuchiwały ich brutalnie, jak długo chciały, i wedle uznania likwidowały potencjalnych wicherzycieli, którzy znikali bez śladu. Ich funkcjonariusze byli przyzwyczajeni do ochrony, którą zapewniała im reputacja, i gardzili wyzwoleniami czasem nawet bardziej niż niewolnikami. Pogarda wyrażała się w braku poszanowania jakichkolwiek praw tej grupy, ale także w swego rodzaju nadmiernej instytucjonalnej pewności siebie.

Każdy wyzwoleniec, który spróbowałby stawić im opór, wiedział z góry, że nie ma tego złego, co nie mogłoby go spotkać z ich rąk. Jego albo jego bliskich. Motto Dyrektoriatu Bezpieczeństwa zdawało się brzmieć: „Zawsze możemy mocniej”. Jako społeczność wyzwolenicy szybko się zorientowali, że najwyższe drzewa ścinane są w pierwszej kolejności. W indywidualnych przypadkach bronili się czasem, widząc kogoś bliskiego zgarnianego przez zespół albo samemu znajdując się w beznadziejnej sytuacji, ale mieli świadomość, że inicjując jakiegokolwiek akcje, tylko ściągną na siebie uwagę oprawców. Nienawidzili ich, ale nie chcieli ryzykować życia swego i swoich rodzin. Przez stulecia przerodziło się to w odruch, który skutecznie blokował jakikolwiek opór.

Z tego też powodu analitycy pracujący w Dyrektoracie Bezpieczeństwa oraz Biurze Bezpieczeństwa Publicznego, nawet ci dość rozgarnięci, żeby omijać podobne pułapki, zwykli traktować wyzwolenców jak tchórzliwy motłoch bez cienia godności. Niby nie byli niewolnikami i mieli trochę przywilejów (choć ani trochę więcej praw), jednak nie zmieniało to, zdaniem analityków, ich wrodzonej służalczości.

Czego jednak ci fachowcy nie wzięli pod uwagę, to desperacji mogącej pojawić się u kogoś, kto wie, że i tak zginie. W takich przypadkach tradycyjny terror przestawał być skuteczny. Wyzwolenicy postawieni wobec

perspektywy eksterminacji nie będą mieli już nic do stracenia. Anton i Victor bardzo liczyli na taką właśnie zmianę postawy. Na to, że ludzie ci wreszcie staną do walki. Oraz że zrobią to z wściekłością narosłą przez wieki osaczania.

Sądząc po minach Duseka i Chuanliego, obaj gangsterzy musieli dojść do podobnych wniosków.

– Znowu będzie jak po Green Pines, szefie – powiedział Chuanli. – Naprawdę strasznie.

Dusek wpatrywał się w ścianę i jego oczy niczego nie wyrażały.

– Nie. Dziesięć razy gorzej. Do diabła, sto razy gorzej! – Szef Neue Rostock spojrział na Victora i Antona, a potem jeszcze na Thandi.

Na samym początku spotkania wyjawili jej prawdziwą tożsamość, z zastrzeżeniem, żeby zachowali tę informację dla siebie. Istniało wielkie prawdopodobieństwo, że to zrobią. Wprawdzie stare powiedzenie głosiło, że „trzech może dotrzymać tajemnicy, o ile dwóch z nich nie żyje”, ale zdarzały się wyjątki od reguły. Doświadczeni kryminaliści z udanym życiem podpadali pod tę kategorię.

– Jakie mamy szanse, jeśli staniemy do otwartej walki? – spytał.

– Ilu ludzi macie?

– Dwustu gotowych w każdej chwili. I jeszcze pięciuset, których mógłbym zebrać do jutra. Poza tym... – Spojrział na dowódcę swojej armii.

– Jak sądzisz, Triêu?

Chuanli wzruszył ramionami.

– Ludzie nie są problemem, gorzej z bronią. W Neue Rostock mieszka jakieś trzydzieści pięć tysięcy i wielu z nich będzie walczyć, gdy zostaną przyparci do muru. Wszyscy. Mężczyźni, kobiety, dzieci, starcy.

– A jaką broń macie? – spytała Thandi.

– Wiele cywilnych pulserów – odpowiedział Chuanli. – Różnych i różniastych. Pistolety, karabiny, co tam jeszcze. Będzie koło trzech tysięcy. Nie licząc różnych zadołowanych tu i ówdzie pojedynczych egzemplarzy. Jedną z dobrych stron naszej dzielnicy jest fakt, że władze nie zwracały na nas uwagi, dopóki nie wyłaziliśmy poza nią. Ale wojskowego sprzętu mamy niewiele. Ze sto pięćdziesiąt policyjnych karabinów pulsacyjnych, może trochę więcej. Tylko jedenaście działek trzylufowych. Dwa są dość ciężkie, żeby używać ich przeciwko opancerzonym celom. Sześć karabinów plazmowych, chociaż nie wiem, czy będzie z nich pożytek w wieży. Moi ludzie przeczytali instrukcje, ale żaden naprawdę ich nie używał. I mamy jeszcze kilka lekkich wyrzutni przeciwlotniczych typu *Banshee* i *Peaceforce*. Oraz parę skrzynek rakiet przeciwpancernych *Lancer*.

– Nie zapominaj o miotaczach granatów, szefie – dodał Chuanli. Victor uniósł brew i gangster zachichotał. – Słyszeliśmy o waszej przygodzie w Dolnym Radomsku. Sami nie używamy ich często, co chyba łatwo zrozumiecie, ale muszę przyznać, że mało co robi takie wrażenie na rozmówcach jak ustawienie naprzeciwko nich miotacza granatów. Mamy ich parę tuzinów. A także z pięćdziesiąt karabinów systemu flechette. – Wzruszył ramionami. – Przeciwko gościom w pancerzach bojowych będą mało przydatne, ale kto wie? Nie zawadzi, gdy dorzucimy je do puli.

Thandi spojrzała na niego z szacunkiem.

– Aż tyle? To o wiele więcej, niż sądziłam. Myślałam, że zwłaszcza w działkach jesteście słabsi.

Dusek znowu się zaśmiał.

– To jedna z dobrych stron służb naszej planety. Może nie wszystkich, Biuro Śledcze bym wyłączył, ale reszta jest tak skorumpowana, że aż miło.

No i chciwa. Zwykle mamy z tej racji głównie kłopoty, ale gdy trzeba skombinować ciężkie uzbrojenie, zawsze jest do kogo uderzyć.

Thandi pokiwała głową. Na świątach Pogranicza było podobnie, chociaż korupcja przybierała tam mniejsze rozmiary. Mesa stanowiła przypadek szczególny, bo chociaż biedota była tu traktowana podobnie albo nawet trochę gorzej, to jednak wyzwolenicy byli względnie bogaci, przynajmniej gdy porównać ich z biedotą Pogranicza. Nie cierpieli skrajnej nędzy, dzięki czemu było ich niekiedy stać na działka trzylufowe czy broń plazmową.

– Skoro jesteście aż tak dobrze uzbrojeni, możecie... możemy sprawić im krwawą łaźnię. Zdobywanie cerambetowego budynku we frontalnym ataku to robota głupiego. Z perspektywy oficera piechoty to najgorszy możliwy teren. A w Neue Rostock będzie jeszcze gorzej, bo władze nie mają chyba żadnych aktualnych planów tutejszych gmachów.

Dusek i Chuanli uśmiechnęli się przebiegle.

– Gorzej – powiedział Chuanli. – Główne przejścia są zaminowane, a tego nie znajdą na żadnym planie. Nawet gdyby go mieli.

– Tak samo są przygotowani Bachue Nos w Hancock i McLeod w Wister Haven. I w ogóle wszystkie gangi dzielnicowe, które są coś warte – dodał Dusek. – To element naszej równowagi sił. Oczywiście miny pułapki nie zatrzymają ludzi w pancerzach czy skafandrach bojowych. Nie myśleliśmy nigdy w kategoriach takiej walki. Jestem jednak pewien, że ktoś o pani doświadczeniu pokaże nam, jak je udoskonalić – powiedział pod adresem Thandi.

– Żaden problem – odparła. – Musimy jeszcze pomyśleć o blokadach korytarzy. Nawet z waszym arsenałem nie ma sensu bronić każdego jarda terenu. Za mało ludzi. Jednak jeśli przegrodzicie część przejść, inne zmieniając w ślepe uliczki, do tego ustawicie stanowiska strzeleckie z przygotowanym przedpolem, dodacie miny ułożone według planu

znanego waszym ludziom, ale nie pościgowi, a potem jeszcze ustawicie systemy budynku tak, żeby w ostateczności można było użyć ich przeciwko napastnikom... – Z wdziękiem ocelota uśmiechnęła się do obu mafiosów. – W takiej walce nawet ściany sprzyjają obrońcom. Nie likwiduje to całkowicie nierównowagi w ciężkim sprzęcie, ale spowalnia mocno postęp wroga. Który szybko się przy tym wykrwawia. Ale... – Uniosła palec. – Pamiętajcie, co powiedziałam wam o użyciu broni kinetycznej. Wcześniej czy później, jeśli ich dowódca będzie dość bystry, to wcześniej, chyba że przełożeni się sprzeciwią, zrozumieją, że pakują się w maszynkę do mielenia mięsa. Wtedy wycofają oddziały i użyją broni kinetycznej. I potem wznowią szturm.

– I to będzie koniec.

– Niekoniecznie – odparła Thandi. – Jeśli użyją głowic taktycznych, budynek ocaleje. Będzie mocno uszkodzony, ale jeśli nie zaliczy bezpośredniego trafienia, dalsza walka będzie możliwa, teren zaś stanie się jeszcze trudniejszy dla atakujących. Niemniej jeśli wcześniej nie ewakuujemy z niego ludzi, dojdzie do masakry. Na wielką skalę.

– Tak, rozumiem. – Dusek spojrzał na Chuanlięgo. – Triêu, będziesz odpowiedzialny za ewakuację. Musimy wyprowadzić wszystkich do tuneli w ciągu... – Zwrócił się do Thandi: – Ile mamy czasu?

– Kilka dni. Możliwe, że i tydzień. Nawet jeśli zacznie się jutro, Biuro Bezpieczeństwa Publicznego będzie potrzebowało paru dni, żeby zareagować. Siły Pokojowe Mesy będą potrzebowały jeszcze więcej czasu. Sądzę, że pierwsze pokażą się oddziały Biura, ale będą nadmiernie pewni siebie i przekonani, że wejdą do dzielnic wyzwolenców swobodnie, jak zwykle. Minie około dwóch dni, zanim zorientują się, w jakie bagno wdepnęli, i wtedy wezwą Dyrektoriat Bezpieczeństwa na pomoc. Ci nie są wcale lepsi, ale szybko okrzepną w walce, gdy zaczną zdobywać którąś

z wież. Trudno powiedzieć, ilu ludzi będą gotowi stracić, zanim przyznają, że banda brudnych wyzwolenców skopała im dupy, ale ostatecznie to zrobią. Minie znowu dzień czy dwa i wtedy... – Skrzywiła się. – Trudno przewidzieć zachowanie tych drani, ale większość cywilnych przedstawicieli władzy będzie wzdragać się przed użyciem broni kinetycznej przeciwko własnej stolicy. Nawet przy głowicach taktycznych byłaby masa skutków ubocznych, włączywszy szkody w dzielnicach obywateli. Przy uwolnieniu tak wielkiej energii na małym obszarze odłamki wzniecą pożary w całym mieście.

Dusek pokiwał głową.

– Zatem co najmniej cztery dni, bardziej prawdopodobne sześć. Albo nawet więcej. To sporo czasu, chociaż... – Teraz on się skrzywił. – To będzie cholernie trudne z tyloma ludźmi pod ziemią. Kilka dób przetrzymają bez problemu, ale później...

– Może dacie radę wyprowadzić ich do innych dzielnic? – spytała Yana.
– Przynajmniej część?

– A tak – odpowiedział Dusek. – Bachue Nos się nie zgodzi, to więdźma. Ale McLeod tak. To samo odpowiedzą trzy na cztery gangi, z którymi jestem w dobrych układach. Ale co to da na dłuższą metę? Przecież atakować będą wszystkich.

– Może nie – powiedział Victor, gdy Thandi zerknęła na niego znacząco.
– Owszem, ze strategicznego punktu widzenia nie możemy tego wygrać...

– Ale na krótką metę da się sporo zyskać. Zwłaszcza jeśli celowo ściągniemy na siebie uwagę na samym początku walk – dodała Thandi.

– A po cóż mielibyśmy to czynić? – spytał Dusek.

– Ponieważ dzięki temu będziemy mogli odesłać ludność cywilną poza strefę walk – wyjaśniła Thandi. – A tutaj zostaną tylko walczący.

– Aha. – Dusek zaczerpnął głęboko powietrza, a potem powoli je wypuścił. – Ale w ten sposób stracimy Neue Rostock, który w przyszłości...

– Nie będzie żadnej przyszłości, Jurgenie – powiedział z naciskiem Victor. – Chyba że... – Skinął na Antona. – Chyba że on i Yana wrócą zaraz swoim jachtem na Manticore i wezwą pomoc. – Pokazał zęby w uśmiechu. – Skoro władze Mesy chcą grać ostro, to damy im okazję do naprawdę poważnej rozgrywki.

– I Manticore się zgodzi?

– Jeśli to Anton będzie posłańcem, to tak. Ma dobre... listy uwierzytelniające.

– A na dodatek jego dziewczyna jest przywódcą Partii Liberalnej i przyjaciółką z dzieciństwa Królowej Elżbiety. – Nie dodała, że obie panie poróżniły się potem trochę na gruncie politycznym, ale z drugiej strony Cathy Montaigne znowu niezłe dogadywała się ostatnio z Elżbietą. – Poza tym spotkał Królową osobiście i wyświadczył jej nawet kilka dużych przysług. No i wraz z Victorem znają się dość dobrze z księżną Harrington.

– Z Salamandrą? – spytał z autentycznym szacunkiem Dusek i Thandi ledwie zdołała powściągnąć uśmiech. Najwyraźniej pewne informacje pokonywały nawet tutejszą cenzurę.

– Zgoda co do wysłania Antona – oświadczyła Yana. – Ale ja nie mam po co lecieć. To nic nie da. Jestem tylko Scragiem.

Zilwicky chciał coś powiedzieć, ale Yana uciszyła go gestem dłoni.

– Zamknij się, Anton. Ważniejsze, że to właśnie mesańscy dranie zamordowali Larę, moją najlepszą przyjaciółkę. – Uśmiechnęła się jeszcze drapieżniej niż Victor. – A skoro jestem genetycznym superzołnierzem, to

chyba mogę się tu na coś przydać. Zostaję. Niech nikt nawet nie próbuje mnie przekonywać, że to zły pomysł.

– Nie śmiałybym – powiedział po chwili Chuanli.

Victor jednak zmarszczył brwi.

– Ale jak Anton uzyska zgodę na wyprowadzenie statku na orbitę? To znaczy bez Yany na pokładzie. Mogą uznać, że chce ukraść jednostkę.

To był pewien problem.

– Spokojnie – odezwał się Dusek. – Od dawna przemycamy różności z tej planety. Także ludzi. Zrobimy tak, że Anton i Yana wrócą na jacht ze średniej wielkości pojemnikiem. Gdy służba portowa do niego zajrzy, okaże się, że jest pełen mesańskich smakołyków. Tak, mamy ich trochę, na każdej planecie są jakieś...

– Pâté z wątróbki vassu to coś, dla czego warto zabić – powiedział Chuanli.

– Powiecie, że chcecie je zabrać ze sobą, gdyż już odlatujecie ze względu na te wszystkie problemy na Mesie. Gdy wsiądziecie na pokład i przepakujecie żarcie, Anton, jako dobry służący, odeśle pojemnik tam, skąd go wypożyczył.

– A to będzie przypadkiem jedna z naszych firm – wtrącił Chuanli.

– Mamy trochę takich cichych partnerów – powiedział Dusek. – Firmy założone na pełnoprawnych obywateli, ale prowadzone przez nas. Oni tylko dostają dołę.

Victor wyraźnie się rozpogodził.

– Rozumiem. Pojemnik został tak zaprojektowany i jest tak ekranowany, żeby dało się w nim kogoś przemycić, a straż portowa raczej nie zwróci większej uwagi na coś, co właśnie sprawdzała i co miało po chwili wrócić. W ten sposób Yana znajdzie się znowu w mieście.

– Właśnie. Robiliśmy to już dziesiątki razy. Dodam jeszcze, że służby portowe są częściowo na naszym żołądzu. To oczywiście nieoficjalna informacja.

– I znowu ta korupcja – zaśmiał się Anton. – Ale dobrze, że to tak działa. A skoro działa, lepiej bierzmy się do roboty.

– Pojemnik będzie gotowy za trzy godziny – powiedział Chuanli.

– No to ruszamy za trzy godziny.

ROZDZIAŁ LIII



Gdy tylko napastnicy wepchnęli ich do furgonu, nałożyli im na głowy coś, w czym niczego nie dało się zobaczyć. Vittoria poczuła jedynie, że coś uderzyło ją w czoło, i przed oczami pojawiła się zaraz jasna, ale nieprzezroczysta przesłona.

Wcześniej jednak zdołała dostrzec coś, co napełniło jej serce nadzieją. Jeden z porywaczy zatrzymał się i zapakował do furgonu także sprzęt Dennisa. Po co mieliby go brać, gdyby zamierzali ich po prostu zamordować. Sprzęt był wartościowy, ale nie na tyle, żeby opłacało się ryzykować, sprzedając go na czarnym rynku.

Niestety, ten promyk nadziei to było wszystko.

Jakieś pięć minut później Xavier Conde chciał się odezwać, jednak zanim zdążył wypowiedzieć pół zdania, jeden z porywaczy mu przerwał:

– Jeszcze jedno słowo, a dostaniesz elektroniczny knebel. Uprzedzam, że paraliżuje on struny głosowe i jakbyś nie wiedział, czasem trwale je uszkadza.

To skutecznie uciszyło Condego. Bez swojego czarującego głosu byłby ledwie pracownikiem niewykwalifikowanym.

Vittoria nie wiedziała, jak długo jechali. Przy całym tym strachu i zasłoniętych oczach miała wrażenie, że podróż trwała długie godziny.

W końcu furgon się zatrzymał.

– Wysiadać – usłyszała. Poruszyła się ostrożnie, widząc jedynie czubki własnych butów.

Gdy już była na zewnątrz, poczuła pod stopami jakąś twardą i trochę nierówną powierzchnię. Jakby podłogę garażu, który przez lata nie był sprzątny. Miała też wrażenie, że wokół było dużo pustej przestrzeni. Całość skojarzyła się jej z opuszczonym budynkiem.

– Gdzie...? – zaczęła, ale zaraz umilkła, pojmując, jak idiotyczne pytanie zadała. – Co z nami zrobicie?

To pytanie nie było pewnie wcale lepsze, skoro jeden z porywaczy uderzył ją w tył głowy.

– Zamknij się.

Zaraz jednak odezwał się też główny porywacz:

– Bez nerwów. Niebawem wystąpicie w publicznym serwisie informacyjnym. Róbcie dokładnie to, co wam każemy, a nikomu nic się nie stanie.

„Publiczny serwis informacyjny” miał zapewne oznaczać jakiś materiał propagandowy terrorystów. To było poniżające, ale...

Pieprzyć to. Jeśli pracodawca Vittorii oczekiwał od niej heroicznego poświęcenia się dla Mesy, która nie była wcale jej światem, to bardzo się pomylił. Powie wszystko, czego ci przerażający ludzie od niej zażądadają, a jeśli będzie trzeba, także zaśpiewa i wyrecytuje wierszyk.



Victor towarzyszył Yanie i Antonowi aż do wyjścia z wieży. Oczywiście nie tego, które prowadziło wprost na powierzchnię. Pokonali kilka podziemnych korytarzy, aż ukryte drzwi, podobne do włazów na statkach kosmicznych, pozwoliły im przejść na głęboki parking jednej

z przylegających wież, gdzie czekał luksusowy samochód Yany. Jeśli wyłapały ich przy tym kamery monitoringu, nie było to już specjalnie istotne.

Współpraca z doświadczonymi szefami mafii miała swoje dobre strony. Innym plusem było zdjęcie z nich konieczności zajmowania się Andrew i Steph oraz trzema rewolucjonistkami. Wszyscy przenieśli się do Neue Rostock, pod opiekę Chuanliego. Przewieziono tam też moduł medyczny, wciąż z Karen w środku.

Jak to zrobiono, Victor nawet nie pytał. Po części z uprzejmości, a częściowo dlatego, że był zbyt zajęty.

Victor Cachat znał Antona Zilwickiego niemal całe swoje dorosłe życie. I chociaż tylko ułamek tego czasu spędzili razem, były to chwile...

Najważniejsze dla nich? To byłoby wielkie niedopowiedzenie.

Anton spoglądał na niego. Miał dziwny wyraz twarzy. Victor podejrzewał, że sam też nie wygląda lepiej. Ale co można powiedzieć przyjacielowi w takiej chwili?

Szczęśliwie Anton lepiej radził sobie ze słowami. Może był to skutek związku z hrabiną Tor, która potrafiła wygłaszać świetne mowy.

– Gdybyśmy nie zobaczyli się więcej, Victorze, chcę ci powiedzieć, że cenię cię od dnia, gdy spostrzegłeś mnie w Chicago, i nie przestanę do końca życia. Stałeś się dla mnie smokiem czuwającym nad skarbem tych, których pokochałem, i troszczącym się o nich jak o własne dzieci. Zawsze będę twoim dłużnikiem.

Victor zmieszał się i odwrócił głowę, a potem zmusił się, żeby spojrzeć na przyjaciela. Nie cierpiał podobnych sytuacji, ale wiedział, że musi coś powiedzieć.

– Ten dług jest chyba bardziej po mojej stronie. Smokowi łatwo przychodzi stracić panowanie nad sobą i jeśli nie uważa, może na zawsze zatracić się w złości. Pokierowałeś moim życiem. Nie wiem, czy ktokolwiek miał na mnie większy wpływ.

Przez kilka sekund tylko patrzyli na siebie, po czym Yana nie wytrzymała.

– Skoro macie opory, żeby się pocałować, ja zrobię to za niego.

Zaraz też przeszła od słów do czynów. Objęła Victora i pocałowała go w sposób, w jaki raczej rzadko całuje się wujka. Potem puściła go i odwróciła się.

– Anton, ruszaj się. Flota ci ucieknie.

Zilwicki wymienił jeszcze pożegnalny uśmiech z Cachatem i poszedł za nią. Chwilę potem Victor ruszył w drogę powrotną do Neue Rostock.



– A ja? – spytał Anton błagalnie krótko potem. – Nie dostanę całusa?

– Zapomnij. Nie gustuję we władcach krasnoludów. Mój typ to socjopaci z osobowością graniczną. Poza tym zawsze się boję, jak mnie ściskasz.

– Tak? Thandi mogłaby zadusić goryla.

– A twoja stara wygłasza mowy i, co gorsza, ludzie jej słuchają. Czysta psychomanipulacja i nakłanianie do linczu. To straszniejsze niż goryle.



Porywacze zaprowadzili ich do małego pokoju gdzieś w głębi budynku i posadzili na krzesłach. Vittorii wydało się, że to raczej małe pomieszczenie. Czuła, że gdy oczy ma zasłonięte tym upiornym urządzeniem, inne jej zmysły się wyostrajają. Nie wiedziała, jak to

dokładnie działa, ale rzeczywiście była prawie pewna, że wysiedli w jakimś bardzo obszernym wnętrzu, podczas gdy teraz ściany były blisko.

Nie miała pojęcia, jak długo czekali. Słyszała, że przynajmniej jeden porywacz dokądś odszedł, ale inni byli wciąż obok. Gdy ten idiota Xavier znowu próbował coś powiedzieć, ktoś go uderzył. Sądząc po odgłosie, to chyba nawet mocno.

– Od kiedy nie rozumiesz, co znaczy „zamknij się”, debilu? – spytał terrorysta.

Wreszcie ten jeden, który przedtem odszedł, wrócił.

– Dobra, jesteśmy gotowi. Wstawajcie.

Vittorii ulżyło. Wreszcie mogła coś zrobić. Cokolwiek. Któryś z porywaczy chwycił ją za ramię, uniósł z krzesła i dokądś poprowadził. Czowała, że przeszli przez drzwi, a potem pokonali jakiś korytarz. Na końcu były jeszcze jedne drzwi i tam posadzono ją siłą na krześle. Nie dlatego, żeby stawiała opór, ale z zakrytymi oczami poruszała się niezgrabnie.

Kilka sekund później poczuła lekkie uderzenie w czoło i przesłona zniknęła.

Nie zobaczyła jednak wiele poza wycelowanym prosto w jej oczy jasnym światłem. Gdy trochę się z nim oswoiła, przekonała się, że wokół i tak nie ma wiele do oglądania. Pokój miał może dziesięć do dwunastu jardów, niski sufit i gołe ściany, pomalowane na bardzo jasny odcień zieleni. Nie było też chyba okien, a drzwi tylko jedne.

Nie siedziała obok Xaviera i Aleksa, ale naprzeciwko nich, w odległości może trzech jardów. Tamci wciąż stali.

Jeden z porywaczy przyniósł z garażu sprzęt do nagrywania. Trudno było powiedzieć, który tak się trudził, bo wszyscy wciąż nosili

maskowanie. Najwyższy z grupy, który jak dotąd najwięcej mówił, wskazał na sprzęt.

– Przygotuj to – powiedział do Aleksa. – Masz trzy minuty.

– Na to potrzeba pięciu minut!

– Dobrze. Masz sześć. – Wysoki porywacz zerknął na zegarek na ręce. – Jeśli nie zaczniesz potem nagrywać, zabiję cię.

Porywacz nie trudził się wyciąganiem broni, groźba zaś została wypowiedziana tonem stwierdzenia. Vittoria nie od razu ją nawet zrozumiała. A potem znowu się przeraziła.

– Czego ode mnie chcecie? – spytała, wściekła na siebie za własne tchórzostwo, którego jednak nie umiała opanować.

– Chwilowo niczego – odparł porywacz i wskazał na Xaviera. – Ty tam, przygotuj się do małej przemowy.

Tym razem Conde szczęśliwie nie próbował oponować.



Gdy Alex przygotował sprzęt do pracy, porywacz znowu spojrzął na zegarek.

– Cztery minuty trzydzieści sekund. Skłamałeś, ale tym razem ci daruję.

Skinął na innego terrorystę, który ustawił Xaviera jard od Vittorii, dokładnie naprzeciwko kamery. Potem podał mu jakąś kartkę.

– Dobra. Do dzieła.

Xavier oblizwał nerwowo wargi. Przywykł jednak do czytania cudzego tekstu, zaraz więc zaczął:

– Raz jeszcze my z Baletu poczuliśmy się zmuszeni do dania kolejnej lekcji władcom Mesy.

Mimo całego dramatyizmu sytuacji mózg Vittorii odnotował kulawość tego zdania. Jako producent najchętniej zaraz by je poprawiła na: „Raz jeszcze my, członkowie Baletu, poczuliśmy się zmuszeni do udzielenia kolejnej lekcji...”.

Tak się tym przejęła, że słuchała uważnie, co będzie dalej.

– ...wszyscy zrozumiecie, gdy przedstawimy wam dowód na to, jak bardzo jesteśmy zdesperowani. Niech wszyscy, którzy igrają z losem ludu, biorą to pod uwagę.

Dwaj porywacze, którzy stali za nagrywającym Xaviera Alekssem, teraz wysunęli się do przodu. Obaj wyjęli broń.

Dlaczego oni celują we mnie? – pomyślała Vittoria.

Salwa cisnęła jej ciało na podłogę, ochlapując ścianę krwawymi plamami i szczątkami tkanki. Vittoria nie zdążyła już zobaczyć, jak Xavier zaczął wymiotować ani jak jeden z porywaczy próbował zmusić go biciem do dalszego czytania manifestu.

Byłaby jednak zadowolona, ponieważ tym razem Xavier otrzymał naprawdę tęgie lanie.



– Najpierw zabójstwo w naszym garażu, a teraz to! – wykrzyknął François McGillicuddy. – Co tu się dzieje, do kurwy nędzy?

Grace Summers zdołała powstrzymać się przed rzuceniem uwagi, że jej zdaniem odpowiedź jest całkiem oczywista. Poprzestała na czymś znacznie skromniejszym.

– Balet chce zademonstrować wszem i wobec, że może osiągnąć każdego. Zabili naszych ludzi, żeby udowodnić słabość naszej ochrony, a...

– Conde to tylko pieprzony dziennikarzyna! – powiedział McGillicuddy.
– Moja pieprzona babcia ma lepszą ochronę niż on!

Zapewne nie było to dobre porównanie, zważywszy na to, że Genevieve McGillicuddy była członkiem Równania, i to nie szeregowym. Miała doskonałą ochronę. Tyle że jej wnuk mógł sobie tego w ogóle nie uświadamiać, spędziwszy całe życie w kokonie bogactwa.

Szczęśliwie Aidan Crowder przejął pałeczkę.

– To prawda, ale w odróżnieniu od tamtej historii scenę zabójstwa tej biednej kobiety i pobicia dziennikarza wrzucono do sieci. Teraz wszyscy będą o tym mówić. I ich babcie też.

– Pieprzyć wszystkie babcie świata! – McGillicuddy włączył komunikator. – Zeno, chcę natychmiastowego podwojenia ochrony dla wszystkich, którzy mogą tego potrzebować – dokończył trochę nieprecyzyjnie.

Oraz ich babć, dodała w myślach Grace. Nie kusilo jej jednak, żeby powiedzieć to głośno.

ROZDZIAŁ LIV



Janice, mamy problem – powiedział George Vickers. – Trzech moich agentów zaginęło. Lajos Irvine, Borisav Stanković i Fred Martinez. Nie meldowali się już od kilku dni.

Marinescu najchętniej posłałaby go do wszystkich diabłów. Byli w środku imprezy, a ten dupek żołądny zawracał jej głowę podobnym drobiazgiem.

– To dlaczego, cholera... A zresztą. – Przypomniała sobie, że tych trzech było zaangażowanych w jakąś tajną operację. Cały personel Równania na Mesie miał wszczepione znaczniki, ale te czasem zawodziły, gdy dany osobnik znalazł się głęboko w podziemiach albo w jakimś ekranującym sygnał miejscu. Biorąc pod uwagę zakres obowiązków agentów, tak właśnie mogło się zdarzyć. – Poczekaj minutę. – Sięgnęła do własnych zapisków i szybko je przejrzała. Była niemal pewna, że zna odpowiedź, ale musiała to jeszcze sprawdzić. – Dobra, tak myślałam. Żaden z nich nie był przewidziany do Houdiniego. Zakładam, że ich wszczepy medyczne były aktualizowane?

Spojrzała ostro na postać widoczną na ekranie.

– Tak, jasne. Wszyscy moi ludzie przeszli wymianę w ciągu ostatnich dwóch miesięcy.

Specjalne wszczepy medyczne znaczników trzeba było wymieniać raz na rok. Co więcej, jeśli na zbyt długo traciły łączność z systemem, uruchamiały program samobójczy.

– Na tym etapie operacji sądzę, że najlepiej będzie po prostu o nich zapomnieć.

– A jeśli zostali porwani? I poddani przesłuchaniu?

– Przez kogo? Przecież dlatego weszliśmy w tak złożone akcje przeciwko terrorystom, ponieważ bardzo niewielu ich już zostało. Przynajmniej takich zdolnych do czegokolwiek. Ale nawet gdyby znalazła się jakaś tajemnicza grupa chcąca ich przesłuchać, to co z tego? Stanković i Martinez to najniższy poziom. Nie wiedzą niczego, co mogłoby zainteresować naszych przeciwników. To znaczy tych najbystrzejszych, nie wyzwolenców. Wśród nich orłów nie ma. Irvine coś tam wie, ale... – Wzruszyła ramionami. – Dlatego właśnie jego implant ma zabezpieczenie przeciwko serum prawdy.

Nikt nie wtajemniczył nigdy Lajosa w to, jak właściwie zaprogramowano jego implant. Bo i po co? Gdyby został porwany i nafaszerowany narkotykami, lepiej byłoby dla wszystkich, żeby po prostu padł martwy.

– A tortury?

To było już marnowanie czasu, którego ostatnio miała zdecydowanie za mało.

– George, daruj sobie. To rozkaz. Po co w ogóle zacząłeś w tym grzebać? Już niebawem twoja kolej na ewakuację.

Tym razem nie musiała niczego sprawdzać. Dobrze pamiętała wszystkie detale tego planu ewakuacji. Można powiedzieć, że znała je na pamięć.

– Tak, wiem. Ja tylko... – Uniósł ręce. – Dobrze. Jeśli ty tak uważasz, to ja też. Wyłączam się.

Chwilę potem ekran pociemniał.

Marinescu wstała od swojej konsoli i przeszła do sąsiedniej. Normalnie siedziałyby przy niej któryś z jej ludzi, ale teraz w biurze ekipy zawiadującej programem Houdini zostały tylko dwie osoby.

Wywołała status własnej ewakuacji. Bardziej złożonej niż inne, ponieważ w czasie jej odlotu planeta miała już pogrążyć się w chaosie.

Dobrze. Zobaczyła, że jej pojazd został sprowadzony do podziemnego garażu. Powinien być zatankowany i gotowy do lotu.

– Zdrzemnij się trochę, Janice – powiedział Kevin Haas, który właśnie wszedł do pomieszczenia. – Teraz możemy już tylko czekać, nie ma nic więcej do roboty. A przez ostatnie trzydzieści sześć godzin przed odlotem nie będzie pewnie czasu na sen.

Wiedziała, że jej partner ma rację. Niemniej...

Ostatecznie uznała, że dość tej nerwowy. Wstała i skierowała się do małej sypialni centrum.



– Za pierwszym razem trochę ci ułatwię – powiedział mężczyzna. – Odpowiedz mi tylko na jedno pytanie i znowu zostawię cię na kilka godzin. Ale ostrzegam. Jestem dobry w wyczuwaniu kłamstwa. Między innymi dlatego nie używam prochów przy przesłuchiowaniu. Jeśli więc prawdziwa odpowiedź będzie brzmiała „nie”, nie próbuj mówić „tak”. A jeśli „tak”, przyznaj to szczerze. W chwili, gdy skłamiesz, zabiję cię.

Najstraszniejsze było w tym mężczyźnie to, że w ogóle nie starał się straszyć. Największe groźby wypowiadał takim tonem, jakby chodziło o prognozę pogody. Nie emocjonował się, nie podnosił głosu, nie patrzył groźnie. Tylko stwierdzał fakty. No i nigdy nie wyciągał broni, żeby przydać wagi swoim słowom.

Nie musiał. Był pewien, że Lajos zrobi dokładnie to, co powinien, wtedy, kiedy powinien, i tak, jak powinien.

Niemniej Lajos starał się zachować chociaż trochę osobistej godności.

– Nie wyjawiał mi swojego nazwiska. Poprzednim razem też nie.

Nie było sensu dłużej udawać, że nie wiedział nic o tamtym lokalu. Nie wątpił, że mężczyzna powiedział o sobie prawdę.

– Przepraszam, to nie była zamierzona nieuprzejmość. Nazywam się Victor Cachat. Obecnie jestem agentem specjalnym Federalnej Agencji Wywiadowczej Republiki Haven. Wcześniej...

Ale Lajos nie słuchał dalej. Jego najgorsze obawy okazały się rzeczywistością. Był głupcem, że w ogóle zadał to pytanie.

Po fiasku operacji w Green Pines wziął udział w odprawie prowadzonej osobiście przez Collina Detweilera. Był jedyną osobą, która przeżyła spotkanie z dwoma podejrzanymi osobnikami, prawdopodobnie zagranicznymi agentami, stojącymi za całą sprawą. Został odprawiony po złożeniu zeznań, ale wcześniej poznał podstawowe fakty ustalone przez Detweilera i jego zespół.

Cachat. Znowu. Przecież on i jego partner z Manticore mieli podobno zginąć. Jak więc zdołali...?

Z drugiej strony, jaka to różnica? Lajos nie wątpił w tożsamość mężczyzny, podobnie jak we wszystko, co od niego dotąd usłyszał.

Cachat skończył i zamilkł na chwilę.

– Oto pytanie. Oczekuję tylko prostej odpowiedzi „tak” albo „nie”. Wiem, że jesteś członkiem Równania. Dokładniej, że pracujesz w ich strukturach bezpieczeństwa. Nie próbuj nawet zaprzeczać, to bezcelowe.

– A jakie jest pytanie?

– Czy gotów jesteś umrzeć za Równanie? Nie teoretycznie, ale teraz i tutaj.

Cachat spojrzął na czasomierz.

– Ułatwię ci. Daję ci pięć minut na przemyślenie sprawy. Jeśli odpowiedź brzmi „tak”, powiedz to w dowolnie wybranej chwili. Zastrzeżę cię i będzie po wszystkim. Jeśli „nie”, nie musisz nic mówić. Jeśli będziesz milczał do końca tego czasu, po prostu wyjdę. Jednak gdy wrócę, zadam ci kilka kolejnych pytań. – Znowż zerknął na wyświetlacz. – Zaczynam odliczać... Teraz.

Przez kilka następnych minut głowa Lajosa przypominała klatkę-pułapkę z szalejącą w niej przerażoną myszą.

Nie było żadnego wyjścia. Na dodatek...

W końcu zrozumiał, jak bardzo jego wiara w Równanie, jego cele, misję, jak i na pewno metody, osłabła z latami.

Jak bardzo? Tego jeszcze nie wiedział. Ale nie zamierzał już dla niego umierać.

Nic więc nie powiedział. Tylko czekał.

– Czas minął – powiedział Cachat. – Zobaczymy się za kilka godzin. – Rozejrzył się po celi. – Chcesz więcej wody? Jedzenia?

– Nie, wszystko w porządku – odparł Lajos i zaraz zdał sobie sprawę z absurdalności tego stwierdzenia. Nic nie było w porządku. W tej sytuacji... Raz jeszcze spróbował chociaż podratować własną godność. – Pewnie nie macie niczego lepszego do jedzenia?

– Niestety. Nie wiem, czy to poprawi ci humor, ale my jemy to samo. Te garkuchnie... – Pokręcił głową, jakby sam był na siebie zły, i zaraz wyszedł.



We wszystkich wieżach mieszkalnych Neue Rostock ludzie woleli sami sobie gotować. Choć oczywiście w takim tłumie zdarzały się też osoby lubiące zaglądać do rozrzuconych po całej dzielnicy restauracji i kafeterii.

Teraz jednak lokale masowo się zamykały. Kucharze spędzili ostatnie dni, przygotowując trudno psujący się prowiant, który można było przechowywać długo poza lodówką. Dawało się to jeść, ale w najlepszym razie było bez smaku.

Niemniej dla tysięcy ewakuowanych ludzi było to najlepsze możliwe w tej sytuacji pożywienie. Chuanli wyszukiwał dla nich miejsca w innych wieżach, ale szło to powoli, w pierwszej kolejności zaś wysyłano dzieci, starszych i chorych. Niektórzy mieszkańcy Neue Rostock mieli spędzić pod ziemią wiele dni, może nawet parę tygodni.



Ewakuacja przebiegała o wiele sprawniej, niż Thandi oczekiwała. Zdecydowanie nie doceniła autorytetu, jakim Dusek i jego ludzie cieszyli się w Neue Rostock.

Jak doszła szybko do wniosku, zmyliła ją terminologia. Zwykła myśleć o nich jako o „gangu kryminalistów”. Tymczasem oba słowa były tak naprawdę nie na miejscu.

Zacząć trzeba było od tego, że chociaż wiele obszarów działalności Duseka naruszało mezańskie prawo, większości wyzwoleńców ani trochę to nie przeszkadzało. Owa działalność zaś obejmowała szeroko rozumianą rozrywkę, z alkoholem, narkotykami, seksem, hazardem, różnymi walkami, wyścigami i zakładami sportowymi włącznie. Prowadził nawet jedną trzecią bibliotek w dzielnicy.

W porównaniu z wieloma innymi światami, zwłaszcza centralnymi, pojęcie wyzwoleńców o moralności było zapewne dość swobodne, ale

wynikało to z warunków życia. Nawet do zawodów tradycyjnie uznawanych za niemoralne podchodzili w raczej praktyczny sposób. Wiele młodych kobiet i mężczyzn wchodziło na przykład w prostytucję, żeby po paru latach zrezygnować z tego zajęcia bez jakichś szczególnych konsekwencji. Często powodem zmiany fachu było związanie się z kimś poznanym przez serwisy matrymonialne, także prowadzone przez Duseka.

Sprawy socjalne też były nieobce gangowi. Jeśli ktoś potrzebował opieki medycznej i nie było go na nią stać, pierwszym, a często jedynym remedium było zwrócenie się do gangu. O ile ktoś nie podpadł poważnie Dusekowi, mógł liczyć na pomoc. Wprawdzie nigdy nie był to prezent, jednak w naprawdę trudnej sytuacji szef potrafił umorzyć zadłużenie. Wielu rodzinom oszczędziło to tragedii i cierpienia.

Krótko mówiąc, nazywanie Duseka „kryminalistą” było nie całkiem na miejscu. Jeśli nawet był „baronem zbrodni” Neue Rostock, to ważniejsze w tej nazwie było pierwsze słowo.

Termin „gang” był jeszcze bardziej mylący. Organizacja Duseka przypominała raczej małą armię. Dusek miał na swym żołdzie setki ludzi, a dochody tysięcy kolejnych były uzależnione od jego działalności.

Podstawowym powodem, dla którego nikt z sąsiednich bossów nie próbował przejąć władzy w Dolnym Radomsku, była obawa przed zbyt dużym wyrośnięciem konkurentów. Dusek mógłby spokojnie zdusić dowolny gang Dolnego Radomska, a nawet wszystkie tamtejsze gangi równocześnie, ale gdyby on albo ktokolwiek inny spróbował to zrobić, reszta zaraz zjednoczyłaby się, żeby mu w tym przeszkodzić.

To rzeczywiście była raczej „organizacja” niż „gang”. Wyzwolenicy nazywali często ludzi Duseka po prostu „zespołem”.

Tak więc ewakuacja przebiegała całkiem dobrze. Zespół zdołał nawet w sporej części ukryć ją przed obcymi. Ludzie pracujący w miejscach,

gdzie ich nieobecność została szybko zauważona, otrzymali zgodę na pozostanie jeszcze przez jakiś czas na stanowiskach.

Oczywiście taka sytuacja nie mogła trwać długo, zwłaszcza w przypadku ludzi lokowanych w innych wieżach. Jednak jeśli Victor i Anton się nie mylili, cały problem powinien rozwiązać się względnie szybko.

Thandi nie miała w tej kwestii własnego zdania. Ślepo polegała na firmie Cachat & Zilwicki Espionage, Ltd.

W jej opinii to był najlepszy zespół w branży w całej galaktyce.

PAŹDZIERNIK 1922 ROKU PO DIASPORZE

„Mówiąc bardzo delikatnie, żywimy sporo urazy do Równania”.

– Victor Cachat, agent specjalny Republiki Haven

ROZDZIAŁ LV



Są już prawie w strefie – powiedział Kevin Haas.

Janice Marinescu obserwowała lot prywatnego pojazdu na własnym ekranie. Na pokładzie tamtej maszyny znajdował się George Vickers oraz jeszcze dwóch wysokich funkcjonariuszy Równania, także wywodzących się z linii alfa.

Pojazd był już niedaleko lądowiska pod miastem Dobzhansky, ponad sto osiemdziesiąt mil na południowy zachód od stolicy. Tam Vickers i reszta mieli wziąć wahadłowiec na stację orbitalną, żeby wsiąść na pokład statku należącego do Jessyk Combine i opuścić Mesę. To był pierwszy etap ich ewakuacji.

Pierwszy... i ostatni. Wszyscy oni zostali poddani starannej ocenie i wykryto u nich istotne wady w takiej czy innej dziedzinie. W przypadku Vickersa chodziło o skrajny narcyzm i egotyzm, które nie były pożądanymi cechami w jego linii.

W takich przypadkach stosowano metodę sprawdzoną przez tysiące lat hodowania udomowionych zwierząt. Egzemplarze z wadami genetycznymi były usuwane z hodowli.

Ostateczną decyzję podjął dwa dni temu Collin Detweiler. Zrobił to tuż przed swoim odlotem.

– Dobrze... teraz – powiedział Haas.

Marinescu wprowadziła polecenie. Ukryty w przedziale bagażowym maszyny ładunek nuklearny eksplodował.

Moc ładunku wynosiła osiem kiloton, z grubsza połowę mocy bomby „Little Boy”, zrzuconej tysiące lat wcześniej na Hiroszimę. Detonacja nastąpiła na wysokości około pięciuset jardów, czyli niemal tak samo jak w Hiroszynie.

Idealnym wyjściem byłby wybuch na większej wysokości, jednak tor lotu zniżającej się już do lądowania maszyny przebiegał nad boiskiem, gdzie tego dnia rozgrywano mecz między drużynami dwóch miejscowych szkół. Widownie były wypełnione nastoletnimi uczniami i ich rodzinami.

Epicentrum nie znajdowało się dokładnie nad boiskiem, było przesunięte sto jardów na północ od jego granicy. Ale w praktyce nie miało to najmniejszego znaczenia. Z obu boków stadionu ciągnęły się dwa rzędy trzypiętrowych trybun. Ich konstrukcja nośna została wykonana z cerambetu, ale siedzenia i osłaniające przed słońcem zadaszenie już nie. Poza dwudziestoma sześcioma osobami, które znajdowały się w cerambetowych wnętrzach, czyli dziewięcioma dziewczętami, siedmioma chłopcami i dwoma nauczycielami korzystającymi z toalety, trzema dozorcami grającymi w karty w oczekiwaniu na koniec meczu oraz pięcioma uczniami robiącymi zakupy w bufecie, wszyscy obecni zginęli w momencie eksplozji. Najpierw zostali porażeni gorącym kuli ognistej. Po wielu ofiarach zostały tylko cienie na siedzeniach. Potem ich szczątki zostały rozbite w pył przez falę uderzeniową.

Bufet pod południową trybuną był z jednej strony otwarty. Fala uderzeniowa wniknęła tam i zmasakrowała doszczętnie piątkę uczniów. Kilka osób w toaletach i dwóch dozorców w małym kantorku przetrwało eksplozję, ale wszyscy zostali ciężko ranni. Wszyscy też mieli zapaść

niebawem na chorobę popromienną. Ostatecznie przeżyło tylko dwoje z nich, z czego jedna osoba nigdy nie wybudziła się ze śpiączki.

W Dobzhanskym nie było dzielnicy wyzwoleńców. Populacja miasta składała się w całości z pełnoprawnych obywateli. W przeliczeniu na głowę dostarczała więcej policjantów, żołnierzy i pracowników służb porządkowych niż jakiegokolwiek inne miasto na Mesie.

Marinescu, Haas i ich zespół, skompletowany i doglądany przez Collina Detweilera, starannie przeanalizowali wszystkie dane. W każdym batalionie policji, wojska czy innych służb mundurowych było od pięciu do siedemnastu procent funkcjonariuszy, którzy stracili w tej eksplozji przynajmniej jedną bliską osobę.

Nie było lepszego sposobu, żeby wzbudzić wściekłość i pragnienie zemsty w szeregach służb. Zwłaszcza że do tego dochodziły jeszcze reakcje i odczucia przyjaciół tych, którzy kogoś stracili.

Śledztwo wykazało, że dwóch wyzwoleńców, tragarzy ładujących bagaże do pojazdu, gdzieś zniknęło. W ich mieszkaniach zaś znaleziono materiały propagandowe Baletu.

Samych podejrzanych nigdy nie odszukano. Dwie godziny po ich zniknięciu ciała obu trafiły do dezintegratora śmieci, którego zabezpieczenia zostały złamane przez jednego z programistów Równania.

Programista ten był jedną z ostatnich ewakuowanych osób. Dwaj agenci, którzy porwali i zlikwidowali bagażowych, nie byli objęci operacją Houdini. Obaj zmarli niedługo później, gdy ich implanty medyczne na zbyt długo straciły kontakt z siecią.

Jeden z nich doznał udaru mózgu, drugi zawału. Równanie bardzo dbało o dobór przyczyny śmierci w takich przypadkach. Musiała pasować do

dokumentacji medycznej danej osoby, nawet jeśli wcześniej trzeba było tę dokumentację w jakimś stopniu sfałszować.



– Cel Beta gotowy – oznajmił Haas.

Marinescu przełączyła się na kamerę zamontowaną we wnętrzu wielkiej sali widowiskowej na dolnych kondygnacjach wieży Saracen. Właśnie zapowiedziano wystąpienie najważniejszego prelegenta tego dnia obrad.

– Teraz – powiedziała.

Haas wprowadził komendę.

Ładunek zamontowany w podręcznym magazynie sali miał znacznie mniejszą moc niż ten użyty nad Dobzhanskym. Był to typowy ładunek taktyczny, niemniej ściany nośne wieży spotęgowały jego skuteczność. Jak większość wież dla obywateli, także i ta została wzniesiona na planie plastra miodu z grup cerambetowych i pustych w środku kolumn otaczających rdzeń budynku. Kolumny te miały bardzo obszerny przekrój, wynoszący pięćdziesiąt jardów, i olbrzymią wytrzymałość. W zamierzeniu miały przetrwać bez szkody dowolny pożar czy inne katastrofalne zdarzenia, do których ludzie potrafili doprowadzać w dowolnych okolicznościach. Rdzeń tworzyło sześć takich kolumn ustawionych wokół centralnego szybu o średnicy pięćdziesięciu jardów. Był on w pełni dostępny dla małych pojazdów latających. Otaczało go atrium o szerokości trzydziestu jardów, przeznaczone dla ruchu pieszego i niewielkich pojazdów elektrycznych, przemykających pod wysoką na milę ścianą atrium. W regularnych odstępach przecinały je zawieszane ścieżki dla pieszych i przejazdy, dzięki którym masywna konstrukcja wydawała się wręcz lekka. Na zewnątrz otaczał ją drugi pierścień kolumn z własnym atrium, a potem jeszcze kolejny.

Pierścienie były łącznie cztery, stąd cała wieża miała prawie dziewięćset jardów średnicy i milę wysokości. Wszystkie kolumny były z cerambetu, podobnie jak i stropy każdej ze stu pięćdziesięciu kondygnacji. Gdyby chcieć zbudować to samo z litego granitu, to aby osiągnąć analogiczną wytrzymałość, wszystkie ściany i stropy musiałyby być ponad trzy razy grubsze.

Niemniej poszczególne kolumny i ich grupy były połączone pomostami, drzwiami, szybami grawitacyjnymi, awaryjnymi klatkami schodowymi i tysiącami różnych przewodów, potrzebnymi do funkcjonowania tak olbrzymiego, nowoczesnego budynku. Sala widowiskowa znajdowała się w drugim pierścieniu, około sześciuset jardów od zewnętrznej ściany wieży. Fala uderzeniowa wdarła się do każdego z przylegających pomieszczeń, ale dalej nie była w stanie już sięgnąć. Efekt był podobny jak przy podziemnych testach broni atomowej. Eksplozja, mająca tylko jedną dziesiątą mocy tego, co zdetonowano nad Hiroszimą, zdemolowała kondygnacje bezpośrednio nad salą i te poniżej i przeniknęła gorącem oraz falą uderzeniową do dwóch sąsiednich kolumn, centralnego szybu oraz atrium, niemniej nie dotarła do zewnętrznej ściany budynku. Tam nie wypadło ani jedno okno.

Wewnątrz sprawa wyglądała jednak poważnie. Wszyscy obecni w sali widowiskowej, czyli 1463 osoby, zginęli natychmiast. To samo dotyczyło każdego znajdującego się na siedemdziesięciu piętrach kolumny powyżej sali ulokowanej na czterdziestym poziomie. Poniżej fala uderzeniowa zebrała obfite żniwo śmierci w atrium, wśród przechodniów i ludzi siedzących w różnych lokalach. Jak to zwykle bywa, gdy eksplozja ma miejsce w zamkniętej przestrzeni, zwłaszcza z cerambetowymi ścianami i stropami, kaprys losu oszczędził sześć osób na dziewiątym piętrze kolumny oraz sto dwanaście na ósmym i ponad dwieście na siódmym.

Poniżej siódmego odnotowano tylko niezagrażające życiu obrażenia, ale pomiędzy jedenastym i setnym nie przetrwał nikt. Sporo ofiar było też w kolumnach przylegających oraz najbliższych po drugiej stronie atrium.

Łącznie zginęły 9942 osoby. Kolejne 702 zmarły później na skutek odniesionych ran.

Odbywające się w sali spotkanie było sponsorowane przez Bateson University. Głównym prelegentem miała być wicedyrektor Działu Badań Naukowych. Jej wystąpienie nosiło tytuł „Projekt finansowania badań na rok 1923”.

Mesa straciła właśnie kwiat swojego środowiska akademickiego.

Później występować miała także Lisa Charteris. Zgodnie z oficjalną informacją powinna zjawić się na spotkaniu wprost z tygodniowej podróży służbowej do instytutu badawczego na wyspie McClintock. Jej mąż Jules wchodził właśnie do sali, gdy doszło do eksplozji. Chciał zobaczyć się z żoną, z którą od tygodnia nie miał kontaktu, co było normalną procedurą stosowaną w odległym instytucie.

Jules został zaproszony na spotkanie przez szefa Lisy, oczywiście na polecenie Collina Detweilera. Równanie dbało o wszystkie szczegóły. Lisa miała ewentualnie dowiedzieć się o śmierci męża dopiero lata później, gdy upływ czasu zmniejszyłby już szok, jak i samą pamięć o tym potwornym zdarzeniu.

W sali miało być też wielu innych naukowców, którzy w rzeczywistości nawet się tu nie pokazali. Wszyscy oni opuścili Mesę już wcześniej w ramach operacji Houdini.

Niemniej zgodnie z ocalałymi zapisami brali udział w spotkaniu. I tylko to było pewne, ponieważ eksplozja wypaliła wszystko do gołego cerambetu

i nikt nie potrafił udowodnić, kto naprawdę przebywał wtedy we wnętrzu sali.



– Cel Gamma. Teraz.

Marinescu wprowadziła kolejne polecenie i wielkie centrum handlowe w jednej z zamieszkanym przez obywateli wież stało się miejscem kolejnej eksplozji, tym razem o mocy przekraczającej nieco jedną kilotonę.

Wyszło gorzej, niżby mogło, ponieważ ludzie kończyli już lunch, a wieczorne tłumy jeszcze się nie pojawiły, niemniej akcja musiała zostać przygotowana w bardzo krótkim czasie. Mimo tych trudności na miejscu zginęły 11 103 osoby. Niemal drugie tyle zmarło w ciągu kilku dni z powodu choroby popromiennej i poparzeń.

Wśród tych, którzy ocalili, była Christina, matka Zachariaha McBryde'a, i jego młodsza siostra Arianne. Planowały zakupy, ale dopiero wieczorem, po obiedzie.

Obie mieszkały w wieży Dedrick, która znajdowała się dość daleko, żeby nie ucierpieć na skutek eksplozji. W mieszkaniu Christiny ledwo lampy się zakołysały. Arianne straciła kilka kruchych przedmiotów stojących na półkach, jednak nic gorszego się nie stało.



– Delta gotowa.

– Teraz.

To była wielka bomba o mocy dwunastu kiloton. Ekspłodowała pośrodku wielkiego parku rozrywki leżącego na przedmieściach stolicy.

W chwili eksplozji oraz krótko potem straciło życie ponad pięćset osób. Kolejne tysiąc sto umarło później. Sto dwie spośród rannych nigdy nie wróciły w pełni do zdrowia.

Niemal wszyscy pracownicy Blue Lagoon Park byli mieszkańcami okolicznych przedmieść, podobnie jak i większość gości. I to również była okolica, w której wiele osób wybierało karierę w służbach mundurowych, chociaż nie był to aż taki odsetek jak w Dobzhanskym.

Według obliczeń specjalistów Równania odsetek formacji militarnych i policyjnych dotkniętych w taki czy inny sposób utratą bliskich czy kolegów powinien w tym przypadku wynosić od siedmiu do dwudziestu dwóch procent, zależnie od rodzaju służby.



– Epsilon.

– Miejmy nadzieję... Tak. Niewypał, ale to zgodnie z planem.

To był kolejny wielki ładunek, trzynaście kiloton. Był też wielki w dosłownym sensie, długi na trzy jardy, niemal na dwa szeroki i na dwa wysoki. Cała instalacja ważyła blisko pięć ton.

Bomba nie eksplodowała, co nikogo nie zdziwiło, była bowiem czysto amatorskiej konstrukcji. I dobrze się stało, bo została podłożona w garażu wieży mieszkalnej. Gdyby wybuchła, liczba ofiar sięgnęłaby dziesiątków tysięcy.

Pięciu robotników, który pracowali w warsztacie, zniknęło bez śladu i nigdy ich nie znaleziono. Równanie już o to zadbało.

Niemniej to oni zostali oczywiście oskarżeni o przygotowanie zamachu. Śledztwo ustaliło, że kierujący ekipą wyzwoleniec, niejaki Sepp Richter, uczęszczał na kursy fizyki w małym liceum przeznaczonym dla ludzi jego

stanu. Oczywiście miał w kompie materiały propagandowe Baletu, podobnie jak jeszcze dwaj jego ludzie. To samo znaleziono na szkolnym komputerze przypisanym do nauczyciela fizyki.

Którego też nie udało się odszukać.



W dokumentach przewozowych kontener został opisany jako zawierający akwarium przeznaczone dla firmy prawniczej, zapewne jako dekoracja do poczekalni.

Kierowca, który jak większość ludzi w tym fachu był wyzwolencem, nie miał powodu kwestionować prawdziwości dokumentu. Zresztą i tak nie miał prawa sprawdzać zawartości przewożonych kontenerów.

Nie widział też nic podejrzanego w poleceniach, które otrzymał w związku z dostawą. Firma mieściła się na 468 piętrze wieży Rasmussen, jednego z najbardziej luksusowych budynków mieszkalnych stolicy. Podczas dostarczania przesyłek pod taki adres ciężarówki mogły korzystać z przestrzeni powietrznej zastrzeżonej dla przewozów pasażerskich.

Tyle że musiały trzymać się linii wyznaczonych dla ruchu komercyjnego.

Pierwszym znakiem, że coś jest nie tak, było nagłe usamodzielnienie się jego rąk, które wbrew woli kierowcy skierowały pojazd na bok, całkowicie ignorując przy tym automatyczne sterowanie. Zaraz też rozległ się alarm.

„Brak pozwolenia na ręczne starowanie w tym obszarze. Natychmiast przywrócić automatyczne sterowanie. Ostrzeżenie. Niezastosowanie się będzie ukarane grzywną...”

Jednak ku wielkiemu przerażeniu kierowcy jego ręce nadal go nie słuchały i robiły swoje, prowadząc ciężarówkę prosto na najbardziej

zatłoczone pasmo. Jedynym, co mogło teraz zapobiec zderzeniom, były indywidualne programy antykolizyjne pojazdów. Niemniej przy takim natężeniu ruchu...



– Zeta gotowy.

– Odpalam... Teraz.

Ten ładunek też był taktyczny, ale duży, o mocy około trzech kiloton. Wszystkie pojazdy w pobliżu ciężarówki natychmiast zostały zniszczone. Objęte kulą ognistą po prostu wyparowały, trochę dalsze rozpadły się na drobne kawałki, a pasażerowie wraz z nimi.

Pojazdy znajdujące się poza bezpośrednią strefą rażenia przetrwały, ale ich pasażerowie rzadko mieli tyle szczęścia. Fala uderzeniowa rozrzuciła je z wielkim impetem, ciskając na ściany budynków oraz inne maszyny. Często na jedno i drugie. W centrum odległości między wieżami były mniejsze niż na peryferiach i przestrzenie między nimi były niczym wąskie kaniony. Pojazdy nimi niesione przypominały kamyki w wartkim nurcie strumienia. Tak długo obijały się o różne przeszkody, że ostatecznie rozpadały się na kawałki.

Liczba zabitych nie była tak wysoka jak w Dobzhanskym czy parku rozrywki, ale zdecydowana większość ofiar rekrutowała się z różnych elit mesańskiego społeczeństwa, z racji charakteru kataklizmu zaś większości ciał nigdy nie udało się zidentyfikować.

Oczywiście poza osobami znanymi zginęły tego dnia tysiące zwykłych ludzi. Ale ilu z nich naprawdę znajdowało się wtedy w centrum handlowym? Czyje dokładnie cienie pozostały na stadionie czy w parku rozrywki? Kto dokładnie zginął w miejskiej dolinie śmierci?

Nie było sposobu, żeby to ustalić. Nikt nie był w stanie dowieść czyjejs śmierci w tych zamachach. Ani odwrotnie, że tej osoby w ogóle tam nie było.

Firma przewozowa sprawdziła oczywiście, kto był odpowiedzialny za tę konkretną dostawę. Przeszukanie mieszkania kierowcy ujawniło obecność materiałów propagandowych Baletu.



- Dobra, Janice. Wynosimy się.
- Sekundę... Jest, nastawione. Idziemy.



Sześć minut później z położonego kilka mil dalej garażu wystartował samochód, który wziął kurs na północ. Na horyzoncie widać było grzyb górujący ciągle nad ruinami parku rozrywki.

Dziewięć minut później doszło do eksplozji ładunku eta. Centrum kontroli programu Houdini zniknęło bez śladu, a wraz z nim całe otaczające je miasteczko.

Haldane było podmiejskim osiedlem, położonym wśród łagodnych wzgórz na wschód od miasta. Dominowała w nim niska zabudowa willowa, chociaż niektóre domy były nawet całkiem spore. Na stałe mieszkało w nim tylko dwa i pół tysiąca ludzi, ale zwykle przebywało ich tu co najmniej dwa razy więcej. Osiedle było zacisznym schronieniem dla tych mieszcuchów, którzy chcieli chociaż na chwilę uciec od zgiełku, przy czym i tutaj dominującą grupę stanowili członkowie klasy wyższej, którzy stęsknili się za niedostępną im na co dzień anonimowością.

Tutaj nawet największy celebryta mógł przyjechać bez ryzyka, że ktoś będzie zwracał na niego większą uwagę. Oficjalnie zaś w ogóle go tu nie

było. Księgi meldunkowe hoteli były regularnie każdego ranka dokładnie kasowane. I to niezależnie od faktu, że królowały w nich tak pospolite nazwiska, jak Smith, Johnson, Williams czy Brown.

Ładunek eta był największy ze wszystkich. Czterdzieści pięć kiloton detonowanych na poziomie gruntu.

Zdecydowana przesada jak na cel tych rozmiarów. Osiedle dosłownie zniknęło z powierzchni ziemi.

ROZDZIAŁ LVI



Atmosferę panującą w sali konferencyjnej zapewne najlepiej określiłoby sformułowanie „pełna niepewności”, ale niewiele dzieliło ją od zwykłego strachu. Wszyscy siedzący przy okrągłym stole świetnie wiedzieli, ile przerażenia, cierpienia i wściekłości wywołały niedawne zamachy. Zdawali sobie z tego sprawę tym lepiej, że mieli pełny dostęp do informacji o skali zniszczeń i ofiar. Mieli też świadomość, że to może nie być koniec kłopotów.

Bryce Lackland, szef Dyrektoriatu Kultury i Informacji, zdołał utajnić rzeczywistą liczbę ofiar eksplozji w wieży Saracen i eksplozji ciężarówki między wieżami Masten i Rasmussen, ale nie suche dane były tu najgorsze. Sprawę pogarszało znacznie to, kto zginął. Utrata śmietanki środowiska naukowego Mesy była niewątpliwie bolesna, ale jeszcze dotkliwsze skutki mogła mieć śmierć aż tylu członków rodzin funkcjonariuszy służb mundurowych.

– Mówię wam, że wysłanie do akcji ludzi z Biura Bezpieczeństwa Publicznego, a jeszcze bardziej tych z Dyrektoriatu Bezpieczeństwa, to nie jest dobry pomysł – powiedziała z przejęciem Brianna Pearson. – Musimy sprowadzić jednostki spoza okręgu stołecznego!

– Nie ma na to czasu! – odwarknęła Regan Snyder i Pearson spojrzała na nią gniewnie. – Musimy działać od razu i zdecydowanie – dodała z pasją czarnowłosa Snyder. – Zbyt długo pobłażaliśmy tym cholernym

wyzwoleńcom i proszę, jak to się zemściło! Pora wyjaśnić im, gdzie jest ich miejsce, i to tak, żeby na pewno zrozumieli!

Pearson ani na chwilę nie spuszczała palącego spojrzenia ze Snyder, ale kątem oka zerknęła na Brandona Warda, przewodniczącego Rady Najwyższej Mesy. Niestety, chyba jednak nie miała w nim sojusznika.

Ward był wysokim i jasnowłosym mężczyzną z szarymi oczami i wydatnym podbródkiem. Miał sylwetkę sportowca, utrzymywaną dzięki częstej grze w piłkę ręczną, i starał się roztaczać wokół siebie aurę człowieka dysponującego prawdziwą władzą. W rzeczywistości to nie on podejmował istotne decyzje. Rada już dawno temu określiła, ile naprawdę mu wolno, i obecnie był tak naprawdę administratorem Mesy. Jego władza była pozorna. Snyder, chociaż oficjalnie występowała „tylko” jako sekretarz handlu, była przedstawicielką Manpower, Inc, przypisaną do Rady.

I Ward świetnie o tym wiedział.

Snyder mierzyła sześćdziesiąt dziewięć cali i była niemal równie atletycznej budowy jak Ward (choć jej ulubione sporty miały więcej wspólnego z sypialnią niż boiskami), urodę zaś zawdzięczała biomodyfikacjom oraz dobrym genom, które były odpowiedzialne za czarne włosy oraz błękitne oczy. Oczywiście wspomniane geny zostały starannie dobrane przez jej rodziców. Jej własnym dodatkiem były stylowe tatuaże oraz piercing. Miała obecnie pięćdziesiąt jeden lat i była o czterdzieści lat młodsza od Warda, niemniej oboje należeli do trzeciego pokolenia poddanego prolongowi, więc różnica wieku nie rzucała się w oczy. Co ich natomiast różniło, to fakt, że Snyder należała do Nowej Loży, zrzeszającej elitę Mesy czy też tę jej część, która lubiła chełpić się pozycją i władzą. Pearson miała to za przejaw głupoty. Balet polował szczególnie na członków Loży, zwłaszcza na tych bezpośrednio związanych

z Manpower. Snyder była zastępcą szefa operacji Manpower w układzie Mesy, co czyniło ją szczególnie atrakcyjnym celem, nawet pomijając jej ostentacyjnie aroganckie i pełne pogardy podejście do ludzi.

Z drugiej strony, Pearson musiała jednak uznać, że skoro ktoś został wiceszefem działu operacyjnego, to chyba jednak nie mógł być ograniczony. Skoro miała już taką pracę, to nie mogła marzyć o spokoju. Dlaczego więc miałyby odmawiać sobie dodatkowych bonusów związanych z pozycją.

Niemniej w pewnych kwestiach i tak pozostawała głupia jak but z lewej nogi.

– Sądzę, że Brianna trafiła w sedno – powiedział Jackson Chicherin. Jego spokojny, akademicki ton kontrastował mocno z pełną emocji mową Snyder. Sekretarz handlu zostawiła Pearson i skupiła swoją złość na nowym obiekcie, jednak on tylko wzruszył ramionami. – Sytuacja jest już wystarczająco zła i nie ma co jej pogarszać. Jeśli pozwolimy naszym służbom ruszyć na dzielnice wyzwoleńców i nie sprowadzimy do stolicy oddziałów z zewnątrz, skończy się to krwawą łaźnią. Zbyt wielu ludzi straciło bliskich i przyjaciół. Niektórzy z nich będą dążyć do zemsty i jeśli nie zdołają wyrzucić jej na autentycznych autorach zamachów, skierują swoją nienawiść przeciwko dowolnej, osiągalnej dla nich grupie.

Snyder przyjrzała się Chicherinowi w taki sposób, jakby zamierzała spalić go spojrzeniem. Po części wynikało to z faktu, że uważając się za drapieżnika między drapieżnikami Snyder, od lat z całą bezwzględnością wspinała się po szczeblach kariery, gardziła kimś, kto był w pierwszym rzędzie pracownikiem naukowym. Bardzo zdolnym i bogatym, a do tego piastującym stanowisko wiceprezesa Działu Badań i Rozwoju w Radzie Planowania Genetycznego, ale nadal naukowcem, z cholernie akademickim spojrzeniem na świat.

– Może należy upuścić trochę krwi – powiedziała lodowato i ogarnęła salę równie chłodnym, gadzim spojrzeniem. – Osobiście uważam, że powinniśmy zabić ich wszystkich. Zrównać ich przekłete wieże z ziemią i raz na zawsze załatwić sprawę! – dodała, potwierdzając zdanie Pearson na temat jej inteligencji. Albo zdolności zarządzania kryzysem, skoro o fachowości mowa.

– Oszalała pani – powiedziała spokojnie Pearson. Snyder zaczęła ciskać gromy oczami, ale Pearson jawnie to zlekceważyła. – Jeśli chce pani zniszczyć całe miasto Mendel, to proszę bardzo. Tylko w takim razie ja wyprowadzam się na wieś. Czy ma pani choć blade pojęcie, co może zrobić broń kinetyczna z nowoczesną wieżą mieszkalną? Czy choćby którymś z wielkich wieżowców wyzwoleńców? To spowoduje wielkie straty wokół i nie będą one wcale „skutkami ubocznymi”.

– Zbyt długo odkładaliśmy rozwiązanie problemu wyzwoleńców – powiedziała Snyder. – Już sama zgoda na ich wyzwolenie była błędem, za który płacimy do dzisiaj. Pora położyć temu kres, i to raz na zawsze, bo jeśli tego nie zrobimy, wówczas gwarantuję wam, że zobaczymy tego więcej. I niech wam się nie wydaje, że to nie rozpełźnie się z czasem i na niewolników. Czy użyjemy broni kinetycznej, czy nie, moje wcześniejsze zdanie nie traci na aktualności. Musimy rozlać tyle krwi, żeby zapędzić tych drani z powrotem do ich nor, i niech nie wychodzą stamtąd przez następne sto lat!

– Jedyne, co osiągniesz w tej chwili, jeśli wypuścisz nasze służby na wyzwoleńców, to będzie monstrualna masakra! – powiedziała ostrym tonem Pearson. – Nie trzeba nam teraz takiej krwawej łaźni!

– Dlaczego? – spytał François McGillicuddy i Pearson nie udało się nie wznieść oczu do nieba.

McGillicuddy był starszym członkiem rady firmy inwestycyjnej Atkinson, McGillicuddy & Shivaprakash z oddziałami na wielu ważnych planetach Ligi Solarnej. Był też sekretarzem bezpieczeństwa, które to stanowisko zostało przypisane do AM & S po długich negocjacjach między Manpower i Jessyk Combine, zakończonych powodzeniem tylko i wyłącznie dzięki manipulacjom Snyder. Co determinowało jego poglądy, niemniej przy zajmowanym stanowisku popisywanie się nimi było co najmniej niestosowne.

Pearson była mesańskim wiceszefem Działu Operacyjnego Technodyne Industries, co wyjaśniało, skąd wzięła się w składzie Rady Najwyższej. Technodyne poniosło spore straty, tak finansowe, jak i wizerunkowe, na skutek bitwy o Monicę. Część z nich już odrobiło, dostarczając Solarian League Navy nowy pocisk dalekiego zasięgu o nazwie Cataphract. Niemniej pozycja firmy w Radzie nadal była słabsza niż kiedyś, z czego Pearson aż za dobrze zdawała sobie sprawę. Zaczynała jednak karierę w dziale promocji, zajmowała się publicznym wizerunkiem firmy, co dawało jej trochę inną perspektywę, dzięki której dużo lepiej niż wiele innych osób w Radzie rozumiała, jakie mogą być skutki tego, o czym rozmawiali. Wszystko w niej krzyczało, żeby tego nie robić. Zwłaszcza gdy słuchała takich ludzi jak Snyder czy McGillicuddy.

– Regan ma rację – powiedział McGillicuddy, dowodząc słuszności lęków Pearson. – Musimy przekazać im jednoznaczną wiadomość. Co więcej, trzeba też zadbać, żeby dotarła ona do niewolników. I to teraz, zanim przesiąkną propagandą Baletu. Bóg jeden wie, co im wówczas strzeli do głowy!

Jego szare oczy płonęły świętym ogniem jak oczy Snyder, chociaż było w nim chyba więcej strachu niż złości. Pearson podejrzewała, że Snyder nie czuła się jeszcze osobiście zagrożona. Była zbyt arogancka z natury

i nazbyt przywykła do wiary w skuteczność własnych środków ostrożności, żeby uwierzyć w istnienie maszyny piekielnej wycelowanej konkretnie w jej osobę. McGillicuddy zaś naprawdę zaczynał się obawiać buntu wyzwolenców i niewolników i narastało to w nim od czasu Green Pines. Ostatnie wydarzenia zdawały się uzasadniać jego obawy i teraz pewnie drżał, zastanawiając się, gdzie jeszcze terroryści zdecydują się uderzyć. Ich celem mogła stać się na przykład Regan Snyder, osoba bardziej nawet nienawiedzona niż sekretarz bezpieczeństwa. Ale o nim też mogli myśleć. Udany zamach na osobę odpowiedzialną za zapobieganie aktom terroru byłby sporym sukcesem propagandowym.

– Pomyślcie tylko – powiedziała Pearson, starając się utrzymać rzeczowy ton. – Nie twierdzą, że nie powinniśmy podejmować żadnych działań. Nie twierdzą nawet, że przekazanie wyzwolencom „wiadomości” to zły pomysł. Mówię tylko, że mamy już dość kłopotów i nie potrzebujemy dokładać do nich powszechnego potępienia dla naszych metod radzenia sobie z kryzysem.

– Nie wygłupiaj się, Brianno! – rzuciła kpiąco Snyder. – Jesteśmy na Mesie, zapomniałaś? Każdy prawy bojownik w galaktyce przedstawia nas od czterech czy pięciu wieków jako najgorsze czarne charaktery wszechświata. I tak traktują nas jak trędowatych i rozbicie paru zakutych łbów nie zdoła tego pogorszyć.

– Owszem, Manticore i Haven opowiadają bzdury na temat naszej roli w ataku na Manticore. Na dodatek próbują przekonać wszystkich, że to my zmanipulowaliśmy Ligę, nakłaniając ją do zaatakowania Manticore. To cudaczne pomysły i tylko kretyń mogłoby w to uwierzyć. Jednak jeśli odpowiemy na te wszystkie kłamstwa wielkim rozlewem krwi, damy im sposobność, którą wykorzystają przeciwko nam. Cokolwiek zrobimy, i tak będzie źle, jednak stopy trupów to potężny oręż propagandowy i możemy

być pewni, że oni je wykorzystają. Sami pomożemy im wykreować nasz skrajnie negatywny wizerunek, dzięki któremu ich kłamstwa zaczną się lepiej sprzedawać. W ten sposób naszym przyjaciółom w Lidze Solarnej będzie znacznie trudniej nas wesprzeć, gdy Manticore i Haven zdecydują się zaatakować Mesę wprost. Po tym, jak bardzo osłabili Battle Fleet, taka akcja nie będzie dla nich niczym wielkim. I nie zapominajcie, że mamy tu jeszcze tę dziwkę O'Hanrahan. Zaraz zaczniesz tropić wszystkie „niegodziwości” popełniane przez nasze służby i krzyczyć o nich na całą Ligę. Nie macie pojęcia, jak wielki jest jej wpływ na solarną opinię publiczną. Nie przegapi okazji, żeby go wykorzystać.

Chicherin obserwował pozostałych członków Rady Najwyższej z rosnącym obrzydzeniem, którego jednak starał się nie okazywać. Należał do linii alfa i jego rodzina była od pokoleń związana z Równaniem. Podobnie jak wielu jego członków, serdecznie nie cierpiał Manpower i instytucji genetycznego niewolnictwa.

Z punktu widzenia biznesowego Mesa była dla Rady Planowania Genetycznego prawdziwym kamieniem u szyi. Przez wielu określana jako „ludzka twarz Mesy”, świadczyła mniej więcej te same usługi co firmy genetyczne na Beowulfie. Naginała czasem, a z rzadka i obchodziła przyjęte na Beowulfie zasady etyczne, ale między innymi dzięki temu stworzyła najlepsze modyfikacje genetyczne dla kolonistów planet o szczególnie wymagającym środowisku. Niestety, wielu potencjalnych klientów, którzy w innych okolicznościach zwróciliby się do niej, wolało tego nie czynić z przyczyn moralnych oraz obawy, że zamówione przez nich modyfikacje okażą się jakoś „skażone” przez Manpower. Chicherin nigdy nie przyznawał tego głośno, ale niektóre ich prace rzeczywiście były oparte na dorobku badawczym laboratoriów Manpower. Czasem budziło to w nim obrzydzenie, ale badania to badania. Nawet jeśli sam nigdy nie

poprowadziłby tamtych programów, nie umiał znaleźć wystarczającego pretekstu, żeby odrzucić ich wyniki.

Niemniej instytucjonalizacja idei, że jakaś część ludzkiej rasy może być gorsza od innej i tym samym należy ją z zasady uznać za „podludzi”, budziła w nim zdecydowane obrzydzenie. Podobnie jak praktyka, zgodnie z którą takim istotom odbierano prawo do godności i wszystkie inne prawa przynależne człowiekowi. Z zawodowego punktu widzenia nie znajdował absolutnie żadnego uzasadnienia dla przesądów, które doprowadziły do obecnej sytuacji. Niewolnicy genetyczni rzeczywiście byli projektowani dla specyficznych celów, ale poza tym byli tak samo ludzcy jak wszyscy inni i bigoteryjne zaprzeczanie temu prostemu faktowi nie było w żadnym przypadku wyborem moralnym, tylko przejawem głupoty i ignorancji.

Był przekonany, że także działalność Rady Planowania Genetycznego na polu popularyzacji modyfikacji genetycznych cierpiało mocno na skutek instytucji genetycznego niewolnictwa. Wzmacniało ono przesady dotyczące inżynierii genetycznej, która jako dziedzina pozornie bliska niewolnictwu bywała potępiana na równi z nim.

A teraz doszło jeszcze to. Naprawdę chciało mu się płakać. Nie darzył Baletu sympatią. Uważał, że nawet najgorszy los nie dawał niewolnikom *carte blanche* w sięganiu po równie okrutne metody co oprawcy. Trudno mu było jednak winić Balet za nienawiść i zrodzoną przez tę nienawiść taktykę. Owszem, bolał po śmierci wielu kolegów, którzy zginęli w wieży Saracen, i odczuwał palącą złość na terrorystów, ale czy upuszczenie całych rzek krwi mogło choć trochę poprawić sytuację? Nie było w stanie zapobiec kolejnym, już zaplanowanym zapewne zamachom, a w przyszłości napędzi tylko terrorystom nowych rekrutów. O wiele więcej, niż Snyder czy McGillicuddy byliby skłonni przypuszczać, skoro kompletnie zignorowali

słowa Pearson na temat tego, ile zyskają propagandowo przeciwnicy Mesy, jeśli dojdzie do tak okrutnego aktu państwowej przemocy!

Niemniej i tak wiedział, jak to się skończy. Snyder była najpotężniejszą członkinią Rady. Manpower spędziło wiele lat, umacniając sojusze pomiędzy korporacjami, które wyznaczały jej członków. Miało na dodatek trzydzieści procent udziałów w Noroguchi Nanotech i Cybercom of Mesa, nie wspominając o oficjalnie ogłoszonej własności Jessyk Combine. To dawało Snyder olbrzymi wpływ na wszelkie decyzje. Mając jeszcze poparcie McGillicuddy'ego, mogła ostatecznie przewalczyć swoje.

Niestety, miał całkowitą rację.



– Dobra. – McGillicuddy usiadł ze zdecydowaną miną za biurkiem, mając naprzeciwko holograficzne podobizny komisarza Bentleya Howella i komisarz Fran Selig. – Rada dała zielone światło dla operacji odszczurzenia. Czego potrzebujemy, żeby zacząć, i jak szybko możemy to zrobić?

– To zależy, jak mocno chcemy w nich uderzyć – odparł Howell.

Przystojny i ciemnowłosy Howell był dowódcą Dyrektoriatu Bezpieczeństwa, który od czasu nadmiernie entuzjastycznej reakcji po Green Pines zwany był czasem Dyrektoriatem Niebezpieczeństwa. Technicznie rzecz biorąc, był to tylko oddział Biura Bezpieczeństwa Publicznego, które miało oczywiście jeszcze wiele innych oddziałów i ogólnie zatrudniało więcej ludzi niż jakakolwiek inna agenda rządowa na Mesie. Potrzebowało kadr, bo wbrew nazwie była to najbardziej opresyjna instytucja, podległa jedynie prokuratorowi bezpieczeństwa publicznego oraz, z pominięciem całego aparatu prokuratury, samemu sekretarzowi bezpieczeństwa. Prokurator uczestniczył niestety w meczu piłki nożnej na

stadionie w Dobzhanskym, gdy doszło tam do wybuchu atomowego. Póki co, McGillicuddy przejął więc dodatkowo obowiązki prokuratora bezpieczeństwa publicznego i dlatego właśnie miał okazję rozmawiać z Howellem i Selig, która jako szef Biura Bezpieczeństwa Publicznego była przełożoną Howella. Przynajmniej nominalnie, ponieważ Dyrektoriat Bezpieczeństwa podchodził niekiedy dość kreatywnie do otrzymywanych poleceń, jeśli się z nimi nie zgadzał.

Selig była niską kobietą, mierzącą ledwie sześćdziesiąt dwa cale, z granatowymi włosami i intensywnie zielonymi oczami. W jej rodzinie obecne były jednak jeszcze inne, mniej widoczne modyfikacje genetyczne, dzięki którym Selig była o wiele silniejsza i twardsza, niż mogłoby się wydawać. Miała też dużą wprawę w intrygach i manipulacjach biurowych, chociaż nie udało się jej jak dotąd nałożyć Howellowi porządných cugli. Dyrektoriat Bezpieczeństwa pozostawał osobnym królestwem i obleczona w ciężką rękawicę dłoń z uniesionym sztyletem całkiem wiernie oddawała ten status. Gdy nie wystarczały neurobaty, armatki wodne i gaz łzawiący, Biuro Bezpieczeństwa Publicznego wysyłało tych, którzy potrafili użyć czegoś więcej.

– A jak mocno ty chciałbyś uderzyć, Bentley? – spytał McGillicuddy. – Mają zostać zmiażdżeni. Wyzwoleńcy mają dostać takie lanie, żeby już nigdy nie pomyśleli o podniesieniu głowy.

– Rozumiem, że nie chodzi zatem o nabicie paru guzów?

McGillicuddy parsknął.

– Mówię o rozwalaniu głów salwami z pulserów – odparł zwykłym tonem i Selig przytaknęła.

Jeśli była zdumiona, nie okazała tego. Od pewnego czasu oczekiwała podobnej decyzji. Jej mundurowi już od wczoraj rozbili trochę głów i była jak najbardziej za przejściem na wyższy poziom.

– Czy mam ruszyć moich ludzi od razu? – spytał Howell.

– Nie tak od razu. – McGillicuddy pokręcił głową i wskazał na Selig. – Najpierw twoi ludzie mają zapędzić szczury z powrotem do kryjówek. Gdy będą już tam wszyscy siedzieć, ludziom komisarza Howella łatwiej będzie ich znaleźć i tak się nimi zająć, żeby ocalali jasno zrozumieli, czego od nich oczekujemy. Czy wszystko jest oczywiste?

– Tak. – Selig uśmiechnęła się lodowato. – Już się do tego zabieramy.



– Co się dzieje? – spytał Lajos Irvine. – Słyszałem, czy raczej wyczułem, jakby eksplozję gdzieś w pobliżu.

Victor Cachat potrząsnął głową.

– To nie było blisko. A poczułeś to, bo to wybuchy atomowe. Mówią, że sześć. W serwisach podają, że ofiary idą w dziesiątki tysięcy. W większości śmiertelne. – Przerwał na chwilę i spojrzał na Lajosa w ten szczególny sposób, który budził w ludziach największy strach. – Podają, że zamachy były dziełem Baletu, ale to bzdura. Sam o tym wiesz. Sądzę, że tak naprawdę twoje Równanie ewakuuje swoich ludzi z Mesy i zaciera ślady, a to wymaga masowych mordów, przeciwko którym, jak widać, nic nie mają.

Lajos chciał odruchowo zaprotestować przeciwko tym oskarżeniom, ale ostatecznie się nie odezwał. Był pewien, że Cachat ma rację. A skoro tak...

Dlaczego Lajosowi nikt nie powiedział o tej ewakuacji? Wniosek mógł być tylko jeden...

Tak, to miało sens. Lajos wstał.

– Ewakuują jądro – powiedział. – Jądro zawsze takie było. I wydaje się, że mnie nie...

Poczuł coś dziwnego, co wywołało raczej dezorientację niż strach. Wszystko trwało tylko kilka sekund i nie zdążył się przestraszyć.



Cachat złapał osuwającego się mężczyznę i zdołał uchronić jego głowę przed silnym uderzeniem o podłogę. Ale nic to nie dało. Jeniec tracił przytomność i umarł kilka chwil później. Wyglądało to na udar mózgu, ale mogło chodzić też o zatorowość płucną. Albo coś, co dawało podobne objawy. Na usta wystąpiła piana, doszło też do pełnej inkontynencji.

Nawet gdyby mieli moduł medyczny pod ręką, pewnie i tak by go nie uratowali. Obecnie wszystkie znajdowały się w podziemnych schronieniach. Transport chorego trwałby zbyt długo.

Callie Patwary musiała coś usłyszeć, bo weszła do celi. Zaraz za nią zjawił się Teddy.

Victor podniósł się znad leżącego na podłodze ciała.

– Kiedy ostatni raz widzieliście go żywego?

Callie skinęła na swojego kolegę z byłego gangu.

– Teddy był u niego jakieś dwie godziny temu.

– Wydawało się, że czuje się dobrze – stwierdził Teddy. – Nie rozmawialiśmy, gdy przyniosłem mu śniadanie, ale spojrzał na mnie i tak na oko nie był chory. – Chyba obawiał się, że Victor może winić go za śmierć jeńca i...

I jeszcze mu coś zrobi.

Victora zirytowała ta reakcja, ale przywykł już trochę do tego, że w wielu ludziach wzbudzał strach. Zupełnie nie pojmował dlaczego. Tak jakby mógł zrobić komuś krzywdę całkiem bez powodu. Jak można tak o nim myśleć? Ale cóż, ludziska miewają swoje fobie.

– To nie twoja wina, Teddy – powiedział. – Jeśli już, to moja. Uważałem z zadawaniem pytań, bo byłem prawie pewien, że gość może mieć jakiś implant z programem mającym go zabić, gdyby próbował coś wygadać. Ale jednak nie byłem dość ostrożny. Albo może to on przesadził i uruchomił alarm.

– Można było temu zapobiec? – spytała Callie.

– Jeśli ten implant był dobrze zaprojektowany, to nie. A pewnie był. Ci ludzie są naprawdę bezwzględni.

Ujrawszy wyraz twarzy obojga, ledwo powstrzymał uśmiech. Przyglądali mu się z takimi minami, jakby był rekinem oskarżającym krokodyla o drapieżne instynkty.

– Dałoby się go jakoś zamrozić?

Teddy wskazał kciukiem za siebie.

– Ludzie Duseka mają masę worków na zwłoki. Musieli je chyba kupić od kogoś z armii.

– Dobra. Zapakujcie go w taki worek i umieście w jakiejś chłodni. Najlepiej daleko stąd i głęboko pod ziemią. Może przetrwa to, co nadchodzi. Dobry patolog powinien coś znaleźć. Albo i nie, ale chyba warto spróbować.

Nie dodał już nic na ten temat w nadziei, że oni też przetrwają najbliższe dni. Callie i Teddy do intelektualistów nie należeli, ale ociężali na umyśle też nie byli. Wiedzieli świetnie, co się szykuje.

Spojrzał raz jeszcze na ciało. Nie spytał dotąd jeńca o imię z obawy, że to może uruchomić program samobójczy. W sumie nie było to szczególnie ważne. Teraz jednak pożałował, że nie zadał tego pytania. To było nazbyt przygnębiające: umrzeć tak bezimiennie pośród wrogów. Jeszcze jedna

krecha dla Równania. Mała pewnie wobec tego wszystkiego, co dotąd się zgromadziło.

Victor wiedział jednak, że nie zapomni. Gdy chodziło o grzechy wrogów, jego pamięć była niezawodna.

ROZDZIAŁ LVII



Dobra! A teraz kopem ich w jaja i but na gardło! – ryknął sierżant Amos Barkley. – Pokażcie tym chujom, jak się płaci za podkładanie nam atomówek!

Funkcjonariusze z jego sekcji mieli neurobaty nastawione na maksymalną siłę rażenia. Było to wbrew regulaminowi, jak i oficjalnym rozkazom, ale podoficerowie Biura Bezpieczeństwa Publicznego dawno już nauczyli się czytać między wierszami, Barkley zaś uważał, że należy wreszcie pokazać wyzwoleńcom, gdzie ich miejsce. Nie obchodziła go oficjalna wersja zdarzeń; świetnie wiedział, że ci dranie nie zdołaliby podłożyć bomby w Green Pines bez aktywnej pomocy wyzwoleńców. Wiedział to od samego początku, wcześniej nawet niż dotarły do niego nieoficjalne transkrypcje z przesłuchań. A teraz, po całej serii eksplozji...

Ubrani na ciemno wyzwoleńcy stojący przed nimi wyszli chwilę temu z bocznej uliczki. Sześciu dorosłych, w większości kobiety, i ze dwa tuziny dzieci. Wszyscy musieli chyba skądś uciekać. Sekcja sierżanta Surekhaya miała wykurzać szczury z mieszkań wieży Sukharova i Barkley nie byłby zdumiony, gdyby kumpel specjalnie wypuścił tę grupkę prosto na niego. Ta wieża nie była w ogóle budynkiem mieszkalnym. W sumie nie była nawet wieżą, liczyła raptem pięćdziesiąt pięter wypchanych automatycznymi urządzeniami do produkcji różnych typów oświetlenia. Ale właściciele od lat przymykali oko na wyzwoleńców gnieźdzących się w piwnicach, w znacznej mierze dlatego, że byli wśród tych dzikich lokatorów technicy,

którzy w zamian za dach nad głową nadzorowali fabrykę, a nawet dokonywali napraw. Biuro oczywiście od dawna o tym wiedziało, ale oni też przymykali oko w zamian za odpowiednie dotacje otrzymywane od właścicieli Sukharova. Oraz „podatek lokalowy” od samych wyzwoleńców.

Barkley zawsze przyjmował swoją dolę, ale w środku aż go skręcało. Jego zdaniem, gdy raz zaczęło się układać z tymi szumowinami, dalej mogło być tylko gorzej. To zmniejszało szacunek i strach. Nadeszła pora, żeby nauczyć wyzwoleńców obu tych rzeczy na nowo.

To znaczy tych, którzy zdołają przetrwać.

Wysoki i przenikliwy wizg neurobatów przybrał na sile, zagłuszony chwilę później ludzkimi krzykami. Głosy musiały należeć do młodocianych. Przy obecnych ustawieniach neurobaty były śmiertelnie groźne dla czterech na pięciu porażonych dorosłych w dobrym zdrowiu, przy czym nawet ten piąty mógł doznać trwałych uszkodzeń układu nerwowego. Na sto procent należało oczekiwać paraliżu tej części ciała, która zetknęła się z neurobatem, bardzo prawdopodobne było ciężkie uszkodzenie mózgu.

Pięcioletnie dzieci nie miały żadnej szansy. Czekala je tylko bardzo bolesna śmierć.

Amos Barkley skrzywił się, gdy pierwsze trzy dzieciaki padły na ziemię. Mimo wszystko miał jeszcze nieco przyzwoitości, schowanej jednak bardzo głęboko. Na tyle głęboko, że potrafił ją zignorować. Poza tym wielu jego kumpli utraciło swoje dzieci na stadionie w Dobzhanskym i parku Blue Lagoon, Barkley zaś zawsze wyznawał zasadę, że „czym skorupka za młodu nasiąknie, tym na starość trąci”. Poza tym tego robactwa jest cała masa. Ci dranie mnożyli się jak muchy!

Kolejne uciekające dziecko potknęło się i prawie upadło. Matka złapała je za rękę i podtrzymała, ale oboje zostali przez to trochę w tyle. Toby

Qorolas, kapral z sekcji Barkleya, dosięgnął ich neurobatem i cisnął na chodnik. Dziewczynka nawet nie krzyknęła, ale jej matka owszem.



Shasta McGuire nigdy nie miał siebie za dobrego człowieka, co było zrozumiałe, ponieważ nie był dobry. Mierzył za to ponad dwa jardy i miał brzydką, poznaczoną szramami twarz oraz pięści, które nosiły jeszcze więcej blizn, a także dwudziestoletnią praktykę jako jeden z żołnierzy gangu Maysayuki Franconi. Ona też nie uchodziła w oczach większości ludzi za anioła, ale starała się kontrolować swój teren bez niepotrzebnego rozlewu krwi. Zwykle jej się udawało. A gdy inne metody zawodziły, wtedy był jeszcze McGuire.

Teren gangu wieży Sukharova nie był wielki, ale wszystkie grupy działające na przemysłowych „groblach” między dzielnicami mieszkalnymi musiały uważać, żeby nie pchać się nikomu w oczy. Franconi kierowała organizacją od prawie czterdziestu lat i dawno już zawarła korzystne dla obu stron porozumienie z firmą Sukharov Light Industries. Oraz z Biurem Bezpieczeństwa Publicznego. Jej teren został w większości oszczędzony po Green Pines, chociaż sporo ludzi w okolicy straciło bliskich, zostało zabitych albo pobitych czy okaleczonych, żeby wyciągnęli z tego stosowną naukę. Gdy tylko usłyszeli o nowych, jeszcze straszniejszych aktach terroru, wiedzieli z góry, kto zostanie uznany za winnego, i pochowali się, jak mogli.

Niestety, tym razem nie uznano za stosowne zostawić ich w spokoju.

McGuire stał za Franconi i patrzył z okna jej biura na grupę szturmowców Biura, okładających neurobatami kobiety i dzieci, i czuł, że narasta w nim wściekłość. Franconi była o połowę niższa od niego, smukła,

z naznaczonymi siwizną czarnymi włosami. Bez trudu widział wszystko nad jej głową.

– Dranie!

To jedno słowo padło z jego ust z taką siłą, z jaką wulkan wyrzuca lawę. Zacisnął dłoń na kolbie schowanego w kaburze pulsera. Nie słyszeli krzyków ofiar, ale też i nie musieli ich słyszeć.

Franconi stała bez ruchu i oddychała powoli, mierząc tych w dole bazyliżkowym spojrzeniem. Potem odwróciła się od okna i uniosła oczy na swojego żołnierza.

– Wyciągaj ciężki sprzęt, Shasta – powiedziała głosem jeszcze bardziej lodowatym niż spojrzenie.

Przez chwilę tylko na nią patrzył, zaskoczony tym rozkazem. Jak wszystkie gangi stolicy, także i oni zgromadzili przez lata pokaźny arsenał. Głównie broni krótkiej, jak pulsery, karabiny flechette, trochę cywilnych strzelb pulserowych. Mieli jednak także nieco sprzętu wojskowego, w tym lekkie działka trzylufowe i rakiety przeciwpancerne, a nawet kilka naramiennych wyrzutni przeciwlotniczych. Franconi nie sądziła, żeby mieli tego kiedykolwiek naprawdę potrzebować, ale jak większość szefów gangów, zwykła oczekiwać najgorszego i wołała być gotowa. Niemniej McGuire byłby dał głowę, że nie okaże się na tyle szalona, żeby użyć tego uzbrojenia przeciwko służbom rządowym.

Wyszło jednak inaczej.

– Na pewno, szefowo? – spytał basem, w którym dawało się wyczuć zdziwienie.

– Jak cholera – odparła Franconi. – Oni dopiero zaczynają. Jak sądzisz, co będzie później? – Poruszyła wargami, jakby chciała splunąć, ale tylko potrząsnęła zdecydowanie głową. – Nie zostanie nam dość terenu, żeby

miotłą się zamachnąć. A jeśli ci dranie sądzą, że wejdą tu, pozabijają moich ludzi i spokojnie sobie pójdą, to się kurewsko mylą. Wyciągaj ciężki sprzęt – powtórzyła, podchodząc do biurka i otwierając szarpnięciem szufladę. Wyjęła z niej wojskowy pulser, który kiedyś należał do jej ojca, i wprawnie sprawdziła magazynek oraz poziom naładowania.

– Słuchaj, Shasta – powiedziała, odwracając się do niego z bronią w ręku. – Wszyscy nasi ludzie mają pobrać broń i za pięć minut stawić się na dole, gdzie będę na nich czekać. Jasne?

– Tak, ma'am.

Oczywiście to było szaleństwo. Rozumiał to tak samo jak ona. Nie byli nawet średnim gangiem. Daleko im było do zespołów Duseka czy Bachue. W porównaniu ze służbami mundurowymi zaś byli niczym splunięcie na gorącą blachę. To mogło skończyć się tylko w jeden sposób. Shasta widział w życiu zbyt wiele, żeby mieć jakieś złudzenia.

Ale nieważne.

– Będziemy, szefowo – obiecał i skierował się do drzwi, sięgając jednocześnie po komunikator.



Sekcja sierżanta Barkleya skręciła za wschodni narożnik wieży Sukharova. Kilku wyzwolenców za nimi jeszcze drgało, jeden próbował nawet odpełznąć przez zasłany ciałami chodnik, ale nie mieli teraz czasu wracać tam, żeby posprzątać. Zbyt wiele świeżej zdobyczy czekało z przodu, poczuli już słodki smak krwi. Zaraz...

Sierżant stanął jak wryty, gdy na skraju przesłony jego hełmu zamigotał czerwony promień. Ktoś namierzał ich laserem!

Zdążył jeszcze zobaczyć Shastę McGuire'a leżącego za przewróconym pojemnikiem na śmieci z ustawionym na wierzchu działkiem. Czerwona kropka zawędrowała dokładnie na środek piersi sierżanta. Jego pancerz był skuteczny tylko przeciwko samoróbkom oraz nożom i pałkom. Przy odrobinie szczęścia może ochroniłby przed lekkim pulserem. Dla pięciomilimetrowych strzałek o ponaddźwiękowej prędkości początkowej był niczym.

Żaden z ludzi sierżanta Amosa Barkleya nie zdołał przeżyć swojego dowódcy o więcej niż dwadzieścia siedem sekund. To samo dotyczyło podwładnych sierżanta Gunthera Surekhy.



– Nie mówisz poważnie!

Porucznik generał Gillian Drescher spojrzała ponad biurkiem na pułkownika Byrumu Bartela, swego szefa sztabu, i zmrużyła oczy. To, co czuła, było mieszanką niedowierzania i chęci, żeby to, co słyszy, okazało się nieprawdą. Po Green Pines była przekonana, że widziała już wszystko, z czym tylko mógł się zetknąć dowódca stołecznego okręgu Sił Pokojowych.

Najwyraźniej była w błędzie.

– Ci z bezpieczeństwa dostali w dupę, ma'am – odparł obojętnie Bartel. Był wysokim, mocno zbudowanym mężczyzną, znacznie wyższym od swej drobnej przełożonej. Był też jasnowłosy i miał jasną cerę, podczas gdy ona miała czarne włosy. – Myśleli, że to będzie tylko kolejna czystka w dawnym stylu, i bardzo się pomylili. Według wstępnych meldunków stracili około pięciuset ludzi, w większości zabitych. – Skrzywił się. – Mamy nagrania większości tych walk. Jeśli któryś z nich dostawał się w ręce wyzwolenców, marny był jego los.

Bartel często posługiwał się niedopowiedzeniami i tak też było i tym razem. Drescher nie musiała niczego oglądać, żeby wyobrazić sobie taką sytuację i los dowolnego funkcjonariusza Biura Bezpieczeństwa Publicznego, który wpadł w ręce byłych niewolników. O ile do pewnego stopnia mogła szanować Dyrektoriat Bezpieczeństwa, o tyle o tych z Biura miała jak najgorsze zdanie. Nie mieli wiele wspólnego z żołnierzami, jako policjanci zaś byli wybitnie nieskuteczni. Potrafili tylko bić i mordować wszystkich, na których zostali napuszczeni. Jak tępe narzędzie mordu. Od chwili, gdy dane było jej usłyszeć o operacji Szczurołap, Drescher bała się właśnie tego, że zabójcy Biura zostaną spuszczeni ze smyczy.

Z tego, co było widać, i tak ich nie doceniła.

– Jakim cudem mogli wdepnąć tak paskudnie? – spytała. – To idioci, ale są jakieś granice!

– Wydaje się, że kompletnie zlekceważyli przywódców gangów w tamtych dzielnicach. – Bartel pokręcił krytycznie głową. – Gdy ci zobaczyli, że bezpieczniacy atakują wszystkich, bo tym razem to nie była kwestia przypadkowych ofiar, niektórzy członkowie gangów odpowiedzieli ogniem. Większość miała tylko lekkie pulsery, ale to się szybko zmieniło. W ciągu półgodziny wyciągnęli cięższe uzbrojenie. Wojskowe działka, miotacze granatów, nawet kilka karabinów plazmowych.

Spojrzał na Drescher, która kiwnęła lekko głową. Tak, rozumiała, w czym rzecz. Ten sprzęt musiał pochodzić z wojskowych magazynów. Powszechnie o tym wiedziano, ale nikt nie poruszał tematu oficerów i urzędników, którzy pozbywali się cichcem nadwyżek broni na czarnym rynku. Czasem oferując nawet coś z wyposażenia będącego na stanie jednostek. Większość tej broni trafiała do różnych niejawnych formacji korporacyjnych, ale czasem coś przeciekało także do kręgów kryminalnych wśród wyzwolenców. I taki stan rzeczy trwał od dziesiątków lat. Drescher

i Bartel ostrzegali od dawna, a zwłaszcza po Green Pines, że wyzwolenicy muszą mieć w swoich rękach o wiele większe i lepiej zaopatrzone arsenały, niż ktokolwiek dotąd przypuszczał.

Zajęli się też własnymi szeregami. Kilku szefów zbrojowni i dwóch oficerów liniowych trafiło przed sąd. Zostali surowo ukarani za sprzeniewierzenie mienia pozostającego pod ich opieką, jednak było to jak zamykanie drzwi stajni po kradzieży konia. Poza tym o wiele więcej broni musiało trafić na czarny rynek za sprawą skorumpowanych funkcjonariuszy Biura i Dyrektoriatu, co w tej chwili wydało się Drescher przejawem okrutnej ironii losu.

– Wygląda na to, że pierwsze gniazdo zorganizowanego oporu wyzwolenców powstało przy centrum wytwórczym Sukharova – kontynuował Bartel. – Załatwili tam dwie kompletne sekcje, zanim ktokolwiek ich zauważył. Potem zrobiło się jeszcze gorzej.

– Na ile gorzej? I jak jest teraz? – spytała Drescher.

– Znacznie gorzej, ma'am. W tej chwili wysyłają do walki oddziały Dyrektoriatu Bezpieczeństwa. Howell ma mord w oczach. Wydał rozkaz strzelania bez ostrzeżenia do dowolnego celu.

– Wspaniale. – Drescher ścisnęła palcami nasadę nosa. – A jaki ma plan?

– Zamierza oczyścić centrum północnego pierścienia dzielnic wyzwolenców i zagonić jak najwięcej z nich do wież Neue Rostock i Hancock, a potem uderzyć na oba budynki. Dusek przewodzi jednemu z największych i zapewne najlepiej wyszkolonych zorganizowanych gangów i wielu wyzwolenców już teraz uciekło do Neue Rostock. Bachue Nos ma jeszcze więcej ludzi, ale jej gang nie jest równie zgrany i pewnie gorzej uzbrojony. Za to słyną z twardych karków. Ci, którym nie udało się przebić do Neue Rostock, kierują się teraz do Hancock.

– Zamierza atakować wieże mieszkalne?

– Tak, ma'am – odparł Bartel tonem jednoznacznie sugerującym, co sądzi o tym pomysle. – O ile dobrze zrozumiałem, jego pomysł zasadza się na tym, żeby najpierw spędzić jak najwięcej wyzwoleńców w jedno miejsce, a potem tylko wywalić drzwi i posprzątać.

– Wspaniale. Po prostu cudownie.

Drescher najchętniej wzięłaby coś i połamala, ale jakoś się opanowała. W gruncie rzeczy nie była zdumiona. Bentley Howell świetnie udawał dowódcę i wielu nawet się na to nabierało, ale na niej od zawsze robił wrażenie kogoś z poważnym deficytem szarych komórek. Owszem, w pewnych sprawach wykazywał się inteligencją, ale jego pogarda wobec wyzwoleńców była tak silna, że ileś razy już poważnie ich nie docenił. To jedno uprzedzenie wyłączało mu zdolność myślenia i Drescher przeczuwała już, że to jej przypadnie w udziale zadanie zrobienia porządku po spektakularnej klęsce „bratnich” służb.

Ten idiota zapewne uważa, że to będzie rutynowa operacja, pomyślała z politowaniem. Jeśli tak, to jego ludzi czeka bardzo bolesne przebudzenie. Rozpędzanie zamieszek czy włamywanie się do mieszkań podejrzanych to całkiem inna bajka niż to, na co trafi tym razem.

Chwilę się jeszcze nad tym zastanawiała. Naprawdę nie lubiła Howella, i to z wzajemnością. Niemniej Siły Pokojowe miały oficjalnie wspierać Dyrektoriat i Biuro w razie konieczności użycia cięższego sprzętu. W sumie jedynym sensem istnienia sił zbrojnych Mesy było właśnie trwanie w rezerwie na wypadek, gdyby ruchawki wśród wyzwoleńców albo niewolników przerodziły się w prawdziwą rebelię.

No i oczywiście dogryzanie wszystkim innym służbom. I vice versa.

Rząd Mesy z rozmysłem podsycił różne antagonizmy między Dyrektoriatem Bezpieczeństwa i Siłami Pokojowymi. Tamte służby miały znacznie więcej ludzi, jednak armia dysponowała nieporównanie większą siłą ognia. Podlegała generałowi Casparowi Alpinie. Był on najstarszym oficerem Sił Pokojowych i zgodnie z konstytucją odpowiadał bezpośrednio przed Wardem, nie McGillicuddym. Regularne siły policyjne, prowadzące sprawy kryminalne i zajmujące się sprawami pełnoprawnych obywateli Mesy, znajdowały się oczywiście całkowicie poza strukturą agend przeznaczonych do pacyfikacji czy kontroli wyzwolenców i niewolników. Z tego powodu nawet ich zespoły szybkiego reagowania miały niemal wyłącznie lekkie uzbrojenie. Jednak wspomniane agendy dysponowały całkiem okazałymi arsenałami, począwszy od neurobatów, na transporterach opancerzonych, działkach plazmowych i wahadłowcach desantowych skończywszy. Współczesne armie były raczej niewielkie, skoro obrona planet sprowadzała się w praktyce do ochrony orbitalnej i, technicznie rzecz biorąc, nawet Siły Pokojowe nie były zasadniczo armią. Niemniej w sytuacji, gdy jedna trzecia mieszkańców planety żyła w nieustannym lęku przed buntem pozostałych dwóch trzecich, ludzie odpowiedzialni za profilaktykę woleli dmuchać na zimne.

A cywilni zwierzchnicy wszystkich tych sił musieli mieć pewność, że podległe im i uzbrojone po zęby agendy nie skrzykną się pewnego dnia, żeby przejąć władzę. Sterowane antagonizmy między nimi miały zapobiec takiej sytuacji.

Niestety, przynosiło to również niepożądane konsekwencje, dające o sobie znać, gdy konieczna była współpraca różnych służb.

Cholera, pomyślała Drescher. Nie mam wyboru. Muszę pogadać z draniem.

Wybrała specjalnie przypisany do numeru sensor na blacie biurka i wyprostowała się w fotelu. Kilka sekund później na ekranie pojawiła się twarz młodego mężczyzny w mundurze.

– Dyrektoriat Bezpieczeństwa, biuro komisarza Howella – powiedział służbistym tonem.

Zatrudnianie ludzi tam, gdzie można by zastosować automatyczne systemy, dziwnie pasowało do Howella.

– Mówi generał Drescher – odparła. – Muszę rozmawiać z komisarzem. Natychmiast.

– Proszę poczekać. – Obraz zniknął, zastąpiony godłem Dyrektoriatu, ale pięść i sztylet też zaraz zniknęły.

– Witam panią generał – odezwał się Howell, kiwając głową. – Czym mogę pani służyć?

– Z tego, co wiem, przygotowuje się pan do szturmu na Neue Rostock i Hancock – powiedziała Drescher, przechodząc od razu do rzeczy.

– To prawda. – Howell znowu kiwnął głową. – Wysyłam w tym celu dwa regimenty, Czwarty i Dziewiętnasty.

– Rozumiem. – Drescher popatrzyła na niego przez chwilę, po czym przechyliła głowę. – Czy nie uważa pan, że w tych okolicznościach powinniśmy wspierać się, na wypadek gdyby sprawy przybrały nieciekawy obrót?

Gdyby znowu tak się zdarzyło, dodała w myślach.

– Wspierać? – spytał i spojrzał na nią tak, jakby przemawiała w obcym języku. – Moi ludzie palą się do walki. Jeśli sprawy przybiorą nieciekawy obrót, to dla ich przeciwników.

– Komisarzu, mówimy o ataku siłą regimentu na wieże mieszkalne – odrzekła tak spokojnie, jak potrafiła. – Nigdy jeszcze nie robiliśmy czegoś

podobnego, nawet po Green Pines. A wyzwoleńcy udowodnili już, że są uzbrojeni o wiele lepiej, niż wcześniej przypuszczaliśmy. To nie będzie spacerek.

– Nikt tak nie uważa, pani generał – odparł Howell już znacznie chłodniejszym tonem. Jego spojrzenie zrobiło się wręcz lodowate. – Niemniej to ciągle tylko wyzwoleńcy. Pękną, gdy przekonają się, że nie żartujemy.

– To nie są „tylko” wyzwoleńcy, komisarzu. To zorganizowane grupy z ciężkim uzbrojeniem, któremu nigdy jeszcze nie musieliśmy stawiać czoła. Na dodatek wewnątrz tych przeklętych wież będą walczyć na swoim terenie.

– Te pani „zorganizowane grupy” to bandy kryminalistów i różnych szumowin. Sugeruje pani, że mogą przewyższyć zdyscyplinowaniem moich ludzi? Uciekną jak psy, gdy tylko wyczują, co się święci!

– Na pańskim miejscu nie liczyłabym na to za bardzo – powiedziała Drescher. – Zdobywanie wież zaś, zwłaszcza takich jak w Hancock czy Neue Rostock, to najkoszmarniejszy scenariusz, jaki nieraz już tutaj rozważaliśmy. Te wieże są inne niż Rassmusen czy Tyler, panie komisarzu. Bez dostępu od góry, przez atrium i korytarze dolotowe. A ich wnętrza są jeszcze bardziej odporne na zniszczenia niż wieże przeznaczone dla obywateli. Proszę mi wierzyć, że jeśli dojdzie do poważnych walk we wnętrzu którejś z nich, straci pan naprawdę wielu ludzi. Prawdę mówiąc, najlepiej byłoby odciąć je od świata i poczekać. Wcześniej czy później obleżonym zabrakłoby wody i żywności i wówczas musieliby albo się poddać, albo umrzeć z głodu. Niestety, to musiałyby potrwać, a rozumiem, że Rada Najwyższa oczekuje jak najszybszego uporania się z problemem. Jeśli jednak chcemy zrobić to szybko i wszyscy uważają, że należy ich

spacyfikować, powinien pan przekonać górę do użycia broni kinetycznej, zanim wejdzie pan w paszczę lwa.

– Chce pani użyć broni kinetycznej w mieście? – Howell pokręcił z niedowierzaniem głową. – Naprawdę uważa pani, że dostanie na to zgodę?

– Wiem, że Rada Najwyższa rozważała już taką możliwość – odparła chłodno Drescher. – Przypuszczam jednak, że chodziło wówczas o uderzenie mające całkowicie zburzyć wieżę. Mamy jednak także mniejsze głowice. Jeśli użyć ich wystarczająco dużo, wykonają tę samą robotę co jedna wielka.

– Mam tu wszystko, żeby przeprowadzić to bez nich – oznajmił Howell.

Drescher spojrzała na niego bez słowa. Komisarz zapewne wierzył w to, co mówił. I istniało nawet niewielkie, naprawdę niewielkie prawdopodobieństwo, że ma rację. Zakładając, że opór Jurgena Duseka i Bachue Nos załamię się o wiele wcześniej, niż Franconi przypuszczała.

Nie przepadała za Dyrektoriatem Bezpieczeństwa i naprawdę nie lubiła Howella, ale tym razem chciałaby, by to on miał rację. Ponieważ jeśli się mylił, czekała go przeprawa z najsilniejszą fortecą zbudowaną kiedykolwiek przez rodzaj ludzki.

ROZDZIAŁ LVIII



...i będzie przemieszczać się na północny wschód, w stronę wieży Hancock – powiedział pułkownik Teodosio MacKane, dowódca 4. Regimentu, dźgając palcem holograficzny wyświetlacz w opancerzonym pojeździe dowodzenia typu *Cyclops*. – Gdy zaś Dziewiętnasty będzie wykonywać ten manewr, my ruszymy na północny zachód, w stronę wieży Neue Rostock. Randy. – Spojrzał na majora Randalla Myersa, dowódcę drugiego batalionu. – Twoi ludzie pójdą na przedzie. – Przesunął gniewne spojrzenie na major Camelię Brockman, dowódcę pierwszego batalionu. – Brockie, ty będziesz pilnować tyłów Randy’ego i wydzielisz dwie kompanie jako odwód.

Majorowie pokiwali głowami. Brockman jakby trochę mniej entuzjastycznie niż Myers, czy przynajmniej tak się wydało pułkownikowi. Nie żeby się wahała czy bała. Po prostu nie była równie zdeterminowana i gotowa jak on. Dlatego właśnie drugi batalion miał iść na czele, a pierwszy jako element wsparcia. Myers i jego dowódcy kompanii wyraźnie chcieli dopaść tych drani, którzy dali się tam we znaki oddziałom z Bezpieczeństwa Publicznego. Nie żeby tak kochali konkurencję, nikt nie żywił do niej ciepłych uczuć, ale wyzwoleńcy nie powinni nawet marzyć o tym, że uda im się zabić choć jednego z funkcjonariuszy służb bezpieczeństwa bez tak surowej kary, że będzie się ona śniła po nocach nie tylko tym, którzy przeżyją jej wymierzenie, ale jeszcze ich wnukom.

– Dobrze zatem. Wracać do oddziałów. Ruszamy za dwadzieścia minut.



– Co tym razem, Ferguson? – spytał ze złością kapitan Gavin Shultz, zwracając spojrzenie na czarną owcę kompanii Bravo. Shultz dowodził nią od blisko trzech lat, porucznik Connor Ferguson zaś był mniej więcej tak samo długo odpowiedzialny za drugi pluton i od początku przyprawiał kapitana o ból w dolnej części pleców. Prawdę mówiąc, Shultz nie rozumiał, dlaczego Ferguson w ogóle wstąpił do Dyrektoriatu Bezpieczeństwa. To nie była praca dla niego. Gość miał we krwi skłonność do upiornie ścisłego trzymania się wszelkich reguł i regulaminów i nie potrafił pojąć, że wykonanie zadania wymaga czasem swoistej interpretacji prawa. Kapitan znał jeszcze kilku takich, którzy byli zwykle dumni ze swojego „profesjonalizmu”, ale przy prawdziwej robocie w ogóle się nie sprawdzali. Uważali, że można trzymać wyzwolenców w szachu bez rozbijania im głów, przeplatanego w razie potrzeby łamaniem karków.

Shultz nie słyszał słów Regan Snyder o „problemie wyzwolenców”, ale myślał dokładnie tak samo. Podpisałby się pod nimi bez wahania. Wiedział doskonale, dlaczego sam wstąpił do oddziału Dyrektoriatu Bezpieczeństwa osiemnaście lat temu. Cokolwiek mówili ludzie w rodzaju Fergusona, Shultz i tak był przekonany, że sama zgoda na zaistnienie wyzwolenców była wielką pomyłką, podrzuconym kolejnym pokoleniom kukułczym jajem, które musiało sprawiać z czasem coraz więcej problemów. No i tak się stało. Każdy mający trochę oleju w głowie musiał dostrzec to jeszcze przed Green Pines. Wyzwolenicy byli motłochem i ani trochę nie różnili się genetycznie od niewolników, z których się wywodzili, a na dodatek mnożyli się jak robactwo. Wszyscy wiedzieli, że naruszali zasady reprodukcji, tak ściśle przestrzegane przez obywateli. Kłębili się w tych swoich norach niczym brudne szczury. Na dodatek zawsze znajdował się jakiś pieprzony intelektualista, lejący łzy nad niesprawiedliwym

traktowaniem wyzwolenców i haniebnym dla Mesi zaliczaniem ich do obywateli drugiej klasy. No i potem ciągle było o nich slychać. W kazdych wiadomosciach przypominali o niedoskonalosci tego swiata, a ich los mial byc wielka plama na honorze Mesi. A najgorsze, ze stwarzali realne zagrozenie. Dawali bardzo zly przyklad niewolnikom, bo skoro im darowano kiedyś wolnośc, to dlaczego nie mogłoby się to powtorzyć wspólnie? A takie pomysly doprowadzily ostatecznie do tragedii w rodzaju Green Pines czy Dobzhansky'ego.

Tego ludzie pokroju Fergusona nigdy nie potrafili pojac. Dlatego wlasnie Gavin Shultz wstapil w wieku dwudziestu trzech lat do Sluzby Ładu i Bezpieczenstwa. Nie byla to calkiem legalna organizacja, ale nielegalna tez nie. Jej czlonkowie rozumeli, ze wyzwolenci musza znac swoje miejsce. Shultz, ktory awansowal z czasem na sama gore, staral sie dołozyc swoja cegielke do planu edukacji. Zawsze po pracy, wyłacznie w wolnym czasie, pokazywal im to miejsce. Trwalo to ileś lat, dzieki czemu nawiazal sporo kontaktow z ludzmi, ktorzy tak samo podchodzili do sprawy. I to byl jeden z powodow, dla ktorych naprawde lubil swoja prace.

Ale nie mial cierpliwosci dla tych, ktorzy nie potrafili dostrzec rzeczy oczywistych, chociaz mieli je tuż przed nosem. Takich jak Connor Ferguson.

– Chcialem tylko sprecyzowac zasady uzycia siły – powiedzial porucznik.

Mierzacy sześćdziesiat osiem cali Ferguson nawet w kombinezonie wygladal jak nastolatek przy wyzszym i znacznie silniej zbudowanym Shultz. Ich stroje nie byly tak dobre jak kombinezony bojowe. Z wielu powodow, glownie finansowych. Pełne kombinezony bojowe sporo kosztowaly, a nawet tak dobrze sytuowany układ jak Mesa mial liczyć się ze środkami. Co gorsza, sterujace Mesa korporacje nie widzialy powodu,

żeby płacić większe podatki, niż było to absolutnie konieczne, co oznaczało, że tutejszy rząd otrzymywał ostatecznie mniej niż rządy innych światów o porównywalnym dochodzie brutto. Poza tym jego szturmowcy nie potrzebowali pełnego kombinezonu bojowego. Nie mieli przecież walczyć w próżni. Często wykonywali zadania wewnątrz budynków i w bliskim starciu, gdzie taki kombinezon nie dawał zdecydowanej przewagi, rzadko używali działek plazmowych. Co więcej, kombinezon bojowy był bardzo energochłonny; zwykły kombinezon potrzebował dwie trzecie tej mocy, żeby działać trzy razy dłużej, co oznaczało, że przy przeciętnej akcji jeden zestaw baterii wystarczał na pięć godzin zamiast na jedną. To była bardzo istotna kwestia i większość funkcjonariuszy przyznawała, że ten komfort wart jest zrezygnowania z kilku atrakcji zapewnianych przez pancerz bojowy. Poza tym nawet te skafandry wyglądały na tyle imponująco i groźnie, żeby dać do myślenia komuś, kto nie nosił żadnego opancerzenia. Projektanci położyli na to szczególny nacisk. Kombinezony były atramentowoczarne, ze szkarłatnymi obramowaniami, przesadnie masywnymi naramiennikami, rękawicami ze szpikulcami na knykciach i czarnymi od zewnątrz przesłonami hełmów, na których umieszczono jeszcze symbol Dyrektoriatu Bezpieczeństwa.

W tej chwili przesłona hełmu Fergusonu była uniesiona i Shultz widział jego smutne spojrzenie.

– Sądzę, że pułkownik określił je bardzo dokładnie – odparł chłodno kapitan. – Ale jeśli czegoś pan nie zrozumiał, to wyjaśnię. Stosujemy wariant omega, poruczniku Ferguson.

– To zrozumiałem – stwierdził Ferguson. – Chcę tylko omówić kwestię traktowania jeńców i nieletnich.

Shultz spojrzał na niego ze złością. Wariant omega przewidywał nieograniczone stosowanie środków bojowych, włącznie ze wzywaniem

wsparcia powietrznego, pancernego i artyleryjskiego. Nie obejmował tylko użycia broni kinetycznej. Zwalniał też dowódców liniowych z konieczności uzyskiwania zezwolenia na każdorazowe użycie ciężkiego uzbrojenia i pozwalał na neutralizację potencjalnego zagrożenia bez liczenia się ze skutkami ubocznymi. Kluczowym terminem było tu „potencjalne zagrożenie”. Oficjalnie pozwalało to na atak również i na takie cele, które nie zdecydowały jeszcze, czy zamierzają stać się zagrożeniem, czyli póki co nie podjęły żadnego wrogiego działania. W praktyce dawało to dowódcom pełną swobodę w wyborze celów, ponieważ w trakcie operacji w rodzaju Szczurołapa „potencjalne zagrożenie” mogło czaić się dosłownie wszędzie.

Wszechświat nie był jednak doskonały i nawet Dyrektoriat Bezpieczeństwa musiał liczyć się z opinią publiczną i przynajmniej czasem zachowywać pozory. Należało oczekiwać, że zawsze znajdzie się ktoś gotów rozdzierać szaty nad skrzeczącą rzeczywistością czy ostrzegający przed przykrymi konsekwencjami tworzenia zasad i przepisów nazbyt odbiegających od międzyplanetarnych standardów etycznych. Dlatego także wariant omega przewidywał, że deklarujący chęć poddania się przeciwnik ma zostać oszczędzony i należy dążyć do minimalizowania strat, zwłaszcza wśród dzieci. O ile Shultz się nie mylił, systemy taktyczne kombinezonu Fergusona pracowały teraz w trybie online, co oznaczało, że nagrywał ich rozmowę. Mógł być świętoszkowatym sukinsynem, ale sąd polowy miałby swoje zdanie, gdyby dopatrzył się dowodów na naruszenie regulaminów.

– Jasne, jasne – zaczął ostrożnie kapitan. – Jeśli jakiś drań zechce się poddać i dość szybko uniesie łapska, darować. A jeśli to będzie dzieciak, taki bez granatów przywiązanych w pasie, możesz przekazać go na tyły. Czy to jasne?

– Tak. Dziękuję.

Connor zasalutował, opuścił przesłone hełmu i odprowadzany pałającym spojrzeniem Shultza skierował się z powrotem do swojego plutonu.



Sierżant Kayla Barrett patrzyła na zbliżającego się porucznika Fergusona przez wizjer swojego hełmu i zasadniczo była wściekła, chociaż panowała nad sobą. Jej dowódca zwykle był znośny, chociaż zbyt ułożony jak na oficera liniowego tej formacji. Z drugiej strony był poukładany i dbał o dyscyplinę oraz szkolenia. Nie przesadzał z wojskowym drylem. Tyle że dzisiaj to nie był zwykły dzień i Kayla Barrett nie miała wiele cierpliwości dla ludzi, którym brakowało zapału do szykującej się roboty.

Stała w bezruchu, ale w środku gotowała się ze złości. Przed zamachem w parku Blue Lagoon miała brata, siostrę, bratową, dwie kuzynki i siostrzeńca. Teraz już ich nie było. Żadna siła nie mogła powstrzymać jej przed pomszczeniem ich śmierci. Nie wiedziała, czy ich potencjalne cele miały cokolwiek wspólnego z tym zamachem, ale to nie było ważne. Jeśli nawet nie zrobili tego osobiście, byli z tej samej gliny. Ci mordercy pochodzili spośród wyzwolenców i ukrywali się między nimi, czyli byli przez nich popierani. Nie brakowało na to dowodów. I to już jej wystarczało.

Barrett nigdy nie należała do Służby Ładu i Bezpieczeństwa, ale kusilo ją kilka razy, żeby wstąpić. Teraz żałowała, że tego nie zrobiła. Zdecydowała już nawet, że naprawi ten błąd, gdy tylko wróci do koszar.

Ale póki co...

– Proszę przygotować swoich, pani sierżant – powiedział porucznik Ferguson. – Za pięć minut ruszamy.

– Tak jest!



– Kurwa, to ci z Dyrektoriatu! – oznajmił Dziewięciopalczy Jake.

Siedział wraz z Jenney Rączką u wylotu kanału odpływowego na skraju parku Trondheim. Nie był to wielki park w porównaniu z innymi, świetnie wyposażonymi i tłumnie odwiedzanymi przybytkami stolicy, ale miał swój klimat. Było w nim sporo zieleni, kilka trochę zużytych placów zabaw, mały staw, na którym można było puszczać modele statków i okrętów. Dzieci bardzo go lubiły.

Dzisiaj był pusty, jeśli nie liczyć ponad dziesięciu ciał rozrzuconych na trawnikach. Większość należała do wyzwolenców, ale dwa były w mundurach Biura Bezpieczeństwa Publicznego. Mocno zresztą niekompletnych, bo trupy zostały odarte z wyposażenia. Dziewięciopalczy wzbogacił się przy tej okazji o dwa komunikatory. Jeden wysłał Dusekowi, drugi zatrzymał i przez kilka godzin słuchał korespondencji przeciwnika. Cieszyła go zwłaszcza panika wyczuwalna w głosach tamtych od chwili, kiedy zrozumieli wreszcie, że nie wszystko układa się po ich myśli. Meldunki o wysokości strat przyprawiały go wręcz o dziką rozkosz. Niemniej Dziewięciopalczy znał ulicę już od siedemnastu lat i wiedział, jaka będzie odpowiedź władz. Nie oczekiwał tylko, że zobaczy oddziały szturmowe aż tak szybko.

– Cholera – mruknęła Jenney.

Formalnie ani ona, ani znacznie starszy Dziewięciopalczy nie należeli do zespołu Duseka. Działali niezależnie, ale każdy niezależny wiedział, że opłaca się utrzymywać dobre relacje z miejscowym szefem, Dusek zaś był rozsądniejszy niż inni. Dopóki płacili mu „placowe” i trzymali się swojej niszy, nie miał nic przeciwko ich pobytowi na swoim terenie. Zwykle miał nawet sporo propozycji roboty dla niezależnych, którzy wiedzieli, jak się

zachować, i znali zasady. Pierwszą z nich było zostawianie w spokoju cywilów mieszkających na jego terenie. Żadnych pobić, rabunków czy gwałtów w Neue Rostock, o ile druga strona sama nie zacznie. Dusek traktował to bardzo poważnie. Nie tylko dlatego, że przemoc i rabunki szkodziły interesom. Przede wszystkim ludzie, którzy pozostawali pod jego opieką, oczekiwali od niego, że będzie o nich dbał. A to oznaczało również utrzymywanie tego typu przestępczości na minimalnym poziomie. Dusek przywiązywał do tego nawet większe znaczenie, niż Jenney była skłonna przypuszczać.

Rozpuścił już informację, że wieża Neue Rostock jest przygotowywana do poważnej akcji. Jenney wiedziała, że znalazłoby się tam dla nich miejsce, ale przy zachodniej granicy parku Trondheim przebiegał Eaker Boulevard, jedno z podziemnych przejść dla pieszych. Było przeznaczone dla wyzwolenców, co oznaczało, że ruchome chodniki działały zwykle tylko przez część dnia. Teraz, gdy władze zatrzymały transport publiczny w ich dzielnicach, bardzo wielu uciekało tędy do Neue Rostock. To była akurat najkrótsza droga i gdyby została zablokowana, cała masa ludzi znalazłaby się w pułapce tunelu albo na otwartej przestrzeni. Jako niezależni Dziewięciopalczy i Jenney nie byli uwzględnieni w planach obronnych Duseka, ale sami wyznaczyli sobie zadanie strzeżenia przejścia i tych tłumów cywilów szukających bezpiecznego schronienia w wieży szefa dzielnicy.

– I co my, kurwa, teraz zrobimy? – spytała, patrząc na czarne postacie wychodzące na otwarty teren parku.

– Niech mnie cholera, jeśli wiem – odparł Dziewięciopalczy, pocierając łysą czaszkę okaleczoną dłonią, która wyjaśniała jego przydomek. – Oczekiwałem raczej tych z Biura Bezpieczeństwa Publicznego. Ci są

w kombinezonach, którym nasze pukawki nie dadzą rady – dodał, wskazując na ich cywilne pulsery.

– A co niosą ci dranie z przodu? – spytała nerwowo Jenney. – To nie flechette ani pulsery.

– To emitery, dziewczyno – odparł ponurym głosem Dziewięciopalcy.

Jenney zadrżała. Osobiście nigdy nie widziała ich w użyciu, ale trochę o nich słyszała. Na dodatek jeden z jej kuzynów stracił prawą rękę, gdy jakiś mundurowy walnął go neurobatem podczas „rozpraszania zamieszek”. Emitery działały dokładnie na tej samej zasadzie, ale miały o wiele większą moc i zasięg. Neurobat sięgał na góra jeden jard wokół, podczas gdy emitery potrafiły zabić z odległości nawet stu pięćdziesięciu jardów. Nie sięgały tak daleko jak karabiny pulsacyjne i były mniej skuteczne w zabijaniu ludzi niż flechette, ale służby używały ich przede wszystkim ze względu na przerażenie, jakie wzbudzały. Nawet ktoś, kto był skłonny zaryzykować wystawienie się na ogień pulsera, pomyślałby dwa albo i trzy razy, nim odważyłby się stawić czoło emiterowi.

– Co... – Przełknęła z trudem ślinę. – Co teraz...?

Dziewięciopalcy obrócił się i posłał jej smutny uśmiech. Potem wręczył dziewczynie komunikator zabrany wcześniej szturmowcowi.

– Wiem, co ty możesz zrobić. Zbieraj dupę na Eaker Boulevard i zabierz to ze sobą. Spotkasz tam kilku ludzi Duseka pilnujących porządku. Odszukasz ich i dasz im komunikator. Potem skierujesz się do Neue Rostock. Przyda im się każdy, kto umie używać broni.

– Ja? A co z tobą?

– Ja uważam, że ci dranie załatwili już zbyt wielu ludzi, na których mi zależało. – Dziewięciopalcy spojrział na zbliżający się oddział. – Pora im trochę odpłacić.

– Zwariowałaś? Zabiją cię!

– Mężczyzna powinien umrzeć godnie – odparł. – Nie śpiąc w łóżku, ale robiąc coś. Najlepiej coś, co zawsze lubił. Poza tym mam dla nich małą niespodziankę. Dalej, ruszaj się stąd, dziewczyno!

Jenney spojrzała raz jeszcze na Dziewięciopalcego, rozdarta między smutkiem, przerażeniem i wstydem, że ma go zostawić, ale opanowała chęć płaczu, klepnęła kompana w ramię i zerwała się do biegu w kierunku Eaker Boulevard.



Szeregowy pierwszej klasy Jubair Azocar obserwował teren na wyświetlaczu swojego hełmu, ale zerkał też na boki w poszukiwaniu tego, czego HUD nie ogarniał. Komp kierował się własnymi wytycznymi odnośnie do tego, co mogło stanowić zagrożenie, i ignorował wszystko, co znajdowało się zbyt nisko w jego hierarchii. Wyszukiwał przede wszystkim źródła emisji energetycznych, jak widoczne w podczerwieni ślady pojazdów albo przeciwników w kombinezonach. Wyróżniał też rozpoznawalne w podczerwieni sygnatury ruchomych oraz nieruchomych obiektów, które według jego analizy mogły mieć związek z celami. W ramach tych zadań działał bez zarzutu, poza nimi zawodził na całego. Oczywiście teoria głosiła, że jeśli coś przeoczył, to żadnym sposobem nie mogło to być coś groźnego dla szturmowca w kombinezonie, jednak kompania Bravo minęła już ze trzydzieści zwłok kumpli z pokrewnej formacji. Azocar nie miał najmniejszej ochoty podzielić ich losu.

Zatrzymał się nagle, unosząc prawą rękę w tradycyjnym geście oznaczającym, że boczni mają go osłaniać.

– Prowadzący, Bravo dwa dziewięć – powiedział. – Do Bravo zero trzy.
– Odczekał, aż komp połączy go z sierżant Barrett.

– Bravo dwa dziewięć, tu zero trzy – rozległ się w słuchawkach głos Barrett. – Melduj.

– Mam coś, co wygląda na cel, w odległości około sześciuset jardów na zachód od mojej obecnej pozycji – powiedział, podświetlając ikonę na swoim wyświetlaczu i przekazując jednocześnie obraz pani sierżant. Ślad znajdował się po drugiej stronie terenu piknikowego, dokładnie przy wylocie rury odpływowej widocznej na zapisanym wcześniej planie okolicy.

– Co robi? – spytała Barrett.

– Chyba tylko tam siedzi. Nie wydaje się, żeby coś kombinował.

– Dobra, mamy zasady omega – odparła i zapewne wzruszyła przy tym ramionami. – Załatw go.

– Rozumiem – odpowiedział i skierował kroki w tamtą stronę.

Normalnie Azocar niósłby jedno z trzylufowych działek sekcji albo karabin plazmowy, który był jego standardowym uzbrojeniem. Dziś jednak został wyposażony w neuroemiter, który ze zrozumiałych powodów był włączony i gotów do użytku. W sumie szeregowy tylko czekał na okazję, żeby go użyć.

Nie był jednak głupi i nie wrywał się naprzód. Cały czas sprawdzał, czy uzbrojeni w karabiny pulsacyjne boczni dotrzymują mu kroku. Emiter miał zasadniczo tylko dwie wady. Po pierwsze, był cholernie ciężki, a po drugie, brakowało mu porządnego zasięgu. Z drugiej strony, sensory jego kombinezonu zidentyfikowały uzbrojenie celu jako cywilne. Takowe mogło wystarczyć do załatwienia tych z Biura Bezpieczeństwa Publicznego, którzy mieli tylko kamizelki i ochraniacze, ale kombinezon to inna sprawa. Azocar mógł bez ryzyka podejść nawet całkiem blisko.

Wszedł w cień rzucany przez murowane grille. Zrobiono je w prymitywnym wiejskim stylu, wyglądały jak kłody drewna z nadal zachowaną korą. Skrzywił się, widząc czyjeś inicjały i serce, które jakaś głupia para wyzwolenców wyryła w twardym jak kamień tworzywie. Rysunek musiał zostać wykonany tradycyjnym ostrzem, nie rylcem laserowym. Pewnie zajęło im to całe godziny.

Ale głupi sposób spędzania czasu, pomyślał pogardliwie, ani na chwilę nie przestając lustrować otoczenia w poszukiwaniu zagrożeń. Jak na razie było jednak bezpiecznie. Altany przy grillach stały puste, ich solidne podesty z cerambetu nie stwarzały możliwości podłożenia bomby czy zorganizowania zasadzki. Pod stołami też nikt się nie krył.



Dziewięciopalcy obserwował trzech mundurowych idących prosto na niego. Czy pewnie raczej na kanał odpływowy, który musiał być zaznaczony na mapach, w odróżnieniu od wielu innych obiektów w tej dzielnicy. Spodziewał się, że skierują się właśnie tutaj, i dlatego wybrał to miejsce, by na nich czekać.

Uśmiechnął się drapieżnie jak wilk, albo może raczej tygrys obserwujący myśliwych zbliżających się nieświadomie do przyczajonej bestii. Dobrze znał park Trondheim i wiedział o nim kilka rzeczy, które na pewno nie były znane obcym. Czekał więc cierpliwie, nie spuszczając oczu z emitera. Jeszcze trzy jardy i...



Komputer Azocara prawidłowo ocenił broń Dziewięciopalcego jako niegroźną. Nie zarejestrował jednak kilku pomniejszych kwestii. Głównie dlatego, że był tylko prymitywną maszynką, zdolną rozpoznawać wyłącznie

zagrożenia, na które został zaprogramowany. Reszta się nie liczyła. Bo i jakie zagrożenie mogły stwarzać dwa staroświeckie i całkiem puste gazowe grille?

Okazało się jednak, że mogły. Azocar przekonał się o tym na własnej skórze. Komputer zresztą też.



Dziewięciopalczy przycisnął guzik.

Gazowe grille, jakie zwykło się ustawiać w parkach, nie zmieniły się specjalnie przez ostatnie dwa tysiące lat. W większości z nich nadal używano propan-butanu, przechowywanego w butlach pod ciśnieniem czternastu barów, takiego samego jak kiedyś, gdy ludzkość tłoczyła się jeszcze w Układzie Słonecznym. Te grille były jednak trochę inne. Dziewięciopalczy był samoukiem, ale przepracował w zakładach wieży Sukharov blisko trzydzieści lat i zabrał stamtąd kilka drobiazgów, dzięki którym zdołał zmodyfikować nieco stare konstrukcje. Przede wszystkim wziął dwa samochodowe zbiorniki wodoru. Były tylko o dwadzieścia procent większe niż butle z propan-butanem i zmieściły się pod paleniskami. Tyle że zamknięty w nich gaz był w stanie płynnym i pozostawał pod ciśnieniem ośmiuset barów.

Gdy Dziewięciopalczy wcisnął przycisk, uruchomił głowice tnące zainstalowane tuż poniżej zaworów zbiorników. Twardy syntetyk nie był dla nich wielką przeszkodą, a poza tym wykonały zadanie, nie wznecając ani jednej iskry.

Zbiorniki ustawiono zaworami w górę, dzięki czemu nie wystartowały teraz jak rakiety, tylko wypuściły dwie fontanny schłodzonego wodoru, które ryczały jak umierające banshee.



Azocar zamarł, zaskoczony nagłym wyciem i pióropuszcami ulatniającego się gazu. Przez chwilę nic nie słyszał w tym hałasie, ale potem komp skorygował głośność w słuchawkach. Panika trwała tylko moment, zastąpiona zaraz głęboką ulgą, że to tylko tyle. Ulatniający się wodór nie był groźny dla człowieka w kombinezonie...



Dziewięciopalcy przycisnął sąsiedni guzik i Jubair Azocar miał już ledwie chwilę na przekonanie się, jak bardzo się mylił. Nawet taka domowej roboty bomba powietrzno-paliwowa była w stanie zniszczyć jego kombinezon.

ROZDZIAŁ LIX



Na ziemię! Natychmiast, kurwa!

– Dobrze, już! – Młoda kobieta uklękła na ceramkowej podłodze garażu. Dłonie już wcześniej trzymała na karku, twarz miała ściągniętą strachem, oczy wpatrzone w trzymany przez Kimma Ludvigseną emiter. – Już. Widzicie?

– Zamknij się, kurwa! – ryknął ogłuszająco głośnik kombinezonu. – Ilu tam jeszcze jest? I nie próbuj kręcić!

– Tylko tuzin. – Kobieta starała się zachować spokój, ale głos jej drżał. – To tylko dzieci – powiedziała jak najbardziej uniżonym tonem. – Tylko dzieci i nauczycielka. Próbowaliśmy... próbowaliśmy wyprowadzić je w bezpieczne miejsce.

– Powiedziałem, że masz się zamknąć! – wrzasnął Ludvigsen i kobieta zamilkła, zmieszana sprzecznymi poleceniami.

Spojrzała w dzikim przerażeniu na sierżant Barrett.

Sierżant widziała strach w jej oczach i prawie współczuła kobiecie. Prawie. Kiedyś... wieki temu, gdy jeszcze miała rodzeństwo, pewnie to by przeważyło. Ale nie teraz. Zwłaszcza że kompania Bravo poniosła już ciężkie straty.

Pierwszymi ofiarami byli Jubair Azocar i szeregowy Irena Gnoughy. Márton Neveu, drugi z bocznych Azocara, miał spędzić długi czas w komorze regeneracyjnej. Ale to nie był koniec. Potem stracili jeszcze

trzech ludzi. Nie pomogły im kombinezony i przewaga ogniowa. A u nich i tak nie było najgorzej. 19. regiment pułkownika Dothana Perella poniósł jeszcze cięższe straty, ale przynajmniej zdołał dać się tamtym we znaki. Sukinsyn, który zabił Azocara, Gnoughy, a potem jeszcze Mathesona, van Noort i Sugase'a, uciekł w zamieszaniu.

Barrett zaciskała mocno szczęki, ilekroć sobie o tym przypomniwała. Potworna eksplozja, która wyeliminowała cały zespół Azocara, wszystkich ich zaskoczyła. Sierżant dalej nie wiedziała, jak wyzwolenicy dali radę to zmontować i jakim cudem sensory Azocara niczego nie wyczuły. Przejrzała ich zapisy trzy razy i niczego nie znalazła. Niczego poza zwykłym impulsem zapalarki grilla. Nie było nawet śladu obecności tradycyjnych materiałów wybuchowych.

Mieli jednak pewny zamiar na wyzwolenca, który był odpowiedzialny za zastawienie tej pułapki. Jej sekcja zatrzymała się, żeby osłaniać podejście drugiej sekcji Brada Kempthorne'a do pozycji zamachowca. I ta standardowa procedura ich uratowała. To znaczy uratowała pierwszą sekcję.

Wyzwoleniec nie miał kombinezonu ani sensorów, ale umiał kombinować. Przewidział pościg i zniknął w odpływie, zanim jeszcze druga sekcja do niego dotarła. Kempthorne poszedł za nim. Cokolwiek ten drań zamontował w środku, kolejna eksplozja o podobnym charakterze jak pierwsza spaliła Kristen van Noort na popiół, z Mathesona i Sugase'a też niewiele zostało, a fala uderzeniowa, która wystrzeliła z obu stron kanału, posłała jeszcze dwóch ludzi z sekcji do szpitala. Gdyby nie hełmy i kombinezony z własnym zapasem powietrza, straty byłyby większe.

I tak pomimo teoretycznej przewagi druga sekcja stopniała z dwunastu do siedmiu ludzi, a morale ocalałych było mocno nadwerężone. Reszta drugiego plutonu oberwała niemal równie mocno. To nie byli już podwładni Barrett, a takiej van Noort nawet nie cierpiała, ale należeli do tego samego

plutonu i ich śmierć też wprawiła ją we wściekłość. Wszyscy chcieli zemsty, a strach przed kolejnymi pułapkami wyzwoleńców, którzy czemuś nie chcieli uciekać przed nimi w panice, tylko wzmagał frustrację i tym samym dziką pasję, żeby dołożyć przeciwnikowi.

– Dawaj ich tutaj! – warknęła Barrett.

Kobieta spojrzała na nią, ale zaraz padła z krzykiem na ziemię, gdy Ludvigsen uderzył ją emiterem w brzuch.

– Starczy! – rzuciła Barrett, gdy szeregowy uniósł ciężkie urządzenie do drugiego ciosu, który na pewno zmiażdżyłby głowę kobiety.

Ludvigsen obrócił się do przełożonej i wpatrywał się w nią chwilę przez czarną, lustrzaną powierzchnię przesłony hełmu, po czym odsunął się, niechętnie wykonując rozkaz.

Kobieta zwijała się z bólu, próbując złapać oddech. Barrett podeszła do niej i trąciła czubkiem opancerzonego buta.

– Powiedziałaś, że masz ich przyprowadzić – rzekła lodowatym głosem.

Kobieta dźwignęła się jakoś na kolana i spojrzała na nią błagalnie. Barrett przystawiła jej lufę pulsera do czoła.

– Jeśli będziemy musieli po nich pójść, skończy się to jeszcze gorzej – powiedziała. – A ty już tego nie zobaczysz.

Kobieta przełknęła z trudem ślinę i pokiwała głową.

– Proszę, nie róbcie im krzywdy – wyszeptała. – To dzieci, tylko dzieci!

– Ruszaj! – odparła Barrett.

– Chodźcie tu! – zawołała, wciąż wpatrując się w Barrett. – Wszystko będzie dobrze. Obiecuję.

Przez kilka sekund nic się nie działo, a potem członkowie ukrywającej się grupy kolejno wyszli z cienia za porzuconą ciężarówką. Rzeczywiście,

była wśród nich tylko jedna młoda kobieta i jedenaścioro dzieci, wszystkie w wieku dziesięciu–jedenastu lat. Jeszcze dwanaście równie przerażonych twarzy, dwanaście par przerażonych oczu patrzących błagalnie na sierżant Barrett. Po chwili wszyscy padli na kolana.

– Dobra – powiedziała Barrett. – Teraz wrócimy do...

Nagły wizg emitera przerwał jej w pół zdania. Obejrzała się błyskawicznie, ale w tej samej chwili Ludvigsen i Brock Sanchez skierowali urządzenie na jeńców.

Niewiele było bardziej bolesnych rodzajów śmierci niż na skutek porażenia przez neuroemiter. Jego promieniowanie dosłownie rozdzierało tkanki ofiary. Jeśli pierwsze trafienie nie objęło mózgu, śmierć następowała w koszmarnych męczarniach.

Ludvigsen i Sanchez omietli całą grupkę jeńców i teraz w ich wizjerach widać było odbicia wijących się w konwulsjach ciał. Mimo całej wściekłości i nienawiści Barrett poczuła mdłości i odbiło się jej kwaśno. Jednak nic nie mogła już zrobić. Tamci zginęli w jednej sekundzie, chociaż ich ciała miały drgać jeszcze przez chwilę, aż do ustania funkcji najważniejszych narządów.

Barrett spojrzała na nie, po czym wbrew własnym chęciom zwróciła spojrzenie na młodą kobietę, która klęczała wciąż obok, pogrążona chyba w głębokim stuporze wywołanym szokiem i niedowierzaniem. Potem powoli, jak na starych zdjęciach zanurzonych w wywoływaczu, na jej twarzy zaczęło malować się zrozumienie. A wraz z nim nienawiść. Przesunęła spojrzeniem wzdłuż lufy broni Barrett, aż spojrzeła sierżant w oczy. W tym spojrzeniu była i nienawiść, i pewność kogoś, kto wie, co zdarzy się za chwilę. Przez moment Barrett popatrzyła na całą scenę jej oczami i ujrzała masywne, czarne sylwetki, pozbawione twarzy potwory,

opatrzone znakiem rękawicy i sztyletu. Przez głowę przemknęło jej, że tak właśnie wyzwoleńcy musieli postrzegać ją i jej ludzi.

Bez żadnej świadomej myśli pociągnęła za spust broni i głowa kobiety eksplodowała krwawymi odłamkami. Kayla Barrett nie wiedziała, dlaczego właściwie to zrobiła. Czy z nienawiści, czy po to, żeby pozbyć się świadka.... Czy może by uciec przed bezdennymi pokładami nienawiści, która emanowała z oczu kobiety niczym klątwa.



– I co to, kurwa, było?

Barrett obróciła się gwałtownie i zbladła, widząc nadchodzącego porucznika Fergusona. Dowódca drugiego plutonu szedł wraz z trzecią sekcją. Razem z sierżantem miał oko na ich odwody. Przez chwilę Barrett nie rozumiała, jakim sposobem mógł zjawić się tak szybko, ale zaraz ją oświeciło. Jako dowódca mógł wywołać u siebie przekaz z kamer i czujników wszystkich podkomendnych. Znając go, przypuszczała, że szedł tutaj, żeby interweniować.

Dlaczego nie trzydzieści sekund wcześniej? – spytała w duchu. Przed oczami miała wciąż podobiznę twarzy brata, ale nie był to już symbol zemsty. Jej brat był dobrym i łagodnym człowiekiem i w jej oczach malowało się teraz wyłącznie przerażenie.

– Ja... – zaczęła, nie mając najmniejszego pojęcia, co powiedzieć, ale Ferguson jej przerwał.

– Nie chcę tego słuchać. – Jego słowa miały temperaturę ciekłego helu, ale napływały kanałem dowodzenia, którego reszta oddziału nie odbierała. – Oczekiwałem od pani czegoś więcej, sierżant Barrett. Liczyłem na panią. Jest pani zwolniona ze stanowiska. Proszę zameldować się u sierżant Frasch

i powiedzieć jej, że ma się tu zjawić i zająć tym szambem, którego pani narobiła.

– Ja... – zaczęła znowu i przełknęła ślinę. – Tak jest.

Własny głos brzmiał głucho w jej uszach, ale zasalutowała, zadziałał z dawna wpojony nawyk. Narzuciła pulser na ramię i ruszyła na tyły.

Ferguson patrzył za nią przez chwilę, po czym obrócił się do reszty członków sekcji.

– Wiem, że wszyscy jesteście wkurwieni i podkręceni – powiedział na kanale oddziału. – Ale to nie usprawiedliwia podobnych rzeczy. Wariant omega nie zezwala na zabijanie dzieci, na miłość boską! Jak myślicie, co powie dowództwo, gdy zobaczy zapis waszej akcji? Czy w ogóle choć przez chwilę pomyśleliście?

Barrett wyszła z garażu i skierowała się tam, gdzie według wyświetlacza powinna znajdować się sierżant Loretta Frasch. Egzoszkiet jej kombinezonu zdawał się nie działać najlepiej. Każda stopa ważyła chyba tonę, karabin zdawał się przygniatać ją do ziemi. Wspomnienie krzyków i drgawek dzieci trafionych przez emiter, i pełnego nienawiści spojrzenia kobiety, gotowej przeklinać ją nawet zza grobu, nie chciało jej opuścić. I wiedziała, że nigdy, naprawdę nigdy już się od niego nie uwolni. Będzie jak kotwica trzymać jej duszę w jednym miejscu...

– Sierżancie! Sierżant Barrett!

Zamarła i obróciła się gwałtownie. To był Ludvigsen. Biegł za nią i machał nerwowo rękami. Za nic nie chciała wchodzić ponownie do tego garażu, ale tamten nie ustępował. Wciągnęła głęboko powietrze, wyprostowała się i ruszyła z powrotem tam, skąd przyszła.

Każdy kolejny krok wydawał się jej coraz trudniejszy, trudniejszy nawet niż wtedy, gdy stamtąd wychodziła. Gdy skręciła za róg, ujrzała to, co

podświadomie spodziewała się zobaczyć.

– Ten drań musiał się ukrywać w kącie na tyłach. – Ludvigsen mówił tak szybko, że ledwo można było go zrozumieć. Wskazał palcem na tylną ścianę garażu, gdzie widać było wyrwę, przez którą wpadały promienie słońca. – Wszyscy słuchaliśmy sierżanta i nikt nie zauważył tego drania aż do chwili, gdy padł strzał. Całkiem nas zaskoczył. Nim zrozumieliśmy, co się stało, on uciekł przez tę dziurę. Sanchez i Timmons pobiegli za nim, ale wątpię, żeby go złapali.

Barrett spojrzała na obleczone w kombinezon ciało leżące obok jednego z martwych wyzwoleńców. Naprawdę sądzili, że uwierzy w istnienie tego snajpera? Jaki niby snajper dałby radę precyzyjnie się razem z bronią przez dziurę o średnicy pół jarda, i to na tyle szybko, żeby nikt nie zdążył do niego strzelić?

Otwór wlotowy znajdował się w samym środku przesłony hełmu Ferguson. Barrett była pewna, że gdyby go zmierzyła, miałaby średnicę dokładnie pięciu milimetrów. Dokładnie tyle, ile wynosiła średnica strzałek z karabinu pulsacyjnego Mk9. Sądząc po ilości krwi i braku tylnej ścianki hełmu, musiał to być pocisk eksplodujący typu Mk3, nie lity pocisk Mk1.

Ktoś nie chciał zostawiać nic przypadkowi, pomyślała, patrząc na ciało. Idioci. Czy oni naprawdę sądzili, że Ferguson wyłączył swój rejestrator? Sąd polowy w żadnym razie nie kupi tej bajeczki o snajperze. Gdzie oni...

Nagle dotarło do niej, że sierżant rzeczywiście mógł wyłączyć rejestrację. Zrobił to pewnie zaraz, gdy się tu zjawiał. Przypuszczalnie chciał załatwić sprawę sam, zanim rozwinie się w coś gorszego. Zanim ktoś stojący wyżej dowie się o incydencie i uruchomi całą ogólnomilitarną maszynę, żeby wykorzystać okazję do pokazowego ukarania winnych. A to by znaczyło...

Przeniosła spojrzenie na Ludvigsena i innych, stojących w półokręgu po drugiej stronie ciała. Nie widziała ich twarzy, ale domyślała się, jaki wyraz gości na nich w tej chwili. Przedziwna sytuacja. Całe jej przyszłe życie miało zależeć od słów, które teraz wypowie. Ona zaś czuła pustkę w głowie.

Nie wiedziała, jak długo tak stali, patrząc na swoje czarne hełmy. Na pewno nie tak długo, jak jej się wydawało. Nagle jednak pojawili się Sanchez i Timmons, a zaraz po nich inni. Zaczerpnęła głęboko powietrza.

– Znaleźliście go? – spytała bezwiednie, nie odrywając spojrzenia od Ludvigsena.

– Ani śladu. – Sanchez był chyba o wiele spokojniejszy niż Ludvigsen, a Timmons trzymał karabin pulsacyjny, jakby był na polowaniu. Z lufą wycelowaną niemal w jej kierunku.

– Szkoda – powiedziała i w końcu się pozbierała. – Prowadzący Bravo zero trzy do Bravo zero jeden.

– Bravo zero jeden – odezwała się Loretta Frasch. – Melduj. Co tam się, u diabła, dzieje?

– Mieliśmy tu małe zamieszanie. – Słowa same przyszyły jej do głowy, jakby ktoś je dyktował. – Oczyszczaliśmy kryjówkę wyzwoleńców i gdy porucznik zaczął ich przesłuchiwać, ktoś strzelił do niego przez wyrwę w murze. Nie żyje.

Na kanale dowodzenia zapadła całkowita cisza, która zdawała się ciągnąć przez bardzo długi czas. W końcu Frasch odchrząknęła.

– A wyzwoleńcy?

– Zginęli, gdy odpowiedzieliśmy ogniem – odpowiedział głos, który zdawał się należeć do niej. Cały czas nie spuszczała spojrzenia z Ludvigsena i reszty.

– Snajper? – spytała z wyczuwalną rezygnacją Frasch.

Barrett pokręciła głową.

– Uciekł. Dziura, przez którą strzelał, nie miała więcej niż pół jarda. Zanim się zorientowaliśmy, co się dzieje, a Sanchez oraz Timmons zdołali precyzyjnie się na drugą stronę, zniknął.

– Rozumiem. Będzie z tym jeszcze masa wyjaśniania – powiedziała Frasch. – Później będą chcieli z tobą rozmawiać. Z tego, co wiem, sierżant wyszedł z sieci, ledwo skierował się do garażu, nie mam więc dla nich wiele. Może wasze zeznania złożą się w jakiś sensowny obraz wydarzeń.

– Na pewno się postaramy – odparła Barrett, rozumiejąc ukryty sens tego, co przekazała jej Frasch.

Jej ludzie wyraźnie się odprężyli.

– No myślę – rzuciła Frasch. – Włącz znacznik na kombinezonie porucznika, żeby ktoś przyleciał po ciało, i zaraz tu wracajcie. Zostajemy już w tyle za naszymi.

ROZDZIAŁ LX



Nie do wiary, że ktoś może być tak głupi – mruknęła Thandi Palane, odrywając spojrzenie od ekranu, na którym pokazywano szturmowców przeczesujących tereny zielone, kwartały przemysłowe oraz parkingi i magazyny. – Co oni sobie wyobrażają?

– Na mój rozum uznali, że dostali zgodę na swobodny odstrzał – powiedział Jurgen Dusek chłodno. Stał obok niej z jeszcze bardziej ponurym wyrazem twarzy. – Nie wiem, kto dokładnie podłożył te atomówki, nadal nie jestem w pełni przekonany do wersji kapitana Zilwickiego i pana Cachata, ale obaj mieli cholernie wiele racji, gdy chodzi o konsekwencje. Ktokolwiek to był, dał Snyder idealny pretekst do tego, co jej się marzyło. A to tylko wstęp do obmyślanego przez nią „ostatecznego rozwiązania problemu wyzwoleńców”. No i po tym, co się stało z pierwszymi oddziałami, nie mieli właściwie wyboru. Teraz muszą zdobyć co najmniej dwie wieże, i to w możliwie spektakularny sposób, jeśli nie chcą, żeby to rozeszło się na całą planetę. A tego Snyder i McGillicuddy na pewno nie pragną!

Thandi spojrzała na niego w zamyśleniu i pokiwała głową. Nie dziwiła się już świetnemu rozeznaniu Duseka w politycznych niuansach Mesy. Jako wyzwoleniec musiał stać z boku, ale śledził to środowisko, tak podobne do jego obszaru działania. Musiał wiedzieć, co działo się w sferach rządowych, ponieważ wyzwoleńcy też byli od nich zależni. Fakt, że nie mieli głosu, czynił tę obserwację jeszcze ważniejszą. Dusek potrzebował informacji

o tym, kto był tam najważniejszym graczem i do czego aktualnie dążył, żeby móc ocenić, na ile wpłynie to na życie jego dzielnicy i działalność organizacji.

Po tygodniach spędzonych na Mesie Thandi zaczęła postrzegać Duseka w innym świetle. Victor miał rację, mówiąc o roli odgrywanej przez bossów mafii w społeczeństwie wyzwolenców. Nikt nigdy nie pomyliłby Duseka z rycerzem na białym koniu, jednak wierzył on w starą zasadę, że dobre postęпки prowadzą do sukcesu. Biorąc pod uwagę osobisty majątek i zakres władzy, był zapewne jednym z najpotężniejszych ludzi w stolicy, nie tylko w dzielnicach wyzwolenców. Odkąd zaś sprzymierzył się z Victorem, jego kontakty sięgnęły nieporównanie dalej. „Szara strefa” na Mesie była większa niż na przeciętnej planecie i Dusek był w stanie zawierać sojusze także w miejscach, w których normalnie wyzwoleniec nie miałby czego szukać.

Te alianse rozpadły się jednak wraz z niedawnymi „atakami terrorystycznymi”. Nie dlatego, żeby ktokolwiek z sojuszników wiązał go z nimi, ale było oczywiste, że wyzwolenicy staną się obiektem działań odwetowych, i to wszyscy, nie tylko ci w Mendel. Nikt nie chciał tonąć razem z nimi.

O tym Dusek też wiedział, ale chwilowo miało to dla niego drugorzędne znaczenie. Owszem, jeśli czekało go jakieś jutro, chciałby pozostać na szczycie. Jednak teraz zachowywał się nie jak król podziemia, próbujący zarobić na ciężkich czasach, ale zgodnie z przewidywaniami Victora stał się prawdziwym przywódcą, jakiego tysiące wyzwolenców żyjących w Neue Rostock nigdy wcześniej nie miały.

– ...siły porządkowe odzyskały kontrolę nad większością dzielnic, w których oddziały Biura Bezpieczeństwa Publicznego zostały wczoraj zwabione w zasadzki – mówił komentator. – Silna i zdecydowana reakcja

służb złamała opór wichrzycieli, którzy zaprzestali aktów przemocy i wycofują się na wszystkich odcinkach. Biuro sekretarza służb bezpieczeństwa François McGillicuddy'ego wydało kilka godzin temu oświadczenie, w którym sekretarz stwierdza, cytując, „Sprawcy tych tchórzliwych i nikczemnych ataków na funkcjonariuszy Biura Bezpieczeństwa Publicznego, próbujących aresztować podejrzanych o zamachy w Dobzhanskym i parku Blue Lagoon, zostaną pociągnięci do odpowiedzialności. Z żalem przyjmujemy do wiadomości, że decyzja terrorystów i ich sympatyków, żeby szukać schronienia w dzielnicach wyzwoleńców, doprowadziła do tak wielkich ofiar, ale obawiamy się, że tych ofiar niestety będzie więcej. Wobec aktów przemocy popełnionych przez terrorystów Baletu, działających z tych właśnie dzielnic, Biuro Bezpieczeństwa Publicznego nie ma innego wyjścia, jak tylko kontynuować swoje operacje aż do chwili, gdy zarówno terroryści, jak i ci próbujący ich wesprzeć i ochronić po niedawnych atakach zostaną pojmani i staną przed wymiarem sprawiedliwości”.

– Sądząc po jego słowach i po tym, co widzieliśmy dzisiaj...

– To wielu ludzi jeszcze tu zginie – dokończyła Thandi, wyłączając dźwięk.

– Tym się nie przejmują, przynajmniej gdy giną ci, co trzeba – powiedział Dusek. – W tej chwili próbują zapędzić wszystkich wyzwoleńców do stref swobodnego polowania. Oczywiście nie jest powiedziane, że to zadziała dokładnie tak, jak sobie zamierzeli.

Uśmiechnął się lekko. Ewakuacja Neue Rostock zaczęła się kilka dni wcześniej, dobę po przedstawieniu przez Victora tego, co Anton przygotował na temat skutków zbliżających się ataków. Wiele dało, że istniał już sporządzony lata wcześniej plan ewakuacji całej wieży. Opracowano go raczej na wszelki wypadek, bez rzeczywistej potrzeby, ale

teraz się przydał. Dusek zdołał wyprowadzić swoich ludzi, zanim jeszcze eksplozje atomowe wprawiły służby bezpieczeństwa w furję. Tunele i przejścia pod wieżą nie miały wielkiej przepustowości i rozprowadzenie ewakuowanych po innych miejscach w ten sposób, żeby władze tego nie zauważyły, stanowiło spore wyzwanie. Szczęśliwie zaczęli na tyle wcześniej, żeby praktycznie wszyscy mieszkańcy wieży zdążyli się wymknąć, zanim służby zaczęły zaciskać swoją sieć wokół dzielnic wyzwoleńców. Zostali tylko ci, którzy postanowili stanąć do walki obok członków organizacji Duseka, i trzeba przyznać, że była to całkiem spora grupa. Obecnie, gdy w wieży zjawiali się uciekinierzy umykający przed siepaczami służb, ludzie Duseka natychmiast sprowadzali ich do podziemi i wskazywali drogę do bezpieczniejszych okolic.

Z wiadomości docierających do Neue Rostock, jak i doniesień medialnych wynikało, że Bachue Nos nie zdołała przygotować się równie dobrze. Nigdy nie była tak zorganizowana jak Dusek, nigdy też nie próbowała stworzyć wspólnego dla wszystkich mieszkańców planu ewakuacji, jej ludzie zaś słabiej znali plątaninę tuneli i przejść mających połączenie z Hancockiem.

– To pierdoleni idioci – powiedziała Thandi ze złością. – Wystarczy na nich spojrzeć! Nie mogą mieć tam więcej niż parę regimentów. To dość, żeby polować na ludzi na otwartym terenie, zwłaszcza na takich, którzy nie mogą się odgryźć. Do zdobycia wieży w rodzaju Neue Rostock to żałośnie mało.

– Chyba że zdecydują się na to, o czym wspomniał pani przyjaciel, kapitan Zilwicki, nazywając to uroczo „opcją Damoklesa” – zauważył Dusek. – Jeśli najpierw sięgną po dość potężną broń kinetyczną, nie będą już musieli fatygować wielu oddziałów.

– To prawda – zgodziła się Thandi. – Będą jednak mieli problem z podjęciem takiej decyzji z powodu skutków ubocznych zastosowania broni kinetycznej w mieście. Jasne, mogą to zrobić, ale będzie jeszcze gorzej, niż pierwotnie oceniałam. Ktokolwiek zaprojektował ten budynek, nie przejmował się normami obowiązującymi w wieżach obywateli. Chciał tylko upakować jak najwięcej ludzi w jak najmniejszej przestrzeni. Atrium czy szyby dojazdowe zajmują cenne miejsce, więc z nich zrezygnował. Dlatego ta akurat wieża jest zasadniczo wielkim blokiem cerambetowych ścian i stropów. Gdyby chcieli rozwalić go jedną głowicą kinetyczną, musieliby spisać sporą część miasta na straty. A tego chyba nie chcą. Wątpię też, żeby podobała im się perspektywa tego, do czego dojdzie, gdy ruszą do szturmu. A ci, którym przyjdzie wykonywać tę robotę, to już w ogóle się nie ucieszą.

Dusek przytaknął. Nie była pewna, czy jej uwierzył, chociaż zarówno Victor, jak i Anton zwykli zwać ją najlepszym dowódcą wojskowym od czasów Achillesa. Królestwo Torch już teraz stało się legendą wśród wyzwolenców i niewolników Mesy, i to pomimo wielkich wysiłków władz, żeby nie dopuścić do rozpowszechniania wiadomości na jego temat. W tej sytuacji nie musieli nawet specjalnie się przykładać do podkreślania jej talentów. Inna sprawa, że Thandi wciąż niezbyt się podobało, że ujawnili jej tożsamość, ale Victor miał rację. Jeśli Neue Rostock upadnie, i tak wszyscy będą martwi, zatem utrzymywanie tajemnicy nie miało już większego sensu.

– Poza tym pomyśl, jakie to będzie miało znaczenie dla Torch, gdy rozejdzie się wieść o ostatniej walce Thandi Palane – powiedział wtedy Victor typowym dla siebie rzeczowym tonem. – Oczywiście wolałbym to przeżyć i mam nadzieję, że wszyscy z tego wyjdziemy. Ale jeśli nie, dostarczysz Królestwu Torch własną wersję Alamo i Horacego, obrońcy

mostu, jednocześnie. To będzie piękna opowieść. W zestawieniu z twoją legendą nawet postać księżnej Harrington wypadnie blado.

Thandi czasem serio zastanawiała się nad tym, co jej powiedział. Nie dlatego, żeby nie miał racji. Czy jej się to podobało, czy nie, nie była już młodszym oficerem Solarian Marine i mocno się zmieniła od tamtego czasu. Pewnie nawet bardziej niż sądziła, skoro naprawdę zrozumiała jego słowa. Absolutnie nie pragnęła stać się legendą, ale pojmowała, że czasem człowiek trafi na taką chwilę w historii, że nie ma innego wyjścia. A skoro już, to zamierzała zabrać ze sobą jak najwięcej mesańskich drani. Jeśli Królestwo Torch potrzebuje legendy, to ona nie będzie protestować.

– Rzecz w tym, że w takiej wieży łatwo o paskudny wypadek – powiedziała, odwracając się od ekranu i przechodząc przez obszerne pomieszczenie do stojących pośrodku konsoli. – Przy odrobinie wysiłku można zadbać, żeby te wypadki przytrafiły się właściwym ludziom.

Dusek znowu przytaknął, teraz jakby energiczniej. Thandi usiadła w jednym z komfortowych foteli, on zajął miejsce obok niej.

Pokój, w którym przebywali, znajdował się głęboko w piwnicach Neue Rostock, pięć kondygnacji poniżej poziomu gruntu. Od kilku dni służył im za centrum operacyjne. Stąd mogli zawiadywać całym skomplikowanym mechanizmem gmachu, który miał osiemset jardów wysokości i sto jardów z każdego boku. Ulokowane w nim instalacje były równie skomplikowane jak w porządnej stacji kosmicznej. Technicy nieustannie czuwali nad klimatyzacją, wodociągami, kanalizacją, systemami bezpieczeństwa i czym tam jeszcze. Oraz nad stanem reaktora fuzyjnego, który zaopatrywał wieżę w energię elektryczną.

Neue Rostock był jakby małym miastem zamieszkanym przez ponad trzydzieści tysięcy ludzi i ze wszystkim, czego takie miasto może potrzebować. Biorąc zaś pod uwagę starania, żeby każda wieża była

samowystarczalna, było to warowne miasto, czy wręcz cytadela zdolna przetrwać tak napaść, jak i oblężenie. Oczywiście nie mogliby trzymać się w nieskończoność. Już po kilku tygodniach obrońcom zaczęłoby brakować żywności, chociaż Thandi i tak była zaskoczona bogactwem zgromadzonych zapasów. Dostaw energii nie można było odciąć, reaktor zaś miał w głęboko umieszczonych zbiornikach zapas masy aktywnej na blisko rok. Nie dałoby się też pozbawić obrońców wody. Wieża miała własne studnie głębinowe, co było przy obecnych technologiach tańszym rozwiązaniem niż jakiegokolwiek inne.

Ktoś się nie popisał, pomyślała Thandi. Ten, kto autoryzował plany, nie myślał przecież o stworzeniu warownej twierdzy. To była raczej ostatnia rzecz, na której mogło zależeć poganiaczom niewolników. Najwyraźniej nawet genetyczny superman nie jest w stanie przewidzieć wszystkiego.

Jeszcze większym zaniedbaniem ze strony służb był fakt, że jak dotąd nie próbowały odciąć podziemnych wyjść z wieży. Sądziły zapewne, że i tak wezmą wyzwoleńców z zaskoczenia, a możliwości, że ktokolwiek wyprowadzi taki tłum mieszkańców tunelami, i to jeszcze przed atakiem, nie brały najpewniej w ogóle pod uwagę. Być może nawet chciały, żeby jakaś część uciekła tamtędy, roznosząc budzące panikę opowieści wśród innych mieszkańców dzielnicy. Czyli mogli nie być aż tacy głupi, żeby naprawdę zaatakować wieżę. Istniało jakieś niewielkie prawdopodobieństwo, że pierwsze akcje w wykonaniu Biura Bezpieczeństwa Publicznego nie zostały zaplanowane jako preludium do masakry. Wstępne raporty sugerowały, że funkcjonariusze zostali całkowicie zaskoczeni tym, co ich spotkało; w żadnym przypadku nie oczekiwali, że wyzwoleńcy odpowiedzą ogniem. Z drugiej strony, tym gorzej mogło się to wszystko skończyć. Nienawiść i pragnienie zemsty,

które buzowały w szturmowcach, stale narastały w miarę dziesiątkowania ich szeregów.

– Naprawdę sądzi pani, że zdołamy się utrzymać do chwili, gdy pani przyjaciele sprowadzą pomoc? – spytał Dusek na tyle cicho, żeby technicy go nie słyszeli.

– Szczerze? – Thandi spojrzała na niego i wskazała na ekran z wiadomościami. – Jeśli to, co widzieliśmy do tej pory, dobrze oddaje sytuację, to powiedziałabym, że prawdopodobieństwo wynosi co najmniej osiemdziesiąt do dwudziestu na naszą korzyść. Zakładając oczywiście, że nie sięgną po duże głowice kinetyczne. Jeśli znajdą jakiegoś mniejszego kretyna na miejsce Howella, nasze szanse spadną. W sumie wiele zależy od tego, jak rozgarnięta okaże się ta osoba.

– Rozumiem.

Jak na razie Dusek przyjmował to dobrze. Z drugiej strony, Thandi nie wierzyła, żeby tak zwany Wielki Sojusz rzucił wszystko i wysłał flotę ratunkową tylko dlatego, że Victor Cachat i Anton Zilwicki o to poprosili. Co do Duseka zaś, to im lepiej go poznawała, tym bardziej była przekonana, że podjąłby taką samą decyzję także wtedy, gdyby z góry wiedział, że nie będzie żadnego ratunku. Było w nim coś z wojownika. Gdyby rząd Mesy postanowił zredukować populację wyzwolenców do grupy, nad którą łatwo byłoby zapanować, Dusek zapewne spróbowałby zabić jak najwięcej przeciwników przed śmiercią. A gdyby jakiś ratunek jednak się pojawił, byłaby to dlań tylko wisienka na torcie.

Skinęła mu głową i wróciła do ekranu. Yana i Victor pomagali przygotowywać pozycje strzeleckie. Pracami kierował Andrew Artlett, wspierany przez Nolana Olsena, który był nadzorcą budowlanym wieży Neue Rostock. Razem dokonywali osobliwych modyfikacji w instalacjach budynku. Rodzina Olsena została już ewakuowana, ale nikt nie znał

gmachu tak dobrze jak on. Andrew zaś wyrósł w rozpadającym się z wolna orbitalnym habitacie i nauczył się robić prawdziwe cuda z systemami podtrzymywania życia. Wspólnie wymyślili kilka niespodzianek dla każdego, kto byłby dość głupi, żeby wejść do ich królestwa. Andrew miał na swoim ekranie plany budynku, te prawdziwe, które pokazywały wszystkie wprowadzone przez Duseka zmiany, i nakierowywał właśnie Yanę na miejsca, gdzie powinna założyć kierunkowe ładunki wybuchowe na ścianach korytarzy.

Victor dysponował tymi planami, gdy wraz z Chuanlim opracowywał stanowiska obronne i sieć osłoniętych przejść mających je połączyć. Obrońcy nie mieli żadnych kombinezonów, ale zgromadzona przez Duseka broń była niemal równie dobra jak ta posiadana przez siły porządkowe, zwłaszcza jeśli walki miały się toczyć na mały dystans. Znajomość budynku zaś działała zdecydowanie na ich korzyść.

Thandi wolałaby być z nimi. W głębi serca nadal czuła się przede wszystkim oficerem Marine Corps, niezależnie od tego, co jeszcze w życiu robiła, zwłaszcza od chwili spotkania Zilwickiego i Cachata. Jeśli jednak mieli mieć jakieś szanse w tej walce, wszystko miało zależeć od taktycznej kontroli nad bojownikami, którzy nigdy nie przeszli prawdziwego szkolenia i nie mogli równać się z nią doświadczeniem. Yana i Victor też mieli doświadczenie, chociaż było ono dość swoiste. Reszta mogła się pochwalić co najwyżej udziałem w licznych bójkach czy strzelaninach, co miało się nijak do nadchodzącej walki. Gdy przyjdzie czas, będą potrzebować kogoś, kto spokojnie i rzeczowo nimi pokieruje. A skoro to ona miała być tym głosem, musiała pozostać tutaj, z dostępem do wszystkich systemów zwiadu i rozpoznania budynku.

Uśmiechnęła się lekko, przesuwając palcami plan z korytarzami, mieszkaniami, pasażami handlowymi, kafejkami, salami gimnastycznymi,

pochylniami towarowymi, szybami wind, schodami, przewodami wentylacyjnymi. Całą wieżę miała jak na dłoni i mogła dzięki temu oceniać bieżącą sytuację lepiej niż ktokolwiek inny, nawet wyposażony we wszystkie systemy kombinezonu bojowego.

Spojrzała na ekrany monitoringu, ale nadal nie było na nich widać nadciągających szturmowców. Niemniej gdy już przyjdziecie, robaczki, zgotujemy wam naprawdę gorące powitanie, pomyślała.

ROZDZIAŁ LXI



Gavin Shultz skrzywił się, ledwo uniósł wizjer hełmu. Wkoło śmierdziało dymem. Nigdy nie podejrzewał, że w dzielnicach wyzwolenców może być tyle łatwopalnych materiałów. Ale nawet dym był lepszy niż smród bijący z wnętrza jego kombinezonu po całym dniu walki.

Nie podobało mu się, że kompania Bravo poniosła aż takie straty. Zwłaszcza drugi pluton. Jego zdaniem nic tego nie usprawiedliwiało. To byli przecież tylko pieprzeni wyzwolenci, on zaś dość widział w ciągu dnia, żeby utwierdzić się w opinii na ich temat. Próbował sobie tłumaczyć, że jego doświadczenie mogło nie być reprezentatywne i gdzie indziej sytuacja wyglądała całkiem odmiennie, ale i tak...

Obniżył przesłonę, ale nie zamknął jej całkowicie. Potrzebował świeżego powietrza, nawet takiego zadymionego. Chciał tylko wywołać na HUD mapę z kompa wozu dowodzenia stojącego po drugiej stronie obozowiska. Obszary zieleni oznaczające spacyfikowany teren na podejściu do wież Hancock i Neue Rostock były mniejsze, niż powinny, i pułkownik MacKane nie krył niezadowolenia z tego powodu. Gavin Shultz też nie był zadowolony, ale...

– Gdzie jest pułkownik MacKane, żołnierzu? – rozległo się obok i zaskoczony Shultz spojrzał w kierunku, skąd dochodził głos.

– Komisarz Howell! – wykrztusił, po czym stanął na baczność.

Bentley Howell odwrócił się od kaprała, który miał pecha stać akurat tutaj, gdy komisarz wysiadł ze swojego pojazdu. Nie nosił kombinezonu,

miał tylko na głowie lekki hełm z opuszczoną przesłoną. W odróżnieniu od bojowych ta była prawie przezroczysta. Służyła głównie jako wyświetlacz HUD i nie zasłaniała specjalnie twarzy, dzięki czemu kapitan mógł bez trudu rozpoznać dowódcę Dyrektoriatu Bezpieczeństwa.

– Nie spodziewałem się tu pana! – dodał kapitan i Howell się skrzywił.

– Cóż, kapitanie... Shultz, prawda?

Shultz skinął głową, zdumiony pamięcią komisarza do twarzy. Nie pomyślał nawet o tym, że komp hełmu mógł przekazać właścicielowi kod identyfikacyjny rozmówcy.

– Też nie sądziłem, że się tu znajdę. Oczekiwałem raczej meldunku, że moje czołowe oddziały podeszły już pod Hancock i Neue Rostock.

Shultz przełknął z trudem ślinę. Ton komisarza nie wróżył niczego dobrego. Lepiej było trzymać gębę zamkniętą.

Howell zmierzył go spojrzeniem i uśmiechnął się nieprzyjemnie.

– Spokojnie, kapitanie. Nie zamierzam pana obdzierać ze skóry. Ale potrzebuję pułkownika MacKane'a. Gdzie on jest?

– Nie jestem pewny, ale major Myers jest jakieś dwieście jardów w tamtym kierunku. – Uniósł rękę, pokazując drogę. – Zaprowadzić pana do niego?

– Nie, mam już jego znacznik – odparł Howell, manipulując przy padzie hełmu. – I wydaje mi się, że pułkownik MacKane jest z nim. Dobrze. Dziękuję, kapitanie.

Skinął Shultzowi głową i pomachał na dwóch uzbrojonych szturmowców, którzy zaraz wyskoczyli z wozu. Razem ruszyli we wskazanym kierunku.

Shultz patrzył chwilę w ślad za nimi, po czym wrócił do studiowania mapy.



– Cóż, pułkowniku – powiedział Howell. – Jak pan wyjaśni to, że jesteście dopiero tutaj?

– Opór był o wiele silniejszy, niż przewidywały to oceny naszego wywiadu.

Teodosio MacKane powiedział to zapewne trochę zbyt pewnym tonem, jak na zwykłego pułkownika rozmawiającego z komisarzem, który był w tym przypadku odpowiednikiem generała. Niemniej nic więcej w jego postawie nie sugerowało braku szacunku. Howell upomniał się więc w duchu, że nie powinien mu od razu urywać łba z płucami.

– Tego się obawiałem, pułkowniku – powiedział ostatecznie. – I chcę wiedzieć, dlaczego do tego doszło.

– Komisarzu, oczyściłem ten teren i ten, i jeszcze tamten – powiedział MacKane, wskazując konkretne miejsca na mapie. – To praktycznie całe dojście do wieży Neue Rostock od wschodu. Nie udało nam się obejść wieży z drugiej strony, ale czynimy postępy. I muszę też zaznaczyć, że jak dotąd straciłem ponad dwustu ludzi, z czego dwudziestu trzech to polegli.

Komisarz skrzywił się, napotkawszy jego twarde spojrzenie. Straty przekraczały dziesięć procent. Jak, u diabła, motłoch wyzwolenców mógł tak bardzo przetrzebić szeregi porządnie wyposażonych szturmowców?

Spojrzał na mapę, przypominając sobie inne meldunki otrzymane tego dnia. Wbrew sobie musiał przyznać, że MacKane miał rację, wspominając o silnym oporze. Oryginalny plan Howella zakładał oczyszczenie terenu wokół obu wież i zagnanie wyzwolenców do budynków, z którymi dałoby się kolejno uporać, ale cena za to okazała się wyższa, niż oczekiwał. Dwa regimenty przypisane do wież Hancock i Neue Rostock były bardzo rozciągnięte, skala strat zaś osłabiała ducha bojowego. Z drugiej strony,

można było oczekiwać, że wyzwolenicy właśnie tutaj będą stawiać najbardziej zacięty opór. Czy też powodować największe straty. Pytanie tylko, czy to oznaczało, że oni są lepiej zorganizowani i wyposażeni, czy też 4. i 19. regiment były kiepsko dowodzone?

– Dobrze – powiedział w końcu. – Ma pan zostawić jeden batalion dla zabezpieczenia podejścia do Neue Rostock. Pan wraz z drugim wesprze pułkownika Perella. Pułkownik Metz i siedemnasty regiment dołączą do was. Najpierw załatwimy Hancock, potem zajmiemy się Neue Rostock. Wszystko jasne?

– Tak jest. – MacKane nie promieniował entuzjazmem.

– Wiem, że to wydaje się trudne zadanie, pułkowniku – powiedział z lekkim uśmiechem Howell. – I wiem, że spędził pan już tutaj cały dzień. Ale to tylko wyzwolenicy, a skoro ich spychamy, czują się zmuszeni walczyć. Nie mogą się wycofać, jak na otwartym terenie. Może pan sądzić, że zbyt dużo od pana oczekuję po tym, co już przeszliście, ale nie zamierzam wystawiać was na nic, na co sam nie byłbym gotowy.

– Komisarzu? – MacKane uniósł brwi i Howell uśmiechnął się bardziej przebiegle.

– Mam całe wyposażenie w samochodzie, pułkowniku. Osobiście poprowadzę ten atak.



– Kapitanie Shultz?

Gavin obrócił się i ujrzał przed sobą sierżant Kaylę Barrett. Hełm trzymała pod lewą pachą, twarz miała brudną i zmęczoną.

– Tak, pani sierżant? – spytał trochę niecierpliwie.

Nie mógł uwierzyć, że komisarz Howell chce osobiście poprowadzić atak na Hancock, i nie był wcale pewien, że to dobry pomysł. Howell był wielkim człowiekiem, który z pewnością rozumiał problem z wyzwoleniami, ale od piętnastu albo więcej lat nie miał nic wspólnego z dowodzeniem w walce. Z drugiej strony, wydawał się skłonny do współpracy z pułkownikiem MacKane'em, co dawało nadzieję, że nie popełni naprawdę poważnych błędów. Shultz bardzo na to liczył. A póki co, miał na głowie wiele ważniejszych spraw niż wysłuchiwanie meldunków pani sierżant.

– Chodzi o porucznika Fergusona – powiedziała Barrett i Shultz zacisnęła szczęki.

– Co z nim?

– Nie wiem, jak dokładnie zostało to zgłoszone, ale...

– Sierżant Barrett, mamy właśnie przypuścić atak na wieżę pełną wyzwolenców – powiedział kapitan. – Jestem pewien, że najlepszy czas na rozmawianie o tym, co zdarzyło się porucznikowi Fergusonowi czy też innym naszym poległym, przyjdzie po tej akcji. W tej chwili mam szereg innych obowiązków. Czy to może poczekać?

Lepiej, żeby poczekało, pomyślał ze złością. Domyślał się, co naprawdę spotkało Fergusona, choć nie miał żadnego dowodu na poparcie swojej teorii. A jeśli sprawa była aż tak śmierząca, nie należało ruszać jej teraz, zwłaszcza z komisarzem Howellem tuż za plecami. Poza tym Ferguson był mięczakiem i za życia powodował u innych tylko ból dupy. Kapitan nie zamierzał pozwolić, żeby ktoś taki zwichnął mu karierę jeszcze po śmierci. Sukinsyn najpewniej zasłużył sobie na taki koniec.

Wytrzymał spojrzenie pani sierżant. Wyraz twarzy miał mało zachęcający. Cisza coraz bardziej się przeciągała.

– Tak jest – powiedziała ostatecznie Kayla Barrett. – Tak, sądzę, że to może poczekać.



– Masz mnie za głupią, Kyle? – spytała Audrey O’Hanrahan.

Kyle Fraenzl zacisnął mocno zęby, żeby nie powiedzieć tego, co cisnęło mu się na usta. Niestety, cokolwiek by sądzić o O’Hanrahan, głupia nie była na pewno. Byłoby o wiele prościej, gdyby wykazywała się podobnym nierozgarnięciem jak ci dziennikarze, którzy robili materiał o zatonięciu *Magellana*.

– Nikt nie ma cię za głupią – odpowiedział możliwie uspokajającym tonem. – Chodzi tylko o to, że trafiłaś na jakieś niepotwierdzone pogłoski, a jesteś naprawdę zbyt znana, żebyśmy mogli ci pozwolić za bardzo zbliżyć się do terenu walk. – Pokręcił ze smutkiem głową. – Prawda jest taka, że nie możemy ryzykować oddźwięku, jaki wywołałaby twoja śmierć na Mesie. To byłoby wręcz fatalne dla naszego wizerunku, Audrey. Wyzwoleńcy strzelają do wszystkiego, co się rusza.

– Na miłość boską! – wybuchnęła O’Hanrahan i spojrzała na niego z pogardą. – Wyzwoleńcy strzelają do wszystkiego, co się rusza? To największa bujda, jaką kiedykolwiek próbowano mi sprzedać. Nawet tutaj, na Mesie!

Fraenzl znowu zacisnął usta i twarz mu pociemniała.

– Nie zbieram żadnych „niepotwierdzonych pogłosek”, Kyle. – Tym razem w jej głosie było mniej szyderstwa. Mówiła wolno i wyraźnie, jakby tłumaczyła coś pięciolatkowi. Nie była to znacząca poprawa. – Zdobyłam stuprocentowo prawdziwe informacje, a część z nich pochodzi z nasłuchu waszej własnej korespondencji radiowej. – Uśmiechnęła się słodko, pokazując solarny skaner, który powinien zostać jej skonfiskowany podczas

kontroli granicznej. Fraenzl zazgrzytał zębami. – I mam jeszcze inne źródła, nawet tutaj. Dlatego wiem, że to nie wyzwolenicy zabijają tam ludzi. Albo raczej że jeśli strzelają, to w samoobronie!

– Chwila, moment – warknął Fraenzl, rezygnując z wysiłków, żeby pozostać chłodnym profesjonalistą. Teraz był już naprawdę wkurzony. – Cokolwiek tam się dzieje, jest to wynik podłożenia ładunków atomowych, które eksplodowały na mojej planecie! To nie służby wywołały ten amok, ale sami wyzwolenicy i ich przyjaciele z Baletu!

– A diabli wiedzą – odgryzła się O’Hanrahan, ale tym razem już niemal normalnym tonem. – Nie wiem na pewno, kto jest odpowiedzialny za te zamachy, Kyle. Przyjmuję na wiarę, że to dzieło Baletu, chociaż to nie było w ich stylu, ale zanim zaczniesz mnie znowu atakować, pozwól sobie przypomnieć, że Mesa nigdy nie była ostoją wolności prasy. Oboje świetnie to wiemy. Twoja praca polega na powtarzaniu mi tego, co zdaniem twoich przełożonych powinienam usłyszeć, i nie ma żadnego znaczenia, na ile przypomina to prawdę. Może więc oszczędź sobie kłopotów i fatygi i przyznaj po prostu, że to, co oboje wiemy, odpowiada stanowi faktycznemu. Wasze służby bezpieczeństwa poniosły ciężkie straty, gdy weszły do dzielnic wyzwolenców, i na skutek tego sprawy wymknęły się spod kontroli. To oni popełniają tam zbrodnie. Ty to wiesz, ja to wiem i twoi przełożeni to wiedzą.

Fraenzl zaczerpnął głęboko powietrza, policzył do dziesięciu i westchnął.

– Przepraszam za emocjonalną reakcję – powiedział szczerym tonem, chociaż wyraz oczu przeczył jego deklaracji. – Na swoją obronę mogę przywołać tylko wyczerpanie, stres i żal. Straciłem kilku przyjaciół w ataku na wieżę Dedrick, a jeden z kuzynów mojej żony jest... był porucznikiem Dyrektoriatu Bezpieczeństwa. Zginął wczoraj. Zatem tak, osobiste

zaangażowanie utrudnia mi profesjonalne podejście do tematu. Gotów jestem nawet przyznać, że doszło do pewnych incydentów, gdy nasi funkcjonariusze zapewne użyli nadmiernej siły. Relacjonowałam dość różnych konfliktów, żeby wiedzieć, że takie rzeczy po prostu się zdarzają, i to nawet w najlepszych jednostkach. Nie można jednak mówić o jakichś wrogich akcjach ze strony naszych oddziałów i na pewno nie ma ani krzty prawdy w pogłoskach, jakoby Biuro Bezpieczeństwa Publicznego albo Dyrektoriat Bezpieczeństwa nakazały, dały przyzwolenie czy chociaż przymykały oko na takie ekscesy. Zapewniam cię, że każdy udowodniony przypadek nadużycia siły będzie we właściwym czasie dokładnie zbadany i osądzony.

– Tak to powiedziałaś, jakbyś naprawdę w to wierzył – powiedziała O’Hanrahan tonem szyderczego podziwu, po czym zaśmiała się głośno. – Kyle, widziałam operacje Biura Bezpieczeństwa Granicznego, poznałam Żandarmerię od najgorszej strony i cholernie dobrze wiem, co naprawdę się dzieje, gdy spojrzę na wiadomości, a potem zerknę z balkonu na te słupy dymu unoszące się nad dzielnicami wyzwoleńców. Możesz zabronić mi dostępu do strefy walk, ale jeśli to zrobisz, uprzedź Lacklanda i resztę twoich przełożonych, że ja przekażę moim widzom, iż mimo ponawianych próśb z mojej strony rząd Mesy nie pozwala mi relacjonować tutejszych zdarzeń. Niech pomyślą, jak tego rodzaju materiał wpłynie na opinię publiczną oraz na postrzeganie ich roli w tym, co się tutaj dzieje.

– Audrey, nie sądzę...

– Nie mamy już o czym rozmawiać, Kyle – odpowiedziała całkiem uprzejmym tonem i pokręciła głową. – Wiem, że bywam porywcza, i wiem też, że wykonujesz tylko swoją pracę i starasz się to robić w sposób, który uważasz za najlepszy. Ale zrozum, że ja też mam swoją pracę i zamierzam ją wykonać. Zanim więc powiesz coś jeszcze i znowu zacniemy na siebie

wrzeszczyć, przekaż lepiej swoim szefom to, co ci przed chwilą powiedziałam. I powiedz im też, że albo, począwszy od jutra rana, zapewnią mi dostęp do terenu walk, albo ogłoszę całej Lidze Solarnej, że i ty, i oni coś przede mną ukrywacie. I że jest to coś tak dużego i paskudnego, że śmiertelnie obawiacie się, iż wykryję chociaż jakiś strzęp tej prawdy.

ROZDZIAŁ LXII



Cóż, przypuszczam, że to już pora... Nie żebym wypatrywała tej chwili – powiedziała z kwaśną miną Gillian Drescher. – Ale wiesz, że cokolwiek zrobimy, i tak wyjdzie z tego wielkie szambo.

– Jeszcze gorzej będzie, jeśli zostawimy to Howellowi i jego bandzie idiotów – zaznaczył pułkownik Bartel. On był chyba jeszcze gorzej nastawiony do sprawy. – Jak dotąd zdołali stracić prawie pięciuset ludzi i nie doszli nawet do tych przeklętych wież!

– Nie ma co ich obwiniać, Byrum. – Drescher pokręciła niespokojnie głową. – Nasi ludzie też nie przewidywali takiego oporu wyzwolenców. Na razie tamci używają głównie lekkiego uzbrojenia i min-pułapek domowej roboty. Sądziś, że zrobi się gorzej, gdy nasi już w to wejdą?

– Na pewno, ma’am. To jeden z powodów, dla których jestem wściekły na Howella i McGillicuddy’ego, skoro o tym mowa, za przerzucenie tego główna na nas.

– Póki co, nie jest nasze. – Drescher znów spojrzała na otrzymane rozkazy. – Ale ruszyliśmy już naszych ludzi. Ile potrwa, nim znajdą się na miejscu?

– Jeszcze co najmniej sześć godzin, ma’am. – Bartel z irytacją wzruszył ramionami. – Samo ich przewiezienie będzie problemem, skoro „pożyczyli” tyle transporterów od Piątej Brygady.

Drescher pokiwała głową. Transportowe potrzeby Howella okazały się o wiele większe od oczekiwanych, a co gorsza, stracił trzydzieści ciężarówek i ponad dziesięć lekkich transporterów w jednej tylko akcji wyzwoleńców. Szczęśliwie wszystkie wtedy parkowały, więc nikogo w nich nie było, gdy doszło do eksplozji ich zbiorników z wodorem. Pozostawało jednak pytanie, jaki idiota urządził park maszyn, nie sprawdzwszy wejść do przebiegających pod nim kanałów.

Z drugiej strony, trzeba być idiotą, żeby w ogóle porywać się na coś takiego, pomyślała Drescher.

– No to lepiej bierzmy się do roboty – powiedziała głośno.



– Tak, oczywiście. Rozumiem.

Bentley Howell zdołał jakoś zdławić wściekłość i odpowiedział McGillicuddy’emu w miarę spokojnym głosem. Inna sprawa, że tamten też nie wyglądał na uszczęśliwionego i miał po temu powody.

– Do przybycia generał Drescher zachowuje pan dowództwo akcji, komisarzu – powiedział. – Oczekuję, że zrozumie pan złożoność sytuacji.

– Oczywiście.

– Dobrze. Porozmawiamy później. Powodzenia.

– Dziękuję.

Ekran pociemniał i Howell pozwolił sobie na przekleństwo. Zatem zabierali mu Szczurołapa i przekazywali dowodzenie tej świętoszkowatej dziwce, by zgarnęła wszystkie zaszczyty, po tym jak jego ludzie zapłacili cenę krwi. To musiała być robota Pearson. Albo Alpiny. Głównodowodzący Sił Pokojowych zawsze kombinował, żeby poprawić swoją pozycję kosztem Biura Bezpieczeństwa Publicznego.

Spojrzał ze złością na mapę.

Pierwszy batalion Czwartego Regimentu otoczył kordonem przedpola wieży Neue Rostock. Howell był pewien, że nikt więcej nie mógł już się tam przedostać na poziomie ziemi i że major Brockmann utrzyma ten stan. Równocześnie przesunął drugi batalion MacKane'a oraz 19. Regiment Perella i 17. Regiment Sergia Metza na podejście do wieży Hancock. Byli idealnie ustawieni do szturm, a on miał teraz siedzieć z palcem w dupie i czekać, aż Drescher przejdzie przez jego linie, dokończy sprawę i zgarnie śmietankę.

Nagle uświadomił sobie, że zgodnie ze słowami McGillicuddy'ego ma przecież jeszcze coś do powiedzenia. Dopóki ta dziwka się tu nie zjawi, to on wciąż jest dowódcą. Przygryzł dolną wargę i rozważał gorączkowo możliwości. Potem wziął głęboki oddech, kiwnął głową i spojrzał na mężczyznę siedzącego po drugiej stronie mapy.

– Pułkownik MacKane?

– Tak, komisarzu?

– Czy wszystkie jednostki przeznaczone do szturm są już na pozycjach?

– Tak jest.

Trudno było orzec, co chodziło pułkownikowi po głowie. Z jednej strony, słyszał całą rozmowę Howella z sekretarzem bezpieczeństwa i nie podzielał optymizmu komisarza co do powodzenia jego planu. Z drugiej strony, był z Dyrektoriatu Bezpieczeństwa i to jego ludzie zapłacili za dojsie aż tutaj.

– No to zaczynamy, pułkowniku – powiedział komisarz Bentley Howell.



– O kurwa – powiedziała cicho Kayla Barrett, ujrawszy najnowszy rozkaz.

Wraz ze swoją osłabioną sekcją znajdowała się na wschodnim przedpolu wieży Hancock. Kuliła się właśnie za obmurowaniem brzegu czegoś, co w zamierzeniu miało być zapewne strumieniem albo kanałem z biegnącą obok ścieżką spacerową. Dokładnie trudno było powiedzieć, ponieważ jak na dekoracyjny strumień koryto biegło dziwnie prosto, kanały zaś nie miały raczej tylu artystycznie ułożonych kamieni na dnie. Jak większość inwestycji w dzielnicach wyzwolenców, kanał nie został nigdy porządnie wykonany. Ścieżka zresztą też, stąd efekt był o wiele mniej klimatyczny od pożądanego. Co gorsza, już wcześniej toczyły się tu walki i w suchym korycie leżało kilkanaście ciał wyzwolenców, którzy także wykorzystywali je w roli okopu.

Barrett nie miała najmniejszej ochoty z niego wychodzić, żeby ruszać na górującą nad nimi wieżę. Niestety, nikt nie pytał jej o zdanie w tej kwestii.

– Ruszać się – rzuciła przez sieć porucznik Marilyn Kalanadhabhatla. Została przeniesiona z 17. Regimentu, by zastąpić Connora Fergusona na stanowisku dowódcy drugiego plutonu, i była kolejnym elementem krajobrazu, który nie przypadł Barrett do gustu. Przede wszystkim była im kompletnie nieznana. Nigdy wcześniej z nią nie pracowali, co nie wróżyło dobrze tuż przed atakiem na wieżę. Na korzyść pani porucznik, przynajmniej z punktu widzenia Barrett, przemawiało to, że najwyraźniej nie miała zielonego pojęcia, co się stało z jej poprzednikiem ani jak do tego doszło.

– Słyszeliście! – odezwała się ostro sierżant Frasch. – Ruszać dupy i na górę!

Tyle dobrego, że uciszono wreszcie wyzwolenców, którzy ostrzeliwali ich z okien budynku. Z tyłu rozległo się znajome wycie działek

trzyłufowych wspierających szturm. To był bardzo miły dźwięk. Co dwunasta strzałka była smugowa, co przy szybkostrzelności działek dawało taki efekt, jakby promienie śmierci obmacywały wieżę, znacząc jej fasadę bruzdami eksplozji. W dół leciał ulewny deszcz szczątków, odłamków i kurzu. Nawet cerambet nie był całkowicie odporny na takie traktowanie.

Pięć batalionów miało całkiem dobrą osłonę ogniową, jednak mimo to co rusz w jakimś oknie, które nie było akurat ostrzeliwane, ktoś się pokazywał i puszczał serię z wojskowego pulsera, których obrońcy Hancock mieli zdecydowanie zbyt dużo. Nie było też sposobu, żeby pilnować wszystkich okien, bo również były zbyt liczne. Działka natychmiast przenosiły ogień na miejsce, z którego padły strzały, bez wątplenia wypełniając pomieszczenia w głębi nie tylko kurzem, ale i śmiertelnie groźnymi odłamkami.

Barrett nabrała przekonania, że wielu strzelców przeciwnika musiało zginąć zaraz po ujawnieniu swoich pozycji, ale nie łudziła się, że uda się ich w ten sposób całkowicie wyeliminować. Lanie, które dostał drugi pluton, sprawiło, że Barrett i jej towarzysze przestali pogardzać wyzwolenkami. Ci tutaj nauczyli się wiele od rozpoczęcia operacji Szczerołap. Kto się nie uczył, ginął. Ich obecny przeciwnik nie wykazywał się wcale głupotą i można było oczekiwać, że strzelcy będą się starali zmienić jak najszybciej pozycje. A to oznaczało, że za chwilę pojawią się gdzie indziej.

I pewnie wszystko to dobrze sobie zaplanowali, pomyślała Barrett.

Każdemu ze szturmujących oddziałów przypisano konkretny punkt, ku któremu miał zdążać. Zwykle były tam podjazdy dostawcze z szerszymi niż inne drzwiami prowadzącymi do środka, ale nie pominięto też wejść dla pieszych. Obecnie wszystkie były szczególnie mocno ostrzeliwane w celu zniszczenia mogących znajdować się w nich barykad. Z góry sypało się

coraz więcej pyłu i odłamków. Coś większego odbiło się od hełmu Barrett. Było na tyle masywne, że aż się zatoczyła, ale zdołała utrzymać się na nogach. Pobieгла za zespołem ogniowym Ludvigseną po strzaskanym chodniku, aż znalazła się wewnątrz wieży.

Nie wiedziała, co tu zastanie, ale oczekiwała chociaż jakichś posterunków obserwacyjnych czy czających się w pobliżu drzwi strażników. Tymczasem za progiem było całkiem pusto.

Ciągnący się przed nimi korytarz był typowy dla wież wyzwoleńców, czyli węższy, brudniejszy i gorzej oświetlony niż w zwykłych budynkach. Teraz dodatkowo główne lampy nie działały i tylko oświetlenie awaryjne próbowało się przebić przez kłębiący się niczym mgła kurz. Barrett wywołała plan tej sekcji wieży na HUD swojego hełmu.

Nie był to pierwszy raz, gdy wchodziła z oddziałem do takiej wieży, ale nigdy wcześniej nie trafili na całkiem puste korytarze. Coś zimnego i zdecydowanie wielonożnego przemknęło jej po plecach, gdy przyglądała się temu korytarzowi, biegnącemu prosto jak strzała do szybów grawitacyjnych obsługujących ten sektor. Brakowało przestrzeni, do której była przyzwyczajona chociażby w swojej wieży. Mieszkania były ciasno upakowane, z licznymi zamkniętymi drzwiami po obu stronach korytarza. Co dziesięć do piętnastu jardów widać było wyloty innych korytarzy krzyżujących się z głównym pod kątem prostym. To nie wróżyło dobrze. Zupełnie czym innym było wejść z namiarem na konkretny adres, żeby wyciągnąć tchórzliwie kryjącego się wyzwolenca z jego nory, podczas gdy jego sąsiedzi drżeli zamknięci za własnymi drzwiami. Takie doświadczenia nijak nie przygotowywały na takie akcje jak teraz, w pyłe i mroku. No i ze świadomością, że część jej sekcji już nie żyje, każde drzwi i boczny korytarz zaś mogą kryć jakieś pułapki.

– Idziemy regulaminowo – zapowiedziała. – Ludvigsen, ty prowadzisz.

– Jasne, sierżancie.

W jego głosie pobrzmiwała złość. Może sukinsyn uważa, że chcę go w ten sposób wyeliminować, pomyślała Barrett. Na przykład jako świadka w sprawie Fergusona albo tych dzieci. Właściwie... może to byłby i dobry pomysł?

– Malden, rozglądaj się wokół – dodała.

– Tak jest – potwierdził kapral Denise Malden, dowódca drugiego zespołu ogniowego sekcji Barrett.

Reszta drugiego plutonu już do nich dołączyła. Barrett spojrzała w mrok wieży.

– Idziemy – powiedziała.



Teoretycznie powinna być zadowolona, może nawet odczuwać ulgę, ale jej stan ducha był całkiem odmienny. Na dodatek męczyła ją suchość w ustach, której nijak nie mogła się pozbyć, chociaż co chwilę pociągała łyk wody z zamontowanego w hełmie ustnika.

Drugi pluton dotarł już za pierwszy szereg wind, które były nieczynne. W sumie nic dziwnego, to był budynek wyzwoleńców, ale Barrett i tak się zastanowiła, czy wyciągi są niesprawne, czy może raczej ktoś bystrzejszy je wyłączył. Jeśli tak, to musiał również zablokować sterowanie awaryjne, które nie przyjmowało żadnych kodów. To niestety sugerowało, że obrońcy mogli grzebać jeszcze przy innych systemach budynku.

Na razie jednak szło im dobrze. Reszta drugiego batalionu podążała bez przeszkód za kompanią Bravo. Szpice poszczególnych plutonów przecierały drogę, podczas gdy idące za nimi pododdziały wyważały wszystkie drzwi i sprawdzały kolejne mieszkania. Jak dotąd drugi pluton

nie napotkał oporu, chociaż pierwszy pluton i sekcja dowodzenia kompanii Bravo zostały zmuszone do krótkiej wymiany ognia. Pierwszy pluton stracił trzech ludzi, ale kapitan Shultz i sekcja dowodzenia zaszli przeciwnika z boku.

Starcie było ostre, lecz krótkie, i nikt z ośmiu wyzwoleńców nie uszedł z życiem.

Barrett wyczuwała, że ludzie z jej sekcji stają się coraz bardziej pewni siebie. To było niebezpieczne.

– Nie spać! – warknęła. – Gdzieś wkoło są całe tysiące tych drani. Wydaje wam się, że tak po prostu pozwolą nam stąd wyjść?

Nikt jej nie odpowiedział, ale zespół osłony Maldena zaczął ruszać się trochę żywiej, otwierając kopniakami kolejne drzwi i sprawdzając boczne korytarze.

Nawet takie mrowiskowce jak Hancock musiały mieć trochę otwartych przestrzeni. Był tutaj centralny szyb, ale miał tylko dwadzieścia jardów średnicy. Większość budynku tworzył monotony ciąg korytarzy, kojarzący się z labiryntami, do których wpuszczano kiedyś szczury laboratoryjne, niemniej plan podawał, że byli już niedaleko jednego z centrów handlowych wieży. Oczywiście nie przypominało ono galerii spotykanych w wieżach obywateli, było raczej szerokim pasażem z licznymi sklepami, placówkami usługowymi i restauracjami.

To był wyznaczony rozkazem cel ich wędrówki. Po dotarciu na miejsce mieli zabezpieczyć odcinek pasażu o długości sześćdziesięciu jardów, na osiem jardów głęboki. Bataliony dwóch pozostałych regimentów Howella wchodziły do wieży z trzech innych stron. Ich punktem zbornym był kompleks sportowy z wielką salą gimnastyczną, kortami tenisowymi i basenem pływackim. Mieli mniejszą odległość do przebycia, ale także poruszali się powoli. Po dotarciu na miejsce mieli razem zabezpieczyć

ponad połowę powierzchni parteru i wszystkie szyby wind. Włącznie z tymi miniętymi już i obsadzonymi na ich drodze był co najmniej tuzin przejść na inne poziomy. Nawet przy wyłączonym zasilaniu (Barrett była już pewna, że nie zdarzyło się to przypadkiem) dobrze wyposażeni szturmowcy mogli je wykorzystać, żeby dostać się na górę, i obrońcy niewiele mogli zrobić, żeby temu zapobiec.

– Widzę nasz cel – zameldował Ludvigsen.

Złość prawie go już opuściła, co i dobrze. Barrett była pewna, że ich przyszłe kontakty nie będą łatwe, ale na razie musieli na sobie polegać i przetrwać. Potem będzie pora, żeby martwić się o wszystko inne.

– Żeby was nie poniosło – powiedziała. – Żadnego wybiegania na otwartą przestrzeń tylko dlatego, że nikogo dotąd nie spotkaliśmy.

– Mnie na pewno nie poniesie – odgryzł się Ludvigsen.



– Dranie idący Gladstone są prawie na miejscu – powiedział z przejęciem Fred Trujillo.

– A jak na Merriwell i Patterson? – spytała wysoka i mocno zbudowana kobieta z zakrzywionym nosem.

– Tamci jeszcze nie. Wciąż są dwa skrzyżowania od celu – odparł Trujillo.

– Kurde.

Bachue Nos oparła prawą dłoń na kaburze wiszącego przy pasie pulsera i postukała palcami w tworzywo. Jej gang był gorzej zorganizowany i mniej zdyscyplinowany niż zespół Jurgena Duseka, co wcale jej nie cieszyło, podobnie jak i fakt, że nie poświęcała kiedyś zbyt wiele uwagi rozważaniu planów awaryjnych. Bo i dlaczego miałyby to robić? Sam pomysł, żeby

wyzwoleńcy mieli bronić się w ten sposób przed siłami porządkowymi, to była czysta fantazja.

Niemniej wraz z kolejnymi, coraz bardziej niepokojącymi wydarzeniami Bachue zaczęła pojmować, że Dusek miał rację co do nadchodzącej katastrofy. Ona sama, gdyby tylko mogła dostać tych skurwysynów z Baletu w swoje ręce, chętnie przekazałaby ich władzom. To byli beznadziejni krety, którzy i tak nie mieli szansy zmienić niczego na Mesie, a musieli przecież wiedzieć, jaka będzie reakcja wszystkich agencji rządowych. To było jasne jak słońce. Co więcej, zupełnie nie rozumiała osobników gotowych zabić tylu ludzi tylko po to, żeby zaznaczyć swoje zdanie.

Jednak nie mogła ich złapać, bo nie wiedziała nawet, gdzie ich szukać. Oczywiście nie łudziła się, że władze w to uwierzą, co nie pozostawiało jej wyboru. Nawet szczury walczą zajadle, gdy zostaną osaczone, a Bachue była z pewnością o wiele bardziej niebezpieczna niż szczur.

– Czy coś sugeruje, że grupa idąca Gladstone zamierza pójść dalej, za Brooknera?

– Póki co nic. – Trujillo pokręcił głową. – Ale na razie wszystko wygląda tak, jak przewidziałas, szefowo. Zamierzają spotkać się na Brooknerze.

Brookner Plaza to był pasaż handlowy położony na przecięciu korytarzy zwanych Gladstone, Merriwell i Patterson. Zwykle mówiło się na to miejsce po prostu „Plaza”, chociaż nazwa średnio pasowała do zbieraniny tanich sklepików. Był to jednak oczywisty słaby punkt w obronie wieży. Palane, która zajrzała tutaj jako doradca Duseka, zwróciła im uwagę, że takie słabe punkty świetnie nadają się do wykorzystania. Posłuchali jej, niemniej chcieli poczekać, aż zgromadzi się tam jak najwięcej przeciwników.

– A co z tymi, którzy idą od zachodu, Levi? – spytała Bachue.

– Wciąż są jakieś dziesięć minut od Crawford. Przy ich tempie może nawet piętnaście – odparł Levi Andrade, nadzorca budowlany wieży Hancock, tkwiący przy centralnej konsoli.

Bachue pokiwała głową. Spośród czterech grup ta idąca od zachodu była dwa razy większa od pozostałych i do tego bardziej rozciągnięta. Kierowała się chyba do Crawford Sports Complex, znajdującego się tuż obok centralnego szybu wieży, ale na razie trudno było o całkowitą pewność. Jeśli jednak tam właśnie zdążali, nie mieli szansy dojść do celu w tym samym czasie, gdy pozostałe trzy grupy będą już w pasażu. Niemniej Bachue poczyniła stosowne przygotowania i na ich odcinku.

– Daj Pabla i jego ludzi na zachodnią stronę – powiedziała i spojrzała na ekran, na którym widniały czerwone linie zagłębiające się w zaznaczone na planie korytarze. – Powiedz mu, że będą w obrębie korytarzy Whitman, Severesky, Ibanez i Chasnikov. Do ładunków na Crawford nie dotrą, niech więc korzysta ze stanowisk rezerwowych.

– Przyjąłem – odparł Andrade.

Bachue obróciła się z powrotem do Trujilla, przysuwając się bliżej i kładąc mu lewą dłoń na ramieniu.

– Poczekamy jeszcze chwilę – powiedziała. – Niech Pablo zajmie pozycje. No i chcę, żeby byli jak najgłębiej, gdy się zacznie. Miejcie oko na tych na Gladstone. I dajcie mi znać, gdyby coś kombinowali.

– Jasne.



– Malden, zabezpiecz wejście – rozkazała Barrett. – Ludvigsen, masz wziąć swój zespół do tamtego kiosku. Ale nie dalej, przynajmniej dopóki

kapitan Shultz nie zjawi się z resztą kompanii.

– Ani myślę łązić dalej – odparł Kimmo Ludvigsen.



Kapitan Gavin Shultz uderzył energicznie pancerną rękawicą w osłonę kombinezonu na kolanie. Miał powody do satysfakcji. Jego HUD pokazywał, że drugi pluton osiągnął już cel. Nadal niepokoił się tym, jak wielkie kłopoty mogą jeszcze wyniknąć ze śmierci Fergusona, i nie podobało mu się, że tak szybko dostali kogoś na jego miejsce, ale ta pieprzona Kalanadhabhatla zdołała jednak jakoś zapanować nad plutonem!

Reszta plutonów też nieźle sobie radziła i pomijając drobną strzelaninę, która zdarzyła się tym z dowodzenia, nie napotkali żadnego wartego uwagi oporu. Zawsze wiedział, że wyzwoleńcy to tchórze, i proszę, teraz się to potwierdziło.

– Dobra, do wszystkich – powiedział, idąc za szpicą pierwszego plutonu.
– Przystajemy się szczytać i walimy prosto przed siebie. Mamy tu trochę skurwysynów do załatwienia.



– Wszyscy są już w strefie – powiedział z jeszcze większym przejęciem Trujillo i Bachue zerknęła mu przez ramię na ekran.

Szturmowcy byli tak pewni siebie, że nie próbowali nawet niszczyć kamer monitoringu w korytarzach. Albo w ogóle nie zdawali sobie sprawy z ich istnienia. To była osobna sieć, nijak niezwiązana z oficjalną, która zgodnie z wymogami prawa musiała być montowana nawet w budynkach wyzwoleńców. No i znacznie lepiej utrzymana od tej oficjalnej.

– Jak tam Pablo? – spytała Bachue przez ramię, nie odwracając się od ekranu.

– Prawie na miejscu. Mówi, że jeszcze dwie minuty.
– Druga strefa też pełna?
– Niewiele brakuje. Moje kamery z tej strony nie są tak dobre jak Freda. Wydaje mi się, że tak około osiemdziesięciu procent jest już w strefie. Kilku może nawet ją przeszło.

Bachue zmarszczyła czoło i pokiwała głową.

– Niech ci idący do Plazy wejdą jeszcze głębiej. – Ścisnęła ramię Trujilla. – Tak piętnaście do dwudziestu jardów.

– Oczywiście, szefowo.



Bentley Howell spojrział z satysfakcją na plan. Jego bataliony wchodziły coraz głębiej do wieży Hancock. Zielone linie, symbolizujące ich postępy, wydłużały się miarowo. Komisarz uśmiechnął się triumfalnie. Przecież mówił tej idiotce Drescher, że wyzwoleńcy w takiej sytuacji stchórzą i uciekną. Schowali się w norach i pewnie robią pod siebie ze strachu, co teraz z nimi będzie. Zanim Drescher tu dotrze, zabezpieczy pełne pięć kondygnacji tej cholерnej wieży. Oczywiście nie zdoła powstrzymać jej przed przypisaniem sobie sukcesu zdobycia reszty Hancock, ale z meldunków będzie jasno wynikać, kto zaczął operację i tak naprawdę przekazał jej wieżę! W sumie Howell czekał nawet na tę chwilę...



– Teraz! – powiedziała cicho Bachue.



Wieży Hancock brakowało przestronności czy komórkowej budowy typowej dla Saracena czy Rasmussena, ale jej równomiernie rozmieszczone

ściany nośne i stropy były równie solidnej budowy. Cerambet to jednak cerambet. Nie było sensu szukać innych materiałów, skoro ten najlepszy i tak był najtańszy. Na technologii też trudno byłoby skąpić, bo albo się te materiały spiekało właściwie, albo wcale. Oznaczało to, że pomimo mniejszych rozmiarów zbudowany na podobieństwo płataniny kratownic Hancock był nawet mocniejszy strukturalnie niż taki Saracen. Te „mniejsze rozmiary” też należało rozumieć względnie.

Organizacja Bachue nie zdołała ewakuować aż tylu mieszkańców co Dusek. Hancock nie był na to przygotowany. Jak domyśliła się Thandi Palane, nikt nie znał naprawdę dokładnego przebiegu wszystkich podziemnych przejść w okolicy. Ewakuacja objęła tylko około sześciu tysięcy ludzi, wyprowadzonych w większości przez tunele Neue Rostock, zanim jeszcze służby odcięły od siebie wieże. Bachue nadal więc miała pod sobą ponad dwadzieścia tysięcy ludzi.

Zdumiewające, chociaż może w tych okolicznościach nie tak bardzo, było zaś to, że wielu z nich zgłosiło chęć pomocy gangowi w przygotowaniach do obrony. Do tego Bachue też wzięła się później, nie od razu uwierzywszy Victorowi Cachatowi, ale jej ludzie z entuzjazmem zabrali się do roboty. Cerambet zaś, przy wszystkich swoich niezwykłych właściwościach, nie był jednak stalą pancerną. Odpowiednia ilość materiałów wybuchowych, i to nawet cywilnych, umieszczonych w starannie rozmieszczonych otworach, mogła dać mu radę.

Fred Trujillo sięgnął do przełącznika i część rozmieszczonych wcześniej ładunków eksplodowała z wielkim hukiem.



– Kurwa! Oni...

Głos porucznik Meryl Rodman umilkł jak ucięty nożem, gdy dwudziestojardowy odcinek sufitu korytarza runął nagle na maszerujących. Jard sześcienny cerambetu ważył około trzech ton, strop zaś miał grubość czternastu cali. Dawało to siedemdziesiąt trzy jardy sześciennego cerambetowego gruzu, ważące łącznie dwadzieścia pięć ton, które spadły na porucznik Rodman, jej sierżant i dwudziestu jeden ludzi z liczącego trzydzieści osiem osób trzeciego plutonu. Wszyscy oni zostali momentalnie rozgnieci na krwawą miazgę.

Niedaleko za nimi kolejne dwadzieścia jardów stropu zabiło większość kompanii Alpha.



Kayla Barrett wysforowała się naprzód na tyle, że ominęła ją lawina, która spadła na porucznik Kalanadhabhatlę i jedną czwartą obecnego składu drugiego plutonu. Ogarnięta chmurą pyłu nie zdołała nawet nijak zareagować, gdy dziesięciojardowy kawał stropu pasażu huknął o podłogę tuż przed nią. Jednak w tamtym miejscu nikogo nie było, więc po co...

– Wchodzą górą! – krzyknął ktoś w pobliżu.

To chyba był Ludvigsen. Barrett rzuciła się na podłogę, gdy dziesiątki wyzwolenców z pasami antygravitacyjnymi zaczęły skakać przez wybite w stropie otwory, od razu otwierając ogień.



– Skurwy...

Głos porucznika Leandra Wallace'a umilkł w pół słowa i jednocześnie zgasła jego ikonka na wyświetlaczu Gavina Shultza. Strop, który spadł na pierwszy pluton, oszczędził jednak więcej ludzi niż w przypadku drugiego i trzeciego plutonu. Niemniej i tak większość oddziału zginęła. Rezerwowi

czwarty pluton znalazł się po drugiej stronie zawału, tracąc tylko sześciu ludzi, lecz kompania Charlie, podążająca jego śladem, miała zdecydowanie mniej szczęścia.

Shultz zamarł, porażony nagłą katastrofą. Sieć czwartego plutonu wypełniły automatyczne meldunki systemów skafandrow, które wykryły brak czynności życiowych u swoich właścicieli, HUD kapitana zajaśniał nagle od meldunków o poległych. Najpierw były ich dziesiątki, ale już chwilę później całe setki, gdy kolejne tony cerambetu spadły na pierwszy batalion 19. Regimentu i drugi batalion 17. Regimentu.

Osiemdziesiąt trzy procent składu trzech batalionów, które Bentley Howell wysłał do wieży Hancock, zginęło w ciągu niecałych dwóch minut. Dawało to prawie tysiąc siedemset osób. Ocalali, jak Gavin Shultz czy Kayla Barrett, byli jak ogłuszeni, gdy dwustu trzydziestu wyzwoleńców, w większości z organizacji Bachue, ale ze znaczącym kontyngentem ochotników, rzuciło się na nich z wyższych kondygnacji.



Atakujący byli uzbrojeni w karabiny pulsacyjne i miotacze granatów. Sierżant Barrett usłyszała własny głos miotający miarowo przekleństwa i zaraz otworzyła ogień. Czujniki kombinezonu dawały jej sporą przewagę w zapadłej nagle ciemności i pyle pozostałym po eksplozji. Albo przynajmniej powinny dawać. Była zbyt zagubiona, a cele mnożyły się jak króliki.

Korytarz za nią był zablokowany zawałem, który zabił jej pluton. Sądząc po głosach dobiegających z sieci, przynajmniej część kompanii Delta, która szła za drugim plutonem, musiała jeszcze walczyć, ale była to bezużyteczna informacja. Barrett i tak nie mogła wycofać się w jej stronę. Zresztą nawet gdyby nie rumowisko, nie dałaby rady uciec, mając na karku tyłu

przeciwników, a na dodatek wszystko wskazywało na to, że Delta nie jest wcale w lepszej sytuacji niż jej sekcja. Malden, Timmons i Sanchez strzelali nieustannie, dodatkowo używając też emitera wycelowanego w miejsca, skąd ktoś otwierał do nich ogień. Ale wyzwolenicy i tak się zbliżali.

Niektórzy padali, ale niezbyt wielu. Barrett poczuła, jak mimo strachu i adrenaliny nagle spłynął na nią wielki spokój. Poprawiła się, żeby przyjąć właściwą pozycję strzelecką, której uczono ją kiedyś na strzelnicy, i poszukała celu. Znalazła go, nacisnęła spust. Wyzwoleniec upadł. Przesunęła celownik w prawo w poszukiwaniu kolejnego celu, chociaż wiedziała, że jej wysiłki niczego już nie zmienią.

– Za mną! – usłyszała w słuchawkach.

To był kapitan Shultz, który chyba chciał dokądś biec. Jak go znała, to pewnie do przodu. Ale to nie było już ważne.

– Za mną! Za...

Kapitan zamilkł nagle. Nieistotne. Barrett usłyszała jeszcze czyjś krzyk. Nieważny, jak wszystkie.

W ogóle nic się już nie liczyło poza naciskaniem spustu. I tylko w jakiejś chwili Barrett zdążyła pomyśleć, że nie musi się już obawiać sądu polowego.

ROZDZIAŁ LXIII



Rozumiem. – Gillian Drescher starała się zachować rzeczowy ton. – Niemniej to, co przydarzyło się oddziałom komisarza Howella, zdaje się sugerować, że jeśli nie...

– Rozumiem pani stanowisko – przerwał jej generał Caspar Alpina. Jego twarz widniała na ekranie w pojeździe dowodzenia typu *Minotaur*. Był on większy i lepiej opancerzony niż *Cyclops* i wyposażony w komputery oraz sprzęt łączności o lepszych parametrach. Ale sprawna łączność nie cieszyła teraz Drescher przesadnie. – Obawiam się jednak, że decyzja została już podjęta, i to na najwyższym szczeblu. Dalsza dyskusja na ten temat nie ma sensu.

Alpina był zadbanym, muskularnym i energicznym mężczyzną z łysą głową, wąskim wąsikiem i ciemnymi oczami. W zwykłych okolicznościach roztaczał wokół siebie aurę zdecydowania. Drescher miała go za rozsądnego i lubiła z nim pracować. Niestety, teraz doszła do wniosku, że o ile był świetnym administratorem, sprawdzającym się w sprawach szkolenia, o tyle wykazywał znaczne braki, gdy dochodziło do walki. Jego zdecydowanie zdawało się zawodzić w zderzeniu z twardą rzeczywistością.

Pewnie zbyt surowo go oceniasz, powiedziała sobie. Znalazł się między tobą a Radą Najwyższą, a to oznaczało, że po genialnym posunięciu Howella na głowę generała musiało wylać się całe wiadro pomyj. Powinna być mu wdzięczna, że oszczędził jej tego bagna. Ale jeśli Rada Najwyższa nalega na to...

– Rozumiem moje rozkazy – powiedziała, patrząc generałowi w oczy. – Oczywiście wykonam je najlepiej, jak potrafię. Pragnę jednak, żeby moje zdanie zostało odnotowane. Jeśli moja prośba o wsparcie... ogniowe spotka się z odmową, straty w sile żywej dramatycznie wzrosną, a czas walki bardzo się wydłuży.

– Przyjmuję pani uwagi – odparł Alpina. – Powiem nawet więcej: w pełni rozumiem pani zastrzeżenia i przekażę je przewodniczącemu Wardowi, dołączając także własną opinię. Jednak oboje jesteśmy żołnierzami. Nie zawsze rozkazy są po naszej myśli i czasem możemy się nawet z nimi nie zgadzać, ale nadal jesteśmy zobowiązani je wykonywać.

– Rozumiem. – Drescher uśmiechnęła smutno. – Tak czy inaczej, zadanie zostanie wykonane.

– Dobrze, Gillian – powiedział Alpina mniej oficjalnym tonem. – Wiem, że tak postąpisz. Nie będę ci już więcej przeszkadzał. Rób swoje.

– Dziękuję. – Gdy ekran pociemniał, Drescher parsknęła pogardliwie. Oboje dobrze wiedzieli, że to kończąca rozmowę „dziękuję” było ostatnim, co miała ochotę powiedzieć. Niestety, bywały takie chwile, że oficer chciałby sprzeciwić się rozkazom. Tyle że w tym przypadku nic by to nie dało.

Wstała z wygodnego fotela i przeszła do otwartego wjazdu z tyłu pojazdu. Stała na szczycie rampy, czując, jak nocny wiatr owiewa jej krótkie włosy, i ogarnęła spojrzeniem tę katastrofę, którą odziedziczyła po Howelli.

Istniała szansa, że jego mentorzy w Radzie Najwyższej zdołają jakoś ocalić mu tyłek, ale czy uratują też jego karierę, to już było mocno wątpliwe. Jeśli była jakaś sprawiedliwość na tym świecie, Howell powinien zostać pozbawiony tytułów i zaszczytów i wysłany na jakieś dwadzieścia lat za kraty. Trudno było też wykluczyć, że Rada zdecyduje się go

poświęcić, żeby wyjść jakoś z twarzą, gdy cała reszta galaktyki zacznie domagać się wyjaśnień po tej radośnie zarządzanej masakrze.

Drescher spojrzała na wschód, gdzie widać było grubą kolumnę dymu unoszącą się ciągle nad gruzami wieży Hancock. Kolumna była czarna, ale srebrzyła się w blasku większego księżyca Mesy niczym dym z krateru wulkanu.

Dym unosił się zresztą nad całą dzielnicą, a w powietrzu było dość śmieci i pyłu, żeby porównać to z wulkaniczną erupcją. Tyle że to nie był wulkan.

– Czy generał zmienił zdanie? – spytał pułkownik Bartel.

Obróciła głowę i zobaczyła go stojącego obok minotaura.

– Obawiam się, że generał Alpina nie ma własnego zdania, które mógłby zmienić – odpowiedziała. – Miał pan rację co do przewidywanej odpowiedzi Rady.

– My mieliśmy rację, ma'am – poprawił ją.

Wzruszyła ramionami. Oczywiście tak było, chociaż ona zachowała jeszcze trochę optymizmu. Żywiła nadzieję, że cywile będą w stanie zrozumieć coś, co dla wojskowego było sprawą oczywistą. Być może dlatego, że jako nowy dowódca tej katastrofalnie spieprzonej akcji musiała podchodzić optymistycznie do swojego zadania. Nawet jeśli racjonalnie rzecz biorąc, nie miała do tego podstaw.

Nie pojmowała, co mogło kłębić się w głowie Howella. Sam pewnie w ogóle nie zastanawiał się nad sobą, ale prawdopodobnie kierowały nim wściekłość, panika oraz – najważniejsza w tej mieszance – najzwyklejsza głupota. A najbardziej zapewne rozwścieczyło go nagłe odkrycie, że jego wieloletnia pogarda żywiona wobec wyzwolenców była tak bardzo nie na miejscu.

Obrońcy wieży Hancock zgładzili trzy jego bataliony. Ledwie osiem procent tych, których posłał do ataku, zdołało jakoś powrócić, z czego jedna trzecia była ranna. Brakująca reszta, czyli ponad tysiąc osiemset osób, figurowała obecnie na listach jako „zaginieni w akcji”. Nie odzyskano ciał, nie było zapisów telemetrycznych wskazujących na ich śmierć. Niemniej to była tylko sztuczka, użyteczna dla tych z Dyrektoriatu Kultury i Informacji. Zarówno Drescher, jak i każdy, kto miał IQ powyżej pięciu punktów, wiedział świetnie, że wszyscy ci ludzie byli już martwi.

I szczęśliwi ci, którzy zginęli w walce, pomyślała ze smutkiem. Biorąc pod uwagę, jak wyzwoleńcy podchodzili do funkcjonariuszy służb mundurowych, śmierć tych, którzy mieli pecha ocaleć, na pewno nie była lekka. Czy Howell wziął to pod uwagę? Czy przy całej swojej pogardzie dla reguł walki pomyślał chociaż, żeby skrócić cierpienia tych ludzi?

Cóż, cokolwiek myślał, i jeśli w ogóle myślał, ostatecznie odniósł swoisty sukces. Swoim pomysłem doprowadził do śmierci jeszcze niemal trzydziestu tysięcy osób, według prywatnych i bardzo ostrożnych szacunków Drescher. I nie wszyscy byli wyzwolencami i niewolnikami.

Głowica kinetyczna, której użycia zażądał, nie miała mocy kilotony, jak sugerowała wcześniej Drescher. O nie. Chciał czegoś o wiele skuteczniejszego, co od razu załatwiłoby sprawę. To miało być coś o boskich wręcz proporcjach. No i dostał, o czym marzył. Nikt nie zwracał uwagi na słowa Drescher przytaczającej dane liczbowe na temat przewidywanych strat. Może dlatego, że wszyscy byli ciężko przerażeni tym, co powiedzą o nich media, i śmiertelnie się bali jakiegokolwiek przecieku prawdziwych danych.

Dyrektoriat Kultury i Informacji zaczął już rozpowszechniać własną wersję, jakoby zniszczenie wieży było wyłącznie skutkiem eksplozji kolejnego ładunku nuklearnego odpalonego przez osaczonych bojowników

Baletu, pragnących uniknąć pojmania, przesłuchań i procesu. Akcja Howella została przedstawiona jako zwieńczona sukcesem i całkiem usprawiedliwiona, skoro w wieży kryli się terroryści, którzy jednak ostatecznie ją wysadzili. Jako fanatycy użyli oczywiście najpotężniejszego z posiadanych ładunków, nie przejmując się wcale szkodami, jakie mogą wyrządzić w ten sposób w tkance miejskiej. Był to kolejny dowód na ich okrucieństwo i mordercze zamiary, zwłaszcza że zabili w ten sposób także wszystkich mieszkańców wieży Hancock. Te tysiące ofiar jasno świadczyły o szaleństwie członków Baletu.

Istniała pewna, aczkolwiek niewielka szansa, że jakiś mało rozgarnięty dziesięciolatek uwierzy w te bzdury. Żaden wojskowy czy fizyk, który miałby okazję rzucić okiem na ruiny, nie kupiłby z tego ani słowa. Podobnie jak dziennikarze z różnych światów, którzy zapewne ściągali już tłumnie na Mesę przez terminal Visigoth.

I to był właśnie powód, jeden z wielu, dla którego Rada Najwyższa chciała, żeby Drescher przejęła dowodzenie walkami w Mendel. Miała to zrobić, zanim cała ta medialna szarańcza dotrze na miejsce.

Idioci.

Jeśli sytuacja rozwinie się tak, jak Drescher przewidywała, dziennikarze będą najmniejszym z ich problemów. W żadnym razie nie zdoła zamknąć szybko sprawy, jeśli nie uzyska zgody na ponowne użycie broni kinetycznej. A co będzie, jeśli wyzwoleńcy z innych miast zrozumieją, że większość jej sił jest uwięziona w stolicy? I że będą tu uwięzane jeszcze długo? I to po tak wyraźnym sygnale świadczącym o nastawieniu władz, jakim było zniszczenie wieży Hancock?

Stała tak kilka minut, wpatrzona w kolumnę dymu. W końcu otrząsnęła się i wciągnęła głęboko powietrze.

– Dobra – powiedziała. – Pora przejść do czynów. Za trzydzieści minut chcę widzieć u siebie wszystkich dowódców brygad.

– Tak, ma'am. – Ton Bartela sugerował, że oficer zrozumiał, dlaczego to ma być spotkanie na żywo, twarzą w twarz. W takiej sytuacji dowódca powinien mieć możliwość przekazania swoim podwładnym rzeczy, których nie należało powierzać falam radiowym. I które nie powinny być rejestrowane dla potomności.

Albo też na użytek sądu wojskowego, gdyby tak wyszło.

– Trzydzieści minut – powtórzyła i wróciła do minotaura i do swojej mapy.



– Mówiłam wam, że to będzie katastrofa – stwierdziła Brianna Pearson.

Siedząca po drugiej stronie stołu Regan Snyder spojrzała na nią ze złością, ale François McGillicuddy wyraźnie stracił pewność siebie.

– Mój Boże, to było jeszcze gorsze, niż oczekiwałam. Nie sądziłam, że to może się zdarzyć!

– Takie szukanie winnych nic nam nie da – powiedział Brandon Ward ze swojego miejsca u szczytu stołu. – Dla celów protokolarnych przyznaję, że ostrzegałaś nas przed wizerunkowymi skutkami takiego posunięcia. Nie sądzę jednak, żeby ktokolwiek z nas zdawał sobie wówczas sprawę z innych możliwych konsekwencji.

Pearson ugryzła się w język, żeby nie zaznaczyć, że taki McGillicuddy na przykład powinien świetnie wiedzieć, co megatonowa głowica kinetyczna może zrobić z wielkim miastem.

Zniszczenie wieży Hancock to było jedno. Cel zrealizowano. Oczywiście wstrząs i fala uderzeniowa zburzyły obie przylegające do

Hancock dzielnice przemysłowe, a najbliższe wieże zostały poważnie uszkodzone. Już te zniszczenia można było wycenić na setki milionów solarnych kredytów. Ponadto uszkodzone albo zniszczone zostały fragmenty podziemnej infrastruktury służącej całemu miastu. Te koszty szacowało się na miliardy kredytów. Jak dotąd potwierdzono śmierć ponad ośmiu tysięcy wolnych obywateli. W większości byli to ludzie, którzy przelatywali akurat w pobliżu wieży we własnych pojazdach, taksówkach albo autobusach. Część z nich miała pecha znaleźć się w pociągach metra zniszczonych falą uderzeniową, która wdarła się do tuneli. Kolejne sześć tysięcy to były osoby zaginione, z których większość była cała i zdrowa i miała się odnaleźć później, gdy ekipy ratunkowe wejdą głębiej w rumowiska, a sieć miejska znowu ożyje.

Prawdopodobnie była cała i zdrowa.

I ktoś musiał za to zapłacić. W sumie już płacił, jak można było przypuszczać na podstawie zachowania McGillicuddy'ego, który wyglądał na prawdziwie wstrząśniętego. Miał prawo, ostatecznie to on autoryzował prośbę Howella o zastosowanie głowicy kinetycznej o tak wielkiej mocy, żeby zburzyła całą wieżę za jednym zamachem. Niestety, tym razem nie mógł zrzucić odpowiedzialności na swojego podwładnego, którego bez żalu by się przecież pozbył. Przy tak poważnej sprawie trzeba było poświęcić także kogoś na poziomie sekretarza. Byłaby to swoista ironia losu, gdyby kozłem ofiarnym stała się osoba, która rzeczywiście odpowiadała za ten atak.

– To co teraz zrobimy? – spytała, patrząc na Warda.

– Generał Alpina rozkazał generał Drescher jak najszybciej przejąć kontrolę nad okolicą wieży Neue Rostock. Przesuwamy pięć brygad na pozycje wsparcia dla tych trzech, które już są na miejscu.

Pearson zmrużyła powieki. Taka deklaracja robiła wrażenie, ale mogła wróżyć też kłopoty. Mesańskie Siły Pokojowe nie były wielką armią. W całości liczyły tylko dwanaście brygad, trochę ponad trzydzieści dwa tysiące ludzi, plus struktury pomocnicze. Ich siła ognia była zdecydowanie większa niż innych formacji, a do tego dochodziło jeszcze wsparcie orbitalne, jednak liczebnie były znacznie skromniejsze. Skoro zaś wysyłali do walki osiem brygad, czyli dwie trzecie tej armii, którą dysponowali, to co im zostanie na inne miasta, w których też były dzielnice wyzwoleńców? I dlaczego ktoś tutaj szacował, że do zdobycia jednej wieży trzeba aż dwudziestu tysięcy w pełni uzbrojonych i wyposażonych żołnierzy? Owszem, pierwszy atak oddziałów Dyrektoriatu Bezpieczeństwa przeprowadzono zbyt skromnymi siłami i bez znajomości terenu, a na dodatek zaplanowano krótkowzrocznie, niemniej...

– To chyba... zbyt wielka armia na taki cel – powiedziała ostrożnie, wążąc słowa. – Czy generał Drescher uważa, że naprawdę nie obejdzie się bez ośmiu brygad?

– Musimy załatwić to tak szybko i dokładnie, jak tylko się da – warknęła Snyder. – Im większy młotek weźmiemy, tym szybciej skończymy.

– Rozumiem presję czasu, Regan – powiedziała chłodnym tonem Pearson. – Zwłaszcza po tym, co się stało w Hancock. – Uśmiechnęła się lodowato i Snyder aż poczerwieniała ze złości. – Próbuję tylko zrozumieć, jak Siły Pokojowe zamierzają wykorzystać aż tylu żołnierzy.

– Nie wiemy, czy Drescher będzie potrzebować ich wszystkich – stwierdził pojednawczym tonem Ward, zanim Snyder zdążyła wydrzeć się na Pearson. Kątem oka spojrzął na sekretarza handlu i Pearson nagle zrozumiała. – Po prostu uważamy, czy raczej generał Alpina uważa, że stosownie jest zgromadzić od razu takie siły, żeby generał Drescher na pewno miała pod ręką wszystkich, którzy będą jej potrzebni.

– Rozumiem – stwierdziła Pearson, spoglądając na Snyder i Warda i zastanawiając się, ilu jeszcze jej kolegów wzięło w tym udział. Na pewno McGillicuddy, zapewne Gannon od przemysłu oraz Suchein od spraw zagranicznych. Może też Anson Cenáculo, sekretarz skarbu? Chociaż po prawdzie to nieważne. Decyzja została podjęta. Ci sami idioci, którzy zezwolili Howellowi na użycie masywnej głowicy kinetycznej, nie zamierzali wyrazić podobnej zgody w przypadku ataku prowadzonego przez generał Drescher.

Pearson świetnie rozumiała, dlaczego tak właśnie postanowili. Nie wiedziała tylko, czy bardziej chciało się jej śmiać, czy przeklinać.

Ci kretyni łudzili się, że naprawdę zdołają zwalić wszystko na Balet i że galaktyka im uwierzy, pomyślała. Przecież nie mogą być aż tak głupi! A jednak są. Może liczą na to, że uda im się sprzedać tę bajeczkę chociaż tutaj, na Mesie, a resztą nie zaprzatają sobie głowy, skoro i tak jest sceptycznie nastawiona. Tak czy siak, nie zamierzają pozwolić na jeszcze jeden atak bronią kinetyczną. Takowy mógłby dać początek kłamliwym, zdradzieckim i bezzasadnym pogłoskom, że to nasze własne nieustraszone i oddane sprawie siły bezpieczeństwa stały za zniszczeniem wieży Hancock i połowy stolicy przy okazji.

Owszem, do pewnego stopnia potrafiła ich nawet zrozumieć. Niektórzy byli zapewne naprawdę wstrząśnięci tym, co się stało, zwłaszcza jeśli nie wyobrażali sobie wcześniej, jak może wyglądać atak bronią kinetyczną. Inni, jak chociażby Barbara Suchein, byli tak spanikowani, że wykluczali choćby jakiegokolwiek rozważania o ponownym sięgnięciu po ten oręż. Może byli nawet dość wystraszeni, żeby nie widzieć żadnej różnicy między tym, co ściągnął na ich głowy Howell, a propozycjami Drescher, która od początku postulowała użycie głowic o znacznie mniejszej mocy. Cokolwiek jednak myśleli, prawdziwymi autorami tej farsy byli Snyder

i McGillicuddy, całkiem serio liczący na to, że przynajmniej część winy za ten kataklizm da się zrzucić na Balet.

Zdaniem Pearson nie było na to najmniejszej szansy. Poza tym istniała przecież i taka możliwość, że lada dzień także wyzwoleńcy z Detweiler City albo Nowych Aten również uznają, że nie mają już nic do stracenia. Albo też przedłużające się walki w Neue Rostock natchną ich nadzieją, że mogą wygrać. I co wtedy?

Pearson nie potrafiła odpowiedzieć na to pytanie, chociaż sama je sobie zadawała, ale patrząc na pełną buty twarz Snyder, zaczynała dochodzić do przekonania, że być może się tego dowie. I to niebawem.



– A ja mówię, że powinniśmy od razu poderznąć jej gardło!

Kayla Barrett nie wiedziała, do kogo należał ten chrapliwy głos, ale kojarzyła świetnie, o czyje gardło chodzi. Siedząc ze związanymi z tyłu rękami na mokrej i zimnej podłodze, z równie zimną i wilgotną ścianą za plecami, nie miałyby nic przeciwko temu, żeby obecni posłuchali rady i zakończyli jej męki.

Nie widziała nic przez worek, który założyli jej na głowę. Cuchnął cebulą i był z prawdziwego materiału, nie z tworzywa. Nie przepuszczał wiele powietrza i poruszał się przy każdym jej oddechu. Był to prosty i skuteczny sposób na odcięcie jej od świata, chociaż nie wiedziała nawet, czy potrzebny. Nie była pewna sprawności swoich oczu. Na pewno miała wstrząśnienie mózgu, a wtedy oczy potrafią odmawiać posłuszeństwa.

No i była jeszcze prawa noga. Sądząc po bólu, musiała być w paskudnym stanie, i dobrze, że jej nie widziała. Nie miała pojęcia, czy wyzwoleńcy dysponują jakimiś środkami przeciwbólowymi, ale jeśli nawet, pewnie nie mieliby ochoty marnować ich na kogoś takiego jak ona. Na ich

miejscu postąpiłaby tak samo. Chociaż nie. Ona już dawno poderznęłaby gardło jeńcowi.

– Nie – odparł inny głos, silny i zdecydowany. – Bachue kazała dostarczyć ją Dusekowi i tak właśnie zrobimy.

– Jakbyś nie zauważył, Bachue już wykitowała, Alvin. Razem z całą swoją organizacją i wszystkimi w tej pierdolonej wieży. I to przyjaciele tej suki są za to odpowiedzialni!

– Nie wiem, czy są jej przyjaciółmi, Geerardzie – odparł sardonicznie ktoś o imieniu Alvin. – Gdyby Bachue nie kazała nam iść do Neue Rostock, też byśmy zginęli, gdy rąbnęło z góry. Przyjaciele się tak nie zachowują.

– Gówno prawda! – warknął Geerard z czystą nienawiścią w głosie. – Nie próbuj tego ze mną! Molly też zginęła. I dzieciaki.

– Wiem – odparł łagodniej Alvin. – Wiem, że zginęli. Oni i wszyscy inni. Jeśli zabicie tej tutaj wróciłoby życie choć jednemu z nich, sam bym ją zarznął, i to ze śmiechem na ustach. – Otulona ciemnością Barrett pomyślała, że to szczerza prawda. – Ale co się stało, to się nie odstanie. Weźmiemy ją więc do Neue Rostock. Może ktoś taki jak Palane zdoła wyciągnąć z niej jakieś informacje. I może to kogoś ocali. Może zmieni coś dla tych, którzy jeszcze żyją.

– Zmieni – rzucił kpiąco Geerard. – Widziałeś, co się stało z Hancock. Co ona może wiedzieć, żeby to cokolwiek zmieniło, skoro tamci są gotowi na wszystko? Mamy przejebane, Alvin. Bachue nie powinna była słuchać Duseka ani Palane, jeśli to naprawdę Palane!

Dał się słyszeć zgodny pomruk jeszcze kogoś, kto musiał znajdować się w pobliżu.

– Gdybyśmy nie walczyli, wyszłoby na to samo – stwierdził ponurym głosem Alvin. – Tym razem to nie miało znaczenia. Oni przyszli, żeby

wszystkich zabić. Sami świetnie o tym wiecie. Jasne, gdybyśmy się schowali po różnych dziurach, paru by przeżyło. Paru przyjaciół, może nawet nasze rodziny. Ale raczej nie. A jeśli nie oni, zginąłby ktoś inny.

– I naprawdę myślisz, że mamy jeszcze szansę? – spytał Geerard. – Załatwili Hancock jedną głowicą. To draństwo jest tanie. Mogą zrzucić ich na nas tyle, ile im się zamarzy. I prędzej czy później to samo spotka Neue Rostock. A potem wyślą wojsko, może nawet z czołgami, i przejadą się po wszystkich dzielnicach z takim samym skutkiem jak tutaj.

– Może tak – mruknął Alvin. – Może wszyscy pójdziemy do piachu, a Dusek i Palane są stuknięci, że chcą jeszcze walczyć. Ale powiem ci jedno. Jeśli mam umrzeć i jeśli wszyscy moi przyjaciele mają umrzeć, to wcześniej chcę mieć szansę zabić każdego pierdolonego szturmowca, który tylko mi się nawinie! A jeśli dostarczymy tę tutaj Dusekowi, będziemy mieli po temu więcej okazji.

Na chwilę zaległa cisza i Barrett zastanowiła się od niechcienia, co może myśleć na ten temat reszta jej „opiekunów”. Wtedy usłyszała nowy głos, tym razem kobiecy.

– Alvin ma rację, Geerardzie. Jasne, może być i tak, że zginiemy po drodze do Neue Rostock. Ale jeśli nie, to przy boku Palane będzie co robić. Może uda się zabić trochę mundurowych? A gdybyśmy tam nie dotarli, zawsze możemy jeszcze załatwić tę tutaj. Albo może armia nas wyręczy?

Kilka osób zaśmiało się, słysząc ostatnią uwagę.

– Dobra – powiedział Geerard po paru chwilach ciszy. – Kupuję. Ale jakby coś, to sam pogłaszczę ją nożem.

– Żaden problem – stwierdził spokojnie Alvin. – Milla, ty i Scott będziecie nieśli ją przez pierwszy etap. Geerard, ty i Luke pójdziecie

przodem. Tak mnie skołowało, gdy ta głowica pierdolnęła, że nawet nie wiem, gdzie jesteśmy. Jeśli zobaczycie cokolwiek znajomego, to krzyczcie.

ROZDZIAŁ LXIV



Padnij! Jackie!

Ostrzeżenie zabrzmiało o sekundę za późno. Tę jedną sekundę, która decydowała o życiu. Idąca na czele trzyosobowego zespołu ogniowego osoba padła na zasłaną gruzem podłogę w eksplozji krwi. Zaraz potem wybuchły zasilające jej skafander baterie. Pancerne skafandry, które nosili żołnierze Sił Pokojowych, były o wiele solidniejsze niż kombinezony używane przez służby, ale ich projekt nie przewidywał odporności na rakiety przeciwpancerne typu *Auger*.

Rakiety te były częścią standardowego wyposażenia Sił Pokojowych. Radziły sobie bez trudu z transporterami opancerzonymi. Oczywiście nikt nie próbował wjeżdżać do wieży Neue Rostock takim transporterem, ale zastosowanie dla nich i tak się znalazło. Były idealną bronią przeciwko szturmowcom odzianym w kombinezony bojowe. Obrońcy wieży nieustannie o tym przypominali i nic nie dawało się na to poradzić. Można było tylko mieć nadzieję, że w pewnej chwili skończą im się rakiety.

Idąca za prowadzącą też upadła z krzykiem na ziemię. Odłamek przebił jej pancerz prawej nogi. Ostatni członek zespołu złapał ją za uprząż i zaczął odciągać w bezpieczne miejsce, ale salwa z działka szybko zakończyła jego wysiłki.

Pancerz na plecach był cieńszy od piersiowego, chociaż w tym przypadku zapewne nie zrobiłoby to większej różnicy. Pociski z działka

z reguły przebijały przedni pancerz kombinezonu bojowego. Tylne przebijały zawsze.

Reszta drużyny odpowiedziała ogniem. Sensory ich kombinezonów wychwyciły sygnaturę włączonego działka i strzały musiały być celne. Tyle że obsługa działka została wyszkolona przez Thandi Palane, Victora Cachata i Yanę Trietiakówną. Barykada z kawałków cerambetu i worków z piaskiem była w stanie zatrzymać strzały z pulsera. Przez krótki czas chroniłaby nawet przed pociskami z trzylufowego działka. Żołnierze nie mieli takiej osłony.

Granat odbił się od sufitu i wirując wokół własnej osi, wylądował na tyłach stanowiska strzeleckiego. Uzbroił się, uderzając w sufit, ale jeden z wyzwolenców rzucił się i czym prędzej go złapał, żeby cisnąć do specjalnego zagłębienia znajdującego się za stanowiskiem. Nie zdążył. Ładunek eksplodował mu w dłoni, zabijając go na miejscu. Jego ciało zatrzymało jednak większość odłamków, dlatego tylko jedna osoba z obsługi działka została ciężko ranna, a reszta wyszła bez szwanku, żołnierz zaś, który rzucił granat, został zaraz skoszony.

– Wracać do bocznego korytarza! – krzyknął sierżant, który próbował wcześniej ostrzec Jackie, i ocalali szybko zaczęli się wycofywać. Zanurkowali do obu odnóg prostopadłego korytarza, sierżant zaś sprawdził HUD i zaklął, widząc, ile ikonek ubyło. – Prowadzący delta zero sześć – powiedział, gdy tylko się otrząsnął. – Do delta zero dwa.

– Delta zero sześć, mówi delta zero dwa – usłyszał.

– Sierżancie, utknęliśmy... – Spojrzał znowu na HUD. – Na fox siedem jeden. Na fox siedem trzy mają osłonięte działko. Nie ruszymy go bez solidnego wsparcia. Straciłem czterech ludzi, trzech poległych, jeden jest ranny, niezdolny do walki. Potrzebujemy pomocy.

– Delta zero sześć, chwilę – odparła sierżant. Cisza trwała może dwie minuty. – Zero sześć, zostań, gdzie jesteś. Delta zero osiem będzie się przebijać do foxa od golf jeden dziewięć. Powtarzam, od golf jeden dziewięć. Powinien wyjść za działkiem. Gdy będzie gotowy, skontaktuje się bezpośrednio z tobą. Bądź gotów go kryć i ściągać uwagę na siebie. Rozumiesz?

– Delta zero dwa. Zero osiem zajdzie działko od tyłu. Wesprzeć ogniem osłonowym.

– Potwierdzam – powiedziała sierżant. – Szacowany czas: piętnaście minut.

– Delta zero sześć, potwierdzam: piętnaście minut – odparł dowódca sekcji i spojrzał na swoich ludzi w brudnych kombinezonach. – Sierżant Carla mówi, że kwadrans. Potem znowu wchodzimy.



– Nie ma sprawiedliwości na świecie – powiedziała melancholijnym tonem Gillian Drescher. – Gdyby istniała, Rada dałaby mi po tym wszystkim pół godziny... albo lepiej czterdzieści pięć minut z Howellem na ringu. Na walkę na bardzo tępe noże.

– Tak dobrze nie będzie – odparł pułkownik Bartel. – A szkoda, bo bym się wzbogacił, sprzedając bilety.

Drescher parsknęła z całą złością nagromadzoną przez dwa tygodnie wchodzenia cal po calu w głąb wieży Neue Rostock. Każdy z tych cali był okupiony krwią jej żołnierzy, a straty wręcz astronomiczne. Drescher podejrzewała, że jak na razie to ona płaciła większą daninę. Oczywiście to miało się zmienić w chwili, gdy obrona wyzwolenców wreszcie się załamała. Może nawet niebawem, bo powinna już kończyć im się amunicja.

Wtedy należało oczekiwać krwawej łaźni, częściej w sytuacji, gdy któraś ze stron chce walczyć do końca. A tamci najwyraźniej mieli taki zamiar.

Powinni się oderwać i uciec, pomyślała ponuro, stojąc obok minotaura i patrząc na podziobany eksplozjami budynek. Powinni uciec już tydzień temu. Bóg jeden wie, co ich powstrzymuje.

Po zarżnięciu Howella tępy, najlepiej zardzewiałym nożem chętnie spędziłaby kilka konstruktywnych chwil z miejskim inżynierem i jego zespołem. Już na samym początku okazało się, że posiadane przez nich plany podziemi budynku są nieaktualne. Jej żołnierze wpadali na cerametyczne ściany, których nie powinno tam być, i trafiali na dziesiątki tuneli, które nie widniały w planach. Teren, który byłby trudny, gdyby posiadali aktualne mapy, stał się w tych okolicznościach koszmarnie trudny.

Oczywiście miejskie plany reszty wieży okazały się tak samo bezużyteczne. To jednak nie wyjaśniało, dlaczego tamci nie wycofali się już wiele dni temu. Przecież wciąż mieli dostęp do podziemnych przejść, których wojsku nie udało się nawet zlokalizować. Dlaczego więc z nich nie korzystali?

Drescher domyślała się prawdy, ale bała się do tego przyznać nawet sama przed sobą. Wyzwoleńcy nie uciekali, ponieważ nie chcieli uciekać. Czy może raczej wybrali pozostanie na miejscu. Czego chcieli, to inna sprawa.

Wygłaszali w ten sposób swoisty manifest, popierając go czynem. Dawali wojsku i rządowi planety sygnał, że są gotowi zginąć na stanowiskach, ale wcześniej zabiją całą masę żołnierzy. Jednak ważniejszym adresatem ich przesłania był ktoś inny: wszyscy zamieszkujący Mesę wyzwoleńcy.

Już teraz odbierała sygnały świadczące o tym, że przesłanie zostało odebrane. Do pierwszych incydentów doszło w Detweiler City. Nie było to

nic tak poważnego jak w stolicy. Przynajmniej jeszcze nie. Niemniej w tamtym mieście Biuro Bezpieczeństwa Publicznego nie przeprowadzało wcześniej żadnych akcji, co oznaczało, że incydenty wywołali sami wyzwolenicy, a to mogło przerazić. Jak na razie służby zdołały uspokoić sytuację, ale Drescher nie sądziła, żeby to był trwały sukces. Ci dranie nie potrafili zapanować nad tłumem bez zabijania. Tyle dobrego, że na razie ktoś wziął ich za pysk, pewnie sam McGillicuddy. Prawdopodobnie zrozumiał, że drugie takie ognisko zapalne byłoby teraz naprawdę niepożądane.

Poza Neue Rostock oddziały służb otoczyły jeszcze cztery wieże: Stamford, Kovaleski, Hadar i Lindbergh. Jak dotąd żadna z nich nie próbowała naruszać kordonu. Powodem akcji był ogólny wzrost poziomu agresji wychwytywanej przez system monitoringu. Sytuacja była piekielnie napięta, a przy tylu oddziałach zaangażowanych w Neue Rostock oraz trzymany w odwodzie, gdyby trzeba było przerzucić je do Detweiler City, nie mieli już praktycznie żadnych rezerw, żeby wzmocnić kordony.

Drescher obawiała się, że cały porządek może się w każdej chwili posypać. A jeśli do tego dojdzie...

Tyle dobrego, że cywile zaczęli wreszcie traktować poważnie jej ostrzeżenia. Wcześniej walczyli jak lwy, żeby tylko niczego nie zrozumieć, ale ostatecznie dostała zgodę na wykorzystanie głowic kinetycznych do mocy jednej kilotony. Oczywiście zgoda ta została opatrzona długą listą zastrzeżeń. Prawda była jednak taka, że zrobili to za późno. Jej ludzie byli już zbyt głęboko w środku, żeby mogła potraktować wieżę cięższą głowicą. Z wolna rozbijała jednak wyższe kondygnacje, opanowując jednocześnie coraz większe połacie drugiego i trzeciego piętra. Sądziła, że za jakiś czas tamci zaczną ponosić coraz więcej przypadkowych ofiar spośród ludzi niebiorących udziału w walkach i wtedy albo się wycofają, albo

przypuszczą kontratak. Albo spróbują negocjacji. Chociaż mogli okazać się na tyle szaleni, żeby poświęcić życie swoich rodzin w tej walce.

Boże, proszę, pomyślała, wiem, że raczej nie jesteś nam przychylny i pewnie nawet na to zasłużyliśmy, ale pomóż mi znaleźć sposób zakończenia tego bez zabijania wszystkich w tej wieży.



– Straciliśmy Aaronsona i jego działko, gdy przebili się z Proctora i Sangamonu – powiedział zmęczonym głosem Triêu Chuanli. Przetarł twarz dłonią i wzdrygnął się. – Ale posłaliśmy tam Serengetiego i jego grupę.

Thandi Palane pokiwała głową. Siedziała odchyłona do tyłu w fotelu przy centralnym stanowisku. Była spokojna, ale świadoma, że klęska zbliża się wielkimi krokami. Szczerze mówiąc, dziwiła się, że zdołali utrzymać się tak długo, gdy armia przejęła walkę od zabijaków ze służb bezpieczeństwa.

Wiedziała, kto dowodzi po drugiej stronie. Mimo brutalności starć na mały dystans przez ostatnie straszne tygodnie wzięli garść jeńców (i przechwycili też całkiem sporo dobrej broni). Ci zwykle się załamywali, ledwie docierało do nich, że znaleźli się w rękach wyzwolenców. Tylko niektórzy próbowali być hardzi, chociaż na pewno wiedzieli, że ludzie Duseka nie mają powodów, żeby obchodzić się z nimi łagodnie. Zapewne zasadniczo powinni być traktowani zgodnie z konwencją denebską, jako że nosili mundury żołnierzy regularnej armii, ale Dusek nie ratyfikował żadnej konwencji, a był świadom, że przeciwnik nie jest skłonny traktować jego ludzi jak żołnierzy.

Prawdę mówiąc, najciekawszym z tych jeńców okazała się sierżant z Dyrektoriatu Bezpieczeństwa, która została przekazana Dusekowi przez grupkę ocalonych z organizacji Bachue. Uciekli podziemnymi korytarzami

ciągnącymi się między niegdysiejszą wieżą Hancock a Neue Rostock. Po drodze musieli kilka razy wymykać się pościgom, ale ostatecznie im się udało. Thandi powitała ich serdecznie, chociaż niezbyt wiedziała, co właściwie powinna zrobić z jeńcem.

Była to kobieta, niejaka Kayla Barrett. W chwili, gdy ją donieśli, jej noga była już nie do uratowania. Domorosły, ale całkiem sprawny chirurg Rudrani Nimbakar, wykształcona dzięki kontaktom Duseka, musiała ją amputować poniżej biodra. Gdyby kobieta przeżyła, co wydawało się mało prawdopodobne, regeneracja kończyny nie powinna być żadnym problemem. Poza lekkim wstrząśnieniem mózgu nie miała innych obrażeń. Było w niej jednak coś dziwnego.

Thandi przypuszczała, że każdy funkcjonariusz Dyrektoriatu Bezpieczeństwa, który znalazł się w rękach wyzwolenców, musiał doznawać swoistego szoku. Zwłaszcza po tym, co działo się ostatnio. A Barrett była zdumiewająco spokojna. Robiła, co jej kazano, i była uprzejma. Uprzejma, nie służalcza. Chętnie odpowiadała na wszystkie pytania. Nie wiedziała wiele na temat armii, ale dzieliła się tym, co pamiętała. Sprawiała wrażenie osoby, która przeszła załamanie. Jakby coś w niej pękło i nie chciało się zrosnąć. Robiło to bardziej wstrząsające wrażenie niż opanowujące niektórych szaleństwo. Wydawało się, że sierżant na coś czeka, ale cokolwiek to było, całkowicie straciła zainteresowanie własną przyszłością.

Thandi przerwała rozmyślenia. Nie przypuszczała, żeby kiedykolwiek udało się jej dowiedzieć, co właściwie dzieje się w głowie sierżant Barrett. Może i dobrze. Sam fakt, że o niej pomyślała, był świadectwem jej własnego zmęczenia.

– Nie uda nam się? – spytał Dusek. Był chyba równie zmęczony jak Chuanli. Thandi spojrzała na sąsiednią konsolę, przy której siedział boss. –

Zdobędą Neue Rostock, zanim wasi przyjaciele zdążą przybyć, prawda?

– Możliwe – odparł Victor Cachat, który przyszedł do centrali wraz z Chuanlim. Też był brudny, miał bandaż na prawym ramieniu i dużą, ciemną szramę na policzku. Pewnie był też, podobnie jak reszta, bardzo zmęczony, ale nie okazywał tego. Zdawał się tak samo spokojny i skupiony jak na początku oblężenia. Trzeba było go znać tak dobrze jak Palane, żeby dostrzec desperację. Ale w jego przypadku nawet desperacja manifestowała się inaczej niż u zwykłych ludzi.

– Victor ma rację – mruknęła Thandi. Nie przyszło jej na myśl, żeby go pocieszać, wygłaszając jakieś półprawdy. Ani kiedyś, ani tym bardziej teraz, gdy tyle już razem przeszli. – Szczerze mówiąc, ta Drescher jest o wiele lepsza, niż sądziłam. I jej wojsko też. – Wzruszyła ramionami. – Może nie doceniałam ich po wcześniejszych popisach służb. Trudno uwierzyć, ale tamci okazali się z kolei o wiele gorsi, niż oczekiwałam. Właściwie nietrudno przy nich zrobić dobre wrażenie.

– No, tamtych niewielu już zostało – powiedział z uśmiechem Chuanli. – Bachue pokroiła ich na plasterki.

Thandi spojrzała na niego i pokiwała głową. Z początku nie wierzyła w przechwałki Bachue, ilu to bezpieczniaków ubiła, ale przy pierwszej okazji porozmawiała o tym z Barrett. Sierżant wszystko potwierdziła i Thandi musiała pogodzić się z myślą, że ktoś naprawdę mógł być aż tak głupi, żeby wysłać trzy bataliony przeciwko takiemu przeciwnikowi bez żadnego rozpoznania terenu ani rozmieszczenia jego sił.

Niestety, gdy Barrett pojawiła się w Neue Rostock, Bachue już nie żyła. Jej ludzie także, włączając w to uwięzionych w Hancock „cywilów”. Thandi nie miała sposobności przeprosić jej za wcześniejsze niedowierzenie.

– Jasne, niewielu – zgodziła się. – I sądzę, że nasi jeńcy mówią prawdę o tym, co się stało z Hancock. Pewnie nawet mają rację co do tego, dlaczego tak długo nie użyto wobec nas broni kinetycznej.

Mimo ponurej sytuacji uśmiechnęła się przy tych słowach. Dusek i Chuanli zareagowali głośnym śmiechem. Dziwną stroną tej walki był fakt, że niezmiennie chłodna i wolna od pyłu centrala zapewniała im wciąż dostęp do mesańskiej sieci informacyjnej. Stawiało ich to w uprzywilejowanej pozycji wobec zdecydowanej większości mieszkańców planety, którzy byli karmieni papką przygotowywaną przez Dyrektoriat Kultury i Informacji. Ten zaś rozgłaszał swoją całkiem absurdalną wersję tego, co stało się z wieżą Hancock. Ukrywanie prawdziwej przyczyny było jednak zupełnie bezcelowe, skoro trzy czwarte stolicy pokrywała obecnie przypominająca śnieg warstwa pyłu. Thandi nie przypuszczała, żeby ktokolwiek wierzył w opowieść o „nuklearnym samobójstwie”, wypichconą przez Bryce’a Lacklanda i jego gromadkę, by wyjaśnić opady pyłu. Tłumaczyło to jednak postępowanie Drescher, chociaż decyzja najpewniej nie należała do niej. Na nos Thandi to była kwestia politycznych rozgrywek, na których jednak zyskali. Gdyby pociski zaczęły w końcu spadać, ich dni byłyby policzone.

– Chyba pora pomyśleć o wycofaniu jak największej liczby ludzi – powiedziała, patrząc na Duseka.

Gangster zmarszczył brwi i skrzywił się z niechęcią.

– Ty i Triêu macie rację – dodała. – Neue Rostock padnie, i to pewnie przed upływem tygodnia. Jedno, co poszło lepiej, niż oczekiwałam, to zablokowanie im dostępu do szybów grawitacyjnych i tuneli. To oznacza, że nadal możemy wyprowadzić twoich ludzi. Czas o tym pomyśleć.

Dusek dalej się krzywił. Thandi spojrzała na Victora.

– Ona ma rację – poparł ją Cachat. – Wiem, że ja cię w to wpakowałem, więc może nie jestem najlepszą osobą do wygłaszania rad, ale ona wie, co mówi. Musisz wyprowadzić jak najwięcej ludzi, póki możesz. I sam musisz pójść z nimi.

Dusek spojrzał na niego ostro i jeszcze bardziej zmarszczył czoło.

– Ci z Dyrektoriatu Kultury i Informacji nie pastwiliby się tak nad tobą, gdyby się ciebie nie bali – powiedział Victor. – Tylko bohatera ludowego im teraz brakuje, a tym dokładnie się stałeś.

– Nie pójdę – powiedział spokojnie Dusek i Thandi uniosła brew. – Może i trzeba zacząć wyprowadzać ludzi, ale ja z nimi nie pójdę.

– To nie jest najlepsza chwila na szlachetne gesty – mruknął Victor.

– Pieprzyć to – odparł Dusek jeszcze spokojniej. – Nie idę.

Thandi już chciała zacząć go przekonywać, ale powstrzymała się i spojrzała na Victora, po czym pokręciła lekko głową. Ten przez chwilę patrzył na nią pytająco, ale po chwili równie lekko wzruszył ramionami.

– Zrobisz, jak zechcesz – powiedziała i Dusek chrząknął z satysfakcją.

Thandi była głęboko przekonana, że rozumie już, co się dzieje w duszy Duseka, chociaż on sam zapewne nie umiałby ująć tego w słowa. Zanim go spotkała i zanim stał się ich sojusznikiem, zapewne nie uwierzyłyby, że taka ewolucja jest w ogóle możliwa. Teraz była już mądrzejsza i myślała o Jurgenie Duseku bardzo ciepło.

Victor od samego początku miał rację co do jego osoby. Dusek zawsze był kimś więcej niż tylko gangsterem. To była wprawdzie jego główna rola życiowa, ale teraz to się zmieniło. Nadal był królem przestępczego podziemia, niemniej to nie ów król ogłosił, że nie opuści Neue Rostock. To był Jurgen Dusek, który w międzyczasie przeistoczył się z gangstera w patriotę.

Spojrzała na Chuanliego i dostrzegła w jego oczach tę samą twardą determinację. Obaj wiedzieli już, że równowaga sił na Mesie ulega zmianie i że nie będzie powrotu do dawnego porządku, nawet jeśli Wielki Sojusz nie odpowie na ich wezwanie o pomoc. Wyzwoleńcy nie będą już więcej czekać biernie na śmierć z ręki służb bezpieczeństwa. Przekonali się, do czego to prowadzi, i nauczyli się walczyć. Na własne oczy ujrzeli, że mogą karać swoich ciemnych, stawiać im opór. Wszystkie wydarzenia w stolicy były tego żywym dowodem i nawet Dyrektoriat Kultury i Informacji nie mógł tym razem ukryć prawdy.

Co więcej, Neue Rostock dał innym społecznościom wyzwolenców czas na zorganizowanie się, zgromadzenie broni i przygotowanie planów obrony. Skupienie sił rządowych wokół jednej wieży nie pozwalało prowadzić akcji gdzie indziej, a im dłużej Neue Rostock się trzymał, tym trudniej miało być potem służbom bezpieczeństwa rozbić nowe gniazda buntu. Żaden ośrodek wyzwolenców nie mógł liczyć na sukces w tym starciu, ale z drugiej strony władze też nie miały szans na zdławienie oporu. Musiałyby sięgnąć po ostateczność, czyli broń kinetyczną, ale wszystkie sektory wyzwolenców znajdowały się w miastach. Gdyby spuścić na nie deszcz głowic, oznaczałoby to zniszczenie tych miast, przemysłu, własnej infrastruktury. Własnych rodzin.

Mój Boże, pomyślała. I w tym Victor też miał rację. Pewnie bardziej niż sam sądził. Zaczęliśmy prawdziwą rewolucję, a jeśli wyzwolęcy podniosą bunt, niewolnicy się do nich przyłączą.

Przypomniała sobie komentarz Victora na temat Królestwa Torch i legendy o nowym Alamo. Jurgen Dusek pewnie nigdy nie myślał w tych kategoriach, ale niecodzienna rzeczywistość go zmieniła. Tak jak rzeczywistość Termopil, Masady, fortu Saint Elmo i Chartumu zmieniła tamtych ludzi. To samo można było powiedzieć o Alamo, Verdun

i Stalingradzie. O bitwie o Carson, drugiej bitwie o Yeltsin i tysiącach innych bitew, w których ludzie dojrzewali do bohaterstwa i nie ustępowali nawet wtedy, gdy wiedzieli, że zginą. Owszem, często ci, którzy krzyčili: „Nie przejdziecie!”, nie byli w stanie dotrzymać słowa. Ginęli i przeciwnik przechodził po ich ciałach. Ale każde Termopile prowadziły do jakiejś Salaminy, po każdym Alamo była bitwa o San Jacinto, po każdym Stalingradzie była bitwa na Łuku Kurskim. Czy wreszcie bitwa o Berlin.

I to właśnie Jurgen Dusek i Triêu Chuanli postanowili podarować Mesie. Dać jej bohaterów, i to takich z krwi i kości. Niech Mesa ma wreszcie swojego Leonidasa, swojego Trávisa, swojego Spartakusa. A jeśli przyjdzie im przy tym umrzeć, to trudno.

– Chyba najlepiej będzie zacząć od rannych – powiedziała.

ROZDZIAŁ LXV



I wtedy ludzie brygadier Hanratty zaatakują tutaj – powiedziała Gillian Drescher, wskazując ikonę na holograficznej mapie terenu. – Pierwsza i Trzecia Brygada posłużą zasadniczo tylko do odwrócenia uwagi. Jeśli któraś z nich będzie miała szansę przejścia z ataku pozorowanego do prawdziwego, z widokiem na powodzenie, oczekuję jej wykorzystania. Tylko bez nieuzasadnionego ryzykowania, które spowodowałoby straty wśród waszych ludzi.

Uniosła głowę znad projekcji i spojrzała stanowczo na zebranych dowódców.

– Spychamy ich, ale przekonaliśmy się już wiele razy, jak bardzo potrafią nam zaszkodzić, jeśli nazbyt się wysforujemy. Dlatego działamy metodycznie, ostrożnie i zgodnie ze wszystkimi regułami walki. – Nie dodała już, że stary regulamin okazał się całkowicie bezużyteczny, napisała więc nowy. Jej własny i po cichu wprowadzony do użytku. – Kluczowy jest atak Szóstej Brygady. Jeśli się powiedzie, będziemy w stanie opanować całą tę sekcję wieży... – Wskazała na zaznaczony na karmazynowo fragment wnętrza Neue Rostock. – A wtedy oskrzydlimy ich pozycje przy szybach grawitacyjnych gamma.

Przez chwilę stała tylko i patrzyła na nich, po czym wyłączyła wskaźnik.

– Ta operacja nie przyniesie nam całkowitego zwycięstwa, ale utrudni im przechodzenie do tych cholernych tuneli. Nam zaś da lepszą pozycję do wyparcia ich z centralnych sekcji mieszkalnych. Jeśli odetniemy ich od

tuneli, uniemożliwimy też napływ posiłków, a wówczas będziemy mogli zacząć wykurzać ich z kolejnych sekcji, po kolei. Czy wszystko jasne?

Jej podwładni pokiwali głowami. Byli skupieni i najwyraźniej pełni wiary we własne siły. Nie oczekiwali, że będzie łatwo, i spodziewali się olbrzymich strat w ludziach, ale podobnie jak ona, dostrzegali już kres tej walki.

– Dobrze. Przyjrzyjmy się niektórym szczegółom planu. Byrum?

– Tak, ma'am. – Pułkownik Bartel wyszedł przed zebranych i włączył własny wskaźnik. – Brygadierze Edson, żeby plan się powiódł, pański Drugi Regiment musi dojść przynajmniej do tego miejsca. Gdy już je osiągniecie, będziemy mogli...



– Kurwa!

Ten okrzyk był jedynym, który padł w stanowisku strzeleckim zaskoczonym przez oddział Sił Pokojowych. Na więcej nie starczyło czasu.

Przeciwnik nie miał niewyczerpanych zapasów kombinezonów bojowych, które nie sprawdzały się zresztą najlepiej w ciasnych przestrzeniach wieży. Dlatego właśnie Drescher wołała ostatnio trzymać je w rezerwie. A drugi powód był taki, że czekała na właściwy moment, żeby znów ich użyć.

I ten moment właśnie nadszedł.

Kompanie szturmowe Sił Pokojowych nie były tak dobrze wyszkolone jak Solarian League Marines czy Royal Manticoran Marines, ale po prawdzie tym akurat formacjom mało kto mógł dorównać. Z drugiej strony solarni swoje umieli, poza tym nie brakowało im odwagi i potrafili atakować. Tak jak teraz, gdy parli przed siebie, oczyszczając teren ciągłym

ogniem z działek. Nie mieli w ogóle karabinów plazmowych, ponieważ ich nadmierne używanie zakończyłoby się zamknięciem światła korytarza, ale strumienie pocisków z działek były podobnie skuteczne.

Umocniony punkt oporu przegradzał cały korytarz. Został wzniesiony z odłamków cerambetu i worków z piaskiem, z jedną tylko szczeliną, przez którą wyglądało trzylufowe działko, jedno z kilku zdobytych na przeciwniku. Szczelina nie była wielka, ale w tej chwili leciały z wyciem w jej stronę tysiące strzałek, które w większości kruszyły tylko cerambet, ale część z nich przedostała się przez otwór, eksplodując na stalowej osłonie działka i siejąc wokół odłamkami.

Strzelec działka prowadziła ogień, ani na chwilę nie puszczając spustu i także zalewając atakujących strumieniami eksplodujących pocisków. Nawet pancierz bojowy miał swoje granice wytrzymałości, udało się jej więc zabić pięciu i zranić jeszcze dwóch, zanim kolejne pociski przebiły się przez stal i rozerwały ją na strzępy. Pomocnicy gorączkowo odepchnęli szczątki i spróbowali wznowić ogień, ale Siły Pokojowe były już zbyt blisko. Stanowisko zostało zaraz zarzucone granatami. Rozległ się huk, po którym dały się słyszeć jeszcze krótkie krzyki, i zaraz zjawili się saperzy, którzy podłożyli ładunki wybuchowe.

Prawie skończyli, gdy siedzący w centrali Nolan Olsen przycisnął właściwy guzik i po obu stronach korytarza eksplodowały ładunki kierunkowe. Fala uderzeniowa i odłamki zmasakrowały saperów, których kombinezony były o wiele słabsze niż te bojowe. Krzyki rannych ucichły, gdy wielki kawał cerambetu spadł wprost na nich. Niemniej eksplozja nie zrobiła większej krzywdy pancernym szturmowcom, czekającym nieco dalej, za to usunęła tę barykadę, którą saperzy mieli zlikwidować.

– Naprzód! – ryknął sierżant i jego żołnierze znowu rzucili się przed siebie, przechodząc po ciałach obrońców i własnych ludzi.



– Przebijają się przy Atwater i Chester.

Głos Thandi Palane zabrzmiał w uszach Chuanliego przerażająco spokojnie. Triêu stał na skrzyżowaniu korytarzy Chester i Agostino. Używali standardowych cywilnych komunikatorów podłączonych do okablowania wieży. Systemy monitoringu zostały już mocno uszkodzone, ale Chuanli wiedział, że Thandi ma o wiele lepszy ogłąd sytuacji niż ktokolwiek inny.

– Co mamy między nami a nimi? – spytał.

– Nic – odparła zwyczajnym tonem Thandi.

Triêu zaklął pod nosem.

– Też są w kombinezonach bojowych?

– Niektórzy. Na oko siedmiu albo ośmiu. Nasi ludzie mocno ich po drodze przetrzebili.

Kiedyś Chuanli skrzywiłby się, słysząc Thandi mówiącą o „naszych ludziach”, ale teraz nawet do głowy mu to nie przyszło. Yana Trietiakowna była w szpitaliku Rudrani Nimbakar, do którego trafiła nieprzytomna i bez lewej ręki. Nimbakar i Steph Turner zoperowali jej ranę klatki piersiowej, ale wcześniej atak Amazonki pozwolił na odbicie kluczowego punktu. Rzuciła się do walki z pulserem w jednej dłoni i wibronożem w drugiej i zasłała korytarz trupami przeciwników, zanim sama padła. Andrew Artlett nosił na prawym oku gruby opatrunek i czekała go regeneracja oka, ale ciągle krążył ze skrzynką narzędzi wśród chaosu, by utrzymać działanie systemów wieży. Victor Cachat zaś poprowadził więcej straceńczych ataków niż ktokolwiek inny i jakimś cudem ciągle pozostawał przy życiu. W tej chwili twardzi i cyniczni wyzwoleńcy z gangu Duseka poszliby za nim na pałac samego Lucyfera. Wszyscy w Neue Rostock wiedzieli, ile

zawdzięczają chłodnemu opanowaniu Thandi kierującej ich rozpaczliwą obroną.

– Dobra – powiedział, lekko zdumiony tym, że jego głos zabrzmiał niemal równie spokojnie. – Damy radę. Kiedy możesz nam tu kogoś podesłać?

– Za osiem minut. Diasall jest już w drodze z działkiem i paroma miotaczami granatów, ale musi zejść z piętnastego piętra.

Taka siła ognia powinna pozwolić na utrzymanie pozycji, zakładając, że pomoc zdąży. Niestety, przekonał się już, że gdy Thandi podawała przewidywany czas czegokolwiek, zwykle miała rację. Jeśli przeciwnik przebijał się już przez korytarze Atwater i Chester, to nie mieli ośmiu minut. Musiał jakoś spowolnić żołnierzy Sił Pokojowych, zatrzymać ich do chwili przybycia posiłków.

Spojrzał na brudną twarz nastolatki trzymającej jedną z ostatnich posiadanych jeszcze przez gang wyrzutni rakiet *Auger*.

– Sammy, ty i Luca zostajecie tutaj. – Wskazał na niedokończoną barykadę. Nie była jeszcze na tyle gruba ani wysoka, jak powinna, nadawała się jednak na pozycję strzelecką, w sam raz dla Diasalla i innych, gdy już się zjawią. Mogła też zostać szybko poprawiona, jeśli uda im się wytrzymać pierwszy atak. – Jenney i ja spróbujemy dać wam trochę czasu. Jeśli nam się nie uda, czekajcie z otwarciem ognia, aż będziecie miały pewność, że załatwicie chociaż jednego.

Sammy pokiwała energicznie głową i Chuanli obejrzał się na Jenney Rączkę. Twarz młodej kobiety była blada i pełna strachu. Spojrzała mu jednak śmiało w oczy, gdy narzucał swój plecak.

– Idziemy – powiedział.



Kapral Thomas Crunn posuwał się korytarzem opisanym na wyświetlaczu HUD jako Chester i przeklinał w duchu wąskie przejście. Nie żeby miał ochotę zamienić swój kombinezon bojowy na coś lżejszego. Z drugiej strony, akumulatory już mu siadały. Wyzwoleńcy zdołali potężnie opóźnić pierwszy pluton. Jak zwykle zresztą. Rzadko kiedy im się to nie udawało.

Crunn nigdy wcześniej nie zastanawiał się nad tym, co wyzwoleńcy mogą myśleć albo czuć. Nie znał żadnego i pierwszy raz zetknął się ze sprawą dopiero po wstąpieniu do Sił Pokojowych. Traktował ich jak problem, który należało rozwiązać, nie ludzi, których mógłby poznać. Ba, jego zdaniem tak naprawdę nie byli ludźmi. Jednak przez kilka ostatnich tygodni zdarzało mu się myśleć o nich więcej niż kiedykolwiek. Nie miał skłonności do snucia filozoficznych refleksji, ale walka wyostrzyła mu umysł i doszedł do kilku niezbyt miłych wniosków.

Przede wszystkim musiał przyznać, że cokolwiek mówiło się o wyzwolencach, byli twardymi draniami i potrafili walczyć. I wcale nie tchórzli częściej niż inni. Jak na ludzi, którzy nie mieli wojskowego wykształcenia, a nie mieli, bo gdyby próbowali je zdobyć, trafiliby za kraty albo pod mur, zdumiewająco dobrze radzili sobie z zabijaniem zawodowych żołnierzy. Byli też cholernie skuteczni w zastawianiu pułapek i umieli wykorzystywać system monitoringu, żeby nie spuszczać z przeciwników oka. Siły Pokojowe z przykrością przekonały się, że brak oporu oznaczał zazwyczaj, iż wróg szykuje dla nich coś wyjątkowo paskudnego; każdy głupiec, który poleciał na oślep przed siebie, nie miał wielkich szans na przetrwanie. Ci zaś, którzy przeżyli, nauczyli się w końcu, że ostrożność popłaca, iść do przodu zaś należy powoli i metodycznie. A to oznaczało...



– Mów do mnie, Palane! – szepnął Chuanli.

– Czterdzieści pięć jardów i maleje – odparła Thandi niemal lekkim tonem, ale oczy jej pociemniały. Widziała, co Triêu zamierza zrobić.

– Wracaj – rzucił do Jenney Rączki i wskazał na boczny korytarz biegnący dziesięć jardów dalej. Gdy spojrzała mu w oczy, uśmiechnął się smutno. – Zaraz będziesz miała okazję postrzelać.

– Tak. – Przełknęła z trudem ślinę. – Triêu...

– Nie ma czasu, mała. – Klepnął ją w ramię. – Powiedz Jurgenowi, że moim zdaniem powinien przyjąć cię na stałe.

– Powiem – wyszeptała, chociaż oboje wiedzieli, jak mała jest na to szansa.

– Minuta – odezwała się Thandi.

– Idź! – rzucił do Jenney, która pobiegła zaraz we wskazanym wcześniej kierunku.

– Trzydzieści sekund.

– Słyszę.

Chuanli spojrzał w ślad za Jenney, po czym wyprostował się z plecakiem, który trzymał teraz na piersi. Żałował, że nie zaminowali sufitu w tej części korytarza, ale tempo natarcia ich zaskoczyło i przeciwnik wdarł się na teren, gdzie nie był oczekiwany.

Szkoda, że nie mam ich więcej, pomyślał, przesuwając lewą dłońią po plecaku. Nikt się nie spodziewał, że w ogóle do czegoś się przydadzą.

Jeszcze bardziej żałował, że nie starczyło im czasu, żeby wykorzystać je w jakiś inny sposób. Zwłaszcza w przypadku tej jednej. Ale musiał zrobić to właśnie tak, żeby cokolwiek zdziałać przeciwko ludziom w kombinezonach bojowych.

– Piętnaście sekund.

– Miło było mi cię poznać, Thandi – powiedział cicho. – Uważaj na siebie.

– Fajnie usłyszeć czasem dobre słowo – odparła. – Pięć sekund.

Chuanli wciągnął głęboko powietrze, oparł opuszkę kciuka na trzymanym w prawej dłoni detonatorze i wysunął się z otwartych drzwi. Po chwili stał już na środku korytarza.



Thomas Crunn usłyszał sygnał ostrzegawczy i na jego wyświetlaczu pojawiła się nagle karmazynowa ikonka. Spojrzał we wskazanym kierunku i zaczął obracać tam działko, ale nie był dość szybki.

Jurgen Dusek kupił kiedyś dziesięć czarnych wdów, znanych też jako ciężkie miny przeciwpancerne Mk3M2 EEP. Nie żeby przewidywał w swojej gangsterskiej działalności jakieś zastosowanie dla min zdolnych zniszczyć czołg o masie stu trzydziestu ton. Również fakt, że wojskowi magazynierzy wpadali w szal, gdy takie zabawki znikwały im w tajemniczy sposób z arsenałów, nie miał tu znaczenia. Dusek wszedł w posiadanie tych min przypadkowo. Gość, który miał mu przekazać trzy skrzynki karabinów pulsacyjnych, spieprzył papierkową robotę. Niemniej w tych okolicznościach głupio byłoby odsyłać je nadawcy, zatrzymał więc całą partię.

Jak dotąd obrońcy Neue Rostock zużyli sześć z nich.

Ta była siódma.

Triêu Chuanli wcisnął przycisk detonatora i przyczepiona do jego piersi mina eksplodowała, wysyłając przed siebie trzy pociski penetrujące, z których każdy był zdolny przebić dolny pancerz ciężkiego czołgu typu *Mandrake*. Pierwszy trafił Crunna tuż powyżej pasa, przebił przedni

pancerz kombinezonu oraz ciało kaprala i tylny pancierz, po czym z równą łatwością ściał idącą z tyłu szeregową pierwszej klasy Claire Shwang.

Drugi pocisk zabił szeregowego pierwszej klasy Andriesa Benka, odciął prawą rękę kapralowi Aldokimowi de Castihlowi i zmasakrował trzech saperów, którzy szli za grupą.

Trzeci poleciał samym środkiem korytarza, zabijając jeszcze dwóch saperów i czterech podążających za szpicą żołnierzy w zwykłych kombinezonach.

Chuanli umarł oczywiście wcześniej niż oni. Wybuch cisnął jego zmasakrowane ciało daleko poza boczny korytarz, gdzie schroniła się Jenney Rączka, która i tak została ogłuszona, ale w odróżnieniu od przeciwnika oczekiwała eksplozji i po chwili wypełzła na główne przejście.

Wojskowy pulser, którym teraz się posługiwała, był o niebo lepszy od broni z czasów akcji w parku Trondheim. Elektroniczny celownik pozwalał odnajdować cele nawet po ciemku i w dymie. Nacisnęła spust, posyłając w kierunku wroga pocisk za pociskiem.

W oddziale Sił Pokojowych nie pozostał już nikt w kombinezonie bojowym, zatem jej ogień bez trudu raził słabiej chronionych żołnierzy, którzy przetrwali wcześniejszą eksplozję. Trzech upadło. I jeszcze dwóch. Szósty.

Jenney Rączka zabiła dwudziestu wrogów, zanim granat eksplodował dwadzieścia pięć cali od jej głowy.

Przegrupowanie sił zabrało atakującym prawie kwadrans. Gdy ruszyli dalej, po dwunastu minutach trafili na okopany u zbiegu korytarzy Chester i Agostino zespół Diasalla, który rozniósł nacierających ogniem z działka i rakietami przeciwpancernymi.



– Sądzisz, że te pogłoski mogą być prawdziwe? – spytała Gillian Drescher.

– Które, ma'am? – odrzekł pułkownik Bartel. – Przez ostatnie dwa tygodnie słyszałem ich tyle, że trudno mi wszystkie spamiętać.

– Nie dziwię się – powiedziała z uśmiechem Drescher i spojrzała na mapę. – Myślę o tych, które dotyczą Thandi Palane.

– A, te. – Skrzywił się Bartel. – Nie wiem. Ale dopuszczam możliwość, że mogą być prawdziwe. – Wzruszył ramionami. – Zanim to wszystko się zaczęło, mawiałem nawet, że trzeba kogoś na miarę Thandi Palane, żeby wyzwoleńcy stanęli do walki. – Pokręcił głową. – Potem musiałem zrewidować niektóre moje sądy na ich temat.

– To jest ostatnio całkiem popularne – skomentowała Drescher.

Ona sama skłaniała się ku przypuszczeniu, że obroną Neue Rostock naprawdę kierowała niesławna Thandi Palane. Owszem, w pierwszej chwili pomysł wydał się jej absurdalny, ale od czasu ataku w Dobzhanskym zdarzyło się wiele rzeczy, które miała wcześniej za nieprawdopodobne. Pogłoski zaś, że głównodowodząca sił zbrojnych Królestwa Torch jest tutaj, na Mesie, i dowodzi osobiście siłami obrońców, zataczały coraz szersze kręgi i to z prędkością światła. Teraz już nic nie mogło ich powstrzymać, a im dłużej trwała walka o Neue Rostock, tym bardziej plotka stawała się wiarygodna, przynajmniej dla wyzwolenców.

To imię pojawiało się zawsze, gdy spotkało się ich trzech albo czterech. Wymawiane było szeptem, obok imion Jurgena Duseka i Bachue Nos. Trudno było sobie wyobrazić dziwniejszy triumwirat legendarnych bohaterów, jednak tak ich właśnie nazwano, Drescher zaś zbyt realistycznie podchodziła do pewnych spraw, by się łudzić, że to tylko chwilowa moda. Zabić Thandi Palane pewnie byłoby łatwo, podobnie jak Duseka, ale jak zabić legendę? W całej galaktyce nie było dość amunicji, żeby to uczynić.

Ale moim zadaniem jest wyeliminować ludzi stojących za tą legendą, pomyślała. To mój obowiązek, który ślubowałam wypełnić. Może któregoś dnia znajdę sobie inne zajęcie w życiu, ale jeśli nie i jeśli złamię teraz przysięgę, cóż mi pozostanie?

To pytanie zadawała sobie ostatnio coraz częściej i nie potrafiła na nie odpowiedzieć. Wiedziała jednak doskonale, co się stanie w ciągu najbliższych czterdziestu ośmiu godzin.

Jakkolwiek wielki okazałby się jej sukces taktyczny, strategicznie będzie to klęska.

Rozumiała już, dlaczego Dusek i Palane, jeśli to była ona, nie zdecydowali się na ewakuację. Wbrew jej założeniom zdołali wyprowadzić wszystkich cywilnych mieszkańców Neue Rostock podziemnymi tunelami, jeszcze zanim zaczął się atak na wieżę. Wszystko, co dotąd widziała, wszystko, na co trafiali jej ludzie i przez co musieli się przebijać, potwierdzało domysły, że umacnianie budynku zaczęło się na wiele dni, może nawet tygodni przed pierwszą akcją sił bezpieczeństwa. I przez cały ten czas trwała zapewne ewakuacja mieszkańców, aż w wieży zostali tylko bojownicy. Niemniej jej ludziom udało się ostatecznie odciąć tunele. Teraz nikt nie mógł już wydostać się z Neue Rostock, a jej oddziały były gotowe do ostatecznego szturmu.

To miała być krwawa i brutalna walka, ale też walka ostatnia. Do tej pory straciła tu cztery brygady, a piąta była bliska rozpadu. Od chwili przejęcia dowodzenia od Howella z jej szeregów ubyło dziewięć tysięcy ludzi. Według optymistycznych szacunków całkowita liczba mogła wzrosnąć do jedenastu tysięcy, co dawało prawie jedną trzecią stanu osobowego Sił Pokojowych. Ale wszystko zbliżało się do końca, ona zaś nie była tak naiwna, żeby oczekiwać od obrońców wieży kapitulacji. Wiedziała, że będą się bronić do ostatniej kropli krwi.

Jej ludzie zaś zapłacą ostatecznie tę straszną cenę całkiem na próżno.

Snyder, McGillicuddy i ich sprzymierzeńcy z Rady Najwyższej mogli postrzegać obecność Thandi Palane na Mesie jako dowód na to, że Torch i Manticore są sojusznikami Baletu. Pewnie myśleli nawet, żeby z nimi właśnie powiązać ostatnie zamachy, tak jak zrobili to po Green Pines. Drescher, która miała dostęp do danych wywiadu i zeznań jeńców, uważała to za kompletny nonsens. W gruncie rzeczy, i wbrew temu, co powszechnie głośzono, wątpiła nawet, czy Balet był odpowiedzialny za inne przypisywane mu na Mesie akty przemocy. Może był to przejaw szaleństwa, a może zmęczenie walką, jednak miała swoje podejrzania. Jeśli zaś nawet Torch byłby jakoś w nie uwikłany, to nie miało już znaczenia. Nie po tym, co Palane i Dusek puścili właśnie w ruch.

Było o wiele za późno na sztuczki propagandowe mające zmienić bieg zdarzeń. Pytanie nie brzmiało teraz, czy reżim Mesy jest zagrożony, ale kiedy upadnie. Prędzej czy później państwo pójdzie na dno tak jak *Magellan*, z dnem rozdartym o rafę Neue Rostock i powszechnego oporu wyzwolenców, czerpiących siły z symbolicznych prochów zniszczonej wieży.

Ona jednak nie miała wyboru, jak tylko spalić tę wieżę do fundamentów. Zmienić ją w pozbawione życia gruzowisko, z którego, niczym ze smoczych zębów, wyrosną dziesiątki i setki nowych wież.

To była jej praca i jej zadanie.

– Chyba pora się przygotować – powiedziała. – Przekaż informację, że o dziewiętnastej chcę widzieć u siebie wszystkich dowódców regimentów.



– Mam nadzieję, że dzisiaj usłyszymy dla odmiany jakieś dobre wiadomości – powiedziała z przekąsem Regan Snyder, gdy Rada

Najwyższa zebrała się znowu wokół stołu.

Brianna Pearson nawet na nich nie spojrzała. Wodziła za to wzrokiem za Brandonem Wardem zajmującym właśnie swoje zwykłe miejsce.

– Tak – powiedział. – Zgodnie z informacjami otrzymanymi od generała Alpiny, generał Drescher rozpocznie za dwanaście godzin ostateczny atak na Neue Rostock. Alpina przekazał mi, że w ciągu trzydziestu do czterdziestu godzin uda się ostatecznie złamać opór przeciwnika. Oczyszczanie terenu potrwa jeszcze trochę, ale Drescher będzie mogła za dwa dni przekazać teren Dyrektoriatowi Bezpieczeństwa i wycofać swoje wojsko, żeby uzupełnić ekwipunek i stany oddziałów.

– Sporo czasu jej to zabrało! – skomentowała kpiącym tonem Snyder. – Biorąc pod uwagę, ile forsy wpompowaliśmy w Siły Pokojowe, nie przypuszczałam, że zajęcie jednej wieży obsadzonej przez brudnych wyzwolenców potrwa aż miesiąc!

– To nie był miesiąc, tylko jakieś trzy tygodnie – odparła chłodno Pearson. – Licząc od momentu oddania pierwszych strzałów. Z racji złożoności zadania zaś oraz faktu, że przez pierwsze dwa tygodnie odmawiano jej zgody na użycie broni kinetycznej, należy przyznać, że generał Drescher dokonała naprawdę wiele, i to przy minimalnym wsparciu Rady.

– Gówny prawda! – warknęła Snyder. – To przez nią, czy też przez Siły Pokojowe, siedzimy teraz po uszy w bagnie. Słyszeliście już na pewno o incydentach zdarzających się powszechnie w innych dzielnicach wyzwolenców. Nie doszłoby do tego, gdyby porządnie wykonała swoją robotę i zdławiła problem w zarodku!

– Czy to znaczy, że chcesz zrzucić na Siły Pokojowe odpowiedzialność za to, co sama spowodowałaś? – spytała Pearson już zbyt wściekła, by obawiać się ewentualnej zemsty Snyder, która nie raz dowiodła, że potrafi

być bardzo groźnym wrogiem. – Wiesz, Regan, życie w świecie własnych iluzji może stać się niebezpieczne, gdy zaczyna się traktować je poważniej niż rzeczywistość, ty zaś tkwisz już w tym tak głęboko, że pewnie nawet lusterko wsteczne by nie pomogło!

– Tak? – spytała Snyder dziwnie jedwabistym tonem. – Niebawem się o tym przekonamy. Teraz, gdy Drescher upora się wreszcie z Neue Rostock, czas, żebyśmy zdecydowali, która dzielnica powinna zostać oczyszczona przez Biuro Bezpieczeństwa Publicznego jako następna.

– Aż tak ci padło na umysł? – rzuciła Pearson. – Marzy ci się drugi Neue Rostock?

– Nie będzie żadnego drugiego Neue Rostock – odpowiedziała szyderczym tonem Snyder. – Jeśli nie liczyć niekompetencji Drescher, jedynym powodem tej ciągnącej się katastrofy jest ta suka Palane! Thandi Palane! – Snyder wyduła pogardliwie wargi. – Dziwka z Ndebele, która zdezerterowała z solarnych Marines, by związać się ze zbiegłymi niewolnikami! Szumowina, która przybyła na Mesę w celu wzniesienia rebelii. Pewnie to ona przywiozła ze sobą te wszystkie bomby Baletu, i ty też dobrze o tym wiesz, Brianno! Ale już niebawem jej nie będzie i nie będzie dowodzić wyzwoleniami. A bez niej ci dranie staną się znów tym, czym zawsze byli!

Boże, pomyślała Pearson, ona naprawdę w to wierzy. Jednak można być aż tak głupim. A może jest zdesperowana? I dlatego trzyma się tych bzdur, bo w przeciwnym razie musiałaby stawić czoło prawdzie? Owszem, nikt związany z Manpower nie miał w tej chwili ochoty na zapoznawanie się z tą prawdą, ale jeśli pójdziemy drogą postulowaną przez Snyder, spadniemy na samo dno. I co stanie się z Mesą? Co powstrzyma wyzwolenców i niewolników przed zemstą, która zmieni całą planetę w jedno wielkie cmentarzysko?

Brianna Pearson nigdy nie uważała się za osobę religijną i w tym momencie tego pożałowała. Choć przemknęło jej przez głowę, że gdyby Bóg istniał, byłby pewnie bardziej skłonny wysłuchać ludzi z Neue Rostock niż tych siedzących przy tym właśnie stole.

– Nie wydaje mi się, żeby to był dobry pomysł – zaczęła. – W gruncie rzeczy...

Drzwi sali konferencyjnej otworzyły się gwałtownie i wszyscy obrócili głowy, zdumieni tak bezceremonialnym, nieoczekiwanym i niedopuszczalnym przerwaniem im obrad.

– Co to ma znaczyć... – odezwał się oburzony Brandon Ward.

– Przepraszam! – Przerwała mu jego starsza sekretarka. – Przepraszam, ale... ale to jest...

Urwała, jakby szukała właściwych słów, i Ward aż pociemniał na twarzy.

– Andreo, o czym ty, u diabła, mówisz? – warknął.

– Nadzór układowy zameldował ślad wyjścia z nadprzestrzeni. Wielki ślad, co najmniej tuzin ciężkich jednostek!

ROZDZIAŁ LXVI



Thandi Palane sprawdziła magazynek karabinu pulsacyjnego, po czym wczepiła go w broń, wprowadziła nabój do komory i przestawiła bezpiecznik. Wibronóż i pulser, które nosiła przy pasie, skontrolowała już wcześniej.

Podniosła głowę i napotkała spojrzenie Victora.

– Nie cierpię legend – powiedziała z krzywym uśmiechem.

– Przyznaję, że bywają nieprzyjemne. Nawet szkodliwe. Ale jednak użyteczne. A ty musisz pilnować swojej.

– Wspominałam ci już kiedyś, że dziwny z ciebie gość, Victorze Cachat?

– Tak, owszem. – Znów na nią spojrział i pokręcił głową. – A skoro o tym mowa, to przepraszam – powiedział łagodnym tonem. – Wolałbym, żebyś nie zmieniała się we własną legendę.

– Bywa – mruknęła. – Czasem wyciągnie się krótszą słomkę. No i są znacznie gorsze rzeczy, o które można walczyć. Albo przeciwko którym.

– Przynajmniej daliśmy im szkołę – powiedział Dusek, który liczył w kącie granaty. Też się uśmiechał. – Naprawdę myślicie, że inni to za nas dokończą?

– Tak albo inaczej – powiedział Victor. – Nie utrzymaliśmy się na tyle długo, żeby księżna Harrington zdążyła przybyć tu z Manticore, ale z pewnością daliśmy czas innym wyzwoleńcom, żeby się zorganizowali.

Thandi pokiwała głową. Nadal odbierali tutejsze wiadomości. Nie trzeba było czytać między wierszami, żeby wyczuć lęk władz przed napięciem narastającym w innych dzielnicach wyzwolenców. Żadna z nich nie była tak dobrze zorganizowana i uzbrojona jak jeszcze niedawno Neue Rostock, ale Thandi była pewna, że obecnie stoją pod tym względem lepiej niż jeszcze trzy tygodnie temu. Przypomniała sobie pewną ziemską opowieść i parsknęła śmiechem.

– Co zabawnego w tym widzisz? – spytał Dusek.

– Właśnie sobie uświadomiłam, że powinnam mieć na imię Pandora. Nie Thandi, a Pandora.

– Pandora? – Dusek uniósł brwi.

– To stara ziemska legenda – wyjaśnił Victor. – Tylko ona wszystko miesza. – Thandi pokazała mu język, na co zareagował uśmiechem. – Nie sprowadzasz zła na cały świat, głuptasku, a tylko na złych ludzi. – Przerwał na chwilę, drapiąc się w ucho, po czym wzruszył ramionami. – Chociaż jeśli się nad tym dłużej zastanowić, wychodzi na to, że możesz mieć jednak rację. Co było na końcu?

– Chyba nadzieja. Przynajmniej tak było w tej wersji, którą słyszałam.

– Właśnie. To jest to, co daliśmy tutejszym wyzwolencom i niewolnikom. A księżna Harrington będzie symbolem tej nadziei, gdy z mordem w oczach zjawi się za kilka tygodni na Mesie. Oczywiście miejscowy rząd i Równanie będą postrzegać ją trochę inaczej – dodał z niemiłym uśmiechem.

– Zapewne – mruknęła Thandi i spojrzała na czynne jeszcze ekrany.

To nie miało już długo trwać. Dwa dni wcześniej oddziały Drescher przeprowadziły podwójny atak przez dwudzieste trzecie piętro i opanowały centralny szyb, po czym zaczęły metodycznie postępować stamtąd w dół

i w górę budynku. Nadal tracili przy tym wielu ludzi, ale obrońcom kończyła się już amunicja do działek i właściwie nie mieli rakiet. Dysponowali jeszcze sporym zapasem materiału wybuchowego, wyprodukowanego z dostępnych w handlu chemikaliów, przemyconych kiedyś w ilości kilku ton do piwnicy, jak i dużą liczbą strzałek do pulserów, które jednak były umiarkowanie skuteczne wobec kombinezonów, i to nawet tych zwykłych, o bojowych nie wspominając.

Niezależnie od przyczółku, który Drescher zdobyła na dwudziestym trzecim piętrze, inne oddziały przebijały się do nich z tuneli. Ci mieli dotrzeć do centrali wcześniej niż idący z góry. Na tej drodze nie było wielu przeszkód i pułapek, a musieli już wiedzieć, gdzie znajduje się stanowisko Thandi. Ale w sumie nie miało to znaczenia, bo dziewięć godzin temu wyłączyli reaktor fuzyjny. Teraz systemy budynku pracowały tylko na akumulatorach, które mogły starczyć na dwanaście godzin. Potem wszystko musiało się wyłączyć. Monitoring zaczęli tracić już wcześniej, gdy żołnierze przystąpili do systematycznego niszczenia kamer. Drescher musiała zrozumieć, jakie to było dla nich ważne.

Przynajmniej Yana, Steph i Andrew powinni dotrzeć do przybycia admirał Harrington, pomyślała Thandi.

Zdołali odesłać cały szpitalik doktor Nimbakar, zanim tunele zostały zamknięte. Thandi nakazała Steph i Andrew, żeby ewakuowali się razem z nim. Próbowwała polecić to samo Nimbakar, ale mogła oszczędzić sobie wysiłku. Każdy pacjent połatany przez nią miał niebawem i tak umrzeć, ale ludzie już tacy są, uznała w końcu. Czasem trudno ocenić, gdzie kończy się głupota, a zaczyna bohaterstwo, Nimbakar zaś była po prostu odważna. Thandi nie czuła się uprawniona do odebrania jej honoru śmierci na lekarskim posterunku.

Spojrzała na Victora i poczuła spływające po policzkach łzy. Nie było ich wiele i na pewno nikt nie zdołał ich zauważyć. Thandi zapragnęła zobaczyć po raz ostatni jego prawdziwą twarz.

Nie bądź głupsza, niż musisz, skarciła się w duchu. Cały czas widzisz jego „prawdziwą twarz”.

Przymknęła na moment powieki, żeby przywołać ten tak dobrze zapamiętany uśmiech i błysk piwnych oczu. Niewielu ludzi miało okazję ujrzeć Victora właśnie takim. Niejeden był pewny, że uśmiechnięty Cachat nie istnieje. Ona jednak widziała jego uśmiech i wiedziała, dla kogo jest przeznaczony. I to było dość, nawet teraz, na sam koniec.

Uniosła powieki, zobaczyła znów Victora w ciele obcego człowieka i uśmiechnęła się mimowolnie.

– Co? – spytał.

– Nic. Pomyślałam o czymś.

Uniół brew, ale ona tylko pokręciła głową. To pewnie nie było w ogóle zabawne, ale samo się jej narzucało. Przesunęła spojrzeniem po detonatorze, który Victor nosił na szyi niby cenny wisior. Nie mieli nawet w przybliżeniu dość materiału wybuchowego, żeby spowodować zawalenie się budynku, ale wiele pięter i tak miało się zapaść. Jeśli dobrze pójdzie, zabiorą ze sobą tysiąc, a może nawet dwa tysiące przeciwników. I nikt nie będzie miał wątpliwości, kto wywołał eksplozję ani kto wyliczył właściwą chwilę, żeby to zrobić.

Pewnie to podłe z naszej strony, pomyślała, znowu z tym na poły nierealnym uśmiechem na twarzy. Ale jeśli mam zostać legendą, niech to będzie praktyczna legenda. Tak, chcę być legendą praktyczną, krwawą, upartą i mściwą. Legendą, jakiej świat jeszcze nie widział!

– Thandi?

Uniosła głowę, słysząc, jak Nolan Olsen woła jej imię. Nadzorca budowlany nie chciał opuścić wieży, podobnie jak Nimbakar, i w jego przypadku Thandi poddała się nawet szybciej. Po części dlatego, że trochę go już poznała i przewidywała daremność takiego wysiłku, a po części ze względu na jego przydatność podczas obrony. Potrafił czynić prawdziwe cuda, żeby systemy jakoś działały, i był co najmniej tak samo wyczerpany jak inni obecni w centrali. W jego głosie pobrzmiwało teraz coś szczególnego.

– Co, Nolan?

– Ktoś do nas dzwoni – odparł z wyraźnym zdumieniem i być może nawet mrocznym niepokojem. – Do ciebie.

– Co? – Thandi zaraz usiadła prosto. Wojsko nie zdołało wyłączyć ich wewnętrznej sieci łączności, ale odcięło ich od świata. – Do mnie? – Olsen przytaknął. – Kto?

– Mówi, że nazywa się generał Drescher.

Thandi zamruła i spojrzała na Victora i Duseka.

– To chyba trochę za późno, żeby proponować kapitulację? – spytał ironicznie Dusek.

– Co jej szkodzi spróbować – skomentował Victor. – Pewnie zdaje sobie sprawę, ile będzie ją kosztowało dokończenie roboty w tradycyjny sposób. – Wzruszył ramionami. – Trudno ją winić, że szuka sposobu, by tego uniknąć.

– A ja pewnie powinnam wygłosić teraz słynne ostatnie słowa? Wzniosła i heroiczna? – spytała Thandi i Victor zaśmiał się głośno.

– Heroiczna może. Ale czy wzniosła? – Roześmiał się naprawdę serdecznie. – Nie jesteśmy arystokratami z Manticore. Głosuję za czymś dosadnym.

– Idź się pierdol? – podpowiedział Dusek.

– Za dużo sylab – zaprotestował Victor, kręcąc głową. – To tylko generał, jeszcze się pogubi.

– Generał, powiadasz? – spytała Thandi. – A o którym dokładnie generale myślisz?

– O tym drugim. Do ciebie niebezpiecznie byłoby się tak zwracać.

Thandi parsknęła śmiechem i spojrzała ponownie na Olsena.

– Możesz przełączyć na moje stanowisko?

– Jasne, tyle wciąż da się zrobić.

Przycisnął jakiś guzik i jeden z ciemnych monitorów ożył nagle, ukazując drobną, ciemnowłosą kobietę w mundurze Sił Pokojowych, z generalskimi pagonami. Była kilka cali wyższa niż Benton-Ramirez y Chou, ale wydawała się do niego bardzo podobna. Było to irytujące, zważywszy na to, jak bardzo Thandi lubiła Jacques’a.

– Tak? – spytała mało uprzejmym tonem.

– Prosiłam o rozmowę z Thandi Palane – powiedziała oficjalnym tonem kobieta.

– To ja – odparła Thandi obcesowo i kobieta zmrużyła powieki.

– Na podstawie fotografii kapitan Palane zachowanych w solarnych rejestrach muszę stwierdzić, że nią pani nie jest.

Zdobycie jej teczek z akt Marynarki Ligi z pewnością nie przekraczało możliwości wywiadu Mesy, chociaż pewnie nie było też łatwe. Z drugiej strony, kiedy Królestwo Torch wypowiedziało wojnę Mesie, tutejszy wywiad zyskał potężną motywację, by jednak dobrać się do tych i w ogóle dowolnych materiałów na temat głównodowodzącej jego sił zbrojnych. Ciekawe, na ile im się to przydało. Thandi pamiętała, jakie niestworzone historie wypisywał tam admirał Roszak, gdy jeszcze pod nim służyła.

– Chyba nawet na Mesie nikt nie oczekiwałby ode mnie, że zjawię się tu cała radosna w mojej naturalnej postaci? – spytała zgryźliwie.

– Pewnie nie. – Drescher zastanowiła się chwilę, wciąż wpatrzona uważnie w twarz Thandi. – Dobrze przebranie. Beowulf?

– Biorąc pod uwagę, że pani rząd, jaki on tam jest, wciąż próbuje winić Torch za „zamachy terrorystyczne Baletu”, chyba nie spodziewa się pani, że powiem cokolwiek, co mogłoby zostać wyjęte z kontekstu i wykorzystane w tej kampanii?

– Pewnie nie – powtórzyła Drescher, tym razem chyba z prawdziwym rozbawieniem, i pokręciła głową. – Ale zamierzam uwierzyć pani na słowo, że naprawdę jest pani Thandi Palane.

– Nie ma pani pojęcia, jak czuję się zaszczycona. A czy byłaby pani może skłonna przekazać mi przy tej okazji, dlaczego zdecydowała się do mnie zadzwonić?

– I owszem – odparła już całkiem poważnie Drescher. – Pragnę zaproponować natychmiastowe wstrzymanie ognia, po którym nastąpi stopniowe wycofywanie mojego personelu z wieży Neue Rostock.

Thandi mimowolnie zamrugnęła, a potem zerknęła z niedowierzaniem na Victora i Duseka. Dusek wyglądał na równie wstrząśniętego, Victor jakby niekoniecznie, chociaż na jego twarzy malował się wyraz intensywnego zainteresowania. W jego przypadku był to chyba najbliższy odpowiednik tego, co nazywano czasem głębokim szokiem.

Thandi spojrzała znów na ekran, próbując odgadnąć, co może się kryć za tak niezwykłą ofertą. Może Drescher chciała, żeby stracili czujność i dali się zaskoczyć w środku negocjacji na temat wstrzymania ognia? Jednak jeśli nie, to co tu było...

– Dlaczego? – spytała wprost i Drescher jakoś dziwnie się uśmiechnęła.

– Cóż, generał Palane, wygląda na to, że równowaga sił w układzie Mesa trochę się zmieniła. Trzydzieści pięć minut temu...

ROZDZIAŁ LXVII



Milady, przyszedł kapitan Lewandoski.

Honor Alexander-Harrington wstała zza biurka w tej samej chwili, gdy komandor porucznik Waldemar Tümmel wprowadził gościa do jej dziennej kabiny na pokładzie HMS *Imperator*.

Kapitan Spencer Hawke, jej osobisty ochroniarz, zmierzył obu mężczyzn spojrzeniem i przysunął dłoń do wiszącego u pasa pulsera. Jego zachowanie musiało być czytelne dla każdego, także o wiele mniej wyczulonego na emocje ludzi wokół niż Honor. Ona jednak skupiała się w tej chwili nie na kapitanie Hawke’u, ale na gościu, którego obecność była dla niej o wiele bardziej wstrząsająca.

Usłyszała, jak Nimitz zeskoczył ze swojej żerdzi na blat biurka. Treecat postawił prosto i uszy, i ogon. Też łowił emocje, którymi zaraz się z nią dzielił.

– Kapitanie Zilwicki – powiedziała i wyciągnęła dłoń do gościa. Zobaczyła oraz wyczuła zdumienie Hawke’a. Nie mogła winić młodego Graysończyka, że się pogubił. Gdy ostatni raz widzieli Antona Zilwickiego, wyglądał jeszcze jak Anton Zilwicki. Ten mężczyzna przypominał go sylwetką, ale na tym podobieństwa się kończyły.

Honor była jeszcze bardziej zdumiona niż Hawke, czy także Tümmel, ale skojarzyła umówione hasło wysłane przez gościa, gdy tylko jacht *Brixton’s Comet* wyłonił się w Manticoran Wormhole Junction w drodze z terminalu Beowulfa. Komandor porucznik Harper Brantley, jej oficer

łącnościowy, przekazał transmisję do Honor, chociaż w zwykłych okolicznościach pewnie zignorowałyby sygnał z nieznanej prywatnej jednostki. Spędził już jednak z Harrington trochę czasu i odkrył, że miewała ona niezwykłych znajomych, którzy nie zawsze i nie wszędzie bywali oceniani pozytywnie. Poza tym kapitan Lewandoski nalegał.

Ona też nie od razu się zorientowała, w czym rzecz, ale rozpoznała hasło „Pygmalion”, podsunięte rzecz jasna przez wujka Jacques’a. Skoro zaś mężczyzna widoczny na ekranie nie był Thandi Palane, Yaną Trietiakówną ani Victorem Cachatem, pozostawała tylko jedna możliwość. Wyraziła więc zgodę, żeby wahadłowiec jachtu zadokował w hangarze *Imperatora*, i poleciła przyprowadzić gościa do swej kabiny.

Sam fakt, że Zilwicki wrócił tak wcześnie, napawał ją niepokojem. Nie znała szczegółów misji, bo i nie musiała ich znać, poza tym w chwili ich wylotu była zajęta własnymi obowiązkami związanymi z łączeniem w jeden organizm dwóch flot, które przez ostatnie dziesiątki lat były sobie wrogie. Znała jednak ogólne założenia i stąd kojarzyła, że powrót Zilwickiego był mocno przedwczesny.

Teraz, gdy uporowała się już z burzą emocji skrytych za obojętnym obliczem Zilwickiego i rozpoznała w nich obawę, niepewność oraz strach, była pewna, że muszą mieć one bardzo poważne podstawy.

– Milady – powiedział Zilwicki niskim głosem, w którym wyczuwało się napięcie. Ktoś inny mógłby je zignorować, ale nie ona. – Dziękuję za spotkanie ze mną w takim... stanie. – Wskazał ręką na swoją postać i mimo wszystko uśmiechnął się krzywo. – Obawiam się, że chwilowo nie jestem w pełni sobą.

– Też mi się tak wydaje.

Puściła jego dłoń, wskazując mu fotel po drugiej stronie biurka, po czym opadła na własne siedzisko. Nimitz zeskoczył z blatu na jej kolana, objęła

go więc i położyła brodę na czubku jego głowy. Przez chwilę oboje wpatrywali się w Zilwickiego z równą intensywnością.

Zastanowiła się nad wezwaniem Jamesa MacGuinnessa, ale uznała, że to nie byłby dobry pomysł. Jeśli Zilwicki czegoś teraz potrzebował, to na pewno nie było to nic do picia. Spojrzała za to na Tümmela i Hawke'a.

– Chcę porozmawiać z kapitanem w cztery oczy, Waldemarze. Spencer, dam znać, gdybym cię potrzebowała.

Tümmel skinął tylko głową i chociaż zżerała go ciekawość, posłusznie ruszył w kierunku wyjścia. Hawke zawahał się, rozdarty pomiędzy zawodową paranoją a nawykiem wykonywania rozkazów. Na jego twarzy malował się lekki bunt. Honor spojrzała na niego stanowczo.

– Dam znać, gdybym cię potrzebowała – powtórzyła nieznoszącym sprzeciwu tonem.

– Oczywiście, milady.

Wyszedł, ale nie darował sobie i raz jeszcze spojrzał ponuro na przemienionego Zilwickiego. Gdy włąz zamknął się za mężczyznami, Honor spojrzała znowu na gościa.

– Proszę mówić – poprosiła cicho.

– Wiem, że nie oczekiwała pani, że zobaczy mnie tak wcześnie – zaczął Zilwicki głosem spokojnym, w którym jednak pobrzmiwał głęboko skrywany lęk. Honor wiedziała, że nie bał się o siebie, niemniej żelazne opanowanie, które sobie narzucił, czyniło ten strach jeszcze intensywniejszym. – Prawdziwy powód, dla którego skierowałem się prosto tutaj, jest taki, że jest pani zapewne jedyną znaną mi osobą, która wie, czy też uwierzy w to, kim jestem, i jednocześnie dysponuje tym, czego bardzo potrzebuję. Problem w tym, że...

Słowa płynęły z jego ust, wciąż uporządkowane i spokojne, łączące się w spójną i przejrzystą relację, jak zwykle w przypadku Antona Zilwickiego. Honor słuchała go, odbierając nie tylko słowa, ale i kryjące się za nimi emocje. Czuła, że Nimitz słucha razem z nią, wyczuwała jego mruczenie, pobudzane emocjami Antona.

– ...i Victor wyjawiał Dusekowi naszą tożsamość, Dusek zaś zgodził się na ufortyfikowanie Neue Rostock, jednak wiedzieliśmy, że nie mamy szansy utrzymać się tam w nieskończoność. Wtedy właśnie...

– Wtedy postanowiliście wysłać kogoś po pomoc. – Przerwała mu Honor, prostując się w fotelu. – I uznaliście, że najlepszą osobą do tego będzie właśnie pan. A ponieważ już się poznaliśmy, ja zaś jestem dowódcą Grand Fleet, logiczne było, że przybywszy do układu Manticore, zechce się pan spotkać właśnie ze mną.

– Tak jest. – Zilwicki pokiwał głową. Wyraźnie ulżyło mu, że okazała się taka domyślna, jednak gdy pokręciła głowę i zaprezentowała mu swój nieco asymetryczny uśmiech, jak to miała w zwyczaju, zmarszczył brwi. To było ostatnie, czego od niej oczekiwał.

– Przepraszam, kapitanie – powiedziała, wyczuwając jego konsternację. – Rozumiem presję, pod którą pan działał, i nie próbuję jej bagatelizować. Jest jednak coś, co powinien pan zobaczyć.

Konsternacja ustąpiła zwykłemu zmieszaniu, gdy Zilwicki próbował coś z tego zrozumieć, ona jednak tylko raz jeszcze się uśmiechnęła, po czym trzymając wciąż Nimitza, wyciągnęła drugą rękę i wstukała na klawiaturze terminalu złożone hasło.

– To jest wiadomość, która przysłała niedawno do Królowej Elżbiety – rzekła. – Jak dotąd w całym Manticore widziało ją tylko siedemnaście osób. Pan będzie osiemnasty.

Zilwicky zmrużył oczy, ale zanim zdążył zadać jakiegokolwiek pytanie, Honor włączyła odtwarzanie i na ekranie pojawiło się oblicze ciemnoskórej kobiety w mundurze admirała Royal Manticoran Navy. Rysy jej twarzy zdradzały jednoznacznie przynależność do rodu Wintonów. Zilwicky natychmiast ją rozpoznał.

– W chwili, gdy to zobaczysz, niektórzy z moich towarzyszy będą już zapewne głośno powątpiewać w moje zdrowe zmysły – powiedziała admirał Gloria Michelle Samantha Evelyn Henke, hrabina Gold Peak. – Być może nawet będą mieli rację. Ja jednak sądzę, że to, co robię, jest ważne. Inaczej bym się tego oczywiście nie podjęła. – Uśmiechnęła się i potrząsnęła głową. – Zaufaj mi. Jestem świadoma ryzyka, na które się narażam. Wiem również, że przy trwającej już wojnie z Ligą taki samodzielny wyskok i otwieranie drugiego frontu może stać w sprzeczności z twoją listą priorytetów. Niemniej z drugiej strony...

Wysłuchał nagrania do końca, a gdy się skończyło, miał mokre oczy. Nie płakał, ale balansował na granicy łez, i Honor czuła to tak samo wyraźnie jak on. Nie trzeba było wielkiej empatii, żeby zorientować się, że pod maską stoika kryje się ciepły i troskliwy człowiek, w którego istnienie ktoś bez wrażliwości Honor mógłby nawet nie uwierzyć.

– Jak dotąd tylko Jej Wysokość oraz grono jej doradców widzieli to nagranie – powiedziała cicho.

Nie dodała, że zobowiązuje kapitana do zachowania treści w tajemnicy. W jego przypadku nie musiała tego mówić.

Otarł łzy, a gdy się odezwał, uczynił to cichym, lekko zdławionym głosem:

– Raz musiałem patrzeć bezradnie, jak moja żona Helen szła na śmierć.

Honor przytaknęła. Każdy oficer Royal Manticoran Navy znał historię Helen Zilwickiej i jej obrony konwoju MGX-1403. Schwyty w pułapkę wewnątrz nadprzestrzennej fali grawitacyjnej konwój został zaatakowany przez pięć ciężkich krążowników typu *Scimitar*. Jego eskorta w składzie dwóch lekkich krążowników i trzech niszczycieli podjęła walkę w stylu nawiązującym do najlepszych tradycji Edwarda Saganamiego. Nikt z załóg tych okrętów nie ocalał, ale straty zadane przeciwnikowi sprawiły, że cały konwój dotarł do celu, razem z transportowcem *Carnarvon*, z mężem Helen i ich czteroletnią córeczką na pokładzie.

Helen Zilwicka została odznaczona Medal of Valor za swoje dokonanie. Pośmiertnie, oczywiście, jak często bywało przy tym wyróżnieniu. Anton Zilwicki, z płaczącą córką na kolanach, oglądał zaś na głównym ekranie, jak Helen na ten medal zasłużyła.

– Przez całą drogę z Mesy myślałem, że historia się powtarza – powiedział i zaczerpnął głęboko powietrza.

Cokolwiek działo się w Mendel, musiało już dobiec końca. Sprawa była przesądzona i ani ona, ani Zilwicki nic nie mogli na to poradzić. Jeśli jednak Thandi Palane podjęła taką walkę, jakiej Honor skłonna była się po niej spodziewać, a Mike Henke zmieściła się w zapowiadany harmonogramie...

– Może jeszcze być i tak, kapitanie – powiedziała łagodnym tonem. – Może być i tak – powtórzyła trochę bardziej zdecydowanie. – Ale jak znam generał Palane, to nie sądzę. – Spojrzała mu w oczy. – I wie pan, wiesz, Antonie, na ile z kolei znam admirał Gold Peak, to jestem pewna, że ci ludzie na Mesie uczą się teraz rozumieć, co to znaczy „gniew boży”.

Lista postaci



Alexander-Harrington, Hamish – admirał, emerytowany oficer Royal Manticoran Navy, earl White Haven, Pierwszy Lord Admiralicji

Alexander-Harrington, Honor Stephanie – księżna Harrington, patronka Harrington, admirał Royal Manticoran Navy i floty Marynarki Graysona

Alexander, William – baron Grantville, brat Alexandra-Harringtona, premier Gwiezdnego Królestwa Manticore

Anderson, Janet – pułkownik Korpusu Zwiadu Biologicznego Beowulfa

Arai, Hugh – mąż Królowej Berry z Królestwa Torch

Arpino, S. – agent służby bezpieczeństwa mesańskiego Równania

Artlett, Andrew – krewniak Ganny Butry, wykwalifikowany technik, kochanek Steph Turner

Barrett, Kayla – sierżant, dowódca sekcji, Dyrektoriat Bezpieczeństwa Mesy

Benton-Ramirez y Chou, Jacques – trzeci dyrektor bez teki w Radzie Dyrektorów Beowulfa

Bogunov, Caroline – kapitan statku niewolniczego *Prince Sundjata*

Brandt, Roldão – kapitan statku niewolniczego *Luigi Pirandello*

Butry, Elfriede Margarete – znana też jako „Ganny” albo „Ganny El”, kapitan statku *Hali Sowle*

Cachat, Victor – agent specjalny Federalnej Agencji Wywiadowczej Republiki Haven

Caldwell, Harriet – analityk bezpieczeństwa na Mesie

Caparelli, Thomas – admirał, Pierwszy Lord Przestrzeni, Royal Manticoran Navy

Charteris, Lisa – naukowiec Równania, szefowa Zachariaha McBryde’a

Chicherin, Jackson – wiceprezes działu Badań i Rozwoju w Radzie Planowania Genetycznego na Mesie

Chuanli, Triêu – dowódca mafijnej armii Jurgena Duseka

Conde, Xavier – dziennikarz z Ligi Solarnej

Condor, Cary – wyzwoleniec, rewolucjonistka z Mesy

Damewood, Loren – komandor, Korpus Zwiadu Biologicznego Beowulfa

Daramy, Vittoria – producentka ze środków masowego przekazu Ligi Solarnej

Detweiler, Albrecht – głowa rodziny Detweilerów i szef Równania

Drescher, Gillian – generał, Siły Pokojowe Mesy

Du Havel, W.E.B. („Web”) – premier Królestwa Torch

Dusek, Jurgen – szef podziemia wyzwolenców w Neue Rostock

Emmet, Bachue Nos – szefowa podziemia wyzwolenców w Hancock

Ferenc, Csilla – kontroler ruchu na stacji Balcescu

Ferguson, Connor – porucznik, Dyrektoriat Bezpieczeństwa Mesy

Fraenzl, Kyle – rzecznik prasowy rządu Mesy

Goosens, Hasrul – wyzwoleniec, dziecko ulicy w Dolnym Radomsku

Henke, Michelle – wiceadmirał, Royal Manticoran Navy, hrabina Gold Peak

Howell, Bentley – komisarz, Dyrektoriat Bezpieczeństwa Mesy

Imbesi, Walter – głowa rodziny Imbesich, nieoficjalnie jedna z czterech osób rządzących Erewhonem

Irvine, Lajos – tajny agent Równania

Jeremy X – sekretarz wojny Królestwa Torch, były szef Baletu

Juarez, Stefka – naukowiec Równania

Justice, Sharon – agentka Federalnej Agencji Wywiadowczej Republiki Haven przydzielona do Erewhonu i Królestwa Torch, kochanka Yuriego Radamachera

Kabweza Ayibongwinkosi – podpułkownik Królewskiej Armii Torch

Theisman, Thomas – admirał, Marynarka Republiki, sekretarz wojny w rządzie Republiki Haven

Toussaint, Donald – dawniej Donald X, wywiad Republiki Haven

Trietiakowna, Yana – były Scrag, jedna z Amazonek Thandi Palane, przydzielona do współpracy z Cachatem i Zilwickim na czas misji na Mesie

Turner, Steph – wyzwolenc z Mesy, kochanka Andrew Artletta, współpracowniczka Cachata i Zilwickiego

Usher, Kevin – dyrektor Federalnej Agencji Wywiadowczej Republiki Haven

Vickers, George – członek Równania, szef Lajosa Irvine'a

Ward, Brandon – przewodniczący Rady Najwyższej Mesy

Watanapongse, Jiri – komandor porucznik Marynarki Wojennej Ligi Solarnej, oficer wywiadu sektora Maya

Weiss, Gail – analityk Równania

Williams, Kare Steve – wyzwolenc, rewolucjonista z Mesy

Winton, Elżbieta Adrienne Samantha Anette – Królowa Elżbieta III, Gwiazdne Królestwo Manticore, później Gwiazdne Imperium Manticore, adoptowana przez treecata Ariela

Winton, Ruth – księżniczka Manticore, przyjaciółka Berry Zilwickiej, zastępca dyrektora wywiadu Królestwa Torch

Zhilov, A. – agent Równania

Zilwicka, Berry – Królowa Torch, adoptowana córka Antona Zilwickiego

Zilwicki, Anton – szef wywiadu Królestwa Torch, formalnie obywatel Gwiazdnego Królestwa Manticore, były oficer sił zbrojnych Manticore, mąż Catherine Montaigne,

ojciec Helen Zilwickiej i adoptowanych dzieci Berry i Larsa Zilwickich

Zilwicki, Lars – brat Berry

W cyklu *Honor Harrington* dotychczas ukazały się książki:

- Placówka Basilisk
- Honor królowej
- Krótka, zwycięska wojenka
- Kwestia honoru
- Honor na wygnaniu
- Honor wśród wrogów
- Więcej niż Honor
- W rękach wroga
- Honor ponad wszystko
- Nie tylko Honor
- Popioły zwycięstwa
- W służbie miecza
- Królowa niewolników
- Wojna Honor cz. I i II
- Światy Honor
- Cień Saganami
- Za wszelką cenę cz. I i II
- Zarzewie wojny
- Bitwa o Torch
- Misja Honor
- Piękna przyjaźń
- Zrodzone w boju
- Zwiastuny burzy
- Czas ognia
- Cień wolności

- Wojny treecatów
- Początki
- Kocioł duchów